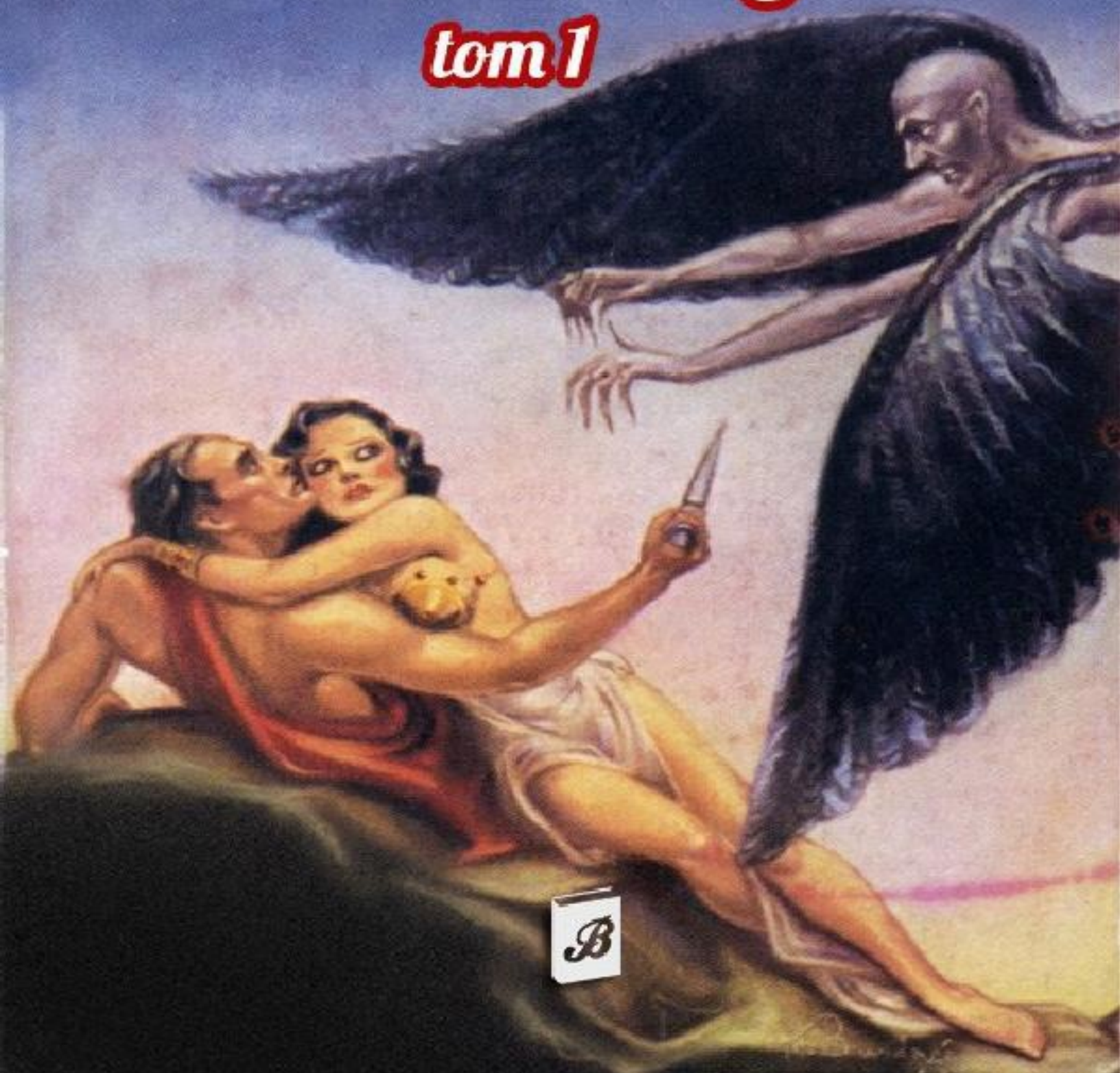


ROBERT E.  
HOWARD

Conan

Barbarzyńca

tom 1



**Robert E. Howard**  
**Conan Barbarzyńca**  
**Tom I**

# Conan Barbarzyńca

## Tom I

Tłumaczenie: Zbigniew A. Królicki

Redakcja: Paweł Dembowski i Katarzyna Derda  
Skład i korekta: Katarzyna Derda i Paweł Dembowski  
Ilustracja na okładce: Margaret Brundage  
Projekt graficzny okładki: Nina Makabresku

Wszelkie prawa zastrzeżone  
All rights reserved

ISBN 978-83-64416-89-7

Wydawca: Code Red Tomasz Stachewicz  
ul. Sosnkowskiego 17 m. 39  
02-495 Warszawa  
<http://www.bookrage.org>

## Feniks na mieczu

*„Wiedz, o książę, iż po tym jak oceany pochłonęły Atlantyde i jej wspaniałe miasta, a zanim powstali Synowie Aryasa, był czas, gdy liczne królestwa rozpościerały się na tym świecie niczym błękitny płaszcz pod miriadem gwiazd — Nemedi, Ophir, Brythunia, Hyperborea, Zamora z jej ciemnowłosymi kobietami i tajemniczymi wieżami zamieszkanymi przez pająki, rycerska Zingara, graniczący z pastwiskami Shemu Koth, Stygia z jej strzeżonymi przez cienie grobowcami, Hyrkania z jeźdźcami odzianymi w jedwabie, stal i złoto. Jednak najdumniejszym królestwem owego świata była Akwilonia, dominująca w tym zachodnim świecie. Tam przybył Conan Cymeryjczyk, czarnowłosa, posępnooki wojownik z mieczem, złodziej, rabuś i zabójca, jednako skłonny do melancholii i wesołości, aby zdeptać te pyszne trony tej ziemi swymi obutymi w sandały stopami.”*

Kroniki Nemediańskie

## 1.

Nad kopulastymi dachami i lśniącymi wieżami zalegała upiorna cisza i mrok przedświt. Cztery zamaskowane postacie prześlizgnęły się przez uchylone czyjąś ręką drzwi i szybko wtopiły się w ciemność jednej z setek krętych ulic tworzących prawdziwy kamienny labirynt. Szczelnie zakutane w płaszcze, bez słowa zniknęły w ciemnościach, niczym duchy pomordowanych. Przez nie domknięte drzwi spoglądała za nimi twarz wykrzywiona w sardonicznym uśmiechu — złowrogo błysnęły zmrużone oczy.

— Idźcie, rycerze nocy — szepnął drwiąco głos. — O, głupcy! Nie wiecie, że śmierć depcze wam po piętach jak ślepy pies.

Powiedziawszy to, mężczyzna, zamknął drzwi i zasunął rygle, po czym odwrócił się i ze świecą w dłoni ruszył korytarzem. Był ponurym olbrzymem o śniadej skórze zdradzającej stygijskie pochodzenie. Wszedł do komnaty, w której na pokrytej jedwabiem kanapie leżał odziany w znoszoną aksamitną szatę wysoki, chudy mężczyzna sączący wino z wielkiego, złotego pucharu.

— No, Ascalancie — rzekł Stygijczyk, stawiając świecę — twoi durnie wypadli na ulicę jak szczury z nory. Używasz dziwnych narzędzi.

— Narzędzi? — odparł Ascalant. — Oni sądzą, że to ja jestem narzędziem. Od miesięcy, kiedy buntownicza czwórka wezwała mnie z głębi pustyni, żyję w samym sercu twierdzy wroga, za dnia kryjąc się w tym nędznym domu, a nocami skradając się przez ciemne uliczki i jeszcze ciemniejsze korytarze. I dokonałem tego, czego nigdy nie zdołaliby dokonać ci zbuntowani dworacy. Z pomocą tych oraz innych agentów, z których wielu nigdy nie widziało mojej twarzy, wzniciłem w państwie niepokój i niezadowolenie. Krótko mówiąc, pozostając w cieniu, przygotowałem upadek zasiadającego na tronie króla. Na Mitrę, nie na darmo byłem mężem stanu, zanim wyjęto mnie spod prawa!

— A ci durnie, którzy uważają się za twoich panów?

— Nadal myślą, że im służę, i będą tak uważać, dopóki nie dopniemy celu. Kim są, by mierzyć się z Ascalantem? Karzeł Volmana — księżę Karabanu, Gromel — dowódca Czarnego Legionu, Dion — tłusty baron

Attalus i Rinaldo — pustogłowy minstrel. To ja uczyniłem z nich stalowe ostrze buntu, a gdy przyjdzie czas, zniszczę ich, wykorzystując ich własne przywary. To jednak przyszłość — dzisiejszej nocy zginie król.

— Kilka dni temu widziałem armię opuszczającą miasto — rzekł Stygijczyk.

— Udali się na pogranicze niepokojone przez pogańskich Piktów, podnieconych do szaleństwa trunkami, które dla nich przemyciłem przez granicę. Pieniądze Diona to umożliwiły. A Volmana wyprowadził z miasta resztę królewskich oddziałów. Za pośrednictwem swego książęcego krewniaka w Nemedii z łatwością namówił króla Numę, aby zażądał przybycia Trocera — seneszala Akwilonii i księcia Poitain. Rzecz jasna, taka misja wymaga nie tylko eskorty własnych oddziałów, ale również honorowej asysty królewskiej gwardii z Prosperem, prawą ręką króla Conana, na czele. Tak więc w mieście została tylko przyboczna straż króla i Czarny Legion. Za pośrednictwem Gormela przekupiłem zadłużonego oficera tej straży, który o północy odwoła wartę sprzed drzwi królewskiej komnaty. Wtedy ja z moimi szesnastoma gotowymi na wszystko łotrami przez ukryte przejście wtargnę do pałacu. A kiedy dokonamy dzieła, to nawet jeśli lud nas nie poprze, Czarny Legion Gromela wystarczy, aby utrzymać miasto i tron.

— A Dion myśli, że tron przypadnie jemu?

— Tak. Ten tłusty dureń rości sobie do niego prawo ze względu na domieszkę królewskiej krwi w swoich żyłach. Conan popełnił błąd, pozwalając żyć ludziom chełpiącym się pokrewieństwem ze starą dynastią, której wydarł koronę Akwilonii. Volmana chce wrócić do łask, aby podźwignąć do dawnej świetności swoje podupadłe włości. Gromel nienawidzi Pallantidesa, dowódcy Czarnych Smoków, i z uporem prawdziwego Bossończyka dąży do objęcia dowództwa nad całą armią. Rinaldo jako jedyny z nich nie kieruje się prywatą. Widzi w Conanie gruboskórnego barbarzyńcę o skrwawionych rękach, który przybył z północy, by plądrować cywilizowany kraj. Idealizuje króla, którego Conan zabił, aby zdobyć tron, i pamięta jedynie to, że martwy władca czasami popierał sztukę. Nie pamięta, ile zła wyrządził, i sprawia, że lud też o tym zapomina. Już otwarcie śpiewają „Lament po zamordowanym królu”, w której to pieśni Rinaldo opłakuje tego łotra jak świętego i ogłasza Conana „ponurym dzikusem z piekła rodem”. Conan śmieje się z

tego, ale lud szemrze...

— Czemu on nienawidzi Conana?

— Poeci zawsze nienawidzą władców. Dla nich doskonałość zawsze znajduje się za ostatnim lub następnym zakrętem. Uciekają przed rzeczywistością w marzenia o przeszłości i jutrze. Rinaldo to płonąca pochodnia idealizmu. Uważa, że zabijając Conana, uwolni lud od tyra. A jeśli o mnie chodzi... no, kilka miesięcy temu moją jedyną ambicją było grabienie karawan. Teraz powróciły stare marzenia. Conan zginie i Dion zasiądzie na tronie. Później on też umrze. Jeden po drugim umrą wszyscy moi przeciwnicy. Stanie się tak dzięki ogniewi, stali lub tym straszliwym nalewkom, które tak dobrze sporządzasz. Ascalant, król Akwilonii! Jak ci się to podoba?

Stygijczyk wzruszył szerokimi ramionami.

— Był taki czas — rzekł z nieskrywaną goryczą — kiedy ja też miałem ambicje, przy których twoje zdają się dziecinne i pozbawione gustu. Jakże nisko upadłem! Moi dawni rywale i pomocnicy wybałuszyliby oczy ze zdziwienia, gdyby ujrzeli Thoth-Amona, Mistrza Kręgu, służącego jako niewolnik u cudzoziemca wyjętego spod prawa i wspomagającego drobne ambicjki baronów i królów!

— Pokładałeś wiarę w magię i zaklęcia — odparł niedbale Ascalant. — Ja wierzę w mój rozum i miecz.

— Rozum i miecz są niczym żdźbła trawy na wietrze wobec wiedzy Ciemności — warknął Stygijczyk, a w jego oczach pojawił się niebezpieczny błysk. — Gdybym nie utracił pierścienia, byłbyś na moim miejscu, a ja na twoim.

— Jednak — odparł niecierpliwie Ascalant — nosisz na grzbiecie ślady mojego bicia i chyba dalej będziesz je nosił.

— Nie bądź taki pewny! — Przez moment twarz niewolnika wykrzywiła się grymasem szalonej nienawiści. — Któregoś dnia jakimś sposobem odnajdę pierścień i wtedy, na kły jadowe Seta, zapłacisz mi...

Porywczy Akwilończyk zerwał się z otomany i mocno uderzył go w twarz. Thoth-Amon zatoczył się w tył, krew popłynęła mu z rozciętych warg.

— Stałeś się zbyt zuchwały, psie! — ryknął banita. — Uważaj, wciąż jestem twoim panem, który zna twój mroczny sekret. No, dalej, wejdź na dach i krzycz, że Ascalant jest w mieście i spiskuje przeciw królowi! Może

się ośmielisz?

— Nie ośmielę się — mruknął Stygijczyk, ocierając krew z ust.

— Taak, nie ośmielisz się — uśmiechnął się zimno Ascalant — bo jeśli umrę wskutek twojej zdrady czy niedbalstwa, kapłan w pustelni na południowej pustyni dowie się o tym i złamie pieczęć manuskryptu, który mu zostawiłem. A przeczytawszy go, szepnie słowo w Stygii i o północy zawieje wiatr z południa. I gdzie się wtedy schronisz, Thoth-Amonie?

Niewolnik zadrżał, a jego śniada twarz nagle pobladła.

— Dosyć! — Ascalant raptownie zmienił temat. — Mam dla ciebie zadanie. Nie wierzę Dionowi. Radziłem mu, aby udał się do swoich włości i pozostał tam, aż dokonamy dzieła. Ten tłusty dureń nie zdołałby dziś ukryć przed królem swojego zdenerwowania. Pojedziesz za nim i jeśli nie dogonisz go na drodze, podążysz do jego włości i pozostaniesz przy nim dopóty, dopóki go nie wezwiemy. Nie spuszczań go z oka. Trzęsiej się ze strachu i może się wygadać. Gotów nawet pobiec do Conana i zdradzić nasze plany w nadziei ocalenia własnej skóry. Idź!

Niewolnik skłonił się, ukrywając targającą nim nienawiść i zrobił, co mu kazano. Ascalant znów zajął się pucharem. Nad bogato zdobionymi kopułami dachów wstawał świt, czerwony jak krew.



## 2.

*Kiedym był wojownikiem, na chwałę bili mi w kotły,  
Lud pod kopyta mego konia sypał pył szczerozłoty,  
Lecz teraz jestem królem i oto jest przyczyna  
Ciosu sztyletem w plecy i zatrutego wina.*

(„Droga Królów”)

Komnata była duża i urządzona z przepychem. Na ścianach wykładanych boazerią ze słoniowej kości wisiały kosztowne gobeliny, na posadzce leżały grube dywany, a wysoki sufit zdobiły kunsztowne, posrebrzane ornamenty. Za inkrustowanym złotem sekretarzykiem siedział mężczyzna, którego szerokie bary i spalona słońcem skóra wydawały się dziwnie nie posuwać do tego ociekającego luksusem wnętrza. Zdawał się być raczej częścią krainy słońca i wiatru oraz wyniosłych górskich szczytów. Każdy jego ruch zdradzał stalową siłę mięśni doskonale skoordynowanych z bystrym umysłem i refleksem urodzonego wojownika. W jego ruchach nie było cienia sztuczności czy pozy., albo trwał w bezruchu — niczym spiżowy posąg — albo poruszał się, ale nie gwałtownymi zrywami nadmiernie napiętych mięśni, lecz z kocią zwinnością trudną do uchwycenia okiem. Jego szaty były skromne, chociaż z kosztownego materiału. Nie nosił żadnych ozdób ni pierścieni, jedynie przetykaną srebrem opaskę, która przytrzymywała prosto przyciętą grzywę czarnych włosów.

Odłożył złoty rylec, którym pracowicie kreślił znaki na woskowanych tabliczkach, podparł brodę pięścią i spojrzał zazdrośnie swoimi płonącymi, niebieskimi oczami na stojącego przed nim człowieka. Mężczyznę tego niezwykle zajmowały własne sprawy, bo właśnie sznurował swój pozłacany pancerz i pogwizdywał pod nosem — co było dość niekonwencjonalnym zachowaniem, jeżeli zważyć, że robił to w obecności króla.

— Prospero — rzekł siedzący za stołem — sprawy związane z kierowaniem państwem męczą mnie bardziej niż wszystkie bitwy, jakie

stoczyłem, razem wzięte.

— Takie są zasady gry, Conanie — odparł ciemnowłosy książę Poitain. — Jesteś królem — musisz grać swoją rolę.

— Wolałbym pojechać z tobą do Nemedii — rzekł z zawiścią Cymeryjczyk. — Wydaje się, że minęły wieki, od kiedy ostatni raz siedziałem na koniu. Jednak Publiusz mówi, że sprawy państwowe wymagają mojej obecności w stolicy.

Niech go diabli! Kiedy obalałem starą dynastię — ciągnął po chwili z niedbałą poufałością, na jaką pozwalał sobie tylko w rozmowach z Prosperem — wydawało mi się to dość łatwe. Spoglądając teraz wstecz, widzę za sobą długą drogę: te wszystkie dni znoju i udręki, intryg i zabijania zdają się snem. Jednak nie dośniłem go do końca, Prospero. Kiedy król Numedides legł martwy u mych stóp i kiedy zerwawszy koronę z jego okrwawionych skroni założyłem ją na własne, osiągnąłem granicę, której nie przekraczałem w swoich snach. Byłem przygotowany na to, by założyć koronę, ale nie na to, aby ją nosić. Za dawnych, dobrych czasów pragnąłem jedynie dobrego konia i ostrego miecza w garści. Wszystko wydawało mi się proste. Dziś nic nie jest proste, a mój miecz jest bezużyteczny... Kiedy obalałem Numedidesa, uważali mnie za Wyzwoliciela — teraz plują na mój widok. W świątyni Mitry postawili posąg tego wieprza, a lud wznosi przed nim żałobne pienia — hymny ku czci świętego męża zamordowanego przez krwawego barbarzyńcę. Gdy jako najemnik wiodłem jej armie do zwycięstwa, Akwilonia nie pamiętała o tym, że jestem cudzoziemcem, ale teraz nie może mi tego wybaczyć. Teraz do świątyni Mitry, aby palić kadzidła Numedidesowi, przychodzą ludzie, którym jego kaci ucinali ręce i wyłupiali oczy, ludzie, których synowie zginęli w jego lochach, których żony i córki zawleczono do jego seraju. Niewdzięczni durnie!

— W znacznej mierze odpowiada za to Rinaldo — odparł Prospero, zaciskając pas o jeszcze jedną dziurkę. — Śpiewa pieśni, które doprowadzają ludzi do szaleństwa. Powieś go w błazeńskim stroju na najwyższej wieży w mieście. Niech układa rymy dla sępów.

Conan potrząsnął swoją lwią grzywą.

— Nie, Prospero, nie mogę tego zrobić. Wielki poeta jest czymś więcej niż największy król. Jego pieśni są potężniejsze od mojego berła. Gdy kiedyś zechciał zaśpiewać dla mnie, myślałem, że serce wyskoczy mi

z piersi. Umrę i zostanę zapomniany, a pieśni Rinalda będą żyły wiecznie. Nie, nie — ciągnął król z ponurym błyskiem w oku — w tym się coś kryje, jakieś drugie dno, którego nie dostrzegamy. Czuję to tak, jak za młodu czułem tygrysa kryjącego się w wysokiej trawie. Jakiś dziwny niepokój zapanował w królestwie. Jestem niczym myśliwy, który kuli się przy swoim małym ognisku pośrodku lasu, słysząc szelest stóp skradających się w ciemności i niemal widząc błyszczące oczy napastników. Gdybym tylko mógł stawić czoła czemuś uchwytnemu, czemuś, co mógłbym przeciąć ostrzem miecza! Mówię ci, to nie przypadek, że Piktowie ostatnio tak gwałtownie zaatakowali pogranicze, zmuszając Bossończyków do wezwania posiłków. Powinienem wyruszyć na czele wojsk.

— Publiusz obawiał się, że to spisek mający na celu porwać cię i zabić — odparł Prospero, wygładzając fałdy płaszcza i podziwiając swoją wysoką, gibką postać w srebrnym lustrze. — To dlatego nalegał, abyś został w mieście. Twoje wątpliwości rodzą się z barbarzyńskich przesądów. Niechaj lud szemrze! Najemnicy są z nami, a Czarne Smoki i każdy zbój w Poitain oddałby za ciebie życie. Możesz obawiać się tylko zamachu, a ten jest niemożliwy, jeśli gwardia królewska strzeże cię dzień i noc. Nad czym teraz pracujesz?

— Nad mapą — odparł z dumą Conan. — Mapy, które znajdują się w archiwum, pokazują dokładnie kraje południa, wschodu i zachodu, ale na północy są niedokładne i fragmentaryczne. Sam oznaczę północne ziemie. Tu leży Cymeria,

gdzie się urodziłem. A tu...

— Asgard i Vanaheim — rzekł Prospero, spojrzawszy na mapę. — Na Mitrę, byłem prawie pewien, że te kraje istnieją tylko w legendach!

Conan uśmiechnął się krzywo, mimowolnie dotykając szram na opalonej twarzy.

— Nie mówiłbyś tak, gdybyś spędził młodość na północnej granicy Cymerii! Asgard leży na północ, a Yanaheim na północny zachód od mojej ziemi ojczystej. Toczy się tam nieustająca wojna.

— Jacy są ci ludzie z północy? — spytał Prospero.

— Wysocy, jasnowłosi i niebieskoocy. Ich bogiem jest Ymir, lodowy gigant. Każde plemię ma swojego wodza. Są dzicy i uparci. Potrafią walczyć cały dzień, a całą noc śpiewać nieskładnym chórem swoje pieśni

i żłopać piwsko.

— A więc widzę, że naprawdę jesteś jednym z nich — zaśmiał się Prospero. — Śmiejesz się głośno, pijesz tego i śpiewasz dobre pieśni, chociaż nigdy nie widziałem Cymeryjczyka, który by pił coś mocniejszego od wody, śmiał się głośno czy śpiewał coś innego niż ponure pieśni żałobne.

— Może to wpływ krainy, w której żyją — odparł król. — Nie ma bardziej posępnej ziemi; nie kończące się wzgórza porośnięte gęstym lasem, wiecznie szare niebo i wiatr jęczący głucho w dolinach.

— Nic dziwnego, że ludzie stają się ponurzy — zauważył Prospero, wzruszając ramionami i myśląc o jasnych, rozświetlonych słońcem równinach oraz czystych, leniwych rzekach Poitain, najdalej na południe wysuniętej prowincji Akwilonii.

— Nie ma dla nich nadziei ani tu, ani na tamtym świecie — rzekł Conan. — Ich bogiem jest Krom wraz ze swą ponurą swiłą, rządzący pozbawionym słońca królestwem wiecznych mgieł — krainą zmarłych! Wolę już wierzenia AEsirów.

— No — zaśmiał się Prospero — mroczne wzgórza Cymerii pozostały daleko za tobą. Idę już. Wychylę za ciebie puchar białego, nemedyjskiego wina na dworze króla Numy.

— Świetnie — mruknął król — ale całuj tancerki Numy tylko od siebie, inaczej wywołasz międzynarodowy kryzys!

Rubaszny śmiech Conana ścigał wychodzącego z komnaty Prospera.

### 3

*W podziemiach piramid Wielki Set śpi zwinięty;  
W cieniu grobowców pełza jego lud przeklęty...  
Z bezdennych otchłani wznosi swe wołanie:  
Ześlij mi sługę gniewu, o łuskowaty panie!*

Słońce chyliło się już ku zachodowi, wyłaczając zieloną i bladoniebieską linię lasu. Gasnące promienie ożywały blaskiem na ogniach złotego łańcucha, który siedzący w gąszczu jaskrawego kwiecia i liści swojego ogrodu Dion z Attalus nieustannie obracał pulchnymi dłońmi. Szlachcic podniósł opasy kałdun z marmurowej ławy i płochliwie rozejrzał się wokół, jakby szukając skradającego się wroga. Znajdował się na polance otoczonej małymi drzewkami, których splatające się ze sobą gałęzie dawały dostateczny cień. W pobliżu szemrała srebrzysta fontanna, która współgrała z głosem innych, stojących w różnych miejscach wielkiego ogrodu i tworząc z nimi cichą symfonię.

Dion był sam, jeśli nie liczyć ciemnoskórej postaci przycupniętej przy kamiennej ławie i patrzącej nań posępnie.

Szlachcic nie zwracał uwagi na Thoth-Amona. Nie dlatego, by przeczuwał, że nie może mu ufać jako wiernemu słudze Ascalanta, lecz ponieważ, jak wielu bogaczy, niewiele uwagi poświęcał ludziom o niższej pozycji.

— Nie powinieneś się tak denerwować, panie — rzekł Thoth-Amon. — Spisek musi się udać.

— Ascalant może popełnić błąd, tak jak każdy — uciął Dion, pocąc się na samą myśl o konsekwencjach niepowodzenia.

— Nie on — uśmiechnął się krzywo Stygijczyk — inaczej nie byłbym jego niewolnikiem, lecz panem.

— Co ty opowiadasz? — rzucił szlachcic opryskliwie, myśląc o czymś innym.

Thoth-Amon zmrużył oczy. Mimo żelaznych nerwów był bliski

wybuchu. Nagromadzony w nim wstyd, nienawiść i wściekłość domagały się ujścia i sprawiały, że był gotów skorzystać z każdej nadarzającej się okazji. Nie wziął tylko pod uwagę, że Dion patrzy nań nie jak na ludzką istotę obdarzoną rozumem i wolą, lecz jak na niewolnika, stworzenie niegodne uwagi.

— Wysłuchaj mnie — rzekł Thoth. — Zostaniesz królem. Jednak słabo znasz Ascalanta. Nie możesz mu ufać. Ja mogę ci pomóc. I zrobię to, jeśli zapewnisz mi ochronę, kiedy Conan zginie i sięgniesz po władzę. Posłuchaj tylko. Tam, na południu, byłem wielkim czarnoksiężnikiem. Ludzie mówili o Thoth-Amonie tak, jak niegdyś o Rammonie. Król Stygii Ctesphon obdarzył mnie wielkim zaszczytem, wynosząc nad innych magów. Nienawidzili mnie, ale i bali się, ponieważ

miałem władzę nad Istotami Ciemności, które przybywały na me wezwanie i spełniały moje życzenia. Na Seta, moi wrogowie nie znali dnia ni godziny, kiedy szponiaste palce demonów zacisną się na ich gardłach. Te mroczne, straszliwe czary rzucałem dzięki Wężowemu Pierścieniowi Seta, który znalazłem głęboko pod ziemią w starym grobowcu zbudowanym, nim jeszcze praprzodkowie człowieka wyczołgali się z mulistego morza. Jednak ktoś ukradł mi Pierścień i straciłem mą moc. Inni czarodzieje powstali przeciwko mnie i chcieli zabić; musiałem uciekać. Przebrany za poganiacza wielbłądów, wędrowałem z karawaną przez pustynię Koth, gdy napadli na nas rabusie Ascalanta. Zabili wszystkich prócz mnie; ocalałem życie, wyjawiając, kim jestem i przysięgając posłuszeństwo Ascalantowi. Gorzka to była służba! Aby silniej związać mnie z sobą, opisał wszystko w manuskrypcie, który zapieczętował i oddał na przechowanie pustelnikowi mieszkającemu przy południowej granicy Koth. Nie odważę się pchnąć go sztyletem, kiedy śpi, ani wydać go wrogom, bo wtedy pustelnik przeczyta manuskrypt, jak kazał mu Ascalant, i szepnie słowo w Stygii, a wtedy...

Thoth-Amon zadrżał, a jego śniada twarz przybrała barwę popiołu.

— W Akwilonii mnie nie znają — rzekł po chwili. — Jednak jeśli moi wrogowie w Stygii dowiedzą się, gdzie przebywam, to nawet dzielące nas pół świata nie wystarczy, by uchronić mnie przed losem, który zmiękczyłby serce posągu. Tylko król, jego zamki i oddziały konnicy mogą mnie ocalić. A pewnego dnia odnajdę Pierścień...

— Pierścień? Pierścień? — zdziwił się Dion.

Thoth nie doceniał absolutnego egocentryzmu rozmówcy. Dion był tak głęboko pogrążony we własnych myślach, że w ogóle go nie słuchał, ale ostatnie słowo potrąciło jakąś strunę jego świadomości.

— Pierścień? — powtórzył. — To mi przypomina... tak, mój amulet. Kupiłem go od złodzieja z Shemu, który przysięgał, że ukradł go daleko na południu czarnoksiężnikowi i że przyniesie mi szczęście. Na Mitrę, słono za niego zapłaciłem.

Jednak klnę się na bogów, że potrzeba mi naprawdę dużo szczęścia, skoro Ascalant i Volmana wciągają mnie w swoje przeklęte spiski. Muszę się nim posłużyć.

Thoth-Amon zerwał się na równe nogi z twarzą pociemniałą od uderzającej do głowy krwi, a w jego oczach pojawiło się zdumienie i wściekłość, gdy uświadomił sobie ogrom głupoty i egoizmu rozmówcy. Dion nie zwracał na niego uwagi. Podniósł wieko skrytki w marmurowej ławie i przez chwilę grzebał wśród stosu rozmaitych błyskotek — amuletów i talizmanów, które jako człowiek przesądny gromadził.

— Ach, tu jest!

Triumfalnie wyjął dziwnego kształtu pierścień. Wykonana z metalu podobnego do miedzi ozdoba wyobrażała okrytą łuskami żmiję, zwiniętą w trzy zwoje i trzymającą ogon w zębach. W miejscu oczu w złotym metalu osadzono złowrogo błyszczące klejnoty. Thoth-Amon krzyknął jak smagnięty batem. Dion obrócił się, spojrział nań i rozdziawił usta. Krew odpłynęła mu z twarzy. Oczy niewolnika rozbłysły i Thoth-Amon ciężko dysząc, wyciągnął śniade ręce do gardła szlachcica.

— Pierścień! Na Seta! Mój Pierścień! — wrzasnął. — Mój skradziony...!

Nagle w jego ręku błysnęła stal i potężnym zamachem wbił sztylet w tłuste cielsko barona. Dion wydał wysoki, przeraźliwy pisk przechodzący w zduszony bulgot i osunął się na ziemię jak zmięty łachman. Głupiec — umarł, nie wiedząc, dlaczego ginie. Thoth-Amon odrzucił na bok okrwawione zwłoki, natychmiast o nich zapominając, i niecierpliwie chwycił pierścień w dłoń.

— Mój Pierścień! — szepnął ze straszliwą radością. — Moja moc!

Sam nie wiedział, jak długo stał nieruchomo niczym posąg, sycąc oczy widokiem magicznego pierścienia. Wreszcie otrząsnął się z zadumy

i wrócił myślami z mrocznych czeluści. Księżyc już wschodził, rzucając długie cienie na gładkie oparcie marmurowej ławy, u stóp której leżało ciało barona Attalus.

— Koniec, Ascalancie, koniec! — szepnął Stygijczyk.

W półmroku jego oczy zalśniły krwawym blaskiem jak ślepia wampira. Pochyliwszy się z krzepnącej kałuży zaczerpnął dłonią i wtarł ją w ślepia żółtej żmii, aż pokryły się purpurowym bielmem.

— Zamknij oczy, magiczna żmijo — zaintonował mrozącym krew w żyłach szeptem. — Zamknij oczy w księżycowym blasku i otwórz je w czarnej otchłani. Cóż tam widzisz, o żmijo Seta? Kogo przyzwiesz z otchłani Ciemności? Czyj cień zasnuwa gasnący blask? Wezwij go do mnie, o słuگو Seta!

Pieszcząc łuski pierścienia szczególnym, kolistym ruchem, jeszcze bardziej ściszył głos; szeptał ponure i okropne zaklęcia, imiona zapomnianych przez ludzi bóstw, o których pamięć przetrwała jedynie w zakątkach tajemniczej Stygii, gdzie w prastarych grobowcach wciąż kryły się koszmary.

Na polance wokół niego powietrze zawirowało jak woda w stawie, gdy z głębin coś wynurza się na powierzchnię. Thoth poczuł powiew jakiegoś dziwnego, lodowatego wiatru, jakby otwarły się niewidoczne wrota. Wyczuwał czyjąś obecność za plecami, lecz nie odwracał się. Nie odrywał oczu od oblanej blaskiem księżycy plamy marmuru, na którym pojawił się zwiewny cień. W miarę jak mag wymawiał zaklęcie, cień ten stawał się coraz większy i wyraźniejszy, czarniejszy i bardziej przerażający. Kształtem przypominał gigantyczną małpę, ale takie stworzenie nigdy nie stąpało po ziemi, nawet w Stygii. Thoth nadal nie patrzył w jego stronę, tylko wyciągnął zza pasa sandał swojego pana — który zawsze nosił przy sobie w niejasnej nadziei, że kiedyś może się przydać — i cisnął go za siebie.

— Przyjrzyj mu się, słuگو Pierścienia! — wykrzyknął. — Znajdź tego, który go nosił i zabij go! Zajrzyj mu w oczy i odbierz zmysły, zanim rozszarpiesz mu gardło! Zabij go!

Po czym w przyplýwie pasji Thoth-Amon dorzucił:

— I wszystkich, którzy będą przy nim!

Czarownik zobaczył, że potworny cień na marmurowej płycie opuszcza niekształtny łeb i węszy niczym odrażający ogar. Później



ohydny łeb podniósł się, stwór okręcił się i zniknął jak wiatr wiejący wśród gałęzi. Stygijczyk triumfalnym gestem uniósł ramiona w górę, szczerząc białe zęby i wywracając oczami.

Obchodzący mury strażnik wrzasnął z przerażenia, gdy wielki, czarny cień o płonących ślepiach przeskoczył blanki i ze świstem przemknął obok. Stwór zniknął tak szybko, że wartownik nie był pewny, czy to sen, czy przywidzenie.

#### 4.

*Gdy świat był młody, a ludzkość słabą demony nocy dręczyły wciąż,  
Użyłem ognia, trucizny oraz stali, i przegrał ze mną straszliwy Wąż.  
Dziś, kiedy męki zrobiły swoje i w czarnym sercu góry drzemie,  
Czyż zapomnicie tego, który Seta wam dał i wybawienie?*

Samotny w wielkiej sypialni o złocistym sklepieniu król Conan spał i śnił. Przez kłębiącą się szarą mgłę słyszał dziwne wołanie, słabe i dalekie, i chociaż nie rozróżniał słów, zdawało mu się, że nie może go zlekceważyć. Z mieczem w ręku kroczył przez szarą mgłę, niczym człowiek spacerujący wśród obłoków, a w miarę jak szedł, głos stawał się wyraźniejszy, aż Conan zrozumiał słowa; to jego własne imię nadlatywało z bezdennych otchłani Przestrzeni i Czasu.

Mgła zrzędała i zobaczył, że znajduje się w długim, ciemnym korytarzu, wyraźnie wykutym ludzką ręką w twardej, czarnej skale. W tunelu panowała ciemność, lecz w jakiś magiczny sposób Conan wszystko dobrze widział. Gładkie ściany, sufit, podłoga, wszystko to pokryte płaskorzeźbami starożytnych herosów i prawie zapomnianych bogów, lśniło matowo. Cymeryjczyk zadrżał, widząc te gigantyczne figury i pojmując w jakiś niejasny sposób, że już od wieków stopy żadnego śmiertelnika nie przemierzały tego korytarza.

Dotarł do wykutych w litej skale szerokich schodów, których poręcz zdobiły ezoteryczne symbole — stare i tak przerażające, że dreszcz przebiegł mu po plecach. Na każdym stopniu był wyrzeźbiony odrażający wizerunek Starej Żmii Seta. Przy każdym kroku trzeba było postawić nogę na głowie Węża, tak jak to zaplanowano przed laty. Wiedząc o tym, Conan wcale nie poczuł się lepiej.

Głos przyzywał go nadal. Krocząc w ciemnościach, których nie zdołałyby przeniknąć niczyje bystre oczy, barbarzyńca dotarł do ogromnej krypty i ujrzał dziwną, białobrodą postać siedzącą na sarkofagu. Conanowi włosy stanęły dęba, a ręka ściskająca miecz zadrżała, gdy postać przemówiła grobowym głosem:

— Czy poznajesz mnie, człowieku?

— Nie, na Kroma! — zaklął król.

— Człowieku — rzekł starzec — jam jest Epemitreus.

— Przecież Epemitreus Mądry nie żyje od przeszło tysiąca lat! — wyjąkał Cymeryjczyk.

— Słuchaj! — mówił tamten. — Jak kamyk rzucony do czarnego jeziora wywołuje kręgi rozchodzące się do brzegów, tak zdarzenia zachodzące w Niewidzialnym Świecie wyrwały mnie z uśpienia. Dobrze ci się przyjrzałem, Conanie z Cymerii, i widzę w tobie zapowiedź ważnych wydarzeń i wielkich czynów. Jednak po ziemi krążą demony, przeciw którym nie poradzi twój miecz.

— Mówisz zagadkowo — rzekł niepewnie Conan. — Niech tylko znajdę przeciwnika, a rozłupię mu czaszkę na dwoje.

— Zachowaj swoją złość dla wrogów z krwi i kości, barbarzyńco — odparł starzec. — To nie przed ludźmi chcę cię ostrzec. Są mroczne światy, których istnienia ludzie nie podejrzewają, krainy przemierzane przez potworne koszmary — bestie, przyzywane przez czarnoksiężników z Otchłani Ciemności, aby przybrowszy materialną postać, spełniały ich rozkazy. Masz węza w domu swego królestwa, jadowitą żmiję ze Stygii — człowieka, który posiadał wszystkie mroczne sekrety tajemnej wiedzy. Jak śpiącemu śni się pełznąca ku niemu żmija, tak ja czuję obrzydłą obecność sługi Seta. Upojony swą straszliwą władzą, zadaje wrogom ciosy, które mogą wstrząsnąć twoim państwem. Wezwałem cię tutaj, aby dać ci oręż przeciw niemu i jego piekielnym pomocnikom.

— Ale dlaczego? — spytał z niedowierzaniem Conan. — Ludzie mówią, że śpisz w czarnym sercu Golamiry, skąd twój duch przybywa na niewidzialnych skrzydłach, by pomóc Akwilonii w godzinie potrzeby, ale ja... ja jestem cudzoziemcem i barbarzyńcą.

— Zamilcz! — głos starca odbił się głuchym echem od sklepienia olbrzymiej jaskini. — Twoje przeznaczenie wiąże cię z Akwilonią. W łonie Losu rodzą się wielkie wydarzenia i żądny krwi czarownik nie stanie na drodze królewskiego przeznaczenia. Przed wiekami Set owinał się wokół świata jak pyton wokół swojej ofiary. Przez całe swoje życie, dłuższe niż żywot zwykłego śmiertelnika, walczyłem z nim. Wyparłem go do mrocznych krain tajemniczego południa, lecz w Stygii lud wciąż

oddaje cześć temu, który dla nas jest ucieleśnieniem zła. Tak jak walczyłem z Setem, zwalczałem też jego wyznawców, kapłanów i pomocników. Wyciągnij swój miecz.

Zdziwiony Conan uczynił to, a starzec nakreślił swym kościstym palcem dziwny symbol, płonący jak rozżarzone węgle na szerokim ostrzu tuż przy srebrnej gardzie. W tej samej chwili wszystko znikło: krypta, sarkofag i starzec, a bezgranicznie zdumiony Cymeryjczyk zerwał się ze swego łoża w komnacie o złocistym sklepieniu. Stojąc i otrząsając się z resztek snu, uświadomił sobie, że ściska w dłoni miecz. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy ujrzał wyryty na szerokim ostrzu symbol — rysunek feniksa. Natychmiast przypomniał sobie, że taki sam znak widział na sarkofagu w podziemnej krypcie.

Stał tak, próbując uporządkować myśli, gdy cichy szmer przywrócił go do życia; nie tracąc czasu na dociekanie przyczyn, zaczął nakładać zbroję. Znow stał się barbarzyńcą, podejrzliwym i czujnym jak szary wilk. O tanim blichtrze, podstępnie i zdradzie, cóż wiedzieć mi potrzeba?

## 5.

*Jam syn surowej ziemi, chowany pod dachem nieba.  
Czar gładkich słówek i sofizmatów pryska pod miecha ciosem.  
Dalej, psy — gińcie! — bo przywykłem za bary brać się z losem.*

(„Droga Królów”)

Przez ciszę okrywającą całunem korytarz królewskiego pałacu przemykało chyłkiem dwudziestu spiskowców. Ich stopy, bose lub obute w miękkie ciżmy, nie wydawały nawet najcichszego dźwięku ani na grubych dywanach, ani na marmurowych płytach posadzki. Pochodnie wetknięte w żelazne kagańce na ścianach korytarzy rzucały krwawy blask, który odbijał się w ostrzach mieczy, sztyletów i ciężkich toporów.

— Ciszej! — syknął Ascalant. — Kto tam tak głośno sapie, przeklęty? Wprawdzie oficer nocnej straży wycofał z pałacu większość swoich ludzi, a resztę upił, ale musimy być ostrożni. Kryć się! Nadchodzi patrol!

Schowali się za rzędem rzeźbionych kolumn. Po chwili dziesięciu olbrzymich strażników w czarnych zbrojach przemaszerowało obok. Ich twarze zdradzały dręczące wątpliwości, tym niemniej szli za oficerem, który ściągnął ich z wyznaczonego posterunku. Oficer pobladł; gdy jego oddział mijał ukrytych za filarami spiskowców, ci zauważyli, że ręka, którą dowódca ociera pot z czoła, drży. Był młody i zdrada nie przyszła mu łatwo. W duchu przeklinał ekstrawaganckie zachcianki, przez które zadłużył się u lichwiarzy i stał narzędziem w rękach knujących przewrót polityków.

Gwardziści przeszli ze szcękaniem oręża i znikli w głębi korytarza.

— Dobrze! — uśmiechnął się Ascalant. — Sypialnia Conana została bez ochrony. Spieszcie się! Jeśli złapią nas na gorącym uczynku, koniec z nami! Ale mało kto zechce bronić sprawy martwego króla...

— Tak, spieszmy się! — zawołał Rinaldo, a jego oczy przybrały barwę stali, którą potrzasał nad głową. — Moje ostrze pragnie krwi! Słyszę zlatujące się sępy! Naprzód!

Ponieważ ostrożności, przebiegli przez korytarz i stanęli przed

rzeźbionymi drzwiami, na których widniał herb Akwilonii — złoty smok.

— Gromel! — warknął Ascalant. — Wyważ te drzwi!

Olbrzymi wojownik nabrał tchu w piersi i potężnie uderzył ramieniem w drzwi, które z trzaskiem ugięły się pod ciosem. Wojownik cofnął się i uderzył jeszcze raz. Rozległ się trzask pękającego drewna i wyłamywanych zamków; drzwi rozleciały się w drzazgi.

— Naprzód! — wrzasnął Ascalant, podniecony pomyslnym obrotem spraw.

— Naprzód! — zawtórował mu Rinaldo. — Śmierć tyranowi!

Wpadli do środka i stanęli jak wryci. Nie stawił im czoła wyrwany ze snu, nagi, oszołomiony i nieuzbrojony mężczyzna, którego można by zaszlachtować jak barana, lecz zupełnie rozbudzony barbarzyńca, odziany w zbroję i z mieczem w garści.

Przez chwilę zarówno czterej zbuntowani szlachcice, jak i zgraja tłoczących się za ich plecami łotrów stali nieruchomo niczym posągi. Wszystkich zmroził widok tej gigantycznej postaci oświetlonej na środku komnaty blaskiem świec.

W tym momencie Ascalant dostrzegł na stoliku przy królewskim łożu insygnia władcy Akwilonii: srebrne berło i małą, złotą koronę. Ten widok doprowadził go do szaleństwa.

— Na niego, łotry! — wrzasnął. — Nas jest dwudziestu, a on jeden! I nie ma hełmu!

Miał rację: Conanowi zabrakło czasu na założenie ciężkiego, zwieńczonego piórami hełmu, jak również na zasznurowanie pancerza czy zdjęcie ze ściany wielkiej tarczy. Mimo to był lepiej osłonięty niż jego wrogowie, z wyjątkiem Volmany i Gromela, którzy nosili zbroje.

Król spoglądał na nich rozognionymi oczami, próbując zgadnąć, kim są. Nie znał Ascalanta, a przyłbice zasłaniały twarze pozostałych dwóch szlachciców, Rinaldo zaś nasunął na oczy rondo kapelusza. Jednak nie było czasu na domysły. Zbójcy z wrzaskiem rzucili się na ofiarę. Gromel jako pierwszy runął niczym szarżujący byk, z nisko opuszczoną głową i mieczem nastawionym do pchnięcia. Conan skoczył mu na spotkanie i z całej siły wymierzył cios. Długie ostrze ze świstem zatoczyło łuk w powietrzu i spadło na hełm Bossończyka. I hełm, i klinga pękły z trzaskiem, a Gromel bez życia stoczył się na posadzkę. Conan odskoczył, ściskając w ręku złamany miecz.

— Gromel! — wykrztusił ze zdumieniem, gdy rozłupany hełm odstłonił przeciętą na dwoje głowę: w tejże chwili zwała się na niego gromada spiskowców. Ostrze sztyletu rozorało mu żebra na spojeniu nie zasznurowanego pancerza, a przed oczyma błysnął uniesiony do ciosu miecz. Cymeryjczyk lewą ręką odepchnął napastnika ze sztyletem i rękojeścią ułamanego oręza jak kastetem uderzył w skroń drugiego przeciwnika. Mózg tamtego opryskał mu twarz.

— Pięciu do drzwi! — wrzasnął Ascalant, miotający się za plecami nacierających w obawie, że król przedrze się przez nich i umknie. Zbóje cofnęli się na moment, a ich przywódca skierował kilku do drzwi. Ta krótka chwila przerwy wystarczyła Conanowi. Dосkoczył do ściany i zerwał z niej starożytny topór, który wisiał tam od pół wieku.

Oparłszy się plecami o ścianę, spojrzął na zaciskający się krąg napastników, po czym skoczył w sam ich środek. Obrona nie leżała w jego naturze, nawet wobec przygniatającej przewagi przeciwników zawsze wolał atakować. Każdy inny człowiek na jego miejscu musiałby zginąć, a i sam Cymeryjczyk nie żywił nadziei, że wyjdzie z tego cało, lecz pragnął przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów. Jego barbarzyńską duszę ogarnęła euforia, a w uszach dźwięczały mu pieśni o dawnych herosach.

Skoczył w ciżbę wrogów, rozrąbał bark jednemu z nich i straszliwym, zamachowym ciosem rozłupał czaszkę innemu. Ostrza opadały ze świstem, lecz Cymeryjczyk szczęśliwie unikał śmierci. Błyskawicznymi ruchami dezorientował przeciwników; był jak tygrys wśród stada małp. Skacząc, uchylając się, schodząc z linii ciosów stanowił niezwykle trudny cel, który wciąż się poruszał w świetlistym kręgu błyszczącego ostrza jego topora.

Na moment zabójcy przyparli go do muru, na oślep wymierzając potężne ciosy i przeszkadzając sobie wzajemnie, po czym cofnęli się pospiesznie, odsłaniając na podłodze dwa nieruchome ciała — świadectwo wściekłości króla. Po tym starciu Conan solidnie krwawił z ran na szyi, ramionach i nogach.

— Łotry! — wrzasnął Rinaldo, ciskając na podłogę swój zwieńczony piórami kapelusz. — Boicie się walki? Czy tyran ma zostać przy życiu? Na niego!

Skoczył naprzód, siekąc jak szalony, lecz Conan, rozpoznawszy go,

jednym strasznym ciosem złamał mu miecz i pięścią powalił na podłogę. Ostrze broni Ascalanta wbiło się w lewe ramię króla.

Banita ledwo uszedł śmierci, uchylając się i w ostatniej chwili uskakując przed opadającym toporem. Zabójcy znów tłumnie zaatakowali Cymeryjczyka. Jego topór raz po raz unosił się i opadał ze świstem. Jeden z napastników zanurkował pod jego podniesionym ramieniem i złapał go za nogi, usiłując wywrócić, lecz z równym powodzeniem mógłby wywracać wieżę z litego żelaza. Po krótkich zmaganiach spojrział w górę w samą porę, by dostrzec spadające ostrze, ale zbyt późno, by go uniknąć. Tymczasem jeden z jego kompanów podniósł obydwojma rękami miecz i ciął w naramiennik króla, raniąc go w ramię. W jednej chwili pancerz Conana napełnił się krwią.

Volmana, gwałtownie odpychając na boki atakujących, przedarł się przez pierścień otaczający króla i zadał mu morderczy cios w nie osłoniętą hełmem głowę. Cymeryjczyk schylił się, a świszcząca klinga ucięła tylko kosmyk jego czarnych włosów. Barbarzyńca okręcił się na pięcie i uderzył z rozmachem. Topór zgruchotał stalowy pancerz i Volmana osunął się na posadzkę z połamanymi żebrami.

— Volmana! — zachrypiał Conan. — Poznałbym cię w piekle, ty karle!

Wyprostował się i odparł szaleńczy atak Rinalda, który szarżował, wcale się nie osłaniając, uzbrojony jedynie w sztylet. Conan odskoczył w tył, unosząc topór.

— Rinaldo! — krzyknął z rozpaczą. — Cofnij się! Nie chcę cię zabić!

— Giń, tyranie! — wrzasnął oszalały minstrel, rzucając się na króla.

Conan zwlekał z zadaniem ciosu — trochę za długo. Dopiero gdy poczuł zimną stal sztyletu wbijającego się w nie osłonięty pancerzem bok, uderzył oburącz. Rinaldo padł ze strzaskaną czaszką, a Conan ciężko oparł się ścianę. Krew ciekła mu pomiędzy palców dłoni, którą zaciskał ranę.

— Teraz, naprzód, zabić go! — krzyknął Ascalant.

Opierając się plecami o ścianę, Cymeryjczyk wznosił topór do ciosu. Stał z pochyloną głową na rozstawionych szeroko nogach, niczym uosobienie niespożytej, pierwotnej siły. Jedną ręką opierał się o mur, w drugiej zaciskał okrwawiony oręż. Na ramionach nabrzmiały mu potężne węzły mięśni, a twarz zastygła w grymasie straszliwej wściekłości. Tylko



oczy płonęły jasno w bladej twarzy zalewanej krwią z rozciętego czoła. Napastnicy zawahali się, bo choć byli dzikimi, nieustraszonymi zbójcami, którzy przelewanie krwi traktowali jako zwyczajną rzecz, to jednak należeli do rasy uważanej za cywilizowaną, on zaś był barbarzyńcą, urodzonym zabójcą. Cofnęli się lękliwie: zdychający tygrys nie przestaje być niebezpieczny. Conan wyczuł ich niepewność. Uśmiechnął się złowrogo.

— Kto chce umrzeć pierwszy? — wycedził przez rozbite i skrwawione wargi.

Ascalant skoczył jak ryś i z nieprawdopodobną szybkością zatrzymał się w pół skoku. Padając na wznak, uniknął śmiercionośnego ostrza. Gwałtownie podkurczył nogi i przetoczył się w bok, zanim odzyskał równowagę i uderzył ponownie. Tym razem topór wbił się w podłogę w miejscu, gdzie przed chwilą znajdowały się nogi Ascalanta.

Inny napastnik omyłkowo uznał to za dogodny moment do ataku, a za nim ociągając się, ruszyli pozostali. Zamierzali zabić króla, zanim zdoła wyszarpnąć wbity w podłogę topór, ale nie docenili siły i szybkości Cymeryjczyka. Zbroczone ostrze uniosło się i opadło błyskawicznie, rzucając pod nogi atakujących kolejnego trupa.

Nagle pilnujący drzwi spiskowcy wydali przeraźliwy krzyk. Na korytarzu pojawił się czarny, niekształtny cień. Pozostali napastnicy odwrócili się jak jeden mąż, po czym wyjąc z przerażenia, wypadli z komnaty i rozbiegli się na wszystkie strony. Tylko Ascalant nie spojrzał w kierunku drzwi; nie odrywał oczu od rannego króla. Osądził, że odgłosy walki w końcu postawiły na nogi mieszkańców pałacu i zaalarmowały wierną straż. Wydało mu się jednak nieco dziwne, że jego zahartowani w walce rabusie tak strasznie wrzeszczeli podczas ucieczki.

Conan nie patrzył w stronę drzwi, ponieważ czujnie jak wilk przyglądał się banicie. Nawet w tej ostatniej godzinie Ascalanta nie opuszczał filozoficzny spokój.

— Wygląda na to, że wszystko stracone, zwłaszcza honor — mruknął pod nosem. — Jednak król umiera i...

Nie wiadomo, co chciał powiedzieć, bo nie dokończywszy zdania, skoczył na Conana w chwili, gdy ten ocierał ramieniem spływającą z czoła krew. W tej samej chwili coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło go w plecy. Ascalant runął jak długi. Straszliwe pazury

wbiły się w jego ciało. Wijąc się rozpaczliwie pod ciężarem napastnika, zdołał odwrócić głowę i spojrzeć przez ramię w ohydne ślepia. Pochylał się nad nim bezkształtny stwór, jakiego nigdy jeszcze nie oglądały ludzkie oczy. Wyszczерzone, czarne kły sięgały gardła ofiary, a żółto błyszczące ślepia paraliżowały swym spojrzeniem tak, jak zimny wiatr ścina młode zboże.

Odrażającą twarz wykrzywił ohydny grymas triumfu. Takie rysy mogłaby mieć ożywiona sztuka czarnoksiężnika starożytna mumia. W obrzydliwym obliczu zachodzące bielmem oczy Ascalanta zdawały się dostrzegać niewyraźne podobieństwo do Thoth-Amona. Nagle filozoficzny spokój opuścił banitę i Ascalant z okropnym okrzykiem wyzionął ducha, zanim jeszcze wyszczерzone kły rozdarły mu gardło.

Conan otarł krew ściekającą z czoła i zamarł, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. W pierwszej chwili wydało mu się, że nad skurczonym ciałem Ascalanta stoi ogromny, czarny pies. Później rozjaśniło mu się w oczach i stwierdził, że nie jest to ani pies, ani pawian.

Z dzikim okrzykiem, który był słabym echem przedśmiertnego wrzasku banity, Cymeryjczyk odepchnął się od ściany i z całej siły cisnął toporem w gotującego się do skoku potwora. Jednak broń z chrzęstem ześlizgnęła się po czaszce, którą powinna była zdruzgotać, a impet zderzenia z olbrzymim cielskiem rzucił Conana z powrotem pod ścianę. Okropne szczęki zacisnęły się na ramieniu, którym barbarzyńca osłonił gardło, ale demon nawet nie próbował poprawić chwytu. Spojrzył tylko królowi w oczy i natychmiast na twarzy Cymeryjczyka pojawił się taki sam grymas przerażenia, jaki wykrzywił rysy martwego banity. Barbarzyńca poczuł, że dusza zamiera w nim, szykując się do opuszczenia ciała i zatonięcia w żółtych studniach kosmicznej grozy, która przebłyskiwała upiornie w bezkształtnych formach i rosła wokół niego, pochłaniając jego życie i zagrażając zdrowym zmysłom. Żółte ślepia powiększały się, stając się wprost gigantyczne. Cymeryjczykowi mignęły w nich wszystkie bezdenne i bluźniercze okropności, które czaiły się w zewnętrznych ciemnościach bezkształtnych głosów i mrocznych przepaści. Otworzył skrwawione usta, aby wykrzyknąć swą wzdargę i wściekłość, ale z gardła wydobył mu się tylko niewyraźny bełkot.

Jednak koszmarny stwór, który sparaliżował i zabił Ascalanta,

wzbudził w barbarzyńcy szaloną, bliską obłędu furję. Tytanicznym skurczem wszystkich mięśni rzucił się w tył i nie zwracając uwagi na ból rozdieranego ramienia, powłókł demona za sobą. Wyciągnięta ręka króla zacisnęła się na czymś, co mimo oszołomienia spowodowanego upływem krwi rozpoznał jako swój złamany miecz. Zamachnął się i dźgnął nim jak sztyletem, wkładając w cios resztki sił, jakie mu pozostały. Złamane ostrze wbiło się głęboko, a okropna paszczyka rozdziawiła się z bólu, uwalniając ramię Conana, który upadł na bok. Król podniósł się na łokciu i jak przez mgłę zobaczył, że stwór wije się w agonii, a z wielkiej rany, jaką mu zadał, płynie szeroki strumień posoki. W chwilę potem skurcze ustały i demon legł na posadzce, dygocząc spazmatycznie i wybałuszając zasnuwające się mgłą ślepią. Barbarzyńca zamrugął, wycierając krew zalewającą oczy. Miał wrażenie, że stwór topi się niczym masło na słońcu, zamieniając się w mazistą, półpłynną masę.

Po chwili Conan usłyszał bezładny chór głosów i w komnacie zaroilo się od zaalarmowanych odgłosami walki dworzan: rycerzy, panów, dam, gwardzistów i doradców — a wszyscy gadali, wrzeszczeli i kłócili się ze sobą. Kilku żołnierzy z Legionu Czarnych Smoków klęto i wygrażało wściekle, zgrzytając zębami i łapiąc za rękojeści swoich mieczów. Młodego oficera straży nigdzie nie było widać. Nie znaleziono go też później, a nie można powiedzieć, że szukano niedokładnie.

— Gromel! Volmana! Rinaldo! — wykrzyknął Publiusz, radca dworu, załamując nad trupami pulchne ręce. — Nędzni zdrajcy! Ktoś za to zapłaci! Wezwać straż!

— Straż już tu jest, stary durniu! — uprzejmie zgasił go Pallantides, dowódca Czarnych Smoków, w ferworze zapominając o randze Publiusza. — Lepiej przestań miauczeć i pomóż opatrzeć królowi rany. Może się wykrwawić na śmierć.

— Tak, oczywiście! — krzyknął Publiusz, który był raczej organizatorem niż człowiekiem czynu. — Musimy opatrzeć rany. Posłać po wszystkie pijawki w zamku! Och, panie, cóż to za wstyd dla miasta! Czyżby naprawdę cię zabito?

— Wina! — jęknął król z sofya, na której go położono.

Przytknięto mu puchar z winem do okrwawionych ust, a on pił chciwie, jak człowiek półżywy z pragnienia.

— Dobrze — mruknął, opadając na poduszki. — Zabijanie to

strasznie wysuszające zajęcie.

Zatamowano krew płynącą mu z ran i po chwili niespożyta żywotność barbarzyńcy dała o sobie znać.

— Najpierw obejrzyjcie ranę od sztyletu w moim boku — polecił medykom. — Rinaldo wypisał tam swój ostatni żałobny tren i to ostrym rylcem.

— Już dawno powinienesz być go powiesić — mamrotał Publiusz. — Po poetach nie można się spodziewać niczego dobrego... A to kto? — Nerwowo trącił obutą w sandał stopę trupa Ascalanta.

— Na Mitrę! — wykrztusił dowódca Czarnych Smoków. — To Ascalant, dawny książę Thune! Cóż za diabelski spisek ściągnął go tu z pustynnego legowiska?

— I dlaczego ma taki grymas na twarzy? — szepnął Publiusz, szeroko otwierając oczy i cofając się z lękiem.

Inni także spojrzeli na martwego banitę i umilkli.

— Gdybyś widział to, co ja widziałem — warknął król Conan, siadając na łożu mimo protestów medyków — wcale byś się nie dziwił. Spójrz na...

Cymeryjczyk urwał w pół słowa i rozdziawił usta. Palcem wskazał puste miejsce na podłodze. Potwór zniknął.

— Na Kroma! — zaklął barbarzyńca. — Ten demon rozpląnął się chyba w powietrzu, tak jak przybył!

— Król majaczy... — szepnęli dworzanie.

Conan usłyszał to i zaczął kłać w barbarzyńskim języku.

— Na Badba, Morrigana, Macha i Nemaina! — wrzasnął z wściekłością. — Jestem zdrow na umyśle! To coś wyglądało jak skrzyżowanie stygijskiej mumii z pawianem. Zjawiło się zniecka i zbóje Ascalanta umknęli przed nim jak szczury. Zabiło Ascalanta, zanim zdążył mnie wykończyć. Później rzuciło się na mnie, ale zdołałem je zabić — chociaż nie wiem jak, bo mój topór odbił się od jego łba jak od skały. Wydaje mi się, że pomógł mi Epemitreus Mądry...

— Posłuchajcie tylko. Mówi o Epemitreusie, który nie żyje od piętnastu stuleci! — szeptali między sobą dworzanie.

— Na Ymira! — ryknął król. — Tej nocy rozmawiałem z Epemitreusem! Wezwał mnie, gdy spałem, i poszedłem czarnym korytarzem, na ścianach którego widniały płaskorzeźby dawnych bogów,

po kamiennych stopniach z wyrytymi podobiznami Seta, aż dotarłem do krypty i sarkofagu ze znakiem feniksa...

— Na Mitrę, błagam cię królu, zamilcz! — krzyknął arcykapłan Mitry z twarzą szarą jak popiół.

Conan potrząsnął głową jak lew wstrząsa grzywą, w jego głosie pojawiły się groźne nuty.

— Czyż jestem niewolnikiem, aby milknąć na twój rozkaz?

— Ależ nie, nie, mój panie! — arcykapłan trząsnął się, lecz nie ze strachu przed królewskim gniewem. — Nie chciałem cię obrazić.

Nachylił głowę do ucha króla i zaczął szeptać:

— Panie mój, to przechodzi ludzkie pojęcie. Tylko wąski krąg wtajemniczonych kapłanów wie o czarnym korytarzu wykutym w sercu góry Golamiry i o strzeżonym przez feniksa sarkofagu, w którym przed piętnastoma wiekami złożono Epemitreusa. Od tej pory żaden żywy człowiek nie wszedł do grobowca. Kapłani, których wybrał, złożyli Mędrca w krypcie, po czym zamaskowali wejście tak, że nikt nie zdoła go odnaleźć. Dziś nawet arcykapłani nie wiedzą, gdzie go szukać. Tylko dzięki ustnym przekazom, znanym nielicznym wtajemniczonym kapłanom i zazdrośnie strzeżonym, wyznawcy Mitry wiedzą, że właśnie czarne serce góry Golamiry jest miejscem spoczynku Epemitreusa. To jedna z tajemnic, na jakich opiera się kult Mitry.

— Nie wiem, w jaki czarodziejski sposób wezwał mnie do siebie — odparł Conan — ale rozmawiałem z nim. Nakreślił znak na ostrzu mego miecza. Nie wiem, dlaczego ten znak uczynił broń zabójczą dla demona ani co oznaczał, lecz chociaż ostrze złamało się na głowie Gromela, sam ułomek wystarczył, aby zabić potwora.

— Pozwól mi obejrzeć twój miecz — szepnął arcykapłan przez ściśnięte gardło.

Cymeryjczyk podał mu złamany oręż. Arcykapłan krzyknął i osunął się na kolana.

— Strzeż nas Mitro przed Siłami Ciemności! — wykrztusił. — Król naprawdę rozmawiał tej nocy z Epemitreusem! Tu, na mieczu, widnieje sekretny znak, którego nikt inny nie mógł wyryć: symbol nieśmiertelnego feniksa, odwiecznego strażnika jego grobowca! Świecę, szybko! Spójrzcie jeszcze raz tam, gdzie według króla powinien leżeć ten stwór!

Odsunięto na bok połamany parawan i zapalono więcej świec. Spojrzeli na posadzkę i zamilkli jak rażeni gromem. Później ktoś upadł na kolana, głośno wzywając Mitrę, a ktoś inny wypadł z krzykiem z komnaty.

W miejscu, gdzie zginął potwór, na posadzce czerniała wielka plama — niczym czarny cień okropnego cielska, niepodobnego do żadnego ziemskiego stworzenia, cień ponury i ohydny — jak odbicie jednego z małych bogów zasiadających na ołtarzach zapomnianych świątyń tajemniczej Stygii.

# Córka lodowego olbrzyma

Ucichł szcęk mieczy i toporów, umilkły wrzaski zabijanych; nad pocerwieniałym śniegiem zapadła cisza. Posepne, blade słońce błyszczało oślepiająco na lodowcach i okrytych śniegiem równinach, zapalając srebrne błyski na porąbanych pancerzach i poszczerbionych klingach tam, gdzie leżeli polegli w boju. Tu i ówdzie pozbawiona czucia dłoń wciąż ścisnęła rękojeść złamanego miecza, a odrzucone w przedśmiertnych skurczach w tył, okryte hełmami głowy posepnie zadzierały ku niebu rude i złociste brody, jakby w ostatniej inwokacji do Ymira — lodowego olbrzyma, boga wojowników.

Pośród oblanych szkarłatem zasp i obleczonych w zbroje trupów, gniewnie spoglądali na siebie dwaj mężczyźni. Tylko oni poruszali się na tym pustkowiu. Nad głowami mieli mroźne niebiosa, wokół białą, bezkresną równinę, a u swych stóp poległych towarzyszy. Kroczyli wolno wśród ciał, jak duchy przybywające ze świata umarłych na umówione spotkanie. Stanęli twarzą w twarz w głuchoj ciszy.

Obaj byli rośli i potężnie zbudowani. Postradali tarcze, a zbroje mieli pogięte i poszczerbione. Na ich pancerzach zakrzepła krew, plamiąca również klingi mieczy. Ich zwieńczone rogami hełmy nosiły ślady potężnych ciosów. Pierwszy wojownik nie nosił brody i miał czarne włosy; kędziory i broda drugiego były rude jak krew na oblanym słońcem śniegu.

— Człowieku — rzekł rudowłosy — powiedz mi swoje imię, by moi bracia w Vanaheimie wiedzieli, kto jako ostatni z bandy Wulfhere'a zginął z ręki Heimdula.

— Nie w Vanaheimie — odparł czarnowłosy — lecz w Walhalli powiesz swoim braciom, że spotkałeś Conana z Cymerii!

Heimdul skoczył nań rycząc wściekle, a jego miecz zatoczył świetlisty łuk. Conan zachwiał się i przed oczyma wytrysnął mu snop czerwonych iskier, gdy opadające ze świstem ostrze trzasnęło w jego hełm krzesząc błękitne skry. Zatoczył się, lecz z całą siłą swych potężnych ramion pchnął wroga mieczem. Ostrze przeszło mosiężne

łuski kolczugi, przebiło ciało oraz serce, i rudowłosy wojownik padł martwy u stóp Conana.

Cymeryjczyk stał z opuszczonym mieczem w ręku, nagle ogarnięty falą mdlącego zmęczenia. Odbijające się od śniegu słońce raziło w oczy jak nóż; niebo wydawało się dziwnie nierzeczywiste i odległe. Odwrócił się plecami do rozległego, zdeptanego pobojuwiska, na którym żółtobrodzi wojownicy o leżeli spleceni w śmiertelnych uściskach z rudowłosymi wojami. Zrobił kilka niepewnych kroków i nagle blask śnieżnych pól przygasł. Pochłonęła go wezbrana fala ciemności i osunął się w śnieg, by podparty na obleczonym w kolczugę ramieniu potrząsać głową, jak lew trzęsący grzywą, próbując rozproszyć mrok zasnuwający mu oczy.

Nagle oszołomiony Conan usłyszał srebrzysty śmiech i powoli odzyskał wzrok. Spojrzał; w otaczającej go scenerii zaszła jakaś dziwna zmiana, której nie mógł nazwać ani określić — ziemia i niebo przybrały niezwykle barwę. Jednak nie zastanawiał się nad tym. Przed nim, kołysząc się jak młode drzewko na wietrze, stała kobieta. Jej ciało zdawało się gładkie jak kość słoniowa; oprócz pajęczyny cienkiego welonu była naga jak jutrzienka.

Jej drobne smukłe stopy były bielsze od śniegu, po którym stąpały. I śmiała się ze zdumionego wojownika śmiechem słodszy niż plusk srebrnych fontann, przesyconym okrutną drwiną.

— Kim jesteś? — spytał Cymeryjczyk. — Skąd przybywasz?

— Co to za różnica? — powiedziała głosem bardziej melodyjnym niż dźwięk srebrnostrunnej harfy, lecz podszytym okrucieństwem.

— Zawołaj swoich ludzi — rzekł, ściskając rękojeść miecza.

— Choć opuściły mnie siły, nie wezmą mnie żywcem. Widzę, że należysz do Vanirów.

— Czy tak powiedziałam?

Ponownie obrzucił spojrzeniem jej niesforne loki, które na pierwszy rzut oka wydały mu się rude. Teraz zobaczył, że jej włosy — ani rude, ani złote — były wspaniałą mieszaniną obu tych barw. Patrzył oczarowany. Te kędziory były jak złoto elfów; słońce lśniło w nich tak oślepiająco, że jego wzrok ledwie mógł znieść ten widok. Podobnie jej oczy — trochę niebieskie, trochę szare — były pełne roztańczonych światła i chmur zmiennych kolorów, jakich nie potrafił nawet nazwać. Jej pełne wargi



uśmiechały się, a ciało od drobnych stóp aż po wspaniałą koronę falujących włosów było bosko piękne, jak ze snu. Serce waliło Conanowi jak młotem.

— Nie mogę rzec — powiedział — czy jesteś z Vanaheimu, a zatem moim wrogiem, czy z Asgardu, a więc przyjacielem. Wiele wędrowałem, lecz nigdzie nie spotkałem takiej kobiety jak ty. Blask twoich włosów mnie oślepia. Nigdy nie widziałem takich włosów, nawet u jasnowłosych cór Aesirów. Na Ymira!

— Kimże jesteś by przysięgać na Ymira? — zadrwiła. — Cóż wiesz o bogach śniegu i lodów, ty, który przybyłeś z południa szukać przygód wśród obcych?

— Na posępnych bogów moich przodków! — zakrzyknął w gniewie. — Chociaż nie jestem złotowłosym Aesirem, nikt lepiej ode mnie nie włada mieczem! Dziś widziałem jak padło cztery tuziny wojowników i tylko ja jeden przeżyłem bitwę, którą rabusie Wulphere'a stoczyli z wilkami Bragi! Powiedz mi, kobieto, czy widzisz błysk stali na śnieżnej równinie lub zbrojnych mężów podążających po lodowcu?

— Widzę szron błyszczący w słońcu — odparła. — Słyszę wiatr szepczący wśród wieczystych śniegów.

Z westchnieniem potrząsnął głową.

— Niord powinien dołączyć do nas przed bitwą. Obawiam się, że razem ze swoimi zbrojnymi wpadł w zasadzkę. Wulphere i jego wojownicy leżą martwi... Wojna zagnała nas daleko i myślałem, że na wiele staj wokół nie ma żadnej wioski; lecz nie mogłaś przyjść z daleka przez te śniegi bez odzienia. Prowadź mnie do swego szczepu jeśli jesteś z Asgardu, bo osłabłem od ciosów i jestem utrudzony walką.

— Moja wioska leży dalej niż zdołasz dojść, Conanie z Cymerii — zaśmiała się. Pochyliła się nad nim rozkładając szeroko ramiona, przechylając głowę na bok i spoglądając nań zmysłowo iskrzącymi się oczami, na pół przysłoniętymi przez długie, jedwabiste rzęsy. — Czy nie jestem piękna, człowieku?

— Niczym naga jutrozenka wstająca wśród śniegów — wymamrotał, a oczy rozjarzyły mu się jak wilkowi.

— Więc czemu nie wstaniesz i nie pójdziesz za mną? Cóż to za potężny wojownik, który leży u mych stóp? — powiedziała śpiewnie i drwiąco. — Leż w śniegu i umieraj jak tamci głupcy, Conanie o czarnych

włosach! Nie zdołasz dojść tam, dokąd ja podążam.

Klnąc, Conan podźwignął się z ziemi; miał groźny błysk w niebieskich oczach i gniewny grymas na ogorzałej, poznaczonej bliznami twarzy. Wstrząsała nim wściekłość, lecz dzika żądza sprawiła, że krew żywiej popłynęła mu w skroniach i łomotała w skroniach jak młotem. Wezbrało w nim gwałtowne pożądanie, przesywające jak stalowe ostrze, zasnuwające ziemię i niebo czerwonym oparem. Ogarnięty szaleństwem zapomniał o zmęczeniu i słabości.

Bez słowa rzucił się na dziewczynę, usiłując pochwycić jej miękkie ciało w szeroko rozłożone ramiona. Z szyderczym śmiechem odskoczyła i uciekła, rzucając mu przez ramię drwiące spojrzenia. Z cichym pomrukiem Conan ruszył za nią. Zapomniał o walce, zapomniał o Niordzie i jego rabusiach, którzy nie przybyli na czas. Myślał tylko o tej drobnej, białej postaci zdającej się raczej płynąć niż biec.

Przebiegli przez oślepiająco białą równinę. Zdeptane, czerwone od krwi pobojowisko zniknęło im z oczu, lecz Conan nadal ścigał kobietę — z milczącą, właściwą barbarzyńcom wytrwałością. Ciężkimi stopami łamał zmarzniętą skorupę śniegu; wpadał w głębokie zasy i wydobywał się z nich z impetem. Dziewczyna biegła tanecznym krokiem, lekkim jak piórko sunące po powierzchni stawu, a jej bose stopy ledwie zostawiały ślad na pokrywającej śnieg warstewce szreni. Mimo ognia płynącego w żyłach wojownika mróz kąsał go przez kolczugę i podbitą futrem tunikę, lecz dziewczyna w powiewnym welonie biegła lekko i radośnie, jakby tańczyła wśród palm i różanych ogrodów Poitainu.

Coraz dalej i dalej wiodła ścigającego ją Conana. Z wyschniętych warg Cymeryjczyka płynął potok paskudnych przekleństw. Zgrzytał zębami, a żyły na jego skroniach nabrzmiały i pulsowały boleśnie.

— Nie ujdiesz! — ryknął. — Zaprowadź mnie w zasadzkę, a spiętrzę u twych stóp głowy twoich krewniaków! Skryj się przede mną, a wywrócę góry aby cię odnaleźć! Będę cię ścigał do samego Piekła!

Usłyszał jej doprowadzający do szaleństwa śmiech i piana popłynęła mu z ust. Dziewczyna wiodła go coraz dalej i dalej w pustkowia. Krajobraz zmienił się; rozległe równiny ustąpiły miejsca długim łańcuchom coraz wyższych wzgórz. Daleko na północy barbarzyńca dostrzegł wyniosłe górskie szczyty, niebieskawe z tej odległości lub białe od wiecznych śniegów. Nad tymi górami świeciły oślepiająco jasne

promienie zorzy. Rozchodziły się wachlarzowato po niebie, mroźnymi ostrzami zimno płonącego światła, zmieniające barwy, rosnące i coraz jaśniejsze.

Niebo nad nim płonęło i skrzyło się, przecinane dziwnymi błyskami i światłami. Śnieg skrzył się upiornie, raz niebieski, raz purpurowy, to znów zimno srebrny. Przez to migotliwe, zaczarowane królestwo lodu Conan zawzięcie parł naprzód i w tym krystalicznym labiryncie gór jedyną realną rzeczą wydawało mu się białe ciało, śmigające po błyszczącym śniegu tuż przed nim — lecz wciąż poza jego zasięgiem.

Nie zastanawiał się nad niezwykłością wydarzeń — nawet wtedy, gdy ujrzał dwie gigantyczne postacie zagradzające mu drogę. Łuski ich kolczug pobiełały od szronu, a hełmy i topory pokrył lód. Śnieg przyprószył im włosy, w brodach tkwiły kryształowe sople lodu, a ich oczy były zimne jak blask rozjaśniający niebiosy nad nimi.

— Bracia! — krzyknęła dziewczyna, tańcząc między nimi. — Patrzcie, kto nadchodzi! Przyprowadziłam wam człowieka, abyście go zabili! Wyrwicie mu serce, żebyśmy mogli je dymiące złożyć na stole naszego ojca!

Olbrzymi odpowiedzieli jej rykiem przypominającym zgrzyt gór lodowych trących o skutny lodem brzeg i unieśli swe lśniące topory, gdy rozwścieczony Cymeryjczyk rzucił się na nich nie bacząc na nic. Oszronione ostrze mignęło mu przed oczami oślepiając swym blaskiem, a on odpowiedział straszliwym ciosem, który przeciął udo przeciwnika. Trafiony padł z jękiem i w tej samej chwili Conan runął w śnieg, z lewym ramieniem zdrętwiałym od zadanego przez drugiego olbrzyma ciosu, który ledwie wytrzymała kolczuga, ratując mu życie. Na tle zimno płonącego nieba ujrzał przeciwnika unoszącego się nad nim jak kolos wyciosany w lodzie. Topór spadł — i zarył się głęboko w śnieg oraz zamarznąłą ziemię, gdyż Cymeryjczyk w ostatniej chwili przetoczył się na bok i zerwał na nogi. Olbrzym z rykiem wyszarpnął ostrze, lecz miecz Conan już opadał. Pod napastnikiem ugięły się kolana i wolno osunął się w śnieg, poczerwieniły od krwi tryskającej z rozplatanego karku.

Conan odwrócił się i ujrzał stojącą opodal dziewczynę, patrzącą nań ze zgrozą szeroko otwartymi oczyma i twarzą, z której zniknęła wszelka drwina. Barbarzyńca wydał dziki okrzyk i z miecza, którym potrząsnął w przyptywie szalonego gniewu, prysnęły krople krwi.

— Zawołaj resztę swoich braci! — krzyknął. — Rzucę ich serca wilkom! Nie ujdiesz mi!

Z okrzykiem przerażenia odwróciła się i pomknęła przed siebie. Już się nie śmiała i nie rzucała mu kpiących spojrzeń. Biegła ratując życie i choć wyęczała wszystkie siły, aż krew zdawała się rozsadzać mu skronie i śnieg wirował mu przed oczyma czerwonymi płatkami, wciąż oddalała się od niego, a jej sylwetka malała w sączącym się z nieba blasku, aż stała się nie większą od dziecka, później tańczącym na śniegu, białym płomieniem, aż wreszcie niewyraźną plamą. Jednak Conan ścigał ją nadal, zataczając się i zgrzytając zębami, aż krew płynęła mu z dziąseł. Nagle niewyraźna plama zmieniła się w biały płomyk, później w postać dzieciennego wzrostu, i po chwili była już nie całe sto kroków przed nim.

Powoli, krok za krokiem, ta odległość też się zmniejszała. Dziewczyna biegła teraz z wysiłkiem; słyszał jej szybki, zdyszany oddech, widział rozwiane złote loki i błysk strachu w spojrzeniu, jakie mu rzuciła przez ramię. Wytrwałość i wytrzymałość barbarzyńcy przyniosły rezultaty. Nogi uciekającej straciły swą chyżość; zaczęła się zataczać. W nieokiełznanej duszy Cymeryjczyka buchnął piekielny płomień, tak zręcznie przez nią rozdmuchany. Z nieludzkim rykiem dopadł dziewczyny, która odwróciła się krzyżąc przeraźliwie i wyciągając przed siebie ramiona w obronnym geście.

Conan upuścił swój miecz w śnieg i przyciągnął dziewczynę do siebie. Odchyliła gibkie ciało w tył, rozpaczliwie szamocząc się w jego żelaznym uścisku. Złote włosy smagały go po twarzy, oślepiając swym złocistym blaskiem, a dotyk smukłego ciała wijącego się w jego okrytych kolczugą ramionach doprowadzał go do szaleństwa. Wpił się silnymi palcami w jej gładką skórę — zimną jak lód. Jakby ścisnął nie kobietę z krwi i kości, lecz parzącego lodu. Odchyliła w bok złocistą główkę usiłując uniknąć gwałtownych pocałunków, jakie wyciskał na jej pełnych wargach.

— Jesteś zimna jak śnieg — mamrotał oszołomiony. — Chodź, ogrzeję cię ogniem mej krwi...

Z rozpaczliwym okrzykiem wyrwała mu się i odskoczyła, zostawiając w jego ręku cienką jak pajęczyna szatę. Spojrzał na jej złote loki rozrzucone w nieładzie, na ciężko falującą białą pierś i błyszczące przerażeniem, piękne oczy. Przez chwilę stał jak skamieniały,

podziwiając jej straszliwa urodę, gdy tak stała naga pośród śniegów.

A ona w tym momencie uniosła ramiona ku płonącym na niebie światłom i krzyknęła głosem, który na zawsze pozostał mu w uszach:

— Ymirze! O mój ojciec, ocal mnie!

Rozkładając ręce Conan skoczył aby ją pochwycić, gdy nagle z gromowym trzaskiem pękających lodowców całe niebo stanęło w ogniu. Ciało dziewczyny okrył biały płaszcz płomieni, tak oślepiających, że Conan osłonił oczy rękami przed ich nieznośnym blaskiem. Przez krótką chwilę niebiosy i ośnieżone wzgórza oblała poświata trzaskającego białego ognia, błękitnych włóczy mroźnego blasku i zimnych, szkarłatnych płomieni. Conan zatoczył się z krzykiem. Dziewczyna zniknęła. Skrzący się śnieg leżał pusty i nieruchomy; tylko wysoko w górze na zimnym niebie szalały ognie, a po odległych błękitnych górach przetoczył się grom, jak turkot olbrzymiego wojennego rydwanu pędzącego za zaprzęgiem koni, których rozszalałe kopyta krzeszały błyskawice śniegu i budziły podniebne echa.

Nagle zorza, okryte śniegiem wzgórza i płonące niebo zatańczyły opętańczo przed oczami Cymeryjczyka, tysiące komet eksplodowały deszczem iskier i niebo zawirowało niczym gigantyczne koło sypiące gwiazdami. Ośnieżone wzgórza zatrzęsyły się pod stopami Conana, który osunął się w śnieg i legł nieruchomo.

W ciemnym, zimnym Wszechświecie, którego słońce zgasło eony lat wcześniej, Conan poczuł drgnienie życia, obcego i nieodgadnionego. Znajdował się w centrum trzęsienia ziemi, które miotało nim tu i tam, a jednocześnie tarmosiło za ręce i stopy, aż zaczął jęczeć z bólu i po omacku szukać swego miecza.

— Przychodzi do siebie, Horso — rzekł czyjś głos. — Spieszcie się, musimy wygnać mróz z jego kończyn jeśli ma jeszcze kiedyś znów dzierżyć miecz.

— Ma zaciśniętą lewą dłoń — mruknął inny głos. — Coś w niej trzyma...

Conan otworzył oczy i ujrzał brodate, pochylające się nad nim twarze. Otaczali go rośli, złotowłosi wojownicy w kolczugach i futrach.

— Conanie! — powiedział jeden z nich. — Żyjesz?

— Na Croma, Niord — szepnął Cymeryjczyk. — Jestem żywy, czy też wszyscy spotkaliśmy się w Walhalli?

— Żyjemy — mruknął Asgardczyk zajmujący się na pół odmrożonymi stopami Conana. — Musieliśmy wyrąbać sobie drogę z zasadzki, inaczej dołączylibyśmy do was przed bitwą. Kiedy przybyliśmy na pobojowisko, ciała jeszcze nie ostygły. Nie znaleźliśmy cię wśród zabitych, więc poszliśmy po twoich śladach. Na Ymira, Conanie, dlaczego zapuściłeś się w pustkowia Północy? Godzinami podążaliśmy po twoich śladach. Gdyby przyszła zamieć i zawiąła je śniegiem, nigdy nie znaleźlibyśmy cię, na Ymira!

— Nie przysięgaj tak często na Ymira — wymamrotał niespokojnie inny wojownik, spoglądając na odległe góry. — To jego kraina i legendy mówią, że bóg czeka swojej pory wśród tych ośnieżonych szczytów.

— Widziałem kobietę — mówił wciąż zamroczony Conan. — Na równinie potykaliśmy się z ludźmi Bragi. Nie wiem jak długo walczyliśmy. Tylko ja pozostałem przy życiu. Byłem słaby i oszołomiony. Kraina wokół mnie była jak ze snu — teraz wszystko wydaje mi się zwykłe i znajome. Ta kobieta przyszła i drwiła ze mnie. Była piękna jak mroźny ogień Piekieł. Kiedy na nią spojrzałem ogarnęło mnie dziwne szaleństwo i zapomniałem o całym świecie. Goniłem ją. Nie widzieliście jej śladów? Albo olbrzymów w lodowych zbrojach, których zabiłem?

Niord potrząsnął głową.

— Na śniegu znaleźliśmy tylko twoje ślady, Conanie.

— Wobec tego chyba oszalałem — powiedział zdumiony Cymeryjczyk. — Mimo to, nie wydajecie mi się bardziej rzeczywiści niż ta dziewczka o złotych włosach, która nago uciekała przede mną po śniegu. Już miałem ją w ramionach, gdy zniknęła mi w zimnych płomieniach.

— On majaczy — szepnął jeden z wojowników.

— Wcale nie! — krzyknął stary mężczyzna o dzikim i posępnym spojrzeniu. — To była Atali, córka Ymira — lodowego olbrzyma! Ona przychodzi na pobojowiska i ukazuje się umierającym! Sam ją widziałem, gdy jako chłopiec leżałem półżywy na krwawym polu Wolfraven. Ujrzałem ją kroczącą wśród leżących w śniegu trupów, jej nagie ciało lśniło jak kość słoniowa, a złote włosy błyszcząły nieznośnym blaskiem w promieniach księżyca. Leżałem i skamlałem jak zdychający pies, bo nie miałem siły, żeby się za nią poczołgać. Ona wabi wojowników w pustkowia, by zabili ich jej bracia — lodowi olbrzymi, którzy składają dymiące ludzkie serca na stole Ymira. Cymeryjczyk widział Atali, córkę

lodowego olbrzyma.

— Ba! — mruknął Horsa. — Umysł starego Gorma zmąciła otrzymana za młodu rana głowy. Conan majączył w bitewnym szale — spójrzcie jaki ma powgniatany hełm. Każdy z tych ciosów mógł zamącić mu w głowie. Pogonił w pustkowia za ułudą. Jest z Południa; cóż on może wiedzieć o Atali?

— Pewnie mówisz prawdę — mamrotał Conan. — To było takie dziwne i niesamowite... Na Kroma!

Urwał, spoglądając na coś, co wciąż zwisało z jego kurczowo zaciśniętej lewej dłoni. Pozostali patrzyli w milczeniu na cienki jak pajęczyna strzęp materiału, jakiego nie uprzedła żadna ziemską kądziel.

# Bóg w pucharze

Strażnik Arus drżącymi rękami ścisnął kuszę i poczuł, że po plecach spływa mu strużka lepkiego potu, gdy ujrzał skurczone ciało rozciągnięte na gładkiej posadzce. Natknięcie się na trupa w pustym gmachu o północy nie należy do przyjemności.

Strażnik stał w długim korytarzu, oświetlonym blaskiem wielkich świec ustawionych w regularnie rozmieszczonych niszach. Ściany między niszami były udrapowane czarnym aksamitem i obwieszane różną bronią oraz bojowymi tarczami o fantastycznych kształtach. Tu i tam stały posągi dziwnych bogów — figury z kamienia lub cennego drewna albo odlane z żelaza, brązu czy srebra — słabo odbijające się w lśniącej podłodze z czarnego mahoni.

Arus zadrżał. Był tu strażnikiem już od paru miesięcy, ale jeszcze się nie przyzwyczał do tego ogromnego budynku — zabytku, instytucji i muzeum zarazem — który ludzie zwali Świątynią Kalliana Publico. Zgromadzono w nim rzadkie przedmioty z całego świata, a teraz samotny wśród nocy Arus stał w wielkim, cichym holu, spoglądając na skurczone zwłoki tego, który był ich bogatym i wpływowym właścicielem.

Nawet niezbyt rozgarnięty strażnik zauważył, że zabity wyglądał teraz jakoś inaczej niż wtedy, gdy w swoim pozłacanym rydwaniu przejeżdżał Palijską Drogą, dumnie i wzgardliwie spoglądając czarnymi oczyma, błyszczącymi magnetyczną siłą witalną. Ludzie nienawidzący Kalliana Publico z trudem rozpoznałyby go teraz, gdy tak leżał niczym poćć sadła w rozdartym płaszczu i przekrzywionej tunice. Twarz miał zsiniałą, oczy wybałuszone, a z rozchylonych ust wystawał spuchnięty język. Tłuste ręce były szeroko rozrzucone w dziwnie zabawnym geście. Na grubych paluchach błyszcząły ciężkie pierścienie.

— Dlaczego nie zabrali mu pierścieni? — mruknął do siebie strażnik.

Nagle drgnął, wytrzeszczył oczy i włosy na głowie stanęły mu dęba. Zza czarnej, jedwabnej kotary maskującej wejście do jednego z licznych,



bocznych korytarzy wyszedł jakiś człowiek.

Arus ujrzał wysokiego, potężnie zbudowanego młodzieńca, odzianego tylko w przepaskę biodrową i wysoko sznurowane, rzemieńne sandały. Skóra nieznajomego była spalona na brąz przez słońce pustyni i strażnik wzdrygnął się nerwowo na widok jego szerokich barów, potężnej klatki piersiowej i muskularnych ramion. Jeden rzut oka na posępną twarz o wysokim czole pozwolił mu stwierdzić, że obcy nie był Nemedianinem. Pod gęstą grzywą rozwichrzonych, czarnych włosów jarzyła się para groźnych, niebieskich oczu. U pasa przybysza wisiał długi, prosty miecz w skórzanej pochwie.

Dreszcz przebiegł Arusowi po plecach. Mocniej ścisnął w rękach kuszę, bliski tego, by bez ostrzeżenia przeszyć nieznajomego strzałą, powstrzymywany jedynie obawą przed tym, co może się stać, jeżeli nie zdoła go zabić od razu.

Intruz spojrział na leżące na podłodze ciało raczej z ciekawością niż ze zdziwieniem.

— Dlaczego go zabiłeś? — spytał nerwowo Arus.

Tamten potrząsnął głową.

— Nie zabiłem go — odparł po nemedyjsku z barbarzyńskim akcentem. — Kto to jest?

— To Kallian Publico — odparł Arus, nieznacznie się cofając.

W posępnych błękitnych oczach obcego pojawił się błysk zainteresowania.

— Właściciel tego domu?

— Tak.

Arus cofnął się pod ścianę i chwyciwszy za wiszący tam gruby sznur spleciony z jedwabiu, szarpnął gwałtownie. Na zewnątrz rozległo się gwałtowne bicie dzwonu, jaki wisiał przed każdym sklepem czy ważniejszym budynkiem i którym w razie potrzeby wzywano straż.

Obcy drgnął.

— Czemu to zrobiłeś? — spytał. — Ściągniesz tu strażników.

— Ja jestem strażnikiem, łobuzie! — odparł Arus, zebrawszy się na odwagę. — Zostań tam, gdzie stoisz. Nie ruszaj się albo przeszyję cię strzałą!

Jego palec spoczywał na spuście kuszy; krótki bełt mierzył prosto w szeroką pierś nieznajomego. Ten zmarszczył brwi, mierząc Arusa

groźnym spojrzeniem. Nie okazywał strachu, lecz zdawał się raczej namyślać, czy usłuchać rozkazu, czy zaryzykować niespodziewany atak. Arus oblizał wargi i krew zastygła mu w żyłach, gdy spostrzegł, jak w chmurnych oczach nieznajomego rozwaga walczy z żądzą mordu.

Nagle usłyszał trzask otwieranych drzwi i ludzkie głosy. Odetchnął głęboko z ulgą i zdumieniem. Obcy sprężył się do skoku i powiódł wokół wzrokiem jak zaniepokojony drapieżca, gdy do sali wpadło kilku mężczyzn. Oprócz jednego, wszyscy byli odziani w szkarłatne tuniki numalijskiej policji i uzbrojeni w krótkie miecze i halabardy: półpiki i półtopory na długich drzewcach.

— Co tu się dzieje? — wykrzyknął kroczący na czele mężczyzna, którego chłodne, szare oczy i orle rysy twarzy, jak również cywilna odzież wyróżniały spośród gromady przysadzistych strażników.

— Na Mitrę, Demetrio! — krzyknął Arus. — Widać szczęście dziś mi sprzyja! Nie miałem nadziei, że straż przybędzie tak szybko na wezwanie, a tym bardziej, że i pan się pojawi!

— Obchodziłem posterunki z Dionusem — odparł Demetrio. — Właśnie przechodziliśmy koło świątyni, kiedy uderzył dzwon. Kto to? Na Mitrę! To sam właściciel Świątyni!

— Nikt inny — odparł Arus — i okrutnie zamordowany. Do moich obowiązków należy pilnowanie budynku w nocy, bowiem jak wiecie, zgromadzono tu nieprzebrane skarby. Kallian Publico miał bogatych patronów — uczonych, księżęta i bogatych zbieraczy. Zaledwie kilka minut temu sprawdziłem drzwi prowadzące na dziedziniec i stwierdziłem, że są tylko zaryglowane, a nie zamknięte. Te drzwi są zaopatrzone w rygiel, który można otworzyć z obu stron, a także wielki zamek, który otwiera się tylko z zewnątrz. Jedynie Kallian Publico miał do nich klucz, ten sam klucz, który nadal wisi u jego pasa. Zacząłem coś podejrzewać, bowiem Kallian wychodząc ze świątyni zawsze zamykał drzwi na wielki zamek, a widziałem go po południu, jak odjeżdżał do swojej willi na przedmieściu. Mam klucz, który otwiera rygiel; wszedłem i znalazłem ciało leżące tak, jak je teraz widzicie. Nie dotykałem go.

— A więc tak — Demetrio obrzucił bystrym spojrzeniem posępnego intruza. — A to kto?

— Morderca, niewątpliwie! — krzyknął Arus. — Wyszedł z tamtych drzwi. To barbarzyńca z północy, zapewne Hyperborejczyk lub

Bossończyk.

— Kim jesteś? — spytał Demetrio.

— Jestem Conan, Cymeryjczyk — odparł barbarzyńca.

— Zabiłeś tego człowieka?

Cymeryjczyk potrząsnął głową.

— Odpowiadaj! — warknął pytający.

W posępnych oczach pojawił się groźny błysk.

— Nie jestem psem, żebyś na mnie warczał!

— O, jaki zuchwały! — zaszydził towarzysz Demetria, wysoki mężczyzna noszący insygnia prefekta policji. — Nędzny kundel! Jeden z tych obywateli, którzy znają swoje prawa, co? Szybko wybiję z niego tę beczelność. Hej, ty! Gadaj! Czemu zamordowałeś...

— Zaczekaj, Dionusie — przerwał mu Demetrio. — Słuchaj, człowieku, jestem głównym inkwizytorem Komisji Śledczej w Numalii. Lepiej powiedz mi, jak się tu znalazłeś, a jeżeli nie jesteś mordercą, dowiedz tego.

Cymeryjczyk zawahał się. Jego zachowanie nie zdradzało lęku, jedynie lekkie niedowierzanie, jakie może czuć barbarzyńca zetknąwszy się ze skomplikowanymi sprawami cywilizowanych ludzi, których poczynania są dlań zdumiewające i tajemnicze.

— Kiedy on będzie się namyślał — rzekł Demetrio, odwracając się do Arusa — powiedz mi: czy widziałeś dziś, jak Kallian Publico zamykał Świątynię?

— Nie, mój panie, ale zazwyczaj nie ma go już, kiedy zaczynam obchód. Jednak wielkie drzwi były zamknięte i zaryglowane.

— Czy mógłby wrócić do budynku tak, żebyś go nie zauważył?

— No, to możliwe, chociaż mało prawdopodobne. Gdyby wrócił ze swojej willi, to z pewnością przyjechałby rydwanem, bo to dość daleko — a kto słyszał, żeby Kallian Publico chodził piechotą? A turkot kół rydwanu na bruku usłyszałbym, nawet gdybym był po drugiej stronie budynku. Niczego takiego nie słyszałem.

— I wcześniej drzwi były zamknięte?

— Przysięgam, że tak. W ciągu nocy kilkakrotnie sprawdzam każde drzwi. Te były zamknięte z zewnątrz jeszcze pół godziny temu — wtedy sprawdzałem je po raz ostatni.

— Nie słyszałeś żadnych krzyków czy odgłosów walki?

— Nie, panie. To mnie jednak nie dziwi, bo ściany świątyni są tak grube, że nie przedrze się przez nie żaden dźwięk.

— Po co trudzić się pytaniami i domysłami? — narzekał przysadzisty prefekt. — Bez wątpienia mamy już zabójcę. Zabierzemy go do magistratu, a wyciągnę z niego zeznania, nawet gdybym miał mu połamać wszystkie kości.

Demetrio spojrział na barbarzyńcę.

— Słyszałeś? — zapytał. — Co masz do powiedzenia?

— Każdy, kto mnie dotknie, szybko spotka się ze swymi przodkami w Piekło — wycedził Cymeryjczyk przez zaciśnięte zęby, a w jego oczach pojawił się morderczy błysk.

— Po co tu przyszedłeś, jeżeli nie po to, żeby zabić? — pytał Demetrio.

— Przyszedłem tu coś ukraść — odparł ponuro pytany.

— Co ukraść?

Conan zawahał się.

— Coś do jedzenia.

— Kłamiesz! — uciął Demetrio. — Dobrze wiesz, że nie ma tu nic do jedzenia. Nie kłam. Powiedz prawdę albo...

Cymeryjczyk położył dłoń na rękojeści miecza gestem, który był równie groźny w swej wymowie co błysk tygrysiich kłów.

— Zostaw te pogrożki dla tchórzy, którzy się was boją — warknął. — Ja nie jestem nemedyjskim mieszczuchem, żeby trząść się ze strachu przed twoimi psami. Zabijałem lepszych od ciebie za mniejsze rzeczy.

Dionus, który otworzył usta, by ryknąć gniewnie, zamknął je bez słowa. Strażnicy niepewnie unieśli halabardy i spojrzeli na Demetria oczekując rozkazów. Słyszając, jak barbarzyńca traktuje przedstawiciela wszechpotężnej policji, spodziewali się rozkazu, by go pojmać. Jednak Demetrio nie wydał go. Nawet jeśli pozostali byli za głupi by to pojąć, on wiedział co potrafią zdziałać stalowe mięśnie i błyskawiczny refleks ludzi wychowanych poza granicami cywilizowanego świata, gdzie życie było nieustanną walką o byt. Nie miał zamiaru prowokować wybuchu morderczej furii Cymeryjczyka. Ponadto naprawdę wątpił w jego winę.

— Jeszcze nie oskarżyłem cię o zabójstwo Kalliana — uciął. — Jednak musisz przyznać, że pozory przemawiają przeciw tobie. W jaki sposób dostałeś się do Świątyni?

— Ukryłem się w cieniu na zapleczu składu towarów — niechętnie odparł Conan. — Kiedy ten pies — wskazał palcem Arusa — przeszedł obok i zniknął za rogiem, podbiegłem do ściany i wspiąłem się na dach...

— Kłamiesz! — przerwał mu Arus. — Żaden człowiek nie wdrapie się po tym murze!

— Nigdy nie widziałeś Cymeryjczyka wspinającego się po skale? — spytał Demetrio. — To ja prowadzę śledztwo. Dalej, Conanie.

— Róg budynku zdobią rzeźby — powiedział Cymeryjczyk. — Łatwo było się po nich wspiąć. Wszedłem na dach, zanim ten pies okrążył budynek. Znalazłem klapę zamkniętą żelazną sztabą zaryglowaną od środka. Musiałem przeciąć mieczem rygiel...

Przypomniawszy sobie grubość zasuwy, Arus zbulgotał i odsunął się od barbarzyńcy, który zmarszczył brwi i mówił dalej:

— Obawiałem się, że hałas mógł kogoś obudzić, ale musiałem zaryzykować. Wszedłem przez klapę i znalazłem się w komnacie na górze. Nie zwlekając wyszedłem na korytarz i schodami...

— Skąd wiedziałeś, gdzie są schody? — spytał inkwizytor. — Wiem, że tylko słudzy Kalliana i bogaci patroni Świątyni mieli prawo wstępu na górę.

Conan nie odpowiedział.

— I co zrobiłeś, gdy znalazłeś schody? — dopytywał się Demetrio.

— Zszedłem po nich na parter — mruknął Cymeryjczyk. — Doprowadziły mnie do komnaty znajdującej się za tamtą kotarą. Kiedy schodziłem na dół, usłyszałem, jak gdzieś otwierają się drzwi. Wyrząłem zza zasłony i zobaczyłem tego psa stojącego nad zwłokami.

— A dlaczego wyszedłeś z ukrycia?

— Kiedy widziałem strażnika obchodzącego świątynię, było ciemno. Zobaczywszy go tutaj wziąłem go za złodzieja. Dopiero kiedy pociągnął za sznur dzwonka i wymierzył we mnie kuszę, zrozumiałem, że jest strażnikiem.

— Nawet jeśli tak było — dociekał inkwizytor — to dlaczego wyszedłeś z ukrycia?

— Pomyślałem, że przyszedł tutaj ukraść to... — barbarzyńca urwał nagle.

— ...to co ty chciałeś stąd ukraść! — dokończył Demetrio. — Powiedziałeś mi więcej niż zamierzałeś! Przyszedłeś tutaj w pewnym

konkretnym celu. Jak sam wyznałeś, nie zatrzymałeś się w komnatach na górze, gdzie znajdują się najcenniejsze przedmioty. Znałeś plan budynku, tak więc przysłał cię tu ktoś, kto dobrze zna Świątynię, żebyś ukraść jedną, wskazaną rzecz!

— I zabił Kalliana Publico! — wykrzyknął Dionus. — Na Mitrę, mamy go! Brać go! Do rana wszystko wyśpiewa!

Conan odskoczył z niezrozumiałym przekleństwem, błyskawicznie dobywając miecza.

— Cofnijcie się, psy, jeśli wam życie miłe! — warknął. — Myślicie, że skoro macie odwagę torturować sklepikarzy i chłostą wymuszać zeznania ulicznic, to możecie wyciągać swe tłuste łapy po górala? Zabiorę kilku z was ze sobą do piekła! Tylko podnieś swoją kuszę, strażniku, a wypruję ci flaki!

— Czekajcie! — rzekł Demetrio. — Odwołaj swoje psy, Dionusie. Wciąż nie jestem pewny, czy to on jest mordercą. Ty głupcze — dodał szeptem — zaczekaj aż ściągniemy tu więcej ludzi albo podstępem skłonimy by odłożyć miecz.

Demetrio nie chciał utracić przewagi jaką dawał mu jego trzeźwy umysł, pozwalając by sytuacja wymknęła się spod kontroli i zakończyła zbrojną konfrontacją, w której dzikość barbarzyńcy mogłaby zrównoważyć ich liczebną przewagę.

— Dobrze — niechętnie mruknął Dionus. — Odstąpcie, ale miejcie go na oku.

— Oddaj mi swój miecz — rzekł Demetrio do Conana.

— Weź go, jeśli potrafisz!

Inkwizytor wzruszył ramionami.

— Dobrze. Jednak nie próbuj uciekać. Na zewnątrz stoją strażę uzbrojone w kusze.

Cymeryjczyk opuścił miecz, ale nie przestał czujnie obserwować strażników. Demetrio ponownie spojrzął na trupa.

— Uduszony — powiedział do siebie. — Po co dusić, skoro cios miecza byłby szybszy i pewniejszy? Ci Cymeryjczycy rodzą się z mieczem w garści; nigdy nie słyszałem, żeby zabijali w ten sposób.

— Może chciał odwrócić od siebie podejrzenia — rzekł Dionus.

— Być może — Demetrio wprawnie obmacał ciało. — Martwy co najmniej od pół godziny. Jeżeli Cymeryjczyk mówi prawdę, to nie mógł

go zabić przed przybyciem Arusa. Co prawda może kłamać — mógł się włamać do świątyni wcześniej.

— Wspiąłem się na dach, kiedy Arus po raz ostatni okrążył budynek.

— To ty tak twierdzisz — rzekł Demetrio, nachylając się i spoglądając na szyję zabitego, która przybrała sinofioletową barwę. Głowa Kalliana była odchylona pod dziwnym kątem od tułowia. Demetrio z powątpiewaniem mruzczał pod nosem: — Dlaczego morderca miałby używać sznura grubszego niż ludzkie ramię? I po co z tak potworną siłą miażdżył mu kark?

Wstał i podszedł do wylotu najbliższego korytarza.

— Tuż przy wejściu leży popiersie strącone z piedestału — zauważył — i podłoga jest tam porysowana, a draperie przy drzwiach naderwane, jakby szarpnięte ręką szukającą oparcia. Kalliana Publico najwidoczniej zaatakowano w komnacie obok. Może wyrwał się napastnikowi albo powłókł go za sobą uciekając. W każdym razie chwycił wyszedł na korytarz, a morderca dopadł go tu i wykończył.

— Jeżeli ten poganin nie jest mordercą, to kto nim jest? — spytał prefekt.

— Jeszcze nie uwolniłem Cymeryjczyka od podejrzeń — rzekł inkwizytor. — Jednak przeszukamy tę komnatę...

Urwał i odwrócił się na pięcie, nadstawiając ucha. Z ulicy dobiegł turkot kół nadjeżdżającego rydwanu. Odgłos urwał się nagle.

— Dionusie! — rzekł inkwizytor. — Wyślij dwóch ludzi, niech znajdą ten rydwan. Przyprawdźcie tu woźnicę.

— Sądząc po dźwięku — powiedział Arus, który dobrze znał teren — pojazd zatrzymał się przed domem Promera; to po drugiej stronie przy składzie jedwabiu.

— Kim jest ten Promero? — spytał Demetrio.

— To rządca Kalliana Publico.

— Sprowadźcie tu jego i woźnicę — rozkazał inkwizytor.

Dwaj strażnicy odmaszerowali wykonać rozkaz, a Demetrio dalej badał zwłoki; Dionus, Arus i pozostali strażnicy pilnowali Cymeryjczyka, który stał z mieczem w ręku, niczym posąg z brązu uosabiający niemą groźbę. W końcu dał się słyszeć odgłos kroków obutych w sandały stóp i weszli dwaj strażnicy, prowadząc silnie zbudowanego, ciemnoskórego mężczyznę w skórzanym hełmie i długiej tunice woźnicy, dzierżącego w

dłoni długi bat, oraz małego, niepozornego przedstawiciela tego gatunku ludzi, którzy — wywodząc się z ubogiego mieszczaństwa — są świetnymi zarządcami bogatych kupców i szlachty.

Ten człowieczek cofnął się z okrzykiem zgrozy na widok leżących na podłodze zwłok.

— Och, wiedziałem, że z tego wyniknie coś złego! — jęknął.

— Przypuszczam, że to ty jesteś Promero, rządca — rzekł Demetrio.  
— A ty?

— Enaro, woźnica Kalliana Publico — odparł zapytany.

— Nie wydaje mi się, żeby widok zwłok cię poruszył — zauważył Demetrio.

Czarne oczy woźnicy błysnęły drwiąco.

— A czemu miałyby mnie poruszyć? Ktoś po prostu zrobił to, na co ja się nie odważyłem, chociaż chciałem.

— Ach tak! — mruknął inkwizytor. — Jesteś wolnym człowiekiem?

Enaro w odpowiedzi podwinął rękaw tuniki, ukazując piętno niewolnika za długi.

— Wiedziałeś, że twój pan będzie tu dzisiaj?

— Nie. Przyjechałem po niego wieczorem, jak zwykle. Wsiadł do rydwanu i pojechaliśmy do jego willi. Jednak zanim znaleźliśmy się na Drodze Palijskiej, kazał mi zawrócić i jechać z powrotem. Wydawał się bardzo podniecony.

— I zawiozłeś go z powrotem do Świątyni?

— Nie. Poleciał mi stanąć przed domem Promera. Tam wysiadł i kazał mi wrócić zaraz po północy.

— Kiedy to było?

— Niedługo po zachodzie słońca. Ulice były prawie puste.

— I co wtedy zrobiłeś?

— Wróciłem do swojej kwatery, gdzie pozostałem aż do północy. Później pojechałem prosto pod dom Promera.

— Jak myślisz, po co Kallian poszedł do Promera?

— On nie rozmawiał o swoich sprawach z niewolnikami.

Demetrio odwrócił się do Promera.

— Co o tym wiesz?

— Nic — odrzekł rządca szcękając zębami.

— Czy Kallian Publico był u ciebie w domu, tak jak mówi woźnica?



— Tak, panie.  
— Jak długo zabawiał?  
— Krótką chwilę. Zaraz wyszedł.  
— Poszedł do świątyni?  
— Nie wiem! — pisnął Promero.  
— Po co przyszedł do twego domu?  
— Po... porozmawiać o interesach.  
— Kłamiesz — rzekł inkwizytor. — Po co przyszedł do twego domu?  
— Nie wiem! Nic nie wiem! — Promero był bliski hysterii. — Nie miałem z tym nic wspólnego.  
— Rozwiąż mi język, Dionusie — warknął Demetrio.  
Dionus kiwnął głową i skinął na jednego ze swoich ludzi, który z szyderczym uśmiechem podszedł do rządcy.  
— Wiesz kim jestem? — warknął, patrząc spode łba na przerażoną ofiarę.  
— Jesteś Posthumo — wykrztusił rządcą. — Wyłupiłeś oko dziewczynie, która nie chciała złożyć zeznań obciążających kochanka.  
— Wydobędę zeznania z każdego! — ryknął Posthumo. Żył nabrzmiały mu na karku i twarz spurpurowiała, gdy chwycił rządcę za kołnierz tuniki i ścisnął tak mocno, że prawie go udusił. — Mów, szczerze! — syknął. — Odpowiadaj, jak pytają!  
— Och Mitro, litości! — wrzasnął Promero. — Przysięgam...  
Posthumo brutalnie uderzył go w twarz, raz z jednej i raz z drugiej strony, po czym rzucił na podłogę i zaczął kopać z morderczą precyzją.  
— Litości! — jęczał nieszczęśnik. — Powiem! Wszystko powiem.  
— Wstawaj, kundlu! — ryknął nadęty poczuciem własnej ważności Posthumo. — Nie leż jak szmata!  
Dionus obrzucił Conana szybkim spojrzeniem, sprawdzając, czy zrobiło to na nim należyte wrażenie.  
— Widzisz co czeka tych, którzy nie chcą gadać — rzekł.  
Conan splunął z pogardą.  
— To głupiec i mięczak — mruknął. — Niech tylko któryś spróbuje ze mną, to zobaczy swoje flaki pod nogami.  
— Powiesz wreszcie? — pytał ze znużeniem Demetrio.  
— Wiem tylko tyle — załkał rządcą, podnosząc się z podłogi jak obity pies — że Kallian przyszedł do mnie zaraz po tym, jak opuścił

świątynię — bo wyszedłem tuż przed nim — i odesłał swój rydwan. Zagroził, że mnie zwolni, jeśli o tym pisnę. Jestem biedny, moi panowie, bez urodzenia i pieniędzy. Jeżeli stracę pracę, będę głodował.

— Co mnie to obchodzi? — rzekł Demetrio. — Jak długo pozostał w twoim domu?

— Chyba do wpół do dwunastej. Wtedy wyszedł, mówiąc, że idzie do Świątyni i wróci, kiedy zrobi to, co miał zrobić.

— A co miał zrobić?

Promero zawahał się, lecz widząc, jak Posthumo ze złowrogim uśmiechem zaciska pięść, zadrżał i zaczął mówić:

— W Świątyni było coś, co chciał obejrzeć.

— A dlaczego robił to sam i w takiej tajemnicy?

— Ponieważ ten przedmiot nie był jego własnością. O świcie przywiozła go karawana z południa. Kupcy, którzy to przywieźli, nie wiedzieli nic prócz tego, że przekazała im go karawana zdążająca ze Stygii i że był przeznaczony dla Kalanthesa z Hanumar, kapłana Ibisa. Szefowi karawany zapłacono za dostarczenie go do rąk samego Kalanthesa, ale łobuz zamierzał udać się do Akwilonii i Hanumar nie było mu po drodze. Tak więc zapytał, czy może zostawić przesyłkę w Świątyni, dopóki Kalanthes jej nie odbierze. Kallian zgodził się i powiedział, że wyśle do Kalanthesa sługę z wiadomością. Jednak kiedy karawana ruszyła dalej i przypomniałem mu o posłańcu, Kallian zabronił mi go wysyłać. Siedział nad tym, co zostawili i zastanawiał się.

— A co zostawili?

— Rodzaj urny, takiej, jaką można znaleźć w prastarych stygijskich grobowcach. Ta jednak była okrągła jak metalowy garnek z pokrywką. Metal przypominał miedź, ale był twardszy i pokryty dziwnymi hieroglifami, takimi, jak te na starożytnych menhirach w południowej Stygii.

— Co w niej było?

— Tego kupcy nie wiedzieli. Powiedzieli tylko, że ci, którzy im ją dali, powiedzieli, że to bezcenny relikwiarz znaleziony w grobowcu głęboko pod piramidami i wysłany Kalanthesowi „w dowód miłości wysyłającego do kapłana Ibisa”. Kallian Publico uważał, że urna zawiera królewski diadem gigantycznego ludu, który zamieszkiwał tamte ziemie, zanim pojawili się na nich przodkowie Stygijczyków. Pokazał mi znak wyryty na

pokrywie, przysięgając, że to diadem jaki według legend nosili dawni królowie. Postanowił otworzyć urnę i zobaczyć co zawiera. Zupełnie oszalał na samą myśl o legendarnym diademie, wysadzonym znanymi tylko starożytnym, dziwnymi klejnotami, z których każdy wart jest więcej niż wszystkie skarby naszego świata. Ostrzegałem go, ale tuż przed północą poszedł do świątyni. Ukrywszy się w cieniu poczekał, aż strażnik przejdzie na drugą stronę budynku, po czym otworzył drzwi kluczem, który nosił u pasa i wszedł do środka. Ukrywszy się w cieniu składu z jedwabiem patrzyłem, jak to robi, po czym wróciłem do domu. Jeżeli w urnie był diadem lub coś równie cennego, Kallian zamierzał ukryć to w Świątyni i wyjść niepostrzeżenie. Później, rano wszcząłby alarm i biadania, mówiąc, że nieznani sprawcy włamali się do Świątyni i ukradli własność Kalanthesa. Nikt nie wiedział, jak było naprawdę oprócz woźnicy i mnie, a żaden z nas nie pisnąłby słowa.

— A strażnik? — oponował Demetrio.

— Kallian zamierzał wejść tam niezauważony przez niego, a później zarzucić mu współudział w przestępstwie — odparł Promero.

Arus wydał nieartykułowany okrzyk i zbladł zrozumiawszy co mu groziło.

— Gdzie jest ta urna? — spytał Demetrio, a gdy rządca wskazał ręką, mruknął pod nosem: — Ach tak! To ta sama komnata, w której zaatakowano Kalliana Publico.

Promero załamał chude ramiona.

— Dlaczego jakiś Stygijczyk miałby przysyłać Kalanthesowi dary? Karawany z południa nie raz przywoziły posągi dawnych bóstw i prastare mumie, ale któż tak bardzo kocha kapłana Ibisa w Stygii, gdzie wciąż oddaje się cześć straszliwemu Setowi, wijącemu się w ciemnościach grobowców? U zarania dziejów Ibis walczył z Setem, a Kalanthes przez całe życie zwalczał jego kapłanów. Jest w tym coś dziwnego i tajemniczego.

— Pokaż nam tę urnę — rozkazał Demetrio i Promero po krótkim namyśle poprowadził ich do sąsiedniej komnaty.

Wszyscy poszli za nim, łącznie z Conanem, który zdawał się być szczerze zaciekawiony i nie zwracał uwagi na strażników, nie spuszcających go z oka. Przeszli za rozdartą kotarę i znaleźli się w komnacie mroczniejszej niż korytarz. Po obu stronach w ścianach

widniały drzwi wiodące do innych komnat i ciągnęły się szeregi fantastycznych posągów wyobrażających bogów dalekich krain i nieznanym ludów. Promero wydał okrzyk zdumienia.

— Spójrzcie! Urna jest otwarta! I pusta!

Na środku komnaty stał dziwny, czarny cylinder, wysoki na prawie metr i o średnicy niecałego metra w najszerszym miejscu, które przypadało w połowie drogi między pokrywą a dnem. Ciężkie, rzeźbione wieko leżało na podłodze, a obok niego dłuto i młot. Demetrio zajrzał do środka, przez chwilę ze zdumieniem spoglądał na tajemnicze hieroglify i odwrócił się do Conana.

— Czy to chciałeś stąd ukraść?

Barbarzyńca potrząsnął głową.

— Jak miałbym ją stąd wynieść? Jest za ciężka dla jednego człowieka.

— Metalową opaskę przecięto tym dłutem — zastanawiał się inkwizytor — i to w pośpiechu. Widać ślady chybionych uderzeń, które wgniotły metal. Możemy przyjąć, że to Kallian otworzył urnę. Ktoś jednak ukrył się w pobliżu — może za kotarą w przejściu — i kiedy Kallian otworzył naczynie, rzucił się na niego... lub też najpierw zabił Kalliana, a potem sam otworzył urnę.

— To okropna rzecz — zadrżał rządca. — Zbyt stara na świętą relikwię. Kto z was widział kiedy taki metal? Wydaje się twardszy od akwilońskiej stali, a spójrzcie na te miejsca zżarte przez rdzę. I popatrzcie tu... na pokrywę!

Promero wskazał trzęsącym się palcem wyryty tam znak.

— Co o tym powiecie?

Demetrio nachylił się i spojrzał uważnie.

— Powiedziałbym, że to znak przedstawiający jakąś koronę — mruknął.

— Nie! — krzyknął Promero. — Ostrzegałem Kalliana, ale nie chciał mi wierzyć. To żmija trzymająca swój ogon! To znak Seta, Starej Żmii! To naczynie jest zbyt stare, to relikw z czasów, gdy Set w ludzkiej postaci stapał po ziemi Stygii. Może jego potomkowie w taki właśnie sposób grzebali swych królów?

— I myślisz, że te spróchniałe kości powstały, udusiły Kalliana Publico i poszły sobie w świat?

— To nie człowiek spoczywał w tej urnie — szepnął zarządca, wodząc wokół wystraszonym spojrzeniem. — Jakież człowiek mógłby się tu zmieścić?

Demetrio zaklął.

— Jeżeli to nie Conan jest mordercą, to zabójca nadal ukrywa się w budynku. Dionusie i Arusie, zostańcie ze mną i trzej podejrzani także. Reszta przeszuka gmach. Gdyby morderca uciekł, zanim Arus znalazł zwłoki, to mógł to zrobić tylko tą

drogą, którą dostał się tu Conan, a wtedy barbarzyńca musiałby go zauważyć... jeśli mówi prawdę.

— Nie widziałem nikogo oprócz tego psa — mruknął Cymeryjczyk wskazując na Arusa.

— Pewnie, że nie, bo to ty jesteś mordercą — rzekł Dionus. — Tracimy czas, ale przeszukajmy budynek. A jeśli nikogo nie znajdziemy, obiecuję ci, że spłoniesz! Znasz prawo, czarnowłosa dzikusie: Za zabicie wieśniaka idziesz do kopalń; kupca — na szubienicę; szlachcica — na stos.

Conan w odpowiedzi tylko pokazał zęby w krzywym uśmiechu.

Strażnicy wyruszyli na poszukiwania. Pozostali słyszeli odgłos ich kroków na schodach, rumor przesuwanych sprzętów, trzaskanie drzwiami i głośnie nawoływania.

— Cymeryjczyku — rzekł Demetrio — czy wiesz, co będzie oznaczać, jeśli nikogo nie znajdą?

— Ja go nie zabiłem — warknął Conan. — Gdyby chciał mnie zatrzymać, rozplatałbym mu czaszkę, ale kiedy go zobaczyłem, był już martwy.

— Jednak ktoś cię tu wysłał, żebyś coś ukradł — rzekł inkwizytor — a przez swoje milczenie stajesz się także zamieszany w morderstwo. Lepiej wyznaj wszystko. Już sama twoja obecność tutaj wystarcza, aby cię wysłać do kopalń, czy jesteś winien czy nie. Jeżeli jednak wszystko wyznasz, będziesz mógł odejść wolno.

— Cóż — odparł niechętnie barbarzyńca — przyszedłem tu ukraść zamorański diademowy puchar. Pewien człowiek dał mi plan Świątyni i powiedział gdzie mam go szukać. Puchar jest w tej komnacie — powiedział Conan wskazując palcem — w skrytce w podłodze, pod mosiężnym shemickim bożkiem.

— Mówi prawdę — rzekł Promero. — Sądziłem, że nawet pół tuzina ludzi nie zna tego sekretu.

— I gdybyś go znalazł — szydził Dionus — to naprawdę oddałbyś go człowiekowi, który cię wysłał? Czy zatrzymałbyś go dla siebie?

W niebieskich oczach barbarzyńcy znów pojawił się wzgardliwy błysk.

— Nie jestem psem — mruknął. — Dotrzymuję słowa.

— Kto cię tu przysłał? — zapytał Demetrio, lecz barbarzyńca trwał w ponurym milczeniu.

Strażnicy wrócili zakończywszy poszukiwania.

— W całym budynku nie ma nikogo — powiedzieli.

— Szukaliśmy wszędzie. Znaleźliśmy klapę w dachu, przez którą wszedł barbarzyńca, i przecięty rygiel. Gdyby ktoś tamtędy uciekł, zobaczyliby go nasi ludzie — chyba, że uczynił to przed naszym przybyciem. Ponadto musiałby ułożyć piramidę

z mebli, żeby dosięgnąć otworu, a tego nie uczynił. Czemu jednak nie miałby wyjść frontowymi drzwiami tuż przed tym, zanim Arus obszedł budynek?

— Ponieważ — odparł Demetrio — drzwi były zamknięte od zewnątrz, a klucze do nich miał tylko Arus i zabity Kallian Publico.

— Znalazłem sznur, którym posłużył się morderca — oznajmił jeden ze strażników. — Czarny sznur, grubszy niż męskie ramię i z dziwnymi plamami.

— Gdzie on jest, głupcze? — krzyknął Dionus.

— W komnacie przylegającej do tej — odparł strażnik. — Owinięty wokół marmurowej kolumny. Nie mogłem go dosięgnąć, ale to na pewno ten.

Zaprowadził ich do pomieszczenia pełnego marmurowych posągów i wskazał na wysoką kolumnę, raczej pełniącą rolę ozdoby niż filaru. Stał jak wryty i wytrzeszczył oczy.

— Nie ma go! — wykrzyknął.

— Bo nigdy nie było — prychnął Dionus.

— Na Mitrę, był! Owinięty wokół filara, tuż nad tymi rzeźbionymi liśćmi. Pod sufitem jest zbyt ciemno, żeby dostrzec coś więcej, ale na pewno tu był.

— Jesteś pijany — powiedział Demetrio, obracając się na pięcie. —

To za wysoko, żeby człowiek mógł sięgnąć, a tylko wąż zdołałby się wspiąć na taką gładką kolumnę.

— Cymeryjczyk mógłby to zrobić — mruknął jeden ze strażników.

— Być może. Powiedzmy, że to Cymeryjczyk udusił Kalliana, owiązał kolumnę liną, przeszedł korytarzem i ukrył się w komnacie przy schodach. Jak wobec tego zdołał zabrać linę po tym, jak ją znalazłeś? Od kiedy Arus natknął się na zwłoki, Conan jest z nami cały czas. Nie, mówię wam, że Cymeryjczyk nie popełnił tego morderstwa. Sądzę, że prawdziwy zabójca zabił Kalliana aby zdobyć to, co było w tej urnie, a teraz ukrywa się w jakimś zakamarku Świątyni. Jeżeli nie zdołamy go znaleźć, będziemy musieli oskarżyć barbarzyńcę, aby zadośćuczynić prawu, ale... Gdzie jest Promero?

Wrócili do nieruchomego ciała leżącego na korytarzu. Dionus głośno zawołał rządcę, który wyłonił się z komnaty, w której znajdował się pusty pojemnik. Trząśnięty całym i zbladły jak prześcieradło.

— Co znowu, człowieku? — krzyknął zirytowany Demetrio.

— Znalazłem znak na dnie urny! — bełkotał Promero. — To nie starożytny hieroglif, lecz niedawno wyryty symbol! To znak Thoth-Amona, stygijskiego czarnoksiężnika, śmiertelnego wroga Kalanthesa! Musiał znaleźć to naczynie w jakiś

okropnych czeluściach pod piramidami! Dawni bogowie nie umierali jak ludzie — tylko zapadali w długi sen, a ich wyznawcy zamykali ich sarkofagi tak, by żaden intruz nie zakłócił ich snu! Thoth-Amon wysłał Kalanthesowi śmierć... chciwość Kalliana wyzwoliła ten koszmar... który teraz czai się gdzieś w pobliżu... może już się do nas skrada...

— Ty durniu! — wrzasnął Dionus, mocno uderzając go w twarz. Był materialistą i nie zamierzał cierpliwie słuchać takich dziwacznych spekulacji. — No, Demetrio — rzekł, odwracając się do inkwizytora — nie mamy innego wyjścia, jak aresztować barbarzyńcę i...

Wszyscy odwrócili się na okrzyk Cymeryjczyka, który ze zdumieniem spoglądał na przejście do przyległej komnaty.

— Spójrzcie! — zakrzyknął. — Widziałem, że tam się coś poruszyło! Widziałem przez szparę w kotarze. Coś śmignęło przez pokój jak czarny cień.

— Phi! — prychnął Posthumo. — Przeszukaliśmy tę komnatę i...

— On coś widział! — wrzasnął Promero piskliwie załamującym się głosem. — To przekłete miejsce! Coś wyszło z sarkofagu i zabiło Kalliana Publico, a teraz kryje się gdzieś, gdzie nie zdoła wejść żaden człowiek... czai się w tej komnacie! Mitro, chroń nas przed siłami ciemności! — Kurczowo złapał Dionusa za rękaw. — — Panie! Przeszukajmy jeszcze raz tę komnatę!

Prefekt strząsnął rękę rządcy, a Posthumo postanowił wykazać się poczuciem humoru.

— Sam ją przeszukasz! — rzekł i złapawszy Promera za kołnierz i pas, zaciągnął wrzeszczącego nieszczęśnika do drzwi, gdzie zatrzymał się i wrzucił go do środka z taką siłą, że rządcą potoczył się po podłodze i legł bez ruchu.

— Dość tego! — warknął Dionus, zerkając na Cymeryjczyka.

Podniósł dłoń i już, już miał wydać rozkaz, gdy do komnaty wszedł strażnik ciągnący za sobą szczupłego, bogato odzianego, opierającego się człowieka.

— Zauważyłem go, jak skradał się z tyłu świątyni — oznajmił strażnik, oczekując pochwały.

Zamiast tego usłyszał stek wyzwisk.

— Puść tego szlachcica, skończony durniu! — krzyknął prefekt. — Nie poznajesz Azatriasza Petanusa, bratanka gubernatora?

Zgromiony strażnik cofnął się, a wyelegantowany młodzieniec demonstracyjnie otrzepał rękaw swej haftowanej tuniki.

— Oszczędź sobie przeprosin, dobry Dionusie — wycedził afektowanym głosem. — Wiem, że to twój obowiązek. Wraciałem z późnej hulanki i szedłem spacerkiem, żeby otrzeźwieć. Co my tu mamy? Na Mitrę, czy to morderstwo?

— Tak, to morderstwo, szlachetny panie — odparł prefekt. — Jednak mamy już podejrzanego i chociaż Demetrio zdaje się mieć jakieś wątpliwości, na pewno pójdzie za to na stos.

— Niebezpiecznie wyglądający osobnik — mruknął młody arystokrata. — Jak można wątpić w jego winę? Nigdy jeszcze nie widziałem tak zbrodniczej twarzy.

— Och, tak, widziałeś, ty wyperfumowany psie! — warknął Conan. — Kiedy mi płaciłeś, żebym ukradł ten zamorański puchar. Hulanka, co? Phi! Czekaleś przy Świątyni, aż wrócę z łupem. Nie zdradziłbym twojego



imienia, gdybyś rzekł o mnie dobre słowo. Teraz powiedz, że widziałeś, jak wspiąłem się na dach, kiedy strażnik robił ostatni obchód, i że nie miałem czasu zabić tego wieprza przed nadejściem Arusa.

Demetrio obrzucił szybkim spojrzeniem Azatriasza, który nawet się nie zaczerwienił.

— Jeżeli to co on mówi jest prawdą — rzekł inkwizytor — to oczyszcza go z zarzutu morderstwa, a próbę kradzieży możemy z łatwością zatuszować. Cymeryjczyk dostanie dziesięć lat ciężkich robót za włamanie, ale jeśli powiesz słowo, zaaranżujemy jego ucieczkę i nikt się o tym nie dowie. Rozumiem wszystko; nie jesteś pierwszym młodym szlachcicem, który musi się uciekać do takich sposobów, aby spłacić długi karciane czy inne — możesz liczyć na naszą dyskrecję.

Conan spojrzał wyczekująco na młodego szlachcica, lecz Azatriasz tylko wzruszył wąskimi ramionami i delikatną dłonią zamaskował ziewnięcie.

— Nie znam go — powiedział. — Chyba oszalał, jeżeli twierdzi, że to ja go wynająłem. Niech otrzyma to, na co za służył. Jest silny i praca w kopalni dobrze mu zrobi.

Conan drgnął jak dźgnięty sztydłem i obrzucił go gniewnym spojrzeniem. Strażnicy mocniej ujęli halabardy, ale zaraz je opuścili, widząc, że barbarzyńca z rezygnacją pochylił głowę i nawet Demetrio nie wiedział, że Cymeryjczyk obserwuje ich spode gęstych czarnych brwi złowrogo pałającymi oczami.

Barbarzyńca uderzył bez najmniejszego ostrzeżenia, jak atakująca kobra; jego miecz błysnął w blasku świec. Azatriasz wydał przeraźliwy okrzyk, który urwał się, gdy głowa w deszczu krwi spadła mu z ramion i potoczyła się po podłodze. Conan obrócił się jak wielki kot i zadał mordercze pchnięcie, mierząc w pachwinę Demetria. Inkwizytor instynktownie w ostatniej chwili odbił sztych; miecz wbił się w jego udo, ześliznął po kości i przeszedł na wylot. Inkwizytor z jękiem osunął się na kolana.

Conan nie tracił czasu. Zastawiwszy się halabardą, Dionus uratował życie, gdyż przecinając drzewce świszczące ostrze nieco zmieniło kierunek i odcięło prefektowi ucho. Oszalamiająca szybkość barbarzyńcy zaskoczyła i sparaliżowała strażników. Połowa z nich padłaby trupem, gdyby krępemu Posthumo, bardziej dzięki szczęściu niż zręczności, nie

udało się chwycić Conana wpół i unieruchomić mu prawe ramię. Cymeryjczyk błyskawicznie uderzył go lewą ręką w twarz i Posthumo upadł z wrzaskiem, trzymając się za okrwawiony oczodół.

Conan odskoczył przed spadającymi ostrzami halabard. Wyrwał się z pierścienia wrogów i dopadł Arusa, który nachylał się napinając kuszę. Wściekły kopniak w brzuch powalił go na podłogę, krztuszącego się i zsiniałego. W następnej chwili obuta w sandał stopa barbarzyńcy gwałtownie zetknęła się ze szczęką strażnika. Nieszczęśnik ryknął z bólu, ukazując połamane zęby i tocząc krwawą pianę z rozbitych warg.

Nagle wszyscy zamarli, słysząc przeraźliwy krzyk dobiegający z komnaty, do której przed chwilą Posthumo wepchnął Promera. Rządca chwytając wyszedł zza kotary i stał wstrząsany bezgłośnym szlochem. Łzy toczyły mu się po pobladłej twarzy, a z szeroko rozchylonych w idiotycznym grymasie ust dobywał się nieartykułowany bełkot.

Wszyscy spojrzeli nań ze zgrozą: Conan ze zbroczonym krwią mieczem w dłoni; strażnicy z uniesionymi halabardami; Demetrio klęczący na posadzce i próbujący zatamować strumień krwi tryskającej z szeroko rozciętego uda; Dionus przyciskający dłonią kikut obciętego ucha; Arus bulgoczący i wypluwający resztki wybitych zębów... nawet Posthumo przestał wyć i zamrugał pozostałym okiem.

Promero wytoczył się na korytarz i runął jak długi, zanosząc się piskliwym, szaleńczym śmiechem.

— Ten bóg ma długą szyję, ha-ha-ha! Och, piekielnie długą szyję!

Zadrgał konwulsyjnie, wyprężył się i znieruchomiał, szczerząc zęby w okropnym uśmiechu.

— Nie żyje! — szepnął zdjęty zgrozą Dionus, zapominając o swojej ranie i barbarzyńcy stojącym obok ze zbroczonym krwią mieczem. Pochylił się nad ciałem i wytrzeszczył świńskie oczka. — Nie widzę żadnej rany. Na Mitrę, co jest w tej komnacie?

Ogarnięci nagłym przerażeniem, wszyscy strażnicy z wrzaskiem rzucili się do wyjścia i przez moment tłoczyli bezładnie przy drzwiach, usiłując jednocześnie opuścić budynek, po czym hurmem wypadli na zewnątrz. W ich ślady poszedł zarówno Arus, jak i na pół ślepy Posthumo, który pobiegł za nimi, kwicząc jak zarzynana świnia i błagając, żeby go nie zostawiali. Wpadł między uciekających, którzy wywrócili go i stratowali, wrzeszcząc ze strachu. Powlókł się za nimi na

czworakach, a Demetrio ruszył za nim. Inkwizytor miał dość odwagi by stawić czoło nieznanemu niebezpieczeństwu, lecz był wstrząśnięty i ranny, a barbarzyńca wciąż był w pobliżu. Ściskając broczące krwią udo, Demetrio pokuszył się za swoimi kompanami. Strażnicy, woźnica i urzędnik, ranni lub nietknięci, wszyscy wypadli z krzykiem na ulicę, gdzie pilnujące budynku strażę przyłączyły się do panicznej ucieczki, nie pytając o jej przyczynę.

W wielkim korytarzu został tylko Conan, jeżeli nie liczyć trzech ciał leżących na posadzce. Barbarzyńca mocniej ujął miecz i wszedł do komnaty. Jej ściany były obwieszane grubymi, jedwabnymi draperiami. Wokół poustawiano tu i tam miękkie otomany i kanapy, a dalej stał ciężki, złożony parawan, zza którego spoglądała na Cymeryjczyka twarz.

Conan z zachwytem patrzył na zimne, klasyczne piękno tego oblicza, które nie miało sobie równych na ziemi. Te rysy nie zdradzały śladu słabości, litości, okrucieństwa czy dobroci, ani żadnych innych ludzkich uczuć. Mogła to być marmurowa maska bogini wyrzeźbiona ręką mistrza, gdyby nie ożywiało jej nieuchwytnie tchnienie życia — życia obcego i dziwnego, z jakim Cymeryjczyk nigdy się nie zetknął i jakiego nie zdołałby zrozumieć. Pomyślał przelotnie o marmurowej doskonałości skrytego za parawanem ciała; musi być piękne, pomyślał, przy tak doskonałym obliczu.

Jednak widział tylko tę bosko piękną twarz i ładnie ukształtowaną głowę, lekko kołyszącą się na boki. Pełne wargi rozchyliły się i wypowiedziały tylko jedno słowo; dźwięcznie i wyraźnie niczym złoty dzwon bijący w zaginionych pośród dżungli świątyniach Khitaju. Ten język, zapomniany na długo przed prapoczątkami ludzkiej cywilizacji, był nieznanym Conanowi, ale barbarzyńca wiedział, że oznaczało to „Chodź!”

Cymeryjczyk usłuchał; skoczył jak żbik i błyskawicznie ciął mieczem. W strumieniu ciemnej krwi piękna głowa poleciała w powietrze nad parawanem i upadła u jego stóp, a on cofnął się, obawiając się jej dotknąć. Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy parawan zatrzęsł się i zachwiało, miotany konwulsyjnymi skurczami. Conan nie jeden raz widział umierających tuzinami ludzi, lecz nigdy jeszcze nie słyszał, by ludzka istota wydawała w agonii takie dźwięki. Słyszał łomot i dziwne klaskanie, jakby ktoś trząsał wielkim biczem.

W końcu te hałasy ucichły i Conan ostrożnie zajrzał za parawan.

Wtedy dopiero Cymeryjczyk cofnął się zdjęty zgrozą, wybiegł ze świątyni i nie zwolnił kroku, dopóki kopuły Numalii nie zniknęły w oddali w promieniach jutrzeńki. Dręczyła go myśl o Secie i jego dzieciach, które niegdyś władały światem, a teraz spały w swych mrocznych jaskiniach pod piramidami.

Za tym połączanym parawanem nie znalazł ludzkiego ciała — tylko lśniąca, bezgłowa zwoje gigantycznej żmii.

# Wieża słonia

## 1.

Pochodnie rzucały przyćmiony blask na wąskie uliczki Maul, gdzie złodzieje z całego Wschodu hulali do białego dnia. W Maul mogli szaleć i hałasować do woli, bo uczciwi ludzie unikali tej dzielnicy, a nocne stráže, sownie opłacane splamionymi krwią pieniędzmi, nie wtrącały się do ich zabaw. Krętymi ulicami bez trotuarów, pokrytymi stertami odpadków, pełnymi błotnistych kałuż, przetaczał się zgiełkliwy, pijany tłum. Z mrocznych zaułków dobiegały przenikliwe śmiechy kobiet, odgłosy szarpaniny, czasem brzęk stali. Przez szeroko otwarte okna i drzwi wydostawało się światło świec, dolatywał kwaśny odór wina i spoconych ciał, łomot kufli i pięści tłukących o toporne stoły oraz zapierające dech w piersiach strzępy sprośnych piosenek.

W jednej z takich rozbrzmiewających gwarem spelunek, pod niską, okopconą powałą zebrali się obwiesie wszelkiej maści: drobni łotrzykowie, przebiegli porywacze, złodzieje o zręcznych palcach i chełpliwi awanturnicy ze swymi krzykliwie odzianymi dziewczkami o piskliwych głosach. Wśród rzezimieszków przeważali tubylcy — ciemnoskórzy, czarnoocy Zamoranie, noszący sztylety u pasa i zdradę w sercu, lecz nie brakło tu też zbójców z pół tuzina odległych krain. Był małomówny, groźny olbrzym — hyperborejski renegat z szablą o szerokiej klindze u boku — w Maul broń noszono otwarcie. Był shemicki fałszerz z haczykowatym nosem i kędzierzawą kruczoczną brodą. Bezwstydna dziewczka z Brythunii siedziała na kolanach brązowowłosego Gundera — najemnika i włóczęgi, dezertera z jakiejś pobitej armii. Tłusty rubaszny łotr, którego sprośne żarty wywoływały śmiech zebranych, był zawodowym porywaczem, przybyłym z odległego Koth, by pokazać Zamoranom, jak się kradnie kobiety. Nie zdawał sobie sprawy, że tubylcy rodzili się, wiedząc o tym więcej, niż on nauczył się przez całe życie.

Właśnie przerwał opisywanie wdzięków dziewczyny, którą

zamierzał porwać i zanurzył swój opasył pysk w ogromnym kuflu pianistego piwa. Pociągnął z niego tęgi łyk i zdmuchując pianę z wydętych warg powiedział:

— Na Bela, boga wszystkich złodziei, pokażę im, jak się kradnie dziewczki! Jeszcze przed świtem przewiozę ją przez granicę Zamory, a tam będzie czekała karawana, by ją odebrać. Książę Ophiru obiecał mi trzysta sztuk srebra za młodą, gładką Brythunkę szlchetnego rodu. Przez kilka tygodni wędrowałem jako żebrak po nadgranicznych miastach, szukając odpowiedniej kobiety. Znalazłem naprawdę piękną sztukę!

Wysłał obleśny całus w powietrze.

— Znam w Shemie takich, którzy nie zamieniliby jej nawet na tajemnicę Wieży Słonia! — powiedział, wracając do swego piwa.

Ktoś pociągnął go za rękaw i tłusty obwieś odwrócił głowę, marszcząc się groźnie. Zobaczył stojącego obok wysokiego, silnie zbudowanego młodzieńca. Przybysz wyróżniał się wśród zgromadzonej w speluncie gawiedzi, jak szary wilk

wśród stada nędznych kundli. Tania tunika nie ukrywała potężnych mięśni, ciasno opinając szerokie bary i masywny tors właściciela. Pod spadającą na czoło strzechą czarnych, rozwichrzonych włosów niebieskie oczy spoglądały przenikliwie z opalonej na brąz twarzy. Młodzieniec nosił u pasa długi miecz w wytartej skórzanej pochwie. Kothijczyk cofnął się bezwiednie — przybysz nie należał do żadnej ze znanych mu, cywilizowanych ras.

— Mówiłeś o Wieży Słonia — powiedział obcy po zamorańsku z silnym cudzoziemskim akcentem. — Wiele o niej słyszałem. Co to za tajemnica?

W zachowaniu młodzieńca Kothijczyk nie wyczuwał żadnej groźby, a wypite piwo i wyraźna aprobatą słuchaczy dodały mu odwagi. Rozpierało go poczucie własnej ważności.

— Tajemnica Wieży Słonia? — wykrzyknął. — Ba, nawet dziecko wie, że zamieszkuje w niej kapłan Yara, który posiada olbrzymi kamień zwany Sercem Słonia, zapewniający mu magiczną moc!

Barbarzyńca przetrawiał przez chwilę te informacje.

— Widziałem tę wieżę — powiedział w końcu. — Stoi w rozległym ogrodzie otoczonym wysokim murem. Nie widziałem żadnych strażników, a mur wydaje się nietrudny do przejścia. Dlaczego jeszcze

nikt nie ukradł tego tajemniczego klejnotu?

Kothijczyk rozdziawił usta, zdziwiony prostodusznością pytającego, a później wybuchnął szyderczym śmiechem, do którego przyłączyli się wszyscy zebrani.

— Słuchajcie no tego poganina! — zagrział. — On chciałby ukraść klejnot Yary! Słuchaj, chłopcze — rzekł, zwracając się do przybysza. — Sądzę, że jesteś barbarzyńcą z północy...

— Jestem Cymeryjczykiem — odparł młodzian niezbyt przyjacielskim tonem.

Ta odpowiedź i jej ton niewiele znaczący dla Kothijczyka, który pochodził z królestwa leżącego daleko na południu, u granic Shemu i mało wiedział o ludach północy.

— Zatem nastaw ucha i naucz się czegoś, chłopcze — powiedział, wskazując kuflem na zmieszanego młodzieńca. — Wiedz, że w Zamorze, a szczególnie w tym mieście, jest więcej zuchwałych złodziei niż gdziekolwiek na świecie, nawet w Koth. Gdyby zwykły śmiertelnik mógł ukraść klejnot, bądź pewien, że już dawno ktoś by go zwędził. Chciałbyś przejść przez mur, ale gdybyś to zrobił, natychmiast zapragnąłbyś

wrócić z powrotem. Z pewnej istotnej przyczyny w ogrodach nie ma nocnych straży, to znaczy nie pilnują ich ludzie, ale w dolnej części wieży, w wartowni jest wielu zbrojnych. Nawet gdyby udało ci się ominąć pilnujące ogrodu zwierzęta, musiałbyś jeszcze przedrzeć się przez żołnierzy, bo klejnot znajduje się gdzieś w górnej części wieży.

— Gdyby jednak ktoś zdołał przejść przez ogrody — nalegał Cymeryjczyk — dlaczego nie miałby dostać się do wieży od góry, omijając w ten sposób strażę?

Kothijczyk ponownie rozdziawił usta ze zdziwienia.

— Słuchajcie no tylko! — krzyknął drwiąco. — Ten barbarzyńca to orzeł, który dofrunie do wysadzanej klejnotami krawędzi wieży, zaledwie pięćdziesiąt metrów nad ziemią — a może mucha, która potrafi wspiąć się tam po okrągłej, gładziej niż polerowane szkło ścianie!

Zaambarasowany Cymeryjczyk spojrział gniewnie wokół, gdy słuchacze skwitowali ostatnią uwagę wybuchem szyderczego śmiechu. On nie widział w tym nic śmiesznego, a nie był jeszcze na tyle obyty z cywilizacją, by zrozumieć, że stał się przedmiotem drwin. Cywilizowani ludzie są z reguły bardziej nieuprzejmi niż dzicy, ponieważ wiedzą, że

mogą być niegrzeczni, nie przypłacając tego rozłupaną czaszką. Zmieszany i dotknięty młodzian niewątpliwie umknąłby chyłkiem, lecz Kothijczyk najwidoczniej postanowił dalej bawić się jego kosztem.

— No, no! — zakrzyknął. — Powiedz tym niedołęgom, którzy byli złodziejami już w dniu twych narodzin, powiedz im, jak ty ukradłbyś klejnot!

— Zawsze jest jakiś sposób, jeżeli chęć idzie w parze z odwagą — odparł krótko rozdrażniony Cymeryjczyk.

Kothijczyk potraktował to jako osobistą zniewagę. Jego twarz poczerwieniała z gniewu.

— Co?! — ryknął. — Śmiesz nas pouczać i dawać do zrozumienia, że jesteśmy tchórzami? Zjeżdżaj stąd, zjeżdż mi z oczu!

To mówiąc gwałtownie popchnął Cymeryjczyka.

— Będziesz mnie wyśmiewał i popychał? — zgrzytnął zębami barbarzyńca i w nagłym porywie wściekłości wymierzył dręczycielowi silny policzek, powalając go na toporny stół.

Piwo trysnęło z kufli, a rozjuszony Kothijczyk z rykiem chwycił za miecz.

— Pogański psie! — zagrzmiął. — Wyrwę ci za to serce!

Błysnęła stal i zgromadzeni poczęli umykać pospiesznie pod ściany. Uciekający przewrócili jedyną świecę i spelunka pogrążyła się w ciemnościach przeszywanych przez trzask wywracanych ław, tupot nóg, wrzaski i przekleństwa zderzających się ze sobą ludzi. Przeraźliwy krzyk zakończony jękiem agonii przeciął hałas jak nożem. Kiedy ponownie zapalono świecę okazało się, że większość gości umknęła przez wybite okna i drzwi, a pozostali kulili się za rzędami beczulek z winem i pod stołami. Barbarzyńca zniknął; na środku sali został tylko Kothijczyk. Był martwy — Cymeryjczyk z niezawodnym wyczuciem zabił go w ciemnościach i zamieszaniu.



## 2.

Przyćmione światła i pijackie wrzaski pozostały daleko w tyle. Cymeryjczyk odrzucił rozdartą tunikę i szedł przez nocny mrok nago, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach i rzemiennych sandałów. Szedł cicho, zwinny i groźny jak wielki kot, a żelazne mięśnie grały pod jego brązową od słońca skórą. Dotarł do części miasta zajmowanej przez świątynie. Nie zwracał na nie uwagi. Ze wszystkich stron przybytki niezliczonych, dziwnych bogów Zamory lśniły bielą marmurowych kolumn, złotem kopuł i srebrem wyniosłych arkad. Wiedział, że religia zamorańska, jak wszystko, co dotyczyło tego starożytnego, osiadłego tu od dawna ludu, była zawiła i zagubiła większość swej pierwotnej istoty w labiryncie formuł i nakazów. Pewnego razu przez długie godziny przysłuchiwał się dyskusji uczonych mężów — teologów i filozofów — aż wreszcie odszedł oszołomiony, święcie przekonany, że wszyscy oni są stuknięci. Jego religia była prosta i łatwa do zrozumienia — Krom, wódz bogów, zamieszkiwał szczyt ogromnej góry, z której zsyłał zniszczenie i śmierć. Nie miało sensu go wzywać, ponieważ był ponury, dziki nienawidził słabeuszy. Jednak obdarzał mężczyznę przy narodzinach odwagą, wolą i mocą zabijania wrogów, a w przekonaniu Cymeryjczyka nie należało więcej wymagać od żadnego boga.

Obute w sandały stopy barbarzyńcy stąpały cicho po bruku. Nie napotkał nocnych straży, nawet zuchwali złodzieje w Maul omijali dzielnice świątyń, gdzie tajemnicza śmierć spotykała usiłujących splądrować święte przybytki świętokradców. Wreszcie zobaczył przed sobą strzelającą w niebo Wieżę Słonia. Młodzieniec zadumał się przez chwilę nad tą dziwaczną nazwą. Nigdy nie widział słonia, ale mętnie wyobrażał sobie, że jest to olbrzymie zwierzę, mające ogon z przodu i z tyłu. Tyle powiedział mu shemicki włóczęga, przysięgając, że widział takie stwory tysiącami w Hyrkanii, ale wszyscy wiedzą, jakimi łgarzami są Shemici. W każdym razie w Zamorze nie było słoni.

Lśniącą kolumna wieży wzbijała się w rozgwieżdżone niebo. W świetle dziennym błyszcząca wprost oślepiająco i ludzie, mrużąc oczy, mówili, że zbudowano ją ze szczerego srebra. Smukła, idealnie

walcowata, wznosiła się na pięćdziesiąt metrów w górę, a jej wysadzana klejnotami krawędź iskrzyła się w nikłym świetle gwiazd. U stóp wieży falowały egzotyczne drzewa i krzewy górującego nad miastem ogrodu otoczonego wysokimi murami — zewnętrznym, biegnącym wokół, i wewnętrznym, oddzielającym wieżę i wyżej położone tarasy. Nigdzie nie dostrzegł światła. Wyglądało na to, że budowla jest zupełnie pozbawiona okien, przynajmniej w swojej górnej, nie zasłoniętej przez wysoki mur części. W zimnym blasku gwiazd jej wierzchołek jarzył się łuną tysięcy migoczących kamieni.

Przed zewnętrznym murem rosły gęste krzaki. Cymeryjczyk podkradł się tam i stojąc przed przeszkodą, zmierzył ją spojrzeniem. Mur był wysoki, lecz podskoczywszy zdołałby dosięgnąć palcami krawędzi. Następnie z dziecinną łatwością mógłby podciągnąć się w górę i przeskoczyć na drugą stronę, a nie wątpił, że w ten sam sposób może pokonać mur wewnętrzny. Wahał się jednak, zastanawiając się nad nieznanymi niebezpieczeństwami oczekującymi go w ogrodach. Wiele słyszał o tajemnicach zachodnich królestw — Brythunii; Nemedii, Akwilonii i Koth, lecz ci należący do zupełnie innej rasy południowcy wydawali mu się jeszcze dziwniejsi i bardziej zagadkowi. Zamoranie byli niezwykle starym i, z tego co wiedział, hołdującym złu ludem.

Pomyślał o Yarze, arcykapłanie żyjącym samotnie w tej wysadzonej klejnotami wieży i na wspomnienie opowieści pijanego giermka dreszcz przebiegł po plecach barbarzyńcy. Dworzanin opowiadał, jak Yara śmiał się wrogo usposobionemu księciu w twarz, a potem uniósł płonący zimnym światłem kamień, z którego trysnęły oślepiające płomienie, otaczając nieszczęśnika. Książę wrzasnął i upadł, a jego ciało zmieniło się w niewielką, poczerniałą bryłkę, która zamieniła się z kolei w czarnego pająka biegającego po komnacie, dopóki czarownik nie zmiażdżył go obcasem. Arcykapłan rzadko opuszczał swą magiczną wieżę; z reguły tylko po to, by rzucić zły czar na któregoś ze swych wrogów. Król Zamory lękał się go bardziej niż śmierci, a ponieważ na trzeźwo nie mógł znieść strachu, pił bez przerwy, niemal nigdy nie trzeźwiejąc. Yara był bardzo stary, ludzie mówili, że ma setki lat i dodawali, że dzięki swemu magicznemu kamieniowi, zwanemu Sercem Słonia, będzie żył wiecznie. O tym kamieniu nie wiedziano nic pewnego, a swoją nazwę otrzymał z tego powodu, że wieżę, w której był przechowywany przez arcykapłana,

nazywano Wieżą Słonia.

Pograżony w tych rozmyślaniach Cymeryjczyk przywarł nagle do muru. Ktoś przechodził przez ogród, stąpając ciężkim, miarowym krokiem. Młodzieniec posłyszał szcęk żelaza. A jednak strażę strzegły ogrodu! Barbarzyńca nasłuchiwał, chcąc ponownie usłyszeć kroki strażnika — daremnie. Za ogrodzeniem zaległa głęboka cisza. W końcu ciekawość przemogła lęk. Młodzian podskoczył lekko, uchwycił krawędź muru ręką i jednym skokiem znalazł się na szczycie. Leżąc płasko na szerokim murze, spoglądał na rozległą przestrzeń po drugiej stronie. W pobliżu nie dostrzegł żadnych zarośli, chociaż w oddali dojrzał kilka starannie przystrzyżonych krzewów. W półmroku widział zieloną murawę; gdzieś szemrała fontanna.

Cymeryjczyk ostrożnie opuścił się do ogrodu i dobył miecza, czujnie rozglądając się wokół. Niczym nie osłonięty, stał przyczajony do skoku jak dzikie zwierzę. Cicho przemknął wzdłuż muru, starając się trzymać w cieniu, aż znalazł się w pobliżu krzewów, które zauważył ze szczytu ogrodzenia. Nisko pochylony, pobiegł do nich i prawie przewrócił się, zawadziwszy nogą o coś, co leżało na skraju zarośli. Rozglądając się szybko na boki, nie dostrzegł śladu wroga, więc pochylił się i popatrzył uważnie. Nawet w tym nikłym świetle rozpoznał posrebrzaną zbroję i grzebieniasty hełm zamorańskiej gwardii królewskiej, okrywające zabitego, silnie zbudowanego mężczyznę. Tarcza i włócznia leżały obok. Barbarzyńca pobieżnie obejrzał trupa i stwierdziwszy, że gwardzista został uduszony, z niepokojem popatrzył wokół. Wiedział, że kroki tego strażnika słyszał uprzednio. Od tej chwili nie upłynęło wiele czasu, a jednak czyjeś ręce w ciemnościach bezszelestnie zabiły silnego mężczyznę.

Wytężając wzrok, Cymeryjczyk mimo gęstego mroku dojrzał lekko poruszające się liście w zaroślach pod murem. Ściskając obnażony miecz, ruszył w tym kierunku. Chociaż nie robił przy tym więcej hałasu niż polująca pantera, jednak człowiek, do którego się skradał, usłyszał go. Młodzieniec zobaczył niewyraźny, krępy kształt przyczajony pod ścianą i poczuł ulgę, widząc, że to człowiek. Ze zduszonym okrzykiem strachu nieznamy odwrócił się błyskawicznie i zrobił ruch, jakby zamierzał rzucić się barbarzyńcy do gardła, lecz zatrzymał się, zauważywszy matowo lśniące w świetle gwiazd ostrze. Przez krótką, pełną napięcia

chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu.

— Nie jesteś żołnierzem — szepnął w końcu obcy. — Jesteś złodziejem jak ja.

— Kim jesteś? — spytał podejrzliwie Cymeryjczyk.

— Taurus z Nemedii.

Młodzieniec opuścił miecz.

— Słyszałem o tobie. Nazywają cię księciem złodziei.

Odpowiedział mu cichy śmiech. Taurus dorównywał młodemu barbarzyńcy wzrostem, lecz mimo potężnej tuszy poruszał się zwinnie i cicho na swych bosych stopach. Na ramieniu dźwigał zwój cienkiej, mocnej liny z zawiązanymi w regularnych odstępach węzłami. Jego błyszczące oczy spoglądały bystro na Cymeryjczyka.

— A ty kim jesteś? — spytał szeptem.

— Conan, Cymeryjczyk — odparł zapytany. — Przyszedłem tu, by spróbować ukraść klejnot Yary, ten, który ludzie nazywają Sercem Słonia.

Wielki brzuch złodzieja zatrząsał się od tłumionego śmiechu, ale Conan nie wyczuł w nim drwiny.

— Na Bela, boga złodziei! — syknął Taurus. — Myślałem, że tylko ja mam tyle odwagi, by się na to porwać. Ci Zamoranie nazywają siebie złodziejami. Phi! Conanie, podoba mi się twój hart ducha. Nigdy nie wchodziłem w żadne spótki, lecz

na Bela! — jeśli masz ochotę, możemy spróbować razem ukraść ten klejnot.

— Zatem ty też przyszedłeś tu po kamień Yary?

— A jakże! Od miesięcy układałem plany. Ty, jak widzę, działałeś pod wpływem nagłego impulsu, mój przyjacielu.

— To ty zabiłeś żołnierza?

— Oczywiście. Ześliznąłem się z muru akurat wtedy, kiedy on był w ogrodzie. Ukryłem się w krzakach, lecz usłyszał mnie albo wydawało mu się, że coś usłyszał. Gdy nadszedł, potykając się w mroku, z łatwością zaszedłem go od tyłu, ścisnąłem za kark i zadusiłem. Jak większość ludzi nic nie widział w ciemnościach. Dobry złodziej musi mieć oczy jak kot.

— Popełniłeś jeden błąd — rzekł Conan. — Powinieneś wciągnąć ciało w zarośla.

— Powiedział uczeń do mistrza. Nie zmienią wart aż do północy.

Jeśli ktoś przyjdzie teraz go szukać i znajdzie zwłoki, to pobiegnie natychmiast z wieścią do Yary i zdążymy uciec. Jeżeli go nie znajdą, przeszukają ogród i chwycą nas w pułapkę jak szczury.

— Masz rację — przyznał Cymeryjczyk.

— Pewnie. Teraz słuchaj uważnie. Tracimy czas na tę przekłętą gadaninę. W wewnętrznym ogrodzie nie ma straży. To znaczy nie ma tam ludzi, ale są bardziej niebezpieczni strażnicy. To ich obecność powstrzymała mnie przez tyle miesięcy, lecz w końcu znalazłem sposób, by ich przechytrzyć.

— A co z żołnierzami w dolnej części wieży?

— Stary Yara zamieszkuje wyżej położone komnaty. Mam nadzieję, że uda nam się tam dostać. Nie pytaj jak. Wymyśliłem sposób. Zakradniemy się od góry i udusimy starego, nim zdąży rzucić na nas urok. Musimy spróbować. Zostaniemy zamienieni w pająki lub żaby, albo zdobędziemy nieprzebrane bogactwa i władzę. Każdy dobry złodziej powinien podjąć takie ryzyko.

— Zrobię to, co każdy by zrobił na moim miejscu — rzekł Conan, zdejmując sandały.

— Chodźmy więc.

Taurus odwrócił się, podskoczył i chwyciwszy krawędź muru wciągnął się na górę z zadziwiającą jak na człowieka jego tuszy zwinnością. Wydawało się, że niemal wśliznął się na ogrodzenie. Conan ruszył w jego ślady. Leżąc płasko na szczycie, rozmawiali cichym szeptem.

— Nie widzę żadnych świateł — mruknął Cymeryjczyk.

Dolna część wieży wyglądała tak samo jak górna — idealny, lśniący walec, zupełnie pozbawiony otworów.

— Są tam sprytnie zamaskowane okna i drzwi — odparł Taurus — ale teraz są zamknięte. Żołnierze oddychają powietrzem dochodzącym przez wierzchołek wieży.

Ogród przypominał oblaną mrokiem sadzawkę; cienie pierzastych krzewów i niskich, rozłożystych drzew kołysały się groźnie pod gwiaździstym niebem. Wyczulone zmysły barbarzyńcy ostrzegały go, że wokół czai się niebezpieczeństwo. Czuł na sobie spojrzenie niewidzialnych oczu, a słaby zapach dolatujący do jego nozdrzy sprawił, że włosy stanęły mu na głowie, tak jak jeży się sierść na karku psa,

wietrzącego odwiecznego wroga.

— Za mną — szepnął Taurus. — Trzymaj się blisko, jeśli ci życie miłe.

Wyjąwszy zza pasa coś, co wyglądało jak mosiężna rurka, Nemedyczyk opuścił się cicho na murawę po drugiej stronie. Conan poszedł w jego ślady, trzymając miecz w pogotowiu, lecz Taurus popchnął go lekko z powrotem i sam zatrzymał się również. Tak jak Conan, książę złodziei wpatrywał się w cienisty gąszcz odległych o kilka jardów zarośli, a cała jego postawa zdradzała napięcie i wyczekiwanie. Krzaki zatrzęsły się nagle, chociaż nawet najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszyło gałązkami. W mroku zabłyśły dwa wielkie ślepia, a za nim pojawiły się kolejne czerwone ogniki.

— Lwy! — mruknął Cymeryjczyk.

— Tak. W dzień trzymają je w podziemnych pieczarach pod wieżą. Właśnie dlatego w tym ogrodzie nie ma straży.

Conan pospiesznie przeliczył ślepia.

— Widzę pięć, może być ich więcej. Zaraz zaatakują...

— Cicho! — syknął Taurus i z najwyższą ostrożnością ruszył naprzód, unosząc rurkę.

W zaroślach rozległy się niskie pomruki i płonące ślepia zaczęły się przybliżać. Conan prawie dostrzegł wielkie, rozdziawione paszcze i zakończone chwostami ogony smagające brunatne boki. Napięcie rosnęło, Cymeryjczyk ścisnął w garści miecz, spodziewając się ataku olbrzymich bestii. Wtem Taurus przytknął rurkę do warg i dmuchnął potężnie. Z rurki wytrysnął długi strumień żółtego proszku, zamieniając się natychmiast w gęstą, zielonożółtą chmurę, która zasłoniła krzewy i jarzące się w nich ślepia. Taurus pobiegł z powrotem do muru. Chmura proszku opadła na zarośla, z których nie dobiegał żaden dźwięk. Conan spoglądał z niedowierzaniem.

— Co to za dym? — zapytał niepewnie.

— To śmierć! — syknął Nemedyczyk. — Jeśli wiatr się zerwie i powieje w naszą stronę musimy uciekać za mur. Jednak nie, nie ma wiatru i chmura opada. Poczekajmy, aż opadnie zupełnie. Jeden oddech to śmierć!

Po chwili tylko żółtawe pasma wisały upiornie w powietrzu, później i one zniknęły. Wtedy Taurus gestem zachęcił kompana do

marszu. Podkradli się do zarośli. Conan sapnął widząc pięć olbrzymich, brązowych bestii, rozciągniętych bezwładnie na murawie. W powietrzu unosił się ciężki, słodkawy zapach.

— Zdechły nie wydając dźwięku! — mamrotał barbarzyńca. — Taurusie, co to za proszek?

— To pył z czarnego lotosu, którego kwiaty kwitną tylko w głębokich dżunglach Khitaju, gdzie zamieszkują złotoskórzy kapłani Yun. Te kwiaty zabijają każdego, kto je powącha.

Conan pochylił się nad martwymi zwierzętami, upewniając się, że naprawdę nie są już groźne. Potrząsnął głową; jako barbarzyńca z północy uważał to za niepojęte czary.

— Dlaczego nie zabijesz w ten sposób wszystkich żołnierzy?

— Ponieważ nie mam już więcej proszku. Zdobycie go było wyczynem, który sam w sobie zapewniłby mi sławę wśród złodziei całego świata. Wykradłem go z karawany zmierzającej do Stygii, ze splotów wielkiego węża, gdzie spoczywał w wyszywanej złotem sakwie... lecz chodźmy, na Bela! Nie możemy tracić całej nocy na rozmowy!

Przemknęli do podnóża błyszczącej wieży. Tam Taurus zdjął z ramion sznur z węzłami, zakończony mocnym, stalowym hakiem. Conan pojął jego zamysł i nie zadawał więcej pytań. Nemedyczyk chwycił linę nieco poniżej końca i zakręcił nią nad głową. W tym czasie barbarzyńca przyłożył ucho do ściany i nasłuchiwał, lecz nie usłyszał niczego. Najwidoczniej żołnierze w środku nie podejrzewali obecności intruzów, robiących nie więcej hałasu niż nocny, wiejący wśród drzew wietrzyk. Jednak Conan czuł dziwny niepokój — być może z powodu górującej nad innymi zapachami woni lwów.

Zręcznym ruchem muskularnej ręki Taurus rzucił linę. Hak poleciał w górę i w przód, znikając za wysadzaną klejnotami krawędzią. Najwyraźniej zaczepił o coś, bo najpierw ostrożne, a później mocne pociągnięcia nie spowodowały opadnięcia liny.

— Mamy fart, już za pierwszym razem — mruknął Taurus.

— Ja Tylko pierwotny instynkt ostrzegł barbarzyńcę i kazał mu odwrócić się gwałtownie, bo śmierć nadciągnęła bezszelestnie. Młodzieniec ujrzał olbrzymi, brunatny kształt szykującej się do morderczego ataku bestii. Żaden cywilizowany człowiek nie zareagowałby nawet w połowie tak szybko, jak uczynił to Cymeryjczyk.

Jego miecz błysnął blado w świetle gwiazd i opadł z całą siłą. Człowiek i zwierzę runęli razem.

Klnąc cicho, Taurus pochylił się nad nimi i zobaczył, że towarzysz rusza się i usiłuje wydobyć spod olbrzymiego cielska. Zdumiony Nemedyczyk spostrzegł, że lew jest martwy, a jego czaszka rozcięta potężnym ciosem na dwoje. Pomógł Cymeryjczykowi wydostać się spod ścierwa. Conan chwiejnie podniósł się na nogi, wciąż ściskając okrwawiony miecz.

— Człowieku, jesteś ranny? — wykrztusił Taurus oszołomiony zapierającą dech w piersiach szybkością wydarzeń.

— Na Kroma, nie! — odparł barbarzyńca. — Lecz śmierć była bardzo blisko, jak na taki zaciszny zakątek. Dlaczego ta przekłeta bestia nawet nie warknęła?

— W tym ogrodzie wszystko jest dziwne — odrzekł Taurus. — Lwy atakują po cichu i nie tylko lwy. Chodź! Zabiłeś go bez hałasu, ale żołnierze mogli coś usłyszeć, chyba że śpią lub są pijani. Ten lew musiał być w innej części ogrodu i uniknął śmierci od proszku, ale jestem pewien, że to już ostatni. Musimy się wspiąć po linie. Chyba nie ma potrzeby pytać Cymeryjczyka, czy potrafi?

— Jeśli tylko utrzyma mój ciężar — przytaknął Conan, wycierając miecz o trawę.

— Wytrzyma ciężar trzech takich jak ja — odparł książę złodziei. — Spleciono ją z włosów martwych kobiet i wymoczono w straszliwym soku drzewa upas, by dać jej moc. Pójdę pierwszy, ty idź zaraz za mną.

Nemedyczyk chwycił linę i przełożywszy ją sobie pod kolanem rozpoczął wspinaczkę. Mimo swej potężnej tuszy piął się w górę jak kot. Conan dotrzymywał mu kroku. Lina kręciła się i kołysała, lecz awanturnikom to nie przeszkadzało. Obaj wspinali się już w trudniejszych warunkach. Wysoko nad nimi migotała wysadzana klejnotami krawędź, wystająca nieco poza gładką, srebrną powierzchnię ściany tak, że lina zwisała swobodnie, co znacznie ułatwiało wspinaczkę.

Posuwali się szybko, wciąż wyżej i wyżej. W dole rozciągała się nocna panorama miasta, a gwiazdy nad ich głowami blakły, z wolna przyćmiewane blaskiem drogich kamieni na szczycie wieży. Wreszcie Taurus wyciągnął rękę i pochwyciwszy krawędź wdrapał się na blanki. Cymeryjczyk zatrzymał się na chwilę urzeczony migotliwym światłem



klejnotów: diamentów, rubinów, szmaragdów, turkusów, szafirów tkwiących gęsto w lśniącym srebrze. Z daleka ich różnobarwny blask stapał się w pulsującą, białą łunę, lecz teraz, z bliska, jarzyły się milionem tęczyowych odcieni, fascynując go swym iskrzeniem.

— Tu jest bajeczna fortuna, Taurusie — szepnął, lecz Nemedyczyk odparł niecierpliwie: — Chodź! To wszystko będzie nasze, jeżeli zdobędziemy Serce!

Conan wdrapał się na roziskrzoną krawędź. Strop Wieży Słonia znajdował się ponad metr poniżej inkrustowanego występu. Płaski dach pokryto jakąś ciemnoniebieską substancją i wyłożono złotem, tak że całość wyglądała jak z szafiru obsypanego błyszczącym, żółtym piaskiem. Patrząc na drugi koniec dachu, zobaczyli niewielką, prostokątną budowlę. Jej ściany były z tego samego materiału, co mury wieży, tylko zdobiące je klejnoty poutykano rzadziej. Dostrzegli złote drzwi, o powierzchni rzeźbionej w wielkie łuski nabijane lśniącymi mroźnie jak lód klejnotami.

Conan obrzucił spojrzeniem rozciągające się w dole, pulsujące morze światła i popatrzył na Taurusa. Nemedyczyk wciągał i związał linę. Pokazał Conanowi, gdzie zaczepił się hak. Tylko ułamek cała hartowanego ostrza wbił się pod jeden ze zdobiących blanki kamieni.

— Znowu mieliśmy szczęście — mruknął. — Ciężar naszych ciał powinien wyrwać ten klejnot. Chodźmy, prawdziwe niebezpieczeństwa dopiero się zaczną. Jesteśmy w legowisku bestii i nie wiemy, gdzie się ukrywa.

Cicho jak koty podeszli do złotych drzwi. Taurus pchnął je lekko i ostrożnie. Ustąpiły bez trudu i kompani zajrzeli do środka, napięci, przygotowani na wszystko. Cymeryjczyk spojrział przez ramię współnika i zobaczył komnatę o ścianach wyłożonych od podłogi po sufit sporymi, jasno świecącymi kamieniami, które stanowiły jedyne źródło światła. Pomieszczenie wyglądało na nie zamieszkałe.

— Nim odetniemy sobie drogę ucieczki — syknął Taurus — podejdź jeszcze raz do krawędzi i rozejrzyj się na wszystkie strony. Jeśli zobaczysz żołnierzy kręcących się po ogrodach lub w ogóle coś podejrzanego, to wróć i powiedz mi. Będę czekał na ciebie w tej komnacie.

Conan nie widział w tym sensu i w jego umyśle zrodziło się słabe

podejrzenie, ale posłuchał kompana. Nemedyczyk wśliznął się do środka i zamknął za sobą drzwi. Conan przez chwilę spoglądał na ogród otaczający Wieżę Słonia, po czym wrócił pod drzwi komnaty, nie zauważywszy w gąszczu liści na dole żadnego podejrzanego ruchu. Gdy zbliżał się do nich, we wnętrzu rozległ się zduszony krzyk. Cymeryjczyk skoczył naprzód. W tej samej chwili błyszcząca furta otworzyła się i stanął w niej Taurus obramowany zimnym światłem komnaty. Zachwiał się, otworzył usta, lecz wydobyło się z nich tylko chrapliwe westchnienie. Czepiając się kurczowo framugi, wyszedł na zewnątrz i upadł na twarz, trzymając się za gardło. Drzwi za nim zamknęły się same. Przez tę krótką chwilę przyczajony do skoku Conan nie dostrzegł nikogo w komnacie, chyba że cień, który przesunął się po błyszczącej posadzce nie był złudzeniem. Nikt nie wybiegł za Taurusem na dach. Cymeryjczyk pochylił się nad współnikiem.

Nemedyczyk wpatrywał się w niebo rozszerzonymi, pustymi oczami, w których widniało straszliwe zdziwienie. Rękami ścisnął gardło; nagle piana pojawiła mu się na wargach, zbulgotał i skonał na oczach oszołomionego barbarzyńcy. Conan spojrzął czujnie na złote drzwi. W tej opuszczonej komnacie o migoczących, inkrustowanych ścianach śmierć dopadła księcia złodziei tak nagle i bezszelestnie, jak lew atakujący w ogrodzie otaczającym wieżę. Conan czuł, że Taurus zginął, nie znając przyczyny swej zguby.

Cymeryjczyk ostrożnie przesunął rękami po półnagim ciele kompana, szukając rany. Wysoko między łopatkami, prawie u nasady szyi, znalazł ślady przemocy — trzy małe ranki wyglądające tak, jakby ktoś wbił i wyciągnął trzy paznokcie. Brzegi ran poczerniały i dochodził z nich słaby zapach zgnilizny.

— Zatrute strzały? — pomyślał Conan. — Tylko że te musiałyby nadal tkwić w ciele...

Ostrożnie podszedł do rzeźbionych drzwi, otworzył je pchnięciem i zajrzał do środka. Komnata stała pusta, skąpana w zimnym, pulsującym blasku miriada klejnotów. Na samym środku sklepienia mimochodem zauważył dziwny ornament — czarny, ośmioboczny znak z osadzonymi w nim czterema kamieniami, płonącymi czerwonym blaskiem, różniącym się od jasnej poświaty ścian i podłogi. Po drugiej stronie pomieszczenia znajdowały się następne drzwi — podobne do

pierwszych, lecz gładkie, bez łuskowatego wzoru. Czy to stamtąd przyszła śmierć i tam się ukryła po powaleniu ofiary?

Conan wszedł do komnaty, zamykając za sobą drzwi. Jego bose stopy stąpały bezgłośnie po gładkiej posadzce. W pokoju nie było ław ani stołów, stały tu tylko cztery sofy, pokryte złotogłowiem i ozdobione dziwnymi, wijącymi się deseniami oraz kilka okutych srebrem, mahoniowych kufrów. Niektóre z nich zamknięto na potężne zamki, inne stały otworem, a ich odchylone wieka ukazywały zdumionym oczom barbarzyńcy stosy wspaniałych klejnotów. Conan zaklął w duchu, gdyż tej nocy widział już więcej bogactw, niż się spodziewał w najśmielszych marzeniach. Na myśl o wartości tych porzuconych niedbale skarbów młody Cymeryjczyk popadł w oszołomienie.

Właśnie dotarł na środek komnaty, krocząc wolno i z czujnie pochyloną głową, gdy śmierć uderzyła ponownie. Tylko przemykający po podłodze cień i instynktowny unik uratowały życie Conana. Kątem oka dojrzał włochatego, czarnego potwora przelatującego nad nim z kłapieniem pokrytych pianą szczęk i na nagie ramię młodzieńca kapnęło coś, co paliło jak krople płynnego ognia. Odskoczył w tył i unosząc miecz zobaczył, że stwór opada na podłogę, zawraca i pędzi ku niemu ze zdumiewającą szybkością!

Gigantyczny, czarny pająk szarżował jak odyniec na swych ośmiu grubych, włochatych nogach, kapiąc jadem z ohydnej paszczęki, łypiąc złowieszczo czworgiem płonących ślepi, w których czaiła się straszliwa inteligencja. Conan zrozumiał, że piekący ból w ramieniu — na które padło tylko kilka kropel trucizny podczas nieudanego ataku — świadczy, że jad potwora niesie gwałtowną śmierć. To ten pająk opuścił się ze swej grzędy pod sufitem na kark Nemedyczyka i zabił go. Głupcy! — nie podejrzewali, że górne komnaty również są strzeżone!

Wszystkie te myśli przemknęły przez głowę Cymeryjczyka, gdy pająk nacierał. Conan podskoczył wysoko i potwór przebiegł pod nim, zawrócił i znowu zaatakował. Tym razem młody barbarzyńca błyskawicznie odskoczył w bok i ciął mieczem. Ostrze odrąbało jedną z włochatych nóg i ponownie Conan z trudem uniknął kłapiących szczęk. Stwór przebiegł po kryształowej posadzce i wspiął się pod sufit. Przyczał się w górze i przez chwilę spoglądał na człowieka chytrymi, czerwonymi ślepiami. Nagle rzucił się w powietrze, ciągnąc za sobą

pasmo szarawej pajęczyny.

Conan cofnął się i skoczył gwałtownie, unikając oplątania. Pojął plan potwora i popędził do drzwi, lecz pajak był szybszy. Lepkie pasmo przeciągnięte przez framugę uwięziło człowieka w komnacie. Cymeryjczyk nie próbował przeciąć pajęczyny mieczem. Wiedział, że ostrze przylgnie do kleistej substancji i nim zdoła je oderwać, bestia zatopi mu kły w plecach.

Rozpoczął się zaciekły pojedynek — inteligencji i zręczności człowieka przeciw sprytowi i szybkości potwora. Pajak nie atakował już bezpośrednio ani po podłodze, ani w powietrzu. Biegał szybko po ścianach i suficie wysnuwając z piekielną zmysłnością długie pętle lepkiej pajęczyny, usiłując pochwycić w nie intruza. Pasma miały grubość sznura i Conan wiedział, że jeśli raz w nie wpadnie, to cała jego siła nie wystarczy, by się wyrwać i odeprzeć atak bestii.

Straszliwe zmagania toczyły się w zupełnej ciszy, przerywanej jedynie przez szybkie oddechy i szuranie bosych stóp człowieka oraz suche kłapanie szczęk poczwarnego strażnika komnaty. Szare pasma leżały w zwojach na podłodze, zwisały ze ścian i sufitu, długimi festonami opadając na kufry ze skarbami. Bystre oczy i stalowe mięśnie Conana trzymały go przy życiu, ale lepkie pętle otaczały go tak ciasno, że wciąż dotykał ich nagim ciałem. Wiedział, że nie może w nieskończoność unikać zguby; musiał zważać nie tylko na potwora, lecz także na zwisające i leżące wokół pajęczyny. Wcześniej czy później lepkie pasmo owinie go jak wąż i omotany niczym mucha znajdzie się na łasce pająka.

Włochaty stwór pędził po podłodze komnaty, ciągnąc za sobą szary sznur. Conan wyskoczył w górę przesadzając sofę, lecz bestia wyczuwając jego zamiar zawróciła gwałtownie i wbiegła na ścianę, unosząc z posadzki pajęczynę, która jak żywa istota owinęła się wokół kostki Cymeryjczyka. Upadł jak długi, szarpiąc się szaleńczo w giętkim, mocnym oplocie. Czarny pajak ruszył w dół, by dokończyć dzieła. Rozwścieczony barbarzyńca pochwycił napełniony klejnotami kufer i cisnął nim z całej siły. Potężny pocisk uderzył ze stłumionym, mdlącym chrzęstem w sam środek ohydneho cielska. Trysnęła krew i zielonkawa maź, zmiażdżone ścierwo spadło na posadzkę razem z rozbitym kufrem. Odrażająca bestia leżała wśród sterty drogocennych kamieni, a jej jarzące się czerwone ślepia szybko gasły.

Conan rozejrzał się wokół i nie dostrzegłszy innego przeciwnika zaczął się oswobadzać z pajęczyny. Kleiste pasma przywierały uporczywie do palców, ale w końcu uwolnił się, podniósł upuszczony przy upadku miecz i klucząc wśród zalegających podłogę zwojów dotarł do drzwi prowadzących do innych partii wieży. Nie miał pojęcia, jakie niebezpieczeństwa oczekują go za nimi, lecz rozgrzany odniesionym przed chwilą zwycięstwem zadecydował, że skoro dotarł już tak daleko i pokonał tyle przeciwności, to powinien doprowadzić sprawę do końca. Ponadto miał wrażenie, że klejnotu, którego szukał, nie znajdzie wśród nieprzebranych skarbów niedbale porozrzucanych w lśniącej komnacie.

Cymeryjczyk poodrywał szare pasma zasnuwające drzwi i stwierdził, że te również, tak jak pierwsze, nie były zamknięte. Zastanowił się przelotnie, czy żołnierze w wartowni na dole nadal nie wiedzieli o jego obecności. Znajdował się wysoko nad nimi, a jeżeli wierzyć opowieściom, to niesamowite odgłosy, wrzaski bólu i przerażenia nie dziwiły tu nikogo. Pomyślał o Yarze i ta myśl sprawiła, że otwierając złote drzwi nie czuł się zbyt pewnie. Za nimi zobaczył jednak tylko szereg srebrnych, wiodących w dół stopni, oświetlonych słabym, nie wiadomo skąd padającym światłem. Z obnażonym mieczem w dłoni począł schodzić ostrożnie, pilnie nasłuchując, lecz nie doleciał go żaden dźwięk. W końcu dotarł do drzwi z kości słoniowej, wysadzanej krwawnikami. Zatrzymał się przed nimi. Nawet najlżejszy szmer nie zakłócał panującej w wieży ciszy, jedynie cienkie pasemka dymu sączyły się spod progu, niosąc egzotyczny, nieznanym Cymeryjczykowi zapach. Kręte schody opuszczały się w dół, ginąc w mroku. Conan miał dziwne wrażenie, że jest jedyną żywą istotą w wieży zamieszkałej przez duchy i widma.

### 3.

Lekko pchnięte drzwi z kości słoniowej uchylły się bezszelestnie i barbarzyńca stanął na błyszczącym progu, przyczajony jak wilk i jak ten drapieżnik gotowy natychmiast podjąć walkę lub uciec. Spoglądał na rozległą komnatę o kopulastym, złożonym sklepieniu. Ściany wyłożono zielonym nefrytem, a podłogę ze słoniowej kości pokrywały grube dywany. Dym i woń egzotycznego kadzidła unosiły się z zawieszanej na złotym trójnogu kadzielnicy, a za nią na marmurowym postumencie spoczywał przedziwny bożek. Conan spoglądał ze zdumieniem — stwór, chociaż zielonej barwy, miał ciało mężczyzny, lecz jego szkaradna głowa wyglądała jak wzięta z koszmarnego snu — nieproporcjonalnie duża i zupełnie pozbawiona cech ludzkich. Cymeryjczyk zobaczył szeroko rozpostarte uszy i wygiętą trąbę, po obu stronach której sterczały białe kły, zakończone okrągłymi, złotymi kulami. Postać miała zamknięte oczy jak we śnie.

To dlatego siedzibę Yary nazywano Wieżą Słonia! Istotnie głowa bożka bardzo przypominała opisaną przez wędrownego Shemitę zwierzę. Oto bóg Yary; gdzie więc może być klejnot zwany Sercem Słonia, jeśli nie ukryty w tym posągu?

Conan ruszył naprzód wpatrzony w posąg. Nagle stwór otworzył oczy!

Cymeryjczyk zamarł w pół kroku. To nie posąg, to żywa istota! To pułapka! — przemknęło mu przez głowę.

O tym, jak bardzo się przeraził, świadczy fakt, że przez chwilę nie był zdolny do żadnego działania i nie wpadł w morderczy szal. Cywilizowany człowiek na jego miejscu z pewnością doszedłby do wniosku, że oszalał, lecz Conan nie widział powodu by wątpić w swoje zdrowe zmysły. Wiedział, że stoi oko w oko z demonem Starego Świata i to przeświadczenie sparaliżowało go na chwilę.

Trąba potwora uniosła się badawczo i zamglone oczy spojrzały pustym spojrzeniem. Barbarzyńca pojął, że stwór jest ślepy i ta myśl przywróciła mu zdolność działania. Zaczął cicho cofać się do drzwi. Jednak stwór usłyszał go, uniosł trąbę i przemówił niepewnym, dziwnie

monotonnym głosem. Zmrożony Cymeryjczyk zrozumiał, że gardło tej istoty nie zostało stworzone do ludzkiej mowy.

— Kto tu? Znowu przyszedłeś mnie męczyć, Yaro? Czy to się nigdy nie skończy? Och, na Yag-kosha, czy nie ma kresu tym mękom?

Z oczu niewidomego popłynęły łzy i Conan uważniej przyjrzał się ciału, spoczywającemu na marmurowym łożu. Dostrzegł ślady tortur i choć szorstki z natury, ulitował się nad tymi wynędzniałymi członkami, które kiedyś musiały być równie sprawne jak jego własne. Nie miał pojęcia, kim jest niewidomy stwór, lecz widok jego cierpienia przejął Conana szczerym współczuciem i dziwnym żalem. Czuł, że patrzy na ofiarę straszliwej tragedii i wstydził się, jakby spoczywały na nim winy całej ludzkości.

— To nie Yara — powiedział. — Jestem tylko złodziejem. Nie zrobię ci krzywdy.

— Podejdz bliżej... chcę cię dotknąć — wyjąkało stworzenie i młodzieniec podszedł bez obawy, trzymając w opuszczonej dłoni zapomniany miecz. Trąba wyciągnęła się i delikatnie dotknęła jego twarzy i ramion, tak jak ślepiec bada nieznany przedmiot, a jej dotyk był lekki niczym dłoń dziecka.

— Ty nie należysz do tej diabelskiej rasy — westchnęło stworzenie. — Twoja twarz ma czyste rysy synów pustkowia. Znam twój lud od bardzo, bardzo dawna, kiedy nosił jeszcze inne imię, a pod niebo wznosiły się strzeliste wieże nie istniejącej już cywilizacji. Masz krew na rękach.

— Pająk w komnacie powyżej i lew w ogrodzie — mruknął Conan.

— Tej nocy zabiłeś również człowieka — ciągnął stwór — i na szczycie wieży... też... czuję śmierć, tak!

— Masz rację — wymamrotał Cymeryjczyk. — Księżę złodziei leży tam martwy, zabity przez poczwagę.

— Tak! Tak! — drżący, monotony głos brzmiał jak dziwny przyśpiew. — Krew w tawernie i krew na dachu, wiem, czuję to! Trzecia ofiara uczyni czar, o jakim nie śniło się Yarze! Och tak — na zielonych bogów Yag — czar uwolnienia!

Łzy ponownie popłynęły z niewidzących oczu, a udręczone ciało zadygotało, targane gwałtownymi emocjami. Conan patrzył oszołomiony. Niewidomy uspokoił się i rzekł do Cymeryjczyka:

— Słuchaj, człowiecze — powiedział. — Wydaję ci się potwornie brzydki, nieprawdaż? Nie, nie odpowiadaj — wiem. Lecz gdybym cię mógł widzieć, pomyślałbym to samo o tobie. Prócz tej Ziemi istnieje wiele innych światów i życie przybiera różne formy. Nie jestem ani bogiem, ani demonem, tylko istotą z ciała i krwi jak ty, chociaż moje ciało różni się nieco od twojego i jest inaczej ukształtowane. Jestem bardzo stary, o synu pustkowi! Dawno, dawno temu przybyłem na Ziemię z zielonej planety Yag, która krąży przez wieczność na obrzeżu tej galaktyki. Przemknęliśmy przez przestrzeń na potężnych skrzydłach, które przeniosły nas przez kosmos szybciej niż światło, albowiem wojowaliśmy z władcami Yag, przegraliśmy i zostaliśmy wygnani. Nigdy nie zdołaliśmy powrócić, bo na Ziemi skrzydła odpadły z naszych ramion. Osiedliśmy tutaj, daleko od ojczystej planety. Walczyliśmy z dziwnymi, straszliwymi formami życia, jakie wtedy kwitły na Ziemi, tak że zaczęto się nas lękać i wkrótce nikt nie niepokoił nas w mrocznych dżunglach wschodu, gdzie zamieszkaliśmy. Widzieliśmy, jak człowiek powstaje z mały i wznosi wspaniałe miasta Waluzji, Kamelii, Komorii. Widzieliśmy, jak te królestwa chwieją się pod naporem Atlantydów, Piktów i Lemuryjczyków. Byliśmy tu wtedy, gdy ocean podniósł się i zatopił ich państwa, kładąc kres starej cywilizacji. Ocaleli Piktowie i Atlantydzi zbudowali sobie imperium epoki kamiennej, które rozpadło się w krwawych wojnach. Później Piktowie pogrążyli się w otchłań dzikości, a Atlantydzi stoczyli się z powrotem do poziomu małą. Z zimnej krainy lodu nowe rasy napłynęły na południe i stworzyły nową cywilizację, królestwa takie jak Koth, Nemedi, Akwilonia. Wszystko to widzieliśmy. Patrzyliśmy, jak twój lud jednoczy się pod nowym imieniem na ziemiach, które kiedyś należały do Atlantydy, jak potomkowie tych Lemuryjczyków, którzy przeżyli kataklizm tworzą na zachodzie swoje państwo — Hyrkanie. Widzieliśmy też, jak ta przeklęta rasa potomków starożytnej, istniejącej już przed Atlantydą cywilizacji jeszcze raz rośnie w potęgę i buduje królestwo Zamory. Obserwowaliśmy ludzkość przez wieki, nie pomagając i nie przeszkadzając niewzruszonemu prawu kosmosu i umieraliśmy jeden po drugim; bowiem my z Yag nie jesteśmy nieśmiertelni, choć nasze życie trwa tak długo jak gwiazdy i konstelacje. W końcu pozostałem sam pośród zrujnowanych świątyń zagubionego w dżunglach Khitaju, śniąc o dawnych czasach, czczony jako bóg przez



prastarą rasę żółtoskórych. Wtedy

przybył Yara, wprawiony w magicznej sztuce, przekazywanej z pokolenia na pokolenie od dni barbarzyństwa przed zatopieniem Atlantydy. Z początku siedział u mych stóp i pobierał nauki. Jednak czysta wiedza, jaką mu przekazywałem, nie zadowalała go, bowiem pragnął poznać ponure tajemnice czarnej magii, by stać się potężniejszym od królów i zaspokoić rozpierającą go pychę. Nie zdradziłem mu żadnego z sekretów mrocznej wiedzy, jakie przez wieki mimowolnie poznałem. Lecz jego żądza, władzy była silniejsza, niż sądziłem. Podstępem wyuczonym w kryptach Stygii wydobył ze mnie tajemnicę, jakiej nie zamierzałem wyjawić i uwięził mnie, wykorzystując swoją władzę. Ach, na bogów Yag, jakże gorzko popłynęły odtąd moje dni! Zabrał mnie z dżungli, gdzie szare małpy tańczyły przy piszczalkach żółtoskórych kapłanów, a ofiary z wina i owoców stertami składano na mych zrujnowanych ołtarzach. Już nie byłem bogiem miłego mi ludu, zostałem niewolnikiem demona w ludzkim ciele.

Z oślepych oczu ponownie popłynęły łzy.

— Uwięził mnie w tej wieży, którą na jego rozkaz zbudowałem przez jedną noc. Złamał moją wolę ogniem i żelazem oraz straszliwymi torturami ducha, których byś nie zrozumiał. W męce już dawno odebrałbym sobie życie, gdybym mógł. Trzymał mnie tu — udręczonego, oślepionego, załamane — bym spełniał jego życzenia. I przez trzysta lat spełniałem je, siedząc na tym marmurowym łożu, plamiąc mą duszę zbrodniami i kalając mą wiedzę złem, bo nie miałem innego wyboru. Mimo to nie wydarł mi wszystkich tajemnic, a teraz nauczę go Magii Krwi i Klejnotu. Czuję, że mój czas dobiega końca. Ty jesteś ręką Losu. Proszę, weź klejnot, który znajdziesz na tamtym ołtarzu.

Conan odwrócił się i poszedł do wskazanego mu ołtarza ze złota i kości słoniowej. Wziął w ręce wielki, owalny kamień i patrząc na ten przejrzysty, purpurowy kryształ, zrozumiał, że to jest właśnie Serce Słonia.

— Już czas na wielki czar, taki, jakiego Ziemia nie widziała i nie ujrzy po raz drugi przez miliony lat. Na mą krew zaklinam, na ciało zrodzone na zielonej piersi Yag, krążącej sennie przez rozległy kosmos, daleko stąd... Weź swój miecz, człowieku i wytnij me serce. Później ściśnij je tak, by krew spłynęła na czerwony kamień. Zejdź po schodach i wejdź do

hebanowej komnaty, w której siedzi Yara, pogrążony w ponurych snach wywołanych oparami lotosu. Wymów jego imię, a zbudzi się. Wtedy połóż ten klejnot przed nim i powiedz: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar”. Później szybko opuść wieżę. Nie obawiaj się, droga będzie wolna. Yag żyje i umiera inaczej niż ludzie. Pozwól mi wyzwolić się z klatki zniszczonego, ślepego ciała, a znów stanę się Yogahem z Yag, ze wspaniałymi skrzydłami do lotu i nogami do tańca, z oczami zdolnymi widzieć i rękami mogącymi miażdżyć!

Conan podszedł z wahaniem i Yag-kosha, czy też Yogah, czując jego niepewność pokazał mu gdzie uderzyć. Cymeryjczyk zacisnął zęby i głęboko wbił miecz. Krew trysnęła na ostrze i rękę młodzieńca, stwór drgnął gwałtownie i legł nieruchomo. Upewniwszy się, że życie uszło z ciała, Conan przystąpił do ponurego dzieła i szybko wydobył coś, co musiało być sercem dziwnej istoty, chociaż zupełnie nie przypominało ludzkiego. Jeszcze biło, gdy barbarzyńca ścisnął je obiema rękami, trzymając nad jarzącym się klejnotem. Deszcz krwi spadł na kamień. Ku zdziwieniu młodzieńca krew nie spłynęła, lecz wsiąkła w kryształ jak w gąbkę.

Troskliwie trzymając klejnot, Conan odwrócił się i ruszył do wyjścia. Nie oglądał się za siebie, miał tylko wrażenie, że ciało na marmurowym łożu uległo jakiejś niezwyklej przemianie, nie przeznaczonej dla ludzkich oczu. Zamknął za sobą wysadzane krwawnikami drzwi i nie zwlekając zszedł po srebrnych schodach. Nawet nie przyszło mu do głowy, by zlekceważyć prośby Yogaha. Wkrótce stanął przed furtą z mahoni, na której wyrzeźbiono wyszczerzoną w upiornym uśmiechu trupa czaszkę. Uchylił drzwi ostrożnie, i zajrzał do środka. W komnacie o hebanowych ścianach, na czarnym, pokrytym jedwabiem pościeliu spoczywała wychudła postać, otoczona żółtymi oparami lotosu. Miał przed sobą Yarę — kapłana i czarownika. Mag leżał, wpatrując się otwartymi oczami w dal, w jakieś bezdenne otchłanie niedostępne ludzkiej wiedzy.

— Yaro! — rzekł Conan jak sędzia wydający wyrok śmierci. — Zbudź się!

Natychmiast oczy leżącego nabrały wyrazu, stały się zimne i okrutne niczym ślepie sępa. Wysoki, odziany w jedwabne szaty kapłan podniósł się, górując o głowę nad Cymeryjczykiem.

— Psie! — syknął, jak rozzłoszczona żmija. — Co tu robisz?

Conan złożył klejnot na wielkim, hebanowym stole.

— Ten, kto przysłał ten kamień, kazał mi rzec: „Yag-kosha przesyła ci ostatni dar i ostatni czar”.

Yara cofnął się, a jego twarz przybrała barwę popiołu. Klejnot stracił swą przejrzystość — teraz jego mroczne głębie pulsowały drżącym światłem — a po powierzchni przepływały dziwne, mętne fale zmiennych kolorów. Jak przyciągany magnetyczną siłą Yara pochylił się nad stołem i ścisnął kamień w dłoniach, wpatrując się weń hipnotycznym spojrzeniem.

Przyglądający się temu Conan pomyślał, że wzrok płata mu figle. Kiedy Yara wstał, wydawał się olbrzymem, teraz zaś głową ledwie sięgał do ramienia młodzieńca. Conan zamrugał oczami i po raz pierwszy tej nocy zwątpił w swoje zdrowe zmysły. Nagle uświadomił sobie, że czarownik kurczy się w oczach, z każdą chwilą stając się coraz mniejszy.

Cymeryjczyk przyglądał się widowisku, nie wierząc własnym oczom; nie był już pewny niczego, wiedział tylko, że jest świadkiem działania nadnaturalnych sił bezgranicznego kosmosu, przekraczających jego zdolność pojmowania.

Yara był już nie większy od dziecka. Leżał na stole jak niemowlę, wciąż ściskając klejnot. Wreszcie mag zrozumiał, co go czeka i zerwał się na nogi, upuszczając kamień. Mimo to wciąż malał i już po chwili tylko miniaturowa, wymachująca rękami figurka miotła się wściekle po hebanowym stole, wrzeszcząc głosem, który brzmiał jak brzęczenie owada. Skurczył się tak, że Serce Słonia wznosiło się nad nim niczym wzgórze. Conan zobaczył, że kapłan zasłania sobie oczy dłońmi, jakby chciał osłonić je przed blaskiem i zatacza się jak pijany. Zdawało się, że niewidzialna siła przyciąga Yarę do klejnotu. Trzykrotnie próbował wyrwać się z jego mocy i uciec po stole, ale zdołał tylko obieć go coraz węższym kręgiem, po czym z ledwie dosłyszalnym wrzaskiem przerażenia wyrzucił ręce w górę i pobiegł wprost do kryształowej kuli.

Pochylając się nisko, Conan ujrzał Yarę z trudem gramolącego się po gładkiej powierzchni, jak człowiek wspinający się na szklaną górę. W końcu mag stanął na wierzchołku i wyciągnął ręce, wzywając sobie tylko znane, tajemnicze moce. Wtem, jak wciągnięty przez wodne odmęty, zapadł się do wnętrza klejnotu i pochłonięty go fale zmiennych barw. Kamień znów stał się kryształowo przejrzysty i Conan zobaczył

czarownika w samym sercu purpurowej kuli. Patrząc na to Cymeryjczyk miał uczucie, że obserwuje wydarzenie dziejące się gdzieś daleko, w innym wymiarze.

We wnętrzu kryształu pojawiła się zielona postać z głową słonia i wspaniałymi skrzydłami u ramion. Yara uciekał jak szalony, a mściciel deptał mu po piętach. Nagle wielki klejnot rozprysnął się jak mydlana bańka na tysiąc tęczowych iskier. Błat hebanowego stołu pozostał nagi i pusty tak samo — pomyślał Conan — jak marmurowe łoże, na którym spoczywało przedtem ciało dziwnej, kosmicznej istoty zwanej Yag-kosha lub Yogah.

Cymeryjczyk odwrócił się, wypadł z komnaty i zbiegł po schodach. Wstrząśniętemu barbarzyńcy nawet nie przyszło na myśl, by uciekać drogą, którą tu przybył. Kręte, srebrne stopnie doprowadziły go do obszernej komnaty na dole wieży.

Zatrzymał się na moment — znajdował się w wartowni. Płomienie pochodni odbijały się w polerowanych pancerzach żołnierzy, lśniły na inkrustowanych rękojeściach ich mieczy. Jedni siedzieli za biesiadnym stołem, opuściwszy na piersi okryte grzebieniastymi hełmami głowy, inni leżeli bezwładnie na posadzce z lapis-lazuli wśród półmisków i przewróconych bukłaków z winem. Wiedział, że wszyscy są martwi. Yogah obiecał i dotrzymał słowa — strażę posnęły na zawsze, muśnięte cieniem wielkich, zielonych skrzydeł. Conan nie zastanawiał się, jakie czary utorowały mu drogę ucieczki — srebrzyste drzwi stały otworem, ukazując szary świt.

Cymeryjczyk zagłębił się w falujący gąszcz ogrodu, a gdy poranny wiatr przyniósł mu rześki zapach bujnej zieleni, ruszył żwawo jak człowiek zbudzony ze snu. Odwrócił się, by raz jeszcze spojrzeć na tajemniczą wieżę, która dopiero co opuścił. Czy naprawdę była zaczarowana? Czy też może wszystko to mu się przyśniło? Nagle zobaczył, że lśniąca budowla chwieje się na tle purpurowego nieba, a jej wysadzana klejnotami krawędź migocze w blasku poranka. Z przeraźliwym trzaskiem Wieża Słonia rozsypała się w proch.

# Szkarłatna cytadela

1.

*Wreszcie Lwa pojмали na Shamu równinie,  
I skuli żelaznymi łańcuchy w tej krainie,  
I krzyknęli głośno pośród fanfar grania,  
Wołając: „Otóż Lew w klatce się znalazł!”  
Ach biadaż wam nadrzeczne i równinne grody  
Jeśli Lew kiedy znowu ruszy na podchody!*

(ze starej ballady)

Zgiełk bitwy ucichł; okrzyki triumfu mieszały się z jękami konających. Ciała poległych w boju zasłały równinę jak jaskrawo ubarwione liście po jesiennej burzy; w zachodzącym słońcu lśniły polerowane szyszaki, poślacane zbroje, srebrne napierśniki i połamane miecze. Ciężkie jedwabne zwoje królewskich sztandarów poniewierały się w kałużach krzepnącej krwi. Wokół leżały sterty bojowych rumaków i zakutych w stal jeźdźców; rozwiane grzywy i paradne pióropusze były jednak zbroczone posoką. Między nimi i dookoła, niczym zaspas nawiane wiatrem, zalegały pocięte i stratowane ciała w stalowych hełmach i skórzanych kubrakach — łucznicy i pikinierzy.

Triumfalne granie rogów niosło się po równinie, a końskie kopyta miażdżyły ciała poległych, gdy połyskujące stałą szeregi zwycięzców ścigały ze wszystkich stron, niczym szprychy lśniącego koła, do miejsca, gdzie ostatni pozostały przy życiu wojownik nadal toczył nierówny bój.

Tego dnia Conan, król Akwilonii, widział jak rozniesiono, wybito i wycięto w pień kwiat jego rycerstwa. Z pięcioma tysiącami rycerzy przekroczył południowowschodnią granicę Akwilonii i wjechał na trawiaste równiny Ophiru, gdzie przekonał się, iż jego dawny sojusznik, król Ophiru, Amalrus, połączył się przeciw niemu ze Strabonusem, władcą Koth. Conan zbyt późno dostrzegł pułapkę. Zrobił wszystko,

czego mógł dokonać wódz mający pięć tysięcy jazdy przeciw trzydziestotysięcznej armii złożonej z rycerstwa, łuczników i oszczepników.

Nie mając łuczników ani piechoty, rzucił swoich zakutych w stal jeźdźców na nadciągającą konnicę; ujrzał jak nieprzyjacielska jazda ściele się pod kopiami Akwilończyków, którzy rozbili w puch jej szyk i odrzucili w tył rozproszone szeregi, gdy wtem zostali wzięci w kleszcze przez napierające, nienaruszone skrzydła sprzymierzonych armii. Shemiccy łucznicy Strabonusa szerzyli spustoszenie wśród rycerzy Conana, szpikując ich strzałami wymierzonymi w szczeliny pancerzy i powalając konie, a kothyjscy oszczepnicy doskakiwali i zakłuwali spieszonych jeźdźców. Rozbici w pierwszym starciu, odziani w stal lansjerzy ponownie sformowali szyk, wzmocnieni przez posiłki ze skrzydeł, i szarżowali raz po raz, zdobywając pole dzięki swej przewadze liczebnej.

Akwilończycy nie uciekli; zginęli walcząc i z pięciu tysięcy rycerzy, którzy podążyli z Conanem na południe ani jeden nie uszedł z życiem z równiny Shamu. Teraz już tylko sam król stał pośród porąbanych ciał gwardzistów, oparty plecami o stertę końskich i ludzkich ciał. Ophirańscy rycerze w złożonych zbrojach spinali wierzchowce przeskakując przez zwały trupów i próbując zarąbać samotnego wojownika; krępi Shemici o kruczoczarnych brodach i śniadolicy Kothyjczycy atakowali go pieszo. Po placu boju niósł się ogłuszający szcęk stali. Odziany w czarną kolczugę król stał jak opoka pośród napierających wrogów, zadając ciosy niczym rzeźnik tnący wielkim toporem. Wokół jego obutych w żelazo stóp piętrzył się pierścień porąbanych ciał; po poboju co chwilę przebiegał nowy koń bez jeźdźca. Zziajani i przerażeni napastnicy cofali się przed desperacką furją wojownika.

Przez szeregi wyjącej, przeklinającej tłuszczy przepychali się zwycięzcy królowie — Strabonus o szerokiej, śniadej twarzy i rozbieganych oczkach oraz szczupły, wymuskany Amalrus, podstępny i zdradliwy jak żmija; a z nimi chudy jak sęp Tsotha-lanti, odziany w jedwabną togę kapłan o wielkich, czarnych, oczach błyszczących w twarzy o rysach ścierwojada. O tym kothyjskim czarnoksiężniku opowiadano legendy; rozczochrane kobiety w wioskach na północy i na zachodzie kraju straszyły dzieci jego imieniem, a krnąbrnych

niewolników szybciej niż bitem można było zmusić do posłuszeństwa groźbą sprzedania okrutnemu magowi. Powiadano, iż ma on całą bibliotekę czarnoksięskich ksiąg oprawionych w skórę zdartą z żywych ludzi, i że w przepastnych lochach wydrążonych w skale, na której stoi jego zamek, mag handluje z piekielnymi mocami, wymieniając wrzeszczące młode niewolnice za bezbożne sekrety. Czarnoksiężnik był prawdziwym władcą Koth.

Teraz uśmiechnął się blado, widząc jak królowie ściągnęli wodze w bezpiecznej odległości od posępnej, zakutej w żelazo postaci otoczonej wałem trupów. Pod morderczym spojrzeniem niebieskich oczu pałających pod okapem szyszaka kurczyli się najodważniejsi wojownicy. Śniada, poznaczona bliznami twarz Conana pociemniała jeszcze bardziej z wściekłości; jego czarna zbroja była posiekana i zbryzgana posoką, a wielki miecz zakrwawiony aż po jelec. Znalazłszy się w opresji, zrzucił cienką otoczkę cywilizowanej istoty — przed zwycięzcami stał teraz barbarzyńca. Conan był Cymeryjczykiem, jednym z tych dzikich, ponurych górali zamieszkujących posępne, pochmurne ziemie na północy. Droga, jaką przebył nim zasiadł na tronie Akwilonii, stała się tematem wielu legend sławiących jego bohaterstwo.

Tak więc obaj królowie zatrzymali się w bezpiecznej odległości i Strabonus zawołał na swych shemickich łuczników, aby naszpikowali wroga strzałami; władca Koth, dla którego każdy żołnierz był na wagę złota, pinił się ze złości widząc swoich kapitanów kładących się jak łan zboża pod ostrzem Cymeryjczyka. Jednak Tsotha potrzęsął głową.

— Weźcie go żywcem.

— Łatwo powiedzieć! — warknął Strabonus, obawiając się, że ten olbrzym w czarnej zbroi może przedrzeć się jakoś przez nastawione włócznie. — Kto schwyta żywcem tygrysa ludojada? Na Ishtar, on depcze po trupach moich najlepszych fechmistrzów! Wyszkolenie każdego z nich kosztowało siedem lat pracy i góry złota, a teraz leżą tam, na uciechę sępom! Strzelać, powiadam!

— Powtarzam — nie! — warknął Tsotha, zeskakując z konia. Czy jeszcze nie nauczyłeś się, że mój rozum jest potężniejszy od jakiegokolwiek miecza?

Przeszedł przez szeregi pikinierów, a potężni wojownicy w stalowych hełmach i kolczugach rozstępowali się przed nim z lękiem, nie

chcąc dotknąć choćby skraju jego szaty. Równie szybko ustępowali mu z drogi dumni rycerze w szyszakach. Przeszedł przez zwał trupów i stanął twarzą w twarz z posepnym królem. Armie spoglądały na to w grobowej ciszy, wstrzymując oddech. Olbrzymia postać w czarnej kolczudze pochyliła się nad chudym, odzianym w jedwab magiem, a poszczerbiony, zboczony krwią miecz uniósł się do ciosu.

— Ofiarowuję ci życie, Conanie — rzekł Tsotha, a jego głos pobrzmiwał okrutną uciechą.

— A ja dam ci śmierć, czarowniku — warknął król i wielki miecz, poparty mocą stalowych mięśni i szalonej nienawiści, opadł z siłą wystarczającą by przeciąć na pół chudy tors kapłana. Patrzący na to wojownicy wydali okrzyk zgrozy, lecz w tej samej chwili Tsotha zrobił błyskawiczny krok naprzód i dotknął ręką gołego ramienia Conana, w miejscu gdzie rozrębana kolczuga odsłaniała muskuły. Świszczące ostrze zboczyło z drogi, a obleczony w stal olbrzym runął na ziemię i legł bez ruchu. Tsotha zaśmiał się bezgłośnie.

— Bierzcie go i nie lękajcie się; lwu wyrwano kły.

Królowie podjechali bliżej i spojrzeli z podziwem na powalonego giganta. Conan leżał nieruchomo, jak nieżywy, lecz patrzył na nich szeroko otwartymi oczami, pałającymi bezsilną wściekłością.

— Co mu zrobiłeś? — spytał niepewnie Amalrus.

Tsotha pokazał mu szeroki pierścień o dziwnym kształcie. Zwarł palce i z wnętrza pierścienia wyskoczył mały stalowy kieł, niczym język żmii.

— To ostrze pokryte sokiem purpurowego lotosu, rosnącego na nawiedzanych przez duchy bagnach południowej Stygii — rzekł mag. — Ten wywar powoduje chwilowy paraliż. Zakujcie go w łańcuchy i wsadźcie na rydwan. Słońce już zachodzi i czas nam ruszać w drogę do Khorshemish.

Strabonus zwrócił się do swego generała, Arbanusa.

— Wracamy z rannymi do Khorshemish. Pojedzie z nami tylko jeden oddział królewskiej gwardii. Ty masz rozkaz wyruszyć o świcie ku akwilońskiej granicy i zdobyć miasto Shamar. Ophirańczycy dostarczą ci żywność w czasie marszu. Dołączymy do ciebie tak szybko, jak to możliwe, z posiłkami.

Tak więc obie armie — zakuci w stal rycerze, pikinierzy, łucznicy i



obozowe ciury rozłożyli obóz na stepie opodal pobojuwiska. Zaś obaj królowie i mag potężniejszy od jakiegokolwiek władcy ruszyli w gwiaździstą noc ku stolicy Strabonusa, otoczeni kapiącą złotem gwardią pałacową, a za nimi ciągnął długi sznur rydwanów wiozących rannych. W jednym z tych rydwanów leżał Conan, król Akwilonii, spętany łańcuchami, mając w ustach gorzki smak klęski, a w duszy ślełą furię pojmanego tygrysa.

Truczna, która sparaliżowała jego potężne członki, nie odebrała mu zmysłów. Gdy rydwan, w którym jechał, toczył się po stepie, Conan z wściekłością przeżuwał porażkę. Amalrus przysłał doń emisariusza z prośbą o pomoc przeciw Strabonusowi, który jak twierdził — najeżdżał wschodnie prowincje Ophiru, wchodzące klinem między Akwilonię a rozległe południowe połacie królestwa Koth. Prosił jedynie o tysiąc jeźdźców pod dowództwem Conana, co miało dodać ducha jego zdemoralizowanym poddanym. Conan zaklął w myśli. W swej wielkoduszności przybył z siłami pięciokrotnie większymi niż żądał zdradziecki monarcha. W dobrej wierze wjechał do Ophiru, gdzie napotkał rzekomych wrogów sprzymierzonych przeciwko niemu. Fakt, iż przeciw tym pięciu tysiącom wojowników ściągnęli aż dwie armie, wiele mówił o jego zdolnościach.

Czerwona mgła przysłoniła mu oczy; żyły nabrzmiały mu z furii, a w skroniach załomotała krew. Nigdy w życiu nie był bardziej wściekły i bardziej bezsilny. Oczami duszy widział różne obrazy ze swojego długiego żywota — kalejdoskop scen, w których widział siebie w różnych rolach i kolejach losu. Był odzianym w skóry barbarzyńcą; najemnym żołnierzem w rogatym hełmie i łuskowatym napierśniku; korsarzem na drakkarze zostawiającej za sobą na południowych wybrzeżach krew i zgliszczca; kapitanem gwardii w oksydowanym pancerzu, dosiadającym rączego, czarnego wierzchowca; królem zasiadającym na złotym tronie, nad którym powiewał proporzec ze złotym lwem, i przed którym klęczały tłumy barwnie odzianych dworaków i dam. Lecz podskoki i wstrząsy rydwanu przypomniły mu o rzeczywistości, każąc znów bez końca roztrząsać nikczemną zdradę Amalrusa i czary Tsotha-lanti. Żyły na skroniach Cymeryjczyka niemal pękały mu ze złości, a jęki rannych wiezionych na rydwanach napełniały go złośliwą satysfakcją.

Przed północą przekroczyli granicę Ophiru, a o świcie ujrzeli na horyzoncie błyszczące i zaróżowione słońcem dachy Khorshemish — smukłe wieżycy przytłoczone przez ogrom posępnej, szkarłatnej cytadeli, wyglądającej z tej odległości jak jaskrawa plama krwi na nieboskłonie. To był zamek Tsotha. Na wzgórzu, z którego górował nad miastem, wiodła tylko jedna wąska droga, wybrukowana marmurem i zamknięta potężnymi, żelaznymi wrotami. Zbocza góry były zbyt strome aby dało się na nie wspiąć. Z murów cytadeli można było ogarnąć wzrokiem szerokie, białe ulice miasta, minarety meczetów, sklepy, świątynie, rezydencje i targowiska. Można było też spojrzeć na królewskie pałace, usadowione pośród rozległych ogrodów otoczonych wysokim murem, szpalerów przepysznych owocowych drzew i kwiecica, gdzie szemrały sztuczne strumyki a nieustannie bijące fontanny wypełniały powietrze srebrzystą mgiełką. Nad tym wszystkim górowała cytadela, niczym kondor unoszący się nad swoją ofiarą, pogrążony w swoich mrocznych medytacjach.

Potężne bramy między ogromnymi basztami zewnętrznego muru rozwarły się ze szczęką i otoczony szpalerem połyskujących złotem oszczepników król wjechał do miasta, a pięćdziesiąt fanfar zagrzmiało w powitalnym salucie. Jednak na wyłożone białym marmurem ulice nie wyległy tłumy mieszkańców, aby rzucać róże pod kopyta królewskiego rumaka. Strabonus przybywał szybciej niż wieść o wygranej bitwie i ludzie, odrywający się na chwilę od swych codziennych zajęć, rozdziawiali usta na widok swojego władcy, nie wiedząc czy przybywał jako zwycięzca czy pokonany.

Conan, który powoli wracał do życia, podniósł głowę z podłogi rydwanu, aby przyjrzeć się cudom tego miasta, nazywanego przez niektórych królową Południa. Zamierzał wjechać kiedyś przez te inkrustowane złotem wrota na czele swoich zakuty w stal szwadronów, z powiewającym nad głową proporcem z wizerunkiem lwa. Zamiast tego wjeżdżał zakuty w łańcuchy, odarty ze zbroi i rzucony jak pojmany niewolnik na spizową podłogę rydwanu zwycięzcy. Przypływ wisielczego humoru wziął górę nad wściekłością, ale niespokojnym żołnierzom powożącym rydwanem śmiech Conana wydał się pomrukiem rozdrażnionego lwa.

## 2.

*Blichtr kłamstwa o boskim nadaniu  
już dawno na wylot przejrzałem.  
Wyście swe korony w spadku otrzymali  
ja moją krwią kupowałem.  
Tronu zdobytego potem i krwawicą  
na Kroma! nie przedam dziś tanio.  
Nie skłonisz mnie gór złotych obietnicą  
ani groźbą piekielnej otchłani!*

(Droga Królów)

W cytadeli, w komnacie o kopulastym sklepieniu z rzeźbionego granitu i ażurowych łukach portali lśniących od niezwykłych, czarnych kamieni, odbywała się dziwna narada. Conan z Akwilonii, pokryty krwią z nie opatrzonych ran, stał przed swymi zwycięzcami. Z obu boków pilnowało go tuzin czarnoskórych olbrzymów, dzierżących topory na długich styliskach. Tsotha stał przed nim, a Strabonus i Amalrus, odziani w jedwabne stroje kapiące od złota i klejnotów, spoczywali na niskich sofach, przy których czuwali młodzi, nadzy niewolnicy dolewający im wina do szafirowych pucharów. Conan nie pasował do tego otoczenia posępny, okrwawiony, odziany jedynie w przepaskę biodrową i zakuty w łańcuchy, o niebieskich oczach jarzących się pod zmierzwioną grzywą włosów opadających na niskie, szerokie czoło. Zdominował scenę sprawiając, że wobec nieugiętej siły jego osobowości przepyszne stroje władców wyglądały tandetnie, z czego obaj królowie, mimo malującej się na ich obliczach dumy, w głębi duszy zdawali sobie sprawę i czuli się nieswojo. Tylko Tsotha był nieporuszony.

— Nasze życzenia można ująć krótko, królu Akwilonii — rzekł Tsotha. — Jest naszą wolą powiększyć nasze imperium.

— I dlatego, wieprze, chcecie mego królestwa — wychrypiał Conan.

— A kimże jesteś, jak nie awanturnikiem zasiadającym na tronie, do którego masz takie same prawo jak każdy inny wędrowny rozbójnik? —

odparował Amalrus. — Jesteśmy gotowi zaproponować ci stosowną rekompensatę...

— Rekompensatę? — z potężnej piersi Conana wydobył się basowy pomruk śmiechu. — Zapłata za niesławę i zdradę! Jestem barbarzyńcą, więc sprzedam moje królestwo i jego lud w zamian za życie i wasze niezbędne złoto? Ha! A jak ty zdobyłeś swoją koronę, ty i ta siedząca obok ciebie świnia o czarnym pysku? Wasi ojcowie walczyli i cierpieli, i podali wam korony na złotych półmiskach. To, co wy odziedziczyliście nie kiwnąwszy palcem nie licząc otrucia paru braci — ja wywalczyłem. Zasiadacie na atlasach, żłopiecie wino wyrabiane w pocie czoła przez poddanych i gadacie o boskim dziedzictwie — ba! Wspiąłem się na tron z otchłani barbarzyństwa, a podczas tej wspinaczki przelewałem swoją krew równie ochoczo jak cudzą. Jeśli ktoś z nas ma prawo rządzić ludem to, na Kroma, tylko ja! W czym okazaliście swoją wyższość? Zastałem Akwilonię pod rządami świni takiej jak wy władcy, którego ród sięgał tysiąca lat wstecz. Kraj szarpały wojny między baronami, a lud był uciskany i dręczony podatkami. Dziś żaden akwiloński szlachcic nie ośmielił się poniewierać najniebezpieczniejszego z moich poddanych, a obowiązkowe daniny są mniejsze niż gdziekolwiek na świecie. A wy? Twój brat, Amalrusie, ma w rękach wschodnią połowę twojego królestwa i zaciekle cię zwalcza. Zaś twoi najemnicy, Strabonusie, nawet teraz oblegają zamki tuzina lub więcej zbuntowanych wielmożów. Ludzie w waszych królestwach ledwie dyszą pod brzemieniem danin i podatków. A teraz chcecie ograbić i moich poddanych! Ha! Rozkujcie mi ręce z opryskam tę posadzkę waszymi mózgami!

Tsotha uśmiechnął się ponuro widząc wściekłość swoich królewskich kompanów.

— To wszystko, choćby było prawdą, nie ma teraz znaczenia. Nasze plany to nie twoja sprawa. Twoja odpowiedzialność skończy się gdy podpiszesz ten pergamin, będący aktem abdykacji na rzecz księcia Arpello z Pelli. Damy ci broń i konia oraz pięć tysięcy złotych lunów, po czym odstawimy pod eskortą do wschodniej granicy.

— Chcecie zostawić mnie tam, gdzie byłem, zanim przyjechałem do Akwilonii aby zaciągnąć się do tamtejszej armii — tyle, że z piętnem zdrajcy na czole!

Śmiech Conana był jak krótkie, głuche warknięcie leśnego wilka.

— Arpello, tak? Podejrzewałem tego pellijskiego rzeźnika. Czy nie potraficie nawet kraść i rabować otwarcie, tylko musicie uciekać się do takich kiepskich wymówek? Arpello utrzymuje, iż w jego żyłach płynie królewska krew; tak więc chcecie wykorzystać go jako parawan waszego złodziejstwa, satrapę, którego rękami będziecie rządzić! Prędeż ujrę was w piekle!

— Głupcze! — zakrzyknął Amalrus. — Jesteś w naszych rękach i możemy odebrać ci nie tylko koronę, ale i życie!

Odpowiedź Conana nie była ani królewska, ani wytworna, lecz właściwa człowiekowi, którego barbarzyńska natura nigdy nie przystosowała się całkowicie do cywilizowanych obyczajów. Splunął w twarz Amalrusowi. Król Ophiru zerwał się z wrzaskiem wściekłości, chwytając za miecz. Wydobywszy wąską klingę z pochwy rzucił się na Cymeryjczyka, ale przeszkodził mu Tsotha.

— Zaczekaj, Wasza Wysokość; ten człowiek jest moim więźniem.

— Na bok, czarowniku! — wrzasnął Amalrus, doprowadzony do szału szyderczym błyskiem w niebieskich oczach Cymeryjczyka.

— Cofnij się, mówię! — ryknął rozwścieczony Tsotha.

Chuda ręka kapłana wystrzeliła z rękawa togi i obłok pyłu spowił wykrzywioną twarz Ophirańczyka. Amalrus zakrzyknął i cofnął się chwiejnie, przyciskając dłonie do oczu — miecz wypadł mu z ręki. Osunął się bezwładnie na sofę, podczas gdy kothyjscy strażnicy spoglądali na to niewidzącymi spojrzeniami, a król Strabonus pospiesznie wychylił kolejny puchar wina, obejmując naczynie drżącymi rękami. Amalrus odjął ręce od twarzy i energicznie potrząsnął głową; jego szare oczy z wolna odzyskiwały normalny wyraz.

— Oślepiłem — warknął. — Co mi zrobiłeś, czarowniku?

— To tylko drobny gest, żeby przypomnieć ci, kto tu jest naprawdę panem — syknął Tsotha, zrzucając maskę kapłana i ukazując swoją prawdziwą, złowrogą naturę. — Strabonus dostał już nauczkę — teraz ty dostałeś swoją. Sypnąłem ci w oczy pyłem, który znalazłem w stygijskim grobowcu — jeśli oślepię cię ponownie, będziesz do końca życia błąkał się w ciemnościach.

Amalrus wzruszył ramionami, uśmiechnął się dziwnie i sięgnął po swój kielich, skrywając strach i wściekłość. Jako wytrawny dyplomata szybko przybrał obojętną minę. Tsotha obrócił się do Conana, który stał

niewzruszony w czasie tego zajścia. Na skinienie maga czarni strażnicy pochwycili jeńca i powiedli go za Tsothą, który wyszedł z komnaty przez ostrołukowy portal do krętego korytarza o mozaikowej podłodze i ścianach intarsjowanych złotem oraz srebrem; z wysokiego stropu zwisały szczerozłote kadzielnice wypełniające korytarz chmurami wonnego dymu. Skręcili w węższy korytarz, wykuty czarnym granicie i wyłożony jaspisem, mroczny i ponury, prowadzący do drzwi z brązu, nad którymi ludzka czaszka szczerzyła zęby w ohydny uśmiech. Przy tych drzwiach stała tłusta, odrażająca postać, podzwaniająca pękiem kluczy — najwyższy rangą eunuch Tsothy, Sukeli, o którym szeptem powtarzano okropne rzeczy — człowiek, u którego zwierzęce okrucieństwo zastąpiło wszelkie ludzkie uczucia.

Za mosiężnymi drzwiami znajdowały się wąskie schody, zdające się opadać do samych trzewi wzgórza, na którym wzniesiono zamek. Zeszli nimi na dół, aż w końcu zatrzymali się przed żelazną furtą, wyglądającą na przesadnie grubą. Najwyraźniej nie prowadziła ona na zewnątrz, a jednak zbudowano ją tak, iż mogła wytrzymać uderzenia oblężniczych katapult i taranów. Shukeli otworzył ją i gdy to czynił, Conan zauważył wyraźne zaniepokojenie pilnujących go Kushitów; a i sam Shukeli nie zdołał ukryć niepewności zaglądając w ciemność panującą za drzwiami. Dalej znajdowała się jeszcze jednak przeszkoda — krata z potężnych, stalowych prętów. Była opatrzona przemyślnym rygłem bez zamka, który można było otworzyć jedynie z zewnątrz; gdy odciągnięto rygiel, krata wsunęła się w ścianę. Poszli dalej szerokim korytarzem, którego podłoga, ściany i łukowaty sufit zostały najwidoczniej wykute w litej skale. Conan zrozumiał, że znaleźli się głęboko pod ziemią, chyba nawet pod wzgórzem, na którym wznosiła się cytadela. Ciemność niczym pierwotna, żywa istota napierała na pochodnie strażników.

Przykuli króla do stalowego pierścienia w murze. W niszy nad jego głową umieścili płonące łuczywo, tak że stał w półokręgu słabego światła. Czarni byli niespokojni, chcąc jak najprędzej odejść; naszeptywali między sobą i rzucali niespokojne spojrzenia w otaczający ich mrok. Gdy Tsotha odprawił ich gestem pospiesznie rzucili się do drzwi, jakby w obawie, że ciemność może przybrać namacalny kształt i skoczyć im na plecy. Tsotha zwrócił się do Conana i król zauważył, że oczy czarownika świecą w ciemnościach, a jego zęby przypominają

wilcze kły, biało połyskujące w mroku.

— Żegnaj więc, barbarzyńco — zadrwił czarnoksiężnik. Muszę jechać do Shamaru, dopilnować oblężenia. Za dziesięć dni będę z moimi wojownikami w twoim pałacu w Tarantii. Co mam powiedzieć od ciebie twoim kobietom, zanim zedrę z nich atłasowe skóry na zwoje do spisania kroniki zwycięstwa Tsotha-lanti?

Conan odpowiedział grubym cymeryjskim przekleństwem, z siłą zdolną rozerwać bębenki w uszach zwykłego człowieka, a Tsotha uśmiechnął się blado i odszedł. Cymeryjczyk dostrzegł jeszcze zarys podobnej do sępa sylwetki za grubymi prętami opadającej kraty; potem szcęknęły masywne drzwi i zapadła głucha cisza.

### 3.

*Kroczył Lew przez czeluście piekielne  
Cienie kładły się przed nim ponure  
Licznych widm bezkształtnych, w mroku przytajonych  
Potworów o ohydnych paszczach rozdziawionych  
Od ich wrzasków i wycia zadrżały ciemności  
Gdy skradał się Lew przez piekielne czeluści.*

(ze starej ballady)

Król Conan sprawdził pierścień w ścianie i łańcuch, którym go przykuto. Kończyny miał wolne, lecz wiedział, że nawet jego stalowe mięśnie nie zerwą tych pęt. Ogniwa łańcucha miały grubość kciuka i były przymocowane do stalowej sztaby otaczającej go w pasie — szerokiej na dłoń i grubej na pół cala. Sam ciężar tych okowów mógłby zabić człowieka słabszego od barbarzyńcy. Kłódki spinające sztabę z łańcuchem były niezwykle solidne i nawet młotem kowalskim z trudem dałoby się je rozbić. Zaś pierścień w murze najwidoczniej przechodził przez ścianę i był przytwierdzony po jej drugiej stronie.

Conan zaklął i poczuł przypływ niepokoju, gdy spojrzął w ciemność napierającą na półkole przyćmionego światła. W jego duszy tkwiły wszystkie przesądne obawy barbarzyńcy, nietknięte logiką cywilizowanych ludzi. Jego wyobraźnia zaludniała mroki podziemi groźnymi kształtami. Ponadto, rozsądek podpowiadał mu, iż nie umieszczono go tutaj jedynie w celu odosobnienia. Zwycięzcy nie mieli powodu aby go oszczędzać. Został wtrącony do tych lochów aby w nich zginął. Przeklinał się za to, że odrzucił propozycję wrogów, choć jego rogata dusza buntowała się na samą myśl o tym; wiedział, że gdyby go stąd wyprowadzono i powtórnie o to zapytano, odpowiedziałyby im tak, jak przedtem. Nie mógł sprzedać swoich poddanych rzeźnikowi. A przecież, gdy sięgał po koronę, czynił to jedynie z myślą o własnych korzyściach. Oto jak nawet rabuś i awanturnik może niepostrzeżenie zacząć poczuwać się do odpowiedzialności za losy swych poddanych.



Conan pomyślał o ostatniej, okropnej pogroźce Tsothy i jęknął z nieopisanej wściekłości wiedząc, że nie były to czcze pogroźki. Mężczyźni i kobiety byli dla czarnoksiężnika jedynie tym, czym wijący się robak jest dla uczonego. Miękkie, białe dłonie, które pieściły króla, pąsowe wargi przywierające do jego warg i alabastrowe piersi drżące od jego płomiennych pocałunków — miały być odarte z delikatnej skóry, białej jak kość słoniowa i różowej jak płatki róż... Z ust Conana wydarł się okrzyk tak przeraźliwy i nieludzki od szaleńczej wściekłości, że ktoś, kto usłyszałby ten odgłos, byłby przerażony dowiadując się, iż ten dźwięk wydobył się z ludzkiego gardła.

Drżące echa sprawiły, że barbarzyńca drgnął i uświadomił sobie własną sytuację. Spojrzał z obawą na mrok za kręgiem światła, wspominając wszystkie ponure opowieści jakie słyszał o wyrafinowanym okrucieństwie czarnoksiężnika i dreszcz przebiegł mu po krzyżu gdy uświadomił sobie, iż to muszą być te opisywane w mrozących krew w żyłach legendach Komnaty Trwogi; tunele i lochy, w których Tsotha dokonywał straszliwych doświadczeń ze zwierzętami, istotami ludzkimi oraz — jak szeptano — z demonami, igrając bluźnierczo z samą istotą życia. Plotka głosiła, że szalony poeta Rinaldo odwiedził te lochy, a mag pokazał mu niewyobrażalne okropieństwa i potworności, o których bard napomykał później w tym strasznym poemacie „Pieśń lochu”, który nie był jedynie wytworem wyobraźni chorego umysłu. Topór Conana uwolnił go od choroby tej nocy, kiedy król musiał walczyć o życie ze skrytobójcami, których szalony wierszokleta wprowadził podstępnie do pałacu, jednak wstrząsające słowa tej ponurej pieśni nadal rozbrzmiewały w uszach władcy, który stał przykuty do ściany.

W chwili gdy o tym pomyślał, Cymeryjczyk zamarł słysząc cichy szmer, który sprawił, że krew zastygła mu w żyłach. Król zamarł w napiętym oczekiwaniu, wyęzając słuch aż do bólu. Jakby lodowata dłoń przesunęła mu się po plecach. Rozpoznał nieomylny dźwięk giętkich łusek cicho ślizgających się po kamieniu. Zimny pot wystąpił mu na czoło gdy tuż za kręgiem światła ujrzał ogromny, niewyraźny kształt, przerażający nawet w tej słabo widocznej formie. Ten kształt uniósł się w górę, kołysząc się lekko, i żółte ślepia zimno spojrzały z mroku na barbarzyńcę. Stopniowo wytrzeszczone oczy Cymeryjczyka dostrzegły

olbrzymi, odrażający, klinowaty łeb i z ciemności powoli wypełzło wijące się cielsko najokropniejszego przedstawiciela gadziego rodu.

Ten wąż przyćmiewał swoimi rozmiarami wszelkie widziane dotychczas przez Conana gady. Od spiczastego ogona po łeb większy od końskiej głowy — mierzył nie mniej niż osiemdziesiąt stóp. W przyćmionym świetle jego łuski lśniły zimno, białe niczym szron. Ten gad z pewnością wylągl się i wyrósł w ciemnościach; a jednak jego ślepie patrzyły bystrym, złym spojrzeniem. Zwinął swe gigantyczne sploty przed więźniem i unióśł wielki łeb, kołysząc nim kilka cali od twarzy Conana. Rozwidlonym, wysuwającym się miarowo językiem niemal dotykał jego warg. Przerażliwy smród wywoływał mdłości, a ogromne ślepie spoglądały mu prosto w oczy i Cymeryjczyk odpowiedział na to spojrzeniem schwytanego w potrzask wilka. Z trudem opanował szaloną chęć pochwycenia w dłonie tej grubej, wygiętej szyi. Barbarzyńca, silniejszy niż może to sobie wyobrazić cywilizowany człowiek, skręcił kiedyś kark pytonowi w trakcie zacieklej walki, stoczonej na wybrzeżu Stygii, w latach gdy trudnił się korsarstwem. Jednak ten gad był jadowity; Conan widział wielkie kły, długie na stopę i wygięte jak jatagany. Ściekała z nich bezbarwna ciecz, która — jak instynktownie wyczuwał — niosła śmierć. Może zdołałby zgruchotać klinowaty łeb rozpaczliwym ciosem zaciśniętej pięści, ale wiedział, że jeśli choćby drgnie, potwór zaatakuje go z szybkością błyskawicy.

To nie jakieś logiczne rozumowanie sprawiło, że Conan zastygl w bezruchu, ponieważ rozsądek mógłby podpowiedzieć mu aby — skoro i tak jest zgubiony — sprowokował węża do ataku i ukrócił męczarnie; to ślepy, pierwotny instynkt przetrwania nakazał mu stać nieruchomo jak posąg odlany z brązu. Gruba jak beczka szyja uniosła się wyżej, unosząc głowę wysoko nad więźniem — gad oglądał pochodnię. Kropla trucizny spadła na nagie udo Cymeryjczyka, paląc jak rozżarzone do białości żelazo wbite w ciało. Sztylety bólu przeszyły czaszkę barbarzyńcy, ale nie poruszył się; ani drgnięciem choćby jednego mięśnia czy powieki nie zdradził bólu wywołanego oparzeniem, którego ślad miał nosić aż do śmierci.

Żmija kołysała się nad nim, jakby chcąc się przekonać, czy w tej zmarłej postaci tli się choć iskra życia. Nagle, nieoczekiwanie, szcęknięty otwierane zewnętrzne drzwi, niemal niewidoczne w mroku.

Potwór, podejrzliwy jak wszyscy przedstawiciele gadziego rodu, zwinął się z zaskakującą jak na jego rozmiary szybkością i odpełził w ciemność.

Potężne drzwi otwały się i pozostały uchylone. Krata uniosła się i w wejściu stanęła potężna, czarnoskóra postać, oświetlona blaskiem płonących na zewnątrz pochodni. Przybyły przeszedł dalej, przymykając kratę za sobą, ale nie zatrzymując rygła. Gdy stanął w kręgu światła rzucanego przez pochodnię nad głową Conana, ten stwierdził, że był to olbrzymi Kushita, zupełnie nagi, trzymający w jednej ręce olbrzymi miecz, a w drugiej pęk kluczy. Czarny przemówił w dialekcie wybrzeża i Conan odpowiedział; poznał ten żargon będąc korsarzem grasującym przy brzegach Kush.

— Od dawna chciałem cię spotkać, Amro! — czarnoskóry nazwał króla imieniem, pod jakim Cymeryjczyk był znany Kushitom w czasach gdy parął się piractwem — Amra, Lew. Usta kędzierzawego niewolnika rozwarły się w zwierzęcym uśmiechu ukazując białe zębiska, lecz jego oczy błyszczały czerwono w blasku pochodni. — Wiele zaryzykowałem dla tego spotkania. Spójrz! Oto klucze do twoich łańcuchów! Skradłem je Shukeliemu. Co mi za nie dasz?

Pomachał kluczami przed nosem Conana.

— Dziesięć tysięcy złotych lunów — odparł szybko król, czując gwałtowny przypływ nowej nadziei.

— Za mało! — krzyknął czarny, a jego wykrzywione rysy zdradzały dziką uciechę. — Za mało jak na takie ryzyko! Ulubieńcy Tsothy mogą wychynąć z ciemności i pożreć mnie, a jeśli Shukeli zauważy, że ukradłem mu klucze, powiesi mnie za... No, więc cóż mi dasz?

— Piętnaście tysięcy lunów i pałac w Poitain zaproponował król.

Czarny wrzasnął i zatupał nogami w gwałtownym przypływie radości.

— Więcej! — krzyknął. — Daj mi więcej! Co mi dasz?

— Ty czarny psie! — Czerwona mgła wściekłości zasnuła oczy Conana. — Gdybym nie był skuty, skreśliłbym ci kark! Czy to Shukeli przysłał cię tu, żebyś ze mnie szydził?

— Shukeli nic nie wie o tym, że tu jestem, biały człowieku — odparł tamten, wyciągając szyję, żeby zajrzeć Cymeryjczykowi w oczy. — Znam cię z dawnych czasów, kiedy byłem wodzem wolnego plemienia, zanim Stygijczycy pojмали mnie i sprzedali na północ. Czy nie pamiętasz jak

złupiłeś Abombi, kiedy wdarły się doń twoje morskie wilki? Przed pałacem króla Ajagi zabiłeś jednego z wodzów; drugi uciekł. Zabitym był mój brat — to ja uciekłem. Żądam od ciebie zapłaty krwią, Amro!

— Uwolnij mnie, a dam ci tyle złota, ile sam wazysz warknął Conan.

Nabiegłe krwią oczy czarnego zabłyśły, a jego białe zęby zaśniły w blasku pochodni jak wilcze kły.

— Tak, ty biały psie, wszyscy z twej rasy są tacy sami; ale czarnemu człowiekowi złoto nigdy nie zapłaci za krew. Ceną, jakiej żądam, jest twoja głowa!

Mówiąc te słowa podniósł głos do opętańczego krzyku, który odbił się drżącym echem w mrokach lochów. Conan sprężył się, mimowolnie szarpiąc się w więzach, nie mogąc znieść myśli o tym, że zostanie zaszlachtowany jak owca w rzeźni; nagle zamarł widząc bardziej przerażający widok. Za plecami czarnego ujrzał niewyraźny zarys kołyszącego się w ciemności cielska.

— Tsotha nigdy się nie dowie! — śmiał się okropnie czarnoskóry niewolnik, zbyt upojony triumfem by zważać na cokolwiek innego i zbyt pijany nienawiścią aby zdać sobie sprawę z tego, że Śmierć czyha za jego plecami. — Nie wejdzie do lochów zanim demony nie wywleką twoich kości z łańcuchów. Będę miał twoją głowę, Amro!

Stanął na szeroko rozstawionych nogach, masywnych jak dwie hebanowe kolumny, i zamachnął się oburącz potężnym mieczem, aż w świetle pochodni zagrały mu pod skórą grube węzły mięśni. W tejże chwili gigantyczny cień za jego plecami śmignął naprzód i w dół, i klinowaty łeb uderzył z takim impetem, że cios odbił się echem po podziemnych korytarzach. Żaden dźwięk nie wydobył się z grubych, posiniałych warg, rozchylonych w grymasie agonii. Conan ujrzał, jak wraz z łomotem uderzenia życie uchodzi z szeroko otwartych oczu czarnego — tak szybko, jak gaśnie płomień zdmuchniętej świecy. Cios odrzucił wielkie ciało niewolnika w głąb korytarza, a olbrzymie, lśniące sploty owinęły się wokół niego, zupełnie je zakrywając; do uszu Conana dobiegł wyraźny chrzęst łamanych i miażdżonych kości. Nagle serce załomotało mu w piersi. Czarny padając wypuścił miecz i klucze, które z brzękiem potoczyły się po kamieniach — a klucze zatrzymały się tuż przy stopach króla.

Conan pochylił się, próbując ich dosięgnąć, lecz łańcuch był zbyt

krótki; bliski utraty tchu, z opętańczo bijącym sercem, zsunął sandał i chwycił klucze palcami stopy; zgiąwszy nogę złapał je kurczowo, ledwie powstrzymując dziki okrzyk radości cisnący mu się na usta.

Chwila zmagania z ogromnymi kłódkami i był wolny. Chwycił miecz i rozejrzał się wokół. Jego wzrok napotkał jedynie mrok, w którym zniknął gad unosząc zmiażdżony, poszarpany zewłok, który ledwie przypominał ludzkie ciało. Conan skierował się do otwartych drzwi. W kilku szybkich susach dotarł do progu, gdy nagle w ciemnościach rozległ się piskliwy śmiech i krata opadła tuż przed jego wyciągniętą ręką. Zza prętów spoglądała nań twarz maszkarona, wykrzywiona w drwiącym uśmiechu — to eunuch Shukeli podążył za skradzionymi mu kluczami. Upojony szyderstwem nie dostrzegł miecza w dłoni Cymeryjczyka. Zakławszy okropnie, Conan uderzył jak atakująca kobra; wielkie ostrze świsnęło między prętami i śmiech Shukeli'ego zmienił się w przedśmiertny wrzask. Tłusty eunuch zgiął się w pół, jakby kłaniając się swemu zabójcy, po czym padł niczym bela sadła, daremnie usiłując powstrzymać pulchnymi dłońmi wypływające wnętrzności.

Conan wyszczerzył zęby w grymasie dzikiej uciechy; jednak nadal pozostawał więźniem. Kluczami nie mógł otworzyć rygla, który dawał się odsunąć tylko z tamtej strony krat. Spróbował krat i przekonał się, że były równie twarde jak klinga miecza; gdyby próbował je przeciąć, złamałby swoją jedyną broń. A jednak znalazł jakieś wgłębienia na tych masywnych sztabach, jakby pozostawione przez jakieś olbrzymie kły, i z mimowolnym dreszczem zgrozy zadał sobie pytanie, jakież to nieznanne potwory tak strasznie poharatały tę kratę. Mimo wszystko, mógł zrobić tylko jedno — poszukać jakiegoś innego wyjścia. Wziąwszy z niszy pochodnię, z mieczem w garści ruszył korytarzem. Nigdzie nie dostrzegł ani śladu żmii i jej ofiary, tylko długą smugę krwi na kamiennej podłodze.

Ciemność skradała się wokół niego na bezszelestnych stopach, słabo rozpraszana przez migoczącą pochodnię. Po obu stronach widział mroczne przejścia, ale trzymał się głównego korytarza, czujnie obserwując podłogę przed sobą, żeby nie wpaść do jakiejś studni. Nagle usłyszał żalosne, kobiece zawodzenie. Jeszcze jedna ofiara Tsothy, pomyślał, znów przeklinając czarownika i skręciwszy w boczny, węższy tunel ruszył tam, skąd dobiegało zawodzenie.

W miarę jak się zbliżał, głos przybierał na sile; Conan uniósł

poходnię i dojrzał w mroku niewyraźną sylwetkę. Podeszedł bliżej i nagle stanął jak wryty widząc człekokształtnego stwora leżącego na ziemi. Zmienne kształty tego dziwoląga trochę przypominały ośmiornicę, lecz nieforemne macki były zbyt krótkie jak na tak wielki korpus, a cielsko było drgającą, galaretą, której widok przyprawiał barbarzyńcę o mdłości. Z tej odrażającej, lodowatej masy wystawała żabia głowa i Conan z obrzydzeniem uświadomił sobie, iż zawodzenie dobywało się z tych paskudnych, obrzmiałych warg. Gdy wielkie, ruchliwe ślepie potwora dostrzegły przybysza, płynący z ohydnej paszczęki dźwięk przeszedł w wysoki chichot, a dygoczące cielsko zaczęło niezdarnie sunąć w kierunku Cymeryjczyka.

Król cofnął się i umknął tunelem, nie ufając sile swego miecza. Ta kreatura mogła być ziemskim stworzeniem, lecz jej widok wstrząsnął dogłębnie Conanem, który wątpił, czy wykutym ludzką ręką orężem zdoła coś wskórać przeciw niej. Przez chwilę słyszał jak pełźnie i człapie za nim, zanosząc się straszliwym chichotem. Ten niezaprzeczalnie ludzki dźwięk mącił rozum barbarzyńcy; taki sam sprośny śmiech dobywał się z grubych warg kobiet Shadizaru, Miasta Rozpusty, gdy na targowisku zdzierano odzienie z wystawionych na licytację dziewcząt. Jakaż to piekielną sztuką Tsotha powołał do życia takiego potwora? Conan podświadomie zdawał sobie sprawę z tego, że widział coś, co było bluźnierstwem przeciw odwiecznym prawom natury.

Biegł w kierunku głównego korytarza, lecz zanim tam dotarł, wpadł do małej, prostokątnej komnaty, w której spotykały się dwa korytarze. Wpadając do niej zauważył na ziemi jakiś niewielki, przysadzisty kształt, lecz zanim zdążył zatrzymać się czy skrócić w bok, natrafił nogą na coś miękkiego, co pisnęło przeraźliwie, i runął jak długi wypuszczając z ręki pochodnię, która zgasła uderzając o kamienną podłogę. Na pół ogłuszony upadkiem, Conan wstał i zaczął macać w ciemnościach. Stracił orientację i nie potrafił orzec, w jakim kierunku powinien iść aby dojść do głównego korytarza. Nie szukał pochodni, ponieważ i tak nie zdołałby jej ponownie zapalić. Macając natrafił dłonią na wyloty korytarzy — na chybił-trafił wybrał jeden z nich. Nie wiedział jak długo podążał nim w zupełnej ciemności, ale nagle instynkt barbarzyńcy ostrzegł go przed groźącym niebezpieczeństwem. Stanął jak wryty.

Miał wrażenie, że stoi w ciemnościach nad brzegiem bezdennej

przepaści. Opadłszy na kolana, cał po calu posuwał się naprzód, aż w końcu wyciągniętą ręką namacał krawędź opadającej pionowo studni. Tak głęboko jak zdołał sięgnąć jej ściany opadały stromo, wilgotne i oślizgłe. Wyciągnął rękę w mrok i stwierdził, iż ledwie może dotknąć przeciwległego skraju studni końcem miecza. Tak więc mógł przeskoczyć na drugą stronę, jednak nic by mu to nie dało. Wybrał zły korytarz; ten główny znajdował się gdzieś za nim.

Kiedy o tym myślał, poczuł lekki powiew — słaby podmuch unoszący się z otworu rozwiął mu czarną grzywę włosów. Dreszcz przebiegł mu po plecach. Próbował przekonać sam siebie, że ten szyb łączył się jakoś ze światem zewnętrznym, ale instynkt podpowiadał mu, iż to niemożliwe. Przecież znajdował się nie tylko wewnątrz wzgórza, ale pod nim; głęboko pod ulicami miasta. A więc jak wiatr mógłby wpadać do lochów i wiać od dołu? Ten upiorny wiatr niósł słaby, pulsujący dźwięk, jakby dudnienie bębnow grzmiących głęboko, głęboko w dole. Gwałtowny dreszcz wstrząsnął królem Akwilonii.

Wstał i zaczął się cofać, a gdy to czynił coś wyłoniło się ze studni. Conan nie wiedział co to takiego. Niczego nie widział w ciemności, lecz wyraźnie czuł czyjąś obecność — istnienie jakiejś niewidzialnej, nieuchwytniej inteligencji, która złowrogo unosiła się opodal. Odwrócił się i pomknął z powrotem drogą, którą przybył. Daleko przed sobą ujrzał czerwoną iskierkę. Skierował się ku niej i na długo przedtem, nim spodziewał się do niej dotrzeć, wpadł z impetem na twardą ścianę i zobaczył iskrę u swoich stóp. To była jego pochodnia — płomień zgasł, lecz jej koniec jeszcze się żarzył. Cymeryjczyk ostrożnie podniósł łuczywo i delikatnie dmuchając, ponownie rozpałił płomień. Westchnął z ulgą gdy wąty płomyk rozjaśnił mrok. Znow znalazł się w prostokątnej komnacie, gdzie zbiegały się korytarze natychmiast zorientował się, w którym kierunku powinien iść.

Znalazł tunel, którym nadszedł od głównego korytarza, ale kiedy tam ruszył, płomień pochodni zamigotał gwałtownie, jakby dmuchnęły nań niewidzialne usta. Conan ponownie poczuł czyjąś obecność i podniósł żagiew, rozglądając się wokół.

Niczego nie dostrzegł; a jednak miał niejasne wrażenie, że jakaś niewidzialna, bezcielesna istota unosi się w powietrzu, ociekając śluzem i miotając przekleństwa, których nie mógł słyszeć, lecz instynktownie

wyczuwał ich plugawą naturę. Wściekle machnął mieczem i wydało mu się, że ostrze więźnie w pajęczynach. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach i Conan umknął w głąb tunelu, a biegnąc czuł na nagim karku czyjś smrodliwy, palący oddech.

Jednak kiedy dobiegł do szerokiego korytarza, nie miał już wrażenia iż towarzyszy mu jakaś istota — widzialna czy niewidzialna. Ruszył dalej, w każdej chwili spodziewając się, że z ciemności wyskoczą na niego jakieś przerażające bestie. W lochach nie panowała cisza. Z głębi ziemi, ze wszystkich stron dochodziły dźwięki nie należące do normalnego świata. Chichoty, wybuchy demonicznej uciechy, przeciągłe i przeraźliwe wycia, a w pewnej chwili śmiech — niewątpliwie wydobywający się z paszczy hieny — który zakończył się okropnym potokiem bluźnierstw miotanych w ludzkiej mowie. Conan słyszał szmer skradających się kroków, a w wylotach korytarza dostrzegał jakieś niewyraźne sylwetki, potworne i niesamowite.

Miał wrażenie, że błąka się po Piekło — piekło stworzonym przez Tsotha-lanti. Jednak mroczne kształty nie wychodziły na główny korytarz, chociaż Cymeryjczyk wyraźnie słyszał łapczywe cmokanie oślinionych warg i czuł na sobie palące spojrzenia wygłodniałych ślepi. Niebawem pojął, co je powstrzymywało. Cichy szmer za plecami zaalarmował go i król uskoczył w ciemność pobliskiego bocznego tunelu, machnięciem gasząc pochodnię. Słyszał jak wielki wąż pełźnie korytarzem, ospały po niedawnej uczcie. Opodał coś zakwiliło ze strachu i wtopiło się w ciemność. Najwidoczniej główny korytarz był terenem łowieckim wielkiego gada i inne potwory schodziły mu z drogi.

Dla Conana zmija była najmniej okropnym z napotkanych tu stworów; wspominając szlochającą, chichoczącą galaretowatą masę i ociekającą śluzem bestię, która wyłoniła się ze studni, Cymeryjczyk myślał o gadzie nieomal z sympatią. Wąż był przynajmniej ziemską istotą; wprawdzie niósł śmierć, ale uosabiał jedynie fizyczną zagładę, podczas gdy inne okropieństwa groziły nie tylko ciału, ale i duszy.

Kiedy gad oddalił się, Conan ponownie rozпалиł pochodnię i poszedł za nim, mając nadzieję, iż zachowuje bezpieczną odległość. Nie uszedł daleko gdy usłyszał cichy jęk, który zdawał się dobiegać z mrocznego wylotu pobliskiego korytarza. Ostrożność powstrzymywała króla, ale ciekawość sprawiła, że wkroczył do tunelu, podnosząc wysoko



poходnię, z której pozostał już zaledwie niewielki ogarek. Był przygotowany na każdy widok, ale zupełnie nie spodziewał się zobaczyć tego, co tam ujrzał.

Zaglądał do rozległej komnaty, której część była odgradzona osadzonymi blisko siebie prętami, sięgającymi od podłogi do stropu i wpuszczonymi w kamień. Za tą kratą leżała jakaś postać, która — co stwierdził podchodząc bliżej — była człowiekiem, albo wiernym wizerunkiem człowieka, tkwiąca w oplocie grubego pędu zdającego się wyrastać z litej skały podłogi. Pnącze było obsypane liśćmi o dziwnym kształcie i szkarłatnym kwieciami — a szkarłatna barwa tych kwiatów nie była satynową czerwienią zwykłych płatków, lecz ognistą, nienaturalną purpurą będącą parodią normalnego koloru. Giętkie, chwytlive odgałęzienia spowijały nagie ciało i kończyny, zdając się pieścić je lubieżnymi pocałunkami. Jeden wielki kwiat zawisł tuż nad jego ustami. Z rozwartych warg człowieka wydobyło się ciche, zwierzęce rżenie; rzucił głową jakby w okropnej męce i spojrzał szeroko otwartymi oczami na Conana. Jednak jego wzrok nie zdradzał nawet śladu rozumnej myśli; był szklanym i pustym spojrzeniem idioty.

Wielki szkarłatny kwiat pochylił się i przycisnął swe płatki do wykrzywionych ust ofiary. Kończyny nieszczęśnika poruszyły się gwałtownie; wici rośliny zadrżały jakby w ekstazie, wibrując na całej długości. Po pnączach przeleciały fale zmieniających się odcieni; przybrały bardziej soczystą, jadowitą barwę.

Conan nie rozumiał, co to wszystko ma znaczyć, jednak wiedział, że jest świadkiem czegoś okropnego. Kimkolwiek był torturowany, człowiekiem czy demonem, jego cierpienia poruszyły wrażliwe i impulsywne serce Conana. Król poszukał wejścia i znalazł małą furtkę, zamkniętą na solidną kłódkę, którą otworzył jednym z pęku kluczy. Gdy wszedł do środka, płatki kwiatów rozwarły się jak kaptur kobry, wici uniosły się groźnie, a cała roślina zatrzęsała się i nachyliła ku niemu. To nie był bezmyślny przedstawiciel roślinnego świata. Conan wyczuwał obcą, złośliwą inteligencję; roślina widziała go i czuł jak emanuje z niej nienawiść tak silna, że niemal namacalna. Podeszedł ostrożnie i wypatrzył łodygo-pnącze, obrzydliwie giętkie i grubsze od jego uda, a gdy długie pędy wysunęły się ku niemu z sykiem i trzepotem liści, Cymeryjczyk zamachnął się i jednym ciosem miecza przerąbał łodygę.

Ofiara rośliny została natychmiast odrzucona na bok, gdy wielkie pnącze wiło się i kurczyło jak żmija z odciętym łbem, tworząc ogromny, nieregularny kłęb. Wici drżały i dygotały, liście trzęsły się i trzepotały jak kastaniety, a płatki otwierały się i zamykały konwulsyjnie; wreszcie roślina rozwinęła się na całą długość, jaskrawe barwy przyblakły i spłowiejały, a z przeciętego pnia zaczął się sączyć cuchnący, biały płyn.

Conan spoglądał na to jak zauroczony; nagle jakiś szmer za plecami sprawił, że odwrócił się błyskawicznie, wznosząc miecz do ciosu. Uwolniony człowiek wstał i spoglądał na niego badawczo. Conan rozdziawił usta ze zdumienia. Spozierające z wymizerowanej twarzy oczy nie były już pozbawione wyrazu. Ciemne i myślące, zdradzały inteligencję właściciela, z oblicza którego opadła maska idioty. Nieznajomy miał wąską i kształtną głowę, o wysoko sklepionym czole. Jego wygląd zdradzał arystokratyczne pochodzenie, widoczne zarówno w wysokiej, smukłej sylwetce, jak i w zgrabnych dłoniach oraz stopach. Pierwsze słowa, jakie wypowiedział, zdumiały Conana.

— Jaki mamy teraz rok? — spytał po kothyjsku.

— Dziś jest dziesiąty dzień miesiąca Yuluk, roku Gazeli odparł król.

— Yagkoolan Ishtar! — mruknął obcy. — Dziesięć lat!

Przesunął dłoń po czole, potrząsając głową, jakby próbował pozbyć się jakichś płaczących myśli pajęczyn.

— Wszystko widzę jeszcze tak niewyraźnie... Po dziesięcioletniej pustce nie można oczekiwać, że umysł od razu zacznie dobrze pracować. Kim jesteś?

— Jestem Conan, niegdyś z Cymerii. Teraz król Akwilonii.

W oczach tamtego pojawiło się zdumienie.

— Naprawdę? A król Nuemdides?

— Udusiłem go na jego własnym tronie tej nocy, gdy zdobyłem stolicę.

Usta nieznajomego wygięły się w lekkim uśmiechu gdy usłyszał tę nieco naiwną odpowiedź.

— Proszę o wybaczenie, Wasza Wysokość. Powinienem podziękować ci za przysługę, jaką mi oddałeś. Jestem niczym człowiek wyrwany niespodzianie ze snu głębszego od śmierci, a pełnego koszmarów straszliwszych od piekielnych, lecz pojmuję, że mnie uwolniłeś. Powiedz mi — dlaczego przerażałeś pień rośliny Yothga

zamiast wyrwać ją z korzeniami?

— Ponieważ dawno temu nauczyłem się nie tykać czegoś, czego nie rozumiem — odrzekł Cymeryjczyk.

— Bardzo rozsądnie — rzekł obcy. — Gdybyś zdołał ją wyrwać, mógłbyś znaleźć uczepione jego korzeni rzeczy, przeciw którym nie pomógłby ci nawet twój miecz. Korzenie Yothga tkwią w Piekło.

— Kim jesteś? — zapytał Conan.

— Ludzie nazywali mnie Peliasem.

— Co?! — zakrzyknął król. — Ten Pelias, czarodziej i rywal Tsothalanti, który zniknął bez śladu dziesięć lat temu?

— Niezupełnie bez śladu — odparł Pelias z krzywym uśmiechem. — Tsotha wolał pozostawić mnie przy życiu, w okowach straszniejszych niż zardzewiałe żelaza. Zamknął mnie tutaj, z tym diabelskim kwiatem, którego nasiona przypłynęły tu przez Kosmos z Przekłętego Yag i znalazły odpowiednią dla siebie glebę jedynie w zrobaczywiałej mierzwie zalegającej korytarze Piekieł. Kiedy do diabelstwo wzięło mnie w uścisku i wysysało ze mnie duszę swymi plugawymi pieszczotami, nie mogłem przypomnieć sobie mojej czarodziejskiej sztuki, ani zakłęb czy symboli mej władzy. We dnie i w nocy wysysało zasoby mojego umysłu, zostawiając go pustym jak rozbity dzban. Dziesięć lat! Ishtar miej nas w opiece!

Conan nie znalazł stosownych słów, więc stał, trzymając w jednej dłoni dogasającą pochodnię, a w drugiej kołyszając swój wielki miecz. Ten człowiek z pewnością był szalony — a jednak w tych ciemnych, dziwnych oczach, które spoglądały na niego tak spokojnie, nie było śladu szaleństwa.

— Powiedz mi, czy czarnoksiężnik jest teraz w Khorshemish? Jednak nie — nie musisz odpowiadać. Moja moc zaczyna mi wracać; widzę w twoich myślach obraz wielkiej bitwy i króla zdradziecko zwabionego w pułapkę. I widzę, że Tsothalanti pędzi co koń wyskoczy ku rzece Tybor, razem ze Strabonusem i królem Ophiru. Tym lepiej. Na razie moja moc zbyt osłabła po tak długiej drzemce, żebym mógł teraz zmierzyć się z Tsothą. Potrzebuję czasu aby odzyskać siły i odzyskać dawną moc. Wyjdźmy z tych lochów.

Conan machnął wymownie pękiem kluczy.

— Krata przed zewnętrznymi drzwiami jest zamknięta na rygiel,

który można otworzyć tylko z zewnątrz. Czy jest jakieś inne wyjście z tych podziemi?

— Tylko jedno, ale takie, którego żaden z nas wolałby nie używać, ponieważ wiedzie w dół, a nie w górę — zaśmiał się Pelias. — Jednak to nie ma znaczenia. Chodźmy zobaczyć tę kratę.

I ruszył do wyjścia na korytarz, niepewnie stawiając kroki, jakby powoli odzyskując władzę w odzwyczajonych od poruszania się kończynach. Idąc za nim, Conan rzekł z niepokojem:

— Po tym tunelu włości się piekielnie wielki wąż. Uważajmy, abyśmy nie weszli mu prosto w paszczę!

— Dobrze go pamiętam — odparł ponuro Pelias. — Tym bardziej, że musiałem patrzeć jak pożarł dziesięciu moich uczniów, jednego po drugim. To Stary Satha, najgłówniejszy z ulubieńców Tsotha-lanti.

— Czy Tsotha wykuł te lochy tylko po to, żeby trzymać w nich swoje przeklęte potwory? — spytał Conan.

— Nie on je wykopał. Kiedy trzy tysiące lat temu założono tu miasto, na wzgórzu i wokół niego były już ruiny jeszcze starszego grodu. Król Khossus V, założyciel Khorshemish, wznosił swój pałac na szczycie, a kopiąc pod nim piwnice natknął się na zamurowane wejście, do którego włamał się odkrywając lochy prawie w takim stanie, w jakim widzimy je dziś. Lecz jego wielkiego wezyra spotkał w tych podziemiach tak straszny los, że przerażony Khossus kazał znów zamurować wejście. Powiedział, że wezyr wpadł do studni — lecz kazał zasypać piwnice, a później opuścił pałac i przeniósł się do innego, zbudowanego poza miastem; ale i stamtąd uciekł w panice, gdy pewnego ranka znalazł jakąś czarną pleśń na marmurowej podłodze swej komnaty. Wtedy przeniósł się z całym swoim dworem na wschodni kraniec królestwa i wybudował nowe miasto. Pałac na wzgórzu stał nie zamieszkały i popadł w ruinę. Kiedy Akkhuto I wskrzesił dawną świetność Khorshemish, postawił tu fortecę. Przetrwiała ona aż do naszych czasów i Tsotha-lanti zmienił ją w Szkarłatną Cytadelę i ponownie odkopał wejście do lochów. Cokolwiek spotkało wielkiego wezyra, Tsotha zdołał uniknąć podobnego losu. Nie wpadł do żadnej studni, ale opuścił się do jednej z nich i powrócił dziwnie zmieniony — tę przemianę do dziś widać w jego oczach. Widziałem tę studnię, lecz nie mam zamiaru szukać w niej mądrości. Jestem czarownikiem, i to starszym niż ludzie przypuszczają, ale jestem

człowiekiem. Zaś co do Tsothy... Powiadają, iż pewnej nocy tancereczka ze Shadizaru zasnęła zbyt blisko przedludzkich ruin na Wzgórzu Dagoth i obudziła się w objęciach demona; z tego niegodziwego związku zrodziła się przeklęta hybryda zwana Tsotha-lanti...

Conan zakrzyknął ostrzegawczo i odskoczył do tyłu, pociągając za sobą towarzysza. Przed nimi unosiło się wielkie, błyszczące cielsko Sathy, spoglądającego na nich ślepiami pełnymi bezbrzeżnej nienawiści. Conan napiął mięśnie szykując się do szaleńczego ataku; zamierzał wepchnąć dogasającą pochodnię w ohydną paszczękę i włożyć wszystkie siły w jeden morderczy cios miecza. Jednak wąż nie patrzył na niego. Spoglądał ponad nim na człowieka zwącego się Peliasem, stojącego ze skrzyżowanymi ramionami i z uśmiechem na ustach. Z wolna nienawiść wyzierającą z wielkich, żółtych ślepi zastąpił przeraźliwy lęk — jeszcze nigdy nie widział aby ślepia węża miały taki wyraz. Gad zwinął się w miejscu i umknął, czemu towarzyszył dźwięk przypominający świst wichru.

— Cóż takiego zobaczył, że tak się przestraszył? — zdumiał się Cymeryjczyk.

— Pokryty łuską lud widzi rzeczy, które umykają oczom zwykłych śmiertelników — odrzekł tajemniczo Pelias. — Ty widzisz moją ziemską postać, on ujrzał moją nagą duszę.

Lodowata strużka spłynęła po krzyżu Conana, który zaczął się zastanawiać czy Pelias mimo wszystko jest człowiekiem, czy też jeszcze jednym demonem w ludzkiej postaci. Król zastanawiał się czy nie powinien natychmiast wbić miecz w plecy idącego przed nim kompana. Jednak kiedy o tym rozmyślał dotarli do stalowej kraty, widocznej jako czarne linie na tle światła płonących pochodni, i do ciała Shukeli'ego, nadal bezwładnie wspartego o pręty, otoczonego kałużą krzepnącej krwi.

Pelias zaniósł się niesamowitym śmiechem.

— Na alabastrowe biodra Isztar, kimże jest nasz odźwierny? Patrzcie no, przecież to sam szlachetny Shukeli we własnej osobie, ten, który wieszał moich uczniów za nogi i ze śmiechem obdzierał ich ze skóry! Śpisz, Shukeli? Czemuż leżysz tak sztywno, z tłustym kałdunem rozplątanym jak u wypatroszonej świni?

— On nie żyje — mruknął Conan, niechętnie słuchając takich słów skierowanych do trupa.

— Martwy czy żywy — zaśmiał się Pelias — podniesie nam tę kratę. Głośno klasnął w dłonie i zawołał:

— Wstań, Shukeli! Wróc z Piekieł, wstań z tej zakrwawionej podłogi i otwórz kratę swym panom! Wstań, mówię!

Przez podziemia przetoczył się okropny jęk. Conanowi włosy na głowie stanęły dęba i cały oblał się lepkiem, zimnym potem. Bowiem ciało Shukeli'ego drgnęło i poruszyło się, niezdarnie macając wokół pulchnymi rękami. Pelias zaniósł się śmiechem bezlitosnym jak krzemienny topór, gdy eunuch powstał chwiejnie, czepiając się prętów kraty. Conanowi, który spoglądał na to wybałuszając oczy, krew zastygła w żyłach i ugięły się nogi, gdyż szeroko otwarte oczy Shukeli'ego były szkliste i puste, a z wielkiej rany w brzuchu dozorczy wnętrzości wylewały się na podłogę. Jelita plątały się pod nogami eunucha, gdy ten odsuwał rygiel, poruszając się jak bezmózgi automat. Kiedy drgnął po raz pierwszy, Conan pomyślał, że jakimś nieprawdopodobnym zrzędzeniem losu grubas jeszcze żyje; lecz eunuch był martwy nieżywy od kilku godzin.

Pelias prześlizgnął się przez uchyloną kratę, a Conan poszedł w jego ślady — ociekający potem, zważając aby nie dotknąć okropnej postaci słaniającej się na nogach i uczepionej otwartej kraty. Pelias poszedł dalej nie oglądając się za siebie, a za nim Conan, targany mdłościami i obrzydzeniem. Nie zdążył zrobić nawet pół tuzina kroków, gdy odwrócił się słysząc głuchy stuk za plecami. Ciało Shukeli'ego leżało bezwładnie przy kracie.

— Zrobił swoje i wrócił do Piekła — stwierdził z zadowoleniem Pelias, uprzejmie udając, iż nie zauważa silnego dreszczu, jaki wstrząsnął potężnym Cymeryjczykiem.

Mag poszedł przodem, po długich schodach i przez mosiężne, zwieńczone ludzką czaszką drzwi. Conan ścisnął miecz w garści, oczekując ataku horde niewolników, ale w cytadeli zalegała cisza. Przeszli mrocznym korytarzem i weszli do tego, w którym z kadzielnicy nieprzerwanie snuły się długie smugi dymu. Nadal nie napotkali nikogo.

— Niewolnicy i żołnierze kwaterują w innej części cytadeli — napomknął Pelias. — Dziś wieczór, gdy ich pan wyjechał, z pewnością leżą odurzeni winem lub sokiem lotosu.

Conan zerknął przez ostrołukowe okno o parapecie ze złota, wychodzące na rozległy taras, i zaklął ze zdumienia gdy ujrzał

granatowe, usiane gwiazdami niebo. Wtrącono go do lochów tuż po wschodzie słońca, a teraz było dobrze po północy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tak długo przebywał pod ziemią. Nagle poczuł, że jest okrutnie spragniony i głodny. Pelias zaprowadził go do komnaty o złotym sklepieniu i podłodze ze srebra; w ścianach z lapis-lazuli osadzono misternie rzeźbione portale wielu ostrołukowych przejść.

Pelias z westchnieniem ulgi wyciągnął się na zasłanym jedwabiem łożu.

— Znowu złoto i jedwabie! — westchnął. — Tsotha udaje, iż jest ponad przyjemności ciała, ale on jest na pół diabłem. Ja, mimo mej czarnoksięskiej sztuki, jestem człowiekiem. Kocham wygody i uciechy życia — i właśnie przez to mnie pojmał. Schwycił mnie kiedy leżałem pijany i bezbronny. Wino to przekleństwo — na alabastrowe piersi Isztar, nawet teraz, kiedy o nim mówię, ten zdradliwy trunek jest tutaj! Przyjacielu, proszę cię, napełnij mi puchar... czekaj! Zapomniałem, że jesteś królem. Ja ci należę.

— Do diabła z tym — burknął Conan, napełniając kryształowy kielich i podając go Peliasowi. Potem uniósł dzban do ust i pociągnąwszy długi łyk również westchnął z zadowoleniem.

— Ten pies zna się na winie — powiedział, ocierając usta wierzchem dłoni. — Ale na Kroma, Peliasie, czy będziemy tu siedzieli i czekali aż jego żołnierze zbudzą się i poderzną nam gardła?

— Nie ma obawy — odpowiedział Pelias. — Czy chciałbyś zobaczyć czy los sprzyja Strabonusowi?

W oczach Conana zapaliły się błękitne skry i barbarzyńca ścisnął rękojeść miecza tak mocno, aż posiniały mu palce.

— Och, gdybym tylko miał go w zasięgu miecza! — mruknął.

Pelias wziął wielką, lśniącą kulę leżącą na hebanowym stole.

— To kryształ Tsothy. Dziecinna zabawka, ale użyteczna kiedy nie ma czasu na poważniejsze zakłęcia. Spójrz, Wasza Wysokość.

Mag położył kulę na stole przed Conanem. Król spojrział w mgliste wnętrze kryształu, które rozszerzyło się i pogłębiło. Powoli z mgły i cieni wykryzalizowały się wyraźne obrazy. Conan spoglądał na znajomy krajobraz. Rozległa równina opadała ku szerokiej, wijącej się rzece, za którą teren szybko wznosił się, tworząc labirynt niskich wzgórz. Na północnym brzegu rzeki wznosiło się otoczone murami miasto, okolone

fosą łączącą się na obu końcach z rzeką.

— Na Kroma! — wykrzyknął Conan. — To Shamar! Te psy oblegają je!

Najeźdźcy przeszli przez rzekę; ich namioty stały na wąskim skrawku równego terenu między wzgórzami a miastem. Wojownicy kłębili się pod murami; ich zbroje lśniły blado w świetle księżyca. Z murów spadł na nich grad kamieni i strzał; zachwiali się i cofnęli, lecz po chwili przypuścili następny atak.

W chwili gdy Conan zaklął, obraz zmienił się. Z mgieł wyłoniły się strzeliste wieże i kopulaste dachy — spoglądał teraz na swoją stolicę, Tarantię, gdzie panowało ogromne zamieszanie. Widział jak zakuci w stal rycerze z Poitain — jego najwierniejsi poplecznicy, którym powierzył pieczę nad miastem wyjeżdżają przez bramę żegnani gwizdami i drwinami przez tłumy wyległe na ulice. Widział grabieżę, zamieszki oraz zbrojnych z pellijskimi insygniami na tarczach, którzy obsadzali wieże i panoszyli się na ulicach i placach. A nad tym wszystkim, jak w fantastycznym śnie, ujrzał smagłą, triumfującą twarz księcia Arpella Pellijskiego. Obrazy zniknęły.

— Więc to tak! — zaklął Conan. — Wystarczyło, że na chwilę spuściłem ich z oczu, a mój lud zwrócił się przeciw mnie...

— Niezupełnie — wtrącił Pelias. — Słyszeli, że nie żyjesz. Sądzą, że nie ma nikogo, kto zdołałby obronić ich przed wrogiem zewnętrznym lub wojną domową. Oczywiście, zwrócili się do najpotężniejszego szlachcica, aby uniknąć okropności anarchii. Nie ufają Poitańczykom, pamiętając dawne wojny. Jednak pod ręką mieli Arpella — najpotężniejszego księcia centralnych prowincji.

— Kiedy powrócę do Akwilonii będzie tylko bezgłowym ścierwem gnijącym przy Wieży Zdrajców — zgrzytnął zębami król.

— Jednak nim zdążysz dotrzeć do stolicy — przypomniał mu Pelias — Strabonus może tam już być. A przynajmniej jego jazda spustoszy twoje królestwo.

— Racja! — Conan krążył po komnacie jak lew w klatce. Nawet na najszybszym koniu nie zdołałbym dojechać do Shamar przed południem. A gdyby nawet, nie zdołałbym zrobić nic więcej, jak tylko umrzeć wraz z obrońcami, gdy miasto padnie — a padnie najdalej za kilka dni. Shamar leży o pięć dni jazdy od Tarantii, nawet zajeżdżając konie na śmierć.



Zanim zdołałbym dojechać do stolicy i zebrać armię, Strabonus już kołatałby do bram, ponieważ niezwykle trudno będzie zebrać wojska — założę się, iż wszyscy przekłęci notable pierzchli do swych przeklętych włości na wieść o mojej śmierci. A od kiedy lud wygnał Trocera z Poitain nie ma nikogo, kto zdołałby powstrzymać Arpella przed sięgnięciem po koronę — i koronny skarbiec. On podda kraj Strabonusowi w zamian za marionetkowy tron, lecz gdy tylko Strabonus odwroci się plecami, Arpello wznieci rewoltę. Jednak szlachta nie poprze go, co da Strabonusowi pretekst by dokonać jawnej aneksji. Och, na Kroma, Ymira i Seta! Gdybym tylko miał skrzydła i mógł polecieć do Tarantii!

Pelias, który siedział przy stole bębniąc palcami po nefrytowym blacie, nagle przestał i zerwał się, jakby tknięty jakąś nagłą myślą, gestem nakazując Cymeryjczykowi aby szedł za nim. Król usłuchał, pogrążony w ponurych rozmyślaniach, a Pelias wyprowadził go z komnaty i na marmurowe, inkrustowane złotem schody, które wiodły na szczyt cytadeli, na dach jej najwyższej wieży. Była noc i po usianym gwiazdami niebie przelatywał wiatr, rozwiewający czarną grzywę Conana. Daleko w dole migotały światła Khorshemish, na pozór bardziej odległe niż gwiazdy skrzące się nad głowami. Pelias sprawiał wrażenie obojętnego i nieobecnego duchem; człowieka, który znakomicie czuje się w zimnym towarzystwie gwiazd.

— Są istoty — rzekł — żyjące nie tylko na lądzie czy w morzu, ale też w powietrzu, a nawet wysoko w niebiosach, których istnienia ludzie nawet nie podejrzewają. Jednak dla tego, kto zna Zakłęcia, Znaki i Wiedzę leżące u podstaw wszystkiego, nie są one ani groźne, ani niedostępne. Patrz i nie lękaj się.

Wyciągnął ramiona ku niebu i wydał przeciągły, niesamowity okrzyk, który zdawał się bez końca rozbrzmiewać w przestrzeni, cichnąc i słabnąc, ale nie zamierając, tylko odpływając coraz dalej i dalej, w niezbadane głębie kosmosu. W ciszy, która wreszcie zapadła, Conan usłyszał pod gwiazdami nagły łopot skrzydeł i cofnął się, gdy z mroku wyłonił się ogromny, podobny do nietoperza stwór. Zobaczył wielkie oczy spoglądające nań spokojnie; ujrzał gigantyczne skrzydła czterdziestostopowej rozpiętości. I stwierdził, że nie był to ani ptak, ani nietoperz.

— Wsiadaj i leć — rzekł Pelias. — Przed świtem doniesie cię do

Tarantii.

— Na Kroma! — mruknął Conan. — Czy to sen, z którego obudzę się w mym pałacu w Tarantii? A co z tobą? Nie zostawię cię samego pośród nieprzyjaciół.

— Nie martw się o mnie — odparł Pelias. — O świcie lud Khorshemish dowie się, że ma nowego pana. Uwierz w to, co zsyłają ci bogowie. Spotkamy się na równinie pod Shamar.

Conan niechętnie wgramolił się na pomarszczony grzbiet i objął wygiętą szyję, wciąż przekonany, że to wszystko jest tylko koszmarnym snem. Z głośnym łopotem gigantycznych skrzydeł stwór uniósł się w powietrze i królowi leko zakręciło się w głowie gdy ujrzał jak światła miasta szybko znikają w dole.

#### 4.

*Miecz zabijający króla  
Przecina spoiwo imperium.*

(przysłowie akwilońskie)

Na ulice Tarantii wyległy wyjące tłumy, potrząsające pięściami i zardzewiałymi pikami. Za godzinę miał wstać świt drugiego dnia po bitwie pod Shamar i wydarzenia toczyły się tak szybko, że mogło zakręcić się w głowie. Jakimś sposobem wiadomym jedynie Tsotha-lanti wieść o śmierci króla dotarła do Tarantii już kilka godzin po bitwie. Powstało ogromne zamieszanie. Baronowie opuścili stolicę, pędząc co koń wyskoczy aby strzec swoich zamków przed zakusami sąsiadów. Solidne królestwo zbudowane przez Conana zdawało się balansować na krawędzi rozpadu, a bankierzy i kupcy drżeli na myśl o powrocie dawnych, feudalnych rządów. Lud domagał się króla, który obroniłby ich zarówno przed obcymi wrogami, jak i własną arystokracją. Książę Trocero, pozostawiony przez Conana by miał pieczę nad miastem, próbował ich uspokoić, ale ogarnięci bezmyślną paniką mieszczanie pamiętali tylko o dawnych wojnach domowych i o tym, że ten sam hrabia oblegał Tarantię przed piętnastu laty. Na ulicach krzyczano, że Trocero zdradził króla i chce splądrować miasto. Najemnicy zaczęli rabować kwatery, wywlekając z domostw wrzeszczących kupców i przerażone kobiety.

Trocero uderzył na grabieżców, zasłał ulice ich trupami, zmusił pozostałych do bezładnej ucieczki i zaaresztował ich przywódców. Mimo to lud nadal szemrał, bezmyślnie powtarzając, że książę sam wzniecił zamieszki, żeby je stłumić.

Książę Arpello stanął przed zdezorientowaną radą i oznajmił, że skoro Conan nie pozostawił syna, on jest gotów objąć rządy nad miastem dopóki nie zostanie obrany nowy król. Podczas gdy rada debatowała nad tym, jego agenci snuli się między ludźmi przypominając iż ma w żyłach królewską krew. Członkowie rady słyszeli pod oknami okrzyki tłumu,

domagającego się Arpella Zbawcy. Rada skapitulowała.

Trocero początkowo nie chciał zrzec się władzy nad miastem, ale tłum burzył się i wył, obrzucając jego rycerzy kamieniami i nieczystościami. W tych warunkach, widząc bezcelowość ulicznych walk z zastępami popleczników Arpella, Trocero cisnął buławę w twarz rywala, ostatnim rozkazem nakazał powiesić na rynku przywódców najemników i wyjechał południową bramą na czele swoich piętnastu setek zakutych w stal rycerzy. Gdy tylko wrota zatrzasnęły się za nimi z twarzy Arpella zniknęła fałszywa dobroduszość, odsłaniając oblicze wygłodzonego wilka. Ponieważ najemnicy byli rozbici i ukrywali się w swoich koszarach, jego żołnierze stali się jedynymi siłami zbrojnymi w Tarantii. Siedząc na wielkim białym ogierze Arpello ogłosił się na rynku królem Akwilonii, pośród wiwatów otumanionego motłochu.

Kanclerz Publius, który sprzeciwił się temu, został wtrącony do lochu. Kupcy, którzy z ulgą przyjęli proklamację nowego władcy, teraz przekonali się z konsternacją, iż pierwszym posunięciem nowego monarchy było obłożenie ich morderczym podatkiem. Sześciu bogatych kupców, których wysłano aby błagali o litość, pojmano i ścięto bez żadnych ceregieli. Po egzekucji zaszokowani i zdumieni mieszczanie ucichli. Kupcy, jak to jest w zwyczaju wszystkich kupców kiedy napotykając siłę, której nie potrafią przekupić, padli na tłuste brzuchy i lizali buty oprawcy.

Prości ludzie nie przejmowali się losem kupców, ale zaczęli szemrać gdy przekonali się, że rozzuchwalone pellijskie żołdactwo pod pretekstem zaprowadzania porządku postępuje nie lepiej od turańskich bandytów. Skargi o wymuszenia, morderstwa i gwałty zaczęły napływać do Arpella, który zajął na swą kwaterę pałac Publiusa, ponieważ zrozpaczeni rajcy, skazani zaocznie na śmierć, zamknęli się w pałacu, gdzie trzymali się dzielnie. Jednak Arpello przechwycił letnią rezydencję Conana wraz z jego dziewczętami. Ludzie szemrali na widok królewskich piękności wijących się w brutalnych uściskach żołdaków Arpella. Ciemnookie panny z Poitain; wiotkie, czarnowłose dziewczki z Zamory, Zingary i Hyrkanii; brythuńskie dziewczęta o kędzierzawych, jasnych włosach — wszystkie szłochały ze strachu i wstydu, nienawykłe do przemocy.

Noc zapadła nad miastem pełnym zamętu i trwogi, a tuż przed

północą po ulicach rozeszła się wieść, że Kothyjczycy wykorzystując swoje zwycięstwo kołaczą już do bram Shamar. Któryś z ludzi należących do tajnej służby Tsothy musiał się wygadać. Strach zatrzęsł ludem niczym trzęsienie ziemi, tak że nawet nie zastanawiali się jakim cudem ta wieść mogła tak szybko dotrzeć do miasta. Szturmowali do drzwi pałacu żądając, aby Arpello pomaszerował na południe i odrzucił wroga za Tybor. On mógł im delikatnie wytłumaczyć, że ma zbyt małe siły, i że nie zdoła zebrać armii dopóki baronowie nie uznają jego prawa do tronu. Jednak pijany władzą nowy monarcha roześmiał im się w twarz.

Młody student, Athemides, wspiął się na kolumnę na rynku i w płomiennych słowach oskarżył Arpella o zмовę ze Strabonusem i w żywych barwach przedstawił ludowi perspektywę egzystencji pod rządami Kothyjczyków, z Arpellem jako satrapą. Zanim skończył, tłum wrzeszczał z przerażenia i ryczał z wściekłości. Arpello wysłał żołnierzy aby aresztowali młodzieńca, ale tłum porwał go i uniósł w bezpieczne miejsce, obrzucając ścigających go żołdaków kamieniami i zdechłymi kotami. Strzały kuszników i szarża kawalerii usłały rynek ciałami, lecz Anthemides wymknął się z miasta i ruszył do Trocera aby błagać go, aby na powrót objął władzę nad Tarantią i pomaszerował na pomoc oblężonemu Shamar.

Zastał hrabiego zwijającego obóz rozbity pod murami miasta i dowiedział się, że Trocero zamierza maszerować do Poitain, leżącego w odległym, południowo-zachodnim krańcu królestwa. Na gorące błagania młodzieńca hrabia odpowiedział, że nie ma dość sił, aby odbić miasto — nawet przy pomocy tłumy za murami — ani by stawić czoła Strabonusowi. Ponadto, podczas gdy on będzie walczył z Kothyjczykami, chciwi sąsiedzi mogą za jego plecami splądrować Poitain. Teraz, gdy król nie żyje, każdy musi zadbać o siebie. On jedzie do Poitain, aby tam najlepiej jak zdoła stawić czoła Arpellowi i jego cudzoziemskim sprzymierzeńcom.

Podczas gdy Anthemides usiłował ubłagać Trocera, ogarnięty bezsilną wściekłością tłum nadal szalał po mieście. U stóp wielkiej wieży wznoszącej się opodal królewskiego pałacu, falował i kłębił się motłoch, miotając przekleństwa na Arpella, który stał na blankach i natrzasał się z ich, podczas gdy jego żołnierze obsadzili parapety, trzymając napięte cięciwy i palce na spustach kusz.

Książę Pelli był krępy męczyzną średniego wzrostu, o ciemnej i ponurej twarzy. Był intrygantem, ale także wojownikiem. Pod jego jedwabnym, szamerowanym złotem żupanem o bufiastych rękawach połyskiwała stal pancerza. Długie włosy miał utrefione i skropione pachnidłami oraz spięte przetykaną srebrem opaską, ale u jego boku zwisał szeroki miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści wytartej w licznych bitwach i potyczkach.

— Głupcy! Wyjcie ile chcecie! Conan nie żyje i Arpello jest królem!

I co z tego, że cała Akwilonia obróci się przeciw niemu? Ma dość żołnierzy aby utrzymać miasto do czasu nadejścia Strabonusa. Poza tym, Akwilonią targały wewnętrzne waśnie. Baronowie już szykowali się by zagarnąć włości sąsiadów. Arpello miał przeciw sobie jedynie bezsilny tłum. Strabonus przedrze się przez wątle szyki zwaśnionych baronów jak żelazny taran galery przez morską pianę, a do jego nadejścia samozwańczy monarcha musi jedynie utrzymać stolicę.

— Głupcy! Arpello jest królem!

Słońce wznosiło się już nad wschodnie wieże miasta. Na zaróżowionym jutrznią niebie pojawił się czarny, rosnący w oczach punkt. Był wielkości nietoperza, potem orła... Nagle wszyscy zgromadzeni na placu wydali okrzyk zdumienia, gdy nad murami Tarantii śmignął stwór znany ludziom jedynie z na pół zapomnianych legend. Na moment zawisł nad wielką wieżą i z jego grzbietu zeskoczyła jakaś ludzka postać, po czym ogłuszającym łopotem skrzydeł zniknął, a lud zamrugał oczami, myśląc, że śni na jawie. Jednak na blankach stała jakaś półnaga, okrwawiona postać, dzierżąca w dłoniach wielki miecz. I z gardeł wielotysięcznego tłumu wydobył się ryk, który wstrząsnął wieżami miasta:

— To król! Król!

Arpello stał jak skamieniały; potem z dzikim okrzykiem porwał za miecz i skoczył na Conana. Ten ryknął jak zraniony lew, odparował morderczy cios, po czym odrzuciwszy swój oręż złapał księcia za kark oraz pachwinę i podniósł go wysoko nad głowę.

— Zabierz swoje spiski do piekła! — ryknął i cisnął pellijskim księciem jak workiem soli w stupięcdziesięciostopową otchłań. Lud rozpierzchnął się na boki widząc spadające ciało, które roztrzaskało się na marmurowych płytach bryzgając wokół mózgiem i krwią, i leżało bez

ruchu w popękanym pancerzu, jak rozdeptany żuk.

Kusznicy na wieży wpadli w panikę i rzucili się do ucieczki. Wtedy z pałacu wypadli zabarykadowani w nim rajcy i zaczęli zaciekle się uciekających. Pellijcy rycerze i zbrojni poszli w rozsypkę szukając ratunku na ulicach, lecz tłum rozszarpał ich na strzępy. Fala ulicznych walk przetoczyła się przez miasto; tu i ówdzie nad zmierzwionymi czuprynymi przez chwilę widać było spiczasty szyszak lub stalowy hełm, albo miecz wznoszący się i opadający wściekle pośród gęstniejącego lasu pik; a nad wszystkim unosił się ryk żądnego krwi tłumu i wrzaski konających. A wysoko nad nimi półnagi król chwiał się i kołysał na mrocznych blankach wieży, wstrząsany atakiem gargantuicznego śmiechu, którym drwił ze wszystkich tłumów i książąt, nawet z siebie samego.

## 5.

*Weż w dłoń swój długi, mocny łuk, i niechaj niebo ściemnieje!  
Napnij cięciwę, do ucha bełt — król Koth będzie twym celem!*

(pieśń bossońskich łuczników)

Popołudniowe słońce słało błyski na spokojnych wodach Tyboru, omywających południowe bastiony Shamar. Wycieńczeni obrońcy miasta wiedzieli, że niewielu z nich doczeka świtu. Cała równina była usiana namiotami oblegających. Ze względu na przewagę liczebną wroga, obrońcy Shamar nie mogli powstrzymać napastników od przeprawy przez rzekę. Złączone ze sobą barki utworzyły most, po którym hordy nieprzyjaciół przechodziły na drugą stronę.

Strabonus nie odważyłby się wkroczyć w głąb Akwilonii pozostawiając za sobą nie zdobyte Shamar. Posłał naprzód swoją lekką jazdę i spahisów, aby pustoszyli kraj, podczas gdy pozostałe oddziały wznosiły na równinie maszyny oblężnicze. Flotyllę łodzi, dostarczonych mu przez Amalrusa, zakotwiczył na rzece, pod murami miasta. Niektóre z nich, trafione kamieniami wyrzuconymi przez miejskie balisty, poszły na dno ze strzaskanymi pokładami i poszyciem; jednak większość pozostała na swoich stanowiskach, a z ich rej i masztów, ochronieni słomianymi matami łucznicy trzymali w szachu wysunięte ku rzece baszty. Łucznikami byli Shemici, którzy rodzą się z łukami w rękę i z którymi nie mogą się równać nawet akwilońscy strzelcy.

Od strony lądu katapuły miotały na miasto deszcz głazów i pniaków, przebijając dachy i miażdżąc ludzi jak chrząszcze; tarany nieustannie waliły w mury; saperzy ryli ziemię jak krety, zakładając miny pod basztami. Fosa została na jednym końcu przegrodzona tamą i wypełniona głazami, ziemią, trupami koni i ludzi. Pod murami kłębiły się szturmujące oddziały odzianych w zbroje wojowników, rąbiących wrota, ciągnących drabiny i popychających ku blankom pełne oszczepników wieże oblężnicze.

W mieście stracono już wszelką nadzieję, chociaż tysiąc pięciuset



obrońców nadal stawiało opór czterdziestu tysiącom zbrojnych. Żadne wieści nie dotarły z głębi kraju do Shamar, będącym najdalej wysuniętą na południe twierdzą Akwilonii. Conan nie żył, co radośnie wykrzykiwali najeźdźcy. Tylko potężne mury i rozpaczliwa odwaga obrońców powstrzymywały oblegających, a te nie mogły już wystarczyć na długo. Zachodnia ściana obróciła się w gruzowisko, na którym garstka obrońców toczyła morderczą walkę wręcz z napastnikami; w innych miejscach mury popękały od podkładanych pod nie min i baszty chyliły się jak pijane, grożąc zawaleniem.

Teraz atakujący szykowali się do ostatniego szturmu. Zagrzmiały rogi i zwarły się zakute w stal szeregi. Wieże oblężnicze, obite nie wyprawionymi byczymi skorami, ze złowrogim łoskotem potoczyły się naprzód. Mieszkańcy Shamar ujrzeli proporce Koth i Ophiru, powiewające obok siebie na wietrze, i dostrzegli pośród szeregów lśniących rycerzy szczupłego, odzianego w złoty pancerz Amalrusa i krępego Strabonusa w czarnej zbroi. A między nimi stała postać na widok której nawet najodważniejszych przejmował dreszcz zgrozy — chudy, podobna do sępa człowiek w zwiewnej, białej szacie. Pikinierzy ruszyli, ciągnąc zwartą masą jak lśniąca rzeka roztopionej stali; za nimi podążali rycerze podnosząc zwieńczone proporczykami kopie. Wojownicy na murach nabrali tchu w piersi i polecając dusze Mitrze, mocniej ścisnęli rękojeści poszczerbionych i okrwawionych mieczy.

Nagle, bez ostrzeżenia, nad narastający gwar wzbił się dźwięk rogu. Tętent kopyt zagłuszył chrzęst atakującej jazdy. Na północnym krańcu doliny po której kroczyła armia najeźdźców, wznosiło się pasmo niskich wzgórz, ciągnących się ku północy i ku zachodowi niczym stopnie gigantycznych schodów. Teraz z ich zboczy toczyły się na łeb na szyję, jak gnana morską falą piana, resztki spahisów wysłanych aby pustoszyli okolicę; przylegając do końskich karków bodli wierzchowce ostrogami, a za nimi słońce lśniło na zakutych w stal sylwetkach. Po chwili wyroili się z wąwozów i stali się dobrze widoczni — długie szeregi pancерnej jazdy, nad którymi powiewał wielki sztandar Akwilonii ozdobiony wizerunkiem lwa.

Obrońców na murach ogarnął szal radości i donośny krzyk wzbił się pod niebiosą. Ogarnięci ekstazą wojownicy łomotali poszczerbionymi mieczami o pogieęte tarcze, a mieszkańcy miasta obdarci nędzarze i

bogaci kupcy, dziwki w czerwonych spódniczkach i damy w jedwabiach i atlasach — wszyscy padli na kolana składając dzięki Mitrze, a łzy szczęścia płynęły im po twarzach.

Strabonus wraz z Arbanusem rzucali chaotyczne rozkazy, usiłując obrócić rozpędzone oddziały w kierunku nieoczekiwanego zagrożenia.

— Nadal mamy nad nimi przewagę liczebną — mruknął monarcha. — Chyba, że mają w górach jakieś ukryte rezerwy. Nasi ludzie w machinach oblężniczych powstrzymają wszelkie próby wypadu z miasta. To Poitańczycy — mogliśmy domyślić się, że Trocero w swej dumie poważy się na takie szaleństwo!

Amalrus krzyknął ze zdumienia.

— Wiodzę Trocera i jego kapitana, Prospera — ale kto pędzi między nimi?

— Isztar miej nas w opiece! — wrzasnął poblady Strabonus. — To król Conan!

— Chyba oszalałeś! — syknął Tsotha, wzdrygnąwszy się konwulsyjnie. — Conan od wielu dni spoczywa w brzuchu Sathy!

Urwał, wytrzeszczając oczy na zastępy jeźdźców, spływające falą za falą na równinę. Nie mógł nie poznać ogromnego wojownika w czarnej, inkrustowanej złotem zbroi, jadącego na olbrzymim czarnym ogierze pod łopoczącym na wietrze sztandarem Akwilonii. Z ust Tsotha-lanti wyrwał się przeraźliwy wrzask wściekłości i piana wystąpiła mu na usta. Po raz pierwszy w życiu Strabonus widział czarownika tak rozgniewanego i aż skulił się na ten widok.

— To czary! — wrzeszczał Tsotha, wściekle tarmosząc swoją brodę. — Jakże inaczej zdołałby uciec i dotrzeć do swego królestwa na czas, aby tak szybko przybyć tu ze swą armią? To sprawka Peliasa, przekleństwo na jego głowę! Wyczuwam w tym jego rękę! Niech będzie przeklęta moja głupota, że zostawiłem go przy życiu kiedy miałem go w ręku!

Królowie struchleli słysząc imię maga, którego od dziesięciu lat uważali za martwego i przestрах władców udzielił się ich zastępom. Wszyscy poznali jeźdźca na czarnym ogierze. Tsotha wyczuł przesądny lęk swoich ludzi i furia wykrzywiła mu twarz zmieniając ją w diabelską maskę.

— Atakować! — wrzasnął, szaleńczo wymachując rękami. Nadal jesteśmy od nich silniejsi! Naprzód, zmiażdżyć tych psów! Dziś wieczór

będziemy fetować zwycięstwo na ruinach Shamar! O Secie! — wzniosł ramiona ku niebu wzywając boga-węża ku zgrozie wszystkich słyszących, nawet Strabonusa. — Ześlij nam zwycięstwo, a przysięgam, że złożę ci w ofierze pięćset shamaryjskich dziewczyn, wijących się we własnej krwi!

Tymczasem nadciągające oddziały zjechały już na równinę. Za rycerzami podążała jakby druga, nieregularna armia — mrowie jeźdźców na mocnych, szybkich konikach. To przysadziści bossońscy łucznicy i zapalczywi gunderlandzcy pikinierzy o jasnych włosach wymykających się spod okapów stalowych hełmów, którzy na równinie z siedli z wierzchowców i sformowali pieszy szyk.

Armia, którą Conan zebrał w czasie kilku szalonych godzin po powrocie do Tarantii, była istną zbieraniną. Zaczął od tego, że odgonił spieniony motłoch od pellijskich oddziałów strzegących murów miasta i wziął ich pod swoją komendę. Pchnął gońca na śmigłym rumaku w ślad za Trocerem, żeby ściągnął hrabiego z powrotem. Stworzywszy trzon swojej armii ruszył na południe, przeczesując miasta i wsie w poszukiwaniu rekrutów i koni. Szlachta z Tarantii i okolic zasilila jego oddziały, tak samo jak każda napotkana po drodze wioska czy zamek. Jednak siły jakimi dysponował przeciw najeźdźcom nie były regularną armią, lecz istną zbieraniną, choć bitną i wytrzymałą.

Miał pod sobą dziewiętnaście setek pancерnej jazdy, której większość stanowili Poitainczycy. Piechota składała się z resztek najemników i zawodowych żołnierzy dostarczonych przez lojalnych wielmożów — liczących jakieś pięć tysięcy łuczników i cztery tysiące pikinierów. Oddziały stanęły w zwartym szyku najpierw łucznicy, potem pikinierzy, a za nimi jezdni, posuwający się stępa.

Arbanus zwrocił przeciw nim siły sprzymierzonych władców, sunące naprzód jak ocean lśniącej stali. Obserwatorzy na murach miasta zadrżeli widząc, jak wielką przewagę mają najeźdźcy nad wybawcami. Na przedzie kroczyli shemiccy łucznicy, potem kothyjscy oszczepnicy, a za nimi zakuci w zbroje rycerze Strabonusa i Amalrusa. Zamiar Arbanusa był przejrzysty — chciał odrzucić na boki piechotę Conana, otwierając drogę dla druzgoczącej szarzy ciężkiej kawalerii.

Zbliżywszy się na pięćset kroków Shemici zaczęli szyć z łuków i chmura lecących strzał przesłoniła na chwilę słońce. Zachodni łucznicy,

wyćwiczeni przez tysiąclecia bezlitosnych walk z dzikimi Piktami, parli uparcie naprzód, zwierając szeregi gdy ten i ów padał, trafiony. Tamci mieli znaczną przewagę, a i shemicki łuk ma większy zasięg; jednak celnością Bossończycy nie ustępowali Shemitom, a większą zręczność wrogów równoważyli lepszym duchem bojowym i doskonałością pancerzy. Znalazłszy się w odległości strzału zwolnili cięciwy i Shemici zaczęli padać całymi szeregami. Czarnobrodzi wojownicy w swoich lekkich kolczugach nie mogli znieść wymiany strzał tak dobrze jak odziani w grubsze pancerze Bossończycy. Pierzchli, ciskając łuki i wprowadzając zamieszanie wśród kroczących za nimi kothyjskich oszczepników.

Ci, pozbawieni osłony łuczników, ścielili się setkami pod bossońskimi strzałami, biegnąc ile sił w nogach aby skrócić odległość — tylko po to, aby odbić się od najeżonych pikami szeregów. Żadna piechota na świecie nie mogła równać się z dzikimi Gundermenami, których ojczyzna — najdalej wysunięta na północ prowincja Akwilonii — była oddalona od Cymerii zaledwie o dzień jazdy przez bossońskie równiny, i którzy byli nie tylko urodzonymi wojownikami, ale też chlubili się tym, że wywodzili swój rodowód wprost od dawnych Hyborian. Przerażeni poniesionymi stratami Kothyjczycy zostali rozbici w proch i rzucili się do ucieczki.

Strabonus ryknął z wściekłości widząc klęskę swojej piechoty i nakazał frontalny atak; Arbanus mitygował go, wskazując Bossończyków, którzy uformowali nowy szyk przed oddziałami akwilońskiej jazdy, stojącymi bez ruchu podczas pierwszej potyczki. Generał doradzał chwilowy odwrót, aby wywabić konnicę spoza osłony łuczników, lecz Strabonus oszalał ze złości. Spojrzał na długie, błyszczące szeregi swoich jeźdźców, obrzucił nienawistnym spojrzeniem garstkę jeźdźców przeciwnika, i rozkazał Arbanusowi by dał sygnał do ataku.

Generał polecił duszę Isztar i zadał w złoty róg. Las lanc pochylił się z gromowym hukiem i konnica potoczyła się po równinie, nabierając rozpędu. Ziemia zadrżała pod grzmącą lawiną kopyt, a błyski złota i stali oślepiły patrzących na to z bastionów obrońców Shamar.

Szwadrony jazdy przetoczyły się przez szeregi pikinierów, tratując zarówno wrogów jak swoich, i wpadły w chmurę strzał wypuszczonych przez Bossończyków. W w deszczu strzał gnali jak burza przez równinę,

pozostawiając za sobą ziemię zasłaną ciałami jeźdźców, jak jesiennymi liśćmi. Jeszcze sto kroków a wpadliby na łuczników, kładąc ich pokotem jak łan pszenicy; lecz ciało i krew nie zdołało wytrzymać gradu strzał, zbierającego swe śmiertelne żniwo. Łucznicy stali ramię przy ramieniu, na szeroko rozstawionych nogach, jak jeden mąż przyciągając cięciwy do uszu i wypuszczając strzały w rytm krótkich okrzyków.

Zwalili z nóg cały pierwszy szereg jeźdźców, a następne szeregi potykały się o naszpikowane strzałami trupy towarzyszy i wierzchowców, waląc się na ziemię. Arbanus padł z gardłem przeszytym strzałą i czaszką roztrzaskaną kopytem zdychającego wierzchowca, a pozbawione dowódcy oddziały wpadły w panikę. Strabonus wykrzykiwał jedna rozkazy, a Amalrus inne, a wszystkich ogarnął zabobonny lęk obudzony niespodziewanym pojawieniem się Conana.

A kiedy w lśniących szeregach nieprzyjaciół zapanowało zamieszanie, zagrały królewskie surmy i bossońscy łucznicy rozstąpili się na boki, a przez powstałą wyrwę runęła straszliwa nawałnica akwilońskiej jazdy.

Oddziały zwały się z trzaskiem, od którego zatrzęsała się ziemia i zadrżały wieża Shamar. Zmieszane szyki najeźdźców nie mogły wytrzymać uderzenia pancernego klina, najeżonego kopiami, który runął na nich jak błyskawica. Długie lance atakujących rozniosły ich w puch, a poitaincy rycerze wpadli między skłębione szeregi wywijając swoimi straszliwymi, oburęcznymi mieczami.

Podniósł się łomot i szcęk stali, jakby milion młotów uderzało o tyleż samo kowadeł. Widzowie na murach, ogłuszeni tym łoskotem, przytrzymując się blanków jak oniemiała spoglądali na przetaczający się stalowy wir pysznych szyszaków, migoczących mieczów, chwiejących się i padających porpców.

Amalrus padł, z barkiem rozplatanym oburęcznym mieczem Prospera, i skonał stratowany końskimi kopytami. Najeźdźcy całkowicie otoczyli dziewiętnaście setek rycerzy Conana, ale żołnierze Koth i Ophiru daremnie napierali na ten zwarty, stalowy klin, który coraz głębiej wbijał się w ich szeregi. Nie zdołali go rozerwać.

Łucznicy i pikinierzy, rozprawiwszy się z resztkami kothyjskiej piechoty, która w bezładnej ucieczce usłała swymi ciałami całą równinę, stanęli na obrzeżu bitwy wypuszczając strzały z bliskiej odległości i

doskakując, aby ciąć nożami końskie brzuchy i pęciny, godząc długimi pikami w jeźdźców.

Jadący na czele stalowego klina Conan raz po raz wydawał swój barbarzyński okrzyk bojowy i zataczał mordercze kręgi swym wielkim mieczem, któremu nie oparł się ani żelazny hełm, ani stalowa misiurka. Parł naprzód zostawiając za sobą łań trupów, aż kothyjscy rycerze zwarli się za jego plecami odcinając go od towarzyszy. Jednak Cymeryjczyk gnał dalej, jak piorun, samym impetem torując sobie drogę, aż dotarł do Strabonusa, pobladłego i otoczonego swoją gwardią. W tym momencie ważyły się losy bitwy, ponieważ mający liczebną przewagę Strabonus mógł jeszcze zwyciężyć.

Ujrzawszy swego zagorzałego wroga o długość ramienia król Koth wrzasnął i zamachnął się toporem. Ostrze skrzeszło skry z szyszaka Cymeryjczyka, który zachwiał się w siodle i oddał cios. Pięciostopowe ostrze zgruchotało hełm i czaszkę Strabonusa, a rumak monarchy zakwiczał i stanął dęba, zrzucając z siodła bezwładne, martwe ciało. Wśród kothyjskiej konnicy podniósł się głośny jęk; szyki zachwiały się i ustąpiły pola. Tnąc i siekąc rozpaczliwie, Trocero przedarł się ze swoim poczem do Conana i wielki sztandar Koth runął na ziemię. Wtedy za plecami oszołomionych i wystraszonych najeźdźców rozległ się potężny łoskot i pod niebo uniosła się wielka łuna — to obrońcy Shamar przypuścili desperacki wypad i wyrznawszy w pień oddział pilnujący wrót szaleli wśród namiotów oblegających, ścinając obozowe ciury, paląc i niszcząc maszyny oblężnicze. Ta kropla przepęłniła czarę. Wspaniała armia sprzymierzonych runęła do bezładnej ucieczki, ścigana przez rozwścieczonych zwycięzców.

Uchodzący pędzili ku rzece, lecz ci na barkach, mocno nękani przez obrońców miasta, którzy ze zdwojonym zapałem zasypywali ich teraz kamieniami i strzałami, zrezygnowali z walki i ruszyli w kierunku południowego brzegu, pozostawiając kamratów ich własnemu losowi. Część z nich dotarła na drugi brzeg biegnąc po szcepionych barkach tworzących most, aż wojownicy Shamar przecięli cumy i odcięli im tę drogę ucieczki. Wtedy bitwa zmieniła się w rzeź. Wpychani do rzeki, gdzie tonęli w swoich pancerzach, lub wycinani na brzegu najeźdźcy ginęli tysiącami. Przedtem nikomu nie dawali pardonu; teraz nie mogli go oczekiwać.

Od podnóża gór aż po brzegi Tyboru cała równina była usłana trupami, a unoszący martwe ciała rzeczny nurt poczerwieniał od krwi. Z tysiąca dziewięciuset rycerzy, którzy wyruszyli z Conanem na południe ledwie pięciuset przeżyło aby chełpić się swoimi bliznami, a wśród łuczników i pikinierów śmierć zebrała jeszcze większe żniwo. Jednak nieprzebrane, zakute w stal zastępy Strabonusa i Amalrusa przestały istnieć, a tych, którzy uszli, było mniej niż tych, co padli na polu bitwy.

Kiedy na drugim brzegu rzeki trwała rzeź, daleko na łąkach rozgrywał się ostatni akt ponurego dramatu. Wśród tych, którzy zdołali przejść po moście z barek zanim go zniszczono był Tsotha, mknący jak wichur na wychudłym, niesamowicie wyglądającym wierzchowcu, z którym nie mógł się równać żaden normalny rumak. Brutalnie traktując przyjaciół i wrogów dotarł już na południowy brzeg, gdy obejrzawszy się za siebie dostrzegł ścigającą go zawzięcie, okropną postać na czarnym ogierze. Cumy już przecięto i barki zaczęły dryfować po rzece, ale Conan zuchwale jechał dalej, przeskakując ze skutury na skutę jak człowiek skaczący z jednej kry na drugą. Tsotha cisnął straszliwe zaklęcie, ale wielki ogier stęknawszy z wysiłku spał się do ostatniego, długiego skoku i znalazł się na drugim brzegu. Czarownik pomknął po łąkach, a król ruszył jego śladem, jadąc jak oszalały i w milczeniu wywijając wielkim mieczem, z którego pryskały na szlak szkarłatne krople krwi.

Gnali tak — myśliwy i zwierzyna — i czarny ogier nie zdołał nawet o jard zmniejszyć dzielącej ich odległości, chociaż wyteżał każdy mięsień i nerw. W promieniach zachodzącego słońca mknęli przez krainę złudnych cieni, aż odgłosy rzezi pozostały w tyle i całkiem ucichły. Nagle na niebie pojawiła się jakaś plamka i szybko urosła, zmieniając się w ogromnego orła. Ptak spadł z nieba jak kamień wprost na łeb rumaka czarownika; wierzchowiec zarżał i stanął dęba, zrzucając jeźdźca.

Stary Tsotha wstał i obrócił się twarzą do nadjeżdżającego prześladowcy; oczy maga przypominały ślepią żmii, a twarz wykrzywiła się w nieludzkim grymasie wściekłości. W każdej ręce trzymał jaki błyszczący przedmiot i Conan wiedział, że to, co trzyma Tsotha, niesie śmierć.

Cymeryjczyk zeskoczył z konia i ruszył w kierunku wroga, pobrzękując zbroją i wysoko unosząc miecz.

— I znów się spotykamy, czarowniku! — rzekł szczerząc zęby.

— Trzymaj się z daleka! — wrzasnął Tsotha jak żądny krwi szakal.  
— Zedrę ciało z twych kości! Nie zdołasz mnie pokonać nawet jeśli porąbiesz mnie na kawałki, ciało i kości znów się zrosną, żeby doprowadzić cię do zguby! Widzę w tym rękę Peliasa, ale dam radę wam obu! Jam jest Tsotha, syn...

Conan skoczył na niego, błyskając mieczem i czujnie mrużąc oczy. Tsotha zamachnął się prawą ręką i król uchylił się błyskawicznie. Coś przeleciało obok jego nakrytej hełmem głowy i wybuchło za jego plecami, paląc piach w rozbłysku piekielnego ognia. Zanim Tsotha zdołał cisnąć kulę trzymaną w lewej dłoni, miecz Cymeryjczyka przeciął jego chudy kark. Głowa czarownika spadła z tryskającą fontanną krwi szyi, a odziane w białą togę ciało zachwiało się i osunęło na ziemię. Jednak oszalałe, czarne oczy spoglądały na Conana z tym samym złowieszczym wyrazem, a ręce macały wokół, jakby szukając odciętej głowy. Wtem, z poszumem skrzydeł, z nieba spłynął ogromny ptak — orzeł, który zaatakował konia Tsothy. Porwał ociekającą krwią głowę w szpony i uniósł się w niebo, a Conan stanął jak wryty, gdyż z gardła orła wydobył się donośny ludzki śmiech — śmiech Peliasa czarnoksiężnika.

Wtedy zdarzyło się coś przekraczającego wszelkie wyobrażenie, gdyż bezgłowy korpus podniósł się z ziemi i ruszył chwiejnie, z wyciągniętymi przed siebie ramionami, za oddalającą się coraz szybciej i znikającą w mrocznym niebie plamką. Conan stał jak skamieniały, patrząc na to, aż biegnąca postać wtopiła się w okrywający łąki purpurą mrok.

— Na Kroma! — rzekł wzruszając potężnymi ramionami. Zaraza na te swary czarnoksiężników! Pelias ładnie wobec mnie postąpił, ale wolałbym już nigdy go nie oglądać. Dajcie mi porządny miecz i solidnego wroga, w którego mógłbym go wbić. Do licha! Czegóżbym teraz nie oddał za dzban dobrego wina!



# Królowa Czarnego Wybrzeża

## 1. Conan przystępuje do piratów

*Jak pąk zielony, co z wiosną się budzi,  
Dając liść malowany przez ogień jesieni,  
Tak me serce czyste dla jednego z ludzi  
Trawił żar bezlitosny miłości płomieni.*

— *Pieśń o Bêlit*

Kopyta zatętniły na ulicy stromo schodzącej ku nabrzeżom. Rozpierzchający się z wrzaskiem mieszkańcy przez krótką jak mgnienie oka chwilę dostrzegli odzianą w pancerz postać na czarnym ogierze, w obszernym, rozwianym na wietrze szkarłatnym płaszczu. Daleko w tyle po ulicy niosły się krzyki i hałas pogoni, lecz jeździec nie odwrócił się. Wypadł na nabrzeże i osadził rozpędzonego wierzchowca na samym skraju przystani. Żeglarze stawiający szeroki, pasiasty żagiel na pękatej galerze o wysokich burtach rozdziawili usta ze zdumienia. Szyper, krępy i czarnobrody, stał na dziobie, bosakiem odpychając statek od pali, a gdy jeździec ześlizgnął się z siodła i jednym długim susem przeskoczył na śródokręcie, wykrzyknął ze złością:

— Kto cię prosił na pokład?

— Odbijaj! — ryknął intruz, popierając te słowa gwałtownym machnięciem ogromnego miecza, z którego prysnęły czerwone krople.

— Ale my zmierzamy do wybrzeży Kush! — protestował szyper.

— Zatem płynę do Kush! Odbijaj, mówię! — rzekł tamten, rzucając szybkie spojrzenie na ulicę, którą galopował oddział jeźdźców; daleko za nimi truchtała gromada piechurów, każdy z kuszą na ramieniu.

— A masz czym zapłacić za przejazd? — dopytywał się szyper.

— Zapłacę ci moją stalą! — ryknął mężczyzna w zbroi, potrząsając wielkim mieczem, który zimno błysnął w słońcu. — Na Kroma, człowieku, jeżeli ta galera zaraz nie odpłynie, to skąpię pokład we krwi

jej załogi!

Szyper znalazł się na ludziach. Jedno spojrzenie na smagłą, pokrytą bliznami twarz obcego, zastygła w gniewnym grymasie, i rzucił gromki rozkaz, jednocześnie mocno odpychając statek od pali mola. Galera wypłynęła na głębszą wodę i wiosła zaskrzypiały rytmicznie; wreszcie podmuch wiatru wypełnił obwisły żagiel. Lekki statek przechylił się pod tym podmuchem, a potem jak łabędź ruszył swoim kursem, coraz prędzej ślizgając się po falach.

Na nadbrzeżu jeźdźcy potrząsali mieczami, wygrażając i krzykiem wzywając szypra, aby natychmiast zawrócił oraz ponaglając kuszników by się pospieszyli zanim galera znajdzie się poza zasięgiem ich bełtów.

— Niech się pieklą — wojownik skrzywił twarz w uśmiechu. — Trzymaj ją na kursie, sterniku!

Szyper zeskoczył z dziobu, przeszedł między rzędami wioślarzy i wszedł na śródokręcie. Nieznajomy stał tam oparty plecami o maszt, czujnie spoglądając wokół zwięzonymi oczyma i z mieczem gotowym do ciosu. Żeglarz zmierzył go przeciągłym spojrzeniem, przezornie trzymając ręce z daleka od zatkniętego za pasem kordelasa. Miał przed sobą roslą, potężnie zbudowaną postać w czarnym, łuskowatym półpancerzu, oksydowanych nagolennikach i hełmie z błękitnej stali, z którego sterczały wypolerowane, bycze rogi. Z okrytych zbroją ramion spływał szkarłatny płaszcz, rozwiany na wietrze. Spięty złotą klamrą, szeroki pas z rekiniej skóry przytrzymał pochwę miecza. Pod rogatym hełmem czarna grzywa równo przyciętych włosów kontrastowała z błękitem gorejących oczu.

— Jeżeli już mamy razem podróżować — powiedział szyper — to równie dobrze możemy to uczynić w pokoju. Ja jestem Tito, licencjonowany mistrz żeglarskiego kunsztu z portów Argos. Zmierzam do Kush, aby wymieniać z czarnymi królami paciorki, jedwabie, cukier oraz miecze o mosiężnych rękojeściach na kość słoniową, koprę, rudę miedzi, niewolników i perły.

Wojownik obejrzał się na szybko znikające w oddali doki, gdzie maleńkie ludzkie postacie wciąż bezsilnie wymachiwały rękami, najwyraźniej daremnie próbując znaleźć łódź na tyle szybką, aby mogła doścignąć chyżo żeglującą galere.

— Jestem Conan, Cymeryjczyk — odparł. — Przybyłem do Argos w

poszukiwaniu zajęcia, jednak skoro nie toczą się tu żadne wojny, nie znalazłem tu dla siebie niczego, do czego warto byłoby przyłożyć rękę.

— Dlaczego ścigają cię strażę? — spytał Tito. — Co prawda to nie mój interes, lecz myślałem, że może...

— Nie mam nic do ukrycia — odparł Cymeryjczyk. — Na Kroma, chociaż spędziłem szmat czasu pośród was, cywilizowanych ludzi, nadal nie pojmuję waszych obyczajów. Zeszłej nocy, w tawernie, kapitan królewskiej gwardii chciał siłą odbić ukochaną młodemu żołnierzowi, który, oczywiście, przebił go mieczem. Jednak wygląda na to, że jakieś przekłete prawo nie zezwala zabijać gwardzistów i chłopak z dziewczyną umknęli. Rozeszła się wieść, że widziano mnie z nimi więc dziś rano zawleczono mnie do sądu i sędzia pyta, gdzie podział się ten młodzik. Odparłem, że ponieważ jest moim przyjacielem, nie mogę go wydać. Wtedy sąd zawrzał gniewem, a sędzia zaczął głądzić o moich obowiązkach względem państwa, społeczeństwa i o innych rzeczach, których nie pojmuję i kazał mi wyznaczyć, dokąd uciekł mój przyjaciel. Do tej pory zdążyłem się już rozzłościć, bo przecież wyjaśniłem już moje stanowisko. Jednak powściągnąłem gniew i zachowałem spokój, zaś sędzia piszczy, że zlekceważyłem sobie sąd i mam być wtrącony do lochu i gnić tam, dopóki nie wydam przyjaciela. Wtedy, widząc że wszyscy oni postradali rozum, dobyłem miecza i rozplątałem sędziemu czaszkę; potem wyrąbałem sobie drogę z sali i ujrawszy uwięzianego w pobliżu ogiera dowódcy gwardii, dosiadłem go i pogałem ku nadbrzeżom, gdzie zamyślałem znaleźć statek zmierzający do obcych krajów.

— No cóż — rzekł niechętnie Tito — sądy zbyt wiele razy oszukały mnie w procesach z bogatymi kupcami, abym miał je darzyć miłością. Będę musiał odpowiedzieć na wiele pytań, jeśli kiedyś znów zawinę do tego portu, ale mogę dowieść, iż działałem pod przymusem. Możesz więc schować swój miecz. Jesteśmy spokojnymi żeglarzami i nic do ciebie nie mamy. Ponadto dobrze mieć na pokładzie takiego wojownika jak ty. Chodź do rufówki, wychylimy po kuflu piwa.

— W to mi graj — ochoczo przystał na to Cymeryjczyk, chowając miecz do pochwy.

„Argus” był małą, silną galerą, podobną do wielu innych handlowych jednostek, jakie krążyły między portami Zingary i Argos a południowymi wybrzeżami, trzymając się brzegu i rzadko wyruszając na otwarte morze.

Miał wysoką rufę i zadarty, wygięty dziób; szeroki pokład wdzięcznie zwięzał się na obu końcach. Za ster służyło długie wiosło na rufie, a ożaglowanie składało się z wielkiego, pasiastego żagla z jedwabiu, wspomaganego przez kliwer. Wioseł używano głównie przy wychodzeniu z ujść rzek i zatok, oraz w czasie ciszy. Było ich dziesięć na każdej burcie, pięć od dziobu i pięć od rufy, po obu stronach małego śródkręcia. Najcenniejszą część ładunku przymocowano pod śródpokładem i pod pokładem dziobowym. Ludzie spali na pokładzie lub między ławkami wioślarzy, osłanianymi, w razie złej pogody, baldachimami. Załogę stanowiło dwudziestu ludzi przy wiosłach, trzech przy sterze i szyper.

Tak więc „Argus” miarowo sunął na południe, korzystając z dość sprzyjającej pogody. Z dnia na dzień słońce prażyło coraz mocniej i porozciągano baldachimy — jedwabne, pasiaste płachty pasujące do kolorowego żagla i lśniących złocień na dziobie i nadburciach.

Wreszcie ujrzeli brzegi Shemu — rozległe, pagórkowate łąki z widocznymi w oddali białymi szczytami miejskich wież, z jeźdźcami czarnych brodach i haczykowatych nosach, którzy siedząc na swych rumakach podejrzliwie spoglądali na galerę. Nie rzucano kotwicy; handel z gwałtownymi i ostrożnymi synami Shemu przynosił niewielkie zyski.

Szyper Tito nie wpłynął również do zatoki rozciągającej się w miejscu, gdzie rzeka Styks wylewa swe ogromne masy wody do oceanu, a nad błękitem wód wznoszą się potężne, czarne fortece Khemi. Nieproszone statki rzadko zawijały do tego portu, gdzie smągłokórzy czarnoksiężnicy wypowiadali straszliwe zaklęcia w oparach ofiarnego dymu, wznoszącego się nieustannie z zakrwawionych ołtarzy, na których wrzeszczały nagie kobiety, i gdzie Set, Stara Żmija, arcydemon dla Hyborejczyków, ale bóg dla Stygijczyków, ukazywał — jak mówiono — lśniące sploty tłumom swych wyznawców.

Szyper Tito ominął szerokim łukiem te senne, kryształowo czyste wody, choć z za strzeżonego przez fort cypla wyskoczyła gondola o dziobnicy w kształcie żmiji i nagie, smągłokóre kobiety z czerwonymi kwiatami we włosach przyzywały jego żeglarzy, przybierając wyzywające pozy.

Później nie widzieli już żadnych wież wznoszących się w głębi lądu. Minęli południowe granice Stygii i płynęli wzdłuż wybrzeży Kush. Morze

i życie na morzu stanowiło niezgłębioną tajemnicę dla Conana, którego ojczyzna leżała wśród wysokich wzgórz północnych wyżyn. On sam budził nie mniejsze zainteresowanie krzepkich żeglarzy, z których niewielu widziało wcześniej człowieka z jego rasy.

Byli typowymi argijskimi marynarzami, o niskiej lecz krępej budowie ciała. Conan górował nad nimi wzrostem i bez trudu mógł pokonać dwóch najsilniejszych z nich na raz. Byli twardzi i zawzięci, lecz nie mogli sprostać jego wytrzymałości i wilczej żywotności, stalowym mięśniom i zmysłom wyostrzonym przez trudy życia pędzonego w dziczy. Był skory do śmiechu, ale straszny w gniewie. Jadł za trzech i lubił mocne trunki, co było jego słabostką. Pod wieloma względami naiwny jak dziecko, nienawykły do wyrafinowania cywilizacji, odznaczał się jednak wrodzoną inteligencją i zazdrośnie strzegł swoich praw, niebezpieczny jak wygłodniały tygrys dla tych, którzy nieopatrznie weszli mu w drogę. Młody wiekiem, zahartował się w trakcie licznych wojen i długich wędrówek, których historię zdradzał jego wygląd. Nosił rogaty hełm z rodzaju tych, jakich używali złotowłosi Aesirowie z Nordheimu, pancerz i nagolenniki były dziełem najprzedniejszych płatnerzy z Koth, mocną kolczugę opinającą jego ramiona i nogi wykonano w Nemedii, u boku miał wielki, akwiloński miecz, zaś wspaniały, szkarłatny płaszcz nie mógł zostać utkany nigdzie poza Ophirem.

I tak płynęli na południe, aż szyper Tito zaczął wypatrywać otoczonych wysoką palisadą wiosek czarnych ludzi. Jednak na brzegu jednej z zatok znaleźli tylko dymiące zgliszcza i stosy nagich, czarnych ciał. Tito zaklął siarczyście.

— Niegdyś dobrze się tu handlowało. To robota piratów.

— A jeśli ich spotkamy? — spytał Conan, kładąc dłoń na rękojeści miecza.

— Mój statek to nie okręt wojenny. Będziemy uciekać, a nie walczyć. Jeśli jednak dojdzie do starcia, to już kiedyś odparliśmy rabusiów i możemy to zrobić znowu; chyba, że będzie to „Tygrysica” Bêlit.

— Kim jest Bêlit?

— Wcieloną diabolicą. Jeżeli dobrze odczytałem ślady, to jej rzeźnicy zniszczyli wieś nad zatoką. Obym kiedyś ujrzał jak zawiśnie na stryczku! Nazywają ją królową Czarnego Wybrzeża. To shemicka kobieta

dowodząca czarnymi piratami. Nękają kupieckie statki i wiele z nich posłali już na dno.

Spod pokładu na rufie Tito wydobył pikowane kaftany, stalowe hełmy, łuki i strzały.

— Opór nie na wiele się zda, jeżeli nas dopadną — mruknął. — Jednak dusza się wzdraga przed oddawaniem życia bez walki.

Słońce dopiero zaczynało wschodzić, gdy wachta krzyknęła ostrzeżenie. Zza długiego cypla wyspy na sterburcie wysunęła się smukła, złowroga sylwetka długiej galery o wysokim pokładzie, biegnącym od dziobu po rufę. Czterdzieści par wiosła szybko niosło ją po wodzie, a przy nadburciach roіło się od nagich, czarnych postaci, które śpiewały i łomotały włóczniami w owalne tarcze. Na maszcie powiewał długi, purpurowy proporzec.

— Bêlit! — wrzasnął poblady Tito. Yare! Ster lewo na burt! Do ujścia tego potoku! Jeżeli zdążymy dobić do brzegu zanim nas dopadną, może zdołamy ujść z życiem!

Ostro skręciwszy, „Argus” pomknął w kierunku przyboju tłukącego o porośnięty palmami brzeg, a Tito, biegając tam i z powrotem, zachęcał zdyszanych wiosłarzy do większego wysiłku. Broda szypra zjeżyła się, a oczy płonęły.

— Dajcie mi łuk — zażądał Conan. — Nie uważam tej broni za oręż godny mężczyzny, ale nauczyłem się łucznictwa od Hyrkańczyków i źle by o mnie świadczyło, gdybym nie zdołał naszpikować jednego czy dwóch na tamtym pokładzie.

Stojąc na rufie patrzył jak smukły okręt wrogów lekko ślizga się po falach. Nawet dla nie obeznanego z żeglarstwem Conana było oczywiste, że „Argus” nie może zwyciężyć w tym wyścigu. Strzały, słane z pokładu pirackiego statku, z sykiem padały w morze nie dalej niż dwadzieścia kroków za rufą galery.

— Lepiej stawmy im czoła — warknął Cymeryjczyk — albo wszyscy zginiemy ze strzałami w plecach, nie zadawszy nawet jednego ciosu!

— Mocniej, psy! — ryknął Tito, wściekle wygrażając pięścią.

Brodaci wiosłarze pomrukiwali, napierając na wiosła, aż pod skórą zagrały im węzły mięśni i pot kroplami spływał im po skórze. Popychana uderzeniami wiosła mała, dzielna galera skrzypiała i trzeszczała we wszystkich wiązaniach, niemal skacząc po wodzie. Wiatr ucichł; żagle

obwisły. Nieubłagani piraci zbliżali się coraz bardziej i jeszcze dobra mila dzieliła uciekających od zbawczego brzegu, gdy jeden ze sterników krztusząc się wypadł za burtę, z długą strzałą sterczącą mu z karku. Tito skoczył, by zająć jego miejsce, a Conan, wparłszy szeroko rozstawione nogi w rozkołysany pokład rufowy, uniósł łuk. Teraz widział dokładnie piracki statek. Wioślarzy chronił rząd tarcz umieszczonych wzdłuż burt, lecz płasający na wąskim pokładzie wojownicy byli widoczni jak na dłoni. Wymalowani i przybrani piórami, przeważnie nadzy, potrzásali włóczniami i barwnymi tarczami.

Na pomoście znajdującym się na dziobie stała smukła postać, której biała skóra ostro kontrastowała z lśniącem hebanem otaczających ją ciał. Niewątpliwie była to Bêlit. Conan przyciągnął cięciwę do ucha — lecz jakiś kaprys lub skrupuły powstrzymały go i sprawiły, że w ostatniej chwili zmienił zamiar i posłał strzałę w pierś stojącego u boku kobiety, wysokiego oszczepnika w pióropuszu.

Cał po całach rozbójnicza galera doganiała mniejszy statek.

Deszcz strzał spadł na pokład „Argusa” i rozległ się głośny jęk trafionych. Wszyscy sternicy polegli, naszpikowani strzałami i Tito samotnie dzierżył wielkie wiosło, klnąc zawzięcie pod nosem i wpierając w pokład muskularne nogi. Nagle zakrztusił się i padł ze strzałą w męznym sercu. „Argus” zszedł z kursu i wpadł w dryf. Załoga wydała okrzyk przerażenia, a Conan objął dowodzenie w charakterystyczny dla siebie sposób.

— Śmiało, chłopcy! — ryknął, zwalnając cięciwę, która brzęknęła zjadliwie. — Bierzcie broń i dajcie tym psom parę kopniaków zanim poderzną nam gardła! Nie ma po co dłużej giąć się nad wiosłami; wtargną na pokład nim przepełniemy pięćdziesiąt kroków!

Zdesperowani żeglarze poniechali wiosła i chwycili za broń. Stawili dzielny, choć daremny opór. Zdążyli tylko raz wystrzelić z łuków nim dopadł ich piracki okręt. Pozbawiony sternika „Argus” przechylił się na bok i okuty stalą dziób pirackiej galery z trzaskiem uderzył w śródkręcie. Haki abordażowe wbiły się w jego burtę. Z furt strzelniczych wysokiego pokładu czarni wojownicy zasypali skazanych na zagładę marynarzy lawiną strzał, które z łatwością przebijały pikowane kaftany, a potem skoczyli z włóczniami w rękę, aby dokończyć rzezi. Na pokładzie pirackiego statku zostało pół tuzina ciał — dowód łuczniczego kunsztu

Conana.

Walka na „Argusie” była krótka i krwawa. Krępi żeglarze nie byli w stanie sprostać roslým barbarzyńcom i zginęli co do jednego. Tylko w jednym miejscu bitwa przybrała inny obrót. Stojący na wysokiej rufie Conan znalazł się na tym samym poziomie co pokład pirackiej galery. Gdy jej okuty stałą dziób rozplątał burtę „Argusa”, Cymeryjczyk, odrzuciwszy łuk i stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach, nie stracił równowagi. Rosły korsarz przeskakujący reling napotkał w powietrzu ostrze wielkiego miecza, które czysto rozcięło go na pół, tak że tors poleciał w jedną stronę, a nogi w drugą. Później, w przypływie wściekłości, zostawiając za sobą stertę leżących przy nadburciu porąbanych ciał, Conan przesadził reling i spadł na pokład „Tygryscy”.

W mgnieniu oka stał się centrum huraganu kłujących włócznie i spadających maczug. Jednak w oślepiającym błysku stali posuwał się naprzód. Włócznie łamały się na jego tarczy lub ze świstem przesywały powietrze, a jego wielki miecz śpiewał pieśń śmierci. Cymeryjczyka ogarnął bojowy szał właściwy jego rasie i z płonącymi oczyma zasnutymi czerwoną mgłą ślepej furii rozcinał czaszki, łamał żebra, odrąbywał kończyny i wypruwał wnętrzności, zamieniając pokład w upiorne jatki swym okropnym żniwem krwi i roztrzaskanych mózgów.

W zbroi chroniącej go przed ciosami, oparłszy się plecami o maszt, piętrzył wokół siebie wał zmasakrowanych trupów, aż wrogowie odstąpili, dysząc z wściekłości i strachu. A kiedy chwycili za włócznie szykując się do rzutu, a on sprężył się aby skoczyć w gąszcz wrogów i zabrać kilku ze sobą, przenikliwy okrzyk zmroził uniesione ramiona. Zastygli jak posągi; czarni giganci z naszykowanymi do rzutu dzidami i odziany w zbroję wojownik z okrwawionym mieczem.

Bêlit wyskoczyła przed czarnych, odtrącając ich włócznie. Z falującą pierśią i błyszczącymi oczyma zwróciła się do Conana. Nagły podziw ścisnęła serce barbarzyńcy. Dziewczyna była smukła, lecz zbudowana jak bogini — o ciele gibkim, a jednocześnie bujnym. Jedyne jej odzieniem była szeroka, jedwabna przepaska. Białe jak kość słoniowa członki i półkule piersi sprawiły, że dyszący żądzą bitwy Cymeryjczyk poczuł przypływ jeszcze gwałtowniejszych uczuć. Gęste włosy, czarne jak stygijskie ciemności, opadały jej lśniącymi puklami na smukłe plecy. Czarne, skierowane na Cymeryjczyka oczy, płonęły dziwnym blaskiem.



Była nieposkromiona jak pustynny wiatr, zwinna i niebezpieczna jak pantera. Podeszła do niego, nie bacząc na wielkie ostrze, zbroczone krwią jej wojowników. Stała tak blisko wielkiego wojownika, że dotknęła kształtnym udem miecza. Spojrzała w posępne, zimne oczy Cymeryjczyka i jej pełne, czerwone wargi rozchyliły się.

— Kim jesteś? — zapytała. — Na Isztar, nigdy nie widziałam kogoś takiego jak ty, chociaż przemierzyłam morza od wybrzeży Zingary po ognie najdalego południa. Skąd przybywasz?

— Z Argos — odparł krótko, obawiając się podstępów. Gdyby jej dłoń wykonała jakikolwiek ruch w kierunku wysadzanego klejnotami sztyletu, jednym ciosem rozciągnąłby dziewczynę na pokładzie. Jednak w sercu nie żywił obaw; zbyt wiele kobiet — z barbarzyńskich i cywilizowanych krajów — miał w swych silnych jak stal ramionach, aby nie rozpoznać ognia, jaki płonął w jej oczach.

— Nie jesteś hyboryjskim mięczakiem! — wykrzyknęła. — Jesteś dziki i groźny jak szary wilk. Twoich oczu nie osłabiły światła miasta; twoich mięśni nie zmięczył żywot pędzony wśród marmurowych ścian!

— Jestem Conan, Cymeryjczyk.

Dla ludów gorącego klimatu Północ była mglistą, na połę mityczną krainą, zamieszkałą przez srogich, błękitnookich olbrzymów, którzy czasem schodzili ze swych lodowych pustkowi, niosąc śmierć i pożogę. Ich oddziały nigdy nie zapuszczały się tak daleko na południe, tak więc ta córa Shemu nie odróżniała Aesirów od Vanirów czy Cymeryjczyków. Nieomylnym instynktem właściwym wszystkim kobietom wyczuła, że oto znalazła kochankę, i jego rasa znaczyła tylko tyle, że przydawała mu splendoru przybysza z dalekich krajów.

— A ja jestem Bêlit! — krzyknęła tak, jakby mówiła: „Jestem królową!”

— Spójrz na mnie, Conanie! — Szeroko rozwarła ramiona.

Jestem Bêlit, królowa Czarnego Wybrzeża. O, tygrysie Północy, jesteś zimny jak śnieżne szczyty, które cię wydały. Weź mnie i zmiażdż w gwałtownym uścisku! Pójdź ze mną na krańce ziemi i morza! Ogień, stal i krew uczyniły mnie królową — bądź moim królem!

Conan omiół spojrzeniem krwawe szeregi piratów, szukając oznak gniewu lub zazdrości. Nie znalazł. Hebanowych twarzy nie wykrzywiała wściekłość. Zrozumiał, że dla tych ludzi Bêlit była czymś więcej niż

kobietą; boginią, której woli nikt nie śmiał się sprzeciwić. Zerknął na „Argusa”, kołyszącego się na purpurowej fali, mocno przechylonego na burtę, z pokładem omywanym przez fale, przytrzymywanego przez haki abordażowe. Spojrzał na obramowany błękitem brzeg, na bezmiar mglistozielonego oceanu, na tętniącą życiem postać stojącą przed nim; i coś drgnęło w duszy barbarzyńcy. Przemierzać te lśniące, błękitne dziedziny z tą białoskórą, młodą tygrysicą — kochać, śmiać się, wędrować i grabić...

— Poześluję z tobą — mruknął, strząsając czerwone krople z miecza.

— Ho, N`Yago! — jej głos dźwięczał jak napięta cięciwa. — Przynies zioła i opatrz rany twego pana! Pozostali, przeniesć łupy na pokład i odbijać!

Kiedy Conan siedział na rufie, opierając się plecami o reling, a stary szaman przemywał mu liczne rany na rękach i nogach, ładunek nieszczęsnego „Argusa” szybko przeniesiono na „Tygrysicę” i złożono w małych kajutach pod pokładem. Ciała załogi i poległych piratów rzucono za burtę, kłębiącym się rekinom, a rannych wojowników ułożono na śródkręciu, gdzie mieli czekać na obandażowanie ran. Potem odcepiono haki abordażowe i gdy „Argus” bezgłośnie pograżał się w czerwonych od krwi wodach, popychana rytmicznymi uderzeniami wiosel „Tygryśca” ruszyła na południe.

A gdy tak płynęli po kryształowo czystych, błękitnych głębinach, Bêlit przyszła na rufę. Oczy jej płonęły jak ślepia czającej się w mroku pantery, gdy zerwała z siebie ozdoby, sandały oraz jedwabną przepaskę i rzuciła je do stóp Conana. Wspiąwszy się na palce i uniósłszy ramiona w górę, jak drżący posąg nagiej bieli, krzyknęła do swej hordy straceńców:

— Wilki błękitnych mórz, spójrzcie na ten taniec — miłosny taniec Bêlit, której ojcowie byli królami Asgalunu!

I tańczyła, jak wir pustynnego wichru, jak buchający płomień rozszalałego ognia, jak pęd do tworzenia i pęd do niweczenia. Jej białe stopy deptały zakrwawiony pokład i patrząc na nią, umierający zapominali o śmierci. A potem, gdy białe gwiazdy zabłyśły na aksamitnym granacie zmierzchu, zmieniając jej wirujące ciało w smugę alabastrowej mgiełki, z dzikim okrzykiem rzuciła się do stóp Conana, a gwałtowny przypływ żądzy sprawił, że Cymeryjczyk zapomniał o całym

świecie i mocno przycisnął zdyszana, naga tancerkę do czarnych płyt swej zbroi.

## 2. Czarny lotos

*W tym królestwie Śmierci i zmurszałego głazu,  
Diabelski blask klejnotów oczy jej poraził,  
I dziwny zamęt w sercu poczułem od razu,  
Jakby ktoś trzeci między nas się wraził.*

— *Pieśń o Bêlit*

„Tygrysica” krążyła po morzu i czarne wioski trzęsły się ze strachu. Tam-tamy dudniły po nocach, przekazując wieść, że morska diablica znalazła sobie kochanka, żelaznego męża, którego gniew był jak wściekłość ranionego lwa. A ocalali żeglarze z wypatroszonych stygijskich statków obrzucali przekleństwami Bêlit i białego wojownika o srogich, niebieskich oczach; tak więc stygijscy książęta dobrze go popamiętali, i pamięć ta była drzewem, które w przyszłości miało wydać gorzkie, krwawe owoce.

Lecz „Tygrysica”, nie zważając na nic jak błędzący wiatr, żeglowała wzdłuż południowych wybrzeży, aż zakotwiczyła przy ujściu szerokiej, posępnej rzeki, której brzegi porastała mroczna i tajemnicza dżungla.

— Oto rzeka Zarkheba, co oznacza „śmierć” — rzekła Bêlit. — Jej wody są trujące. Spójrz, jakie są ciemne i mętne. W tej rzece żyją tylko jadowite gady. Czarni unikają tych okolic. Kiedyś stygijska galera, umykając przede mną, popłynęła w górę rzeki i przepadła. Kazałam rzucić kotwicę w tym właśnie miejscu i po wielu dniach czarne wody zniosły tu ten statek, opuszczony i z zakrwawionym pokładem. Znaleźliśmy na nim tylko jednego człowieka — szaleńca, który umarł bełkocząc coś bez sensu. Ładunek był nietknięty, lecz los załogi pozostał zagadką. Kochany mój, sądzę, iż gdzieś nad tą rzeką musi być jakieś miasto. Słyszałam opowieści o gigantycznych wieżach i murach widzianych z daleka przez żeglarzy, którzy ośmielili się popłynąć kawałek w górę rzeki. My nie lękamy się niczego; ruszajmy tam i splądrujmy to miasto!

Conan przystał na to. Zazwyczaj godził się na jej pomysły. To jej

umysł układał plany wypraw, zaś jego ramię wprowadzało te pomysły w czyn. Mało go obchodziło, dokąd żeglowali i z kim walczyli — byle tylko żeglować i walczyć. Był zadowolony z życia.

Bitwy i wyprawy przerzedziły załogę; pozostało tylko około osiemdziesięciu oszczepników, co ledwie wystarczało by manewrować długą galerą. Jednak Bêlit nie chciała tracić czasu na długi rejs na południe, ku wyspiarskim królestwom, w których rekrutowała swych bukanierów. Rozpierała ją chęć przeżycia nowej przygody; tak więc „Tygrysica” wpłynęła w ujście rzeki, a wiosłarze mocniej naporli na wiosła gdy zaczęła się przebijać przez wartki nurt.

Minęli pierwszy zakręt, za którym skryło się morze, i zachód słońca zastał ich uparcie płynących pod prąd, omijających piaszczyste łachy, na których wiły się osobliwe gady. Nie dostrzegli nawet zwykłego krokodyla, ani żadnego ptaka czy czworonożnego zwierzęcia, przychodzącego na brzeg, do wodopaju. Podążali przez ciemność poprzedzającą wschód księżyca, między brzegami zmienionymi w nieprzeniknione palisady mroku, zza których dobiegały tajemnicze szmery i odgłosy skradających się kroków, i błyski ponurych ślepi. Raz dał się słyszeć nieludzki, drwiący okrzyk — krzyk małpy, rzekła Bêlit, dodając, iż w tych człekokształtnych zwierzętach są uwięzione dusze złych ludzi, jako kara za dawne zbrodnie. Jednak Conan wątpił w to; bowiem niegdyś, w jednym z hyrkańskich miast widział trzymane w pozłacanej klatce takie smutnookie zwierzę, które nazywano małpą, i nie było w niej nic z owej demonicznej złośliwości, jaka rozbrzmiewała w skrzekliwym śmiechu odbijającym się echem w mrocznej dżungli.

Później wzeszedł księżyc, jak kałuża krwi w hebanowej ramie, a dżungla powitała go przeraźliwym, opętańczym zgiełkiem. Ryki, wycia i jęki przyprawiły czarnych wojowników o drzenie; jednak Conan zauważył, że cały ów hałas szedł z głębi dżungli, jakby zwierzęta, tak samo jak ludzie, unikały czarnych wód Zarkheby.

Wzniósłszy się nad czarną gęstwinę drzew i ponad falujące listowie, księżyc osrebrzył rzekę i kilwater statku stał się smugą roziskrzonych, fosforyzujących bąbelków, które rozchodziły się jak lśniący trakt z rozpękłych klejnotów. Wiosła zanurzały się w błyszczącą wodę i wynurzały się spowite w mroźne srebro. Pióra w pióropuszech wojowników chwiały się na wietrze, a drogie kamienie na rękonożkach

mieczy i na puklerzach lśniły chłodnym blaskiem.

To zimne światło wznieciło lodowate ognie w klejnotach zdobiących czarne pukle Bêlit, której gibka postać leżała na lamparcej skórze rzuconej na pokład. Podparta na łokciach, z

brodą spoczywającą na wąskich dłoniach, spoglądała w twarz Conana, który leżał obok niej, a słaby wietrzyk rozwiewał mu czarną grzywę. Oczy Bêlit były jak dwa czarne klejnoty płonące w świetle księżyca.

— Otacza nas tajemnica i groza, Conanie — powiedziała. — I zmierzamy do królestwa koszmarów i śmierci. Lękasz się?

W odpowiedzi tylko wzruszył ramionami okrytymi zbroją.

— I ja się nie boję — mówiła w zadumie. — Nigdy się nie bałam. Zbyt często zaglądałam Śmierci w oczy. Czy lękasz się bogów, Conanie?

— Wolę się trzymać od nich z daleka — odparł powściągliwie barbarzyńca. — Jedni bogowie są skorzy do czynienia krzywd; inni — do pomocy; a przynajmniej tak mówią ich kapłani. Mitra

Hyboryjczyków musi być potężnym bogiem, skoro jego lud wznosił miasta we wszystkich stronach świata. Jednak nawet Hyboryjczycy obawiają się Seta. Zaś Bel, patron złodziei, jest dobrym bogiem. Dowiedziałem się o nim, kiedy byłem złodziejem w Zamorze.

— A co z twymi własnymi bogami? Nigdy nie słyszałam, abyś ich wzywał.

— Ich wodzem jest Krom. Mieszka na wielkiej górze. Po co go wzywać? Niewiele go obchodzi, czy człowiek żyje, czy nie. Lepiej już milczeć niż zwracać na siebie jego uwagę, bo prędzej ześle zgubę niż szczęście! Jest ponury i nieczuły, lecz w chwili narodzin tchnie w ludzką duszę żądzę walki i przetrwania. Czegoż więcej można wymagać od boga?

— A co ze światami za rzeką śmierci? — nalegała.

— Wiara mego ludu nie daje nadziei ani tu, ani tam — odparł Conan.  
— Na tym świecie człowiek daremnie walczy i cierpi, znajdując przyjemność jedynie w bitewnym szaleństwie; a kiedy umiera, jego dusza wstępuje w szarą, mglistą krainę chmur i mroźnych wichrów, aby błąkać się wśród nich przez wieczność.

Bêlit zadrżała.

— Życie, choćby najgorsze, jest lepsze od takiego losu. A w co ty

wierzysz, Conanie?

Wzruszył ramionami.

— Poznałem wielu bogów. Ten, kto przeczy ich istnieniu jest równie ślepy jak ten, co wierzy w nich zbyt głęboko. Nie oczekuję niczego po śmierci. Może będzie to ciemność zapowiadana przez nemediańskich mędrców, lub Kromowe królestwo lodu i chmur, a może śnieżne równiny i wyniosłe sklepienia Valhalli, w którą wierzy lud Nordheimu. Nie wiem, i nie dbam o to. Póki żyję, pragnę żyć pełnią życia; czuć na podniebieniu gęsty sok czerwonego mięsiwa i tęgiego wina, zaznać gorących uścisków białych ramion, i bitewnego szału, gdy stalowe ostrza broczą skrami i posoką. Tym się zadowolę. Niech mędrcy, kapłani i filozofowie zastanawiają się nad kwestią życia i uludy. Ja wiem jedno; jeśli życie jest złudzeniem, to i ja również nim jestem; a wtedy to złudzenie jest dla mnie rzeczywistością. Żyję, tętnię życiem, kocham, zabijam i jestem rad.

— Ale bogowie są rzeczywistością — powiedziała, podążając za własnymi myślami. — A nad nimi wszystkimi są bogowie Shemitów — Isztar, Astarte, Derketo i Adonis. Bel o kręconej brodzie i mądrym, kpiącym spojrzeniu również jest shemickim bóstwem, bowiem dawno, dawno temu narodził się w starożytnym Shumirze i chichocząc poszedł w świat, aby kraść klejnoty starożytnym władcom. Wiem, że jest życie po śmierci, i wiem to także, Conanie z Cymerii — powiedziała, zwinnie podnosząc się na kolana i obejmując go ramionami — że moja miłość jest silniejsza od śmierci! Leżałam w twych ramionach, zdyszana po dzikich pieścotach; obejmowałeś mnie, ścisakałeś i zdobywałeś, wysysając ze mnie duszę swymi gwałtownymi pocałunkami. Moje serce jest złączone z twoim, moja dusza jest częścią twojej duszy! Nawet gdybym była martwa, a ty walczyłbyś o życie, wróciłabym z otchłani aby ci pomóc — o tak! — czy mój duch żeglowałby pod purpurowymi żaglami po kryształowo czystych wodach raj, czy też wiłby się smażony płomieniami Piekieł! Jestem twoja i wszyscy bogowie razem wzięci z całą swą wiecznością nie zdołają nas rozdzielić!

Wachtowy stojący na oku krzyknął przeraźliwie. Odepchnąwszy Bêlit na bok, Conan zerwał się na równe nogi. Jego miecz zabłysł srebrzyście w świetle księżyca, a włosy na głowie zjeżyły się. Czarny wojownik wisiał nad pokładem, trzymany przez coś, co wyglądało jak czarny, giętki pień drzewa chylącego się nad pokładem. Barbarzyńca

pojął, że był to gigantyczny wąż, który wciągnął swe połyskliwe cielsko na dziób i chwycił w paszczkę nieszczęsnego wojownika. Oślizgłe łuski błyszcząły obrzydliwie w blasku księżyca, gdy gad unosił się wysoko nad pokładem, a pochwycony człowiek wił się i jęczał, jak mysz w paszczy pytona. Conan pognał na dziób i zamachnąwszy się swym ogromnym mieczem niemal przerąbał cielsko węża, grubsze od ludzkiego tułowia. Krew splamiła nadburcia, gdy zdychający potwór ześlizgnął się z pokładu, wciąż trzymając swoją ofiarę, i zwój za zwojem pogrzyżył się w rzece tłukąc cielskiem o wodę aż wzbiła się krwawa piana, w której gad i człowiek zniknęli razem.

Od tej chwili Conan osobiście objął wachtę na dziobie, lecz żaden inny koszmar nie wypełnił z mroków nocy; a gdy ranek rozjaśnił dżunglę, Cymeryjczyk dostrzegł wznoszące się nad czubkami drzew, czarne kły wież. Zawołał Bêlit, która spała opodal owinięta w jego szkarłatny płaszcz; z roziskrzonym wzrokiem przybiegła na wezwanie. Otworzyła usta szykując się do wydania rozkazu wojownikom, aby chwycili łuki i włócznie; lecz w tej samej chwili szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia.

Minąwszy porośniętą dżunglą cypel i skręciwszy w stronę przeciwległego brzegu, ujrzeli widmowe miasto. Chwasty i wysokie kępy trzcin rosły między głazami popękanych murów i strzaskanych płyt, które niegdyś były ulicami, rozległymi placami i szerokimi dziedzińcami. Ze wszystkich stron — oprócz tej, z której płynęła rzeka — do miasta wdzierają się dżungla, kryjąc obalone kolumny i sterty gruzu swą jadowitą zielenią. Tu i ówdzie chylące się wieże kłoniły się jak pijane na tle porannego nieba, a wśród rozsypujących się ścian sterczały spękane filary. Na głównym placu wznosiła się marmurowa piramida zwieńczona smukłą kolumną, na szczycie której przysiadło coś, co Conan uznał za posąg, póki jego bystre oczy nie wypatrzyły oznak życia.

— To wielki ptak — rzekł jeden z wojowników, stojący na dziobie.

— To potworny nietoperz — upierał się inny.

— To mała — rzekła Bêlit.

W tym momencie stwór rozpostarł szerokie skrzydła i odleciał w głąb dżungli.

— Skrzydlata mała — wykrztusił stary N'Yaga. — Lepiej było nam poderżnąć sobie gardła, niż tu przybywać. To nawiedzone miejsce.



Bêlit wydrwiła jego przesady po czym rozkazała przybić do brzegu i przycumować galerę do skruszałych nadbrzeży. Pierwsza zeskoczyła na ląd, a tuż za nią Conan, za nimi zaś ruszyli hebanowoskórzy piraci w kołyszających się na wietrze pióropuszcach, z nastawionymi włóczyniami, niepewnie spoglądając na otaczającą ich dżunglę.

Wszędzie zalegała cisza, złowroga jak milczenie drzemiącej w słońcu żmii. Bêlit wyglądała niezwykle malowniczo na tle ruin; jej wibrująca życiem, gibka postać dziwnie kontrastowała z rozpościerającą się wokół pustką i zniszczeniem. Nad dżunglą powoli i niechętnie wstało słońce, oblewając wieże złotą poświatą pozostawiającą przyczajone pod rozchwianymi murami cienie. Bêlit wskazała smukłą, okrągłą wieżę, przekrzywioną na murszejących fundamentach. Wiodła do niej szeroka aleja ze splekanych, pozarastanych trawą płyt, zakończona ogromnym ołtarzem. Bêlit przebiegła po prastarej drodze i stanęła przed nim.

— To świątynia dawnych bogów — powiedziała. — Spójrz, po bokach ołtarza widać kanaliki na krew i deszcze przez tysiąc lat nie zmyły z nich tych ciemnych plam. Mury runęły, lecz ten kamień trwa, nie bacząc na czas i żywioły.

— Kimże byli ci dawni bogowie? — dopytywał się Conan.

Bezradnie rozłożyła smukłe ręce.

— Żadne legendy nie wspominają o tym mieście. Jednak spójrz na uchwyty na końcach tej płyty! Kapłani często chowają swoje skarby pod ołtarzami. Niech czterech z was spróbuje czy uda wam się ją podnieść.

Cofnęła się by zrobić miejsce wojownikom, spoglądając na wznoszącą się nad nimi, mocno pochyloną wieżę. Trzech najsilniejszych piratów chwyciło wykute w kamieniu uchwyty — dziwnie nieprzystosowane do kształtu ludzkiej ręki gdy Bêlit odskoczyła z przeraźliwym okrzykiem. Stanęli jak wryci, a pomagający im, nachylony nad ołtarzem Conan odwrócił się z przekleństwem na ustach.

— Wąż w trawie — powiedziała, cofając się. — Chodź tu i zabij go, a wy przyłóżcie się do tego kamienia.

Conan szybko podszedł do niej, a jego miejsce zajął inny wojownik. Barbarzyńca niecierpliwie rozgarniał trawę szukając

gada, a czarni olbrzymi, mocno wparłszy się nogami w ziemię, stękając zaczęli podnosić kamień, aż ogromne mięśnie grały i prężyły się pod ich hebanową skórą. Ołtarz nie dał się podnieść, lecz

niespodziewanie wywrócił się. W tej samej chwili rozległ się potężny łoskot i wieża runęła z trzaskiem, grzebiąc pod gruzami czterech czarnych wojowników.

Ich kompani wydali okrzyk zgrozy, a Bêlit zacisnęła smukłe palce na muskularnym ramieniu Conana.

— Nie było żadnej żmii — szepnęła. — To był tylko pretekst, aby cię odciągnąć. Bałam się o ciebie. Dawni bogowie dobrze strzegą swoich skarbów. Odrzućmy te głazy.

Nie szczędząc trudu uczynili tak i wydobyli zmasakrowane ciała czterech towarzyszy. A pod nimi znaleźli, zbroszoną krwią tych nieszczęśników, wykutą w litej skale kryptę. Ołtarz, przemyślnie umocowany na kamiennych zawiasach, pełnił rolę pokrywy. I na pierwszy rzut oka zdawało się, że kryptę wypełnia płynny ogień, odbijający światło wczesnego ranka milionem lśniących zwierciadeł. Przed szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma piratów leżało niewyobrażalne bogactwo: diamenty, rubiny, krwawniki, szafiry, turkusy, kamienie księżycowe, opale, szmaragdy, ametysty i inne, nieznanne klejnoty błyszczące jak oczy grzesznych kobiet. Krypta była wypełniona po brzegi lśniącymi kamieniami, które poranne słońce rozjarzało migotliwym płomieniem.

Z cichym okrzykiem Bêlit upadła na kolana w zakrwawiony gruz na krawędzi krypty i zanurzyła ramiona po łokcie w ten bezmiar wspaniałości. Wyciągnęła je, trzymając coś, co wydarło z jej ust następny okrzyk — długi sznur purpurowych kamieni, podobnych do grudek zakrzepłej krwi nawleczonych na gruby, złoty drut. Ich poświata zmieniała złoty blask słońca w krwawą mgiełkę.

Bêlit spoglądała na to jak urzeczona. Dusza Shemity znajduje radosne upojenie w bogactwach i dobrach materialnych, a widok tych skarbów mógłby wstrząsnąć nawet tonącym w zbytku cesarzem Shushanu.

— Bierzcie klejnoty, psy! — rzuciła rozkaz chrapliwym z podniecenia głosem.

— Patrzcie! — muskularne ramię czarnego wyciągnęło się w kierunku „Tygryscy” i Bêlit odwróciła się z gniewnym pomrukiem na szkarłatnych wargach, jakby spodziewała się ujrzeć inny okręt korsarski przybijający do brzegu, by ją pozbawić łupu. Lecz to tylko ten sam czarny

kształt uniósł się z furty strzelniczej galery i poszybował nad dżunglą.

— Diabelska mała obejrzała okręt — mamrotali zaniepokojeni czarni.

— I co z tego? — wrzasnęła gniewnie Bêlit, niecierpliwie odgarniając z czoła niesforny pukiel włosów. — Zróbcie z włóczni i płaszczy nosze do przeniesienia tych klejnotów... A ty dokąd idziesz, do diabła?

— Obejrzyć galerę — mruknął Conan. — Ten nietoperzoczek mógł równie dobrze wybić dziurę w jej dnie.

Szybko przebiegł po splekanym nabrzeżu i skoczył na okręt.

Wystarczyła krótka inspekcja pod pokładem, by zaklął z pasją, rzuciwszy chmurne spojrzenie w stronę, gdzie zniknął nietoperzoskrzydły. Cymeryjczyk pospiesznie wrócił do Bêlit, nadzorującej plądrowanie krypty. Założyła naszyjnik i czerwone kamienie lśniły posępnym blaskiem na jej nagiej, białej piersi. Ogromny, czarny wojownik stał zanurzony niemal do pasa w jamie pełnej klejnotów i czerpiąc je pełnymi garściami, podawał niecierpliwie wyciągającym ręce kompanom. Między ciemnymi palcami przeciekały mu strumienie blasku; krople czerwieni kapały mu z dłoni, migocząc wszystkimi barwami mroźnej tęczy. I zdawało się, że to czarny tytan stanął w rozkroku w jasnej otchłani Piekieł, trzymając gwiazdy w wyciągniętych dłoniach.

— Ten latający diabeł przedziurawił beczki z wodą — rzekł Conan. — Usłyszelibyśmy hałas, gdyby nie opętały nas tak te klejnoty. Głupio zrobiliśmy nie zostawiając nikogo na straży. Woda z tej rzeki nie nadaje się do picia. Wezmę dwudziestu ludzi i poszukam pitnej wody w dżungli.

Ogarnięta osobliwym zamroczeniem spojrzała na niego dziwnie pustym spojrzeniem, a jej palce nieprzerwanie bawiły się naszyjnikiem na piersi.

— Bardzo dobrze — powiedziała z roztargnieniem, ledwie go słysząc. — Ja przeniosę łupy na pokład.

Dżungla szybko zamknęła się za nimi, a światło ze złocistego stało się szare. Z łukowatego sklepienia zielonych gałęzi zwieszały się podobne do pytonów liany. Wojownicy szli rzędem, brnąc przez odwieczny półmrok jak czarne zjawy podążające za białym duchem.

Poszycie nie było tak gęste, jak się Conan spodziewał. Ziemia była

miękką, lecz nie grząską. W miarę jak oddalali się od rzeki, grunt stopniowo się podnosił. Coraz bardziej zagłębiali się w falujące, zielone odmęty i wciąż nie znajdowali śladu wody, ani płynącego strumienia, ani spokojnego stawu. Nagle Conan zatrzymał się raptownie, a jego wojownicy zastygli w bezruchu jak bazaltowe posągi. W pełnej napięcia ciszy, jaka po tym zapadła, Cymeryjczyk niecierpliwie potrząsnął głową.

— Idźcie dalej — mruknął do swego zastępcy, N’Gory. — Maszerujcie przed siebie, aż zniknę wam z oczu; wtedy zatrzymajcie się i zaczekajcie na mnie. Sądzę, że ktoś nas śledzi. Słyszałem jakieś szmery.

Czarni niespokojnie przestępowali z nogi na nogę, ale zrobili co im kazano. Kiedy ruszyli przed siebie, Conan spiesznie ukrył się za wielkim drzewem, spoglądając w kierunku, z którego przybyli. Z tej gęstwiny liści mógł się wyłonić nie wiedzieć jaki stwór...

Jednak nic się nie stało; słabe odgłosy maszerujących oszczepników ucichły w dali. Nagle Conan uświadomił sobie, że powietrze jest przesycone jakimś dziwnym, egzotycznym zapachem. Coś delikatnie dotknęło jego skroni. Obrócił się błyskawicznie. Z kępy zielonych, osobliwie ulistnionych łodyg kłoniły się do niego olbrzymie, czarne kwiaty. To jeden z nich go dotknął. Zdawał się go zapraszać, gnąc swe sprężyste szyje. Kwiaty rozwijały płatki i szeleściły, choć nie było wiatru.

Conan odskoczył, rozpoznając czarny lotos, którego nektar niósł śmierć, a zapach — sen pełen majaków. Jednak już czuł, że ogarnia go słodki letarg. Chciał unieść miecz, żeby ściąć węzowe łodygi, lecz ramię opadło mu bezwładnie. Otworzył usta by wezwać swoich wojowników, lecz wydał jedynie ciche rzężenie. W następnej chwili, z zatrważającą gwałtownością, dżungla zakołysała się i zasnuła mgłą; nie usłyszał już straszliwych krzyków i jęków, jakie rozległy się opodal, gdyż kolana ugięły się pod nim i bezwładnie opadł na ziemię. Nad jego rozciągniętym bezwładnie ciałem wielkie, czarne kwiaty kołysały się w bezwietrznym powietrzu.

### 3. Koszmar w dżungli

*Czy był to sen tylko, co moc lotosu zesłała?  
Przeklęty zatem sen, co nędzny kupił żywot  
I każda chwila niemocy, która nie widziała,  
Krwi czerwonej, plamiącej noża mego brzeszczot.*

— *Pieśń o Bêlit*

Najpierw była to czerń zupełnej pustki i przelatujące przez nią zimne wiatry z kosmicznych przestrzeni. Później kształty — osobliwe, monstrialne i ulotne — zaczęły się przewijać przez bezmiar nicości, jak gdyby ciemność przybierała materialną postać. Powiały wichry tworząc trąbę powietrzną, wirującą piramidę ryczącej czerni. Z niej powstał Kształt i Wymiar; potem, nagle, jak rozchodzące się chmury, ciemności rozstały się ukazując wielkie miasto z zielonego kamienia, na brzegu szerokiej rzeki płynącej po bezkresnej równinie. W tym mieście poruszały się nieziemskie istoty.

Choć miały ludzką postać, z pewnością nie były ludźmi. Skrzydlate i ogromne, nie wywodziły się z tego tajemniczego pnia ewolucji, którego szczytowym pędem jest człowiek, lecz były rozwiniętym kwieciami innego, obcego drzewa, rosnącego osobno. Nawet nie licząc skrzydeł, przypominały ludzi w tym samym stopniu, co człowiek w swej najdoskonalszej postaci przypomina wielkie małpy. Pod względem duchowego, estetycznego oraz intelektualnego rozwoju przewyższały człowieka tak samo, jak ten przewyższa goryla. Jednak kiedy wznosiły swój olbrzymi gród, pierwotni przodkowie człowieka jeszcze nie wyłonili się ze szlamu pradawnych oceanów.

Istoty te były śmiertelne, jak wszystkie co są z ciała i krwi. Żyły, kochały i umierały, choć ich czas życia był niezwykle długi. Potem, po niezliczonych milionach lat, nadeszła Wielka Zmiana. Obraz drżał i falował, jak malowidło na targanej wiatrem kurtynie. Epoki przetaczały się na miastem i ziemią niczym fale toczące się po piasku, a każda z nich niosła zmiany. Gdzieś na planecie przemieszczały się centra

magnetyczne; ogromne lodowce i pola lodowe cofały się ku nowym biegunom.

Zmieniło się oblicze wielkiej rzeki. Równiny przekształciły się w cuchnące gadzim życiem bagniska. Tam, gdzie niegdyś rozpościerały się żyzne łąki teraz rosły puszcze, zmieniające się w wilgotne dżungle. Mijające wieki zostawiły swój ślad również na mieszkańcach miasta. Nie wywędrowali do nowych ziem. Jakieś niepojęte dla człowieka powody kazały im pozostać w prastarym grodzie i oczekiwać swej zguby. I tak jak bogata niegdyś i potężna kraina coraz głębiej tonęła w czarnym bagnie dżungli, tak i jej mieszkańcy coraz bardziej pogrążali się w chaosie. Straszliwe konwulsje wstrząsnęły ziemią; noce były rozjarzone posępnym blaskiem wybuchających wulkanów, które usiały ciemny horyzont licznymi słupami ognia.

Po trzęsieniu ziemi, które zburzyło zewnętrzne mury i najwyższe wieże, rzeka przez wiele dni była czarna od jakiejś trującej substancji wypłutej z głębin ziemi — a w wodzie, którą ten lud pił przez niezliczone wieki, zaszła jakaś przerażająca zmiana.

Wielu tych, co ją pili, zmarło; zaś ci, którzy przeżyli ulegali przemianie; subtelnej, stopniowej i strasznej. Przystosowując się do nowych warunków, cofnęli się w rozwoju znacznie poniżej swego pierwotnego stanu. Lecz śmiertelne wody zmieniały ich jeszcze okropniej, z jednego potworniejszego pokolenia na drugie. Oni, którzy byli skrzydlatymi bogami, stali się demonami, a wszystko co ocalało z niezmiernej mądrości ich przodków zostało wypaczone i w najokropniejszy sposób przekręcone. I tak jak wznieśli się na wyżyny, o jakich ludzkość nie mogła nawet marzyć, tak teraz stoczyli się niżej niż człowiekowi mogłoby się przyśnić w najobłędniejszym koszmarze. Wymierali szybko, z powodu kanibalizmu i okropnych walk toczonych w nocnych mrokach dżungli. Aż w końcu wśród porośniętych mchem ruin miasta pozostał tylko jeden — skarłowaciały, ohydny wybryk natury.

Wtedy po raz pierwszy pojawili się ludzie: ciemnoskórzy mężczyźni o orlich rysach w zbrojach ze skóry i miedzi, zbrojni w łuki — wojownicy prehistorycznej Stygii. Było ich tylko pięćdziesięciu, wycieńczonych i wychudłych po długich trudach wędrówki, brudnych i podrapanych po marszu przez dżunglę, poowijanych w zakrwawione bandaże świadczące o ciężkich walkach. W ich sercach tkwiła pamięć wojny i klęski, i ucieczki

przed silniejszym plemieniem, które gnało ich coraz dalej na południe, aż zgubili się w zielonym labiryncie dżungli i rzek.

Wycieńczeni, legli wśród ruin, gdzie czerwone kwiaty kwitnące raz na sto lat kołysały się przy pełni księżyca, i zapadli w sen. A kiedy spali, z mroku wypełznął odrażający, czerwonoooki kształt i nad każdym z nich odprawił upiorne i straszne rytuały. Wiszący na pociemniałym niebie księżyc barwił dżunglę czerwienią i czernią; szkarłatne kwiaty lśniły jak plamy krwi nad pogrążonymi we śnie wojownikami. Później księżyc zaszedł i oczy czarnoksiężnika błyszczały niczym czerwone klejnoty oprawione w heban nocy.

Gdy świt rozpostarł swój biały welon nad rzeką, nie było ani jednego człowieka; tylko włochate, skrzydlate monstrum siedzące w kręgu pięćdziesięciu wielkich, cętkowanych hien, które uniosły ku niebu rozedrgane pyski i zawyły jak dusze potępione.

Później scena następowała po scenie tak szybko, że każda deptała po piętach swojej poprzedniczce. Był bezład poruszeń, stapienie się światła i cieni na tle czarnej dżungli, ruin z zielonego kamienia i mętnych wód rzeki. Czarni ludzie płynęli w górę rzeki w długich pirogach o dziobach ozdobionych szczyrzącymi zębami czaszkami, albo z włóczniami w dłoniach, skuleni skradali się wśród drzew. Umykali z wrzaskiem przed czerwonymi ślepiami i toczącymi pianę szczękami. Wrzaski umierających rozdzierały mrok; w mroku słychać było skradające się kroki, a oczy wampira płonęły czerwienią. I były ohydne biesiady w świetle księżyca, przez którego purpurowe oblicze nieustannie przelatywał nietoperzopodobny kształt.

Potem, nagle, wyraźnie widoczny w przeciwieństwie do tamtych, niewyraźnych obrazów, zza porośniętego dżunglą cypla wypłynęła długa galera, pełna postaci o hebanowej skórze, a na jej dziobie stał białoskóry olbrzym w błękitnej stali.

Dopiero wtedy Conan pojął, że śni. Do tej pory nie uświadamiał sobie swojego istnienia. Gdy jednak ujrzał siebie stąpającego po pokładzie „Tygryscy”, chociaż wcale się nie obudził, zdał sobie sprawę zarówno ze swej egzystencji, jak i z tego, że śni.

Gdy się nad tym zastanawiał, obraz zmienił się gwałtownie, ukazując polanę w dżungli, na której stał N’Gora z dziewiętnastoma oszczepnikami, jakby na kogoś czekając. W tej samej chwili gdy Conan

pojął, iż to jego oczekują, z nieba runął koszmar i kamienny spokój wojowników ustąpił miejsca okrzykom przerażenia. Oszałeli ze strachu czarni porzucili swój oręż i na oślepnęli pognali przed siebie, ścigani przez ohydny potwór, którego skrzydła łopotały nad ich głowami.

Po tej wizji, w trakcie której Conan daremnie próbował odzyskać przytomność, zapanował całkowity chaos. Barbarzyńcy zdawało się, że widzi swoje ciało leżące pod rozkołysaną kępą czarnych kwiatów, a z gęszczy podpełza ku niemu odrażający stwór.

Tytanicznym wysiłkiem zerwał niewidoczne więzy trzymające go w uśpieniu i podniósł się z ziemi.

Z niedowierzaniem w oczach rozejrzał się wokół. Widząc kołyszącą się obok czarny lotos, pospiesznie odsunął się od niego.

Opodal dostrzegł ślad w miękkiej ziemi, jakby jakiś zwierz szykujący się do wyjścia z zarośli stanął tam jedną łapą, a potem ją cofnął. Mógł to być trop niewiarygodnie dużej hieny.

Conan zawołał N'Gorę. Nad dżunglą zalegała odwieczna cisza, w której jego krzyk brzmiał śmiesznie słabo i głucho. Nie widział słońca, lecz wyćwiczony w gęstwinie instynkt podpowiedział mu, że dzień niemal już się kończy. Na myśl o tym, że przeleżał bez zmysłów tyle godzin, ogarnęła go panika. Pospiesznie ruszył tropem oszczepników, wyraźnie odcisniętym w wilgotnej glinie. Biegły równym rzędem i szybko doprowadziły go na otwartą przestrzeń, na której stanął, czując ciarki przebiegające mu po krzyżu, gdy rozpoznał polankę widzianą w narkotycznych wizjach. Na ziemi poniewierały się tarcze i włócznie, jakby porzucone w beładnej ucieczce.

A ślady wiodące z polanki w głąb dżungli świadczyły, że istotnie był to bieg na oślepnęli. Tropy nakładały się na siebie i bezcelowo plątały wśród drzew. Szybko kroczący Cymeryjczyk niespodziewanie wyszedł z gęstwin na pagórkowatą skałę, która wznosiła się stromo by pionową ścianą opaść w przepaść głęboką na czterdzieści stóp.

Na skraju urwiska przykucnął jakiś stwór.

Z początku Conan sądził, że to wielki, czarny goryl. Później stwierdził, że to olbrzymi czarnoskóry mężczyzna, skulony jak małpa, ze zwieszonymi długimi rękami, toczący pianę z rozdziawionych ust. Dopiero gdy stwór z łkającym wyciem runął na niego próbując go pochwycić, Conan poznał N'Gorę. Czarny zaatakował nie zważając na



okrzyk Cymeryjczyka — z wywróconymi oczyma ukazującymi białka, z wyszczerzonymi zębami i twarzą wykrzywioną nieludzkim grymasem.

Zdjęty zgrozą, jaką w zdrowym człowieku zawsze budzi widok czyjegoś szaleństwa, Conan przeszył mieczem napastnika; później, uniknąwszy zakrzywionych jak szpony palców N'Gory, podszedł na skraj przepaści.

Przez chwilę stał spoglądając w dół, na poszarpane skały, gdzie leżeli oszczepnicy N'Gory — w bezwładnych i nienaturalnych pozach, świadczących o zmiżdżonych członkach i potrzaskanych kościach. Żaden się nie ruszał. Chmara wielkich, czarnych much głośno bzyczała nad zbryzganymi krwią głazami; mrówki już poczęły ogryzać ciała. Na okolicznych drzewach siedziały sępy, a szakał, spojrzawszy w górę i dojrzawszy stojącego nad przepaścią człowieka, umknął chyłkiem.

Conan niedługo stał bez ruchu. Niebawem odwrócił się i pobiegł z powrotem drogą, którą przyszedł. Nie zważając na nic przedzierał się przez wysokie trawy i zarośla, przeskakując przez grube pnącza zagradzające mu drogę jak wijące się węże. W prawej dłoni dzierżył miecz, a jego smagłą twarz okryła niezwykła bladość.

Nic nie zakłócało panującej w dżungli ciszy. Słońce zaszło i z lepkiej, czarnej ziemi podniosły się czarne cienie. Przez mroki pełne czającej się śmierci i ponurej samotności, Conan pędził jak błysk szkarłatu i błękitnej stali. Wśród pustkowia nie słyhać było innego dźwięku prócz jego szybkiego oddechu, gdy wreszcie wypadł z cienia na okryty wilgotnym półmrokiem brzeg rzeki.

Ujrzał przytuloną do splekanego nabrzeża galerę i ruiny budowli, niepewnie majaczące w szarej poświacie. Tu i ówdzie wśród kamieni widniały jaskrawe, szkarłatne plamy, jakby niedbale strząśnięte z pędzla.

I znów ujrzał obraz śmierci i zniszczenia. Wokół leżeli jego oszczepnicy, lecz żaden nie wstał aby go pozdrowić. Od skraju dżungli aż po brzeg rzeki, pośród murszejących kolumn i popękanych nabrzeży leżały rozdarte na strzępy, zmasakrowane, na poły zeżarte ludzkie ciała.

Conan w milczeniu wszedł na nabrzeże, podchodząc do galery nad pokładem której wisiało coś, co w słabej poświacie lśniło jak kość słoniowa. Oniemiały Cymeryjczyk ujrzał Królową Czarnego Wybrzeża, powieszoną na rei jej własnego statku. Od rei do smukłej szyi Bêlit rozciągał się sznur purpurowych grudek, błyszczących w szarym

zmierzchu jak krople krwi.

## 4. Atak z przestworzy

*Czarne cienie wokół niego krążyły,  
Okrwawione paszcze rozdziawiły,  
I krople krwi spadły deszczem...  
Lecz ma miłość silniejsza niż śmierci czar ponury,  
Nie wstrzymały mnie wszystkie stalowe piekielne mury,  
I u boku kochanka stanęłam raz jeszcze.*

— *Pieśń o Bêlit*

Dżungla była czarnym kolosem, który ścisnął hebanowymi ramionami usłaną ruinami polanę. Księżyc nie wyszedł zza chmur; gwiazdy jak okruchy gorącego bursztynu lśniły na dyszącym śmiercią, zamarłym niebie. Na stopniach piramidy, pośród obalonych kolumn, niczym żelazny posąg siedział Conan Cymeryjczyk, wsparłszy brodę na potężnych pięściach. Wokół, w nieprzeniknionych ciemnościach, błyskały czerwone ślepie i słychać było skradające się kroki. Martwi leżeli tam, gdzie padli. Tylko na pokładzie „Tygryscy”, na stosie z połamanymi ław, drzewc włośnic i lamparcich skór, spała wiecznym snem Królowa Czarnego Wybrzeża, spowita w szkarłatny płaszcz Conana. Spoczywała jak prawdziwa królowa, pośród stosów łupów; jedwabi, złotogłowiu, srebrnych nausznic, beczulek klejnotów i złotych monet, ozdób ze srebra, wysadzanych drogimi kamieniami sztyletów oraz stert złotych sztabek.

Lecz o łupach zagarniętych w przeklętym mieście wiedziały tylko mroczne wody Zarkheby, w które cisnął je Conan wraz z pogańskim przekleństwem. Teraz siedział posepnie na stopniach piramidy, czekając na niewidocznych wrogów. Szaleńcza wściekłość wyparła z jego duszy wszelki lęk. Jakie postacie wyłonią się z ciemności — nie wiedział, ani nie dbał o to.

Już nie wątpił w prawdziwość wizji wywołanych przez czarny lotos. Pojął, że czekających nań na polanie wojowników N’Gory przejął zgrozą widok skrzydlatego potwora spadającego na nich z przestworzy i

uciekając w popłochu, wpadli w przepaść; wszyscy oprócz dowódcy, który w jakiś sposób uniknął ich losu, chociaż nie szaleństwa. W międzyczasie, lub zaraz potem, unicestwiono pozostałych na brzegu rzeki. Conan nie wątpił, że była to raczej rzeź, niż bitwa. Już wcześniej utraciwszy męstwo za sprawą swych przesądnych obaw, czarni mogli ulec nieludzkim nieprzyjaciołom nie zadawszy nawet jednego ciosu.

Dlaczego zaś on sam tak długo uniknął ich losu, nie wiedział — chyba, że złowroga istota władająca rzeką zamierzała utrzymać go przy życiu aby dręczyć go rozpaczą i strachem. Wszystko to wskazywało na jakąś nadludzką lub diabelską inteligencję — podziurawienie baryłek z wodą aby rozdzielić siły piratów, zapędzenie czarnych w przepaść, i ostateczny oraz najmocniejszy dowód, jakim był potworny żart z naszymnikiem zadzierzgniętym jak wisielcza pętla wokół białej szyi Bêlit.

W oczywisty sposób oszczędziwszy Cymeryjczyka jako wybraną ofiarę i wydusiwszy zeń ostatnią uncję duchowych męczarni, niewidoczny wróg zapewne zakończy tragedię, posyłając go w ślad za innymi nieszczęśnikami. Na myśl o tym nawet cień uśmiechu nie wykrzywił zaciśniętych warg barbarzyńcy, lecz w jego oczach zapalił się okrutny błysk.

Wszedł księżyc, krzesząc skry z rogatego hełmu Cymeryjczyka. Żadne wołanie nie budziło uśpionego echa, lecz nagle powietrze zgęstniało od napięcia i dżungla wstrzymała swój oddech. Conan instynktownie poluzował miecz w pochwie. Piramida, na której się znajdował, miała cztery boki, a w jednym z nich — tym zwróconym ku dżungli — były wykute szerokie stopnie. Conan wziął w dłoń shemicki łuk, jeden z tych, z których Bêlit uczyła strzelać swych piratów, i ułożył przed sobą stertę strzał, pierzastymi bełtami ku sobie. Przyklęknął na jedno kolano.

Coś poruszyło się w cieniu drzew. W blasku szybko wstającego księżyca ujrzał czarny, zwierzęcy kontur głowy i barków. I nagle z ciemności, szybko i cicho, wyłoniły się ciemne, przygięte do ziemi kształty — dwadzieścia wielkich, cętkowanych hien. Ich oślinione kły zabłyśły w świetle księżyca, a ślepie płonęły tak, jak nigdy nie gorzały oczy takiego zwierzęcia.

Dwadzieścia; a więc włócznie piratów jednak zebrały swoje żniwo. Nim jeszcze skończył tę myśl, Conan przyciągnął cięciwę do ucha i wraz z

jej jękiem płomiennooki kształt wyskoczył w górę i wijąc się padł na ziemię. Reszta nie zwolniła biegu; gnała dalej, choć strzały Cymeryjczyka spadały na nich jak deszcz śmierci, słany z całą siłą i dokładnością stalowych mięśni, wspieranych nienawiścią równie gorącą co rozżarzone ognie Piekieł.

Ogarnięty bojowym szałem nie chybiał; powietrze było pełne świszczącej śmierci. Spustoszenie, jakie poczynił w nacierającym stadzie zapierało dech w piersi. Mniej niż połowa bestii dotarła do podnóża piramidy. Następne padły na szerokich stopniach. Spoglądając w dół, w ich błyszczące ślepia, Conan pojął, że te stworzenia nie były zwierzętami; i czuł, że ich demoniczna odmienność nie polegała tylko na monstualnych rozmiarach. Roztaczały aurę równie namacalną jak czarne opary unoszące się nad zasłanym trupami bagniskiem. Nawet nie próbował odgadnąć, dzięki jakim bezbożnym czarom stwory te zostały powołane do życia; jednak wiedział, że stanął twarzą w twarz z magią czarniejszą niż magia Studni Skelos.

Skoczywszy na równe nogi, potężnie napiął łuk i, niemal przytykając grot do ciała bestii, przeszył ostatnią strzałą wielkie, kudłate cielsko szybujące już ku jego gardłu. Strzała była jak mknący promień księżyca, który błysnął i znikł trafiając w cel, lecz okropna bestia konwulsyjnie zwinęła się w powietrzu i runęła z łoskotem, przeszyta na wylot.

W następnej chwili dopadła go reszta stada, w koszmarnym wirze płonących ślepi i ociekających śliną kłów. Wściekły cios mieczem rozplątał pierwszą hienę na dwoje, lecz impet pozostałych zwałił go z nóg. Gałką rękojeści miecza strzaskał wąski czerep, czując jak kruszą się kości, a krew i mózg tryska mu na dłoń; później, wypuściwszy bezużyteczny w takim ścisku oręż, złapał za gardła dwie bestie, które szarpały go i kąsały w bezgłośnej furii. Ohydny, kwaśny smród niemal go zadławił, a własny pot zalewał mu oczy. Tylko zbroja ocaliła go przed natychmiastowym rozdarciem na strzępy. W następnej chwili chwycił prawą dłonią za kudłate gardło i rozszarpał je. Lewą dłonią, chybiwszy gardzieli drugiej bestii, złapał za jedną z przednich łap i złamał ją. Z pyska okaleczonej hieny wydobył się krótki, odrażająco ludzki jęk, jedyny dźwięk podczas tej ponurej bitwy. Słyszając ten odgłos ogarnięty obrzydzeniem Conan mimowolnie rozluźnił chwyt.

Wtedy pierwsza hiena, bluzgając krwią z rozdarłej tętnicy, rzuciła

się nań ostatnim, konwulsyjnym ruchem i zacisnęła kły na jego krtani — lecz w tejże chwili padła martwa, nim barbarzyńca poczuł siłę tego chwytu.

Druga, skoczywszy naprzód na trzech nogach, szarpała jak wilk brzuch Cymeryjczyka, aż rozerwała ogniwa kolczugi. Odrzuciwszy na bok zdychającego potwora, Conan złapał okulawioną hienę i potężnym szarpnięciem, które wdarło jęk z jego okrwawionych warg, uniósł w górę szamoczącą się i gryzącą bestię. Przez moment kołysał się, łapiąc równowagę, i cuchnący oddech stwora parzył mu nozdrza a szczęki kłapały tuż przy szyi, po czym z potworną, druzgoczącą kości siłą cisnął nią o marmurowe stopnie.

Gdy chwiał się na szeroko rozstawionych nogach, spazmatycznie łapiąc powietrze, a dżungla i księżyc zdawały się kołysać przed nim w oceanie krwi, usłyszał głośny łopot błoniastych skrzydeł. Schyliwszy się, podniósł swój miecz i wyprostował się chwiejnie, po czym oburącz uniósł miecz nad głowę i strząsnął krew zalewającą mu oczy, wypatrując w górze wroga.

Jednak atak z powietrza nie nastąpił — zamiast tego piramida zatrzęsała się okropnie pod stopami barbarzyńcy. Usłyszał przeraźliwy łoskot i spostrzegł, że wyniosła kolumna nad nim chwieje się jak gałąź na wietrze. Gwałtownie pobudzony do czynu, odskoczył jak najdalej; opadł na stopnie w połowie wysokości dygoczącej pod jego stopami piramidy i następnym rozpaczliwym susem znalazł się na ziemi. Ledwie zdążył jej dotknąć, gdy piramida rozsypała się z gromowym hukiem, a kolumna runęła w dół tysiącem rozsypujących się fragmentów. Przez krótką, przerażającą chwilę z nieba zdawał się padać marmurowy deszcz. A potem tylko strzaskany gruz leżał bielejąc w świetle księżyca.

Conan poruszył się, odrzucając odłamki, które na pół go zasypały. Jeden ze spadających kamieni strącił mu hełm i ogłuszył na moment. W poprzek nóg leżał wielki kawał marmuru, przygniatając go do ziemi. Cymeryjczyk nie był pewien, czy ma całe nogi. Pot zlepił mu czarne włosy; krew sączyła mu się z ran na szyi i dłoniach. Wsparty na jednej ręce zaczął się zmagać z wiążącym go gruzem.

Nagle coś przeleciało po rozgwieżdżonym niebie i opadło na murawę w pobliżu Conana. Obróciwszy głowę ujrzał skrzydlatego demona!

Stwór ruszył nań z przerażającą szybkością i Conan zdążył dostrzec tylko niewyraźny zarys olbrzymiej, człekokształtnej postaci, pędzącej na krótkich krzywych nogach, wyciągającej włochate niekształtne ramiona zakończone czarnymi szponami; zdeformowaną głowę i szeroką twarz, w której jedynym rozpoznawalnym szczegółem była para nabiegłych krwią ślepi. Nie był to ani człowiek, ani zwierz czy demon, gdyż zdradzał zarówno ludzkie, jak i nadludzkie cechy.

Jednak Conan nie miał czasu aby się nad tym zastanawiać. Rzucił się w kierunku swego leżącego opodal miecza, lecz wyciągnięte palce nie sięgnęły broni. Z siłą rozpaczy chwycił głaz przygniatający mu nogi i żyły napęczniały mu na skroniach gdy próbował go odwalić. Powoli unosił kamień wiedząc, że potwór dopadnie go nim zdoła się uwolnić, i zdając sobie sprawę z tego, iż te długie szpony niosą śmierć.

Skrzydlaty stwór nie wahał się ani chwili. Pochylił się nad leżącym Cymeryjczykiem jak czarny cień, wyciągając niekształtne łapska — gdy nagle biały błysk pojawił się między nim a ofiarą.

Przez jedną, oszałamiającą chwilę była tam — gibka, biała postać, emanująca miłością i dzika jak pantera. Zdumiony Cymeryjczyk ujrzał ją między sobą a zbliżającą się śmiercią smukłą sylwetkę, błyszczącą w świetle księżyca jak kość słoniowa, widział błysk jej czarnych oczu i gęstwę ciemnych włosów. Jej pierś falowała, czerwone wargi miała rozchylone, i z przenikliwym okrzykiem dźwięcznym jak brzęk stali pchnęła skrzydlatego potwora w pierś.

— Bêlit! — wrzasnął Conan. Rzuciła mu szybkie spojrzenie i w jej ciemnych oczach dojrzał miłość, gorejącą i żywiołową, gorącą jak ogień i płonąca lawa. W następnej chwili zniknęła i Cymeryjczyk widział tylko skrzydlatą bestię, która cofnęła się chwiejnie, zdjęta niepohamowanym strachem, z wyciągniętymi łapskami, jakby próbując bronić się przed atakiem. Conan wiedział, że Bêlit naprawdę spoczywa na stosie wzniesionym na pokładzie „Tygryscy”. W myślach usłyszał jej namiętny okrzyk: „Nawet gdybym była martwa, a ty walczyłybyś o życie, pospieszyłabym z otchłani...”

Ze straszliwym okrzykiem napiął mięśnie, odrzucając marmurowy głaz. Skrzydlaty znów zaatakował i Conan skoczył mu naprzeciw, czując w żyłach ogień szaleństwa. Muskuly przedramion naprężyły mu się jak postronki gdy ciął swym wielkim mieczem, aż obrócił się na pięcie

pociągnięty zamachem spadającej klingi. Trafił nadbiegającego potwora tuż nad biodrami i krótkie nogi poleciały w jedną, a tułów w drugą stronę, gdy ostrze rozplątało włochate cielsko na dwoje.

Conan stał milcząc w świetle księżyca opuściwszy zakrwawiony miecz, spoglądając na szczątki wroga. Czerwone ślepia, płonące okropnym życiem, odpowiedziały mu spojrzeniem pełnym furii; później zaszklily się i zamknęły; wielkie dłonie zacisnęły się spazmatycznie i znieruchomiały. Najstarsza rasa na Ziemi wymarła.

Conan uniósł głowę, odruchowo szukając wzrokiem bestii, które były sługami i katami potwora. Żadna nie odpowiedziała mu spojrzeniem. Ciała, które widział rozrzucone na oblanej światłem księżyca murawie, należały do ludzi, a nie zwierząt: nadzy, ciemnoskórzy wojownicy, przeszyci strzałami lub pocięci razami miecza. Na jego oczach rozsypywały się w proch.

Dlaczego skrzydlaty władca nie przyszedł na pomoc swoim niewolnikom, gdy walczyły z barbarzyńcą? Czyżby obawiał się znaleźć w zasięgu ich kłów, które mogły i jego pochwycić? W niekształtnej czaszce potwora kryła się przebiegłość i ostrożność, lecz i tak nie zdały mu się one na nic.

Obróciwszy się na pięcie, Cymeryjczyk przeszedł po murszejącym nabrzeżu i wstąpił na pokład galery. Kilkoma uderzeniami miecza przeciął cumy i podszedł do steru. „Tygrysica” zakołysała się łagodnie na posępnych wodach i leniwie wypłynęła na środek rzeki, aż pochwycił ją wartki nurt. Conan napał na rumpel, z wzrokiem wbitym w spowitą w szkarłatny płaszcz postać spoczywającą na stosie, wśród skarbów godnych cesarzowej.



## 5. Stos

*I oto nadszedł kres naszej wspólnej drogi;  
Nie będzie skrzypu wioseł ni pieśni harfy wietrznej;  
Nasz proporzec szkarłatny już nie wzbudzi trwogi;  
Błękitna wstęgo świata, przyjmij w fale wieczne  
Tę, którą mi dałaś.*

— *Pieśń o Bêlit*

I znów świt zaróżowił ocean. Jeszcze czerwiejsza poświata zapaliła się u ujścia rzeki. Na białej plaży Conan z Cymerii wsparł się na swym wielkim mieczu, patrząc jak „Tygrysica” wypływa w swój ostatni rejs. W oczach, które spoglądały na kryształowo czyste wody nie było blasku. Toczące się, rozkołysane wody straciły dlań cały powab i piękno. Gdy patrzył na zielony bezmiar rozciągający się aż po purpurowe, tajemnicze mgły horyzontu, w jego duszy dokonała się gwałtowna przemiana.

Bêlit była z morza; ona czyniła je wspaniałym i nęcącym. Bez niej stało się ono nagim, okropnym pustkowiem, rozpościerającym się od bieguna do bieguna. Należała do morza i jego odwiecznej tajemnicy musiał ją zwrócić. Nie mógł uczynić nic więcej.

Dla niego ta połyskliwa, błękitna wspaniałość oceanu była teraz bardziej odpychająca niż ściana gęstwiny szeleszczącej i szepczącej za jego plecami, czy rozciągające się za nią nieprzebyte, tajemnicze pustkowia, w które miał się zagłębić.

Niczyja dłoń nie dzierżyła steru „Tygrysicy”, żadne wiosła nie popychały jej po zielonej toni. Tylko czysty, słony wiatr wypełnił jej jedwabny żagiel i pomknęła po fali jak dziki łabędź lecący po niebie ku gniazdu, a płomienie coraz wyżej strzelały z pokładu, liżąc maszt i pochłaniając owiniętą w szkarłat postać spoczywającą na ofiarnym stosie.

Tak odeszła Królowa Czarnego Wybrzeża, a wsparty na swym zboczonym mieczu Conan stał w milczeniu, aż czerwona poświata rozviała się w błękitnej mgłę i poranek oblał ocean różem i złotem

promieni.

# Czarny kolos

*„Oto noc władzy, kiedy Los kroczy przez korytarze Świata jak kolos, który właśnie wstał z wiekowego, granitowego tronu...”*

E. Hoffman Price — „Dziewczyna z Samarkandy”

Pośród tajemniczych ruin Kutchemes zalegała odwieczna cisza, ale królował tam Strach, który ścisnął za gardło złodzieja Shevatas, sprawiając, że szybko i głośno wciągał oddech przez zaciśnięte zęby.

Stał wśród ruin, jak drobny okruch życia wobec kolosalnych pomników zniszczenia i rozkładu. Nawet samotny sęp nie zakłócał czarną plamką swej obecności nieskalanego błękitu nieba, rozpalonego gorącym słońcem. Wokół wznosiły się ponure pozostałości dawno minionych wieków: olbrzymie kolumny wyciągające w górę swe strzaskane wierzchołki, kruszejące ściany chylące się do upadku, wielkie bloki cyklopowych murów i potrzaskane posągi, których okropne rysy na pół zatarły niezliczone dni piaskowych burz i porywistych wiatrów. Aż po krańce horyzontu ani śladu życia, tylko zapierający dech w piersi bezmiar pustyni, przepołowiony falującą linią koryta od dawna wyschniętej rzeki. Pośród tego bezkresu białe kły ruin, filary sterczące niczym maszty zatopionych statków i górująca nad tym wszystkim kopuła, przed którą stał trzęsący się Shevatas.

Podstawę tej kopuły stanowił gigantyczny piedestał z marmuru, wznoszący się na tarasowatym stoku nad brzegiem wyschniętej rzeki. Szerokie stopnie prowadziły do wielkich, spiżowych wrót w gładkiej ścianie budowli, przypominającej połówkę odwróconego jajka. Ściany kopuły były z kości słoniowej, błyszczącej tak, jakby przed chwilą wypolerowały ją nieznane ręce. Tak samo świeciła złota czasza wierzchołka i złote, półmetrowe hieroglify umieszczonych na kopule inskrypcji. Żaden człowiek nie potrafił odczytać tego pisma, ale Shevatas wzdrygnął się na widok dziwnych znaków. Wywodził się z bardzo starej rasy, której mity przekazywały pamięć o rzeczach, o jakich nie miały pojęcia inne ludy.

Shevatas był żylasty i zwinny, jak przystało na mistrza

zamorańskich złodziei. Małą, okrągłą głowę miał dokładnie wygoloną, a jedynym jego odzieniem była przepaska ze szkarłatnego jedwabiu. Jak każdy Zamoranin, miał ciemną skórę i bystre, czarne oczy osadzone w wąskiej twarzy o orlich rysach. Jego długie, smukłe palce potrafiły poruszać się z szybkością i delikatnością motyli skrzydeł. U pasa zawiesił krótki i wąski miecz o wysadzanej klejnotami rękojeści. Shevatas z nadzwyczajną troskliwością obchodził się z tym orężem, tkwiącym w ozdobnej, skórzanej pochwie. Wydawało się, że stara się, by miecz nie dotykał jego biodra. I nie bez powodu.

Shevatas był złodziejem nad złodziejami; jego imię wymawiano z szacunkiem w spelunkach Maul i mrocznych, podziemnych labiryntach świątyń Bela. Był człowiekiem, którego imię miało przetrwać w pieśniach i legendach.

A jednak stojąc przed olbrzymią kopułą Kutchemes, trząsał się ze strachu.

Nawet zupełny głupiec zauważyłby, że ta budowla ma w sobie coś nienaturalnego; przez trzy tysiące lat smagały ją wichry i paliło słońce, a jednak lśniła równie jasno złotym i srebrnym blaskiem jak w dniu, w którym ręce nieznanymi budowniczymi wzniosły ją na brzegu bezimiennej rzeki.

Wrażenie to pogłębiała atmosfera niepokoju i grozy panująca wśród ruin. Rozciągająca się wokół pustynia była tajemniczym bezmiarem nieprzebytych obszarów ciągnących się na południowy-wschód od Shemu. Shevatas wiedział, że kilka dni jazdy na grzbiecie wielbłąda pozwoliłoby mu dotrzeć do brzegów wielkiej rzeki Styks, w miejscu gdzie skręcała pod kątem prostym z dotychczasowego kierunku i ruszała na zachód, aby w końcu wpaść do odległego morza. W miejscu, w którym skręcała, zaczynały się ziemie Stygii, ponurej południowej krainy, której miasta wznosiły się na brzegach rzeki wśród otaczającej je pustyni.

Shevatas wiedział też, że na wschodzie pustynia przechodziła w step ciągnący się aż do hyrkańskiego królestwa Turanu, rosnącego w siłę państwa na brzegu wielkiego, wewnętrznego morza. O tydzień jazdy na północ pustynia kończyła się pasmem jałowych wzgórz, za którymi leżały żyzne wyżyny Koth — najdalej na południe wysuniętego królestwa hyboryjskiego. Na zachodzie piaski przechodziły w zielone łąki Shemu, ciągnące się aż do oceanu.

Shevatas wiedział o tym wszystkim, nie zdając sobie nawet sprawy, że wie — tak jak człowiek znający ulice swojego miasta. Wiele podróżował, uprawiając swoją profesję w różnych krajach. Teraz jednak wahał się i drżał ze strachu, stojąc u progu największej tajemnicy i największego bogactwa.

W tej kopule z kości słoniowej spoczywały zwłoki Thugry Khotana, czarnoksiężnika, który władał Kutchemes przed trzema tysiącami lat, kiedy królestwa Stygii i Acheronu rozpościerały się daleko na północ od wielkiej rzeki, aż za łąki i wyżyny Shemu. Później Hyboryjczycy runęli potężną falą z kolebki swej rasy — dalekiej północy. Była to gigantyczna migracja, trwająca całe wieki. Za panowania Thugry Khotana, ostatniego czarnoksiężnika Kutchemes, ci szarocy, brązowo-włosi barbarzyńcy w skórach i łuskowych pancerzach, nadciągnęli ze swych siedzib, aby żelaznymi mieczami wyrąbać podwaliny królestwa Koth. Niczym wzbierająca fala przetoczyli się przez Kutchemes, siejąc śmierć i zniszczenie. Królestwo Acheronu przestało istnieć.

Kiedy ich miecze zbierały krwawe żniwo wśród łuczników Thugry Khotana, on sam wypił dziwny, trujący napój, a zamaskowani kapłani zamknęli jego ciało w grobowcu, jaki sobie wybudował. Jego wyznawcy zostali wycięci w pień, lecz barbarzyńcy nie zdołali wyłamać wrót grobowca ani naruszyć jego murów taranami czy ogniem. Odjechali, zostawiając za sobą ruiny miasta, a potężny Thugra Khotan spał spokojnie w swoim błyszczącym sarkofagu, podczas gdy czas kruszył marmurowe kolumny, a nawadniająca te ziemie rzeka wsiąkła w piasek i wyschła.

Wielu złodziei próbowało zdobyć skarby, które — jak głosiła legenda — leżały stertami wokół spleśniałych kości władcy Kutchemes. Wielu z nich zginęło u wrót grobowca, a wielu innych, dręczonych koszmarными snami, umarło z pianą szaleństwa na ustach. Dlatego też Shevatas, drżał stojąc przed grobowcem, a drzenie to potęgowała myśl o żmii, która ponoć strzegła kości czarnoksiężnika. Wszystkie legendy o Thugrze Khotanie osnute były mgłą tajemnicy i grozy. Z miejsca, w którym stał, widział ruiny olbrzymiej sali, gdzie niegdyś setki zakutych w łańcuchy więźniów klękały podczas festynów, aby król-kapłan mógł im ściąć głowy ku czci Seta, stygijskiego boga-węża. Gdzieś w pobliżu znajdowała się przepaść, mroczna i straszna, w którą strącano

wrzeszczące ofiary na żer ohydnemu potworowi, wyłaniającemu się z jeszcze głębszych czeluści. Legendy opisywały Thugrę Khotana jako istotę obdarzoną nadnaturalną mocą. Jego kult przetrwał jeszcze w szczątkowej postaci jako zwyczaj zaopatrywania zmarłych w monety z podobizną czarnoksiężnika. Była to zapłata za przewóz przez wielką rzeką ciemności, której Styks był ledwie materialnym cieniem. Shevatas widział podobiznę maga na monetach ukradzionych nieboszczykowi i twarz tę miał wyrytą w pamięci.

Wreszcie odsunął od siebie obawy i podszedł do spiżowych wrót, których gładka powierzchnia była pozbawiona jakichkolwiek rygli czy uchwytów. Jednak złodziej nie na darmo uprawiał tajemne praktyki, słuchał szeptów wyznawców Skelosa i czytał oprawione w żelazo, zakazane księgi Ślepego Vathelosa.

Kłęcząc przed portalem, dotknął zręcznymi palcami progów. Delikatnymi opuszkami znalazł ukryte występy, zbyt małe, by niepowołane oczy mogły je dostrzec, a mniej czułe palce wyczuć. Nacisnął je ostrożnie i w odpowiedniej kolejności, mrucząc przy tym na pół zapomniane zaklęcia. Nacisnąwszy ostatni występ, raptownie zerwał się na nogi i uderzył otwartą dłoń w sam środek wrót.

Bez zgrzytu sprężyn czy zawiasów płyta drzwi cofnęła się w głąb ściany. Shevatas gwałtownie wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby. Ujrzał krótki, wąski korytarz. Drzwi cofnęły się tak, że znalazły się na drugim jego końcu. Podłoga, sufit i ściany podobnego do tunelu przejścia były z kości słoniowej. Z bocznego otworu wyłonił się bezgłośnie pełzający stwór: sześciometrowa żmija o cielsku pokrytym opalizującymi łuskami. Podniosła łeb i spojrzała na intruza pałającymi ślepiami.

Złodziej nie tracił czasu na rozważania, z jakich przepastnych głębi przybył ten ohydny stwór. Ostrożnie wyjął z pochwy miecz, którego ostrze ociekało zielonym płynem, takim samym, jaki spływał z zakrzywionych kłów gada. W rzeczy samej, oręż zatruto żmijowym jadem, którego zdobycie w rojących się od dzikich bestii bagnach Zingary mogłoby być tematem osobnej opowieści.

Stąpając czujnie na czubkach palców, z lekko ugiętymi kolanami, Shevatas był w każdej chwili gotów do ucieczki lub uniku. Musiał wykazać niebywałą zręczność, aby uniknąć błyskawicznego ciosu niosących śmierć kłów. Mimo wspaniałego refleksu i zręczności, tylko

przypadek uratował Zamoranina. Błyskawiczny atak węża udaremnił plan złodzieja, który zamierzał uskoczyć w bok i odciąć mieczem wyprężony łeb. Zaledwie zdążył dobyć miecza i zasłonić się nim, gdy gad runął nań jak burza. Shevatas mimowolnie zamknął oczy i krzyknął ze strachu. Potworna siła wyrwała mu broń z ręki, usłyszał straszliwy syk i łoskot.

Otworzywszy oczy, zdumiony tym, że jeszcze żyje, Shevatas zobaczył skręcającego się i zwijającego na podłodze potwora z paszczą przebitą mieczem. Ślepy traf sprawił, że gad nadział się na nadstawione ostrze. W chwilę później błyszczące, słabo opalizujące sploty przestały się wić i zaczęły drżeć konwulsyjnie — trucizna na ostrzu podziałała.

Ostrożnie przestąpiwszy przez skręcone cielsko, złodziej pchnął wrota, które tym razem odsunęły się w bok, odsłaniając wnętrze kopuły. Shevatas wydał mimowolny okrzyk. Zamiast nieprzeniknionych ciemności ujrzał przestrzeń oblaną szkarłatnym światłem, pulsującym i migoczącym w rytmie trudnym do zniesienia dla ludzkich oczu. Ten blask dobywał się z olbrzymiego, czerwonego klejnotu, osadzonego wysoko pod łukowatym sklepieniem.

Chociaż Zamoranin przywykł do widoku nagromadzonych bogactw, rozdziawił jednak usta ze zdumienia, widząc stosy niedbale rzuconych klejnotów: sterty diamentów, szafirów, rubinów, turkusów, opali i szmaragdów; zwały jaspisu, agatu i lapis-lazuli; piramidy złotych sztab; stożki srebra; wysadzone klejnotami miecze w złotych pochwach, złote hełmy zwieńczone pióropuszcami z końskiego włosa, pancerze ze srebrnych łusek, zbroje noszone przez królów-wojowników sprzed trzech tysięcy lat, puchary wyrzeźbione ze szlachetnych kamieni, połączane czaszki z kamieniami księżycowymi w oczodołach i naszyjniki z ludzkich zębów. Podłogę pokrywała kilkunastocentymetrowa warstwa złotego pyłu, który skrzył się w szkarłatnej poświacie. Złodziej znalazł się w czarodziejskiej krainie niebywałego bogactwa, deptając nogami gwiazdy złotych rozbłysków. Nie odrywał przy tym oczu od wznoszącego się pośród tych wspaniałości kryształowego podium, na którym powinny leżeć spleśniałe kości maga, zmieniające się w proch w miarę upływu wieków. Shevatas patrzył i z wolna krew odpływała mu ze śniadej twarzy, zdając się zastygać w żyłach. Dreszcz przebiegł mu po plecach, a wargi poruszyły się w bezgłośnym okrzyku. W końcu zdołał wydobyć z

gardła przeraźliwy wrzask, który odbił się głuchym echem od sklepienia grobowca. Później wśród tajemniczych ruin Kutchemes znów zaległa odwieczna cisza.

Wśród mieszkańców hyboryjskich miast i zielonych równin krążyły dziwne plotki. Wieść podróżowała z karawanami, z długimi szeregami brnących przez piaski wielbłądów prowadzonych przez chudych, sokolookich mężczyzn w białych kaftanach. Przekazywali ją sobie pasterze, mieszkańcy namiotów i niskich kamiennych domów w miastach, których królowie o kędzierzawych i kruczoczarnych brodach oddawali cześć dziwnym, opasłobrzuchym bóstwom. Słowo przeleciało przez pasma wzgórz, gdzie posępni naczelnicy pobierali myto od podróżujących wędrowców. Dotarło do urodzajnych wyżyn, gdzie okazałe grody wznosiły się nad brzegami błękitnych jezior i rzek; rozeszło się szerokimi, białymi drogami pełnymi oślich zaprzęgów, stad ryczącego bydła, kupców zdążających w interesach, rycerzy, łuczników i kapłanów. Plotki z pustyni leżącej daleko na południe od wyżyn Koth, na wschód od mrocznej Stygii.

Wśród nomadów pojawił się nowy prorok.

Mówiono o wojnie plemiennej, o sępach gromadzących się na południu i o straszliwym przywódcy, który wiedzie do zwycięstwa szybko rosnące w siłę pustynne hordy. Zawsze zagrażający swym sąsiadom Stygijczycy najwidoczniej nie mieli z tym nic wspólnego, ponieważ zbierali wojska przy swojej wschodniej granicy, a ich kapłani odprawiali czary, mające zniwelować uroki rzucane przez tajemniczego czarownika z pustyni, zwanego Natohk, czyli Zamaskowany, jako że nigdy nie odsłaniał swej twarzy.

Jednak fala najeźdźców nieustannie parła na północ. Czarnobrodzi królowie zginęli przed ołtarzami swych opasłobrzuchych bożków, a ulice ich kamiennych miast spłynęły krwią. Mówiono, że Natohk i jego zwolennicy zamierzają zdobyć wyżyny Koth.

Najazdy nomadów nie były czymś niezwykłym, ale ostatnie wydarzenia zapowiadały coś więcej niż zuchwały napad. Plotka głosiła, że Natohk podporządkował sobie trzydzieści pustynnych szczepów i piętnaście miast. Mówiono też, że przyłączył się do niego zbuntowany stygijski książę. To ostatnie nadawało sprawie aspekt prawdziwej wojny.

Jak zwykle, większość hyboryjskich nacji ignorowała narastające



zagrożenie. Jednak w Khorai, państewku powstałym na ziemiach wydartych Shemitom przez kothijskich awanturników, nie lekceważono niebezpieczeństwa. Leżący na południowy wschód od Koth kraj przyjąłby na siebie główne uderzenie ewentualnej inwazji. Jego młody król był więźniem podstępnego władcy Ophiru, który wahał się między uwolnieniem go po otrzymaniu olbrzymiego okupu a wydaniem w ręce wroga — skąpego króla Koth, który nie obiecywał złota, ale kusił zawarciem korzystnego traktatu. Tymczasem rządy w zagrożonym królestwie sprawowała młoda księżniczka Yasmela, siostra króla.

Miała w sobie dumę spadkobierczyni królewskiej dynastii, a jej piękność opiewali minstrele całego zachodniego świata. Lecz tej nocy дума opadła z niej jak znoszony płaszcz.

W komnacie o kopulastym sklepieniu z lapis-lazuli, marmurowej posadzce usłanej cennymi futrami i ścianach bogato zdobionych złotymi fryzami stało szerokie łóżce, wokół którego na jedwabnych otomanach spało dziesięć dworek, młodych szlachcianek z bogatych rodów. Tylko księżniczka Yasmela nie spoczywała na swym łóżce. Leżała naga na marmurowej posadzce, niczym najnędnieszka ze służebnic, załamując ręce i potrząsając głową, tak że fala czarnych jak krucze skrzydła włosów spływała na jej białe ramiona. Leżała i skręcała się z przerażenia, które ścinało jej krew w żyłach i zasnuwało mgłą piękne oczy, powodując, że włosy na głowie stanęły jej dęba, a na skórze pojawiła się gęsia skórka.

Nad nią, w najciemniejszym kącie marmurowej komnaty, krył się ogromny bezkształtny cień. Nie było to jakieś żywe stworzenie z krwi i kości, lecz czarna plama, mglisty opar, potworny inkub, który wydałby się płodem zamroczonego snem umysłu, gdyby nie dwa jarzące się żółtawo punkty błyszczących w mroku ślepi.

Co więcej, zjawa była obdarzona głosem — cichym, nieludzkim sykiem, bardziej przypominającym dźwięk wydawany przez żmiję niż dobywający się z ludzkich ust. Ten odgłos i widok wprawiły Yasmelę w paniczne przerażenie, tak potworne, że skręcała się i wiła niczym chłostana batem, jakby tym fizycznym wysiłkiem chciała wyrzucić ze świadomości fakt ich istnienia.

— Jesteś mi przeznaczoną, księżniczko — mówił ze straszliwym triumfem głos. — Znalazłem cię i zapragnąłem, nim jeszcze przebudziłem się z długiego snu, w jakim trzymało mnie prastare

zaklęcie, dzięki któremu uszedłem wrogom. Jestem duszą Natohka! Przyjrzyj mi się dobrze, księżniczko! Wkrótce ujrzysz mnie w cielesnej postaci... i pokochasz!

Upiorny szept przeszedł w lubieżny chichot. Yasmela jęknęła i oszalała z przerażenia zaczęła bębnić piąstkami o marmurową posadzkę.

— Teraz śpię w pałacu Akbitany — ciągnął głos. — Tam spoczywa moje ciało. Lecz to tylko pusta skorupa, z której na krótką chwilę uleciał duch. Gdybyś mogła spojrzeć z okien mojego pałacu, zrozumiałabyś daremność wszelkiego oporu. Oblana światłem księżyca pustynia jest niczym ogród, w którym kwitną róże ognisk tysięcy wojowników. Jak lawina, która nabiera siły i pędu, spadnę na ziemie mych odwiecznych wrogów. Z czaszek ich królów zrobię sobie puchary, a ich dzieci i kobiety będą niewolnikami moich niewolników. Przez długie lata snu moja moc wzrosła... Ty będziesz moją królową, księżniczko! Nauczę cię starożytnej, zapomnianej sztuki rozkoszy. Będziemy...

Słuchając potoku obrzydliwych sprośności płynących z mrocznego kąta komnaty, Yasmela wiła się i skręcała, jakby uderzenia bata przecinały jej delikatne, nagie ciało.

— Pamiętaj! — szepnęła zjawa. — Nie upłynie wiele dni, a przyjdę po ciebie!

Przyciskając twarz do podłogi i zatykając uszy rękami, Yasmela nie była pewna, lecz zdawało jej się, że słyszy jakiś dziwny dźwięk, jak gdyby łopot skrzydeł nietoperza. Później, spojrzawszy lękliwie w górę, zobaczyła jedynie księżyc, który świecił w okno i srebrnym ostrzem swych promieni przeszywał miejsce, gdzie przed chwilą czaił się stwór. Cała drżąc, księżniczka wstała i dowlokła się do satynowego pośłania, na które osunęła się, szlochając spazmatycznie. Dwórki spały, lecz jedna obudziła się, ziewnęła, przeciągnęła smukłe ramiona i zamrugęła oczami. W jednej chwili znalazła się przy, pośłaniu płaczącej Yasmeli i objęła ramionami jej wiotką kibić.

— Czy to był...? — wyjąkała, szeroko otwierając przestraszone oczy. Yasmela przywarła do niej konwulsyjnie.

— Och, Yateeso, znów miałam ten sen! Widziałam... widziałam to! Mówiło do mnie! Powiedziało mi swoje imię... Natohk! To nie był zły sen — unosiło się nade mną, a dziewczęta spały jak zabite. Och, co mam robić?

Yateesa w zadumie obracała ciężką, złotą bransoletę na smukłym przegubie.

— O, pani — rzekła — to oczywiste, że żadna ludzka siła nie może ci pomóc, a amulet, który dali ci kapłani Isztar, jest bezużyteczny. Powinnaś zasięgnąć rady zapomnianej wyroczni Mitry.

Yasmela wzdrygnęła się, zapominając o niedawnym przerażeniu. Wczorajsi bogowie byli teraz demonami. Kothijczycy już dawno przestali oddawać cześć Mitrze, zapomniawszy o tym najbardziej popularnym wśród narodów hyboryjskich bogu. Yasmela mętnie wyobrażała sobie, że skoro jego kult jest tak stary, to i sam bóg musi być straszny. Wyznawcy Isztar obawiali się swojej bogini, tak samo jak większości innych bogów kothijskich. Kultura i religia Koth uległa wpływowi shemickim i stygijskim. Proste wierzenia Hyboryjczyków w znacznym stopniu zostały zastąpione przez wyrafinowane, despotyczne i lubujące się w przepychu religie wschodu.

— Czy Mitra mi pomoże? — spytała niespokojnie Yasmela, chwytając Yateesę za rękę. — Od tak dawna oddajemy cześć Isztar...

— Na pewno pomoże! — odparła Yateesa, która była córką ophirańskiego kapłana, szukającego w Khorai schronienia przed wrogami politycznymi. — Idź do świątyni, księżniczko! Ja pójdę z tobą.

— Tak zrobię! — Yasmela wstała, ale sprzeciwiła się, gdy dwórka chciała ją ubrać. — Nie wypada, abym szła do świątyni odziana w jedwabie. Pójdę nago, na kolanach. Tak przystoi błagalnikom, inaczej Mitra uzna, że brak mi pokory.

— Nonsens! — Yateesa nie żywiła zbytniego szacunku dla obyczajów związanych z kultem Isztar, którą uważała za fałszywe bóstwo. — Mitra chce, aby ludzie stali przed nim wyprostowani, a nie pełzali na brzuchach jak robaki i przelewali krew zwierząt na jego ołtarzach.

Tak skarcona Yasmela pozwoliła nałożyć sobie jedwabną koszulę bez rękawów, na którą naciągnęła luźną tunikę, przepasaną szeroką, atłasową szarfą. Na drobne stopki nałożyła satynowe cizmy, a Yateesa kilkoma zręcznymi ruchami różowych paluszków ułożyła jej czarne, falujące włosy. Później księżniczka poszła za dwórką, która najpierw odsunęła na bok gruby, przetykany złotem gobelin, a potem złote rygle ukrytych na nim drzwi. Przejście prowadziło do wąskiego, krętego

korytarza, którym szybko przeszły do następnych drzwi i szerokiej sieni. Stał tam strażnik w pozłacanym hełmie, srebrnym napierśniku i nabijanych złotymi guzami nagolennikach. Na ramieniu trzymał ciężki topór o długim trzonku.

Yasmela gestem powstrzymała jego okrzyk zdumienia. Wartownik sprezentował broń i nieruchomo, niczym posąg z brązu, stanął obok drzwi. Dziewczyny przeszły przez sień, której mroczne kąty daremnie próbowały rozjaśnić tkwiące w żelaznych kagańcach pochodnie. Zeszły po schodach. Yasmela z drzeniem spoglądała na cienie czające się po kątach. Trzy piętra niżej zatrzymały się przy wejściu do wąskiego korytarzyka, którego łukowaty strop był wysadzany klejnotami, podłogę stanowiły kryształowe płyty, a ściany ozdobił złoty fryz.

Trzymając się za ręce, poszły tym korytarzykiem i niebawem stanęły przed szerokim, pozłacanym portalem. Yateesa pchnęła drzwi, które otworzyły się, ukazując wejście do kaplicy dawno zapomnianej przez wszystkich, prócz nielicznych wyznawców Mitry i królewskich gości przybywających na dwór Khorai, z myślą o których ją zachowano.

Yasmela nigdy przedtem tam nie była, mimo że urodziła się w pałacu. Skromna i pozbawiona ozdób w porównaniu z pełnymi przepychu świątyniami Isztar, kaplica była urządzona z prostotą i godnością charakterystyczną dla kultu Mitry.

Sufit był wysoki, ale nie łukowato sklepiony i tak samo jak ściany i podłoga, zrobiony ze zwykłego białego marmuru. Tylko cienki, złoty fryz ozdobił ściany. Za ołtarzem z czystego, zielonego nefrytu, nie splamionego krwią ofiar, wznosił się piedestał, na którym znajdował się posąg wyobrażający boga.

Yasmela bojaźliwie spojrzała na potężne bary, jasną twarz o szeroko otwartych oczach, patriarchalną brodę i gęste kędziory przytrzymywane na skroniach przez wąską obręcz. Księżniczka nie zdawała sobie sprawy, że spogląda na dzieło sztuki w jej najczystszej postaci — artystyczny wyrób niezwykle subtelnej rasy, nie ograniczonej pętami konwencjonalnego symbolizmu.

Osunęła się na kolana, a później plackiem opadła na podłogę, niepomna przestróg Yateesy, która na wszelki wypadek poszła w jej ślady. Na niej również widok bóstwa wywarł duże wrażenie. Dworka nie mogła się powstrzymać, by nie szepnąć księżniczce do ucha:

— To tylko symbol boga. Nikt nie wie, jak Mitra wygląda naprawdę. Ten posąg przedstawia go w wyidealizowanej, ludzkiej postaci, tak bliskiej doskonałości, jak człowiek może sobie wyobrazić. On nie żyje w tym zimnym kamieniu, jak to twierdzą kapłani Isztar o swojej bogini. Mitra jest wszędzie — nad nami i wokół nas, śpi wiecznym snem między gwiazdami, ale widzi nas i słyszy. Zawołaj go.

— Co mam powiedzieć? — szepnęła zdrętwiała ze strachu Yasmela.

— Mitra zna twoje myśli, zanim je sobie uświadomisz... — zaczęła Yateesa i urwała.

Obie dziewczyny drgnęły gwałtownie, słysząc głęboki, spokojny głos. Niskie, podobne do bicia dzwonu dźwięki równie dobrze mogły się wydobywać z ust posągu, co z każdego innego miejsca kaplicy. Po raz drugi tej nocy Yasmela zadrzała, słysząc przemawiający do niej, bezcielesny głos, ale tym razem nie uczyniła tego ze strachu czy odrazy.

— Nic nie mów, córko — mówił głos, niczym melodyjny pomruk fal bijących rytmicznie o złote plaże. — Wiem, po co przyszłaś. Tylko w jeden sposób możesz ocalić swoje królestwo, a czyniąc to uratować cały świat od klów zmii, która wypełzła z odwiecznych ciemności. Wyjdź dziś samotnie na ulice miasta i złóż los królestwa w ręce pierwszego człowieka, jakiego napotkasz.

Głos umilkł i obie dziewczyny spojrzały po sobie. Później podniosły się i poszły z powrotem, nic nie mówiąc, dopóki nie znalazły się w komnacie Yasmeli. Księżniczka wyjrzała przez zakratowane złotymi prętami okno. Na niebie wisiał blady księżyc. Było już dobrze po północy. W ogrodach i pałacach Khorai umilkły odgłosy zabaw. Miasto leżało pogrążone we śnie i tylko pochodnie migotały w ogrodach, na ulicach i w oknach uśpionych domostw — zdawały się być lustrzanym odbiciem gwiazd.

— Cóż zatem zrobisz, pani? — spytała roztrzęsiona Yateesa.

— Daj mi mój płaszcz — odparła Yasmela.

— Sama na ulicach, o tej godzinie! — wykrzyknęła dwórka.

— Mitra przemówił — odparła księżniczka. — Mógł to być głos boga albo ukrytego gdzieś kapłana. Nieważne. Pójdę.

Owinąwszy się obszernym jedwabnym płaszczem i założywszy aksamitny fez, z którego spływał przejrzysty welon, przeszła szybko przez korytarze i dotarła do wrót z brązu, gdzie uzbrojeni w oszczepy

strażnicy ze zdumieniem przyjęli jej pojawienie się. To skrzydło pałacu przylegało bezpośrednio do ulicy; z trzech pozostałych stron budowlę otaczały wspaniałe ogrody okolone wysokim murem. Yasmela wyszła na ulicę oświetloną blaskiem regularnie rozmieszczonych pochodni.

Zawahała się, lecz zdecydowanym ruchem zamknęła za sobą drzwi, zanim zdążyła opuścić ją odwaga. Zadrżała lekko, widząc cichą i pustą ulicę. Pochodząc z arystokratycznego rodu, nigdy jeszcze nie wychodziła bez asysty poza mury pałacu. Zebrawszy całą odwagę, szybko ruszyła ulicą. Jej obute w satynowe cizmy stopy cicho stąpały po trotuarze, ale nawet ten słaby dźwięk powodował, że serce podchodziło jej do gardła.

Zdawało jej się, że kroki rozbrzmiewają echem w wymarłym mieście, budząc obszarpane, szurząco postacie, kryjące się w brudnych norach ciemnych zaułków. Każdy cień wydawał się zaczajonym mordercą, każda brama kryła przemykające chyłkiem stwory ciemności.

Nagle księżniczka drgnęła gwałtownie. Przed nią, na upiornie pustej ulicy, pojawiła się jakaś postać. Yasmela natychmiast schowała się w gęstym cieniu, który teraz zdawał się niebiańskim azylem. Serce waliło jej jak młot. Nadchodzący człowiek nie skradał się jak złodziej czy wystraszony przechodzień. Kroczył ciemną ulicą niczym ktoś, kto nie ma potrzeby czy chęci ukrywać swojej obecności. Szedł swobodnie i zuchwale. Kiedy mijał kaganiec z pochodnią, Yasmela mogła mu się przyjrzeć dokładniej: wysoki, potężnie zbudowany mężczyzna w krótkiej kolczudze najemnika. Księżniczka opanowała roztrzęsione nerwy i wyskoczyła z cienia, szczelnie zakutana w obszerną opończę.

— Ha! — krzyknął nieznajomy, błyskawicznie dobywając miecza. Widząc, że ma przed sobą tylko bezbronną kobietę, zatrzymał się w pół kroku, szybkim spojrzeniem omiótł ulicę, nie zdejmując dłoni z długiej rękojeści miecza wystającego spod niedbale narzuconego na ramiona, szkarłatnego płaszcza. Światło pochodni odbijało się słabo od polerowanej stali hełmu i nagolenników. Niebieskie oczy nieznajomego jarzyły się ponurym blaskiem. Już na pierwszy rzut oka Yasmela stwierdziła, że mężczyzna nie jest Kothijczykiem. Kiedy przemówił, zrozumiała, że nie jest w ogóle Hyboryjczykiem. Nosił strój kapitana najemników, a w tych oddziałach można było znaleźć żołnierzy z wielu krajów, zarówno barbarzyńskich, jak i cywilizowanych. Posępne rysy

zdradzały barbarzyńskie pochodzenie. Oczy cywilizowanego człowieka, choćby najbardziej dzikiego i gwałtownego, nie płonęłyby tak intensywnym blaskiem. Jego oddech był przesycony zapachem wina, ale nieznamy nie chwiał się ani nie jąkał.

— Wyrzucili cię na ulicę? — spytał po kothijsku z barbarzyńskim akcentem, wyciągając rękę do dziewczyny. Jego palce zamknęły się lekko na jej smukłym ramieniu. Księżniczka czuła, że bez trudu mogłaby zacisnąć je mocniej, łamiąc kości. — Właśnie zamknęli ostatnią winiarnię... Przekleństwo Isztar niech spadnie na głowy tych tchórzliwych reformatorów, którzy to wymyślili! „Lepiej, żeby ludzie spali, niż się upijali” — mówią. Zapewne po to, aby mogli lepiej pracować i walczyć za swych panów! Opasłobrzuche eunuchy, nic więcej. Kiedy walczyłem jako najemnik w Koryntii, przez całą noc piliśmy i zabawialiśmy się z dziewczynami, a w dzień biliśmy się — i krew płynęła wtedy strumieniami... Ale co z tobą, dziewczyno? Zdejmij tę przeklętą maskę...

Zwinnym ruchem księżniczka wymknęła się z jego rąk, nie chcąc go przestraszyć. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża, przebywając sam na sam z pijanym barbarzyńcą. Jeśli ujawni, kim jest, nieznamy może ją wyśmiać i odejść. Nie miała też pewności, czy nie poderżnie jej gardła. Barbarzyńcy robili różne dziwne i niezrozumiałe rzeczy. Stłumiła narastający lęk.

— Nie tu — zaśmiała się. — Chodź ze mną...

— Dokąd? — spytał niecierpliwie. W jego oczach pojawiła się podejrzliwość. — Chcesz mnie zwabić do jakiejś zbójckiej meliny?

— Nie, przysięgam, że nie!

Yasmela z trudem uchyliła się, unikając ręki sięgającej do woalu.

— Niech cię diabli, dziewczko! — warknął zde gustowany. — Jesteś gorsza od tych hyrkańskich kobiet z ich przeklętymi zawojami. No, niech choć zobaczę, jaką masz figurę!

Zanim zdołała temu zapobiec, zerwał z niej płaszcz i głośno zaklął przez zaciśnięte zęby. Stał nieruchomo, trzymając w ręku opończę dziewczyny, jakby widok bogatych szat nagle go otrzeźwił. W jego oczach pojawił się ponury błysk.

— Kim jesteś, do diabła? — mruknął. — Nie jesteś ulicznicą, chyba że twój alfons obrabował królewski seraj, aby cię przyodziać.

— To nieważne — Yasmela odważyła się położyć białą dłoń na obleczonym w kolczugę ramieniu. — Chodź ze mną.

Zastanowił się, po czym wzruszył potężnymi ramionami. Zrozumiała, że uznał ją za bogatą szlachciankę szukającą przygód. Pozwolił jej z powrotem nałożyć płaszcz i poszedł za nią. Idąc obok, obserwowała go kątem oka. Kolczuga nie skrywała grubych węzłów mięśni nieznanego, a każdy jego krok zdradzał kocią zwinność i pierwotną, nieposkromioną siłę. W porównaniu z dobrodusznymi dworzanami, do towarzystwa których była przyzwyczajona, wydawał się obcy jak nieprzebyta dżungla. Yasmela obawiała się go i w duchu mówiła sobie, że gardzi jego brutalną siłą, lecz mimo to czuła jakiś dziwny, niepokojący pociąg do tego barbarzyńcy. Jakby jego widok potracał jakąś ukrytą strunę jej kobiecej duszy. Wciąż czuła dotyk jego ręki na swym ramieniu i to wspomnienie powodowało dziwne drżenie. Wielu mężczyzn klęczało przed Yasmelą, lecz ten nie klękał przed nikim. Miała wrażenie, że prowadzi nieoswojonego tygrysa; była przerażona i zafascynowana własnym strachem.

Stała przed drzwiami pałacu i pchnęła je lekko. Uważnie obserwując towarzysza, nie znalazła na jego twarzy śladu niepokoju.

— Pałac, co? — mruknął. — A więc jesteś dworką?

Yasmela poczuła dziwną zazdrość na myśl, że któraś z jej dworek mogła kiedyś wprowadzać tędy takiego wojownika. Strażnicy udali, że nic nie widzą, kiedy księżniczka przechodziła obok nich z obcym mężczyzną. Barbarzyńca zerkał na nich czujnie, niczym wilk zbliżający się do obcego stada. Yasmela powiodła go wąskim korytarzem do swojej komnaty. Nieznajomy stanął w niemym podziwieniu, patrząc na wspaniałe gobeliny, dopóki nie dostrzegł kryształowego dzbanu z winem, stojącego na hebanowym stoliku. Z westchnieniem ulgi podniósł go do ust, gdy z sąsiedniego pokoju przybiegła zdyszana Yateesa.

— Och, księżniczko...!

Kryształowy dzban roztrzaskał się na podłodze. Błyskawicznym ruchem, zbyt szybkim, aby pochwycić go okiem, żołnierz zerwał woal Yasmeli. Odskoczył z cichym przekleństwem, a w jego ręku błysnęło szerokie ostrze z błękitnej stali. Oczy barbarzyńcy roziskrzyły się jak ślepie schwytanego w pułapkę tygrysa. Była to chwila pełna napięcia, niczym cisza przed burzą. Oniemiała z przerażenia Yateesa osunęła się



na podłogę, ale Yasmela dzielnie stawiała czoła barbarzyńcy. Wiedziała, że jej życie wisi na włosku: oszalały z wściekłości, podejrzliwy wojownik mógł w każdej chwili pozbawić ją życia, a jednak doznała dziwnej ulgi, widząc jego błyskawiczną reakcję.

— Nie obawiaj się — rzekła. — Jestem księżniczką, ale nie masz powodu do obaw.

— Po co mnie tu przyprowadziłaś? — warknął, wodząc po komnacie roziskrzonym spojrzaniem. — O co tu chodzi?

— Nic ci nie grozi — odparła. — Przywiodłam cię tutaj, ponieważ możesz mi pomóc. Zasięgnęłam rady bogów... wyroczni Mitry i on kazał mi wyjść na ulicę i poprosić o pomoc pierwszego napotkanego człowieka.

To było coś, co potrafił zrozumieć. Barbarzyńcy też mają swoje wyrocznie. Opuścił miecz, chociaż nie schował go do pochwy.

— No, jeśli rzeczywiście jesteś Yasmelą, to naprawdę potrzebujesz pomocy — mruknął. — Twoje królestwo to galimatias. Tylko jak ja mam ci pomóc? Oczywiście, jeżeli trzeba komuś poderżnąć gardło...

— Siadaj — nakazała. — Yateeso, przynieś mu wina.

Usłuchał jej, lecz zauważyła, że siadł plecami do ściany, tak aby widzieć całą komnatę. Obnażony miecz położył na kolanach. Księżniczka spoglądała jak zahipnotyzowana na to szerokie ostrze, w którym zdawały się odbijać zamglone sceny walk i rzezi. Wątpiła, czy byłaby w stanie podnieść ten oręż. Wiedziała, że barbarzyńca nie tylko bez trudu podniesie go jedną ręką, ale też może machać nim jak lekką trzcinką. Widziała te szerokie bary i potężnie umięśnione ramiona. Z dziwnym dreszczem wyobraziła sobie, że te silne palce mogłyby chwycić ją za włosy i...

Barbarzyńca uspokoił się, gdy księżniczka usiadła na otomanie naprzeciw niego. Zdjął z głowy hełm i położywszy go na stole, odrzucił w tył kaptur kolczugi, pozwalając opaść na plecy ciężkim fałdom. Teraz dostrzegła jego podobieństwo do rasy hyboryjskiej. Smągła, poznaczona bliznami twarz zdradzała skłonność do melancholii i choć nie było na niej śladów występku ani zła, płonące, niebieskie oczy nadawały jego rysom posępny wyraz. Niskie, szerokie czoło okalała kruczoczarna, gęsta grzywa prosto przyciętych włosów.

— Kim jesteś? — spytała nagle księżniczka.

— Conan, kapitan najemnych włóczników — odparł, opróżniając

jednym haustem puchar i napełniając go ponownie. — Urodziłem się w Cymerii.

Ta nazwa niewiele jej mówiła. Niejasno przypominała sobie, że to dzika, ponura i górzysta kraina, leżąca daleko na północy, za najdalej wysuniętymi przyczółkami hyboryjskiej cywilizacji, zamieszкана przez posępnych, gwałtownych ludzi. Jeszcze nigdy nie widziała żadnego z nich.

Podpierając brodę smukłymi dłońmi, spojrzała uważnie na cudzoziemca ciemnymi oczami, które usidliły wiele męskich serc.

— Conanie z Cymerii — rzekła — powiedziałeś, że potrzebuję pomocy. Dlaczego?

— No — odparł — to łatwo zauważyć. Oto twój brat, król, siedzi w ophirańskim więzieniu; oto Koth spiskuje, by podbić twój kraj; oto tajemniczy czarownik sieje w Shemie śmierć i zniszczenie; a co gorsza, coraz więcej twoich żołnierzy dezertuje.

Yasmela nie odpowiedziała od razu. Tak bezpośrednie postawienie sprawy, bez ubierania jej w piękne słówka, było dla niej czymś nowym.

— A dlaczego moi żołnierze dezertują? — spytała.

— Jedni dają się przekupić Kothijczykom — odrzekł, z upodobaniem pociągając z puchara. — Inni sądzą, że Khoraja jako niepodległe państwo jest skazana na zagładę. Wielu przestraszyło się pogłosek o zbliżaniu się tego psa Natohka.

— Czy najemnicy pozostaną mi wierni? — zapytała z niepokojem.

— Tak długo, jak długo będziesz płacić — odparł uczciwie. — Twoja polityka nic nas nie obchodzi. Możesz ufać Amalrykowi, naszemu generałowi, ale reszta to zwykli żołnierze, którzy lubią pieniądze. Ludzie mówią, że jeśli zapłacisz okup, jakiego żąda Ophir, to nie będziesz miała z czego płacić żołdu. W takim wypadku możemy przejść na służbę króla Koth, chociaż osobiście nie przepadam za tym starym sknerą. Może splądrujemy stolicę. Podczas wojny domowej zawsze znajdzie się jakiś łup.

— Czemu nie przejście do Natohka? — dopytywała się.

— A czym on mógłby nam zapłacić? — parsknął Conan. — Opasłobrzuchymi bożkami ze spiżu, które zagarnął w shemickich miasteczkach? O ile chodzi o walkę z Natohkiem, to możesz na mnie liczyć.

— Czy twoi towarzysze pójdą za tobą? — spytała niespodziewanie księżniczka.

— Dlaczego pytasz?

— Pytam — odparła z namysłem — bo mam zamiar mianować cię dowódcą armii Khorai! — odparła z namysłem.

Cymeryjczyk znieruchomiał z pucharem przytkniętym do rozciągniętych w szerokim uśmiechu ust. W jego oczach błysnęły dziwne ogniki.

— Dowódcą? Na Kroma! Tylko co powiedzą twoi wyperfumowani notable?

— Usłuchają! — Yasmela klasnęła w dłonie, przywołując niewolnika, który wszedł, gnąc się w ukłonach. — Natychmiast sprowadź mi hrabiego Thespidesa, kanclerza Taurusa, lorda Amalryka i agę Shuprasa.

— Wierzę Mitrze — powiedziała, mierząc spojrzeniem Cymeryjczyka, który łapczywie pochłaniał mięsiwo postawione przed nim przez dygoczącą Yateesę. — Byłeś na wielu wojnach?

— Urodziłem się na polu bitwy — odrzekł, odgryzając solidny kęs białymi zębami. — Pierwszymi dźwiękami, jakie usłyszałem, były wrzaski mordowanych i szcęk mieczy. Walczyłem w górach i na równinach, w lasach i na piaskach pustyni...

— Ale czy potrafisz poprowadzić armie i kierować bitwą?

— No, mogę spróbować — odparł z niezmaconym spokojem. — To prawie tak samo jak walka na miecze, tyle że na większą skalę. Przełamać gardę, a później rąbać i ciąć. Albo on, albo ty!

Niewolnik wrócił, zapowiadając przybycie ludzi, po których go wysłano i Yasmela przeszła do sąsiedniej komnaty, zaciągając za sobą aksamitną zasłonę. Notable uklękli, wyraźnie zdziwieni wezwaniem o tak późnej porze.

— Wezwałam was, żeby oznajmić wam swoją decyzję — rzekła księżniczka. — Królestwo jest zagrożone...

— Racja, moja pani — odezwał się hrabia Thespides, wysoki mężczyzna o trefionych i pachnących lokach. Jedną białą dłonią gładził wypielęgnowany wąs, a w drugiej trzymał aksamitny kapelusz z karmazynowym piórem przypiętym złotą zapinką. Nosił satynowe cizmy o sterczących noskach i kubrak z szamerowanego złotem aksamitu.

Zachowywał się nieco afektownie, ale pod jedwabnymi szatami kryły się stalowe mięśnie.

— Dobrze, że zgadzasz się zaproponować Ophirowi większy okup za uwolnienie twego brata, pani — rzekł.

— Całkowicie się z tym nie zgadzam — przerwał mu kanclerz Taurus, starszy wiekiem, w lamowanej gronostajami todze i z twarzą poznaczoną bruzdami trosk, jakich nie brakło mu podczas długich lat służby na dworze. — Zaproponowaliśmy im tyle, że po zapłaceniu okupu królestwo będzie zupełnie ogołoczone. Jeśli teraz proponujemy więcej, to tylko jeszcze bardziej rozpalimy chciwość Ophiru. Książniczko, powtarzam to, co mówiłem wcześniej: Ophir nic nie uczyni, dopóki nie dojdzie do konfrontacji z hordą Natohka. Jeśli przegramy, wyda króla Khossusa Kothijczykom; jeżeli zwyciężymy, bez wątpienia uwolni go po uzyskaniu okupu.

— A tymczasem — przerwał Amalryk — codziennie dezercerują żołnierze królewskich wojsk, a najemnicy niecierpliwią się, nie wiedząc, dlaczego zwlekamy z wymarszem.

Dowódca najemników był Nemedyczykiem, potężnie zbudowanym mężczyzną o lwiej grzywie blond włosów.

— Jeżeli mamy coś zrobić, musimy się spieszyć...

— Jutro pomaszerujemy na południe — odparła Yasmela. — A oto człowiek, który poprowadzi nasze wojska!

Szarpięciem odsunęła aksamitną zasłonę i dramatycznym gestem wskazała Cymeryjczyka. Chyba nie był to najszcześniejszy moment na dokonanie prezentacji. Wygodnie rozparty w fotelu Conan trzymał nogi na hebanowym stole, pochłonięty ogryzaniem sporego, utrzymanego oburącz wołowego udźca. Zerknął obojętnie na oniemiałych dworaków i z nieukrywaniem zapałem obzerał się dalej.

— Chroń nas, Mitro! — wybuchnął Amalryk. — To Conan, najgorszy z moich zbójów. Dawno bym go powiesił, gdyby nie był najlepszym żołnierzem, jaki kiedykolwiek nosił kolczugę...

— Wasza Wysokość raczy żartować! — krzyknął Thespides, a jego arystokratyczna twarz pociemniała z gniewu. — Ten człowiek to dzikus bez kultury i wykształcenia! To hańba dla szlachcica służyć pod jego komendą! Ja...

— Hrabio — rzekła Yasmela — nosisz moją rękawiczkę na piersi.

Oddaj mi ją i odejź.

— Odejść? — wykrzyknął ze zdumieniem. — Dokąd?

— Do Koth lub do diabła! — odparła. — Jeżeli nie chcesz mi służyć tak jak chcę, nie będziesz mi służył wcale.

— Księżniczko, źle mnie zrozumiałaś — odparł z ukłonem, głęboko dotknięty. — Nie opuszczę cię. Dla ciebie, pani, jestem gotów nawet oddać mój miecz na rozkazy tego dzikusa.

— A ty, lordzie?

Amalryk zaklął pod nosem, po czym uśmiechnął się. Jako prawdziwy poszukiwacz szczęścia nie dziwił się żadnym kaprysom fortuny, nawet najdziwniejszym.

— Będę służył pod jego komendą. Zawsze to mówię: żyć krótko, ale wesoło, a z Conanem-Podrzynaczem Gardeł jako dowódcą i jedno, i drugie mamy zapewnione. Mitro! Jeżeli ten łobuz kiedykolwiek dowodził czymś większym od kompanii, to zjem własną zbroję!

— A ty, ago? — księżniczka zwróciła się do Shuprasa.

Ten z rezygnacją wzruszył ramionami. Był typowym przedstawicielem ludu żyjącego przy południowej granicy Koth — wysokim i chudym, o orlej twarzy, której rysy były ostrzejsze od twarzy żyjących na pustyni pobratymców.

— Wola Isztar, księżniczko — rzekł z wrodzonym fatalizmem.

— Zaczekajcie — poleciła im Yasmela, znikając za kotarą i klaśnieciem przywołując niewolników.

Thespides ze złością miętosił swoje nakrycie głowy, Taurus mruczał coś cicho pod nosem, a Amalryk przechadzał się tam i z powrotem, szarpiąc żółtą brodę i szczerząc zęby jak wygłodniały lew. Niewolnicy przynieśli zbroję i zdjawszy stalową kolczugę Conan założył hełm, kołnierz, napierśnik, naramienniki i całą resztę. Kiedy Yasmela znów odsunęła kotarę, oczom zebranych ukazała się zakuta w stal postać. Podniesiona przyłbica odsłaniała smagłą twarz ocienioną czubem pawich piór. Barbarzyńca wyglądał w tym stroju naprawdę imponująco, co nawet Thespides musiał niechętnie przyznać. Niedokończony żart zamarł na ustach Amalryka.

— Na Mitrę — rzekł wreszcie. — Nigdy nie spodziewałem się ujrzeć cię w pełnej zbroi, Conanie, ale nie masz się czego wstydzić! Klnę się na moje kości, że widziałem królów, którzy nosili swoje szaty z mniejszą

godnością!

Conan milczał. Jakaś niewyraźna myśl przyszła mu do głowy, jakby jakieś niejasne przeczucie. Po latach często przypominał sobie słowa Amalryka, kiedy marzenie stało się już rzeczywistością.

Wczesnym rankiem ulice Khorai zaroily się od ludzi, którzy przyszli popatrzeć na wojska wymaszerowujące przez południową bramę. Wreszcie armia wyruszyła w pole. Jechali rycerze w bogato zdobionych, błyszczących zbrojach, z falującymi pióropuszcami wieńczącymi polerowane hełmy. Ich przystrojone w jedwabie, lakierowaną skórę i złotą uprząż rumaki kroczyły dumnie, niosąc swych panów. Promienie rannego słońca lśniły na ostrzach włóczni wznoszących się niczym las nad kolumnami jeźdźców, a ich proporczyki powiewały wesoło na wietrze. Każdy rycerz niósł dar damy swego serca: rękawiczkę, szarfę lub różę przyczepioną do hełmu lub pasa. Był to kwiat rycerstwa Khorai, pięciuset mężów dowodzonych przez hrabiego Thespidesa, który, jak mówiono, ubiegał się o rękę księżniczki Yasmeli.

Za nimi ciągnęła lekka jazda, składająca się z typowych górali, chudych mężczyzn o ostrych rysach. Na głowach nosili żelazne hełmy, a spod powiewnych kaftanów błyskały ich stalowe kolczugi. Jechali na smukłych, górskich konikach, a ich główną bronią były straszliwe shemickie łuki, z których można wypuścić strzałę na pięćset kroków. Tych jeźdźców było prawie pięć tysięcy, a dowodził nimi ponury Shupras.

Dalej maszerowali oszczepnicy, nieliczni, jak w każdym państwie hyboryjskim, ponieważ tylko służbę w kawalerii uważano za zaszczytną. Oszczepnicy, podobnie jak rycerze, byli potomkami starych, kothijskich rodów — zrujnowani młodzieńcy bez grosza, których nie stać było na kupno zbroi i konia. Ten oddział liczył pięciuset ludzi.

Pochód zamykali najemnicy: tysiąc jeźdźców i dwa tysiące oszczepników. Olbrzymie konie wydawały się równie dzikie, jak ich jeźdźcy; kroczyły majestatycznie, bez płasów czy podskoków. Jeźdźcy — zawodowi zabójcy, weterani wielu wojen — roztaczali wokół siebie ponurą atmosferę śmierci i grozy. Ich tarcze były pozbawione ozdób, a długie włócznie nie miały proporców. Od stóp do głów okrywały ich stalowe kolczugi; głowy chroniły stalowe hełmy. Każdy miał zawieszony na łąku siodła topór lub maczugę i długą, prostą szablę u pasa.

Oszczepnicy byli uzbrojeni podobnie, tylko zamiast włóczni mieli długie piki.

Najemnicy stanowili mieszaninę różnych narodowości. Rośli Hyperborejczycy, chudzi i grubokościści, o gwałtownym temperamentem i ciężkiej wymowie; jasnowłosi Gunderowie ze wzgórz na północnym zachodzie; chełpliwi renegaci z Koryntii; smagli Zamoranie, zdradliwi i czarnowłosi, Akwilończycy z dalekiego zachodu. Jednak oprócz Zingaran wszyscy byli Hyboryjczykami.

Na samym końcu kroczył bogato przybrany wielbłąd poprzedzany przez rycerza na wielkim ogierze i eskortowany przez oddział doborowych wojowników. W umocowanym na grzbiecie palankinie niósł smukłą, odzianą w jedwabie postać, na widok której oddani królewskiej rodzinie mieszkańcy miasta podrzucili w powietrze nakrycia głowy i wznieśli gromki okrzyk.

Conan Cymeryjczyk, czując się dość nieswojo w pełnej zbroi, z dezaprobatą spojrział na palankin i rzekł do jadącego obok Amalryka, który wyglądał naprawdę imponująco w pozłacanej kolczudze, złotym napierśniku i hełmie ozdobionym grzywą z końskiego włosa:

— Księżniczka jedzie z nami. Jest zwinna, ale zbyt delikatna do wojaczki. Będzie musiała pozbyć się tych powiewnych szat.

Amalryk podkręcił węża, aby ukryć uśmiech. Najwidoczniej Conan spodziewał się, że Yasmela zamierza przypasać miecz i wziąć udział w prawdziwej bitwie, tak jak to często praktykują kobiety barbarzyńców.

— Niewiasty hyboryjskie nie walczą tak jak kobiety w Cymerii — rzekł. — Yasmela jedzie z nami, aby obserwować bitwę. Ponadto — dodał, poprawiając się w siodle i zniżając głos — między nami mówiąc, wydaje mi się, że księżniczka boi się zostać w mieście. Obawia się czegoś...

— Buntu? Może trzeba było przed wymarszem powiesić kilku krzykaczy...

— Nie. Jedna z jej dworek mówiła... plotła, że Coś zjawiało się nocą w pałacu i doprowadzało Yasmelę niemal do utraty zmysłów. Niewątpliwie to jakieś diabelskie sztuczki Natohka. Conanie, nie walczymy tylko ze zwyczajnym przeciwnikiem.

— No — mruknął barbarzyńca — zawsze lepiej wyjść przeciwnikowi na spotkanie, niż czekać.

Spojrzał na długi rząd jeźdźców i wozów, zebrał wodze w obleczonej w stal dłoni i machinalnie rzucił zwyczajowe powiedzenie najemników:

— Zguba czy łup, kamraci — marsz!

Brama Khorai zamknęła się za długimi kolumnami wojsk, a na blankach pojawiły się głowy ciekawskich. Mieszkańcy miasta dobrze wiedzieli, że od maszerującej armii zależy ich los. Jeżeli oddziały poniosą klęskę, karty przyszłej historii Khorai zostaną zapisane krwią. Nadciągające z południa hordy nie wiedziały, co to litość.

Cały dzień wojska maszerowały przez trawiaste łąki przecinane wąskimi rzeczkami, stopniowo wznoszące się ku górze. Przed nimi ciągnęło się pasmo niskich wzgórz, nieprzerwaną linią sięgających ze wschodu na zachód. Tej nocy rozbili obóz na północnych stokach. Dzikooocy górale o haczykowatych nosach tuzinami przybywali, by siadać przy ogniskach i powtarzać wieści nadchodzące z głębi pustyni. W tych opowiadaniach imię Natohka przewijało się niczym żmija pełzająca wśród poszycia. Na jego żądanie demony powietrza sprowadzały gromy, wichry i burze, a bestie podziemi wstrząsały swoim rykiem ziemię. On zsyłał z nieba ogień pożerający bramy warownych miast i spalający ludzi. Jego wojownicy byli liczniejsi niż ziarna, piasku, a wspierało ich pięć tysięcy zbrojnych Stygijczyków w wojennych rydwanach, dowodzonych przez zbuntowanego księcia Kutamuna.

Conan przysłuchiwał się temu obojętnie. Wojna była jego rzemiosłem, a życie nieustającą walką lub serią walk. Od urodzenia śmierć była jego nieodłącznym kompanem. Kroczyła niestrudzenie u jego boku, zaglądała mu przez ramię przy stole do gry, jej kościste palce podawały mu puchary z winem. Stała przy nim jak zakapturzony i potworny cień, kiedy kładł się spać. Nie zważał na jej obecność, jak król nie zauważa obecności podczaszego. Pewnego dnia poczuje chwyt jej kościstych palców na gardle. To wszystko. Jednak na razie jeszcze żył.

Inni byli bardziej podatni na lęk. Obchodząc linię wart, Conan zatrzymał się, gdy wyrosła przed nim drobna, owinięta w luźną opończę postać.

— Księżniczko! Powinnaś być w swoim namiocie!

— Nie mogłam zasnąć — w jej czarnych oczach pojawił się lęk. —  
Boję się, Conanie.



— Czyżbyś obawiała się kogoś z nas? — spytał, chwytając za miecz.

— Nie — odparła z drzeniem. — Conanie, czy ty się niczego nie lękasz?

— Hm — zastanowił się. — Owszem, boję się przekleństwa bogów.

Yasmela znowu zadrzała.

— Chyba na mnie spadła taka klątwa. Upodobała mnie sobie koszmarne zjawy. Noc w noc pojawia się przy moim łożu, szepcząc do ucha okropne rzeczy. Chce, abym królowała u jej boku. Boję się zasnąć... Boję się, że znów przyjdzie do mego namiotu, tak samo jak przychodziła do mojej komnaty w pałacu. Conanie, jesteś taki dzielny... zostań przy mnie! Boję się!

Na chwilę przestała być księżniczką, a stała się tylko wystraszoną dziewczyną. Jej duma zniknęła bez śladu pod wpływem okropnego strachu, który kazał jej szukać oparcia u tego, kto wydawał się najsilniejszy. Brutalna siła barbarzyńcy, przedtem odpychająca, teraz pociągała ją.

W odpowiedzi Cymeryjczyk zdjął swój szkarłatny płaszcz i owinał nią dziewczynę. Zrobił to gwałtownym ruchem, jakby obce mu były jakiegokolwiek delikatne uczucia. Żelazna dłoń na moment spoczęła na ramieniu Yasmeli, która znów zadrzała — tym razem nie ze strachu. Dotknięcie jego palców wywoływało jakiś dziwny dreszcz, jakby w ten sposób barbarzyńca przekazał jej odrobinę swej niespożytej siły i witalności.

— Połóż się tutaj — rzekł, wskazując wolne od kamieni miejsce przy ognisku.

Conan zdawał się nie widzieć nic zdrożnego w tym, że księżniczka ma leżeć na gołej ziemi, owinięta w żołnierski płaszcz. Usłuchała go. Usadowił się w pobliżu, kładąc na kolanach obnażony miecz. Jego stalowa zbroja lśniła w blasku ogniska, przez co Cymeryjczyk wyglądał jak granitowy posąg uosabiający pierwotną siłę: nie statyczną, lecz znieruchomiłą na moment w oczekiwaniu na sygnał do natarcia. W migotliwym świetle jego twarz zdawała się być wykuta z czarnego granitu, twardszego niż stal. W tych zastygłych rysach tylko jasno płonące oczy żyły własnym życiem. Cymeryjczyk nie tylko mieszkał w dziczy — był jej częścią, stanowiąc jedność z nieposkromionymi siłami natury. W jego żyłach płynęła wilcza krew, pamięć zachowywała

wspomnienie północnych pustkowi, a serce pulsowało pieśnią obozowych ognisk.

Pogrążona w myślach i marzeniach Yasmela niepostrzeżenie zapadła w sen w cudownym poczuciu bezpieczeństwa. Nie potrafiłaby wyjaśnić dlaczego, ale była pewna, że tej nocy płomiennooki cień nie pojawi się przy jej pośłaniu.

Obudził ją cichy pomruk ściszonych głosów. Otworzywszy oczy zobaczyła, że ognisko już dogasa. Nadchodził świt. Conan wciąż siedział na pobliskim głazie — dostrzegła metaliczny błysk długiego ostrza. Obok barbarzyńcy przykucnął jakiś człowiek. W słabym świetle dogasającego ogniska zaspana księżniczka ujrzała haczykowany nos, czarne paciorki błyszczących oczu i biały turban. Mężczyzna mówił szybko po shemicku, tak że z trudem mogła go zrozumieć.

— Niech Bel pokręci mi palce! Mówię prawdę! Na Derketo, Conanie, jestem księciem łgarzy, ale nie kłamię przed starym druhem. Przysięgam na pamięć dni, które spędziliśmy razem jako złodzieje w Zamorze, zanim jeszcze założyłeś kolczugę! Widziałem Natohka! Razem z innymi kłęczałem przed nim, gdy wznosił modły do Seta. Jednak nie wetknąłem nosa w piach jak inni. Jestem złodziejem z Shumiru i wzrok mam lepszy niż kuna. Spojrzałem uważnie i widziałem, jak w pewnej chwili wiatr szarpnął jego zawój. Na moment ukazała się jego twarz i zobaczyłem... zobaczyłem... Na Bela, Conanie, mówię ci — widziałem! Krew zastygła mi w żyłach i włosy na głowie stanęły dęba. Ten widok zgnął mnie jak rozżarzone żelazo. Nie zaznałbym spokoju, gdybym się nie upewnił. Udałem się więc do Kutchemes. Drzwi kopuły ze słoniowej kości stały otworem, a w korytarzu leżała ogromna żmija przebita mieczem. W środku znalazłem zwłoki mężczyzny, tak skurczone i powykręcane, że z początku nie mogłem go poznać... ale to był Zamoranin Shevatas. Jedyne złodziej na świecie, którego uważałem za lepszego ode mnie. Skarb był nietknięty, wokół trupa leżały sterty kosztowności. Nic więcej.

— Nie było kości...? — zaczął Conan.

— Nie było niczego! — przerwał mu gwałtownie Shemita. — Niczego! Tylko ten jeden trup!

Zapadło głębokie milczenie. Zupełnie już rozbudzona Yasmela dygotała z przerażenia.

— Skąd przybył Natohk? — usłyszała przenikliwy szept Shemity. —

Z pustyni. Przybył nocą, gdy ciemności okryły świat, a między gwiazdami pędziły czarne obłoki gnane wiatrem, którego wycie mieszało się z zawodzeniem upiorów pustkowia. Tej nocy wampiry krążyły po świecie, więdźmy jeździły nago na miotłach, a w mroku rozchodziło się wycie wilkołaków. Przyjechał na czarnym wielbłądzie, pędząc jak wichher, a otaczała go niebieskawa poświata i ślady wielbłądzich kopyt płonęły na piasku niczym ogień. Kiedy zsiadł przy świątyni Seta w oazie Aphaka, jego wierzchowiec skoczył w noc i zniknął. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przysięgali, że zaraz rozwinął olbrzymie skrzydła i pomknął między chmury, zostawiając za sobą ognisty ślad. Nikt więcej nie widział tego potwora, ale do namiotu Natohka co noc zakrada się jakiś czarny, bezkształtny stwór i długo bełkocze w ciemnościach. Mówię ci, Conanie, że Natohk to... Czekaj, pokażę ci, co zobaczyłem tego dnia pod Shushanem, kiedy wiatr odchylił mu zawój!

W ręce Shemity coś żółto błysnęło i obaj mężczyźni nachylili się, żeby lepiej widzieć. Yasmela usłyszała jeszcze zduszony okrzyk Cymeryjczyka i nagle wszystko zawirowało jej przed oczyma. Po raz pierwszy w życiu zemdląa.

Rozjaśniające się od wschodu niebo dopiero zapowiadało nadchodzący świt, gdy armia podjęła marsz. Kilku górali przygalopowało do obozu na słaniających się koniach, przynosząc wieść, że pustynne hordy obozują przy źródle Altaku. Oddziały khorajskie ruszyły spieszenie przez wzgórze, zostawiając w tyle tabory. Yasmela jechała z żołnierzami — w jej oczach czał się lęk. Wzrósł on od chwili, gdy ujrzała, monetę, którą Shemita pokazywał Conanowi — jeden z sekretnie wytapianych symboli zwyrodniałego kultu Zigitów, ukazujący twarz człowieka martwego od trzech tysiącleci.

Droga wiła się między poszarpanymi turniami i stromymi ścianami wąskich dolin. Od czasu do czasu napotykali wioski — chatynki z kamieni pozlepianych błotem. Górale przyłączali się tłumnie do maszerujących wojsk, dzięki czemu, zanim armia przeszła przez wzgórze, jej szeregi wzrosły o prawie trzy tysiące łuczników.

W końcu wydostali się na równinę, skąd roztaczał się zapierający dech w piersi widok. Na południu wzgórze urywały się nagle, tworząc wyraźną barierę między kothijskimi wyżynami a pustynią na południu. Ciągące się niemal nieprzerwaną linią wzniesienia zamykały wyżynę

szerokim łukiem. Były nagie i puste. Zamieszkiwał je jedynie klan Zaheemi, którego obowiązkiem było strzec szlaku karawan. Za wzgórzami rozpościerała się rozprężona pustynia. Daleko za horyzontem znajdowała się oaza Altaku, gdzie koczowała horda Natohka.

Żołnierze khorajscy znaleźli się na Przełęczy Shamla. Tędy płynął strumień towarów z północy na południe, tędy też ciągnęły armie Koth, Khorai, Shemu, Turanu i Stygii. W miejscu tym długiemu łańcuchowi wzgórz brakowało jednego ogniwa. Z prawej i lewej strony w pustynię wybiegały rzędy niskich pagórków, których północne ściany tworzyły poszarpane urwiska. Tylko jeden wzgórek miał łagodne zbocza — tamtędy wiodła droga. Wyglądem przypominało to wielką dłoń wyciągniętą ku pustyni; dwa rozchylone palce tworzyły zwężającą się dolinę, w której znajdowała się studnia otoczona kręgiem kamiennych wież zamieszkałych przez Zaheemi. Tam Conan zatrzymał się i zeskoczył z konia. Zdążył już zamienić ciężką zbroję na kolczugę, w której czuł się znacznie bardziej swojsko.

Thespides ściągnął wodze.

— Czemu się zatrzymałeś? — zapytał.

— Tu na nich zaczekamy — odparł Cymeryjczyk.

— Bardziej po rycersku byłoby potykać się w szczerym polu — warknął hrabia.

— Mają zbyt wielką przewagę liczebną — odparł barbarzyńca — a ponadto nie ma tam wody. Rozbijemy obóz na wyżynie i...

— Ja i moi rycerze będziemy obozować w dolinie — uciął ze złością Thespides. — Jesteśmy przednią strażą armii i nie obawiamy się nędznego, pustynnego robactwa.

Conan wzruszył ramionami i rozgniewany szlachcic odjechał. Amalryk przerwał na chwilę wydawanie rozkazów i spojrzał w ślad za zjeżdżającym po zboczu oddziałem.

— Głupcy! Wkrótce skończy im się woda w bukłakach i będą musieli znów wjechać na górę, żeby napić wierzchowce.

— Niech robią, co chcą — odrzekł Conan. — Trudno im pogodzić się z myślą, że jestem dowódcą armii. Powiedz swoim psubratom, żeby zdjęli zbroje i odpoczęli. Długo maszerowaliśmy. Trzeba napić konie i nakarmić ludzi.

Nie było potrzeby wysyłać zwiadowców. Z góry wszystko było

widać jak na dłoni. Rozpościerająca się przed nimi pustynia była pozbawiona jakichkolwiek śladów życia. Daleko na horyzoncie przesuwały się szybko gęste kłęby nisko wiszących chmur. Monotonie tego widoku zakłócał jedynie wznoszący się o kilka mil dalej las ruin — pozostałości jakiejś stygijskiej świątyni. Conan kazał łucznikom zejść z koni i zająć pozycje na górującej nad dolinami grani, podczas gdy najemnicy i oszczepnicy khorajscy rozlokowali się przy studni. Za nimi, w miejscu gdzie droga wychodziła na płaskowyż, rozbito namiot Yasmeli.

Nie dostrzegając nigdzie wroga, żołnierze poczuli się rażniej. Zdjęli lekkie hełmy, odrzucili na plecy kaptury kolczug i rozluźnili pasy. Wojownicy zabrali się za ogryzanie wołowych kości i opróżnianie dzbanów z piwkiem. W powietrzu zaczęły latać rubaszne żarty. Na stokach rozłożyli się wygodnie górale, gryząc daktyle i oliwki. Amalryk podszedł do głazu, na którym odpoczywał Cymeryjczyk.

— Conanie, czy słyszałeś, co wojownicy mówią o Natohku? Mówią... Na Mitrę, to zbyt nieprawdopodobne, aby to powtórzyć. Co o tym sądzisz?

— Nasiona mogą spoczywać w ziemi całe wieki i nie gniją — odparł barbarzyńca — ale Natohk z pewnością jest człowiekiem...

— Nie jestem tego pewien — mruknął Amalryk. — W każdym razie rozstawiłeś swoje oddziały jak doświadczony generał. Demony Natohka nie zaskoczą nas. Mitro, co to za mgła?

— Z początku myślałem, że to chmury — rzekł barbarzyńca. — Spójrz, jak szybko się zbliża!

Gęsty tuman mgły przesuwał się na północ niczym wielki, falujący ocean, zakrywający pustynię przed oczyma patrzących. Niebawem opar wchłonał ruiny stygijskiej świątyni i toczył się dalej. Wojsko khorajskie spoglądało na to ze zdumieniem. Zjawisko było niezwykle — nienaturalne i niewytłumaczalne.

— Nie ma sensu wysyłać zwiadowców — rzekł wyraźnie zniechęcony Amalryk. — Niczego nie zobaczą. Mgła rozpościera się od grani do grani. Niedługo zakryje całą przełęcz i wzgórze...

Conan, który ze wzrastającym niepokojem przyglądał się nadciągającym oparom, schylił się nagle i przyłożył ucho do ziemi. Klnąc, wyprostował się i krzyknął:

— To konie i rydwany! Ziemia dudni pod tysiącami kopyt! Hej tam!

— zagrzmiął, podrywając leżących. — Do broni, leniwa bando! Stanać w szyku!

Żołnierze pospiesznie zwarli szeregi, nakładając hełmy i podnosząc tarcze. Mgła rozeszła się nagle. Nie opadła i nie rozwiała się jak zwykle — po prostu zniknęła niczym zdmuchnięty płomień. W jednej chwili całą pustynię zakrywały gęste kłęby, piętrzące się i nieprzeniknione, w drugiej na bezchmurnym niebie świeciło oślepiające słońce, ukazując pustynię już nie nagą, lecz zatłoczoną tysiącami wojowników i setkami rydwanów. Bojowy okrzyk wstrząsnął górami.

W pierwszej chwili zdumionym żołnierzom wydawało się, że patrzą na falujące, skrzące się morze spiżu i złota, w którym stalowe ostrza lśnią jak gwiazdy na bezchmurnym niebie.

Mgła rozeszła się, odsłaniając nadciągające wojska Natohka.

Na przedzie jechał długi szereg rydwanów, ciągniętych przez olbrzymie, dzikie konie stygijskie, których łby przystrojone były pióropuszcami. Półnaczy woźnice z trudem panowali nad rżącymi i parskającymi bestiami. Jadący w rydwanach wojownicy byli muskularni i wysocy. W rękach dzierżyli ciężkie łuki. Nie była to jakaś zbieranina, lecz doborowe oddziały wojowników nawykłych do łowów i wojen, potrafiących jedną strzałą położyć lwa.

Za nimi rozlewał się pstrokaty tłum jeźdźców na półdzikich koniach. To wojownicy z Kush, największego z czarnych królestw leżących za sawannami na południe od Stygii. Czarni jak heban, zwinni i smukli, jechali na oklep bez siodła i uzd. Dalej ciągnęli, tysiące za tysiącami, waleczni synowie Shemu — jeźdźcy w łuskowych pancerzach i stożkowatych hełmach, asshuri z Nippru, Shumiru, Eruk i ich siostrzanych miast, odziani w białe szaty nomadowie pustynnych klanów.

Nagle ich szeregi skłębiły się i zwichrzyły. Rydwany zjechały na skrzydło, podczas gdy główne siły niepewnie posuwały się naprzód. Rycerze Thespidesa skoczyli na koń, a on sam przygalopował wprost do Conana. Nie raczył nawet zsiąść z wierzchowca, lecz z siodła rzucił kilka urwanych zdań.

— Opadnięcie mgły zaskoczyło ich! Teraz jest odpowiednia chwila do ataku! Kuszyci nie mają łuków i tylko zwalniają ich marsz. Szarża moich rycerzy zepchnie ich na szeregi Shemitów i pomiesza im szyki.

Ruszaj za mną! Wygramy tę bitwę jednym uderzeniem!

Conan potrząsnął głową.

— Zgodziłbym się na to, gdybyśmy walczyli ze zwykłym przeciwnikiem. Jednak to zamieszanie jest raczej pozorowane, jakby chcieli nas sprowokować do szarży. Obawiam się podstępów.

— A więc odmawiasz? — krzyknął Thespides, a jego twarz pociemniała z gniewu.

— Bądź rozsądny — perswadował Cymeryjczyk. — Mamy przewagę pozycyjną...

Jednak Thespides już nie słuchał. Okręcił konia i pognał z powrotem w dolinę, gdzie czekali jego rycerze. Amalryk pokiwał głową.

— Nie powinieneś być pozwolić mu wrócić, Conanie. Ja... Spójrz tylko!

Conan popatrzył w dół i zaklął. Thespides podjechał do swego oddziału i stanął przed frontem żołnierzy. Nie było słychać, co mówił, ale jego gest w kierunku nadciągającej hordy nie pozostawiał wątpliwości. W następnej chwili pięćset włóczni pochyliło się i zakuty w stal oddział runął na wroga.

Z namiotu Yasmeli przybiegł młody paż, wołając do Conana dźwięcznym głosem:

— Panie mój, księżniczka pyta, dlaczego nie wesprzesz hrabiego Thespidesa?

— Ponieważ nie jestem takim głupcem jak on — mruknął Cymeryjczyk, z powrotem siadając na głązie i zabierając się za ogryzanie olbrzymiego wołowego udźca.

— Władza wymaga rozsądku — przypomniał znane porzekadło Amalryk. — Dawniej zdradzałeś szczególne upodobanie do takich szaleństw.

— Tak, ale wtedy chodziło tylko o moje życie — odparł Conan — a teraz... Cóż to, do diabła?

Horda zatrzymała się nagle. Ze skrzydła nadszedł czarny rydwan. Półnagi woźnica smagał konie długim batem, a za nim stała wysoka postać w długiej szacie, upiornie powiewającej na wietrze. Człowiek ten trzymał w rękach złoty dzban, z którego płynął cienki, skrzący się w słońcu strumyk. Rydwan przejechał przed frontem wojowników, zostawiając za sobą wyżłobione kołami koleiny i długą, cienką linię

czegoś błyszczącego na piasku, niczym fosforyzujący ślad żmii.

— To Natohk! — zawołał Amalryk. — Cóż za piekielne ziarno sieje ten łajdak?

Szarżujący rycerze nie wstrzymali pędzących koni. Jeszcze pięćdziesiąt kroków i uderzyliby w nierówne szeregi Kuszytów, stojących bez ruchu z nastawionymi dzidami. Wtedy jednak jadący na czele jeźdźcy dotarli do cienkiej, błyszczącej na piasku linii. Stalowe podkowy rumaków stratowały ją i — tak jak krzemień uderzony żelazem daje iskry, tak złota linia rozbłysła ogniem. Po pustyni przetoczył się głuchy huk, zdający się przelatywać wzdłuż szeregu jeźdźców razem z kłębem białego dymu.

W jednej chwili pierwsze szeregi rycerzy spowiły płomienie; jeźdźcy i ich wierzchowce stopili się w nich jak ćmy w palenisku. Tylne szeregi wpadły na ich zwęglone ciała, powiększając zamieszanie. Nie mogąc zatrzymać rozpędzonych koni, uderzyli w piętrzący się wał trupów. Atak zamienił się w druzgocącą klęskę; zakuci w stal rycerze ginęli ze swymi wierzchowcami.

Porzucając pozory zamieszania horda wyrównała szyki. Dzicy Kuszyci doskakiwali do kłębowiska dobijając rannych, rozbijając żelazne hełmy maczugami i toporami. Wszystko skończyło się tak szybko, że spoglądający ze stoków khorajscy żołnierze przecierali oczy ze zdumienia. Oddziały wroga znów ruszyły naprzód, rozstępując się na boki, aby ominąć sterty zwęglonych ciał. Wśród patrzących na to ze wzgórz żołnierzy podniósł się trwożliwy krzyk:

— To nie ludzie, to demony!

Jeden z górali tocząc pianę z ust rzucił się do ucieczki.

— Uciekajmy, uciekajmy! — jęczał. — Któż się oprze czarom Natohka?

Conan warknął coś wściekle i zeskoczywszy z głazu rąbnął go ogryzionym udźcem. Wojownik padł jak rażony gromem i krew pociekła mu z nosa i ust. Cymeryjczyk wydobył miecz. W oczach zabłysły mu groźne ogniki.

— Na miejsca! — wrzasnął. — Pierwszemu, który opuści szeregi, utnę głowę! Walczcie, psy!

Panika skończyła się równie szybko, jak się zaczęła. Wybuch Cymeryjczyka był niczym wiadro zimnej wody wylanej na głowy



przerażonych żołnierzy.

— Zająć stanowiska — rozkazał. — I nie opuszczać ich pod żadnym pozorem! Ani ludzie, ani demony nie przejdą dziś przez przełęcz Shamla!

W miejscu gdzie krawędź płaskowyzu załamywała się, przechodząc w łagodne zbocze, najemnicy stanęli murem, ściskając w rękach dzidy. Za ich plecami włócznicy dosiedli swoich wierzchowców, a na skrzydle stały w odwodzie oddziały khorajskich oszczepników. Patrzącej na to z namiotu Yasmeli wydali się mizerną garstką w porównaniu z mrowiem nadciągających hord.

Conan stał wśród oszczepników. Wiedział, że przeciwnik nie będzie próbował wjechać rydwanami na przełęcz, wystawiając się tym samym na grad strzał. Zdziwił się, widząc, że jeźdźcy zsiadają z koni. Ci dzicy ludzie nie wiedli ze sobą taborów. Bukłaki z wodą i sakwy z pożywieniem mieli przytroczone do siodeł. Teraz wypili resztę wody i odrzucili puste bukłaki.

— Wóz albo przewóz — mruknął do siebie barbarzyńca. — Wolałbym raczej konną szarżę. Zranione konie ponoszą i płaczą szyki.

Horda tymczasem sformowała duży klin, którego ostrzem byli Stygijczycy, a trzonem odziani w kolczugi asshuri, osłaniani po bokach przez nomadów. W zwartym szyku, kryjąc się za tarczami, parli naprzód jak lawina, a za ich plecami stojąca na rydwanie postać w rozwianej szacie wznosiła ramiona ku niebu gestem upiornego błogosławieństwa.

Gdy pierwsze szeregi dotarły do wylotu doliny, górale na stokach wypuścili strzały. Mimo osłony tarcz atakujący padali tuzinami. Stygijczycy, zostawiwszy swe łuki przy wierzchowcach, pochyłili pokryte hełmami głowy i ruszyli niepowstrzymaną falą po ciałach swych zabitych kamratów, błyskając oczyma zza krawędzi tarcz. Shemici odpowiedzieli gradem strzał, które czarną chmurą przysłoniły słońce. Spoglądając na zbliżającego się wroga, Conan zastanawiał się, jaką nową okropność kryje w zanadrzu czarownik. Niejasno wyczuwał, że Natohk, jak każdy mag, jest groźniejszy w obronie niż w ataku — każdy ofensywny ruch groził klęską.

Bez wątpienia czary Natohka gnały hordę w paszczę śmierci. Conan wstrzymał oddech, widząc spustoszenie, jakie szerzyli jego wojownicy w szeregach wroga. Olbrzymi klin zdawał się topnieć w oczach, a dno doliny było już gęsto usłane trupami napastników. Mimo to pozostali

przy życiu parli naprzód jak szaleńcy, gardząc śmiercią. Liczebna przewaga sprawiła, że górale nie byli w stanie ich powstrzymać. Chmury strzał mknęły w górę i zmuszały ich z kolei do szukania osłony. Niepowstrzymany pochód wroga napełnił ich lękiem, lecz wciąż gorączkowo wypuszczali pierzaste pociski, walcząc jak schwytane w pułapkę wilki.

Kiedy horda zbliżyła się do wąskiej gardzieli przełęczy, z góry zepchnięto ogromne głazy, które z łoskotem runęły na ciasno stłoczone szeregi, miażdżąc dziesiątki wojowników. Mimo to najeźdźcy parli naprzód. Najemnicy przygotowali się do nieuniknionego starcia. Stojąc w zwartym szyku, dzięki swym grubym kolczugom nie ponieśli większego uszczerbku od gęsto sypiących się strzał. Jednak Conan obawiał się, że impet uderzenia ogromnego klina przełamie mur obrońców. Zdał sobie sprawę, że czeka ich bezpardonowa walka. Chwycił za ramię stojącego obok Zaheemi.

— Czy jest jakaś droga, którą jezdni mogą zjechać w ślepą dolinę za zachodnią granicą?

— Tak! Urwista, niebezpieczna ścieżka — sekretna i zawsze strzeżona. Ale...

Conan powlókł go do siedzącego na wielkim rumaku Amalryka.

— Amalryku! — warknął. — Jedź za tym człowiekiem! On poprowadzi was do tamtej doliny. Pojedziesz, okrążysz grań i uderzysz na hordę od tyłu. Nic nie mów, tylko jedź! Wiem, że to szaleństwo, ale i tak jesteśmy zgubieni. Zanim umrzemy, zabijemy tyłu, ilu zdołamy. Pospiesz się!

Amalryk nastroszył wąsy w dzikim uśmiechu i za kilka chwil jego włócznicy ruszyli za przewodnikiem w głąb płataniny wąwozów stopniowo opuszczających się z płaskowyżu. Conan z mieczem w rękę podbiegł do oszczepników.

Przybył w samą porę. Po obu stronach przełęczy górale Shuprasa desperacko stali pocisk za pociskiem, widząc grożącą im klęskę. W dolinie i na zboczach napastnicy ginęli jak muchy, lecz niepowstrzymaną falą piełi się po zboczu i w końcu z wrzaskiem uderzyli na najemników Conana. Wśród chrzęstu i łoskotu stali uderzającej o stal szeregi obrońców zachwiały się i wygięły. Zrodzony do wojaczki lud stał się z zawodowym żołnierzem. Tarcza uderzała o tarczę, oszczep wbijał się w

ciało, tryskała krew. Wśród zamętu Conan ujrzał olbrzymią postać księcia Kutamuna. Odgradzał go od niego tłum cisnących się, dyszących i wywijających żelazem wojowników. Za Stygijczykami kroczyli asshuri.

Nomadzi wspięli się na zbocza po obu stronach doliny i rozpoczęli walkę wręcz ze swymi krewniakami z gór. Wzdłuż obu grani rozgorzała zaciekle, gwałtowna bitwa. Górale walczyli z właściwym im fanatyzmem, podsycanym wielowiekowymi waśniami; ginęli, ale i zabijali. Z przeraźliwym wyciem do bitwy przyłączyli się nadzy, czarnoskórzy Kuszyci.

Conanowi zdawało się, że jego zalewane potem oczy spoglądają na falujący ocean stalowych ostrzy, wznoszących się i opadających, wypełniających dolinę od grani do grani. Ważyły się losy bitwy. Górale trzymali się nieźle, a najemnicy stali murem w obronie przełęczy, ściskając okrwawione piki. Lepsza pozycja i uzbrojenie na jakiś czas zrównoważyły liczebną przewagę wroga, ale nie mogło to trwać długo. Wciąż nowe fale nieprzyjaciół szturmowały zbocza, a wyrwy w szeregach Stygijczyków natychmiast zapełniali kroczący za nimi asshuri.

Cymeryjczyk wyglądał okrążających zachodnią grań włóczników Amalryka, lecz ci nie pojawili się jeszcze. Oddziały oszczepników zaczęły się chwiać pod naporem wroga. Barbarzyńca porzucił już wszelką myśl o zwycięstwie i uratowaniu życia. Wykrzykując rozkazy do zziębniętych dowódców zawrócił i pomknął przez płaskowyż do stojącej w odwodzie khorajskiej jazdy. Nie spojrzał nawet w kierunku namiotu Yasmeli. Zapomniał o księżniczce; myślał tylko o tym, aby przed śmiercią zabić jak najwięcej wrogów.

— Dziś zostaniecie rycerzami! — krzyknął do jeźdźców, wskazując okrwawionym mieczem szeregi wroga. — Na koń i za mną do piekła.

Góralski koń, nieprzyzwyczajony do ciężaru khorajskiej zbroi dziko zadrżał. Conan ze śmiechem skierował rumaka na skraj płaskowyżu.

Pięciuset jeźdźców — zubożałych patrycjuszy, wydziedziczonych szlacheckich synów-nicponi — na półdzikich, shemickich koniach runęło do ataku po zboczu, jakim żadna jazda na świecie jeszcze nigdy nie szarżowała.

Przemknęli obok walczących na przełęczy oddziałów aż do usłanej trupami zachodniej grani. Popędzili po stromym stoku. Tuzin jeźdźców straciło równowagę i spadło pod kopyta pędzących rumaków. Wśród

okrzyków przerażenia i jęków agonii wpadli na nieprzyjaciela jak lawina spadająca na zagajnik i przetoczyli się po zwartych szeregach nomadów niczym żelazny walec, zostawiając za sobą łań trupów.

Prawie równocześnie na zwichrzone szeregi zaskoczonych wrogów uderzyli włócznicy Amalryka, którzy okrążyli zachodnią grań i rozbili kordon jeźdźców pilnujących lewego skrzydła. Niczym stalowy klin wpadli od tyłu na niespodziewających się niczego nieprzyjaciół. Nomadzi, sądząc, że są otoczeni przez przeważające siły i obawiając się odcięcia od zbawczej pustyni, rzucili się do ucieczki, trując mniej lękliwych towarzyszy. Khorajska jazda przetoczyła się po nich, rozbijając w proch i pył. Stygijczycy atakujący zbocza zawahali się, co wykorzystali górale, broniąc się ze zdwojoną zjadłością i zmuszając przeciwnika do odwrotu.

Zaskoczona horda rzuciła się do panicznej ucieczki, zanim ktokolwiek zorientował się, że atakuje ich zaledwie garstka jeźdźców. A gdy już zaczęli uciekać, nawet czary Natohka nie mogły ich powstrzymać.

Przez morze głów i oszczepów jeźdźcy Conana ujrzeli włóczników Amalryka przebijających się przez bezładnie uciekających nieprzyjaciół. Ten widok dodał ducha khorajskim oddziałom; z radosnym okrzykiem i zdwojonym zapalem poczęli gromić nomadów.

Brodząc po kostki w kałużach krwi, broniący przełęczy najemnicy ruszyli naprzód, silnie napierając na zwichrzone szeregi wroga. Stygijczycy nie ustępowali pola, lecz oddziały asshuri stopniały błyskawicznie. Wojownicy południa zginęli co do jednego, a najemnicy przeszedłszy po ich ciałach uderzyli jak stalowy topór w skłębione szeregi.

Wysoko na grani leżał ze strzałą w sercu stary Shupras. Amalryk kłął, trzymając się za przeszyte włócznią udo. Z jeźdźców Conana ledwie półtorej setki pozostało w siodłach, lecz horda została rozbita. Nomadzi i oszczepnicy poszli w rozsypkę, zmykając do obozu, gdzie zostawili konie. Górale zbiegali z grani, dźgając w plecy uciekających i podrzynając gardła rannym.

Z chaosu wyłoniła się olbrzymia postać, która skoczyła w kierunku Conana. To książe Kutamun, odziany tylko w przepaskę biodrową i pogięty hełm, od stóp do głów zbryzgany krwią, z przeraźliwym okrzykiem cisnął Cymeryjczykowi w twarz rękojeść złamanego miecza i

doskoczywszy, złapał jego ogiera za uzdę. Oszołomiony barbarzyńca zachwiał się w siodle, a czarnoskóry olbrzym z potworną siłą szarpnął koński łeb w górę i do tyłu. Rumak stracił równowagę i kwicząc, runął na zalany krwią piasek.

Conan zdołał zeskoczyć z walącego się na ziemię konia. Kutamun natychmiast rzucił się nań, rycząc jak lew. Wśród bitewnego zamętu barbarzyńca nie wiedział nawet, jak udało mu się zabić olbrzyma. Pamiętał tylko, że Stygijczyk raz po raz uderzał trzymanym w rękę kamieniem w jego hełm, aż gwiazdy pokazały się Conanowi przed oczyma, i że kilkakrotnie wbijał sztylet w pierś księcia, co wydawało się nie robić na nim żadnego wrażenia. Conanowi świat zaczął już wirować przed oczami, gdy wreszcie czarnoskóry gigant zadygotał konwulsyjnie, wyprężył się i runął bez życia na ziemię.

Chwiejąc się i ocierając krew płynącą spod okapu pogiętego hełmu, Conan spojrział zamglonym wzrokiem na dzieło zniszczenia.

Cała dolina była zasłana trupami, jakby rozwinięto w niej czerwony dywan. Zwały ciał piętrzyły się niczym morskie fale, sięgając do przełęczy i wpełzając na zbocza. W dole, na pustyni wciąż toczyła się walka. Resztki hordy dotarły do koni i poczęły umykać na pustynię, ścigane przez strudzonych zwycięzców. Conan ze zgrozą zauważył, jak nieliczni byli ścigający.

Nagle przez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask. Z doliny nadszedł czarny rydwan, miażdżąc kołami sterty trupów. Nie ciągnęły go konie, lecz wielkie czarne stworzenie podobne do wielbłąda. To jechał Natohk, w rozwianej todze i ze skuloną przy nim człekokształtną poczwara, przypominającą małpę. Stwór dzierżył wodze i raz po raz smagał batem ciągnące rydwan zwierzę.

Pojazd ze złowrogim świstem przemknął po usłanym trupami zboczu wprost do namiotu, przy którym stała osamotniona Yasmela. Jej straż bowiem przyłączyła się do pościgu za nomadami.

Conan zamarł, słysząc przeraźliwy krzyk i widząc, jak Natohk swym długim ramieniem wciąga księżniczkę do rydwanu. Straszliwy rumak zawrócił i pognął z powrotem w dolinę. Żaden wojownik nie ośmielił się wymierzyć w niego strzały czy włóczni z obawy, że może trafić wijącą się w jego uścisku Yasmelę.

Conan z dzikim okrzykiem podniósł miecz i skoczył do pędzącego

rydwanu. W chwili gdy wznosił oręż czarna bestia uderzyła go przednią nogą w pierś, odrzucając na bok ogłuszonego i potłuczonego. Z przejeżdżającego pojazdu dobiegł go przeciągły, okropny krzyk Yasmeli.

Z ust barbarzyńcy wydobył się ryk wściekłości. Zerwał się na równe nogi i łapiąc wodze przebiegającego obok bezpańskiego konia, wskoczył na siodło w pełnym galopie. Z szaleńczym zapamiętaniem popędził za szybko oddalającym się rydwanem. W pędzie minął obóz Shemitów i pognał na pustynię.

Raz po raz mijał gromady swoich wojowników i rozpaczliwie umykających nomadów.

Rydwan pędził dalej. Conan czuł, że koń zaczyna pod nim słabnąć. Wokół rozpościerało się nagie pustkowie, skąpane w posępnym blasku zachodzącego słońca. Nagle przed pędzącymi wyrosły ruiny starożytnego miasta. Potworny woźnica wyrzucił z rydwanu Natohka i dziewczynę. Potoczyli się po piasku, a pojazd i ciągnący go stwór uległy przeobrażeniu. Zupełnie już niepodobny do wielbłąda, czarny potwór rozłożył wielkie skrzydła i śmignął w niebo, ciągnąc za sobą płomienisty kształt przypominający chichoczącego małpoluda. Stwór zniknął tak szybko, że zdał się być tylko wytworem dręczonego koszmarnym snem umysłu.

Natohk zerwał się na nogi, rzucił szydercze spojrzenie swojemu prześladowcy, który nie zatrzymał się, lecz gnał ku niemu z uniesionym mieczem. Czarnoksiężnik pochwycił omdlałą dziewczynę i wbiegł z nią między ruiny.

Conan zeskoczył z konia i ruszył za nim. Po chwili znalazł się w komnacie jarzącej się niesamowitą poświatą mimo szybko zapadających na zewnątrz ciemności. Yasmela leżała na czarnym, nefrytowym ołtarzu. Jej nagie ciało jaśniało w upiornym blasku jak kość słoniowa. Zerwane w brutalnym pośpiechu odzienie, walało się wokół. Nad nią stał Natohk — nieładzko wysoki i chudy, ubrany w błyszczącą togę z zielonego jedwabiu. Mag odsłonił twarz i Cymeryjczyk ujrzał rysy, które widział na zugickich monetach.

— Drzyj, psie! — syknął czarnoksiężnik niczym rozzłoszczona żmija. — Jam jest Thugra Khotan! Długo spoczywałem w grobowcu, oczekując dnia przebudzenia i uwolnienia. Więził mnie czar, który uratował mnie niegdyś przed barbarzyńcami. Wiedziałem, że kiedyś jeden z nich

przybędzie... I przybył, by wypełnić swe przeznaczenie i umrzeć śmiercią, jaką od trzech tysięcy lat nie umarł żaden człowiek! Ty głupcze, czy myślisz, że przegrałem, ponieważ moja armia poszła w rozsypkę? Dlatego, że demon, którego uczyniłem swym niewolnikiem, zdradził mnie i opuścił? Jam jest Thugra Khotan, który będzie władał światem na przekór waszym nędznym bogom! Pustynia roi się od moich ludzi, a demony nocy będą spełniać moje rozkazy, tak samo jak gadzi lud. Pożądanie osłabiło moją moc. Teraz ta kobieta jest moja i sycąc się jej duszą, będę niezwyciężony! Cofnij się, głupcze! Nie pokonałeś Thugry Khotana!

Z tymi słowy mag cisnął swoją laskę pod nogi Conana. Barbarzyńca cofnął się z mimowolnym okrzykiem. Padając, laska uległa straszliwej przemianie: skręciła się i wygięła, i oto przed zdumionym Cymeryjczykiem wznosiła łeb sycząca, królewska kobra. Z gwałtownym przekleństwem Conan opuścił ostrze, przecinając ohydny stwora na dwoje, lecz wtedy u swych stóp ujrzał tylko przeciętą na dwie części hebanową laskę. Thugra Khotan zaśmiał się głucho i pochyliwszy podniósł coś z zakurzonej podłogi.

W wyciągniętej ręce trzymał teraz coś wijącego się i skręcającego. Tym razem nie było to złudzenie. Mag trzymał ponad dwudziestocentymetrowego czarnego skorpiona — najgroźniejsze stworzenie pustyni, którego ukłucie niosło natychmiastową śmierć. Trupią twarz Thugry Khotana rozjaśnił szeroki uśmiech. Conan zawahał się, lecz nagle, bez ostrzeżenia, rzucił mieczem.

Zaskoczony czarnoksiężnik nie zdążył się uchylić. Ostrze wbiło mu się prosto w serce i wyszło między łopatkami. Mag runął martwy, miażdżąc w dłoni jadowite stworzenie.

Conan podszedł do ołtarza i chwycił Yasmelę w ramiona. Z histerycznym szlochem zarzuciła mu ręce na szyję, kurczowo je zaciskając.

— Na Kroma, dziewczyno! — mruknął. — Puść mnie! Dziś padło pięćdziesiąt tysięcy wojowników i mam jeszcze...

— Nie! — wykrztusiła, przywierając doń konwulsyjnie, przez chwilę dorównując barbarzyńcy gwałtownością uczuć. — Nie pozwolę ci odejść. Jestem twoja prawem miecza, ognia i krwi! Jesteś mój! Tam należę do innych, tu mogę być sobą — jestem twoja! Nie puszczę cię!

Zawahał się w nagłym przypływie gwałtownej pasji. Posepny, upiorny blask wciąż rozjaśniał ogromną komnatę, rzucając niesamowite błyski na martwą twarz Thugry Khotana, który zdawał się uśmiechać tajemniczo i złowrogo. Na pustyni i wśród wzgórz leżały pokotem tysiące zabitych, a inni wciąż jeszcze ginęli, wyjął z bólu, rozpacz i szaleństwa. Królestwa zadrzały w posadach... Nagle wszystko to pochłonęła szkarłatna fala pożądania. Cymeryjczyk porwał w ramiona tę wiotką, białą postać jaśniejącą przed nim w półmroku, niczym magiczny ognik.



# Cienie w blasku księżyca

## 1.

Nagły trzask tratowanych kopytami trzcin; głuchy odgłos upadku i krzyk rozpaczy. Smukła dziewczyna w sandałach i tunice przepasanej szarfą chwiejnie podniosła się z ziemi i stanęła obok zdychającego wierzchowca. Czarne włosy opadały gęstą falą na jej białe ramiona; jej oczy miały wyraz zaszczutego zwierzęcia. Nie zwracała uwagi na gąszcz trzcin otaczających małą polankę ani na błękitne wody omywające niski brzeg za jej plecami. Szeroko otwartymi oczyma intensywnie wpatrywała się w człowieka, który wyłonił się spośród trzcin i niespiesznie zsiadł z konia.

Był to wysoki mężczyzna, szczupły, lecz żylasty. Od stóp do głów okrywała go stalowa, posrebrzana kolczuga, która opinała jego zwinną postać jak rękawiczka. Spod kopulastego, inkrustowanego złotem hełmu drwiąco spoglądały brązowe oczy.

— Nie zbliżaj się! — krzyknęła głosem zduszonym z przerażenia. — Nie dotykaj mnie, Amuracie, albo rzucę się do rzeki i utonę!

Zaśmiał się śmiechem przypominającym syk ostrza wydobywanego z jedwabnej pochwy.

— Nie, nie utoniesz, Oliwio; przy brzegu jest płytko i złapię cię, zanim dotrzesz na głębię. Na bogów, to była wspaniała pogoń i wszyscy moi ludzie zostali daleko za nami. Jednak żaden koń po tej stronie Yilayet nie zdoła prześcignąć Irema.

Ruchem głowy wskazał dużego, smukłonogiego ogiera.

— Zostaw mnie! — błagała dziewczyna z twarzą zalaną łzami rozpaczy. — Czyż nie dość wycierpiałam? Czy jest jakieś upokorzenie, ból czy poniżenie, jakiego nie zaznałam? Jak długo mają trwać te męki?

— Tak długo, jak długo znajduję przyjemność w twoich jękach, błaganiach, łzach i krzykach — odparł z uśmiechem, który wydałby się miły komuś, kto go nie znał. — Masz w sobie niezwykłą żywotność,

Oliwio. Nie wiem, czy kiedykolwiek znudzisz mi się tak, jak nudziły mi się inne kobiety. Jesteś zawsze świeża i czysta, mimo wszystko. Każdy dzień z tobą sprawia mi prawdziwą przyjemność. No, chodź — wracamy do Akif, gdzie lud wciąż fetuje zwycięzcę tych nędznych kozaków, podczas gdy sam zwycięzca ugania się za zbiegłą, głupią, śliczną idiotką!

— Nie! — dziewczyna odskoczyła i rzuciła się w kierunku błękitnych wód omywających przybrzeżne trzciny.

— Tak! — wybuchnął gniewem nagłym jak skrzesana krzemieniem iskra. Z niewiarygodną szybkością chwycił dziewczynę i z zimnym okrucieństwem wykręcił jej rękę, aż krzyknęła i upadła na kolana.

— Ty dziwko! Powinienem cię powlec do Akif uwiązaną do końskiego ogona, ale będę litościwy i posadzę cię w siodle, za którą to łaskę podziękujesz mi pokornie, kiedy...

Puścił ją ze zduszonym przekleństwem i odskoczył, błyskawicznie wyrywając z pochwy szablę, gdy z gąszczu trzcin z nieartykułowanym okrzykiem wyłoniła się olbrzymia postać. Siedząca na ziemi Oliwia zobaczyła człowieka, którego uznała za dzikusa lub szaleńca, ze straszliwym rozmysłem zbliżającego się do Szacha Amurata. Obcy był potężnie zbudowanym mężczyzną odzianym jedynie w przepaskę zbroczoną krwią i pokrytą zaschniętym błotem. Jego czarna grzywa też była zlepiona mułem i krwią; czarne strumyki znaczyły jego szeroką pierś, zastygły na ostrzu długiego miecza, który dzierżył w prawej dłoni. Nabiegłe krwią oczy jarzyły mu się pod gęstymi brwiami jak rozżarzone węgle.

— Hyrkański psie! — warknął nieznajomy z barbarzyńskim akcentem. — Chyba przywiodły cię tu demony zemsty!

— Kozak! — krzyknął Szach Amurat, cofając się o krok. — Nie spodziewałem się, że choć jeden z was uszedł! Myślałem, że wszyscy leżycie w stepie nad rzeką Ilbars!

— Wszyscy, prócz mnie, psie! — krzyknął kozak. — Och, marzyłem o takim spotkaniu, gdy czołgałem się wśród cierni lub leżałem pod skałami żywcem pożerany przez mrówki albo kryłem się po szyję w błocie... Marzyłem, ale nie sądziłem, że do niego dojdzie. Och, bogowie Piekieł, jakże tego pragnąłem!

Wojownik z trudem powstrzymał wybuch straszliwego śmiechu. Spazmatycznie zacisnął szczęki i piana pojawiła się na jego

poczerniałych wargach.

— Nie podchodź! — ostrzegł Szach Amurat, patrząc nań zwężonymi oczyma.

— Ha! — warknął barbarzyńca jak wygłodniały wilk. — Szach Amurat, wielki pan Akif! Jak dobrze, że cię widzę, przeklęty — ciebie, który zostawiłeś moich towarzyszy na żer sępom, który rozrywałeś ich końmi, wyłupiałeś oczy i ucinałeś ręce! Psie, nędzny psie!

Ostatnie słowa niemal wyrzeszczał i jeszcze nim skończył, rzucił się na Turańczyka.

Pomimo przerażenia wywołanego okropnym wyglądem nieznanego, Oliwia patrzyła z zapartym tchem, spodziewając się, że walka rozstrzygnie się przy pierwszym starciu. Szaleniec czy dzikus, cóż mógł działać, nagi, przeciw okrytemu kolczugą wodzowi z Akif?

Ostrza błysnęły i związały się na moment; wydawało się, że ledwie się dotknęły i odskoczyły od siebie; później szeroki miecz ominął zastawę przeciwnika i ze straszliwą siłą spadł na jego bark. Oliwia wydała mimowolny okrzyk. Przez chrzęst pękającej zbroi wyraźnie usłyszała trzask rozcinanych kości. Hyrkańczyk zatoczył się z nagle poszarzałą twarzą i krew trysnęła mu przez ogniwa kolczugi. Szabla wypadła mu z pozbawionych czucia palców.

— Łaski! — jęknął.

— Łaski? — wykrzyknął tamten głosem drżącym z wściekłości. — Tyle łaski, ile ty miałeś dla nas, wieprzu!

Oliwia zamknęła oczy. To już nie była walka, lecz krwawe jatki, histeryczny wybuch wściekłości i nienawiści spotęgowanej grozą bitwy, widokiem masakry i tortur, głodem, pragnieniem i rozpaczą. Oliwia wiedziała, że szach Amurat nie zasłużył na litość, ale zamknęła oczy i zatkała uszy rękami, żeby nie widzieć unoszącego się i opadającego ostrza, nie słyszeć odgłosu ciosów i bulgoczących krzyków, które cichły z wolna, aż wreszcie ustały.

Otworzyła oczy i zobaczyła, że nieznanomy odchodzi od krwawych szczątków ledwie przypominających ludzką istotę. Piers mężczyzny unosiła się w ciężkim oddechu wywołanym wysiłkiem i wzburzeniem; na jego czole perlił się pot, a prawa ręka ociekała krwią.

Nie odezwał się do Oliwii; nawet na nią nie spojrział. Zobaczyła, jak wchodzi między trzciny rosnące na brzegu, pochyla się i sięga po coś. Z

szuwarów wysunęła się ukryta tam łódź. Dziewczyna pojęła zamiary nieznajomego i zerwała się na równe nogi.

— Och, zaczekaj! — jęknęła i chwiejnie podbiegła do mężczyzny. — Nie zostawiaj mnie tu! Weź mnie ze sobą!

Określił się na pięcie i spojrzał na Oliwię. W jego twarzy zaszła zmiana. Przekrwione oczy spoglądały trzeźwo. Tak jakby krew, którą dopiero co przelał, ugasiła żar jego szaleństwa.

— Kim jesteś? — spytał.

— Mam na imię Oliwia. Byłam jego niewolnicą. Uciekłam. Ścigał mnie. To dlatego tu przybył. Och, nie zostawiaj mnie tu! Jego wojownicy są niedaleko. Znajdą trupa... i mnie przy nim... och! — jęknęła z przerażenia i załamała białe ręce.

Spojrzał na nią z zakłopotaniem.

— Na pewno wolisz popłynąć ze mną? — zapytał. — Jestem barbarzyńcą i widzę, że się mnie boisz.

— Tak, boję się — odparła, zbyt zaskoczona, żeby zaprzeczać. — Patrząc na ciebie, dostaję gęsiej skórki. Jednak bardziej obawiam się Hyrkańczyków. Och, pozwól mi płynąć z tobą! Jeżeli znajdą mnie obok zwłok swego pana, wezmą mnie na tortury!

— Zatem chodź.

Odsunął się na bok i Oliwia pospiesznie wsiadła do łódki, usilnie starając się nawet o niego nie otrzeć. Usadowiła się na dziobie, a on wszedł do łodzi, odepchnął się od brzegu wiosłem i posługując się nim jak pagajem, mozolnie torował sobie drogę wśród wysokich trzciny, aż wypłynęli na otwartą wodę. Wtedy zaczął wiosłować oboma wiosłami. Długimi, równymi pociągnięciami popychał łódź naprzód; potężne mięśnie jego barów i ramion napinały się i rozluźniały rytmicznie.

Przez jakiś czas panowało milczenie; dziewczyna kuliła się na dziobie, a mężczyzna wiosłował. Obserwowała go z lękliwą fascynacją. Było oczywiste, że nie jest Hyrkańczykiem i nie przypominał także przedstawiciela żadnej ze znanych jej hyboryjskich ras. Miał w sobie wilczą dzikość, zdradzającą barbarzyńskie pochodzenie. Mimo śladów pozostawionych na jego twarzy przez trudy bitwy i ucieczki przez bagna, wciąż malował się na niej chłodny, posępny upór, ale nie była to twarz złoczyńcy czy degenerata.

— Kim jesteś? — spytała. — Szach Amurat nazwał cię kozakiem.

Należałeś do nich?

— Jestem Conan z Cymerii — mruknął. — Byłem jednym z kozaków, jak nazywają nas te hyrkańskie psy.

Mętnie przypominała sobie, że kraina o której mówił leży gdzieś daleko na północy, za najdalszymi krańcami znanych jej królestw.

— Ja jestem córką króla Ophiru — powiedziała. — Ojciec sprzedał mnie shemickiemu wodzowi, ponieważ nie chciałam poślubić księcia Koth.

Cymeryjczyk mruknął coś ze zdziwieniem i wargi dziewczyny skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

— Tak, cywilizowani ludzie czasem sprzedają swoje dzieci dzikusom. Twój lud nazywają barbarzyńcami, Cymeryjczyku...

— My nie sprzedajemy naszych dzieci — warknął, wysuwając podbródek.

— No, mnie sprzedano. Jednak wódz nomadów nie uczynił mi krzywdy. Chciał zaskarbić sobie łaski szacha Amurata. Byłam jednym z darów, jakie przywiózł mu do Akif — miasta purpurowych ogrodów. Potem... — zadrżała i ukryła twarz w dłoniach.

— Powinnam już zapomnieć, co to wstyd — powiedziała w końcu. — A jednak każde wspomnienie pali mnie jak cios bata. Przebywałam w pałacu szacha Amurata, kiedy kilka tygodni temu wyruszył ze swoją jazdą, aby walczyć z bandą najeźdźców, którzy naruszyli granice Turanu. Wczoraj wrócił jako zwycięzca i urządzono na jego cześć wielką fetę. Wśród ogólnego pijaństwa i zamieszania znalazłam sposobność, by wydostać się z miasta na skradzionym koniu. Chciałam uciec, ale on ruszył w pościg i w końcu mnie dogonił. Zostawiłam w tyle jego ludzi, ale jemu nie udało się ujść. Potem ty się zjawiłeś.

— Leżałam ukryty w trzcinach — mruknął barbarzyńca. — Byłem jednym z tych rozpuszczonych obwiesiów, Wolnych Towarzyszy, którzy palili i plądrowali pogranicze. Było nas pięć tysięcy, mieszanina wielu ras i szczepów. Służyliśmy jako najemnicy zbuntowanemu księciu Wschodniego Koth — przynajmniej większość z nas — i kiedy zawarł pokój ze swym parszywym władcą, zostaliśmy bez pracy. Zaczęliśmy grabić nadgraniczne prowincje Koth, Zamory i Turanu — po równi. Tydzień temu szach Amurat ze swymi piętnastoma tysiącami jazdy wciągnął nas w pułapkę nad rzeką Ilbars. Mitro! Niebo było czarne od

sępów. Kiedy po całym dniu walki nasze szyki pękły, jedni próbowali przedrzeć się na północ, inni na zachód. Wątpię, by ktokolwiek uszedł. Na stepach roiło się od konnych ścigających zbiegów. Ja ruszyłem na wschód i w końcu dotarłem do bagien otaczających tu Morze Vilayet. Od tego czasu kryłem się na mokradłach. Dopiero przedwczoraj jezdni przestali przetrząsać szuwały w poszukiwaniu takich maruderów jak ja. Czołgałem się, kryłem i przemykałem jak wąż, żywiąc się złapanymi piźmowcami, które z konieczności zjadałem na surowo. Dziś rano znalazłem tę łódź ukrytą wśród szuwarów. Przed zmrokiem nie miałem zamiaru wypływać na morze, ale kiedy spotkałem szacha Amurata, wiedziałem, że jego zbrojni są niedaleko.

— I co teraz?

— Niewątpliwie będą nas ścigać. Jeżeli nie znajdą śladów pozostawionych przez łódź, które zatarłem jak mogłem, to i tak domyślą się, że wypłynęliśmy na morze, kiedy nie uda im się nas znaleźć w trzcinach. Jednak zostawiliśmy ich w tyle i zamierzam wiosłować bez przerwy, aż dotrzemy w bezpieczne miejsce.

— Tylko gdzie je znajdziemy? — spytała bezradnie. — Vilayet to hyrkański staw.

— Nie wszyscy tak uważają — ponuro uśmiechnął się Cymeryjczyk. — A szczególnie niewolnicy, którzy zbiegli z galer i zostali piratami.

— Co zamierzasz zrobić?

— Południowo-zachodni brzeg jest na przestrzeni setek mil opanowany przez Hyrkańczyków. Musimy przebyć długą drogę, zanim miniemy ich najdalej wysunięte posterunki. Zamierzam płynąć na północ, aż do chwili, gdy je miniemy; potem skierujemy się na zachód i spróbujemy wylądować na brzegu niezamieszkałego stepu.

— A jeżeli napotkamy piratów albo sztorm? — spytała Oliwia. — A na stepach możemy umrzeć z głodu...

— Cóż — przypomniał jej — wcale nie prosiłem, żebyś ze mną płynęła.

— Przepraszam — pochyliła kształtną, ciemną główkę. — Piraci, sztormy, głód — wszystko to lepsze niż Turańczycy.

— Tak — jego smągła twarz spochmurniała. — Jeszcze z nimi nie skończyłem. Uspokój się, dziewczyno. O tej porze roku sztormy na Vilayet są niezwykle rzadkie. Jeżeli dotrzemy do stepów, nie zginiemy z

głodu. Wychowałem się na takim pustkowiu. Te przeklęte bagna ze swym smrodem i komarami prawie mnie wykończyły. Na wyżynach dam sobie radę. A jeżeli chodzi o piratów... — uśmiechnął się dziwnie i znów pochylił się nad wiosłami.

Słońce zachodziło jak matowo błyszczący miedziak wpadający w jezioro ognia. Błękit morza stopił się z błękitem nieba, tworząc miękkie, czarny aksamit usiany gwiazdami i ich lustrzanymi odbiciami. Wyciągnięta na dziobie łodzi Oliwia pogrążyła się w sennych marzeniach. Łódź kołysała się lekko na wodzie i dziewczyna miała wrażenie, że płynie w powietrzu, a gwiazdy świecą zarówno nad nią, jak i pod nią. Jej milczący towarzysz był niemal niewidoczny w ciemnościach. Ani na chwilę nie zwalniał tempa wiosłowania; wioził ją niczym mityczny przewoźnik przez czarne jezioro Śmierci. Ale strach opuścił dziewczynę i ukołysana monotonnym ruchem łodzi zapadła w sen.

Słońce stało już wysoko na niebie, gdy obudziła się, czując skręcający wnętrzości głód. Przebudził ją nagły bezruch. Conan przestał wiosłować i opierając się na wiosłach, patrzył gdzieś w dal. Oliwia zdała sobie sprawę, że musiał wiosłować przez całą noc bez przerwy i podziwiała jego żelazną wytrzymałość. Obróciła głowę i patrząc za jego spojrzeniem, ujrzała zieloną ścianę drzew i krzewów wznoszącą się na skraju wody i szerokim łukiem otaczającą małą zatokę o wodzie gładkiej jak błękitne szkło.

— To jedna z wielu wysp, jakimi jest usiane to morze — rzekł Cymeryjczyk. — Podobno są niezamieszkałe. Słyszałem, że Hyrkańczycy rzadko je odwiedzają. Ponadto ich galery zwykle trzymają się przy brzegu, a my przebyliśmy już długą drogę. Jeszcze przed zachodem odpłynęliśmy tak daleko, że nie było nas widać z lądu.

Kilkoma uderzeniami wiosł skierował łódź do brzegu i przycumował ją do sterczącego kamienia, który leżał tuż przy linii wody. Wyszedłszy na brzeg wyciągnął rękę, aby pomóc Oliwii. Przyjęła podaną dłoń, drżąc na widok zaschniętej na niej krwi, czując potworną siłę drżącą w mięśniach barbarzyńcy.

W otaczającym zatoczkę lesie panowała senna cisza. Gdzieś daleko wśród drzew jakiś ptak zanucił swoją poranną pieśń. Lekki wietrzyk poruszył liście, wprawiając je w drżenie. Oliwia uświadomiła sobie, że bacznie nasłuchuje, choć nie wiedziała czego. Co mogła kryć ta

nieprzebyta gęstwina?

Gdy tak zerkała lękliwie w cień między drzewami, coś śmignęło w powietrzu z cichym łopotem skrzydeł: wielka papuga usiadła na gęsto ulistnionej gałęzi i kołysała się na niej niczym barwna figurka z nefrytu i purpury. Przechyliła na bok zwieńczony czubem łeb i spoglądała na przybyszów błyszczącymi paciorkami czarnych oczu.

— Na Kroma! — mruknął Cymeryjczyk. — To chyba prababka wszystkich papug. Ma chyba z tysiąc lat! Spójrz, jak mądrze spogląda. Jakich strzeżesz tajemnic, chytra więdźmo?

Ptak rozłożył nagle kolorowe skrzydła i uniósłszy się z gałęzi wrzasnął ochryple:

— *Tagkoolan yok tha, xuthalla!*

I zakończywszy to wybuchem przeraźliwie ludzkiego śmiechu, pomknął między drzewa i zniknął w głębokich ciemnościach.

Oliwia spojrzała w ślad za papugą, czując przebiegający po plecach zimny dreszcz niepokojącego przeczucia.

— Co powiedziała?

— Przysięgłbym, że to jakieś słowa — odparł Conan — ale nie mam pojęcia w jakim języku.

— Ja też nie — rzekła dziewczyna. — A jednak ptak musiał je usłyszeć z ludzkich ust. Ludzkich lub... — zerknęła na leśną gęstwinę i wzdrygnęła się, nie wiedząc dlaczego.

— Na Kroma, jestem głodny! — mruknął Conan. — Mógłbym zjeść bawołu. Poszukamy jakichś owoców, jednak najpierw mam zamiar obmyć się z błota i zaschniętej krwi. Ucieczka przez bagna to niezbyt czyste zajęcie.

To rzekłszy odłożył miecz i zanurzając się po szyję w wodzie, rozpoczął ablucje. Kiedy się wynurzył, jego zbrązowiałe od słońca ciało lśniło jak polerowany brąz; grzywa czarnych, długich włosów opadała mu na ramiona. Błękitne oczy, chociaż wciąż jarzyły się ogniem, nie były już tak ponure i przekrwione. Tylko kocia zwinność jego ruchów i posępny wyraz twarzy pozostały bez zmian.

Przypasawszy z powrotem miecz gestem nakazał dziewczynie, aby szła za nim. Razem weszli między drzewa. Szli pod łukami konarów, po wyściełającej ziemię, miękkiej murawie. Zwisające z drzew pnącza nadawały otoczeniu baśniowy wygląd.



Conan mruknął coś z zadowoleniem na widok złotych i rdzawych kuł gęsto wiszących wśród listowia. Pokazawszy dziewczynie, by usiadła na zwałonym pniu, szybko napełnił jej podółek egzotycznymi owocami i sam też z apetytem zabrał się do jedzenia.

— Na Isztar! — rzekł między jednym a drugim kęsem. — Od Ilbars żywiłem się szczurami i korzeniami wykopanymi z cuchnących bagien. Te owoce są chociaż smaczne, mimo że niezbyt sycące. Jednak wystarczą nam, jeżeli zjemy wystarczająco dużo.

Oliwia była zbyt zajęta, by odpowiedzieć. Kiedy Cymeryjczyk nasycił pierwszy głód, zaczął z większym niż do tej pory zainteresowaniem spoglądać na swoją towarzyszkę, podziwiając gęste pukle kruczoczarnych włosów, brzoskwiniową cerę oraz gibka kibić i pełne kształty podkreślane przez kusą jedwabną tunikę.

Skończywszy posiłek obiekt jego badań podniósł wzrok, a napotkawszy pałace, baczne spojrzenie barbarzyńcy zaczerwienił się raptownie i wypuścił z ręki resztki owocu.

Conan bez komentarza pokazał dziewczynie gestem, że muszą iść dalej. Oliwia podniosła się i wyszła za nim na polankę, której odległy koniec porastały gęste zarośla. Kiedy znaleźli się na otwartej przestrzeni, w krzakach rozległ się głośny trzask i Conan ledwie zdążył odskoczyć, pociągając za sobą dziewczynę, gdy coś śmignęło w powietrzu i z potworną siłą uderzyło w pień pobliskiego drzewa.

Błyskawicznie wyrwawszy miecz z pochwy Cymeryjczyk przebiegł polankę i wpadł w zarośla. Zapadła cisza. Przerażona i oszołomiona Oliwia kuliła się w trawie. Po chwili Conan wyłonił się z krzaków z groźnie zmarszczonymi brwiami i zdziwieniem na twarzy.

— Nikogo tam nie ma — burknął. — A jednak ktoś musiał rzucić ten kamień.

Obejrzał pocisk, który przeleciał mu nad głową, i mruknął coś z niedowierzaniem, jakby nie wierząc własnym oczom. Wielki blok zielonego kamienia leżał na murawie u stóp drzewa, którego gruby pień popękał od siły uderzenia.

— Dziwny kamień jak na taką niezamieszkaną wyspę — rzekł Conan.

Oliwia szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. Głaz był symetrycznie ociosany, niewątpliwie wycięty i obrobiony ludzką ręką. A ponadto

zdumiewająco ciężki. Cymeryjczyk chwycił go oburącz, po czym stanąwszy na szeroko rozstawionych nogach i naprężywszy mięśnie barków i ramion, podniósł nad głowę i cisnął z całej siły. Głaz upadł zaledwie kilka kroków dalej i Conan zaklął.

— Żaden człowiek nie zdołałby przerzucić tego głazu przez polankę. Potrzebowałyby chyba maszyny oblężniczej, a przecież nie ma tu balist ani katapult.

— Może wypuszczono go z takiej maszyny stojącej gdzieś dalej? — podsunęła myśl Oliwia.

Potrząsnął głową.

— Głaz nie spadł z góry. Rzucono go z tamtych zarośli. Widzisz te połamane gałązki? Ktoś rzucił tym głazem jak dziecko kamieniem. Tylko kto? Chodź!

Dziewczyna niechętnie poszła za nim. Za pierwszym rzędem krzaków poszycie było mniej gęste. Wszędzie panowała głucha cisza. Na sprężystej murawie nie pozostał żaden ślad. A jednak to stąd jakaś tajemnicza istota cisnęła głazem, bez słowa i ze straszliwą siłą. Conan pochylił się nad murawą, szukając śladów, które zdradziłyby, kto tu stał i zniknął po nieudanym ataku. Cymeryjczyk podniósł głowę i spojrzał na zielone sklepienie liści i splecionych ze sobą gałązek. Nagle barbarzyńca drgnął, wyprostował się i nie odrywając oczu od zielonej gęstwiny, zaczął się cofać, popychając stojącą za nim Oliwię.

— Chodźmy stąd, szybko! — ponaglał ją szeptem.

— Co to takiego? Co zobaczyłeś?

— Nic — odparł cicho, nie przerywając pospiesznego odwrotu.

— Co to było? Kto krył się w tych krzakach?

— Śmierć! — odparł, wpatrując się w półmrok zasłaniających niebo nefrytowych arkad.

Kiedy wydostali się z zarośli, barbarzyńca złapał dziewczynę za rękę i szybko poprowadził między rzędziejącymi drzewami, aż wspięli się na trawiaste, słabo porośnięte zbocze i znaleźli się na niskim płaskowyżu, gdzie trawa była wysoka, a drzewa nieliczne i karłowate. Na środku płaskowyżu wznosiła się długa, szeroka budowla z rozsypujących się, zielonych bloków kamienia.

Spojrzeli po sobie ze zdumieniem. Żadne legendy nie wspominały o istnieniu takiej budowli na którejś z wysp Morza Vilayet. Podeszli

ostrożnie, spoglądając na mech i porosty pokrywające kamienie, na zapadnięty, ziejący czernią dach. Wszędzie leżały kawałki i okruchy kamiennych bloków, na pół ukryte w falującej trawie, sprawiające wrażenie, że kiedyś wznosiło się tu wiele budynków, może nawet całe miasto. Jednak teraz na płaskowyżu ostała się tylko bryła długiego budynku o chylących się ścianach oplecionych pnączami winorośli.

Jeżeli kiedyś w portalu były drzwi, to musiały dawno już spróchnieć. Conan i jego towarzyszka stanęli w szerokim holu i zajrzeli do środka. Słoneczny blask sączył się przez dziury w ścianach i dachu, wypełniając mroczne wnętrza grą światła i cieni. Mocno ściskając miecz, Conan kocim krokiem wszedł do środka, czujnie i bezgłośnie. Oliwia podreptała za nim.

Znalazłszy się w środku Conan mruknął coś pod nosem, a Oliwia wydała zduszony okrzyk zdziwienia:

— Patrz! Och, patrz!

— Widzę — odparł. — Nie ma się czego bać. To posągi.

— Wyglądają jak żywe... i są takie okropne! — szepnęła, przysuwając się do barbarzyńcy.

Stali w ogromnej sali, której gładka posadzka zasłana była grubym dywanem kurzu i kawałkami osypujących się z sufitu kamieni. Wyrastająca spomiędzy głazów winorośl zasłaniała gęstą kurtyną otwory w ścianach. Wyniosłe sklepienie, płaskie i pozbawione ozdób, podierały grube kolumny ciągnące się rzędami wzdłuż ścian. A między tymi kolumnami stały dziwne posągi.

Były to żelazne figury, czarne i lśniące, jakby ustawicznie odkurzone, przedstawiające szczupłych, lecz silnie zbudowanych mężczyzn o orlich, okrutnych twarzach. Posągi były naturalnej wielkości. Każdą wypukłość, wklęsnięcie, muskuł czy ścięgno oddano z niezwykłym realizmem. Jednak najbardziej ożywioną częścią każdego z nich była dumna, nieugięta twarz. Różniły się od siebie. Każda twarz miała swoje indywidualne cechy, chociaż wszystkie łączyło pewne podobieństwo. Trudno było jednak mówić o monotonii.

— One wydają się słuchać... i czekać! — szepnęła niespokojnie dziewczyna.

Conan postukał rękocięciem miecza w jeden z posągów.

— Żelazo — stwierdził. — Na Kroma! Z jakich form je odlano?

Potrząsnął głową z podziwem i wzruszył ramionami. Oliwia nieśmiało rozejrzała się po wielkiej, cichej sali. Dostrzegła tylko porośnięte bluszczem kamienie, oplecione winoroślą filary i ponuro spoglądające na nią posągi. Zadrżała i zapragnęła znaleźć się jak najdalej stąd, lecz jej towarzysza najwyraźniej zafascynowały żelazne figury. Przyglądał im się niezwykle dokładnie i — jak typowy barbarzyńca — próbował odłamać któremuś z nich ramię. Jednak metal oparł się wszystkim jego wysiłkom. Żadnego posągu nie zdołał uszkodzić ani wypchnąć z niszy, w której stały. W końcu zrezygnował, klnąc z podziwem.

— Cóż to za wojowników przedstawiają te posągi? — rzucił w przestrzeń pytanie. — Są czarni, ale zupełnie niepodobni do Murzynów. Nigdy nie widziałem takich ludzi.

— Chodźmy stąd — nalegała Oliwia i barbarzyńca przystał na to, obrzuciwszy jeszcze raz zdziwionym spojrzeniem stojące pod ścianami postacie.

Wyszli z mrocznej sali na jasne światło dnia. Oliwia ze zdumieniem stwierdziła, że słońce stoi już wysoko na niebie; spędzili w ruinach więcej czasu, niż sądziła.

— Wracajmy do łodzi — zaproponowała. — Boję się. To dziwne, niesamowite miejsce. W każdej chwili może nas znowu zaatakować to coś, co cisnęło w nas kamieniem.

— Myślę, że jesteśmy tu bezpieczni tak długo, jak długo nie wejdziemy między drzewa — odparł. — Chodź!

Od wschodu, zachodu i południa płaskowyż wznosił się nad porastającą brzeg dżunglą; na północy był zamknięty skałami tworzącymi najwyższy punkt wyspy. Tam właśnie skierował się Conan, umyślnie zwalniając kroku, aby dziewczyna mogła nadążyć. Spostrzegła, że od czasu do czasu obrzucał ją nieprzeniknionym spojrzeniem.

Dotarli do najdalej na północ wysuniętego krańca płaskowyżu i stanęli przed stromą, skalną ścianą. Od wschodu i zachodu drzewa niemal wchodziły na płaskowyż, gęsto porastając stok. Conan spojrzał na nie podejrzliwie i zaczął piąć się w górę, pomagając towarzysze. Zbocze było zaledwie pochyłe, a na dodatek usiane głazami i skalnymi półkami, więc Cymeryjczyk wspinałby się na nie zwinnie jak kot, lecz dla Oliwii nie było to takie łatwe. Raz po raz dziewczyna czuła, że silne ręce

barbarzyńcy przenoszą ją nad przeszkodą, której przybycie pochłonęłoby jej wszystkie siły i z coraz większym podziwem patrzyła na towarzysza. Jego dotknięcie już nie napawało jej wstrętem; żelazny chwyt dawał poczucie bezpieczeństwa.

W końcu znaleźli się na samej górze i wiejący od morza wietrzyk rozwiał im włosy. U ich stóp grań opadała stu lub stu pięćdziesięciometrową przepaścią ku wąskiemu pasmu rosnących na brzegu drzew. Patrząc na południe, ujrzeni całą wyspę rozpościerającą się niczym wielkie, owalne lustro o skośnie ściętych krawędziach opadających ku pierścieniowi zieleni. Jak okiem sięgnąć ze wszystkich stron otaczały ich błękitne wody, spokojne i łagodne, niknące w mglistej dali.

— Morze jest spokojne — westchnęła Oliwia. — Czemu nie mielibyśmy popłynąć dalej?

Conan, stojący nad urwiskiem niczym posąg z brązu, wskazał palcem na północ. Wyteżywszy wzrok, Oliwia dostrzegła biały obłoczek, który zdawał się wisieć nieruchomo w bladej mgiele.

— Co to?

— Żagiel.

— Hyrkańczycy?

— Kto to wie? Z tej odległości trudno powiedzieć.

— Rzuca tu kotwicę? Przeszukają wyspę! — krzyknęła w przypływie przerażenia.

— Wątpię. Płyną z północy, więc nie mogą nic o nas wiedzieć. Być może zatrzymają się tu z jakiegoś powodu i będziemy musieli się ukryć najlepiej, jak umiemy. Jednak myślę, że to piracka lub hyrkańska galera powracająca z wyprawy na północ. W takim wypadku raczej się tu nie zatrzymają. Nie możemy wypłynąć w morze, dopóki nie znikną nam z oczu, gdyż przypływają z tego kierunku, w jakim my zamierzamy się udać. Z pewnością miną wyspę w nocy i o świcie będziemy mogli wyruszyć w drogę.

— A więc musimy tu spędzić noc? — powiedziała z trwogą.

— Tak będzie bezpieczniej.

— Zatem śpijmy tu, wśród skał — nalegała.

Potrząsnął głową, patrząc na karłowate drzewka i rozciągający się w dole gąszcz zieleni, zdającej się wyciągać liściaste macki ku urwistemu

zboczu.

— Tu jest zbyt wiele drzew. Będziemy spać w ruinach.

Dziewczyna wydała okrzyk protestu.

— Nikt nas tam nie będzie niepokoił — uspokajał ją Conan. — Ktokolwiek rzucił w nas tym głazem, nie poszedł za nami, kiedy wyszliśmy z lasu. Nie zauważyłem żadnych śladów, które by świadczyły, że w ruinach kryją się jakieś dzikie bestie. Ponadto masz delikatną skórę i przywykłaś spać pod dachem, wśród wygod. Ja mógłbym równie dobrze spać nago w śniegu, ale ty rozchorowałabyś się od zimnej porannej rosy, gdybyś musiała spędzić noc pod gołym niebem.

Oliwia przystała na to niechętnie. W milczeniu zeszli na dół, przeszli przez płaskowyż i ponownie zbliżyli się do ponurych, stoczonych przez czas ruin. Słońce chowało się już za krawędzią płaskowyżu. Na pobliskich drzewach znaleźli owoce, które stały się ich posiłkiem, służąc za jedzenie i picie.

Południowa noc zapadła bardzo szybko, wypełniając granatowe niebo białymi gwiazdami. Conan wszedł w ruiny, ciągnąc za sobą niechętnie idącą dziewczynę. Oliwia zadrżała na widok czarnych sylwetek stojących nieruchomo w swych niszach między kolumnami. W ciemnościach ledwie rozjaśnianych nikłym blaskiem gwiazd nie mogła dostrzec ich twarzy, jednak wyczuwała, że na coś czekają — tak jak to robiły od wielu stuleci.

Conan przyniósł wielkie naręcze liściastych gałęzi. Ułożył z nich stos, tworząc wygodne poślanie dla Oliwii. Położyła się na nim z uczuciem, że kładzie się na spoczynek w kłębowisku żmij.

Cymeryjczyk nie podzielał jej obaw. Siadł obok, opierając się plecami o filar i kładąc na kolanach obnażony miecz. Oczy barbarzyńcy błyszcząły w mroku jak tygrysie ślepie.

— Śpij, dziewczyno — rzekł. — Ja śpię czujnie jak wilk. Nikt nie zdoła tu wejść tak, żeby mnie nie obudzić.

Oliwia nie odpowiedziała. Ze swego pośłania obserwowała ukradkiem nieruchomą postać towarzysza, niewyraźnie majaczącą w mroku. Jakie to dziwne — podróżować z barbarzyńcą, być pod opieką i ochroną jednego z tych ludzi, którymi straszono ją w dzieciństwie! Należał do dzikiego ludu, posępnego i tajemniczego. Każdy jego ruch zdradzał pokrewieństwo z dziczą, widoczne w ponurym błysku jego

posepnych oczu. A jednak nie zrobił jej krzywdy, podczas gdy jej najgorszym ciemieżcą okazał się człowiek powszechnie uważany za cywilizowanego. Ogarnęło ją rozkoszne znużenie; wyciągnęła się wygodnie i zapadła w miękką otchłań snu, wspominając dotyk silnych dłoni Cymeryjczyka obejmujących jej smukłe ramiona.

## 2.

Oliwia spała i we śnie czuła czające się wokół zło, pełznące bezszelestnie niczym żmija wśród różnych krzewów. Strzępy snu składały się w jakąś dziwną, egzotyczną całość, aż wreszcie wykryształizowały się w przerażającą scenę rozgrywającą się wśród cyklopowych murów i kolumn.

Ujrzała wielką salę, której wyniosły strop podtrzymywały rzędy kamiennych kolumn ciągnących się równymi szeregami wzdłuż ścian. Wśród tych kolumn z trzepotem przelatywały szkarłatnozielone papugi i tłoczyli się czarnoskórzy wojownicy o orlich rysach. Nie byli Murzynami; ich twarze, szaty czy broń nie przypominały niczego spotykanego na tym świecie.

Cisnęli się wokół kogoś przywiązanego do filara; szczupłego młodzieńca o jasnej skórze i z chmurą złotych loków spadających na alabastrowe czoło. Jego uroda także nie była urodą człowieka — przypominał raczej wyrzeźbionego w marmurze i ożywionego boga.

Czarni wojownicy drwili i szydzili z niego w swym dziwnym języku. Jego gibkie, nagie ciało prężyło się pod okrutnymi ciosami. Krew ciekła po białych udach i pryskała na gładką posadzkę. Krzyki ofiary odbijały się echem w wielkiej sali; nagle złotowłosey podniósł głowę ku niebu i krzyknął coś przeraźliwie. Cios zaciśniętego w czarnej dłoni sztyletu zamknął mu usta; jasna głowa opadła na piersi.

Jakby w odpowiedzi na ten rozpaczliwy okrzyk rozległ się gromowy turkot kół niebiańskiego rydwanu i przed mordercami zmaterializowała się nowa postać. Przybysz był mężczyzną, jednak jego twarz była tak nieludzko piękna, że nie mogła należeć do śmiertelnika. Jego rysy zdradzały wyraźne podobieństwo do twarzy młodzieńca, który bez życia wisi w więzach, jednak brakowało im odrobiny człowieczeństwa łagodzącej nieruchome piękno boskiego oblicza. Czarni cofnęli się przed nim ze zgrozą. Przybysz podniósł dłoń i przemówił; głęboki, melodyjny głos odbił się echem wśród milczących kolumn. Czarni wojownicy cofali się przed nim jak w transie, aż stanęli w równych szeregach pod ścianami. Wtedy z ust mściciela wydobył się straszliwy przyśpiew i



rozkaz:

— Tagkoolan yok tha, xuthalla!

Pod uderzeniem tego okropnego zaklęcia czarne postacie zeszywniały i zastygły. Ich ciała zamarły w dziwnych pozach i skamieniały. Przybysz chwycił bezwładne ciało młodzieńca i natychmiast pętające je łańcuchy pękły z trzaskiem. Odszedł trzymając ciało w ramionach, lecz przedtem odwrócił się jeszcze raz. Obrzuciwszy spojrzeniem rzędy nieruchomych, czarnych figur, wskazał palcem błyszczący na niebie księżyc. A milczące, hebanowe posągi, które przed chwilą były żywymi ludźmi, zrozumiały...

Oliwia zbudziła się zlane zimnym potem i uniosła się na swoim posłaniu z gałęzi. Serce waliło jej jak młotem. Niespokojnie rozejrzała się wokół. Conan spał pod swoim filarem z głową opuszczoną na piersi. Przez dziury w ścianach i suficie sączył się srebrzysty blask księżyca; długie strzały jasnych promieni ślizgały się po zakurzonej posadzce. Dziewczyna widziała niewyraźne sylwetki posągów — czarnych, czekających w bezruchu. Walcząc z ogarniającym ją przerażeniem, ujrzała, że blade światło sięga kolumn i stojących między nimi posągów.

Ale co to? Dostrzegła jakiś ruch w miejscu, gdzie padły promienie księżyca. Zeszywniała ze zgrozy, dojrzała oznaki życia tam, gdzie powinna być tylko martwota kamienia; lekkie drżenie, kurczenie się i prostowanie hebanowych kończyn... Oliwia krzyknęła przeraźliwie, budząc śpiącego barbarzyńcę. Conan zerwał się na równe nogi, zaciskając zęby i unosząc miecz do ciosu.

— Posągi! Posągi! O mój Boże, one ożywają! — wybełkotała dziewczyna i skoczywszy do wyrwy w ścianie przedarła się przez zarastające otwór pnącza i wypadła na zewnątrz. Biegła na oślep przed siebie, dopóki nie zatrzymała jej silna dłoń zaciskająca się na jej ramieniu. Oliwia wrzasnęła okropnie i zaczęła się rozpaczliwie szamotać, dopóki znajomy głos barbarzyńcy nie przedarł się przez opary odbierającego zmysły przerażenia. W blasku księżyca ujrzała Conana, spoglądającego na nią z bezgranicznym zdziwieniem.

— Na Kroma, co się z tobą dzieje, dziewczyno? Miałaś zły sen?

Jego głos zdał jej się nierzeczywisty i daleki. Ze szlochem zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła doń kurczowo, łkając rozpaczliwie.

— Gdzie oni są? Nie gonią nas?

— Nikt nas nie gonił — odparł barbarzyńca.

Dziewczyna rozejrzała się lękliwie, nie wypuszczając Conana z objęć. Uciekając na oślep, zapędziła się aż na południowy kraniec płaskowyżu. Nieco dalej zbocze stromo opadało w dół, w gęsty mrok lasu. W oddali wznosiły się ruiny starożytnej budowli, widoczne na tle księżycy jako czarna bryła.

— Nie widziałeś ich? Te posągi ożyły: poruszały rękami, a ich oczy błyszczały w ciemnościach...

— Niczego nie zauważyłem — odparł niechętnie Cymeryjczyk. — Spałem mocniej niż zwykle, ponieważ już od dawna nie przespałem całej nocy, ale nie sądzę, żeby ktoś zdołał wejść do środka tak, żeby mnie nie obudzić.

— Nikt nie wszedł — roześmiała się, bliska hysterii. — Oni już tam byli. O Mitro, położyliśmy się spać między nimi, jak owce w wilczej jamie!

— O czym ty mówisz? — spytał Cymeryjczyk. — Zbudził mnie twój krzyk i zanim zdążyłem się rozejrzeć, zobaczyłem, jak wybiegasz przez dziurę w murze na zewnątrz. Pobiegłem za tobą, żebyś sobie nie zrobiła krzywdy. Pomyślałem, że miałaś zły sen.

— Miałam! — odrzekła z drzeniem. — Jednak rzeczywistość okazała się jeszcze gorsza. Posłuchaj!

I opowiedziała mu wszystko, co jej się śniło.

Conan słuchał jej z uwagą. Obcy był mu sceptycyzm cywilizowanych ludzi. Jego lud wierzył w upiory, gobliny i czarnoksiężników. Kiedy Oliwia skończyła, przez chwilę siedział w zadumie, bawiąc się swoim mieczem.

— Mówisz, że młodzieniec, którego torturowali, był podobny do tego drugiego mężczyzny? — spytał w końcu.

— Jak syn do ojca — odparła i dodała po namyśle: — Gdyby wyobrazić sobie istotę łączącą w sobie cechy człowieka i boga, to otrzymalibyśmy kogoś podobnego do tego młodzieńca. Dawni bogowie czasem łączyli się ze śmiertelnikami; tak głoszą nasze legendy.

— Jacy bogowie?

— Dziś już zapomniani. Kto o nich pamięta? Wrócili w cichą toń jezior, w spokój wnętrza gór, w bezkresne, między gwiazdne otchłanie. Bogowie przemijają tak samo jak ludzie.

— Jednak jeśli to byli ludzie zamienieni w posągi mocą zaklęcia

jakiegoś bóstwa czy demona, to dlaczego ożyli?

— Dzięki czarodziejskiej mocy księżycy — odparła z drżeniem dziewczyna. — On wskazał palcem księżyc; kiedy jego blask pada na posągi, wojownicy odzyskują dawną postać. Przynajmniej tak mi się wydaje.

— Jednak nikt nas nie gonił — mruknął Conan, patrząc w kierunku ruin. — Może to tylko ci się śniło. Mam ochotę wrócić i sprawdzić.

— Och nie, nie! — krzyknęła, obejmując go kurczowo. — Może zaklęcie nie pozwala im opuszczać budowli. Nie wracaj tam! Rozedrą cię na strzępy! Och, Conanie, wracajmy do łodzi i uciekajmy z tej strasznej wyspy! Hyrkańczycy już na pewno popłynęli dalej. Chodźmy!

Jej rozpaczliwe błagania zrobiły wrażenie na barbarzyńcy. Przesądny lęk walczył w nim o lepsze z ciekawością, każącą sprawdzić słowa dziewczyny. Nie obawiał się żywych wrogów, choćby i w znacznej przewadze liczebnej, ale nadnaturalne zjawiska zawsze budziły w nim nieokreślony lęk, będący dziedzictwem barbarzyńskiej rasy.

Wziął dziewczynę za rękę i zszedł ze stoku. Zagłębił się w gęsty las pełen cichego szelestu liści i szczebiotu niewidocznych ptaków. Pod drzewami zalegał gęsty mrok i Conan starał się trzymać jaśniejszych miejsc. Idąc, nieustannie wodził wokół spojrzeniem, często zerkając w górę, na korony drzew. Szedł szybko, lecz czujnie, tak silnie obejmując talię dziewczyny, że zdawało się jej, iż raczej ją niesie, niż prowadzi. Oboje nie odzywali się. Jedynym dźwiękiem był przyspieszony oddech dziewczyny i szmer jej drobnych stóp w wysokiej trawie. Tak przeszli przez las i wyszli na brzeg morza, lśniącego w promieniach księżycy niczym topione srebro.

— Powinniśmy zabrać trochę owoców — mruknął Cymeryjczyk — ale na pewno trafimy na inne wyspy. Równie dobrze możemy odpłynąć teraz; do świtu zostało zaledwie kilka godzin...

Nagle zamilkł. Cuma wciąż była przywiązana do sterczącego głazu, ale na jej końcu zobaczyli tylko połamane i potrzaskane deski, na pół zanurzone w płytkiej wodzie.

Oliwia wydała zduszony okrzyk. Conan obrócił się na pięcie i przyczajony do skoku jak kot wpatrywał się czujnie w mrok. Nocne ptaki umilkły nagle. Nad lasem zapadła głęboka cisza. Nawet najłżejszy powiew wiatru nie poruszał gałęziami, a jednak gdzieś w pobliżu

zaszeleściły liście.

Conan chwycił Oliwię w ramiona i pomknął jak błyskawica przez zarośla, ścigany dziwnym szelestem, który zdawał się wciąż przybliżać. Nagle wypadli na oblaną księżycową poświatą przestrzeń. Conan bez wahania wbiegł na stok i na płaskowyż. Tam postawił Oliwię na ziemi i odwróciwszy się spojrzął za siebie, w mrok lasu, który zostawili za sobą. Liście w dole zadrżały, jakby poruszone wiatrem — to wszystko. Z gniewnym pomrukiem Cymeryjczyk potrząsnął swą czarną grzywą. Oliwia tuliła się do niego jak wystraszone dziecko. W jej oczach czał się śmiertelny lęk.

— Co teraz zrobimy, Conanie? — szepnęła.

Spojrzął na ruiny i na las otaczający płaskowyż.

— Pójdziemy między skały — rzekł, stawiając ją na nogi — a jutro zbuduję tratwę i znów wyruszymy w morze.

— Przecież to nie oni zniszczyli naszą łódź? — spytała niepewnie dziewczyna.

Conan w milczeniu potrząsnął głową.

Z każdym krokiem przerażenie Oliwii rosło, ale żadna czarna postać nie wyłoniła się z ruin i w końcu dotarli do skał, które ponuro i majestatycznie wznosiły się ku niebu. Conan przystanął tam i po krótkim wahaniu wybrał miejsce osłonięte wielkim głazem i dość odległe od pierwszych większych drzew.

— Połóż się i śpij, jeśli możesz — powiedział. — Ja stanę na straży.

Jednak dziewczyna nie mogła zasnąć; leżała, patrząc na odległe ruiny i czarny skraj lasu, aż gwiazdy zbladły, niebo na wschodzie poszarzało i złoty świt skrzesał barwne iskry w kroplach rosy na trawie. Wtedy podniosła zeszywniałe ciało i wróciła myślą do wydarzeń minionej nocy. W rannym świetle wszystko to zdało jej się tworem wybujałej wyobraźni. Conan podszedł do niej i powiedział coś, co nią wstrząsnęło.

— Tuż przed świtem usłyszałem skrzypienie dulek i plusk wiosła. Jakiś statek rzucił kotwicę w zatoczce, niedaleko stąd... zapewne to ten, który wczoraj widzieliśmy. Wejdziemy na przybrzeżne skały i sprawdzimy to.

Wdrapali się na górę i leżąc na brzuchu wśród głazów, ujrzeli wysoki maszt sterczący nad wierzchołkami drzew na zachodnim brzegu.

— Sądząc po ożaglowaniu — mruknął Cymeryjczyk — to hyrkańska galera. Zastanawiam się, czy załoga...

Wtem usłyszeli gwar ludzkich głosów; patrząc w kierunku zadrzewionego końca płaskowyżu, dostrzegli barwny tłum wyłaniający się z gęstwiny. Przybysze zatrzymali się najwidoczniej po to, żeby się naradzić. Było przy tym wiele wymachiwania rękami, łapania za broń i głośnych przekleństw. Wreszcie cała banda ruszyła przez płaskowyż w kierunku budowli. Conan natychmiast zauważył, że przybysze będą musieli przejść obok skał.

— Piraci! — rzekł z ponurym uśmiechem na ustach. — Zdobyli hyrkańską galerę. Chodź tu! Ukryjesz się wśród skał. I nie pokazuj się, dopóki cię nie zawołam — nakazał, posadziwszy dziewczynę wśród głazów na szczycie urwiska. — Mam zamiar pogadać z tymi psami. Jeśli mój plan się powiedzie, wszystko będzie dobrze i odpłyniemy razem z nimi. Jeżeli mi się nie uda... ukryjesz się tutaj, dopóki nie odpłyną, bo żadne demony tej wyspy nie są tak okrutne jak ci morscy zbójce.

Oswobodziwszy się z jej kurczowego uścisku, szybko zszedł na dół. Lękliwie wyglądając ze swojej kryjówki, Oliwia zobaczyła, że piracka zgraja zbliża się do stóp urwiska. W tejże chwili Conan wyłonił się spomiędzy głazów i stanął przed nimi z obnażonym mieczem w dłoni. Zdumieni piraci wydali groźny okrzyk, po czym stanęli, niepewnie spoglądając na postać, która tak niespodziewanie wyskoczyła zza skał. Załoga galery składała się z blisko siedemdziesięciu ludzi, stanowiących przedziwną zbieraninę wszelkich narodowości: Kothijczyków, Zamoran, Brythuńczyków, Koryntian, Shemitów. Ich twarze nosiły piętno występku; wielu nosiło ślady katowskiego żelaza. Karbowane uszy i nosy, ziejące pustką oczodoły, kikuty rąk wyraźnie świadczyły o tym, że wielu z nich zaznajomiło się z nim aż za dobrze. Większość z nich była półnaga, ale ta odzież, jaką nosili, zdradzała dawną świetność: szamerowane złotem kubraki, satynowe szarfy, jedwabne spodnie i srebrne napierśniki, choć poszarpane i poplamione smołą, były godne szlachciców. Słońce lśniło na złotych kolczykach i wysadzanych klejnotami rękojeściach sztyletów.

Przed tą cudaczną zgrają stanął olbrzymi Cymeryjczyk, mierząc ich zuchwałym spojrzeniem jasnych oczu jarzących się w brązowej twarzy, silnie kontrastującej z poblądłymi twarzami piratów.

— Ktoś ty? — ryknęli.

— Conan Cymeryjczyk! — warknął w odpowiedzi. — Jeden z Wolnych Towarzyszy. Chcę szukać szczęścia wśród Czerwonego Bractwa. Kto wami dowodzi?

— Ja, na Isztar! — ryknął ktoś gromko i na czoło bandy wysunęła się ogromna postać: nagi do pasa olbrzym w jedwabnych pantalonach i z szeroką szarfą opasującą wielkie brzuszysko. Na ogolonej głowie powiewał mu skąpy kosmyk włosów, a wąskie, zaciśnięte usta były okolone długimi, obwisłymi wąsami. Pirat miał na nogach zielone, shemickie ciżmy ze sterczącymi noskami, a w ręku dzierżył długi, prosty miecz.

Conan zmarszczył brwi.

— Na Kroma, to Sergiusz z Khoroszy.

— Tak, na Isztar! — huknął gigant, patrząc nań z nienawiścią. — Myślisz, że zapomniałem? Ha! Sergiusz nigdy nie wybacza zniewagi! Teraz powieszę cię za nogi i żywcem obedrę ze skóry. Brać go, chłopcy!

— Tak, spuść swoje psy, grubasie — prychnął Conan z gryzącą pogardą. — Zawsze byłeś tchórzem, ty kothijski kundlu!

— Tchórzem? Ja? — na szerokiej twarzy pojawił się grymas wściekłości. — Broń się, psie z północy! Zaraz wypruję ci flaki!

Piraci natychmiast utworzyli krąg wokół obu przeciwników, dziko wywracając oczyma i szczerząc zęby z radości. Wysoko w górze ukryta między głazami Oliwia patrzyła na to z niepokojem, zaciskając pięści, aż paznokcie wbijały się w jej ciało.

Walka rozpoczęła się bez zbędnych formalności: mimo ogromnej tuszy Sergiusz runął na przeciwnika jak burza. Klnąc wściekle przez zaciśnięte zęby, raz za razem wymierzał straszliwe ciosy. Conan walczył w milczeniu, tylko w zwięzonych oczach jarzył mu się złowrogi ogień. Po chwili Kothijczyk przestał kłąć, aby oszczędzić oddech i w ciszy słychać było jedynie szuranie depczących murawę stóp, szczęk stali i ciężkie sapanie pirata. Miecze błyskały żywym ogniem w promieniach poranka, raz po raz unosząc się i opadając ze świstem. Wydawały się odbijać od siebie i znów ku sobie podążać, jak związane niewidocznymi pętami.

Sergiusz cofał się; tylko nadzwyczajna zręczność ratowała go przed szybkimi jak myśl atakami Cymeryjczyka. Nagle rozległ się głośniejszy szczęk, głuchy stuk i zduszony krzyk... Przeraźliwe wycie pirackiej zgrai

rozdarło ciszę poranka, gdy miecz Conana przeszył masywne ciało ich herszta. Ostrze wyszło między łopatkami Sergiusza i przez moment sterczało tak, błyszcząc w słońcu; potem barbarzyńca wyrwał je z ciała przeciwnika, a ten runął na ziemię i przez moment kurczowo zaciskał dłonie, zanim znieruchomiał w rozszerzającej się kałuży krwi.

Conan odwrócił się do wytrzeszczających oczy piratów.

— No, psy! — wrzasnął. — Wysłałem waszego wodza do piekła, a co o tym mówi prawo Czerwonego Bractwa?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, kryjący się za plecami innych Brythuńczyk o szczurzej twarzy błyskawicznie i celnie machnął swoją procą. Kamień śmignął w powietrzu i sięgnął celu; Conan zatoczył się i runął jak dąb pod toporem drwa. Oliwia rozpaczliwie chwyciła się głazu. Świat zawirował jej w oczach; widziała tylko bezwładnie leżącego na murawie Cymeryjczyka i krew sączącą się z jego rozbitej głowy.

Pirat o szczurzej twarzy z okrzykiem triumfu skoczył, by dobić nieprzytomną ofiarę, ale chudy Koryntianin odepchnął go w porę.

— Cóż to, Aratusie, chcesz złamać prawa Bractwa?

— Nie łamię żadnego prawa! — warknął Brythuńczyk.

— Nie? Ty psie, człowiek, którego ogłuszyłeś, jest wedle prawa naszym kapitanem!

— Nic podobnego! — wrzasnął Aratus. — On nie należał do naszej bandy, był obcy. Nie przyjęliśmy go do Bractwa. Zabijając Sergiusza, wcale nie stał się naszym kapitanem, tak jak stałby się nim teraz ten z nas, który zdołałby tego dokonać.

— Jednak chciał do nas przystać — odparł Kothijczyk. — Tak powiedział.

Podniosła się wrzawa; jedni wzięli stronę Aratusa, inni Koryntianina, na którego wołali Ivanos. W powietrzu zaroilo się od wyzwisk i przekleństw, ręce szukały rękojeści sztyletów.

W końcu przez zgiełk przedarł się gromki głos Shemity:

— Po co kłócić się o trupa?

— On żyje — odparł Koryntianin, pochyliwszy się nad ciałem barbarzyńcy. — Kamień ześliznął mu się po czaszce, jest tylko nieprzytomny.

Słyszając to, piraci znów zaczęli się spierać. Aratus nadal chciał dobić ranego, ale Ivanos stanął nad Cymeryjczykiem z mieczem w rękę,

broniąc go przed wszystkimi razem i każdym z osobna. Oliwia czuła, że Koryntianin nie tyle przejmuje się losem Conana, ile korzysta z okazji, by przeciwstawić się Aratusowi. Najwidoczniej obaj byli kandydatami na miejsce Sergiusza i nie przepadali za sobą. Po długich debatach postanowiono związać Conana i zabrać go ze sobą, żeby później przez głosowanie zdecydować o jego losie.

Odzyskującego przytomność Cymeryjczyka związano rzemieniami, po czym czterej piraci ponieśli go na ramionach, klnąc i narzekając. Banda poszła dalej przez płaskowyż, zostawiając za sobą trupa Sergiusza; nieruchomy, czarny kształt na skąpanej w słońcu murawie.

Oliwia leżała wśród skał przytłoczona ogromem nieszczęścia. Nie była w stanie niczego przedsięwziąć, niczego zrobić; mogła tylko leżeć i patrzeć z przerażeniem, jak banda złoczyńców uprowadza jej obrońcę.

Nie potrafiła powiedzieć, jak długo tak leżała. Wreszcie zobaczyła, że piraci dotarli do ruin na drugim końcu płaskowyżu i weszli do środka, wlokąc ze sobą jeńca. Widziała, jak kręcą się tu i tam, wyglądają przez okna, rozrzucają sterty gruzu i gramolą się na mury. Po chwili kilku wróciło drogą, którą przyszli; ci zniknęli wśród drzew na zachodnim brzegu, ciągnąc za sobą zwłoki Sergiusza, zapewne po to, aby rzucić je do morza. Inni ścinali drzewa rosnące w pobliżu ruin i znosili chrust na ognisko. Oliwia słyszała ich dalekie, niewyraźne okrzyki i powracające echem głosy tych, którzy weszli do lasu. Niebawem i oni wyłonili się spośród drzew, niosąc beczułki z winem i skórzane sakwy z prowiantem. Przeklinając wściekle i uginając się pod ciężarem, wrócili do kompanów w ruinach.

Oliwia niemal nie zdawała sobie z tego sprawy. Była bliska omdlenia od nadmiaru wrażeń. Sama i bezbronna dopiero teraz zrozumiała, ile znaczyła dla niej opieka Conana. Poczowała przelotne zdumienie na myśl o kaprysie losu, który uczynił córkę króla towarzyszką dzikiego barbarzyńcy, jednak uczucie to zaraz zastąpił wstyd. Zarówno jej ojciec, jak i szach Amurat byli cywilizowanymi ludźmi, a ileż wyrządzili jej złego! Nigdy nie spotkała cywilizowanego człowieka, który traktowałby ją uprzejmie bez jakiś ukrytych powodów; tymczasem Cymeryjczyk bronił jej i opiekował się nią — i do tej pory niczego w zamian nie żądał. Schowawszy twarz w dłoniach Oliwia płakała, dopóki głośnie śmiechy i wrzaski nie uświadomiły jej grożącego niebezpieczeństwa.



Obrzuciła spojrzeniem czarne mury, wokół których chwiejnie krążyły ciemne sylwetki, i mroczną ścianę gęstego lasu. Nawet jeżeli wydarzenia minionej nocy były tylko snem, niebezpieczeństwo kryjące się w gęstwinie nie było koszmarnym majakiem. Jeżeli piraci zabiją lub zabiorą ze sobą Conana, będzie musiała wybierać między oddaniem się w ich ręce a pozostaniem na tej okropnej wyspie.

W pełni pojąwszy grozę sytuacji, Oliwia bez zmysłów osunęła się na murawę.

### 3.

Słońce wisiało już nisko nad horyzontem, gdy odzyskała przytomność. Słaby wietrzyk przyniósł jej dzikie wrzaski i strzępy sprośnej piosenki. Podniósłszy się ostrożnie na czworaki, spojrzała na płaskowyż. Ujrzała piratów zgromadzonych wokół wielkiego ogniska przy ruinach i serce podeszło jej do gardła, gdy z wnętrza budowli wyłoniła się kilkusobowa grupka niosąc kogoś, kto musiał być jej towarzyszem podróży. Posadzili Cymeryjczyka pod ścianą — widocznie nadal był mocno związany — i znów zaczęła się długa dysputa połączona z wymachiwaniem bronią. W końcu znów zanieśli go do środka i znowu przypięli się do beczek z trunkiem. Oliwia westchnęła z ulgą: teraz przynajmniej wiedziała, że barbarzyńca jeszcze żyje. Podjęła desperacką decyzję: kiedy zapadnie noc, zakradnie się w ruiny i uwolni go albo sama zostanie złapana. Wiedziała, że jej decyzja nie wynikała z zimnego wyrachowania, lecz czegoś więcej.

Z tą myślą opuściła kryjówkę, aby nazrywać trochę orzechów, które rosły tu i ówdzie w pobliżu. Przez cały dzień nic nie jadła. Łapczywie zajadając orzechy, miała nieprzyjemne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Nerwowo rozejrzała się wokół, po czym zdjęta trwogą, podczołgała się do północnej krawędzi urwiska i zerknęła na falujące w dole morze zieleni, szybko znikające w zapadającym zmroku. Niczego nie dojrzała; wydawało się niemożliwe, aby ktoś kryjący się w lesie zdołał ją wypatrzeć wśród skał, a jednak wyraźnie czuła na sobie spojrzenie czyichś oczu obserwujących ją bacznie z gęstwiny i wyczuwała, że jakieś żywe i rozumne stworzenie wie, gdzie ona się ukrywa.

Chyłkiem wróciła do swej skalnej kryjówki i leżała tam, patrząc na odległe ruiny, aż skryły się w mroku nocy i tylko migotliwy blask ogniska, wokół którego skakały i płasały chwiejnie czarne sylwetki, pozwalał je zlokalizować w ciemnościach. Wtedy wstała. Nadszedł czas, by spróbować. Najpierw podkraśniała się do północnej krawędzi płaskowyżu i jeszcze raz spojrzała na las porastający brzeg wyspy. Wyteżywszy wzrok, w nikłym świetle gwiazd dojrzała coś, co sprawiło, że zeszywniała nagle i strach ścisnął jej serce lodowatą dłonią.

Daleko w dole coś się poruszało. Zdawało się, że z oceanu mroku wynurzył się czarny cień i wolno piął się w górę — niewyraźny i bezkształtny lęk ścisnął ją za gardło i z trudem powstrzymała cisnący się na wargi krzyk. Odwróciła się i pobiegła w przeciwną stronę, na południe.

Ucieczka po najeżonym gładzi, stromym i śliskim zboczu była koszmarem. Oliwia potykała się i ślizgała, zeszywniałymi palcami czepiając się poszarpanych skał. Kalecząc dłonie i obijając się o ostre głązy, przez które Conan z taką łatwością ją przeniósł, raz jeszcze zdała sobie sprawę, jak jest uzależniona od olbrzymiego Cymeryjczyka. Jednak ta trzeźwa myśl była ledwie błyskiem w wirze ogarniającego ją przerażenia.

Zdawało jej się, że biegnie tak całe wieki, ale w końcu poczuła pod nogami miękką trawę równiny; nie zwalniając kroku, pomknęła w kierunku ogniska, pulsującego niczym szkarłatne serce nocy. Pędząc, słyszała za sobą grzechot osypujących się po zboczu kamieni i ten dźwięk dodał jej skrzydeł. Obawiała się nawet myśleć, co mogło być jego przyczyną.

Długotrwały wysiłek sprawił, że zapomniała o przerażeniu i zanim dotarła w pobliże ruin, odzyskała zdolność trzeźwego myślenia, mimo że trzęsła się ze zmęczenia. Opadła na murawę, podczołgała się do jednego z drzewek, które oszczędziły topory piratów, i spojrzała na obóz. Piraci skończyli już wieczerzę, ale nadal pili wino, czerpiąc je z otwartych beczulek cynowymi kubkami lub wysadzanych klejnotami pucharami. Niektórzy już chrapali na trawie zmorzeni pijackim snem, inni chwiejnie krążyli wokół. Nigdzie nie dostrzegła Cymeryjczyka. Leżała w oczekiwaniu, podczas gdy wieczorna rosa posrebrzyła murawę i liście drzew, a mężczyźni przy ognisku kleli, grali w kości i kłócili się. Niewielu ich zostało przy ogniu; reszta spała w ruinach.

Oliwia czekała z nerwami napiętymi jak postronki i zimny dreszcz przebiegał jej po krzyżu na myśl o tym, że stworzenie, które ją ścigało, mogło właśnie skradać się do niej w ciemnościach. Czas dłużył jej się okropnie. Piraci jeden po drugim zapadali w ciężki sen, aż wreszcie wszyscy legli nieprzytomni przy dogasającym ognisku.

Oliwia zawahała się, jednak ponagliła ją słaba poświata widoczna przez gałęzie drzew. Wschodził księżyc.

Podniosła się i ruszyła ku ruinom. Z duszą na ramieniu, przeszła na palcach między pijanymi, leżącymi przy ziejącym czernią portalu. Wewnątrz było ich znacznie więcej; przewracali się i mamrotali coś przez sen, ale żaden nie obudził się, gdy cicho wśliznęła się do środka. Radosny szloch cisnął jej się na usta, gdy zobaczyła Cymeryjczyka.

Przywiązany do jednej z kolumn Conan był zupełnie przytomny a oczy błyszczały mu w słabym świetle dogasającego na zewnątrz ogniska.

Uważnie omijając śpiących, Oliwia podeszła do niego. Mimo że szła cicho jak duch, barbarzyńca usłyszał ją; dostrzegł ją, gdy tylko pojawiła się w przejściu. Na jego zaciśniętych wargach pojawił się słaby uśmiech.

Dziewczyna dotarła do niego i objęła go ramionami. Czuł szybkie bicie jej serca przy swoim sercu. Przez szeroką wyrwę w murze wpadł promień księżyca i natychmiast w sali powiało jakąś nieuchwytną grozą. Conan wyczuł to i zeszytniał nagle. Oliwia także to wyczuła i jęknęła, jednak śpiący piraci chrapali głośno. Pospiesznie pochyliwszy się, Oliwia wyjęła sztylet zza pasa nieprzytomnego właściciela i zabrała się za przecinanie więzów towarzysza. Był skrupowany grubą i mocną liną, zawiązaną ze zręcznością właściwą żeglarzom. Dziewczyna piłowała zawzięcie, podczas gdy blask księżyca wolno pełził po posadzce ku stojącym między filarami, nieruchomym posągom.

Oliwia dyszała ciężko; zdołała już uwolnić przeguby Cymeryjczyka, ale pozostały jeszcze pęta na ramionach i nogach. Obrzuciła spojrzeniem posągi pod ścianami — stały i czekały. Zdawały się spoglądać na nią ze straszliwym rozmysłem. Pijani piraci wiercili się i bełkotali przez sen. Księżycowy blask zalał salę, dotknął żelaznych figur. Oliwii udało się w końcu uwolnić ręce Conana. Wziął od niej sztylet i jednym szybkim ruchem przeciął więzy na nogach. Zrobił krok i stanął rozcierając nadgarstki, ze stoickim spokojem znosząc ból wracającego krążenia. Oliwia przycupnęła przy nim, trzęsąc się jak osika. Czy to tylko księżyc odbijał się w oczach czarnych posągów, każąc im tak złowrogo błyszczeć w ciemnościach?

Conan skoczył cicho i zwinnie jak dziki kot. Porwał swój miecz ze sterty leżącego w pobliżu oręza, chwycił Oliwię w ramiona i prześliznął się przez wyrwę w porośniętej bluszczem ścianie. Nie padło ani jedno słowo. Niosąc dziewczynę w ramionach, ruszył spieszenie przez skąpany w blasku księżyca płaskowyż. Dziewczyna zamknęła oczy i mocno objęła

go rękami za szyję, wtulając kędzierzawą głowę w jego masywną pierś. Ogarnęło ją błogie uczucie bezpieczeństwa.

Mimo ciężaru Cymeryjczyk szybko przeszedł przez równinę i gdy Oliwia otworzyła oczy, zobaczyła, że już znaleźli się w cieniu skał.

— Coś wspinało się po urwisku — szepnęła. — Słyszałam, jak za mną szło...

— Musimy zaryzykować — mruknął.

— Nie boję się... teraz — dodała.

— Nie bałaś się też, kiedy przysłaś mnie uwolnić — rzekł. — Na Kroma, co za dzień! Nigdy jeszcze nie słyszałem takiego handryczenia się i targów. Prawie ogłuchłem. Aratus chciał mi poderznąć gardło, a Ivanos, który go nienawidzi, nie pozwalał na to. Przez cały dzień warczeli i pluli na siebie, aż wszyscy się upili i nie byli w stanie opowiedzieć się po czyjejkolwiek stronie...

Conan urwał nagle i stanął jak wryty, niczym posąg z brązu. Szybkim ruchem postawił dziewczynę na ziemi i zasłonił ją sobą. Dziewczyna podniosła głowę, spojrzała i wrzasnęła przeraźliwie.

Z cienia zalegającego u stóp urwiska wyłonił się ogromny, niezgrabny cień — człekokształtny stwór, groteskowy wybryk natury.

W ogólnych zarysach przypominał człowieka, jednak blade światło księżyca ukazywało zwierzęce rysy, blisko osadzone oczy, sterczące uszy i wielkie obwisłe wargi, spomiędzy których wystawały długie, białe kły. Stwór miał zmierzwione, srebrzystoszare futro i niezgrabne, zwisające niemal do samej ziemi, przednie łapy. Był ogromny: stojąc na krótkich, krzywych nogach o dwie głowy przewyższał Cymeryjczyka, jego łapska przypominały dwa sękaty pnie, a szerokość masywnej piersi i barów zapierała dech.

Oliwii świat zawirował w oczach. Oto koniec wszystkiego, pomyślała, bo jakież człowiek zdołałby stawić czoła tej górze mięśni? Jednak patrząc szeroko otwartymi z przerażenia oczyma na muskularną postać Cymeryjczyka stojącego między nią a potworem, dostrzegła pewne zatrwajające podobieństwo. Zdawało się, że nie było to spotkanie człowieka z bestią, ale dwóch dzikich stworzeń, równie gwałtownych i bezlitosnych. Szczercząc kły, potwór runął do ataku.

Szeroko rozłożywszy straszliwie ramiona skoczył na barbarzyńcę z niewiarygodną wprost szybkością, jak na stworzenie o tak wielkim

cielsku i krzywych nogach.

Conan zareagował błyskawicznym odskokiem, tak szybkim, że Oliwia nie zdołała pochwycić go okiem. Zauważyła tylko, że uniknął ciosu łapą, a jego miecz błysnął w świetle księżyca i opadł, odcinając jedno z sękatych ramion między barkiem a łokciem. Trysnęła fontanna posoki i odrąbana kończyzna upadła na murawę, lecz w tejże chwili bestia drugą łapą złapała Conana za włosy. Tylko stalowe mięśnie uratowały Cymeryjczykowi życie. Lewą ręką błyskawicznie chwycił potwora za gardło, a kolanem zaparł się o jego włochaty brzuch. Rozpoczęły się straszliwe zmagania, które trwały zaledwie kilka sekund, ale sparaliżowanej ze strachu dziewczynie wydawały się wiecznością.

Małpolud trzymał Conana za włosy, przyciągając jego głowę ku swej pełnej ostrych kłów paszczy. Cymeryjczyk odpychał się lewą ręką, a trzymanym w prawej mieczem jak sztyletem raz po raz uderzał w pierś i brzuch przeciwnika. Bestia znosiła to w straszliwym milczeniu. Wydawało się, że upływ tryskającej ze strasznych ran krwi wcale jej nie osłabił. Nadludzka siła małpoluda wolno pokonywała opór barbarzyńcy. Głowa Conana powoli, lecz nieuchronnie zbliżała się do rozdziawionej paszczy potwora. Barbarzyńca roziskrzonymi oczami wpatrywał się w nabiegłe krwią ślepią. Wbity głęboko miecz uwiązał we włochatym cielsku i Cymeryjczyk daremnie próbował go wyrwać. Ociekające śliną szczęki spazmatycznie kłapnęły tuż przy jego twarzy i nagle barbarzyńca upadł na murawę, odrzucony konwulsyjnym skurczem konającej bestii.

Półprzytomna Oliwia zobaczyła, jak małpolud miota się i przetacza po ziemi, dziwnie ludzkim gestem usiłując wyszarpnąć wbity w pierś miecz. Po krótkiej chwili, która dziewczynie wydawała się wiekiem, ogromne cielsko zadrżało po raz ostatni i zeszywniało.

Conan podniósł się z ziemi i pokuszył do trupa. Dyszał ciężko i szedł jak człowiek, któremu nadwerężono wszystkie stawy i mięśnie. Pomacał swoją okrwawioną czuprynę i zaklął, widząc pasma długich, czarnych włosów wciąż zaciśnięte w owłosionej łapie potwora.

— Na Kroma! — wysapał. — Czuję się jak łamany kołem! Wolałbym walczyć z tuzinem ludzi. Jeszcze moment, a byłby mi odgryzł głowę! Niech to diabli, wydarł mi całą garść włosów!

Chwyciwszy oburącz rękojeść miecza, wyrwał go z ciała bestii. Oliwia podeszła bliżej i złapawszy go za rękę, szeroko otwartymi oczyma

patrzyła na powalonego potwora.

— Co... co to jest? — spytała drżącym głosem.

— Szary małpolud — wyjaśnił Conan. — Paskudne stworzenie żywiące się ludzkim mięsem. Zamieszkuje wzgórza wznoszące się na wschodnim brzegu Morza Vilayet. Nie wiem, w jaki sposób dostał się na wyspę. Może przydryfował na pniu wyrwanego przez burzę drzewa?

— I to on rzucił w nas głazem?

— Tak. Podejrzałem to już wtedy, gdy byliśmy w lesie i zobaczyłem kołyszące się gałęzie. Te stworzenia zawsze kryją się w największej gęstwinie i rzadko stamtąd wychodzą. Nie wiem, co wyгнаło go na otwartą przestrzeń, ale mieliśmy szczęście, że tak się stało — wśród drzew nie miałbym żadnych szans.

— On mnie gonił — wzdrygnęła się Oliwia. — Widziałam, jak wspinał się po urwisku.

— A potem instynktownie schował się w cieniu, zamiast pójść za tobą na płaskowyż. Ten stwór lubi ciszę i samotność, nie znosi słońca i księżyca.

— Myślisz, że jest ich tu więcej?

— Nie, w przeciwnym razie zaatakowałyby piratów przechodzących przez las. Szare małpoludy, mimo że tak silne, są bardzo ostrożne, o czym świadczy fakt, że ten nie zaatakował nas w gąszczu. Jednak w końcu głód zmusił go do zaryzykowania ataku na otwartej przestrzeni. Co...?

Conan drgnął i obrócił się na pięcie w kierunku, z którego przyszli. Ciemności rozdarł przeraźliwy krzyk. Natychmiast odpowiedział mu chór wściekłych wrzasków, krzyków i jęków agonii. Mimo że wtórował im brzęk stali, dźwięki te nasuwały raczej myśl o masakrze niż bitwie. Conan stał ze zmarszczonymi brwiami, a przerażona dziewczyna przywarła doń kurczowo. Kiedy zgiełk bitwy zmienił się w ogłuszający ryk mordowanych, Cymeryjczyk odwrócił się i szybko ruszył ku krawędzi płaskowyżu i skąpanemu w blasku księżyca lasowi. Oliwii tak bardzo trzęsły się kolana, że nie była w stanie iść. Conan wziął ją na ręce i natychmiast poczuł, jak uspokaja się jej mocno bijące serce.

Przeszli przez mroczny gąszcz, w każdej chwili spodziewając się ataku, ale zarośla nie kryły nowego niebezpieczeństwa; nigdzie nie dostrzegli śladu przeciwnika. Nocne ptaki szczebiotały sennie. Odgłosy rzezi zwolna cichły w dali. Gdzieś przeraźliwie wrzasnęła papuga,

powtarzając niczym upiorne echo:

— Tagkoolan yok tha, xuthalla!

W końcu dotarli do porośniętego drzewami brzegu i ujrzeli bielejące w świetle księżyca żagle zakotwiczonej w zatoczce galery. Gwiazdy zaczęły blednąć, zapowiadając świt.



#### 4.

W szarym blasku poranka gromadka obszarpanych, zbryzganych krwią postaci wypadła z lasu na wąską plażę. Było ich tylko czterdziestu czterech — przerażonych i spokorniałych piratów. Ciężko dysząc, skoczyli do wody i zaczęli brnąć ku zbawczej burcie okrętu, gdy zatrzymał ich okrzyk z rufy.

Na tle jaśniejącego nieba ujrzeli stojącą na dziobie olbrzymią postać z mieczem w dłoni i rozwianą na wietrze grzywą czarnych włosów.

— Stać! — usłyszeli. — Nie zbliżać się. Czego chcecie, psy?

— Pozwól nam wejść na pokład! — krzyknął zarośnięty łotr, przyciskając dłoń do resztek ucha. — Odpłyniemy z tej diabelskiej wyspy!

— Rozwalę łeb pierwszemu, który spróbuje wejść na pokład — obiecał im Conan.

Wprawdzie piraci mieli miażdżącą przewagę liczebną, ale stracili chęć do walki. Conan był panem sytuacji.

— Pozwól nam wejść na pokład, zacny Conanie — jęknął Zamoranin w czerwonej przepasce na biodrach, trwożliwie zerkając przez ramię na ścianę lasu. — Jesteśmy tak potłuczeni, pogryzieni, podrapani i poszarpani oraz tak utrudzeni walką i ucieczką, że żaden z nas nie ma już siły unieść miecza.

— Gdzie ten pies Aratus? — dopytywał się Conan.

— Martwy, tak jak wielu innych! Napadły na nas demony! Zanim się przebudziliśmy, rozszarpały tuzin naszych kamratów! W tych ruinach było pełno ognistookich widm uzbrojonych w ostre kły i pazury.

— Tak! — dodał inny pirat. — To były demony, które przybrały postać posągów, by nas omamić. Na Isztar! Nocowaliśmy w jaskini lwów! Nie jesteśmy tchórzami. Walczyliśmy z nimi tak długo, jak długo zwykły śmiertelnik może opierać się mocom ciemności. Później uciekliśmy, zostawiając im trupy naszych towarzyszy. Jednak z pewnością będą nas ścigać.

— Tak, daj nam wejść na statek! — wrzasnął chudy Shemita. — Pozwól nam wejść po dobroci albo wędzemy się siłą i choć jesteśmy tak

znużeni, że bez wątpienia wielu nas zginie, to nie zdołasz zabić wszystkich.

— Wtedy wybije dziurę w burcie i zatopię statek — odparł ponuro Cymeryjczyk i gromkim okrzykiem uciszył chóralny jęk, jakim piraci przyjęli jego słowo. — Psy! Czy mam pomagać wrogom? Mam was wpuścić na pokład, żebyście poderżnęli mi gardło?

— Nie, nie! — zapewniali pospiesznie. — Nie wrogom, lecz przyjaciołom! Będziemy twoimi kompanami, Conanie! Razem popłyniemy na morze! Przecież wszyscy nienawidzimy króla Turanu!

Nie odrywali oczu od jego groźnie zmarszczonej, brązowej od słońca twarzy.

— Zatem jeśli należę do Bractwa to obejmują mnie jego prawa — mruknął. — A skoro zabiłem waszego przywódcę w uczciwej walce, to jestem teraz waszym kapitanem!

Nikt się nie sprzeciwiał. Piraci byli zbyt przestraszeni i zgnębieni, aby myśleć o czymś innym niż o jak najszybszym opuszczeniu wyspy. Conan spojrział na rośłego Koryntianina.

— No co, Ivanos — zawołał. — Raz już stanąłeś w mojej obronie. Poprzesz mnie i teraz?

— Tak, na Mitrę! — zorientowawszy się w sytuacji pirat pragnął wkraść się w łaski nowego kapitana. — On ma rację, chłopcy! Według zwyczaju jest naszym kapitanem!

Odpowiedział mu chór potakiwań, może nieco pozbawionych entuzjazmu, lecz niewątpliwie szczerych, co gwarantował zielony gąszcz za ich plecami, z którego w każdej chwili mogły wypaść czarne demony o płonących ślepiach i ostrych pazurach.

— Przysięgnijcie na miecze — zażądał Conan.

Las rękojeści wyciągnął się ku niemu wiernopoddańczym gestem i wielogłosy chór ślubował mu posłuszeństwo.

Cymeryjczyk uśmiechnął się i schował miecz do pochwy.

— Wchodźcie na pokład, dzielni żeglarze, i bierzcie się do wiosł!

Odwrócił się do skulonej za nadburciem Oliwii i postawił ją na nogi.

— A co ze mną, kapitanie? — spytała.

— A co byś chciała? — odparł, przypatrując jej się zwięzionymi oczyma.

— Pójść z tobą, dokądkolwiek się udasz! — krzyknęła, zarzucając

mu ręce na szyję.

Gramolący się na burty piraci wytrzeszczyli oczy ze zdumienia.

— Chcesz popłynąć na szlak krwi i rzezi? — zapytał. —  
Dokądkolwiek popłynie ten statek, pozostawi na błękitnych wodach  
krwawy ślad.

— Tak — odrzekła z uczuciem. — Popłynę z tobą po wodach  
błękitnych czy krwawych. Ty jesteś barbarzyńcą, a ja wyrzutkiem bez  
domu i ojczyzny. Oboje jesteśmy pariasami, wiecznymi wędrowcami...  
Och, weź mnie ze sobą!

Conan wybuchnął śmiechem i przycisnął wargi do jej warg.

— Uczynię cię królową Morza Vilayet! Podnieście kotwicę, psy! Na  
Kroma, jeszcze przysmażymy Yildizowi pantaloney!

# Pełzający cień

1.

Nad pustynią unosiły się rozedrgane fale żaru. Conan Cymeryjczyk spojrział na otaczającą go pustkę i mimowolnie otarł spieczone wargi grzbietem potężnej dłoni. Stał wśród piasków niczym posąg z brązu, pozornie nie czując morderczego skwaru, chociaż całym jego strojem była jedwabna przepaska biodrowa przytrzymywana szerokim pasem, na którym wisała szabla i sztylet o szerokim ostrzu. Na muskularnych kończynach miał ślady świeżo zagojonych ran.

U jego stóp siedziała dziewczyna, jednym ramieniem obejmując go za kolana i opierając o nie swoją jasną główkę. Jej biała skóra kontrastowała z twardymi, ogorzałymi kończynami barbarzyńcy, a krótka jedwabna tunika bez rękawów, głęboko wcięta na piersiach i ściągnięta w talii paskiem, raczej podkreślała niż skrywała figurę dziewczyny.

Conan potrząsnął głową, mrużąc oczy. Blask słońca niemal go oślepił. Wyjął zza pasa mały bukłak i zakołysał nim, marszcząc brwi, gdy usłyszał tylko cichy plusk.

Dziewczyna wyprostowała się z trudem, jęcząc żałośnie:

— Och, Conanie, umrzemy tutaj! Jestem taka spragniona!

Cymeryjczyk mruknął coś pod nosem, zaciskając zęby i mierząc otaczającą ich pustkę gniewnym spojrzeniem spod czarnej, zmierzwionej grzywy, jakby pustynia była żywą istotą, którą można pokonać.

Nachyliwszy się, przytknął bukłak do warg dziewczyny.

— Pij, dopóki ci nie powiem, że już dość, Natalo — rozkazał.

Piła małymi, chciwymi łykami, a on jej nie powstrzymywał. Dopiero kiedy bukłak był pusty zrozumiała, że rozmyślnie pozwolił jej wypić cały skąpy zapas wody jaki posiadali. Łzy napłynęły jej do oczu.

— Och, Conanie! — rozpaczła załamując ręce. — Dlaczego pozwoliłeś mi wypić wszystko? Nie wiedziałam... Teraz już nic nie

zostało dla ciebie!

— Cicho — warknął. — Nie trać sił na szlochy.

Wyprostował się i odrzucił pusty bukłak.

— Czemu to zrobiłeś? — szeptała dziewczyna.

Nic nie odpowiedział, stojąc bez ruchu i powoli zaciskając palce na rękojeści szabli. Nie patrzył na dziewczynę; pałającym spojrzeniem zdawał się przesywać tajemniczą, purpurową mgiełkę ścielącą się na horyzoncie.

Kochający życie i obdarzony barbarzyńską wolą przetrwania Conan Cymeryjczyk wiedział, że dotarł do kresu swej drogi. Wprawdzie nie był jeszcze zupełnie wyczerpany, ale wiedział, że następny dzień w prażącym bezlitośnie słońcu, na pozbawionej wody pustyni wykończy go. Co do dziewczyny, dość już wycierpiała. Lepszy szybki, bezbolesny cios szabli niż powolne konanie, jakie miało stać się jego udziałem. Jej pragnienie zostało ugaszone tylko chwilowo; oddałby jej złą przysługę, gdyby pozwolił jej cierpieć dopóki nie wybawi jej maligna i śmierć. Powoli wysuwał szablę z pochwy.

Nagle zastygł w pół ruchu. Daleko na południu, coś błysnęło w przetaczających się nad pustynią falach żaru.

Najpierw myślał, że to złudzenie, jeden z miraży jakie szydziły z niego na tym przeklętym pustkowiu, doprowadzając do szaleństwa. Ośloniwszy dłonią oślepienie słońcem oczy dostrzegł wieże, minarety i błyszczące mury. Patrzył na nie posępnie, czekając aż rozwieją się w powietrzu i znikną. Natała przestała szlochać; z trudem podniosła się na klęczki i powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Czy to miasto, Conanie? — szepnęła, zbyt przerażona aby mieć nadzieję. — Czy może tylko złudzenie?

Cymeryjczyk milczał przez chwilę. Kilkakrotnie zamknął i otworzył oczy; popatrzył w bok, a potem znowu na miasto. Pozostało tam, gdzie było.

— Diabli wiedzą — mruknął. — Jednak warto spróbować.

Wepchnął szablę z powrotem do pochwy. Schyliwszy się, wziął Natalę w swe potężne ramiona, jakby była dzieckiem. Opierała się słabo.

— Nie trać sił na noszenie mnie, Conanie — prosiła. Mogę iść.

— Ziemia jest tu kamienista — odparł. — Szybko zdarłabyś sandałki na strzępy! — dodał, zerknąwszy na jej obuwiu z miękkiej, zielonej skóry.

— Ponadto, jeżeli mamy w ogóle dotrzeć do tego miasta to musimy się spieszyć, a w ten sposób będzie szybciej.

Nadzieja na uratowanie życia wlała nowe siły w stalowe mięśnie Cymeryjczyka. Kroczył przez piaski z takim wigorem, jakby dopiero co wyruszył w podróż. Barbarzyńca nad barbarzyńcami, miał w sobie witalność i wytrzymałość dzikiego stworzenia, pozwalającą mu przeżyć tam, gdzie cywilizowany człowiek zginąłby w mgnieniu oka.

On i dziewczyna byli — o ile wiedział — jedynymi ocalałymi z armii księcia Almurica, tej oszalałej, nieokiełznanej hordy, która podążając za zbuntowanym księciem Koth przeszła z niszczycielską siłą burzy piaskowej przez ziemie Shemu i utopiła we krwi pogranicze Stygii. Ścigana przez stygijską jazdę, przedarła się do czarnych królestw Kush, gdzie na samym skraju południowej pustyni została całkowicie zniszczona. Conan w myślach porównywał ją do rwącej rzeki, która pędząc na południe zwęża się stopniowo, aby w końcu wsiąknąć w piaski pustyni. Kości żołnierzy tej armii — najemników, banitów, wyrzutków, przestępców — znaczyły jej drogę z wyżyn Koth aż po wydmy Kush.

W czasie ostatniej bitwy, kiedy oddziały Stygijczyków i Kushitów otaczały schwyte w zasadzkę resztki tej armii, Conan wyrąbał sobie drogę i uciekł razem z dziewczyną na wielbłądzie. Kraina za nimi roiała się od nieprzyjaciół i jedyna droga ucieczki wiodła na południe, przez pustynię. Tak więc zapuścili się w te niebezpieczne pustkowia.

Dziewczyna była Brythunką, którą barbarzyńca znalazł na targowisku niewolników w jednym ze zdobytych miast Shemu i zagarnął dla siebie. Nie miała w tej sprawie nic do powiedzenia, ale ponieważ i tak było to o niebo lepsze od losu Hyboryjki w shemickim seraju, z wdzięcznością zaakceptowała taki obrót spraw. W ten sposób dołączyła do wyklętych buntowników Almurica.

Natala i Conan przez wiele dni umykali przez pustynię, ścigani przez stygijskich jeźdźców tak daleko, że kiedy zgubili pościg, nie odważyli się zawrócić. Parli dalej, szukając wody, aż padł niosący ich wielbłąd. Od tej pory szli pieszo. Przez ostatnie kilka dni wiele wycierpieli. Conan opiekował się Natalą najlepiej jak mógł, a nawykła do surowego obozowego życia dziewczyna była lepiej przygotowana do trudów i niebezpieczeństw niż przeciętna kobieta, lecz mimo to w końcu opadła z sił.

Słońce prażyło wściekle zmierzwioną, czarną grzywę barbarzyńcy. Fale mdlącego otepienia zalewały mu umysł, ale zacisnął zęby i szedł dalej. Był pewien, że miasto jest rzeczywistością, nie mirażem. Nie miał pojęcia, co ich tam czeka. Może wrogo usposobieni Mieszkańcy. Nawet jeśli tak, to będzie mógł walczyć o swoje życie — a barbarzyńca nigdy niczego więcej nie oczekiwał od losu.

Słońce chyliło się już ku zachodowi gdy stanęli przed wielką bramą, z ulgą chroniąc się w cieniu. Conan postawił Natalę na ziemi i rozprostował obolałe ramiona. Mury z jakiejś gładkiej, zielonkawej, błyszczącej jak szkło materii wznosiły się na blisko trzydzieści stóp w górę. Conan spojrzał na blanki, spodziewając się, że zaraz ktoś go okrzyknie, ale nie dostrzegł nikogo. Zniecierpliwiony, zawołał głośno i załomotał w bramę ręką szablą — lecz odpowiedziały mu jedynie drwiące echa. Wystraszona głuchą ciszą Natalia kulila się tuż przy nim. Conan pchnął wrota i cofnął się o krok wyciągając szablę, gdy bezszelestnie się otwarły. Natalia wydała zduszony okrzyk.

— Och, spójrz, Conanie!

Tuż za bramą leżały ludzkie zwłoki. Conan przyjrzał im się bacznie, po czym popatrzył wokół. Zobaczył rozległy dziedziniec otoczony arkadami kamieniczek zbudowanych z tego samego zielonkawego materiału co mury zewnętrzne. Budynki były wysokie i okazałe, zwieńczone lśniącymi kopułami i wieżyczkami. Nigdzie nie dostrzegł śladu życia. Na środku dziedzińca stała czworokątna cembrowina studni i jej widok poderwał do czynu Conana, któremu język wysechł już na wiór. Chwyciwszy Natalę za rękę wciągnął ją do środka i zamknął za nią bramę.

— Czy on nie żyje? — spytała szeptem, drżącym palcem wskazując leżącego opodal człowieka. Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany, najwidoczniej w kwiecie wieku; skórę miał żółtą, a oczy lekko skośne — oprócz tego niczym się nie różnił od przeciętnego Hyboryjczyka. Był odziany w tunikę z purpurowego jedwabiu i wysoko sznurowane sandały, u boku miał krótki miecz w pochwie ze złotogłowiu. Conan dotknął ciała. Było zimne, bez śladu życia.

— Nie ma żadnej rany — mruknął Cymeryjczyk. — A jednak jest martwy jak Almuric przeszyty czterdziestoma stygijskimi strzałami. Na Kroma, sprawdźmy studnię! Jeśli jest w niej woda, napijemy się —

choćby leżało tu sto trupów.

Studnia nie była wyschnięta, ale nie napili się z niej. Lustro wody znajdowało się dobre pięćdziesiąt stóp niżej i nie było czym jej nabrać. Conan zaklął wściekle, oszalały na widok płynu, którego nie mógł zaczerpnąć, i zaczął rozglądać się za jakimś sznurem. Odwrócił się gwałtownie, słysząc krzyk Natali.

Uznany za martwego człowiek atakował go z lśniącym mieczem w dłoni i błyskiem w oczach bezsprzecznie świadczącym o tym, że żyje. Conan zaklął ze zdziwienia, ale nie tracił czasu na rozważania. Przywitał napastnika zamaszystym cięciem szabli, przecinając ciało i kości. Głowa tamtego z łoskotem potoczyła się po bruku; ciało zatoczyło się bezwładnie tryskając strumieniem krwi z rozrąbanej arterii, po czym runęło na ziemię.

Conan zmierzył je wściekłym spojrzeniem, klnąc pod nosem.

— Ten gość nie jest teraz wcale bardziej martwy niż kilka minut temu. Do jakiegoż to domu wariatów trafiliśmy?

Natala, która zasłoniła oczy rękami aby nie patrzeć na trupa, zerknęła przez palce i zadrżała ze strachu.

— Och, Conanie, czy mieszkańcy miasta nie zabiją nas za to?

— No — warknął barbarzyńca — ten stwór z pewnością zabiłby nas gdybym nie uciął mu głowy.

Zerknął na krużganki ziejące pustką w zielonych ścianach nad ich głowami. Nie dostrzegł śladu ruchu, nie usłyszał żadnego dźwięku.

— Nie sądzę, żeby ktoś nas zobaczył — mruknął. — Ukryję dowód...

Jedną ręką chwycił trupa za pas, a drugą podniósł uciętą głowę za długie włosy i pół niosąc, pół wlokąc zaciągnął okropne szczątki do studni.

— Skoro nie możemy napić się tej wody — zgrzytnął zębami

— zadbam o to, aby nikt się jej nie napił. Do diabła z taką studnią!

Przerzucił ciało przez krawędź i puścił, ciskając głowę w ślad za nim. Daleko w dole rozległ się stłumiony plusk.

— Została krew na kamieniach — szepnęła Natala.

— Będzie jej więcej jeśli zaraz nie znajdę wody! mruknął Cymeryjczyk, którego niewielkie zasoby cierpliwości były na ukończeniu. Dziewczyna ze strachu niemal zapomniała o głodzie i pragnieniu, ale Conan nie.



— Wejdziemy w jedne z tych drzwi — powiedział. — Na pewno w końcu znajdziemy jakichś ludzi.

— Conanie! — jęknęła, przysuwając się do niego najbliżej jak mogła. — Boję się! To miasto duchów i trupów! Wracajmy na pustynię! Lepiej umrzeć tam, niż spotkać upiory!

— Pójdziemy na pustynię kiedy zrzucą nas z murów warknął. — Gdzieś w tym mieście jest woda i znajdę ją, choćbym miał zabić wszystkich jego mieszkańców!

— A jeśli oni ożywają? — szepnęła.

— Wtedy będę ich zabijał aż pozostaną martwi! — uciał. Chodź! To wejście jest równie dobre jak każde inne. Trzymaj się blisko mnie i nie uciekaj, chyba, że ci każe!

Cichutko wyraziła zgodę i poszła za nim trzymając się tak blisko, że — ku jego irytacji — deptała mu po piętach. Zapadł zmierzch, zapelniając dziwne miasto purpurowymi cieniami. Przeszli przez drzwi i znaleźli się w rozległej komnacie, której ściany były obwieszane aksamitnymi, przedziwnie tkanymi gobelinami. Posadzka, ściany i sufit sali były z zielonego, szklistego kamienia, ozdobionego na ścianach złotym fryzem. Podłogę wyścielały futra i atłasowe poduszki. Kilkoro drzwi prowadziło do sąsiednich pomieszczeń. Przeszli przez komnatę i przez kilka innych, bliźniaczo podobnych do pierwszej. Nie znaleźli nikogo, ale Cymeryjczyk mruczał cicho pod nosem.

— Ktoś tu był, i to niedawno. Ta sofa jest jeszcze ciepła od dotyku ludzkiego ciała. Na tej jedwabnej poduszce widać jeszcze zarys bioder. A w powietrzu unosi się słaby zapach perfum.

Wszędzie panowała niesamowita, nierzeczywista atmosfera. Wędrówka przez ten mroczny, cichy pałac była jak majak wywołany opium. Niektóre komnaty były nieoświetlone — tych unikali. Inne kąpały się w blasku łagodnego, niezemskiego światła zdającego się emanować z klejnotów osadzonych w ścianach i tworzących na nich fantastyczne wzory. Nagle, gdy wchodzili do jednej z tych oświetlonych komnat, Natała krzyknęła i chwyciła towarzysza za rękę. Obrócił się z przekleństwem na ustach, wypatrując wroga, zdziwiony okropnie, gdyż nikogo nie dostrzegł.

— O co chodzi? — warknął. — Jeśli jeszcze raz złapiesz mnie za prawą rękę, to obedrę cię ze skóry. Chcesz, żeby poderżnęli mi gardło?

Dlaczego wrzeszczysz?

— Spójrz tam — wykrztusiła, wskazując ręką.

Conan przełknął ślinę. Na stole z polerowanego hebanu stały złote naczynia, najwidoczniej zawierające jadło i napoje. Jednak w komnacie nie było nikogo.

— No cóż, ten dla kogo przygotowano tę ucztę — orzekł barbarzyńca — będzie musiał udać się dziś wieczór gdzie indziej.

— Czy odważymy się to zjeść, Conanie? — zaooponowała nerwowo dziewczyna. — Ci ludzie mogą nadejść i...

— Lir an mannam mac lir! — zaklął Conan, biorąc ją za kark i bezceremonialnie popychając na złocone krzesło stojące na końcu stołu. — Padamy z głodu, a ty wybrzydzasz! Jedz!

Zajął miejsce na drugim końcu stołu i złapawszy nefrytowy puchar opróżnił go jednym haustem. Naczynie zawierało szkarłatny, podobny do wina napój o szczególnym smaku, nieznanym Cymeryjczykowi, lecz będącym jak nektar dla jego wyschniętego gardła. Zaspokoiwszy pragnienie, z niezrównanym zapałem zaatakował jedzenie. Ono również było dlań obce: egzotyczne owoce i nieznanne mięsiwa. Nakrycia były niezwykle kunsztownej roboty, a noże i widelce ze szczerego złota. Te ostatnie Conan zignorował, chwytając mięsiwo w palce szarpiąc je swymi silnymi zębami. Zresztą maniere Cymeryjczyka przy stole zawsze były raczej wilcze. Jego cywilizowana towarzysząca jadła bardziej elegancko, lecz równie łapczywie. Przyszło mu na myśl, że jedzenie może być zatrute, lecz to nie zmniejszyło jego apetytu. Wolał raczej umrzeć od trucizny niż z głodu.

Zaspokoiwszy głód, z głębokim westchnieniem odchylił się w fotelu. O tym, że w tym milczącym mieście mieszkają ludzie świadczyło świeże jadło i napoje, tak więc za każdym rogiem mógł czaić się wróg. Jednak Conan niezbyt się tym przejmował, ufając swojej umiejętności posługiwania się mieczem. Zaczął morzyć go sen i rozważał myśl wyciągnięcia się na pobliskiej kanapce, żeby się chwilę zdrzemnąć.

Natala nie była senna. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, nie miała ochoty spać. Pięknymi, szeroko otwartymi oczyma spoglądała lękliwie w ciemne otwory drzwi, za którymi czyhało nieznanne. Cisza i półmrok tego dziwnego miejsca silnie oddziaływały na jej wyobraźnię. Komnata zdawała się większa, a stół dłuższy niż był na początku i dziewczyna

zdała sobie sprawę, że znajduje się dalej od swego posępnego opiekuna niżby sobie tego życzyła. Podniósłszy się szybko, obeszła stół i usiadła na kolanie barbarzyńcy, nerwowo zerkając na łukowate przejścia. Jedne były oświetlone, a inne nie, i to na tych nie oświetlonych najdłużej zatrzymała wzrok.

— Zjedliśmy, wypiliśmy i odpoczęliśmy — nalegała. Chodźmy stąd, Conanie. To złe miejsce. Czuję to.

— No, jak dotąd nic złego nam się tu nie przytrafiło zaczął, kiedy przerwał mu cichy lecz złowrogi szmer. Zepchnąwszy dziewczynę z kolan, Cymeryjczyk zerwał się zwinnie jak pantera i dobywając szabli zwrócił się w stronę drzwi, z których dobiegł ów dźwięk. Odgłos nie powtórzył się i Cymeryjczyk zaczął bezszelestnie skradać się w kierunku przejścia, a Natała podążała za nim, z sercem w gardle. Wiedziała, że jej towarzysz wietrzył niebezpieczeństwo. Wtuliwszy głowę w swe potężne ramiona, lekko zgarbiony sunął naprzód jak przyczajony do skoku tygrys. Nie robił też więcej hałasu niż ten wielki kot.

W progu zatrzymał się i Natała lękliwie wyjrzała zza jego pleców. W pokoju nie było światła, lecz częściowo oświetlała go poświata wpadająca z ich komnaty i ukazująca jeszcze jedno pomieszczenie. W tej następnej komnacie, na niewielkim podwyższeniu leżał jakiś człowiek. Smuga światła padała na jego twarz i zobaczyli, że mężczyzna ten jest bliźniaczo podobny do tego, którego Conan zabił przy bramie; tyle że strój miał bogatszy i ozdobiony klejnotami, które skrzyły się w niepewnym oświetleniu. Był martwy, czy tylko spał? Znów dał się słyszeć złowieszczy szmer, jakby ktoś odsunął na bok zasłonę. Conan cofnął się, pociągając za sobą drżącą Natalę. W ostatniej chwili zakrył dłonią jej usta, tłumiąc cisnący się na nie krzyk.

Z miejsca, w którym teraz stali nie widzieli już podium, tylko jego cień na przeciwległej ścianie. A teraz na tej ścianie pojawił się drugi cień — ogromna, bezkształtna plama czerni. Patrząc na to, Conan poczuł, że włosy na głowie stają mu dęba. Choć ten cień mógł być zniekształcony, Cymeryjczyk wiedział, że nigdy nie widział człowieka czy zwierzęcia, które miałyby podobną sylwetkę. Pożerała go ciekawość, lecz instynkt kazał mu zostać w miejscu. Słyszał spazmatyczny oddech patrzącej szeroko otwartymi oczyma Natali. Żaden inny dźwięk nie zakłócał grobowej ciszy. Wielki cień zakrył zarys podium. Przez dłuższą chwilę

czarna plama trwała na gładkiej ścianie, po czym powoli wycofała się i patrzący znów ujrzeli ciemny kontur podium. Jednak śpiącego już na nim nie było.

W gardle Natali wezbrał histeryczny bulgot i Conan potrząsnął nią ostrzegawczo. Sam też czuł, że krew lodowacieje mu w żyłach. Nie obawiał się nikogo na świecie; nic nie było w stanie wzbudzić trwogi w jego sercu. Jednak tu zetknął się z czymś, co przekraczało jego zdolność pojmowania.

Po chwili ciekawość przemogła niepokój i Cymeryjczyk znów ruszył ku nie oświetlonej komnacie, przygotowany na wszystko. Zajrzawszy do drugiego pokoju zobaczył, że w pomieszczeniu nikogo nie ma. Podium stało tak jak przedtem, lecz nie spoczywało na nim żadne ludzkie ciało. Tylko na jedwabnej kapie okrywającej postument lśniła jedna kropla krwi, niczym wielki, szkarłatny klejnot. Natalia dostrzegła ją i wydała zduszony okrzyk, za który barbarzyńca nie skarcił jej, samemu również czując lodowate palce strachu. Na tym postumencie leżał człowiek; coś zakradło się do komnaty i porwało go. Conan nie miał pojęcia, co by to mogło być, lecz w tych mrocznych salach unosiła się aura zgrozy i przerażenia.

Był gotów odejść. Wziąwszy Natalę za rękę obrócił się i stanął jak wryty. Gdzieś w głębi pałacu, od strony, z której przyszli, dobiegł go cichy odgłos kroków. Ten dźwięk wywołały ludzkie stopy, bose lub w obuwiu o miękkich podeszwach, i czujny jak wilk Cymeryjczyk pospiesznie ruszył w bok. Sądził, że zdoła wrócić na dziedziniec omijając pokój, z którego zdały się dobiegać kroki.

Jednak zanim zdążyli przebiec pierwszą komnatę, gdy stanęli i odwrócili się słysząc za plecami nagły szelest rozchylanej kotary. Przed ukrytą za zasłoną alkową stał jakiś człowiek i bacznie im się przyglądał.

Mężczyzna był podobny do tych dwóch poprzednich: wysoki, dobrze zbudowany, odziany w purpurowe szaty spięte pasem wysadzonym klejnotami. Jego bursztynowe oczy nie wyrażały zdziwienia ani wrogości. Były senne, jak oczy zjadacza lotosu. Nawet nie sięgnął po miecz, wiszący mu u boku. Po krótkiej chwili milczenia przemówił, obojętnym i znudzonym tonem, w jakimś nieznanym języku.

Wiedziony przecuciem Conan odpowiedział mu po stygijsku i obcy również odezwał się w tej mowie.

— Kim jesteście?

— Ja jestem Conan Cymeryjczyk — odparł barbarzyńca. — A to jest Natała z Brythunii. Co to za miasto?

Mężczyzna nie odpowiedział od razu. Obrzucił Natalę rozmarzonym, czułym spojrzeniem i zabełkotał:

Ze wszystkich mych licznych wizji, ta jest najdziwniejsza! Dziewczyno o złotych lokach, z jakiejże krainy marzeń przybywasz? Z Andarry, Tothry czy też srebrnogwiezdnego Kuth?

— Co to za głupoty? — warknął Cymeryjczyk, któremu nie spodobały się te słowa, ani sposób w jaki mówiący patrzył na Natalę.

Tamten nie zwrócił nań żadnej uwagi.

— Śniłem o piękniejszych ślicznotkach — mruzczał. — O gibkich kobietach z włosami czarnymi jak noc i oczyma ciemnymi jak niezgłębiona zagadka. Jednak twoja skóra jest biała jak mleko, a oczy jasne jak poranek i jest w tobie świeżość i powab nęcący jak nektar. Pójdź w me objęcia, dziewczyno ze snu!

Zrobił krok i wyciągnął rękę, a Conan odtrącił ją w bok uderzeniem, które mogło połamać kości. Mężczyzna zatoczył się i chwycił za zdrętwiałe ramię, tocząc mętным wzrokiem.

— Cóż to — bunt duchów? — wymamrotał. — Barbarzyńco, zaklinam cię — odejdz! Zgiń! Przepadnij! Rozwiej się! Zniknij!

Zaraz zniknie łeb z twoich ramion! — warknął rozwścieczony Cymeryjczyk i szabla zabłysła mu w ręku. — To tak witacie tutaj przybyszów? Na Kroma, umoczę te zasłony we krwi!

Senność zniknęła z oczu nieznanego, ustępując miejsca niebotycznemu zdziwieniu.

— Na Thoga! — wykrzyknął. — Jesteście prawdziwi! Skąd przybywacie? Kim jesteście? Co robicie w Xuthal?

— Przybyliśmy z pustyni — mruknął Conan. — Zawędrowaliśmy do miasta o zmroku, umierając z głodu. Znaleźliśmy stół zastawiony do uczyty i posililiśmy się. Nie mam pieniędzy, żeby za to zapłacić. W moim kraju nie odmawia się pożywienia nikomu, kto jest głodny, ale wam, ludziom cywilizowanym, trzeba za wszystko płacić — jeśli jesteście tacy jak wszyscy ci, których dotychczas spotkałem. Nie uczyniliśmy nikomu nic złego i właśnie mieliśmy odejść. Na Kroma, nie podoba mi się to miejsce, gdzie martwi wracają do życia, a śpiący znikają w brzuchach

cieni!

Słyszając ostatnie słowa mężczyzna drgnął, a jego żółta twarz stała się szara jak popiół.

— Co mówisz? Cienie? W brzuchach cieni?

— No — odparł ostrożnie Cymeryjczyk. — Cokolwiek to jest, porwało śpiącego z posłania i pozostawiło tylko plamę krwi.

— Widzieliście? Widzieliście? — mężczyzna trząsał się jak liść; głos mu się łamał.

— Tylko człowieka śpiącego na podium i cień, który go spowił — odrzekł Conan.

Jego słowa wywarły piorunujące wrażenie na nieznanym. Mężczyzna wrzasnął przeraźliwie i obróciwszy się na pięcie wypadł z komnaty. Pędząc na oślep uderzył o framugę drzwi, złapał równowagę i pognął przed siebie, wciąż wrzeszcząc ile sił w płucach. Conan spoglądał na to ze zdumieniem, a dygocząca dziewczyna kurczowo trzymała go za ramię. Po chwili przestali widzieć biegnącą postać, lecz nadal słyszeli przeraźliwe wrzaski, zwolna cichnące w dali i odbijające się echem od wysokich sklepień. Nagle rozległ się jeszcze jeden, głośniejszy od innych krzyk, który urwał się gwałtownie — i zapadła głucha cisza.

— Na Kroma!

Conan drżącą dłonią otarł pot z czoła.

— To chyba miasto szaleńców! Wynosmy się stąd zanim napotkamy kolejnych wariatów!

— To jakiś koszmar! — skomliła Natała. — Jesteśmy martwi i przekłęci! Umarliśmy na pustyni i jesteśmy w piekle! Staliśmy się bezcielesnymi duchami... au!

Ten okrzyk był poprzedzony odgłosem solidnego klapsa wymierzonego jej przez barbarzyńcę.

— Nie jesteś duchem, skoro tak wrzeszczysz, kiedy cię klepnę

— zauważył w przypływie wisielczego humoru, jaki często nawiedzał go w najmniej odpowiednich chwilach. — Na razie żyjemy, ale to może nie potrwać długo, jeśli będziemy się włóczyć po tej nawiedzanej przez diabła ruderze. Chodź!

Przeszli zaledwie jedną komnatę, gdy znów stanęli jak wryci. Ktoś się zbliżał. Czekaając nie wiedzieć na co zwrócili twarze do przejścia, z którego dolatywał odgłos. Nozdrza barbarzyńcy rozszerzyły się, a oczy

zweżyły w szparki. Zwiertzył słaby zapach perfum, który czuł już wcześniej. W drzwiach pojawiła się jakaś postać. Conan zaklął pod nosem, a Natała otworzyła usta ze zdziwienia.

Stojąca tam kobieta również spoglądała na nich ze zdumieniem. Była wysoka, smukła i zbudowana jak bogini; odziana w wąską przepaskę biodrową, zdobioną drogimi kamieniami. Gęsta grzywa czarnych jak noc włosów podkreślała biel jej alabastrowego ciała. Ciemne oczy, ocienione długimi jedwabistymi rzęsami, były niezgłębioną i zmysłową zagadką. Jej uroda zaparła dech w piersi barbarzyńcy, a i Natała spoglądała na kobietę szeroko otwartymi oczyma. Cymeryjczyk nigdy nie widział takiej piękności; miała rysy twarzy Stygijki, lecz nie była smagłokóra jak znane mu stygijskie kobiety; jej skóra była jak alabaster.

Jednak gdy przemówiła głębokim, melodyjnym głosem, mówiła po stygijsku.

— Kim jesteście? Co robicie w Xuthal? Kim jest ta dziewczyna?

— A kim ty jesteś? — odparował szorstko barbarzyńca, który nie lubił, gdy zadawano mu zbyt wiele pytań.

— Jestem Thalís Stygijka — odparła. — Musicie być szaleni, żeby tu przybywać!

— Tak też mi się zdawało — warknął Cymeryjczyk. — Na Kroma, jeśli jestem przy zdrowych zmysłach to nie pasuję do tego miasta, bo wszyscy jego mieszkańcy to szaleńcy! Przywlekliśmy się tu z pustyni, umierając z głodu i pragnienia, a tu napotykamy trupa, który próbuje dźgnąć mnie w plecy. Wchodzimy do pałacu, wielkiego i wspaniałego, który sprawia wrażenie opuszczonego. Znajdujemy zastawiony stół, ale żadnych biesiadników. Później widzimy jak cień pożera śpiącego mężczyznę...

Mówiąc przyglądał jej się uważnie i zobaczył, że lekko pobladła.

— No?

— Co „no”? — odparła, najwidoczniej odzyskując panowanie nad sobą.

— Spodziewałem się, że rzucisz się do ucieczki wyjąc jak dzikie zwierzę — odrzekł. — Człowiek, któremu powiedziałem o cieniu tak właśnie zrobił.

Wzruszyła kształtnymi, alabastrowymi ramionami.

— A więc to on tak krzyczał. Cóż, każdego czeka to, co mu pisane i tylko głupiec piszczy jak szczur w pułapce. Kiedy Thog mnie zechce, dopełni się mój czas.

— Kim jest ten Thog? — zapytał podejrzliwie barbarzyńca.

Obrzuciła go przeciągłym, pełnym podziwu spojrzeniem, aż na policzki Natali wypłynął ciemny rumieniec i perłowymi ząbkami przygryzła dolną wargę.

— Usiądźcie na tej otomanie, a opowiem wam — powiedziała. — Ale najpierw powiedzcie mi wasze imiona.

— Ja jestem Conan Cymeryjczyk, a to jest Natała z Brythunii — odrzekł. — Jesteśmy niedobitkami armii rozbitej na granicy Kush. Jednak nie mam ochoty siadać i czekać, aż jakiś cień podkradnie się do mnie od tyłu.

Śmiejąc się perliście usiadła sama, z wystudiowaną gracją wyciągając swe smukłe ciało na otomanie.

— Nie obawiajcie się — poradziła im. — Jeśli Thog was zechce, dostanie was, gdziekolwiek się ukryjecie. Mężczyzna, o którym wspominałeś, który wrzasnął i uciekł — czy nie słyszałeś jak krzyknął po raz ostatni i ucichł? W panice wpadł prosto na to, przed czym uciekał. Nikt nie ujdzie przed swoim przeznaczeniem.

Conan mruknął coś niechętnie, lecz przysiadł na skraju sofy trzymając szablę na kolanach i omiatając komnatę podejrzliwym spojrzeniem. Podwijając nogi pod siebie Natała umościła się przy nim, tuląc się doń zazdrośnie. Mierzyła nieznaną podejrzliwym i niechętnym spojrzeniem. Przy tej olśniewającej piękności czuła się mała i brudna, a ponadto nie uszły jej uwagi namiętne spojrzenia czarnych oczu, jakimi tamta pożerała ogorzałego barbarzyńcę.

— Co to za miasto i jaki zamieszkuje je lud? — dopytywał się Cymeryjczyk.

— Miasto zwie się Xuthal i jest bardzo stare. Zbudowano je wokół oazy, którą założyciele Xuthal znaleźli podczas wędrówki. Przybyli ze wschodu, tak dawno temu, że ich potomkowie nie pamiętają już kiedy.

Chyba nie ma ich tu wielu; pałac wygląda na opustoszały.

— Niewiele; a jednak więcej niż myślisz. Miasto jest jednym wielkim pałacem, bowiem wszystkie budynki stojące w obrębie murów są połączone ze sobą. Mógłbyś godzinami wędrować przez komnaty i nie



ujrzeć nikogo. A innym razem zobaczyłbyś setki mieszkańców.

— Jak to? — spytał zaniepokojony Conan; jak na jego gust jej słowa zbyt szybko zatrały czarami.

— Przez większość czasu ci ludzie są pogrążeni we śnie. Ich sny są dla nich równie ważne — i równie rzeczywiste — co życie na jawie. Słyszeliście o czarnym lotosie? Rośnie w podziemiach tego miasta. Uprawiali go przez długie wieki, aż wyhodowali taką odmianę, której sok miast śmierci sprowadza sny — cudowne, fantastyczne. Na tych snach upływa im życie. Śnią, budzą się, piją, kochają, jedzą i znów śpią. Rzadko kończą coś, co zaczęli; częściej zostawiają to w połowie i znów pogrążają się w drzemkę zesłaną przez czarny lotos. Ten zastawiony stół, jaki znalazłeś — niewątpliwie któryś obudził się, poczuł głód, przygotował sobie posiłek, a potem zapomniał o nim i znów wrócił do swoich snów.

— A skąd biorą jedzenie? — przerwał jej Conan. — Za murami nie dostrzegłem pól ani winnic. Czy w mieście są sady i obory?

Potrząsnęła głową.

— Wytwarzają swoją żywność z prostych substancji. Są wspaniałymi uczonymi, kiedy nie odurza ich kwiat snów. Ich przodkowie byli wielkimi mędrkami, którzy zbudowali to wspaniałe miasto na środku pustyni, i choć oni stali się niewolnikami tego dziwnego nałogu, nie zapomnieli wszystkiego. Czy nie zdziwiły was te światła? Łączą cechy klejnotu i radu. Jeśli potrze się je palcem złączą świecić, a jeśli potrze się w przeciwnym kierunku — zgasną. Jednak to ledwie maleńki przykład ich wiedzy. Wiele jednak zapomnieli. Realne życie niezbyt ich interesuje, wolą przez większość czasu leżeć w podobnym do śmierci śnie.

— Zatem martwy przy bramie... — zaczął Conan.

— Niewątpliwie drzemał. Pogrążeni w lotosowym śnie są jak umarli. Czynności życiowe ulegają zawieszeniu. Nie można wykryć nawet najmniejszego śladu życia. Duch opuszcza ciało i przemierza do woli inne, egzotyczne światy. Mężczyzna przy bramie jest dobrym przykładem na to, jak bardzo oderwani od życia są mieszkańcy miasta. Pilnował bramy, przy której zwyczaj nakazuje trzymać wartę, choć nigdy jeszcze żaden wróg nie przebył pustyni. W innych częściach miasta znajdziecie innych strażników, z reguły śpiących równie mocno jak ten przy wrotach.

Conan przetrwał to przez chwilę.

— Gdzie są teraz mieszkańcy?

— W różnych częściach miasta; leżą na sofach, jedwabnych otomanach, wyścielonych poduszkami alkowach i zasłanych futrami łóżach; a wszystkich okrywa lśniący welon snów.

Conan poczuł lekkie mrowienie między łopatkami. Poczucił się nieswojo na myśl o setkach ludzi leżących w tym ogromnym pałacu i wpatrujących się nieruchomymi, szklistymi oczami w przestrzeń. Nagle przypomniał sobie coś.

— A co to za stwór skradał się przez komnaty i porwał mężczyznę śpiącego na łożu?

Jej alabastrowe ciało zadrżało gwałtownie.

— To był Thog — Odwieczny, bóg Xuthal, mieszkający głęboko pod ziemią. Zawsze tu był. Nikt nie wie, czy przybył wraz z budowniczymi miasta, czy też był tu już, kiedy je zbudowali. Jednak lud Xuthal oddaje mu cześć. Przeważnie śpi w podziemiach miasta, lecz w regularnych odstępach czasu, gdy poczuje głód, budzi się i tajemnymi przejściami wychodzi do mrocznych komnat szukając żeru. Wtedy nikt nie jest bezpieczny.

Natala jęknęła z przerażenia i objęła potężną szyję Conana, jakby opierając się sile próbującej oderwać ją od ogromnego opiekuna.

— Na Kroma! — wykrzyknął osłupiały Cymeryjczyk. — Chcesz powiedzieć, że oni leżą sobie i spokojnie śpią podczas gdy demon grasuje po pałacu?

— On tylko czasem jest głodny — powtórzyła. — Bóg domaga się swoich ofiar. Kiedy byłam dzieckiem, w Stygii, pod rządami kapłanów ludzie nie byli pewni dnia ani godziny. Nikt nie wiedział kiedy mogą go zawlec na ołtarz. Co to za różnica czy kapłan składa bogu ofiarę, czy bóg sam po nią przychodzi?

— Nie takie są zwyczaje mego ludu — warknął Conan — ani ludu Natali. Hyboryjczycy nie składają ofiar z ludzi swemu bogu

— Mitrze, a co do moich ziomków... Na Kroma, chciałbym zobaczyć kapłana, który spróbowałby któregoś z nich zawlec na ołtarz! Z pewnością polałaby się krew, ale nie byłaby to krew Cymeryjczyka!

— Jesteś barbarzyńcą — zaśmiała się Thalís z błyskiem w oku. — Thog to bardzo stary bóg i bardzo krwawy.

— Ci ludzie to głupcy lub bohaterowie — burknął Conan. Leżeć i

śnić idiotyczne sny wiedząc, że mogą się obudzić w jego żołądku!

Roześmiała się.

— Zawsze tak było. Thog pożera ich od niepamiętnych czasów. To także przez niego jest ich dziś kilkuset, gdy dawniej były ich tysiące. Jeszcze kilka pokoleń, a całkowicie wymrą i Thog będzie musiał ruszyć dalej w świat szukać nowego żeru, albo zstąpić w otchłań, z której niegdyś przybył. Oni wiedzą jaki ich czeka los, lecz są fatalistami, niezdolnymi do oporu czy ucieczki. Nikt z obecnie żyjących mieszkańców miasta nie oddalił się od niego choć tak, by je stracić z oczu. O dzień marszu na południe znajduje się jakaś oaza widziałam ją na starych mapach jakie przodkowie kreślili na pergaminie — lecz nikt z Xuthal nie odwiedził jej już od trzech pokoleń, a tym bardziej nie próbował przemierzyć żyznych łąk, jakie według tych map rozpościerają się z nią. Oni są szybko wymierającą rasą, pogrążoną w lotosowych snach, a na jawie raczącą się złocistym winem, które goi rany, przedłuża życie i wlewa nowy ogień w żyły nawet najbardziej znużonego rozpustnika. A jednak kurczowo czepiają się życia i boją się bóstwa, któremu oddają cześć. Widzieliście jak jeden z nich oszalał na wieść o tym, że Thog krąży po pałacu. Widziałam jak wszyscy w mieście wrzeszczeli i rwali sobie włosy z głowy, po czym uciekli za bramę żeby pociągnąć losy i wybrać ofiarę, którą skrępowali i podrzucili Thogowi, aby nasycił swoją żądzę i głód. Gdyby nie to, że wszyscy teraz drzemią, na wieść o jego pojawieniu się umknęliby z wrzaskiem za mury.

Och, Conanie! — błagała histerycznie Natała. Uciekajmy stąd!

— W swoim czasie — mruknął Conan, mierząc palącym spojrzeniem białe ciało Thalís. — A co ty, Stygijka, robisz w tym mieście?

— Przybyłam tu jako młoda dziewczyna — odpowiedziała, wyciągając się na aksamitnej sofie i splatając dłonie na karku. — Nie jestem kobietą z ludu, lecz córką króla, co możesz poznać po mojej skórze, białej tak jak skóra twojej blondyneczki. Zostałam porwana przez zbuntowanego księcia, który z armią kushickich łuczników zapuścił się w pustkowie południa szukając ziemi, na której mógłby założyć swe królestwo. On sam i wszyscy jego ludzie zginęli na pustyni, lecz jeden z nich przed śmiercią wsadził mnie na wielbłąda i szedł wiodąc go za uzdę dopóki nie upadł. Zwierzę poszło dalej, a ja w końcu straciłam przytomność z głodu oraz pragnienia i obudziłam się w tym mieście.

Powiedziano mi, że zauważono mnie z murów wczesnym rankiem, leżącą bez czucia obok martwego wielbłąda. Wyszli, przynieśli mnie i ożywili swoim cudownym złotym winem. Tylko widok dziewczyny mógł ich skłonić do wyjścia poza mury miasta. Oczywiście, bardzo się mną zainteresowali, szczególnie mężczyźni. Ponieważ nie znałam ich języka, nauczyli się mojego. Są bardzo pojętni i szybko się uczą; umieli mówić po stygijsku zanim ja zdążyłam nauczyć się ich mowy. Jednak bardziej interesowali się mną niż językiem. Byłam i jestem jedyną rzeczą dla której mężczyzna z tego miasta na chwilę porzuci swoje lotosowe sny.

Zaśmiała się bezwstydnie, rzucając znaczące spojrzenie Cymeryjczykowi.

— Oczywiście, ich kobiety są o mnie zazdrosne — mówiła dalej. — Są nawet niebrzydkie na swój żółtoskóry sposób, lecz są tak samo rozmarzone i niepewne jak mężczyźni, a ci ostatni lubią mnie nie tylko dla mej urody, lecz i dlatego, że jestem z krwi i kości. Nie jestem snem! Chociaż śniłam lotosowe sny, jestem normalną kobietą mającą zwyczajne uczucia i pragnienia. Te skośnookie kobiety nie mogą się ze mną równać. Właśnie dlatego lepiej byłoby gdybyś poderżnęła tej dziewczynie gardło swoją szablą, zanim obudzą się mężczyźni Xuthal. Oni pochwycą ją i wypróbują w sposób, o jakim nawet jej się nie śniło! Ona jest zbyt delikatna aby znieść to, co ja wycierpiałam. Ja jestem córką Luxuru; nim ukończyłam piętnaście wiosen przeszłam przez świątynie Derketo, bogini mroku, i poznałam jej rytuały. A i tak moje pierwsze lata w Xuthal nie były pasmem rozkoszy! Mieszkańcy Xuthal są w tym o wiele bardziej pomysłowi niż kapłanki Derketo. Żyją tylko dla przyjemności. We śnie czy na jawie, ich życie jest pełne zmysłowych rozkoszy, niepojętych dla zwykłych śmiertelników.

— Przekłęci degeneraci! — prychnął Conan.

— Wszystko zależy od punktu widzenia — uśmiechnęła się leniwie Thalís.

— No, tracimy tylko czas — stwierdził barbarzyńca. Widzę, że nie jest to miejsce dla zwykłego człowieka. Odejdziemy zanim zbudzą się twoi szaleńcy, albo zjawi się Thog, żeby nas pożreć. Myślę, że na pustyni będziemy bezpieczniejsi.

Natala, której krew zastygła w żyłach pod wpływem słów Thalís, ochoczo na to przystała. Słabo mówiła po stygijsku, ale dobrze rozumiała

ten język. Conan wstał podnosząc ją z kanapy.

— Jeśli pokażesz nam najkrótszą drogę do bramy — rzekł zaraz opuścimy to miasto.

Jednak nie odrywał oczu od gładkiego ciała i kształtnych piersi Stygijki.

Zauważyła to i uśmiechnęła się tajemniczo, wstając z otomany z leniwym wdziękiem wielkiego kota.

— Chodźcie za mną — poleciła i poszła przodem, świadoma tego, że barbarzyńca nie odrywa oczu od jej gibkiej kibici i rozkołysanych bioder. Nie poszła drogą, którą przybyli, lecz nim w sercu Conana zbudziły się jakieś podejrzenia, stanęła w rozległej, wykładanej kością słoniową komnacie i wskazała na małą tryskającą na środku fontannę.

— Nie chcesz przemyć sobie twarzy, dziecko? — zapytała Natalę. Jest brudna od kurzu i masz piasek we włosach.

Natala mimowolnie zarumieniła się wyczuwając złośliwość ukrytą w lekko drwiącym głosie Stygijki, lecz usłuchała rady, zastanawiając się ze zgrozą jakie szkody wyrządził pustynny wiatr i słońce jej jasnej cerze — z której słusznie sływały wszystkie kobiety jej ludu. Uklękła przy fontannie, odrzuciła na plecy długie, jasne włosy, zsunęła do pasa tunikę i zaczęła obmywać nie tylko twarz, lecz również białe ramiona i piersi.

— Na Kroma! — marudził Conan. — Kobieta nie przestanie troszczyć się o swoją urodę choćby sam diabeł deptał jej po piętach. Spiesz się, dziewczyno; zanim stracimy z oczu to miasto znów będziesz zakurzona! Thalís, byłbym ci wdzięczny, gdybyś dała nam trochę jedzenia i picia.

Thalís w odpowiedzi przywarła doń całym ciałem, obejmując białym ramieniem jego zbrązowiałe plecy. Czuł dotyk jej nagiego ciała na swoim udzie, a w nozdrzach miał upajający zapach jej falujących włosów.

— Po co masz iść na pustynię? — szepnęła pospiesznie. Zostań tutaj! Nauczę cię wszystkiego o Xuthal. Obronię cię. Będę cię kochała! Jesteś prawdziwym mężczyzną; mam dość tych lunatyków, którzy wzdychają, śnią, budzą się i znów zasypiają. Pragnę gorącej, ziemskiej namiętności. Blask twych płonących oczu sprawia, że serce łomocze mi w piersi, a dotyk twych stalowych mięśni doprowadza mnie do szaleństwa. Zostań tu! Uczynię cię królem Xuthal! Pokażę ci wszystkie tajemnice i tajniki nieziemskich rozkoszy!

Zarzuciła mu ręce na szyję i stanęła na palcach, przylegając doń drżącym, półnagim ciałem. Nad jej ramieniem zobaczył Natalę, która na ten widok zatrzymała się w pół ruchu odgarniając mokre, zmierzwione włosy i szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Zmieszany Cymeryjczyk chrząknął, wywinął się z objęć Thalís i potężnym ramieniem odsunął ją na bok. Stygijka obrzuciła dziewczynę spojrzeniem i uśmiechnęła się zagadkowo, zdając się skinieniem ślicznej główki przytakiwać jakimś swoim tajemniczym myśłem.

Gniewnie wydymając usta i sypiąc skry z oczu Natalia wstała i gwałtownie poprawiła tunikę. Conan zaklął pod nosem. Z natury nie bardziej skłonny do monogamii niż przeciętny awanturnik, miał jednak wrodzone poczucie przyzwoitości, które było najlepszym sprzymierzeńcem Natali.

Thalís nie ponowiła zalotów. Gestem drobnej dłoni nakazawszy by szli za nią, odwróciła się i przeszła przez pokój. Przystanęła przez wiszącym na ścianie gobelinem. Przyglądającemu się jej Conanowi przyszło do głowy, że mogła usłyszeć kroki potwora skradającego się przez mroczne komnaty, i dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Coś usłyszałaś? — zapytał.

— Spójrz na te drzwi — odparła, wyciągając rękę.

Barbarzyńca okręcił się na pięcie, unosząc szablę do ciosu. Ujrzał tylko puste, łukowate przejście. Nagle za plecami usłyszał jakiś szelest i zduszone westchnienie. Błyskawicznie obrócił się. Thalís i Natalia zniknęły. Gobelin falował lekko, jakby przed chwilą odsunięto go od ściany. Gdy Conan rozdziawił usta ze zdumienia, zza ściany dobiegł stłumiony krzyk Brythunki.

## 2.

Kiedy Conan się odwrócił, by na polecenie Thalís spojrzeć na drzwi po drugiej stronie komnaty, Natała stała tuż za nim, obok Stygijki. W tej samej chwili gdy Cymeryjczyk zwrócił się do nich plecami, Thalís z niewiarygodną szybkością położyła dłoń na ustach dziewczyny tłumiąc krzyk, który ta próbowała wydać. Jednocześnie drugą ręką chwyciła Natkę w pól i pchnęła na ścianę, która ustąpiła pod naporem barku Stygijki. Fragment muru na moment odchylił się w głąb i Thalís prześliznęła się ze swą ofiarą przez powstałą szparę nim Conan zdążył obrócić się z powrotem.

Wewnątrz panowała kompletna ciemność. Thalís przystanąła manipulując przy drzwiach — widocznie zasuważąc rygiel — i zdjęła przy tym dłoń z ust Natali, która zaczęła wrzeszczeć ile sił w płucach. W ciemnościach rozległ się szyderczy śmiech Stygijki, jadowity jak zatruty miód.

— Krzycz ile chcesz, mała idiotko. To ci tylko skróci życie.

Słyszając to Natała umilkła i skuliła się, dygocząc.

Czemu to zrobiłaś? — zapytała błagalnie. — Co zamierzasz?

— Mam zamiar zaprowadzić cię kawałek dalej tym korytarzem — odparła Thalís — i zostawić temu, który prędzej czy później po ciebie przyjdzie.

— Ooch! — głos Natali łamał się z przerażenia. — Czemu chcesz mnie skrzywdzić? Nic ci nie zrobiłam!

— Chcę twojego wojownika, a ty stoisz mi na drodze. On mnie pragnie, czytam to w jego oczach. Gdyby nie ty, zgodziłby się zostać tu i być moim królem. Kiedy ciebie nie będzie, zostanie ze mną.

— Raczej poderżnie ci gardło — powiedziała z przekonaniem Natała, znając Conana lepiej niż Thalís.

— Zobaczymy — odparła chłodno Stygijka, pewna swej władzy nad męskimi sercami. — W każdym razie ty i tak nie dowiesz się czy mnie pchnie nożem, czy pocałuje, ponieważ zostaniesz oblubienicą tego, który mieszka w mroku. Chodź!

Na pól oszalała z przerażenia Brythunka walczyła jak dzikie

zwierzę, lecz na nic jej się to nie zdało. Thalís złapała ją z niewiarygodną u kobiety siłą i powlokła korytarzem jak niesforne dziecko. Pamiętając złowieszcze słowa Stygijki, Natalia nie krzyczała; w ciszy było słycać tylko jej zdyszany oddech i cichy, drwiący śmiech Thalís. Nagle dłoń opierającej się Brythunki natrafiła na rękojeść gęsto wysadzanego klejnotami sztyletu, który napastniczka nosiła za pasem. Natalia wyszarpnęła sztylet i dźgnęła na ośle, wkładając w cios wszystkie siły.

Z ust Thalís wyrwał się koci wrzask bólu i wściekłości. Zachwiała się, a gdy rozluźniła chwyt Natalia wyrwała się jej i upadła na kamienną posadzkę. Natychmiast podniosła się i przywarła do ściany korytarza, dysząc i drżąc na całym ciele. Nie widziała Thalís, lecz słyszała jej głos. Stygijka z pewnością nie była martwa. Bluzgała potokiem przekleństw z taką wściekłością i jadem, że Natali krew zastygła w żyłach, a kości zaczęły mięknąć jak wosk.

— Gdzie się podziałaś, mała diablico? — dyszała Thalís. Niech no tylko dostanę cię w ręce!

Od opisów wymyślnych cierpień jakie Thalís zamierzała jej zadać, Natali zrobiło się niedobrze. Język stygijskiej piękności wywołałby rumieniec wstydu na policzkach pierwszej kurtyzany w Akwilonii.

Natala usłyszała jak tamta szuka czegoś w ciemności i nagle rozbłysło światło. Widocznie rozgniewana Stygijka zapomniała o obawie, jaką budził w niej ten korytarz. Światło płynęło z jednego z klejnotów zdobiących ściany Xuthal. Thalís potarła go i stała teraz skąpana w czerwonym blasku; nieco innym od tego, jaki emitowały inne. Jedną ręką przyciskała bok i między jej palcami płynął strumyk krwi. Jednak nie wyglądała na ciężko ranną czy choćby osłabioną, a jej oczy płonęły nienawiścią. Na widok Stygijki skąpanej w tym upiornym blasku i spoglądającej na nią z twarzą wykrzywioną piekielną furją, Natalę opuściły resztki odwagi. Thalís skradała się do niej jak tygrysica, puściwszy zraniony bok i niecierpliwie otrząsając z palców krople krwi. Brythunka przekonała się, że nie wyrządziła większej krzywdy rywalce. Ostrze ześlizgnęło się po wysadzonym klejnotami pasie zadając powierzchowną ranę, która tylko rozwścieczyła Stygijkę.

— Daj mi ten sztylet, idiotko! — zgrzytnęła zębami, podchodząc do kulającej się dziewczyny.

Natala wiedziała, że powinna walczyć o życie póki ma okazję, lecz po



prostu nie mogła zdobyć się na odwagę. Nie miała wojowniczej natury, a ciemność, przemoc i groza położenia odebrały jej zdolność do myślenia i działania. Thalís wyrwała sztylet z jej omdlałych palców i pogardliwie odrzuciła go w mrok.

— Ty mała dziwko! — wycedziła przez zaciśnięte zęby, wymierzając dziewczynie mocny policzek. — Zanim powlokę cię korytarzem i rzucę w paszczę Thoga najpierw sama posmakuję twojej krwi! Ośmieliłaś się pchnąć mnie nożem — zapłacisz za to zuchwalstwo!

Chwyciwszy Brythunkę za włosy, Thalís zawlokła ją w krąg światła. Na wysokości głowy w ścianie tkwił metalowy pierścień, z którego zwisał jedwabny sznur. Jak w okropnym śnie Natała poczuła, że zerwano z niej tunikę, podniesiono ręce i przywiązano przeguby do pierścienia. Naga jak w dniu gdy przysłała na świat, stała z wyciągniętymi w górę ramionami, ledwie końcami palców dotykając ziemi. Wykręciła głowę i zobaczyła jak Thalís zdejmuje ze ściany bat o rękojeści wysadzanej klejnotami. Bicz miał siedem ramion plecionych z jedwabiu — twardszych lecz bardziej giętkich niż rzemień.

Westchnąwszy z satysfakcją, Thalís zamachnęła się i Natała wrzasnęła gdy bicz owinął się wokół jej lędźwi. Wiła się, jęczała i targała pęta wiążące jej przeguby. Tak samo jak Thalís, zapomniała o czającym się w ciemnościach potworze, którego mogły zwabić jej krzyki. Każdy cios wywoływał wrzask bólu. W porównaniu z tym chłosta, jaką otrzymała na shemickim targu niewolników wydawała się niczym. Nie miała pojęcia, że sznur spleciony z jedwabiu może sprawić tyle bólu. Ich okrutna pieśczoła była dotkliwsza niż uderzenia różgą czy rzemieniem. Ze złowrogim świstem przecinały powietrze.

Nagle, gdy Natała obróciła zalaną łzami twarz by błagać o litość, krzyk zamarł jej na wargach. Wyraz cierpienia na jej ślicznej twarzyczce ustąpił miejsca nieopisanemu przerażeniu.

Uderzona tą zmianą Thalís zatrzymała uniesioną do ciosu rękę i obróciła się, zwinnie jak kot. Za późno! Z jej ust wydobył się okropny okrzyk i cofnęła się o krok, zasłaniając się rękami. Natała przez moment widziała białą, przerażoną postać na tle ogromnego, czarnego, niekształtnego cienia; potem białe ciało Stygijki uniosło się w powietrze, cień cofnął się i Natała została sama w kręgu słabego światła, pólżywa ze zgrozy.

Z ciemności dobiegały jakieś odgłosy, dziwne i mrozące krew w żyłach. Słyszała błagalny głos Thalisy, jej zdyszane westchnienia, które nagle przeszły w rozdzierające wrzaski, przerywane histerycznym śmiechem zmieszonym z łkaniem. Powoli krzyki zmieniły się w spazmatyczne spanie i w końcu wszystko ucichło, a w ukrytym przejściu znów zapadła straszliwa cisza.

Omdlała z przerażenia Natała obróciła głowę i ośmieliła się ze strachem spojrzeć tam, gdzie zniknęła Thalisa. Niczego nie dojrzała, lecz czuła czające się wokół niebezpieczeństwo, przekraczające jej zdolność pojmowania. Walczyła z ogarniającą ją falą hysterii. W obliczu niebezpieczeństwa, które — jak mgliście przeczuwała — groziło nie tylko jej ciału ale i duszy, zapomniała o obolałych przegubach i posiniaczonym ciele.

Wyteńczyła wzrok próbując przeniknąć mrok za kręgiem słabego światła, drętwiejąc ze strachu przed tym, co mogła tam ujrzeć. Z jej ust wyrwał się cichy jęk. Z ciemności formował się jakiś stwór. Coś olbrzymiego i niekształtnego wyłaniało się z mroku. W słabym świetle dostrzegła wielki, nieforemny łeb. W końcu pojęła, że to głowa, chociaż niepodobna do głowy żadnego żyjącego stworzenia. Zobaczyła ogromny, żabi pysk, którego rysy rozplływały się jak zjawia widziana w sennym koszmarze. Łypnęły na nią wielkie sadzawki światła, które mogły być ślepiami, i dziewczyna zadrżała widząc odzwierciedlający się w nich ogrom kosmicznej żądy. Nie mogła nic powiedzieć o ciele potwora. Jego sylwetka zdawała się nieustannie pulsować i zmieniać w oczach; a jednak stwór wydawał się być z krwi i kości. Nie był złudzeniem czy snem.

Gdy zaczął się do nie zbliżać nie wiedziała czy idzie, wije się, frunie czy pełźnie. Sposób jego poruszania się był dla niej zupełnie niezrozumiały. Kiedy wyłonił się z cienia nadal nie miała pojęcia z czym ma do czynienia. Blask osadzonego w ścianie klejnotu nie oświetlał go tak, jak oświetliłby każdą zwykłą istotę. Choć wydawało się to niemożliwe, stwór ten zdawał się nie poddawać światłu. Natała nie była w stanie dostrzec żadnych szczegółów jego wyglądu nawet gdy znalazł się tak blisko, że niemal dotykał jej wijącego się ciała. Widziała tylko ogromny, ropuszy pysk. Potwór był rozmazaną, czarną plamą cienia, którego zwykłe światło nie mogło rozproszyć ani rozświetlić.

Dziewczyna doszła do wniosku, że oszalała, ponieważ nie mogła orzec, czy stwór spogląda na nią z dołu, czy też z góry. Nie była w stanie rzec, czy niewyraźny, odrażający pysk wykrzywia się do niej z cienia u jej stóp, czy też spogląda na nią z niezwyklej wysokości. Lecz tak jak wzrok przekonał ją, że czymkolwiek był niemy stwór, to jednak był materialną istotą, tak samo upewnił ją o tym zmysł dotyku. Czarna, mackowata kończyzna przesunęła się po jej ciele i dziewczyna wrzasnęła czując jej dotknięcie na swej nagiej skórze. Nie było ani zimne, ani ciepłe, szorstkie czy delikatne; nie przypominało niczego co kiedykolwiek jej dotknęło, i napełniło ją takim wstydem i lękiem, jakiego nigdy w życiu nie czuła. Cała lubieżność i sprośność wylęgnięta w bagnisku bezdennych otchłani zdawała się zalewać Natalę potwornym morzem plugastwa. W tym momencie zrozumiała, że jakąkolwiek formę życia stanowił ów potwór, z pewnością nie był zwierzęciem.

Zaczęła wrzeszczeć opętańczo, a potwór zaczął ją ciągnąć do siebie, jakby chciał brutalną siłą oderwać ją od pierścienia, gdy nagle nad ich głowami rozległ się przeraźliwy trzask, po czym coś przeleciało w powietrzu i spadło na kamienną podłogę.

### 3.

Kiedy Conan obróciwszy się ujrzał wygładzający się gobelin i usłyszał zduszony krzyk Natali, z wściekłym rykiem rzucił się na ścianę. Z siłą, która zgruchotałaby kości każdemu innemu człowiekowi uderzył barkiem o mur, odzyskał równowagę i zerwał arras z pozornie litej ściany. Oszałały z wściekłości, podniósł szablę jakby chciał przerąbać nią marmur, gdy jakiś dźwięk za plecami sprawił, że odwrócił się tocząc płonąącym spojrzeniem.

Przed nim stało tuzin żółtoskórych mężczyzn w purpurowych tunikach, dzierżących w dłoniach krótkie miecze. Gdy odwrócił się, runęli na niego wznosząc wrogie okrzyki. Nie próbował z nimi pertraktować. Rozwścieczony zniknięciem swojej bogdanki, barbarzyńca postąpił w sposób typowy dla swej rasy.

Wydając ochoczy, krwiożerczy ryk z głębi potężnej gardzieli skoczył na spotkanie wrogom i pierwszy z nich runął na ziemię z rozrąbaną czaszką nim jeszcze znalazł się dość blisko by móc dosięgnąć Cymeryjczyka swym krótkim mieczem. Okręciwszy się zwinnie jak kot, Conan przyjął spadający cios na swoją klingę i ręka trzymając miecz poszybowała w powietrze pryskając deszczem czerwonych kropli. Jednak barbarzyńca nie zatrzymał się ani nie zawahał. Tygrysim skrzętem ciała uniknął ataku dwóch następnych napastników i ostrze jednego z nich, chybiwszy celu, wbiło się aż po rękojeść w pierś drugiego.

Na ten widok Xuthalczycy wydali okrzyk zgrozy, a barbarzyńca zaśmiał się ochryple i odskoczywszy przed spadającym ze świstem ostrzem, ciął nisko powalając następnego przeciwnika. Trysnęła szkarłatna struga krwi i żółtoskóry jęcząc runął z rozciętym brzuchem na podłogę.

Wojownicy Xuthal zawyli jak stado wilków. Nie zaprawieni do walki, byli śmiesznie powolni i niezdarni w porównaniu ze zwinnym jak tygrys barbarzyńcą, który poruszał się z błyskawiczną szybkością możliwą tylko dzięki doskonałemu zgraniu stalowych mięśni z refleksu. Tamci zderzali się i potykali, przeszkadzając sobie wzajemnie; uderzali zbyt wcześnie lub za późno, trafiając w powietrze. On nawet przez chwilę nie

pozostawał w tym samym miejscu; uskakując, okręcając się, schodząc z linii ciosu stanowił dla ich mieczy nieustannie poruszający się cel, podczas gdy jego wygięte ostrze nieprzerwanie śpiewało im pieśń śmierci.

Jednak mimo wszystko wojownikom Xuthal nie brakowało odwagi. Roili się wokół niego wrzeszcząc i siekąc, a z łukowatych drzwi wybiegali następni, obudzeni ze snu niebywałym zgiełkiem.

Krwawiąc z rozciętej skroni, Conan na chwilę oczyścił sobie pole szerokim zamachem ociekającej posoką szabli i rozejrzał się wokół, szukając drogi ucieczki. W tejże chwili dostrzegł, że arras na jednej ze ścian odchyła się, ukazując wąskie schody. Na nich stał mężczyzna w bogatych szatach, ze zdziwieniem mrugającego oczami, jakby dopiero co się obudził i jeszcze nie oprzytomniał. Cymeryjczyk nie wahał się ni chwili.

Jednym tygrysim skokiem przedarł się nietknięty przez zwierający się krąg wrogów i skoczył ku schodom, słysząc za sobą wycie napastników. Trzech napastników zastąpiło mu drogę u stóp marmurowych schodów — wpadł na nich i ciął potężnie. Przez moment cztery ostrza zalśniły w powietrzu jak letnie błyskawice; później grupka rozpadła się i Conan skoczył na schody. Nadbiegający napastnicy potknęli się o trzy ciała leżące na ziemi; jedno leżało twarzą w dół w okropnej kałuży mózgu i krwi, drugie usiłowało dźwignąć się na rękach brocząc czarną posoką z rozrąbanego gardła, a trzecia ofiara, skowycząc jak pies, ścisnęła krwawy kikut, który był ramieniem.

Gdy Conan pomknął po marmurowych schodach mężczyzna na stopniach otrząsnął się ze snu i dobył miecza, który zalśnił zimno w blasku zielonych kamieni. Xuthalczyk pchnął mieczem, kierując ostrze w gardło nadbiegającego barbarzyńcy. Jednak ten w ostatniej chwili uchylił się. Pchnięcie rozcięło tylko skórę na plecach Cymeryjczyka, który natychmiast wyprostował się, z potworną siłą uderzając szablą od dołu, jak rzeźnickim nożem.

Pędził po schodach z impetem, którego nie wytracił wbijając szablę po rękojeść w brzuch przeciwnika. Odbił się od nieszczęśnika, odrzucając go na bok i z trzaskiem uderzył o ścianę. Tamten, rozpruty od podbrzusza aż po mostek, potoczył się po schodach. Wlokące za sobą ohydną płataninę wnętrzości zwłoki runęły na biegnących po schodach

ludzi, zbijając ich z nóg.

Na pół ogłuszony barbarzyńca przez chwilę opierał się o ścianę, mierząc ich spojrzeniem; później pogroziwszy im ociekającą szablą pognął schodami w górę.

Znalazłszy się na górze przystanął tylko na moment by sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Za nim zgraja wyła z taką wściekłością i zgrozą, że Cymeryjczyk zrozumiał, iż na schodach zabił jakąś znamienitą osobę, zapewne króla tego niesamowitego miasta.

Uciekał na oślep, przed siebie. Rozpaczliwie pragnął odnaleźć i oswobodzić Natalę, która — czego był pewny bardzo potrzebowała pomocy; lecz mając za plecami ścigających go wojowników Xuthal mógł tylko uciekać ufając, że szczęście pozwoli mu umknąć i znaleźć dziewczynę. W ciemnych lub mrocznych komnatach szybko stracił orientację, więc nic dziwnego, że w końcu wpadł do sali, do której właśnie wbiegali wrogowie.

Wrzasnęli mściwie i rzucili się na barbarzyńcę, który warknął z obrzydzeniem i obróciwszy się, pognął z powrotem drogą, którą przybył. A przynajmniej tak mu się wydawało. Kiedy jednak wpadł do kolejnej, urządzonej ze szczególnym przepychem komnaty, zrozumiał, że się mylił. Wszystkie pomieszczenia, które przemierzył od kiedy wbiegł na schody, były puste. Ten pokój miał mieszkańca, który zerwał się z krzykiem na widok barbarzyńcy.

Conan ujrzał żółtoskórą kobietę, zupełnie nagą, jeśli nie liczyć wysadzanej drogimi kamieniami biżuterii, patrzącą nań szeroko otwartymi oczami. Tyle zdążył dostrzec nim podniosła rękę i szarpnęła za jedwabny sznur zwisający przy ścianie. W tejże chwili podłoga zapadła się pod nim i nawet jego szybki jak myśl refleks nie zdołał uratować go przed upadkiem w ciemną czeluść, jaka rozwarła się pod jego stopami.

Nie poleciał daleko, chociaż wysokość była wystarczająca aby człowiek o mniej odpornych kościach i ścięgnach połamał sobie nogi.

Spadł na nogi jak kot, podpierając się jedną ręką, a drugą instynktownie łapiąc za rękojeść szabli. Zrywając się z ziemi jak szczyrzący kły ryś, usłyszał znajomy głos. Odgarnąwszy z czoła grzywę zmierzwionych włosów zobaczył białą, nagą Natalę wijącą się w lubieżnym uścisku czarnego, nieforemnego cienia, który mógł się zrodzić

jedynie w najgłębszych otchłaniach piekieł.

Widok tego strasznego potwora mógł zmrozić krew w żyłach Cymeryjczyka. Jednak w przeciwieństwie do Natali Conan poczuł przypływ strasliwej wściekłości. Z oczyma zasnutymi czerwoną mgłą furii ciął potwora szablą. Ten porzucił dziewczynę i odwrócił się do Cymeryjczyka; spadające ostrze świsnęło w powietrzu, przecięło czarny kształt i uderzyło o kamienną podłogę, krzesząc niebieskie skry. Conan stracił równowagę i upadł na kolana; cięcie nie napotkało oporu jakiego oczekiwał. Gdy zerwał się z ziemi, bestia dopadła go.

Piętrzyła się nad nim niczym czarny obłok. Zdawała się omywać go niemal wyczuwalnymi falami, otaczać i pochłaniać. Ostrze jego szabli przecinało ją raz po raz, a sztylet szarpał i kroił; zalewały go strugi jakiejś lepkiej mazi, która musiała być krwią bestii. A jednak furia potwora nie słabła.

Cymeryjczyk nie wiedział czy odcina kończyny stwora, czy też jego tułów, który goi się w oka mgnieniu. Przetaczali się tu i tam w zaciętych zmaganiach i barbarzyńca miał niejasne wrażenie, że walczy nie z jedną, a całym mnóstwem niosących śmierć istot. Stwór zdawał się gryźć, drapać, dusić go i tłuc jednocześnie. Czuł kły i pazury szarpiące mu ciało; owijały go wiotkie, a jednak mocne jak stal macki; a najgorsze z wszystkiego było to, że coś jakby ogon skorpiona, raz po raz spadało mu na ramiona, plecy i piersi, rozdzierając skórę i napełniając rany jadem palącym jak płynny ogień.

Przetoczyli się za krąg światła i Cymeryjczyk walczył teraz w zupełnej ciemności. W pewnej chwili jak zwierzę wbił zęby we wroga i z odrazą poczuł w nich wijące się i śliskie niczym kauczuk, wiotkie ciało.

W zaciętej walce przewalali się po korytarzu, coraz dalej i dalej. Barbarzyńca był zamoczony od ciosów. Ze świstem oddychał przez zaciśnięte zęby. Wysoko nad sobą widział zabi pysk, skąpany w upiornej poświacie, która zdawała się emanować z potwora. Ze zduszonym ni to krzykiem bólu, ni to przekleństwem Cymeryjczyk rzucił się na bestię i zebrawszy wszystkie siły zadał potężne pchnięcie. Ostrze weszło aż po rękojęść gdzieś pod okropną paszczę i dreszcz wstrząsnął ogromnym ciałem, które już niemal wchłonęło Conana. Tytaniczny skurcz targnął bestię, która nagle w opętańczym pośpiechu potoczyła się korytarzem. Conan toczył się wraz z nią, poobijany, potłuczony lecz niewyciężony,

ściskając jak buldog rękojeść szabli, której nie mógł wyjąć, a trzymanym w lewej dłoni sztyletem tnąc i siekąc na kawałki drgające cielsko.

Teraz cały stwór zaczął emanować jakąś upiorną, fosforyczną poświatą; ten blask oślepił Cymeryjczyka. Nagle dygocząca, kłębiąca się masa zaczęła odpływać, uwalniając się od szabli, która pozostała mu w ręce. Ta ręka i ramię zawisły w próżni, a daleko w dole świecące ciało potwora mknęło w otchłań niczym meteor. Oszołomiony Conan uświadomił sobie, że leży na krawędzi głębokiej, owalnej studni, ocembrowanej śliskimi kamieniami. Leżał patrząc jak świecąca kula staje się mniejsza i mniejsza, aż wreszcie znika w ciemnej, lśniącej tafli, która zdała się wznosić na jej spotkanie. Przez chwilę w tej bezdennej otchłani migotały jakieś błędne ogniki; później znikły i Conan leżał spoglądając w czerń absolutnej pustki, z której nie dobiegał żaden dźwięk.



#### 4.

Daremnie szarpiąc jedwabne więzy wrzynające się w jej nadgarstki, Natała próbowała przeniknąć wzrokiem ciemność za kręgiem światła. Język zdawał się przysychać jej do podniebienia. Widziała jak Conan zniknął w tych ciemnościach, szczepiony w śmiertelnej walce z potworem, i jedynymi dźwiękami jakie dochodziły do jej uszu było głośnie sapanie barbarzyńcy, łomot toczących się ciał oraz łoskot zadawanych ciosów. W końcu wszystko ucichło i Natała zawisła w więzach, na pół zemdlona.

Odgłos kroków wyrwał ją z apatii. Ujrzała wyłaniającego się z mroku Conana. Na jego widok odzyskała głos i wydała wrzask, który odbił się echem w wysoko sklepionym tunelu. Trudno było powstrzymać okrzyk zgrozy na widok zmaltretowanego Cymeryjczyka. Przy każdym kroku broczył krwią. Twarz miał podrapaną i posiniaczoną, jakby od uderzeń maczugi. Wargi miał rozbite, a z tuzina ran na głowie sączyła się krew. Uda, łydki i przedramiona miał pocięte głębokimi bruzdami, a całe ciało posiniaczone od uderzeń o kamienną posadzkę. Jednak najbardziej ucierpiały jego ramiona, plecy i mięśnie klatki piersiowej. W tych miejscach ciało było posiniaczone, napuchłe i poszarpane, aż skóra zwisała w luźnych strzępach, jakby sieczono ją drucianym biczem.

— Och, Conanie! — załkała. — Co z tobą?

Brakło mu tchu aby odpowiedzieć, lecz gdy do niej podszedł, jego rozbite wargi wykrzywił ponury uśmiech. Owłosiona pierś, błyszcząca od potu i krwi, unosiła się w ciężkim oddechu. Powoli, z wysiłkiem sięgnął i przeciął jej więzy, po czym zatoczył się po ścianę i oparł o mur, szeroko rozstawiając nogi. Natała podniosła się z podłogi i przywarła do niego, łkając histerycznie.

— Och, Conanie, jesteś śmiertelnie ranny! Co teraz zrobimy?

— No — wysapał — nie można walczyć z demonem Piekieł i wyjść bez uszczerbku!

— Gdzie to jest? — szepnęła. — Zabiłeś go?

— Nie wiem. Runęło w otchłań. Pociąłem to w strzępy, ale nie wiem, czy można to zabić stalą.

— Twoje biedne plecy! — jęczała, załamując ręce.

— Chłostał mnie swoją macką — skrzywił się i zaklął. Cięła jak drut i paliła jak ogień. Jednak najgorszy był ten uścisk — gorszy niż pytona. Założę się, że ani jednej kiszki nie mam na swoim miejscu.

— Co teraz poczniemy? — biadała.

Zerknął w górę. Kłapa zapadni była zamknięta. Z góry nie dobiegał żaden dźwięk.

— Nie możemy wyjść przez sekretne drzwi — mruknął. — W komnacie leży pełno trupów i z pewnością postawili tam straż. Musieli uznać, że mój los jest przypieczętowany gdy wpadłem do lochu, albo nie ośmielili się pójść tu za mną... Wykręć ten kamień ze ściany... Kiedy tu wracałem, namacałem w ścianie wyloty bocznych korytarzy. Pójdziemy pierwszym, na jaki trafimy. Może prowadzić do innego lochu, albo na zewnątrz. Musimy zaryzykować. Nie możemy gnić w tym lochu.

Natala posłuchała go i trzymając małe światełko w lewej ręce, a zakrwawioną szablę w prawej, Conan ruszył korytarzem. Szedł powoli, sztywno i tylko zwierzęca witalność pozwalała mu utrzymać się na nogach. Jego nabiegłe krwią oczy miały błędny wyraz i Natala widziała, że od czasu do czasu bezwiednie oblizuje rozbite wargi. Wiedziała, że okropnie cierpi, lecz z właściwym barbarzyńcy stoicyzmem nie skarży się.

Wreszcie w nikłym świetle ujrzeli czarny otwór i Conan wszedł weń. Natala kurczyła się ze strachu na myśl o tym, co teraz zobaczy, lecz światło ukazało jedynie tunel podobny do tego, który zostawili za sobą.

Nie miała pojęcia jak długo szli zanim wspięli się na długie schody i dotarli do kamiennych drzwi zamkniętych na złoty rygiel.

Zawahała się, zerkając na Conana. Barbarzyńca chwiał się na nogach, a światło w jego dłoni kreśliło chwiejne, fantastyczne figury na ścianach korytarza.

Otwórz drzwi, dziewczyno — mruknął ochryple. Wojownicy Xuthal czekają na nas, a ja ich nie rozczaruję. Na Kroma, to miasto jeszcze nie widziało ofiary, jaką zaraz złożę!

Wiedziała, że jest pół przytomny. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Wyjawszy świecący kamień z jego dłoni odsunęła rygiel i pociągnęła drzwi do siebie. Jej spojrzenie padło na spód kotary ze złotogłowiu. Czując serce w gardle odchyliła ją i wyjrzała ostrożnie. Spoglądała na pustą komnatę, na środku której srebrzyście szemrała

fontanna.

Ciężka dłoń Conana spoczęła na jej nagim ramieniu.

— Odsuń się, dziewczyno — wymamrotał. — Teraz przemówi stal.

— W komnacie nikogo nie ma — odparła. — I jest tu woda...

— Słyszę.

Oblizwał spieczone wargi.

— Napijemy się przed śmiercią.

Wydawało się, że oślepl. Wzięła go za zbryzganą czarnymi plamami rękę i przeprowadziła przez kamienne drzwi. Szła na palcach, w każdej chwili spodziewając się, że do sali wpadną złotoskórzy wojownicy.

— Napij się, a ja będę stał na straży — wymruczał.

— Nie, nie jestem spragniona. Połóż się przy fontannie, a ja przemyję ci rany.

— A co z wojownikami Xuthal?

Co chwila pocierał ręką oczy, jakby chciał zetrzeć z nich mrok.

— Nikogo nie słyszę. Wszędzie panuje cisza.

Z trudem osunął się na posadzkę i zanurzywszy twarz w krystalicznej wodzie pił, jakby miał nigdy nie mieć dość. Kiedy podniósł głowę w jego nabiegłych krwią oczach nie było już szaleństwa i wyciągnął się na marmurowej posadzce tak jak mu kazała, chociaż nie wypuszczał szabli z ręki i wciąż rozglądał się wokół. Obmyła jego poszarpane ciało i owinęła mu najgłębsze rany pasami oddartymi z jedwabnej zasłony. Wzdrygnęła się na widok jego pleców: w miejscach gdzie nie było podrapane, ciało było odbarwione, pstrokate, w sinoczarne i żółte plamy. Zajęta opatrywaniem ran, przez cały czas gorączkowo próbowała znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Jeśli zostaną tutaj, w końcu zostaną odkryci. Nie wiedziała, czy Xuthalczycy przetrząsali pałac szukając ich, czy też z powrotem zapadli w swoje sny.

Skończyła pracę i nagle zamarła. W szparze kotary zasłaniającej alkwę zobaczyła skrawek złotego ciała.

Nic nie mówiąc Conanowi podniosła się i cicho podeszła do kotary, ściskając w ręku sztylet. Serce waliło jej jak młotem gdy ostrożnie odsunęła zasłonę. Na łożu leżała młoda, złotoskóra dziewczyna, naga i pozornie bez życia. Tuż obok posłania stał nefrytowy dzban prawie pełen dziwnego, złocistego płynu. Natalia pojęła, iż był to zapewne eliksir opisywany przez Thalís, zapewniający siły i zdrowie zdegenerowanym

Xuthalczykom. Nachyliła się nad śpiącą i chwyciła dzban, trzymając ostrze wymierzone w pierś dziewczyny. Ta nie obudziła się.

Zdobywszy dzbanek Natała zawahała się, uświadamiając sobie, że bezpieczniej byłoby mieć pewność, że dziewczyna nie zbudzi się i nie podniesie alarmu. Jednak nie mogła zmusić się do wbicia sztyletu Cymeryjczyka w pierś śpiącej i w końcu zasunęła z powrotem kotarę i wróciła do Conana, który leżał tam, gdzie go zostawiła, najwidoczniej tylko półprzytomny.

Nachyliła się i przytknęła mu naczynie do ust. Zaczął pić, najpierw odruchowo, później z nagle obudzonym ożywieniem. Ku jej zdumieniu usiadł i wziął dzbanek z jej rąk. Kiedy na nią spojrzał, jego oczy miały normalny, przytomny wyraz. Jego rysy zdawały się odzyskiwać normalny wygląd, a jego słowa nie były majaczeniem konającego.

— Na Kroma! Skąd to masz?

Wskazała ręką.

— Z tej alkowy, gdzie śpi jakaś żółta hurysa.

Znów zanurzył usta w złocistym płynie.

— Na Kroma! — rzekł z głębokim westchnieniem. — Czuję jak nowe życie i siły krążą jak płynny ogień w moich żyłach! To zaiste prawdziwy eliksir życia!

Wstał podnosząc z podłogi swoją szablę.

— Lepiej wracajmy do tunelu — zaproponowała nerwowo Natała. — Jeśli zostaniemy tu dłużej mogą nas odkryć. Ukryjemy się dopóki nie zagoją się twoje rany i...

— O nie! — przerwał jej. — Nie jesteśmy szcurami, żeby kryć się w ciemnych norach. Opuścimy to diabelskie miasto i niech nikt nie próbuje nas zatrzymać!

— A twoje rany!?! — jęknęła.

— Wcale ich nie czuję — odrzekł. — Może ten likwor dał mi tylko złudzenie siły, lecz przysięgam, że nie czuję ani bólu, ani słabości.

Wiedziony nagłą myślą podszedł do okna, którego do tej pory nie zauważyła. Zerknęła mu przez ramię. Chłodny wietrzyk rozwichrzył jej jasne loki. W górze było ciemne, aksamitne niebo usiane gwiazdami. Wokół rozpościerała się bezkresna pustynia.

— Thalís mówiła, że to miasto jest jednym wielkim pałacem

— powiedział Conan. — Widocznie niektóre komnaty są niczym

baszty na murach. Ta musi być jedną z nich. Przypadkiem dobrze trafiliśmy.

— Co masz na myśli? — spytała, tęsknie spoglądając mu przez ramię.

— Na tym stole z kości słoniowej stoi kryształowy dzban odparł. — Napełnij go wodą i owiąż szyjkę paskiem oddartym z zasłony, żeby było za co chwycić, a ja tymczasem podrę kotarę na pasy.

Usłuchała nie zadając żadnych pytań, a kiedy skończyła zobaczyła, że Cymeryjczyk pospiesznie wiąże linę z długich, mocnych pasów jedwabiu i mocuje jeden jej koniec do nogi potężnego stołu.

— Poszukamy szczęścia na pustyni — rzekł. — Thalís mówiła o oazie o dzień marszu na południe, i o zielonych łąkach za nią. Jeśli dotrzemy do tej oazy zatrzymamy się w niej, dopóki nie zagoją się moje rany. To wino było chyba zaczarowane. Jeszcze przed chwilą był prawie martwy, a teraz wróciły mi siły. Masz, zostało jeszcze tyle jedwabiu, że możesz się trochę okryć.

Natala zapomniała o tym, że jest zupełnie naga. Ten fakt zbytnio jej nie martwił, lecz jej delikatna skóra potrzebowała osłony przed pustynnym słońcem. Gdy owijała swoje gibkie ciało kawałkiem jedwabiu, Conan podszedł do okna i niedbałym ruchem wyłamał miękkie, złote kraty. Później opasał liną biodra Natali, po czym przestrzegając by trzymała się liny obiema rękami wystawił ją za okno i powoli opuścił na ziemię. Gdy tylko rozwiązała pętlę, Conan ściągnął linę i szybko spuścił na niej naczynia z wodą i winem, prosto w ręce Natali. Później na rękach opuścił się w ślad za nimi.

Gdy stanął u jej boku, Natala odetchnęła z ulgą. Znaleźli się u stóp potężnego, przeszło dziesięciometrowego muru, nad głowami mieli blednące gwiazdy, a wokół piaski pustyni. Nie wiedziała jakie jeszcze mogły ich czekać niebezpieczeństwa, lecz jej serce śpiewało z radości, gdyż wydostali się z tego upiornego, niesamowitego miasta.

— Mogą znaleźć linę — mruknął Conan zarzucając cenne dzbany na plecy i krzywiąc się gdy dotknęły jego obolałego ciała. — Może nawet będą nas ścigać, chociaż sądząc po tym, co powiedziała Thalís, wątpię w to. Oto droga na południe rzekł wskazując kierunek zbrązowiałym, muskularnym ramieniem. — Tak więc gdzieś tam znajduje się oaza. Chodź!

Z rzadką u niego czułością wzięwszy dziewczynę za rękę, Conan pomaszerował przez piaski, dostosowując krok do małych kroczków Natali. Nawet nie obejrzał się na uśpione miasto, mającące ponuro za ich plecami.

Natala w końcu zdobyła się na odwagę i zapytała:

— Powiedz mi, Conanie, czy kiedy walczyłeś z potworem i później, kiedy wracałeś korytarzem, widziałeś gdzieś ślad Thalisa?

Potrząsnął głową.

— W tunelu było ciemno, ale nie było tam nikogo.

Zadrżała.

— Dręczyła mnie, lecz mimo to żal mi jej.

— Zgotowali nam gorące powitanie w tym przeklętym mieście

— warknął, lecz zaraz odzyskał swoje ponure poczucie humoru.

— No, założę się, że długo popamiętają naszą wizytę. Z marmurowych kafelków trzeba zetrzeć krew, mózg i flaki, a jeśli ich bóstwo żyje, to jest pokiereszowane gorzej niż ja. Mimo wszystko mieliśmy szczęście; mamy wino i wodę, i spore szanse na dotarcie do zamieszkaney krainy, chociaż ja wyglądam jakby mnie przekręcili przez maszynkę do mięsa, a ty masz obolały...

— To wszystko twoja wina — przerwała mu. — Gdybyś nie patrzył tak długo i namiętnie na tę stygijską kocicę...

— Krom i demony! — zaklął. — Kobieta nie zapomni o zazdrości nawet gdyby oceany zatapiały ziemię. Niech diabli wezmą ich próżność! Czy ja kazałem tej Stygijce, żeby się we mnie zakochała? Mimo wszystko, była tylko kobietą!

# Szmaragdowa toń

*Na zachód, gdzie człowiek nigdy nie bywał,  
okręt za okrętem z dawien dawna pływał.  
Co Skelos napisał, czytaj, jeśliś śmiały,  
gdy trupie ręce togę mu szarpały;  
i płyn za statkami mimo wichrów siły...  
Płyn za statkami, które nie wróciły.*

## 1.

Sancha, niegdyś mieszkanka Kordafy, ziewnęła beztrosko, leniwie przeciągnęła gibkie ciało i ułożyła się wygodnie na lamowanym gronostajami jedwabiu, rozpostartym na górnym pokładzie rufowym karaki. W pełni zdawała sobie sprawę z tego, że załoga dziobu i śródokręcia przygląda się jej z lubieżnym zainteresowaniem, jak również z tego, że krótka jedwabna tunika nie zakrywa powabów jej bujnego ciała. Uśmiechnęła się wyzywająco, gotowa łowić ich znaczące mrugnięcia, zanim oślepi ją słońce, którego złota tarcza właśnie wyłoniła się z morza.

Nagle do jej uszu dotarł jakiś dźwięk, w niczym nie przypominający trzeszczenia wiązań, skrzypienia lin czy plusku fal. Usiadła i spojrzała na nadburcie, przez które — ku jej bezmiernemu, zdziwieniu — gramolił się jakiś mężczyzna. Dziewczyna szeroko otworzyła swe czarne oczy, a jej usta rozchyliły się w zdumionym „O! ”. Intruz był jej zupełnie nieznanym. Strugi wody spływały mu po szerokiej piersi i muskularnych ramionach. Jasnoczerwone, jedwabne bryczesy będące jego jedynym odzieniem były zupełnie przemoczone, tak samo jak szeroki pas ze złotą kłamrą i skórzana pochwa, w której tkwił długi miecz. Stojąc przy relingu, obramowany blaskiem wschodzącego słońca, mężczyzna zdawał się olbrzymim posągim z brązu. Przesunął palcami po ociekającej wodą czarnej grzywie włosów, a w jego niebieskich oczach zapalił się błysk uznania, gdy ich spojrzenie padło na dziewczynę.

— Kim jesteś? — spytała. — Skąd się tu wzięłeś?

Nie odrywając od niej oczu, wskazał za siebie gestem, który objął pół horyzontu.

— Czy jesteś trytonem, że wyłaniasz się z morza? — zapytała, stropiona jego bezceremonialnością, chociaż zdążyła już przywyknąć do pełnych podziwu spojrzeń.

Zanim zdążył odpowiedzieć, o pokład zadudniły szybkie kroki i kapitan statku przeszył intruza gniewnym spojrzeniem, zaciskając dłoń na rękojeści miecza.

— Kimże, do diabła, jesteś? — spytał niezbyt przyjaznym tonem.



— Jestem Conan — odparł tamten z niezmaconym spokojem.

Sancha jeszcze bardziej nastawiła ucha: jeszcze nigdy nie słyszała, by ktoś mówił po zingarańsku z takim dziwnym akcentem.

— Jak się dostałeś na pokład mojego statku? — pytał podejrzliwie kapitan.

— Przyplłynąłem.

— Przyplłynąłeś?! — wykrzyknął pytający ze złością. — Żarty sobie ze mnie stroisz, psie? Jesteśmy daleko od lądu. Skąd przybywasz?

Conan wskazał muskularnym, opalonym ramieniem na wschód, gdzie nad horyzontem stała oślepiająca, złocista poświata wyłaniającego się słońca.

— Przybywam z Wysp.

— Ach tak! — kapitan spojrzał nań z rosnącym zainteresowaniem. Jego czarne brwi zmarszczyły się gniewnie, a cienkie wargi wykrzywił nieprzyjemny grymas. — A więc jesteś jednym z tych barachańskich psów.

Conan uśmiechnął się.

— Wiesz, kim jestem? — dopytywał się kapitan.

— Ten statek to „Wastrel”, zatem ty musisz być Zaporavo.

— Tak!

To, że przybysz słyszał o nim, mile polectało próżność Zaporavo. Był mężczyzną, równie wysokim jak Conan, chociaż znacznie szczuplejszym. Jego okolona stalowym hełmem twarz była smagła i posępna. Ze względu na ostre rysy załoga nazywała go Jastrzębiem. Miał na sobie świetną zbroję i kosztowne szaty skrojone na modłę zingarańską. Jego dłoń zawsze spoczywała w pobliżu rękojeści miecza.

W spojrzeniu, jakim mierzył Conana, nie było cienia sympatii. Zingarańscy renegaci i wyjęci spod prawa rabusie, od których roły się Wyspy Baracha i południowe brzegi Zingary, nie pałali do siebie sympatią. Barachańscy rabusie byli przeważnie marynarzami z Argos, chociaż można było wśród nich spotkać również inne nacje. Napadali na statki handlowe i nadbrzeżne miasta Zingary tak samo jak zingarańscy bukanierzy, chociaż ci dodawali swemu zajęciu splendoru, nazywając się korsarzami i uważając Barachańczyków za piratów. Nie oni pierwsi i nie ostatni próbowali nadać piękną nazwę zwykłemu rozbojowi.

Niektóre z tych myśli przeleciały Zaporavo przez głowę, gdy stał,

bawiąc się rękojeścią miecza i mierząc ostrym spojrzeniem nieproszonego gościa. Conan niczym nie zdradzał swoich uczuć. Stał z rękoma założonymi na piersiach i uśmiechał się z niezmaconym spokojem, jakby znajdował się na pokładzie swojego statku.

— Co tu robisz? — spytał nagle kapitan.

— Zeszłej nocy musiałem opuścić moich przyjaciół w Tortadze — odparł Conan. — Odpłynąłem przeciekającą łódką; przez całą noc wiosłowałem i wylewałem wodę. Tuż po wschodzie słońca zobaczyłem maszty twojego statku i zostawiłem tę nędzną krypkę własnemu losowi; skoczyłem do wody i popłynąłem.

— W tych wodach są rekiny — mruknął Zaporavo i poczuł irytację, gdy Conan w odpowiedzi wzruszył potężnymi ramionami. Kapitan rzucił okiem na śródokręcie i dostrzegł dziesiątki zwróconych ku nim twarzy. Na jedno jego słowo marynarze przetoczyliby się przez pokład niczym stalowy walec, miażdżąc nawet tak groźnego przeciwnika, jakim zdawał się być przybysz.

— Czemu miałbym zabierać na pokład każdego obdartego przybłędę, który wynurzy się z morza? — warknął Zaporavo, a jego mina i gest były bardziej obraźliwe niż słowa.

— Na statku zawsze przyda się jeszcze jeden dobry marynarz — odparł tamten bez urazy.

Zaporavo zmarszczył brwi, wiedząc, że to prawda. Zawahał się i w ten sposób stracił statek, swoją pozycję kapitana, dziewczynę i życie. Jednak, rzecz jasna, nie mógł zająrzeć w przyszłość i Conan był dla niego tylko zwykłym rozbitkiem wyrzuconym przez fale. Wprawdzie ten przybysz nie podobał mu się, jednak niczym go nie sprowokował. Jego zachowanie nie dawało powodu do obrazy, chociaż jak na gust Zaporavo był nazbyt pewny siebie.

— Zapracujesz na swoje utrzymanie — warknął Jastrząb. — Złaż na pokład. I pamiętaj, że na tym statku moja wola jest jedynym prawem.

Wargi Conana rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Bez wahania, ale i bez pośpiechu odwrócił się i zszedł na śródokręcie. Nie spojrział więcej na Sanchę, która bacznie przysłuchiwała się całej rozmowie.

Gdy Conan zszedł na dół, załoga otoczyła go ciasnym pierścieniem; półnaczy Zingaranie w krzykliwych strojach poplamionych smołą, błyskający złotymi kolczykami i klejnotami pokrywającymi rękojeści

tkwiących w pochwach sztyletów. Niecierpliwie czekali na uświęconą tradycją zabawę powitania nowego kamrata. Miało to zadecydować nie tylko o jego losie, ale i o przyszłej pozycji wśród załogi. Stojący na górnym pokładzie Zaporavo już widocznie zapomniał o istnieniu przybysza, ale Sancha patrzyła w pełnym napięcia oczekiwaniu. Dobrze znała te zabawy i wiedziała, że zawsze są brutalne i często krwawe.

Jednak jej wiedza była znikoma w porównaniu z doświadczeniem Conana. Ten uśmiechnął się lekko, gdy zszedł na śródokręcie i ujrzał otaczający go tłum groźnych postaci. Nie okazując cienia strachu, zmierzył ich nieprzeniknionym spojrzeniem. W tych sprawach obowiązywał pewien niepisany kodeks. Gdyby zaatakował kapitana, cała załoga skoczyłaby mu do gardła, ale teraz czekała go walka z jednym tylko przeciwnikiem.

Człowiek, którego do tego wybrali, wysunął się naprzód — żyłasty zabijaka z głową obwiązaną czerwoną szarfą niczym turbanem. Mężczyzna ten miał wystający, chudy podbródek i niewiarygodnie brzydką, poznaczoną bliznami twarz. Każde jego spojrzenie i gest były obraźliwe i wyzywające. Sposób, w jaki zamierzał sprowokować bójkę, był równie prymitywny i nieokrzesany, jak on sam.

— Z Wysp Baracha, co? — parsknął. — Tam psy udają ludzi. My z Bractwa plujemy na nich — o tak!

Plunął Conanowi w twarz i chwycił za miecz.

Ruchy Barachańczyka były zbyt szybkie, aby je pochwycić wzrokiem. Jego ogromna pięść ze straszliwą siłą uderzyła w szczękę przeciwnika, który wyleciał w powietrze i spadł jak zmięty łachman przy relingu.

Conan odwrócił się do pozostałych. W jego zachowaniu nie dostrzegli żadnej zmiany; tylko w oczach zapalił mu się ponury błysk. Jednak zabawa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Marynarze podnieśli swego towarzysza: złamana szczęka opadła mu na piersi, a głowa odchyliła się pod nienaturalnym kątem.

— Na Mitrę, ma złamany kark! — zakrzyknął jeden z piratów.

— Wy, korsarze, macie słabe kości — zaśmiał się Conan. — Na Wyspach Baracha nie zwracamy uwagi na takie klapsy. A może któryś z was chce spróbować się ze mną na miecze? Nie? No to wszystko w porządku i jesteśmy przyjaciółmi, no nie?

Zgodny chór głosów zapewnił go, że to prawda. Krzepkie ręce przerzuciły trupa przez burtę i tuzin płetw natychmiast przeciął wodę, zmierzając ku miejscu, gdzie zatoneły zwłoki. Conan roześmiał się i wyprężył potężne ramiona, przeciągając się leniwie jak wielki kot. Jego spojrzenie pobiegło ku górnemu pokładowi. Sancha przechyliła się przez reling; pełne wargi miała rozchylone, a w oczach wyraźne zainteresowanie. Świecące za jej plecami słońce prześwietlało jej cienką tunikę, ukazując kontury gibkiego ciała. Nagle pojawił się przy niej groźny cień Zaporavo i ciężka ręka objęła władczy gestem smukłe ramiona dziewczyny. W spojrzeniu, jakim kapitan zmierzył stojącego na śródkręciu przybysza, była wyraźna groźba i ostrzeżenie; Conan odpowiedział uśmiechem, jakby śmiał się z jakiegoś sobie tylko znanego żartu.

Zaporavo popełnił błąd, jaki popełnia wielu tyranów: odizolowany w ponurej wspaniałości górnego pokładu nie docenił swego przeciwnika. Miał okazję zabić Conana i stracił ją pogrążony w swych posępnych rozmyśleniach. Nie był w stanie wyobrazić sobie, że któryś z tych psów na dolnym pokładzie mógłby stanowić dla niego jakieś zagrożenie. Od tak dawna był kapitanem i pokonał tylu wrogów, że podświadomie uznał, iż jest ponad zakusy ewentualnych rywali.

Conan rzeczywiście niczym go nie prowokował. Zbratał się z załogą, żył i bawił się razem z nimi. Okazał się doświadczonego marynarzem i najsilniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek widzieli. Pracował za trzech i zawsze był pierwszy do każdej ciężkiej czy niebezpiecznej roboty. Towarzysze zaczęli na nim polegać. On nigdy się z nimi nie kłócił, a oni starali się z nim nie spierać. Grał z nimi w kości; postawił swój pas i pochwę na miecz, wygrał ich oręż i pieniądze, po czym oddał im wszystko ze śmiechem. Załoga instynktownie uważała go za przywódcę forkasztelu. Nie spieszył się ze zwierzeniami i nie wyjaśnił, dlaczego musiał uciekać z Wysp Baracha, jednak świadomość tego, że był zdolny do czynów tak krwawych, że wykluczyły go z szeregów pirackiego bractwa, zwięźszyła tylko respekt, jakim darzyli go nowi towarzysze. Wobec Zaporavo i jego oficerów zachowywał się niezwykle uprzejmie, nigdy nie był bezczelny czy służalczy.

Nawet najmniej rozgarnięty korsarz musiał dostrzec różnicę między małomównym, szorstkim kapitanem a piratem, który śmiał się często i

głośno, znał wesołe ballady w kilku językach, złopał piwsko jak smok i nigdy nie myślał o jutrze.

Gdyby Zaporavo wiedział, że chociaż nieświadomie, jednak porównywano go ze zwykłym marynarzem z forkasztelu, zaniemówiłby z gniewu i zdumienia. Jednak był zbyt pogrążony w swoich rozważaniach, które w miarę upływu lat stawały się coraz bardziej mroczne i ponure, w dziwnych snach o wielkości i myślach o dziewczynie, z której posiadania czerpał tyleż przyjemności, ile goryczy — jak zresztą ze wszystkich swoich przyjemności. Ona zaś coraz częściej spoglądała na czarnowłosego giganta, który przewyższał swoich towarzyszy w pracy i w zabawie. Nigdy nie odezwał się do niej nawet słowem, ale trudno było nie zrozumieć wymowy jego spojrzeń. Dziewczyna zastanawiała się, czy odważy się na ryzykowaną grę kokietowania przystojnego marynarza.

Wprawdzie od czasów, gdy pędziła dni w pałacach Kordafy, nie upłynęło tak wiele czasu, ale zdawało jej się, że ocean wydarzeń dzieli ją od życia, jakie wiodła, zanim Zaporavo uniósł ją wrzeszczącą z płonącej karaweli, którą płądrowała jego zgraja. Ukochana i rozpieszczana córka księcia Kordafy dowiedziała się, jak to jest być zabawką bukaniera. Ponieważ była na tyle giętka, by się nagiąć i nie złamać, przeżyła to, co zabiło wiele innych kobiet, a będąc młodą i pełną życia, zdołała nawet znaleźć odrobinę przyjemności w tej egzystencji. Było to niespokojne, podobne do snu życie, pełne rzezi, pożogi, bitew i ucieczek, a krwawe wizje Zaporavo czyniły je jeszcze bardziej niepewnym. Nikt nigdy nie wiedział, co zamierza kapitan. Już dawno zostawili w tyle oznaczone na mapach akweny i zagłębiali się wciąż dalej w nieznane, puste obszary nadzwyczaj rzadko uczęszczane przez żeglarzy, albowiem od zarania dziejów zapuszczające się tu statki na zawsze znikwały z ludzkich oczu. Wszystkie znane lądy pozostały za nimi i dzień po dniu przed oczami załogi rozciągał się tylko błękitny, pofalowany bezmiar. Nie było tu żadnych widoków na zyski: ani miast do złupienia, ani statków do zdobycia. Ludzie mruczeli, chociaż robili to tak, by nie słyszał ich nieubłagany kapitan, który w ponurym majestacie przemierzał niestrudzenie górny pokład lub ślęczał nad starymi, pożółkłymi mapami albo też czytał księgi o zbutwiałych, rozsypujących się kartach. Czasami opowiadał dziewczynie o zaginionych lądach i legendarnych wyspach

wznoszących się wśród spienionych fal u niezbadanych brzegów, gdzie rogate smoki strzegły skarbów zebranych przez pradawnych królów.

Sancha słuchała go, nie rozumiejąc i obejmując splecionymi rękoma szczupłe kolana, coraz częściej uciekała myślami od swego posepnego pana do smagłego, niebieskookiego olbrzyma, którego śmiech miał siłę morskiego wichru.

I tak, po wielu nużących tygodniach podróży, dostrzegli wreszcie ląd i o świcie zarzucili kotwicę w płytkiej zatoczce. Ujrzeni plażę, podobną do białej obrączki otaczającej bezmiar łagodnych, pokrytych trawą zboczy zasłoniętych wysokimi drzewami. Wiatr przyniósł zapach kwiecica i świeżej roślinności. Sancha klasnęła w dłonie, ciesząc się na myśl o ciekawej wycieczce na ląd. Jednak jej niecierpliwość zmieniła się w przygnębienie, gdy Zaporavo kazał jej zostać na pokładzie, dopóki po nią kogoś nie przyśle. Nigdy nie tłumaczył swoich rozkazów, tak więc nigdy nie знаła jego pobudek, chyba że drzemiący w nim demon kazał mu krzywdzić ją bez powodu.

Tak więc siedziała zgnębiona na górnym pokładzie i patrzyła na łódź płynącą do brzegu przez spokojne wody, które skrzyły się w słońcu jak płynny nefryt. Zobaczyła, jak załoga wysiada na piasek, rozglądając się wokół podejrzliwie i trzymając broń w pogotowiu. Kilku zagłębiło się w kępy drzew okalających plażę. Wśród nich dostrzegła Conana, nieomylnie wyławiając z tłumu jego barczystą, wysoką postać. Ludzie mówili, że nie był cywilizowanym człowiekiem, lecz Cymeryjczykiem, jednym z tych barbarzyńskich górali, którzy zamieszkują nagie wyżyny dalekiej Północy i budzą strach u swych południowych sąsiadów. Dziewczyna wiedziała, że coś w tym musi być: miał w sobie jakąś niezwykłą barbarzyńską witalność, wyróżniającą go od reszty załogi.

Głosy bukanierów odbijały się głośnie echem od brzegu; cisza dodała im odwagi. Rozproszyli się po plaży w poszukiwaniu owoców. Widziała, jak wspinają się na drzewa, i ślina napłynęła jej do ust. Tupnęła drobną stopką i zaklęła z wprawą nabytą podczas przestawiania z nieokrzesanymi kompanami.

Ci na brzegu rzeczywiście znaleźli owoce i obżerali się nimi łapczywie, szczególnie jakąś nieznaną odmianą jabłek o złocistej skórce. Zaporavo nie szukał owoców i nie jadł ich. Kiedy wysłani w głąb lasu zwiadowcy wrócili, nie znajdując żadnych śladów wskazujących na

obecność ludzi czy zwierząt, przez chwilę stał, spoglądając na wyspę, na długie szeregi łagodnych zboczy wznoszących się jedno za drugim. Później, rzuciwszy krótki rozkaz, podciągnął pas i wszedł między drzewa. Jeden z jego zastępców zaprotestował przeciw tej samotnej wyprawie i w nagrodę za swoją troskę otrzymał potężny cios w twarz. Zaporavo miał swoje powody, by iść na rekonesans bez asysty. Chciał się przekonać, czy wyspa jest istotnie tą, o której Skelos w swojej księdze pisał, że wedle bezimiennych mędrców dziwne potwory strzegą na niej lochów pełnych pokrytego hieroglifami złota. Nie miał zamiaru dzielić się swymi domysłami — jeżeli były trafne — z kimkolwiek, a szczególnie ze swoją załogą.

Sancha, pilnie obserwująca go z pokładu, widziała, jak Zaporavo znika w gąszczu. Po chwili zobaczyła, że Conan odwraca się i obrzuciwszy uważnym spojrzeniem rozproszonych po plaży piratów rusza szybkim krokiem w ślad za kapitanem.

Sancha poczuła ukłucie ciekawości. Spodziewała się, że obaj mężczyźni znów się pojawią na brzegu, ale tak się nie stało. Marynarze wałęsali się tu i tam; kilku poszło w głąb wyspy. Wielu ułożyło się w cieniu i zapadło w sen. Czas płynął i dziewczyna zaczęła się niespokojnie wiercić. Słońce przygrzewało coraz mocniej mimo baldachimu rozpiętego nad pokładem. Było gorąco, cicho i sennie, gdy tymczasem kilkadziesiąt jardów dalej, za pasem płytkiej, błękitnej wody wabił ją chłodny cień okolonej drzewami plaży i zielonej gęstwiny. Poza tym nie dawało jej spokoju dziwne zachowanie Zaporavo i Conana.

Dobrze wiedziała, jakiej kary za nieposłuszeństwo może oczekiwać od swojego bezlitosnego pana, dlatego też wahała się długo. W końcu jednak zdecydowała, że dla wyjaśnienia zagadki warto nawet narazić się na bicie i niezwłocznie zrzuciła miękkie, skórzane sandały oraz cienką tunikę, stając na pokładzie naga jak w dniu narodzin. Przeszła przez reling i spuściwszy się po łańcuchu kotwicznym weszła do wody i popłynęła do brzegu. Przez chwilę stała na plaży, drepcząc w ciepłym, łaskoczącym w stopy piasku i rozglądając się dokoła. Dostrzegła tylko kilku marynarzy i to dość daleko od miejsca, gdzie stała. Wielu z nich spało pod drzewami, wciąż ściskając w rękach nie dojedzone, złociste owoce. Sancha przelotnie zastanowiła się, dlaczego sen zmorzył ich o tak wczesnej porze.

Nikt jej nie zatrzymywał, gdy przekroczyła biały pas piasku i weszła w cień lasu. Zaraz też przekonała się, że drzewa rosły tu nieregularnymi kępami, a między nimi rozciągały się ginące w dali stoki zielonych pagórków. W miarę jak podążała w głąb wyspy w ślad za Zaporavo, przed jej oczarowanym wzrokiem rozpościerały się wciąż nowe i nowe widoki: łagodne zbocza pokryte zieloną murawą i gęsto usiane drzewami. Między stokami leżały głębokie dolinki, również porośnięte trawą. Krajobraz zdawał się wtapiać w siebie: każdy jego element zlewał się z innymi, każdy zdawał się nie mieć kresu. Nad wszystkim zalegała senna cisza, jakby czar rzucony na całą wyspę.

Nagle Sancha wyszła na niewielką polankę otoczoną wysokimi drzewami i natychmiast wróciła do rzeczywistości na widok tego, co ujrzała na zdeptanej i zbroczonej krwią murawie. Wydała mimowolny okrzyk zgrozy i cofnęła się o krok, drżąc z przerażenia. Po chwili podeszła bliżej, patrząc szeroko otwartymi oczami.

Na trawie leżał Zaporavo z głęboką raną w piersi, spoglądając w niebo szklistymi oczami. Miecz wypadł mu z pozbawionej czucia dłoni. Jastrząb zakończył swój ostatni lot.

Sancha patrzyła na trupa swego pana nie bez pewnego wzruszenia. Wprawdzie nie miała powodu, by go kochać, jednak czuła to, co odczuwałaby każda dziewczyna, widząc zwłoki tego, który pierwszy ją posiadł. Nie płakała i nie miała na to ochoty, jednak zadrżała i serce podeszło jej do gardła — z trudem oparła się ogarniającej ją panice.

Rozejrzała się, szukając człowieka, którego spodziewała się tu ujrzeć. Nie dostrzegła niczego prócz kręgu grubych pni i widocznych za nimi zboczy. Czyżby zabójca powlókł się dalej, śmiertelnie raniony w starciu? Nie spostrzegła żadnych śladów krwi.

Zdziwiona, spojrzała między otaczające ją drzewa i zdrętwiała pochwywszy uchem cichy szmer wśród gęstego listowia. Niepewnie ruszyła ku drzewom, zaglądając w cień rzucany przez ich gęste korony.

— Conan? — zawołała trwożliwie. Jej głos zabrzmiał dziwnie słabo wśród zalegającej wokół ciszy.

Nie słysząc odpowiedzi, poczuła, że uginają się pod nią nogi i strach ściska ją za gardło.

— Conanie! — krzyknęła rozpaczliwie. — To ja... Sancha! Gdzie jesteś? Proszę cię, Conanie...



Nagle umilkła i szeroko otworzyła oczy z przerażenia. Jej pełne wargi rozchyliły się w nieartykułowanym okrzyku.. Sparaliżowana lękiem nie była w stanie uczynić nawet kroku, mimo że rozpaczliwie pragnęła uciec jak najdalej z tego okropnego miejsca. Zielone listowie stłumiło jej bełkotliwy krzyk.

## 2.

Kiedy Conan zobaczył, jak Zaporavo rusza samotnie w głąb wyspy, zrozumiał, że nadeszła chwila, na którą czekał. Cymeryjczyk nie jadł złocistych owoców i nie uczestniczył w rubasznych zabawach swoich towarzyszy: pochłonięty był śledzeniem poczynań kapitana. Przyzwyczajeni do humorów dowódcy piraci nie byli specjalnie zdziwieni tym, że ich kapitan chce samotnie zwiedzać niezbadaną i być może zamieszkaną przez wrogich tubylców wyspę. Zajęci swoimi sprawami nie zauważyli Conana, który cicho jak kot ruszył za Zaporavo.

Conan doceniał wpływ, jaki miał na załogę, ale wiedział, że jeszcze nie wykazał się w bitwie i nie mógł otwarcie wyzwać kapitana na pojedynek. Te nieuczęszczane wody nie dawały mu okazji udowodnienia swoich możliwości wedle prawa korsarzy. Gdyby otwarcie zaatakował kapitana, załoga stanęłaby przeciw niemu jak jeden mąż. Wiedział jednak, że jeśli cichcem zabije Zaporavo, pozbawiona przywódcy załoga nie da się ponieść lojalności dla martwego. W tym wilczym stadzie liczył się tylko ten, kto przeżył.

Tak więc poszedł za Zaporavo z mieczem w dłoni i żądzą krwi w sercu, aż wyszedł na małą polankę otoczoną wysokimi drzewami, między którymi widział zielone zbocza pagórków ciągnących się aż po horyzont. Zaporavo wyczuwając, że jest śledzony, odwrócił się i chwycił za rękojeść miecza.

— Czemu mnie śledzisz, psie? — warknął pirat.

— Czyżbyś oszalał, że o to pytasz? — zaśmiał się Conan, podchodząc do swego chwilowego dowódcy. Na wargach barbarzyńcy pojawił się uśmiech, a w niebieskich oczach zapalił się groźny błysk.

Zaporavo z przekleństwem wyszarpnął miecz z pochwy i szcęknięta stal, gdy Barachańczyk ze świstem opuścił swoje ostrze, atakując zuchwale i nie dbając o osłonę. Zaporavo był weteranem tysiąca potyczek na morzu i lądzie. Nie było człowieka, który miałby większe doświadczenie i umiejętności w sztuce fechtunku. Jednak nigdy jeszcze nie odbijał ciosów zadawanych przez tak mocarne ramiona syna lodowych pustkowi, wychowanego z dala od ostatnich przyczółków

cywilizacji. Musiał zmobilizować całą swoją zręczność, by stawić czoła nieprawdopodobnej szybkości i niewyobrażalnej sile Cymeryjczyka. Conan walczył w sposób zupełnie niekonwencjonalny, kierując się bardziej instynktem niż jakimś przemyślanym planem ataku i obrony. Wyszukane sztuczki techniczne były równie bezużyteczne przeciw jego wściekłym ciosom, co umiejętności bokerskie przy spotkaniu z wygłodzonym tygrysem. Zaporavo walczył jak jeszcze nigdy dotąd, wyężdżając wszystkie siły, by odbić błyszczące ostrze, które raz po raz zmierzało ku jego głowie, jednak w końcu kolejny cios niemal go dosięgnął. Pirat rozpaczliwie zasłonił się mieczem, przyjmując uderzenie na klingę tuż przy rękojeści. Całe ramię zdrętwiało mu od potwornego ciosu i nie zdążył się zastawić przed następnym pchnięciem zadany z taką mocą, że ostrze przebiło kolczugę i zebra jak papier i trafiło w serce. Wargi Zaporavo wykrzywił grymas bólu, lecz posępny kapitan nawet w chwili śmierci pozostał wierny swej naturze. Bez jęku osunął się na zdeptaną murawę, na której krople krwi zabłysły w słońcu niczym małe rubiny.

Conan otarł zbroczonego miecz, uśmiechnął się z nieskrywanym zadowoleniem i przeciągnął się jak wielki kot... lecz nagle zeszywniał i w oczach pojawiło mu się zdumienie. Stał nieruchomo jak posąg, trzymając w dłoni opuszczony miecz. Oderwawszy wzrok od powalonego wroga, spojrzał mimochodem na krąg otaczających go drzew i widoczne za nimi zbocza. Nagle dostrzegł coś dziwnego i niewytłumaczalnego. Za łagodnym, zielonym wierzchołkiem odległego stoku spostrzegł wysoką, czarną postać, niosącą na ramieniu coś białego. Postać zniknęła równie nagle, jak się pojawiła, pozostawiając Cymeryjczyka w głębokim zdumieniu.

Pirat rozejrzał się wokół, spojrzał niepewnie za siebie i zaklął. Był zakłopotany i trochę zaniepokojony — jeśli można tak powiedzieć o kimś, kto posiada stalowe nerwy.

Wśród tego całkiem realnego, chociaż egzotycznego otoczenia zobaczył coś jakby żywcem wziętego z koszmarnego snu. Conan nigdy nie wątpił w swoje zdrowe zmysły i wierzył własnym oczom. Wiedział, że widział coś przedziwnego i niesamowitego; już sam fakt, że jakaś naga, czarna postać biegała po wyspie, niosąc na ramieniu białego jeńca, był dość niezwykły, ale w dodatku postać ta była nienaturalnie wysoka.

Potrząsnąwszy z niedowierzaniem głową, Conan ruszył w kierunku miejsca, gdzie przed chwilą zniknęła zjawia. Nie zastanawiał się, czy postępuje roztropnie; był tak zaciekawiony, że po prostu musiał to zrobić. Przemierzył kilka kolejnych pagórków, porośniętych bujną trawą i kępami drzew. Cały czas podążał w górę, chociaż z monotonną regularnością wchodził na łagodne zbocza i schodził z nich. Szeregi łagodnych wzgórz zdawały się nie mieć końca. Jednak wreszcie osiągnął punkt, który — jak sądził — był najwyższym wzniesieniem na wyspie, i stanął jak wryty, widząc zielone, błyszczące mury i wieże, które zanim dotarł na szczyt wzgórze tak doskonale wtapiały się w krajobraz, że były niewidoczne nawet dla jego orlich oczu.

Zawahał się, odruchowo próbując kciukiem ostrze swego miecza, po czym gnany ciekawością ruszył dalej. Wolno podszedł do wysokiej, pozbawionej drzwi bramy. Wokół nie było nikogo. Zajrzawszy ostrożnie do środka, ujrzał rozległy plac, najwidoczniej dziedziniec, porośnięty trawą i otoczony murem z jakiejś zielonej, półprzezroczystej substancji. W murze zauważył szereg łukowatych przejść. Conan podszedł na palcach do jednego z nich i przeszedłszy na drugą stronę znalazł się na innym, podobnym dziedzińcu. Nad otaczającym go murem dostrzegł dachy dziwnych, podobnych do wież budowli. Jedna z tych wieżyczek przylegała do dziedzińca, na którym stał. Wiodły do niej szerokie schody biegnące przy murze. Wszedł na nie, zastanawiając się, czy to wszystko dzieje się naprawdę, a nie jest tylko wytworem zamroczonej oparami czarnego lotosu wyobraźni.

Na szczycie schodów znalazł wąską półkę zabezpieczoną murkiem czy też raczej rodzaj balkonu. Mógł teraz dobrze przyjrzeć się wieżom, ale niewiele mu to dało. Z niepokojem uświadomił sobie, że te budowle nie zostały zbudowane przez ludzi. Architektura ta cechowała się jakąś symetrią i równowagą, ale była to zwariowana symetria, równowaga obca umysłowi człowieka. Spoglądając z góry, Conan widział całe miasto, twierdzę czy cokolwiek miało to być na tyle, że dostrzegł znaczną liczbę dziedzińców, przeważnie owalnych, otoczonych osobnymi murami i połączonych z innymi otwartymi przejściami i zgrupowanych wokół stojących w środku wież o fantastycznych kształtach.

Odwróciwszy się i spojrzawszy w innym kierunku Conan doznał szoku; błyskawicznie przykucnął za balustradą balkonu, spozierając ze

zdumieniem na rozgrywającą się niżej scenę.

Balkon czy też półka, na której stał, znajdowała się wyżej niż krawędź przeciwległego muru, tak że bez trudu mógł widzieć rozpościerający się za nim, kolejny pokryty murawą dziedziniec. Wewnętrzna płaszczyzna tego muru różniła się od innych tym, że nie była gładka, lecz poznaczona długimi liniami wyżłobionych w niej półek, zastawionych setkami małych przedmiotów, których z tej odległości barbarzyńca nie mógł zidentyfikować.

Jednak w tej chwili nie zainteresowały go. Całą uwagę skupił na grupie postaci, które siedziały wokół sadzawki o ciemnozielonej wodzie, na środku dziedzińca. Istoty te były czarnoskóre i nagie, podobne do ludzi, ale nawet najmniejsza z nich o dwie głowy przewyższała olbrzymiego barbarzyńcę. Giganci byli raczej smukli, ale dobrze zbudowani i oprócz niezwykle wysokiego wzrostu trudno było dopatrzeć się w nich jakichś anomalii. Jednak nawet z tak znacznej odległości Conan dostrzegł diaboliczne rysy ich twarzy.

Wśród nich, nagi i skulony ze strachu, stał młodzik, w którym Cymeryjczyk rozpoznał najmłodszego marynarza z załogi „Łobuza”. Zatem to on był jeńcem, którego niosła na ramieniu dostrzeżona na zбочu postać. Conan nie dostrzegł żadnych śladów walki — żadnych śladów krwi czy ran na smukłych, hebanowych ciałach gigantów. Najwidoczniej chłopak odłączył się od swoich towarzyszy i został porwany przez zaczajonego w głębi łądu czarnego. Conan w myślach nazywał te stworzenia czarnymi z braku lepszego terminu; instynktownie wiedział, że te wysokie, czarnoskóre istoty nie były ludźmi w jego rozumieniu tego słowa.

Z dziedzińca nie dochodził żaden głos. Czarni gestykulowali i kiwali głowami, ale wydawało się, że nie potrafią mówić — a przynajmniej nie głośno. Jeden, przykucnąwszy na piętach przed zatrwożonym chłopcem, trzymał w ręku coś na kształt rurki. Przyłożył ją do warg i prawdopodobnie dmuchnął w nią, chociaż Cymeryjczyk nie usłyszał żadnego dźwięku. Jednak zingarański młodzieniec usłyszał to lub poczuł, bo skulił się jeszcze bardziej. Trząsał się i wił jak w agonii; po chwili kurczowe ruchy jego rąk i nóg stały się bardziej regularne, a potem rytmiczne. Dygotanie przeszło w gwałtowne podrygi, a te w regularne ruchy. Chłopak zaczął tańczyć, niczym kobra zniewolona melodią

płynącą z fletni fakira. W tańcu tym nie było odrobiny życia czy radosnego zapamiętania. Wydawało się, że niedosłyszalna melodia piszczałki dotykała lubieżnymi palcami najgłębszych zakątków duszy chłopca i brutalną torturą wydzierając z nich mimowolne wyznania najskrytszych uczuć. Obsceniczne konwulsje, spazmy żądz — wyznania najtajniejszych pragnień wydarte przemocą; pożądanie bez przyjemności, ból straszliwie złączony z żądzą. Conanowi wydawało się, że jest świadkiem obnażania duszy i wyciągania na światło dzienne wszystkich ludzkich, starannie ukrywanych sekretów.

Spoglądał na to szeroko otwartymi oczyma, zdjęty odrazą i wstrząsany mdłościami. Mimo że z natury równie wolny od wyuzdania jak leśny wilk, zetknął się już z perwersyjnymi sekretami podupadających cywilizacji. Był w miastach Zamory i znał kobiety Shadizaru, Miasta Łajdaków. Jednak tu wyczuwał jakieś potworne zło przewyższające to, czynione przez ludzkich degeneratów — widział tu jakąś wynaturzoną gałąź z Drzewa Życia, która rozwinęła się w kierunku przekraczającym ludzkie możliwości zrozumienia. Nie szokowały go konwulsyjne podrygi i pozy dręczonego chłopaka, lecz potworne wynaturzenie jego dręczycieli, którzy wywlekali na światło dzienne okropne tajemnice drzemiące w niezgłębionych zakamarkach ludzkiej duszy i znajdowali przyjemność w bezwstydnym przyglądaniu się rzeczom, których człowiek nie ogląda nawet w najgorszych koszmarach.

Nagle czarnoskóry dręczyciel odłożył piszczałkę i wstał, spoglądając z wysoka na wijącą się, białą postać. Brutalnie chwyciwszy chłopca za kark i krzyże, gigant obrócił go w powietrzu i wepchnął głową naprzód w zieloną sadzawkę. Conan dostrzegł błysk białego ciała w szmaragdowej wodzie, gdy olbrzym przytrzymał nagiego chłopca pod powierzchnią. Pozostali czarni zaczęli się podnosić i Conan szybko schował się za balustradą balkonu, nie ośmielając się wystawić głowy z obawy, że zostanie wykryty. Po chwili jednak ciekawość przewyciężyła rozwagę i znów zerknął na dół. Czarni właśnie przechodzili na inny dziedziniec. Jeden z nich postawił coś na półce przy przeciwległej ścianie i Conan poznał w nim tego, który torturował chłopaka. Ten czarny był wyższy od innych i nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Nigdzie nie było widać śladu zingarańskiego chłopca. Gigant ruszył za innymi i po chwili Conan zobaczył, jak wszyscy wychodzą z miasta przez bramę, którą on

się tu dostał, i ruszają zielonym zboczem w kierunku, z którego tu przybył. Nie byli uzbrojeni, ale czuł, że zamierzali napaść na jego towarzyszy.

Jednak zanim podąży, by ostrzec niczego nie podejrzewających bukanierów, chciał ustalić, jaki los spotkał chłopca. Żaden dźwięk nie zakłócił panującej wokół ciszy. Pirat był przekonany, że oprócz niego w wieżach i na dziedzińcach nie było nikogo. Spiesznie zszedł schodami, przeszedł przez dziedziniec i przejście w murze na następny podwórzec, który czarni tylko co opuścili. Teraz mógł dobrze przyjrzeć się poznaczonej półkami ścianie. Na wykutych w kamieniu wąskich półkach stały tysiące maleńkich figurek, przeważnie szarego koloru. Te posążki, niewiele większe od ludzkiej dłoni, przedstawiały ludzi i były tak znakomicie zrobione, że Conan mógł rozróżnić charakterystyczne cechy różnych ras ludzkich: typowe postacie zingarańskich, argijskich, ophirańskich i kuszyckich korsarzy. Ci ostatni mieli czarną barwę — taką, jaką miała ich skóra. Patrząc na nieruchome, nieme posążki, Conan czuł dziwny niepokój spowodowany ich ludzającym podobieństwem do żywych ludzi. Dotknął jednego, ale nie zdołał stwierdzić, z jakiego materiału zostały wykonane. W dotyku figurka zdawała się być zrobiona z wysuszonej kości — jednak barbarzyńca nie był w stanie uwierzyć, że gdzieś na wyspie mogą się znajdować tak obfite zasoby suszonych kości, by czarni mogli używać ich tak beztrudno.

Zauważył, że posążki przedstawiające znane mu rasy ludzkie znajdują się na najwyższych półkach. Na niższych stały figurki, których rysy były mu zupełnie obce. Może prezentowały wybryki wyobraźni artysty, a może przedstawiciele dawno wymarłych i zapomnianych ludów.

Niecierpliwie potrząsnąwszy głową, Conan ruszył do sadzawki. Owalny dziedziniec nie dawał żadnych możliwości ukrycia czegokolwiek; skoro nigdzie nie było widać ciała chłopca, musiało ono leżeć na dnie sadzawki.

Podchodząc do szmaragdowozielonej toni, wpatrywał się w jej błyszczącą powierzchnię. Zdało mu się, że patrzy przez grube, zielone szkło — przejrzyste, lecz dziwnie łudzące. Sadzawka była niewielka i okrągła jak studnia, otoczona kręgiem zielonego nefrytu. Spoglądając w toń, dostrzegł dno — nie potrafił powiedzieć, jak głęboko w dole. Jednak

sadzawka zdawała się być niezwykle głęboka — patrząc w dół, poczuł lekki zawrót głowy, jakby spoglądał w przepaść. Zdumiało go to, że mógł dostrzec dno, jednak widział je wyraźnie — niemożliwie odległe, niewyraźne, łądzące, lecz widoczne. Chwilami wydawało mu się, że w szmaragdowej głębi dostrzega słabe błyski, ale nie miał co do tego pewności. Był jednak pewien, że oprócz wody w sadzawce nie ma niczego. Zatem gdzie, na Kroma, podział się chłopiec, którego na jego oczach brutalnie utopiono w sadzawce? Conan wyprostował się, mocniej ujął miecz i jeszcze raz rozejrzał się po dziedzińcu. Nagle spojrzenie jego padło na jedną z najwyższych półek. Zimny pot wystąpił mu na czoło, gdy przypomniał sobie, że właśnie tam czarny gigant kładł coś przed odejściem.

Niechętnie, lecz jak przyciągany magnetyczną siłą, pirat podszedł do błyszczącej ściany. Obezwładniony podejrzeniem zbyt potwornym, by je wyrazić słowami, spojrzał na figurkę stojącą na końcu szeregu. Straszliwe podobieństwo mówiło samo za siebie. Skamieniały, nieruchomy i skarłały stał przed nim zingarański chłopiec, patrząc przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Conan wzdrygnął się, wstrząśnięty do głębi. Uzbrojona w miecz ręka opadła mu bezwładnie, rozdziawił usta i wybałuszył oczy, oszołomiony odkryciem zbyt strasznym, by mógł je ogarnąć ludzki umysł.

Jednak rzecz nie ulegała wątpliwości: oto odkrył tajemnicę małych posążków, chociaż w ten sposób stanął przed jeszcze większą i daleko bardziej złowieszczą zagadką ich istnienia.



### III

Conan nie miał pojęcia, jak długo stał zatopiony w ponurych rozważaniach. Z zadumy wytrącił go czyjś głos: kobiecy głos krzyczący coraz głośniej i głośniej, jakby jego właścicielka coraz bardziej się zbliżała. Cymeryjczyk rozpoznał ten głos i natychmiast otrząsnął się z bezwładu. Jednym susem wskoczył na najwyższą półkę i przywarł do ściany, kopnięciem rozrzucając stojące tam posążki, aby uzyskać oparcie dla stóp. Następny podskok, chwyt i już był na szczycie muru. Spojrzał na drugą stronę — zobaczył zieloną łąkę otaczającą miasto.

Przez trawiastą równinę kroczył czarny gigant, niosąc pod pachą wijącą się brankę jak ojciec niosący niegrzeczne dziecko. To była Sancha: czarne pukle włosów rozsypały się jej w nieładzie, a mleczna skóra kontrastowała z hebanowocząrnym ciałem prześladowcy. Ten nie zwracał uwagi na jej szamotanie i krzyki, zmierzając prosto ku bramie.

Kiedy w nią wszedł, Conan śmiało zeskoczył z muru i skoczył w przejście wiodące na następny dziedziniec. Przyczaiwszy się tam, zobaczył, jak gigant wchodzi na podwórzec z sadzawką, niosąc wyrrywającą się rozpaczliwie brankę. Mógł teraz bliżej przyjrzeć się czarnoskóremu. Z bliska wspaniała symetria ciała i kończyn robiła większe wrażenie. Pod hebanową skórą grały węzły masywnych, grubych mięśni i Conan nie wątpił, że olbrzym mógłby rozerwać na sztuki każdego zwykłego śmiertelnika. Paznokcie czarnego stanowiły groźną broń, bowiem były długie i ostre jak pazury dzikiej bestii. Twarz olbrzyma była nieprzenikniona niczym maska wyrzeźbiona z hebanu, a oczy złotobrazowe, nieruchome i błyszczące — jednak nie była to twarz człowieka. Każdy jej rys znamionował zło — i to zło przekraczające ludzkie pojęcie. Ten stwór nie był człowiekiem, nie mógł nim być; był wytworem najprzepastniejszych otchłani stworzenia — wybrykiem ewolucji.

Gigant cisnął Sanchę na murawę, do której przywarła, płacząc z bólu i przerażenia. Rozejrzał się wokół, jakby czegoś szukając, i jego złotobrazowe oczy zwęziły się, gdy ich spojrzenie padło na strącone z półki i powywracane posążki. Pochylił się, chwycił dziewczynę za kark i

udo i ruszył wolno w kierunku sadzawki. Conan cicho wyszedł z przejścia i pomknął jak wiatr przez dziedziniec.

Gigant odwrócił się i w jego oczach zapalił się groźny błysk, gdy ujrzał pędzącego ku niemu mściciela. Zaskoczony, rozluźnił chwyt i Sancha zdołała wyrwać się z okrutnego uścisku. Uzbrojone w pazury dłonie wyciągnęły się ku barbarzyńcy, ale Conan uchylił się zręcznie i wbił miecz w pachwinę giganta. Czarny runął jak zrąbany dąb, brocząc krwią, i w następnej chwili Conan niespodzianie znalazł się w obezwładniającym uścisku oszalałej z przerażenia i bliskiej hysterii dziewczyny.

Cymeryjczyk zaklął i wyrwał się z objęć, ale jego wróg już nie żył: żółtobrazowe oczy zamglily się, a hebanowe ciało przestało się prężyć.

— Och, Conanie — załkała Sancha, ponownie doń przywierając — co z nami będzie? Co to za potwory? Och, z pewnością jesteśmy w piekle i to był sam diabeł...

— Wobec tego piekła będzie potrzebny nowy diabeł — uśmiechnął się Barachańczyk. — Ale jak zdołał cię schwytać? Czyżby zdobyli okręt?

— Tego nie wiem — odparła, chcąc otrzeć łzy ręką tuniki i stwierdzając, że nie ma jej na sobie. — Zeszłam na brzeg. Widziałam, jak poszedłeś za Zaporavo i ruszyłam za wami. Znalazłam Zaporavo. Czy... czy to ty go..?

— A któżby? — mruknął. — O co dalej?

— Zobaczyłam, że coś się rusza wśród drzew — rzekła z drżeniem. — Myślałam, że to ty. Zawołałam... a potem ujrzałam to... to czarne stworzenie siedzące jak małpa wśród gałęzi, śmiejące się do mnie szyderczo. To było niczym zły sen: nie byłam w stanie zrobić kroku. Mogłam tylko wrzeszczeć. Wtedy to spuściło się z drzewa i złapało mnie... Och, to było okropne!

Ukryła twarz w dłoniach, znów wstrząśnięta na samo wspomnienie tej okropnej chwili.

— Cóż, musimy się stąd wydostać — warknął, chwytając ją za rękę. — Chodź, musimy ostrzec załogę...

— Kiedy wchodziłam do lasu większość z nich spała na plaży — powiedziała dziewczyna.

— Spała? — wykrzyknął z niedowierzaniem. — Jak, na siedmiu diabłów, piekielne ognie i potępienie...

— Słuchaj! — przerwała mu dziewczyna, zamierając ze strachu jak biały posąg uosabiający przerażenie.

— Słyszałem! — przerwał jej. — Zduszony krzyk! Zaczekaj tu!

Znów wskoczył na półki i zerknąwszy na drugą stronę muru zaklął tak wściekle, że nawet przyzwyczajona do tego San-cha rozdziawiła usta. Czarni wracali, ale nie z pustymi rękoma. Każdy niósł bezwładne ludzkie ciało; niektórzy nieśli po dwa. Ich jeńcami byli korsarze; wisieli luźno w uścisku potężnych ramion i gdyby nie sporadyczne ruchy rąk i nóg, Conan sądziłby, że są martwi. Byli rozbrojeni, ale nie odarci z szat; jeden z gigantów niósł ich miecze — całe naręczce błyszczącej stali. Od czasu do czasu któryś z marynarzy wydawał słaby okrzyk, jak pijak mówiący coś przez sen.

Conan rozejrzał się wokół, jak schwyty w pułapkę wilk. Z dziedzińca można było wyjść w trzech różnych kierunkach. Wschodnim przejściem odeszli czarni i zapewne przez nie powrócą. On przyszedł przejściem południowym. Za zachodnim ukrywał się poprzednio i nie miał czasu sprawdzić, co się znajduje dalej. Pomimo swej nieznamośności terenu musiał szybko podjąć właściwą decyzję.

Zeskoczył na dół i w gorączkowym pośpiechu poustawiał figurki na swoich miejscach, zaciągnął trupa do sadzawki i wrzucił go w nią. Ciało opadło wolno w dół i patrząc na to, Conan dostrzegł odrażającą przemianę — kurczenie się, kamienienie. Z dreszczem zgrozy odwrócił się pospiesznie, złapał swoją towarzyszkę za rękę i pociągnął ją za sobą w kierunku południowego przejścia. Sancha błagała, by powiedział jej, co się dzieje.

— Zgarnęli załogę — odparł pospiesznie. — Nie mam jeszcze żadnego planu; ukryjemy się gdzieś w pobliżu i zobaczymy, co się stanie. Jeżeli nie zajrzą do sadzawki, mogą nie wykryć naszej obecności.

— Przecież zobaczą krew na trawie!

— Może pomyślą, że rozlał ją jeden z nich — odrzekł. — W każdym razie musimy zaryzykować.

Byli na dziedzińcu, z którego Conan przyglądał się torturowaniu chłopca. Szybko wszedł z dziewczyną po schodach na południowy mur i zmusił ją, by schowała się za balustradą; kiepska to była kryjówka, ale najlepsza, jaką zdołali znaleźć.

Zaledwie zdążyli się ukryć, kiedy czarni weszli na dziedziniec. U

podnóża schodów rozległ się przeraźliwy łoskot i szcęk i Conan zeszywniał, chwytając za rękojeść miecza, ale czarni przeszli za południowo-zachodni mur i po chwili dały się słyszeć głuchoe odgłosy i jęki, gdy zrzucili swych jeńców na murawę. Wargi Sanchy rozchyliły się w histerycznym chichocie, ale Conan szybko zakrył jej usta dłonią, tłumiąc dźwięk, który mógł ich zdradzić. Po chwili usłyszeli na dole tupot wielu nóg, a później znów zapadła cisza. Conan wyjrzał zza balustrady. Dziedziniec był pusty. Czarni ponownie zebrali się wokół sadzawki, siadając na podwiniętych nogach. Zdawali się nie zwracać uwagi na ślady na trawie i obrzeżu sadzawki. Widocznie ślady krwi nie były dla nich czymś niezwykłym. Nie zaglądali też do sadzawki. Byli pogrążeni w jakimś swoim zagadkowym rytuale; najwyższy z nich znów grał na swojej piszczałce, a pozostali słuchali, trwając w bezruchu jak hebanowe posągi.

Wziąwszy Sanchę za rękę, Conan cicho zszedł po schodach, pochylając się nisko, tak by jego głowa nie wystawała ponad mur. Kuląc się, dziewczyna poszła za jego przykładem, spoglądając lekliwie w głąb przejścia, które prowadziło na dziedziniec z sadzawką, chociaż patrząc pod tym kątem, nie widziała ani sadzawki, ani stojących tam postaci. U stóp schodów leżały miecze Zingaran. Szcęk, który słyszeli przed chwilą, był wywołany przez to niedbale rzucone na ziemię żelastwo.

Conan pociągnął Sanchę ku południowo-zachodniemu przejściu. Cicho przemknęli na drugą stronę i wyszli na inny dziedziniec. Tam znaleźli schwytyanych przez gigantów korsarzy. Leżeli bezwładnie na murawie i tylko od czasu do czasu któryś poruszył się niespokojnie lub jęknął. Conan pochylił się nad nimi, a Sancha klęknęła obok, opierając ręce na udach i nachylając się bliżej.

— Co to za słodkawy zapach? — spytała niespokojnie. — Ich oddechy są nim przesycone.

— To te przeklęte owoce, które jedli — odparł cicho. — Pamiętam ten zapach. Te owoce muszą mieć taki sam skutek, jak czarny lotos, który usypia ludzi. Na Kroma, zaczynają się budzić, ale nie mają broni, a mam wrażenie, że te czarne diabły niedługo się za nich wezmą. Jakie szanse mają ci biedacy, bezbronni i ogłupiali od snu?

Na chwilę pogrążył się w ponurym milczeniu, marszcząc brwi w głębokim namyśle; później złapał Sanchę za ramię i ścisnął tak, że

skrzywiła się z bólu.

— Słuchaj! Odciągnę te czarne świnie w inną część zamku i zajmę ich przez jakiś czas. Wtedy ty obudzisz tych głupców i przyniesiesz im miecze... W ten sposób będą mieli jakąś szansę. Możesz to zrobić?

— Ja... nie wiem! — wyjąkała, trzęsąc się z przerażenia i sama nie wiedząc, co mówi.

Conan z przekleństwem chwycił ją za gęste pukle i potrząsnął nią, aż świat zawirował jej przed oczami.

— Musisz to zrobić! — syknął. — To nasza jedyna szansa!

— Zrobię, co będę mogła! — jęknęła dziewczyna, co barbarzyńca skwitował dodającym otuchy klepieniem po plecach, które niemal ją wywróciło, i zniknął za rogiem.

Kilka chwil później czał się w przejściu prowadzącym na dziedziniec z sadzawką i spoglądał na nieprzyjaciół. Wciąż siedzieli wokół sadzawki, ale zaczęli już wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Z dziedzińca, na którym leżeli bukanierzy, słyszał ich coraz głośniejsze jęki, coraz częściej mieszające się z bezładnymi przekleństwami. Conan napiął mięśnie i przyczał się do skoku, nabierając tchu w piersi.

Gigant noszący wysadzaną klejnotami opaskę podniósł się, odrywając piszczalkę od warg — i w tejże chwili Conan jednym susem znalazł się wśród zaskoczonych wrogów. I tak jak tygrys skacze i atakuje swe ofiary, tak Conan skoczył i uderzył: jego miecz błysnął trzykrotnie, zanim którykolwiek z olbrzymów zdołał choćby podnieść ramię; później odskoczył z powrotem i pognał jak szalony przez zieloną murawę. Za nim zostały trzy czarne ciała z rozplatanymi czaszkami.

Chociaż jednak ten wściekły i niespodziewany atak zaskoczył gigantów, szybko otrząsnęli się z bezruchu. Deptali mu po piętach, gdy gnał ku zachodniemu przejściu, a długie nogi niosły ich z niebywałą szybkością. Conan był wprawdzie przekonany, że z łatwością mógłby im umknąć — lecz nie o to mu chodziło. Zamierzał odciągnąć ich na dłuższą chwilę od Zingaran, dając tym ostatnim czas na otrząśnięcie się ze snu i uzbrojenie w miecze przyniesione przez Sanchę.

Wypadł na dziedziniec za zachodnim przejściem i zaklął wściekle. To podwórze różniło się od innych. Nie było owalne, lecz ośmiokątne, a przejście, przez które przebiegł, było jedynym wejściem i wyjściem.

Obrócił się na pięcie i zobaczył, że wszyscy giganci ruszyli za nim w

pościg; część kłębiła się teraz w przejściu, a reszta zbliżała się ku niemu rozciągniętym szeregiem. Conan cofał się wolno pod północną ścianę, nie odwracając głowy od nadchodzących. Szereg zmienił się w półokrąg — czarni próbowali otoczyć go ciasnym pierścieniem, ale musieli rozciągnąć szyki, żeby im się nie wymknął. Conan nadal się cofał, ale coraz wolniej i wolniej, szukając luki w rozciągniętym szeregu nieprzyjaciół. Obawiając się, że barbarzyńca szybkim skokiem prześliznie się przez zaciskający się pierścień, giganci jeszcze bardziej rozciągnęli szyk, aby temu zapobiec.

Cymeryjczyk przyglądał się temu z zimnym wyrachowaniem drapieżcy i kiedy uderzył, uczynił to z niszczącą gwałtownością gromu — w sam środek zaciskającego się półkola. Gigant, który zastąpił mu drogę, padł z rozciętym barkiem i zanim czarni z prawa i z lewa zdążyli przyjść na pomoc powalonemu kompanowi, pirat wyrwał się z potrzasku. Grupa zebranych przy przejściu przygotowała się do odparcia jego szarży, ale Conan nie zaatakował ich. Zamiast tego odwrócił się i stanął, spoglądając na przeciwników bez specjalnego wzruszenia, a z pewnością bez strachu.

Tym razem nie rozciągnęli się w długi szereg. Przekonali się już, że rozdzielanie sił w starciu z tym szaleńczo odważnym przeciwnikiem może przynieść jak najgorsze skutki. Zbili się w zwartą grupę i ruszyli ku niemu bez nadmiernego pośpiechu, zacieśniając szyk.

Conan wiedział, że spotkanie z taką gromadą potężnie umięśnionych i uzbrojonych w pazury przeciwników może skończyć się tylko w jeden sposób. Jeżeli tylko pozwoli im zbliżyć się na tyle, by mogli dosięgnąć go swymi szponami i wykorzystać swoją ogromną przewagę liczebną, to nie pomoże mu cały jego spryt i ogromna siła. Zerknął na mur i w zachodnim narożniku dostrzegł jakby półkę czy rodzaj występu. Nie wiedział, co to jest, ale mogło to wystarczyć do zrealizowania pomysłu. Zaczął cofać się w kierunku narożnika i giganci widząc to, przyspieszyli kroku. Widocznie wydawało im się, że to oni zagonili go w kąt i Conan doszedł do wniosku, że musieli uważać go za istotę o znacznie niższej inteligencji. Tym lepiej. Nie ma nic bardziej zgubnego od niedoceniaania przeciwnika.

Teraz znalazł się już tylko kilka metrów od ściany i czarni zbliżali się coraz szybciej, wyraźnie chcąc przyprzeć go do muru, zanim zda sobie sprawę z sytuacji. Grupa stojąca dotychczas przy przejściu opuściła swój posterunek i pospiesznie ruszyła, by przyłączyć się do reszty towarzyszy.

Giganci zbliżali się, błyskając wyszczerzonymi zębami, sypiąc skry z żółtawo płonących oczu i wyciągając szponiaste ręce, chcąc odeprzeć ewentualny atak. Spodziewali się nagłego i gwałtownego ruchu ze strony swej ofiary, lecz mimo to dali się zaskoczyć.

Conan wznosił miecz, zrobił krok w kierunku napastników, po czym okręcił się na pięcie i pognął do narożnika. Energicznym ruchem odbił się od ziemi i skoczywszy wysoko w powietrze zacisnął palce na krawędzi półki. Dał się słyszeć głuchy trzask i cały występ runął w dół razem z piratem.

Conan spadł na plecy i, gdyby nie miękka murawa porastająca dziedziniec, złamałby sobie kark mimo chroniących go, grubych węzłów mięśni. Odbił się od ziemi i skoczył na nogi niczym wielki kot, aby stawić czoła wrogom. Z jego oczu zniknął lekceważący błysk; zapalił się w nich złowrogi płomień. Wykrzywił usta w szyderczym uśmiechu. W jednej chwili zuchwała gra zmieniła się w walkę na śmierć i życie, a w takich chwilach Cymeryjczyk zachowywał się tak, jak kazała mu barbarzyńska natura.

Czarni, przez moment zbici z tropu nagłośnością wydarzeń, rzucili się na niego, chcąc go zmiażdżyć przewagą liczebną. Jednak w tej samej chwili rozległ się głośny krzyk i zaskoczeni giganci ujrzeni tłum piratów wlewający się na dziedziniec. Bukanierzy zataczali się jeszcze i wydawali nieartykułowane okrzyki, byli zamroczeni i zaskoczeni, ale ściskali swe miecze i wymachiwali nimi z zawziętością nie osłabioną bynajmniej faktem, że nie mieli zielonego pojęcia, o co chodzi.

Gdy czarni giganci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, Conan zawył przeraźliwie i runął między nich jak grom z jasnego nieba. Pod ciosami jego miecza padali jak ścięte kosą snopy i widząc to, Zingarianie wrzasnęli wniebogłosy, przebiegli chwiejnie przez dziedziniec i wpadli na nieprzyjaciół niczym zgraja żądnych krwi wilków. Wciąż byli oszołomieni: budząc się z narkotycznego snu, ujrzeni potrząsającą nimi Sanchę, która wciskała im oręż w dłonie i nalegała, by coś zrobili. Wprawdzie nie rozumieli, o co jej chodzi, ale widok obcych i przelewanej krwi zupełnie im wystarczył.

W jednej chwili dziedziniec zmienił się w regularne pole bitwy, które szybko zaczęło przypominać rzeźnię. Zingarianie zataczali się i chwiali na nogach, ale wymachiwali mieczami równie żywo i zaciekle jak

zawsze, klnąc wściekle i zupełnie nie zważając na wszelkie rany oprócz śmiertelnych. Mieli znaczną przewagę liczebną nad gigantami, którzy jednak okazali się niełatwym przeciwnikiem. Znacznie przewyższając korsarzy wzrostem, szerzyli wśród nich spustoszenie, szarpiąc uzbrojonymi w pazury rękami, rozdzierając gardła i rozbijając czaszki ciosami zaciśniętych pięści. W powszechnym zamęcie bitwy bukanierzy nie byli w stanie wykorzystać swojej przewagi, a wielu było jeszcze zbyt oszołomionych, by uchylać się przed wymierzonymi w nich ciosami. Walczyli z zaciekłością dzikich bestii, zbyt pochłonięci zadawaniem śmiertelnych ciosów, by się przed nimi uchylać. Odgłos opadających ostrzy przypominał dźwięki rzeźniczego tasaka, a wrzaski, wycia i przekleństwa wzbudziłyby odrazę w każdym cywilizowanym człowieku.

Przyczajoną w przejściu Sanchę oszołomił cały ten zgiełk i hałas; niepewnie spoglądała na bitewny zamęt, w którym stalowe ostrza błyskały i opadały ze świstem, śmigały pięści, wykrzywione nienawiścią twarze pojawiały się i znikwały, a sprężone w wysiłku ciała zderzały się ze sobą, odskakiwały i splatały w diabelskim, szaleńczym tańcu.

Chwilami przelotnie dostrzegała szczegóły, niczym czarne szkice na krwawym tle. Zobaczyła zingarańskiego marynarza, oślepionego przez wielki płat skóry zdarty z czaszki i zwisający mu na oczy, który wparł się nogami w ziemię i wbił miecz w brzuch czarnoskórego przeciwnika. Wyraźnie słyszała, jak bukanier sapnął, zadając cios i widziała, jak żółtawe oczy ofiary stanęły w słup z bólu, a krew i wnętrzności trysnęły mu pod nogi. Umierający gigant chwycił ostrze gołymi rękoma i marynarz daremnie próbował je wyrwać; nagie czarne ramię objęło szyję Zingaranina, a czarne kolano z potworną siłą nacisnęło na jego kręgosłup. Gwałtowne szarpnięcie odchyliło mu głowę pod dziwnym kątem od tułowia i wśród zgiełku bitwy dał się słyszeć odgłos przypominający głośny trzask łamanej gałęzi. Zwycięzca cisnął ciało pokonanego na ziemię... i w tej samej chwili coś jakby błękitny płomień błysnęło za jego plecami, przelatując od lewego do prawego ramienia. Gigant zachwiał się i głowa opadła mu na piersi, a stamtąd na ziemię.

Ten odrażający widok przyprawił Sanchę o mdłości. Zakrztusiła się i poczuła gwałtowną potrzebę wymiotowania. Uczyniła daremną próbę odwrócenia się i ucieczki z pola bitwy, ale nogi nie chciały jej słuchać. Nie była też w stanie zamknąć oczu. W rzeczy samej, otworzyła je jeszcze



szerzej. Zdjęta odrazą i walcząc z mdłościami, doznawała jednak tej straszliwej fascynacji, jaką zawsze czuła na widok krwi. Ta bitwa przekraczała wszystko, co widziała do tej pory podczas potyczek na morzu i lądzie.

Nagle dostrzegła Conana. Oddzielony od swoich towarzyszy skłębionym tłumem wrogów, barbarzyńca został ogarnięty przez falę czarnych ciał i na chwilę zniknął pod nią. Szybko stratowaliby go na śmierć, gdyby nie pociągnął za sobą jednego z przeciwników, którym osłonił się przed ciosami. Napastnicy próbowali wyrwać umierającego kompana z jego objęć, ale Conan rozpaczliwie trzymał się swojej tarczy.

Atak Zingarów spowodował, że napór wroga chwilowo zelżał. Conan natychmiast odrzucił trupa na bok i zerwał się na równe nogi, usmarowany krwią, straszny. Giganci rzucili się nań niczym czarne cienie, szarpiąc i zadając straszliwe ciosy. Jednak barbarzyńca był równie trudny do trafienia lub schwytania co rozwścieczona pantera i każdy cios jego miecza niósł śmierć i zniszczenie. Cymeryjczyk otrzymał już dość ran, by powalić trzech zwykłych ludzi, ale przy jego zwierzęcej witalności nie wywarły one na nim żadnego wrażenia.

Ponad bitewny zgiełk wzbił się jego wojenny okrzyk i zdumieni, lecz wściekle walczący Zingaronie ze zdwojoną siłą wpadli na wroga, tak że chrzęst łamanych kości i łoskot ciosów zagłuszyły jęki bólu i wściekłości.

Czarni zaczęli się cofać i rzucili się do przejścia, a ukryta w nim Sancha krzyknęła przeraźliwie i umknęła na bok. Czarni stłoczyli się w ciasnym przejściu, a Zingaronie dźgali i siekli plecy uciekających z nie ukrywaną uciechą i okrzykami radości. Nie upłynęła chwila i gdy resztki uciekających przedostały się przez przejście, leżał w nim wał trupów i rannych.

Bitwa zamieniła się w rzeź. Przez trawiaste dziedzińce, błyszczące schody, strome dachy wież, a nawet przez blanki szerokich murów umykali czarni giganci, brocząc krwią przy każdym kroku, ścigani przez bezlitosnych zwycięzców. Niektórzy, przyparci do muru, podejmowali walkę i zabierali ze sobą wielu prześladowców. Jednak ostateczny rezultat był zawsze ten sam — rozsiekane czarne ciało wijące się na murawie lub zrzucone z wysokiego muru czy dachu wieży.

Sancha schroniła się na dziedzińcu z sadzawką, przy której skuliła się, dygocząc ze strachu. Wokół słychać było dzikie wrzaski, tupot nóg o

murawę i nagle z przejścia w murze wyskoczyła zboczona krwią czarna postać. Był to gigant, który nosił na głowie wysadzaną klejnotami opaskę. Przysadzisty napastnik deptał mu po piętach i czarnoskóry odwrócił się na samym skraju sadzawki, by stawić mu czoła. Doprowadzony do rozpaczki podniósł miecz upuszczony przez ginącego marynarza i gdy Zingaranin runął naprzód, uderzył go nieznaną sobie bronią. Bukanier padł z rozplataną czaszką, ale cios został zadany tak niezręcznie, że ostrze pękło w dłoni ostatniego z gigantów.

Cisnął rękojęcią w napastników tłoczących się w przejściu i skoczył w kierunku sadzawki z twarzą wykrzywioną w grymasie nienawiści. Conan przedarł się przez tłum korsarzy i runął jak burza na wroga.

Jednak gigant szeroko rozłożył ramiona i z jego ust wydobył się nieludzki krzyk — jedyny dźwięk, jaki czarni wydali podczas bitwy. Przepojony nienawiścią okrzyk wzbił się pod niebo, niczym dobiegające z otchłani wycie potępionych. Słyszając to, Zingaranie zawahali się i przystanęli. Tylko Conan nie zatrzymał się nawet na moment. Cicho i nieustępliwie nacierał na hebanowoczną postać stojącą na skraju sadzawki.

Jednak w tej samej chwili, gdy jego miecz błysnął w powietrzu, czarny odwrócił się i skoczył. Przez ułamek chwili zawisł nad powierzchnią sadzawki; nagle z rozdzierającym uszy rykiem zielone wody podniosły się i skoczyły mu na spotkanie, wchłaniając go niczym szmaragdowy wulkan.

Conan zatrzymał się, w ostatniej chwili unikając upadku w zieloną toń, i odskoczył, potężnymi ramionami odpychając cisnących się za nim kompanów. Zielona sadzawka zmieniła się w gejzer, a ogromny słup wody z ogłuszającym rykiem trysnął w górę, zwieńczony wielką koroną piany.

Conan pognał swoich towarzyszy do bramy, płazując ich bezlitośnie mieczem; narastający ryk fontanny zupełnie pozbawił ich ducha. Ujrzawszy sparaliżowaną ze zgrozy Sanchę, patrzącą szeroko otwartymi oczyma na wznoszący się ku niebu słup wody, przywołał ją gromkim okrzykiem, który przedarł się przez ryk wodotrysku i wyrwał ją z odretwienia. Podbiegła do niego z wyciągniętymi ramionami; Conan złapał ją w pól i pomknął przed siebie.

Zmęczeni, obdarcy i poranieni, pozostali przy życiu korsarze zebrali

się na dziedzińcu przy bramie i brocząc krwią, z osłupieniem spoglądali na wielką kolumnę wody, która wznosiła się coraz wyżej ku niebu. Jej zielony korpus był przetykany bielą; spieniony szczyt był trzykrotnie szerszy od podstawy. W każdej chwili mogła się załamać i runąć w dół niepowstrzymaną falą, lecz na razie wciąż jeszcze wznosiła się w górę.

Conan obrzucił spojrzeniem okrwawionych, obdartych towarzyszy i zaklął, widząc, że został ich ledwie tuzin. W ferworze chwili złapał najbliższego za kark i potrząsnął nim tak gwałtownie, że opryskała go krew z ran korsarza.

— Gdzie reszta? — wrzasnął do ucha nieszczęśliwca.

— To wszyscy! — odkrzyknął tamten przez ryk gejzeru. — Innych zabili czarni giganci...

— Dobrze, uciekajmy stąd! — ryknął Conan, potężnym pchnięciem posyłając go na łeb, na szyję w kierunku bramy. — Ta fontanna w każdej chwili może opaść...

— Wszyscy się potopimy! — zakwiczał jeden z korsarzy, kuśtykając w kierunku przejścia.

— Potopimy, akurat! — wrzasnął Conan. — Zostaniemy zmienieni w kawałki wysuszonych kości! Zjeżdżać stąd, niech was diabli!

Podbiegł do bramy, kątem oka zerkając na ryczącą, zieloną wieżę, która groźnie wznosiła się nad zamkiem, i na umykających towarzyszy. Oszołomieni walką, żądzą krwi i ogłuszającym hukiem wody Zingaranie ruszali się jak w transie. Conan popędzał ich w prosty sposób. Łapał maruderów za karki i gwałtownie ciskał ich za bramę, obdarzając solidnym kopniakiem w tyłek i dodając soczyste komentarze na temat prowadzenia się ich przodków. Sancha zdradzała ochotę, by z nim pozostać, ale Cymeryjczyk klnąc wściekle, wyrwał się z jej objęć i popędził ją solidnym klapssem w tylną część ciała, który sprawił, że pomknęła przez równinę jak wystraszony królik.

Conan nie opuścił bramy, dopóki nie nabrał pewności, że wszyscy jego ludzie, którzy przeżyli bitwę, znaleźli się na równinie. Wtedy jeszcze raz zerknął na szumiącą kolumnę wznoszącą się ku niebu, ponad wieżami miasta i także uciekł z tego przeklętego miejsca.

Zingaranie przebyli już płaskowyż i biegli przez pagórki. Sancha czekała na niego na szczycie pierwszego pagórka, na którym przystanął na chwilę, aby spojrzeć na zamek. Wydawało się, że nad wieżami miasta

kołysał się ogromny kwiat o zielonej łodydze i białych płatkach. Ryk wody niósł się pod niebiosa. Nagle szmaragdowobiała kolumna pękła z ogromnym hukiem i gigantyczna fala zasłoniła mury i wieże zamku.

Conan złapał dziewczynę za rękę i pognał jak szalony. Przebiegał pagórek po pagórku, wciąż słysząc za sobą szum pędzącej wody. Obejrząwszy się przez ramię, ujrzał szeroką, zieloną wstęgę unoszącą się i opadającą na kolejne zbocza. Strumień wody nie rozlewał się szerzej i nie wsiąkał: niczym gigantyczna żmija wił się przez dolinki i łagodne wzgórki. Utrzymywał stały kierunek — ścigał uciekających korsarzy.

Uświadomiwszy sobie ten fakt, Conan zmobilizował ostatnie rezerwy swych niespożytych sił. Sancha potknęła się i z jękiem rozpaczy osunęła się na kolana, zupełnie wyczerpana. Barbarzyńca podniósł ją, zarzucił sobie na mocarne ramiona i pobiegł dalej. Kolana uginały się pod nim, a szeroka pierś drżała w spazmatycznym oddechu, który ze świstem wydobywał się przez zaciśnięte zęby. Zaczął się zataczać. Przed sobą widział równie zmęczonych marynarzy, poganianych przez strach.

Niespodziewanie pojawił się przed nimi ocean i zachodzące mgłą oczy barbarzyńcy dostrzegły „Wastreła”. Wydawał się nie uszkodzony. Załoga na łeb, na szyję wskakiwała do łodzi. Sancha upadła na dno jednej z nich i legła bez ruchu. Conan razem z innymi zabrał się do wiosł, mimo że szumiało mu w uszach i czerwone płatki latały przed oczami.

Bliscy zupełnego wyczerpania popłynęli w kierunku statku. W tej samej chwili zielona struga dotarła do rosnących na brzegu drzew. Grube pnie runęły, jakby nagle pozbawiono je korzeni i wpadłszy w szmaragdową toń, zniknęły. Strumień przepłynął przez plażę, wpadł do oceanu i natychmiast nabrał głębszej, bardziej złowieszczej barwy.

Bukanierów ogarnął na ten widok paniczny lęk, każący im zmuszać obolałe mięśnie do jeszcze większego wysiłku; nie wiedzieli, czego się obawiają, ale wiedzieli, że ta paskudna, zielona wstęga stanowi groźbę dla ciała i duszy. Conan wiedział, czego się obawiać i widząc, jak szeroka struga wpada w morskie fale i mknie ku nim, nie zmieniając kształtu czy kierunku, wyteżył wszystkie pozostałe mu siły i tak mocno naparł na wiosło, że drzewce pękło mu w rękach.

Jednak w tejże chwili dziób łodzi uderzył o burtę „Wastreła” i marynarze wdrapali się na pokład, zostawiając szalupę własnemu losowi. Conan wniósł bezwładną Sanchę na ramionach, po czym

bezceremonialnie rzucił ją na pokład i chwycił za koło sterowe, wykrzykując rozkazy do swej szczupłej załogi. Nikt nie kwestionował jego praw jako przywódcy — korsarze instynktownie słuchali jego poleceń. Zataczając się jak pijani, machinalnie wykonywali czynności, do jakich nawykli. Odcięty łańcuch kotwiczny z pluskiem wpadł do wody, a żagle załopotały i wypełniły się wiatrem. „Wastrel” zachwiał się, zakołysał i majestatycznie ruszył w morze. Conan spojrzął w kierunku brzegu: zielona wstęga bezsilnie wiła się wśród fal o kilka metrów za rufą statku, niczym szmaragdowy płomień. Zatrzymała się. Cymeryjczyk powiódł spojrzeniem po zielonej strudze, po białej plaży, po niskich pagórkach, aż ku niewidocznemu za nimi miastu.

Nabrał tchu w piersi i uśmiechnął się do zdyszanej załogi. Sancha stała przy nim; łzy ulgi spływały jej po policzkach. Spodnie Conana były w strzępach; zgubił gdzieś pas i pochwę na miecz, który wbity w deski pokładu był poszczerbiony i zbroczony krwią. Krew zlepiła gęstą grzywę barbarzyńcy i spływała mu po podrapanych barkach, ramionach i piersi. Jedno ucho miał mocno naderwane, ale uśmiechał się szeroko, mocno stojąc na muskularnych nogach i wprawnie kręcąc kołem sterowym.

— I co teraz? — spytała słabym głosem dziewczyna.

— Teraz po królewskie łupy! — zaśmiał się. — Mamy nieliczną załogę i w dodatku mocno poharataną, ale wystarczy ich, by dać sobie radę ze statkiem, a załogę zawsze można znaleźć. Chodź, dziewczyno, daj mi całusa.

— Całusa? — krzyknęła, bliska hysterii. — W takiej chwili myślisz o całowaniu?

Jego śmiech zagłuszył skrzyp lin i łopot żagli. Jednym ruchem mocarnego ramienia przycisnął ją do piersi i z nieskrywaną przyjemnością wycisnął na jej ustach gorący pocałunek.

— Myślę o życiu! — ryknął. — Co było, to było! Mam statek z waleczną załogą i dziewczynę o wargach jak wino, a to wszystko, czego zawsze pragnąłem! Opatrzcie sobie rany, łobuzy, i wynieście baryłkę piwa. Będziecie się zwijać jak jeszcze nigdy w życiu! I ma to być ze śpiewem na ustach, niech was diabli! Do licha z pustymi morzami! Ruszamy na wody pełne kupieckich statków czekających tylko, by je złupić!

# Dom pełen łotrów

*„Jeden umarł, jeden zwiął, jeden w złotym łożu spał”*

— stara rymowanka

## 1.

Podczas dworskiego festynu Nabonidus, Czerwony Kapłan, który był rzeczywistym władcą miasta, uprzejmie dotknął ramienia młodego arystokraty — Murila. Ten odwrócił się i napotkawszy nieprzeniknione spojrzenie kapłana zaczął się zastanawiać, o co chodzi. Nie padło ani jedno słowo; Nabonidus skłonił się tylko i podał Murilowi złote puzderko. Młody szlachcic, wiedząc iż Nabonidus niczego nie robi bez powodu, przy pierwszej sprzyjającej okazji wymknął się i spiesznie wrócił do swojej komnaty. Tam otworzył puzdro i znalazł w nim ludzkie ucho, które rozpoznał dzięki charakterystycznej bliźnie. Zrozumiawszy, co oznaczało zagadkowe spojrzenie Czerwonego Kapłana, cały oblał się zimnym potem.

Jednak Murilo, mimo swych perfumowanych loków i wyglądu dandysa, nie był słabeuszem, bez walki dającym kark pod topór. Nie wiedział, czy Nabonidus tylko bawi się z nim, czy też daje mu szansę udania się na dobrowolne wygnanie; jednak fakt, że jeszcze żył i cieszył się wolnością dowodził, że dano mu co najmniej kilka godzin — zapewne na rozmyślenia. Jednakże nie potrzebował czasu na podjęcie decyzji — potrzebował narzędzia. I Los dostarczył mu tego narzędzia, buszując wśród mordowni i burdeli dzielnic nędzy, podczas gdy młody szlachcic trząsał się i pocił w swojej rezydencji, stojącej w tej części stolicy, którą zajmowały zbudowane z czerwonego marmuru i kości słoniowej pałace arystokracji.

Był sobie pewien kapłan Anu, którego świątynia wznosząca się na skraju dzielnicy nędzy stanowiła coś więcej niż tylko dom modlitwy. Kapłan ten, tłusty i dobrze odżywiony, był paserem i jednocześnie donosicielem. W obu zawodach miał znakomite osiągnięcia, ponieważ dzielnicą, z którą sąsiadowała świątynia, był Labirynt — gmatwanina błotnistych, krętych uliczek i plugawych spelunek, odwiedzanych przez najzuchwalszych złodziei w królestwie. Za najśmielszych pośród nich uważano Gundermana, który zdezerterował z najemnej armii i pewnego barbarzyńcę — Cymeryjczyka. Za sprawą owego kapłana Anu pierwszego z nich schwytano i powieszono na rynku. Jednak

Cymeryjczyk umknął, a dowiedziawszy się jakimś sposobem o zdradzie kapłana, wtargnął nocą do świątyni i skrócił go o głowę. W mieście zawrzało, lecz wszelkie poszukiwania zabójcy okazały się bezskuteczne, dopóki pewna kobieta nie wydała go w ręce władz — prowadząc kapitana straży i jego drużynę do tajemnej komnaty, gdzie leżał pijany barbarzyńca.

Kiedy próbowali go pojmać ocknął się, rozpruł brzuch kapitanowi, przedarł się przez pozostałych napastników i byłby uciekł, gdyby nie trunek, który wciąż zaćmiewał mu umysł. Oszołomiony, ledwie widząc na oczy, pędząc ku wolności nie trafił w otwarte drzwi i wyrznął łbem w kamienną ścianę tak mocno, że stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, znajdował się w najgłębszym lochu jaki był w mieście, przykuty łańcuchami, którym nawet jego potężne mięśnie nie mogły dać rady.

Do tej właśnie celi przyszedł zamaskowany i owinięty szerokim, czarnym płaszczem Murilo. Cymeryjczyk przyglądał mu się z zainteresowaniem, sądząc iż ma do czynienia z katem, przysłanym by się z nim rozprawił. Murilo wyprowadził go z błędu, spoglądając nań z nie mniejszą ciekawością. Nawet w piwnicznym półmroku i skuty łańcuchami Cymeryjczyk tryskał pierwotną energią. Potężne, muskularne ciało zdawało się łączyć siłę niedźwiedzia i szybkość pantery. Spod zmierzwionej, czarnej grzywy spoglądały niebieskie, nie znające lęku oczy.

— Chciałbyś żyć? — zapytał Murilo.

Barbarzyńca potwierdził mrukliwie, a w jego oczach pojawił się błysk zainteresowania.

— Czy zrobisz coś dla mnie jeśli umożliwię ci ucieczkę? — pytał młody arystokrata.

Cymeryjczyk nie odpowiedział, lecz jego uważne spojrzenie mówiło samo za siebie.

— Chcę, żebyś zabił dla mnie człowieka.

— Kogo?

Murilo zniżył głos do szeptu.

— Nabonidusa, królewskiego kapłana.

Cymeryjczyk nie okazał śladu zdziwienia czy zmieszania. W przeciwieństwie do cywilizowanych ludzi nie żywił lęku ani szacunku dla wielkich tego świata. Król czy żebrak, nie widział żadnej różnicy. Nie



pytał też dlaczego Murilo przyszedł właśnie do niego, podczas gdy w mieście roіło się od chodzących na wolności rzezimieszków.

— Kiedy ucieknę? — zapytał.

— Przed upływem godziny. W nocy tej części więzienia pilnuje tylko jeden strażnik. Można go przekupić; już został przekupiony. Widzisz — to klucze do twoich kajdan. Zdejmę ci je, a godzinę po moim wyjściu strażnik Athicus otworzy drzwi twojej celi. Zwiążesz go pasami, na jakie podrzesz swoją tunikę; w ten sposób kiedy go znajdą pomyślą, że pomógł ci uciec ktoś z zewnątrz i nikt nie będzie go podejrzewał. Udaj się od razu od domu Czerwonego Kapłana i zabij go. Potem idź do Szczurzej Nory, gdzie spotkasz pewnego człowieka, który da ci sakiewkę złota oraz konia. To pozwoli ci wydostać się z miasta i uciec z kraju.

— Zdejmij od razu te przeklęte łańcuchy! — zażądał Cymeryjczyk. — I każ strażnikowi, żeby przyniósł mi jedzenie. Na Kroma! Cały dzień przeżyłem o chlebie i wodzie i niemalże umieram z głodu!

— Tak się stanie, ale pamiętaj: nie wolno ci uciec zanim zdążę wrócić do domu.

Uwolniony z łańcuchów barbarzyńca wstał i przeciągnął się; w półmroku lochu wyglądał na olbrzyma. Murilo ponownie poczuł, że jeśli ktokolwiek na świecie mógłby dokonać zadania, jakie przed nim stało, to właśnie ten Cymeryjczyk. Kilkakrotnie powtórzywszy wcześniejsze polecenia opuścił więzienie, nakazawszy uprzednio Athicusowi, by zaniósł więźniowi michę mięsiwa i kufel piwa. Wiedział, że może ufać strażnikowi; nie tylko z powodu sowitej zapłaty, lecz także z powodu pewnych informacji jakie posiadał o tym człowieku.

Wróciwszy do swojej komnaty, Murilo całkowicie opanował swój strach. Nabonidus uderzy posługując się królem — tego był pewien. A ponieważ gwardia królewska jeszcze nie dobijała się do jego drzwi, nie ulegało wątpliwości, że kapłan nic nie powiedział królowi — na razie. Jutro niechybnie to zrobi — o ile dożyje do jutra.

Murilo wierzył, że Cymeryjczyk dotrzyma umowy. Okaze się tylko, czy zdoła dokonać dzieła. Różni ludzie próbowali już zabić Czerwonego Kapłana i wszyscy umarli okropną i tajemniczą śmiercią. Jednak tamci byli wychowani w miastach, pozbawionymi wilczych instynktów barbarzyńcy. Murilo znalazł rozwiązanie swych problemów w chwili, gdy obracając w rękach złote puzderko zawierające odcięte ucho, dowiedział

się swoimi sekretnymi kanałami o pojmaniu Cymeryjczyka.

Znalazłszy się z powrotem w swojej komnacie, wznosił toast za tego człowieka imieniem Conan i za powodzenie jego misji. Właśnie pił wino, gdy jeden z jego szpiegów przyniósł mu wiadomość, że Athicus został aresztowany i wtrącony do więzienia. Cymeryjczyk nie uciekł.

Murilo ponownie poczuł, że krew lodowacieje mu w żyłach. W tym kaprysie losu widział diabelską dłoń Nabonidusa; w duszy szlachcica zaczęło kiełkować obsesyjne przekonanie, że Czerwony Kapłan dysponuje nadludzkimi zdolnościami; że jest czarownikiem czytającym w myślach swoich ofiar i pociągającym za sznurki, na których tańczą jak marionetki.

Rozpacz zrodziła determinację. Ściskając ukryty pod czarnym płaszczem miecz, opuścił dom sekretnym przejściem i pospieszył opustoszałymi ulicami. Zbliżała się północ, gdy dotarł do siedziby Nabonidusa, mającej w ogrodzie otoczonym murem, oddzielającym ją od sąsiednich posesji.

Mur był wysoki, lecz można go było pokonać. Nabonidus nie ufał zaporom ze zwykłego kamienia. To, czego naprawdę należało się obawiać, znajdowało się za tym murem. Co by to mogło być, Murilo nie miał pojęcia. Wiedział, że po ogrodzie biega olbrzymi, krwiożerczy pies, który pewnego razu rozszarpał na strzępy jednego intruza, jak ogar rozdzierający królika. Młodzieniec nawet nie próbował zgadywać, co jeszcze mogło się kryć za tym ogrodzeniem. Ludzie, którym w ważnych sprawach pozwolono wejść na krotko do domu Nabonidusa opowiadali, że kapłan otoczył się przepychem lecz utrzymuje zadziwiająco nieliczną służbę. W istocie widziano tylko jednego sługę — wysokiego, małomównego człowieka imieniem Joka. Słyszano też jak po ogromnym domu porusza się ktoś inny — zapewne niewolnik — ale osoby tej nikt nigdy nie widział. Największą zagadkę tego tajemniczego domostwa stanowił sam Nabonidus, który dzięki rozlicznym intrygom i biegłości w polityce międzynarodowej stał się najpotężniejszym człowiekiem w państwie.

Lud, kanclerz i król tańczyli jak marionetki pociągane przez niego za sznurki.

Murilo wdrapał się na mur i zeskoczył do ogrodu będącego bezmiarem cienia, miejscami zagęszczonego przez kępy krzewów i

falujących liści. Żadne światło nie paliło się w oknach domu, odcinającego się czarną bryłą na tle nocnego nieba. Młody szlachcic przemykał cicho lecz szybko przez chaszczę. W każdej chwili spodziewał się usłyszeć groźny pomruk i ujrzeć w mroku cielsko wielkiego psa. Wątpił, czy miecz przyda mu się na coś w walce z taką bestią, ale nie wahał się. Równie dobrze mógł umrzeć w kłach bestii, jak pod katowskim toporem.

Potknął się o coś masywnego i miękkiego. Nachyliwszy się, aby lepiej widzieć w nikłym świetle gwiazd, ujrzał bezwładne cielsko. Był to pies strzegący ogrodu. Miał skręcony kark, a na ciele ślady wyglądające jak ukąszenia wielkich kłów. Murilo był pewien, że nie dokonała tego żadna ludzka istota. Bestia napotkała potwora silniejszego od siebie. Murilo nerwowo zerknął na tajemniczą gęstwinę krzewów i zarośli; później, wzruszywszy ramionami, ruszył w kierunku pogrążonego w ciszy domu.

Pierwsze drzwi, jakie napotkał, okazały się otwarte. Wszedł do środka, z mieczem w ręku, i znalazł się w długim, mrocznym korytarzu, słabo oświetlonym promykami światła sączącego się zza kotary zasłaniającej odległe wyjście. W całym domu panowała grobowa cisza. Murilo prześlizgnął się korytarzem i stanął, by zerknąć przez szparę w zasłonie. Ujrzał oświetlony pokój o oknach tak szczelnie zasłoniętych aksamitnymi kotarami, że nie mógł się przez nie przedostać żaden promień światła. W pomieszczeniu nie było nikogo — a przynajmniej nikogo żywego, ponieważ komnata miała jednak lokatora. Wśród połamanych mebli i podartych draperii, świadczących o zacieklej walce, leżały zwłoki mężczyzny. Trup leżał na brzuchu, lecz głowę miał wykręconą w tak nienaturalny sposób, że broda spoczywała niemal na plecach. Twarz, zastygła w okropnym grymasie, zdawała się szydzić z przerażonego szlachcica.

Po raz pierwszy tej nocy Murilo poczuł, że jego determinacja słabnie. Spojrzał niepewnie w kierunku drzwi, lecz myśl o katowskim pniu i toporze dodała mu ostrogi; przeszedł przez pokój, omijając szerokim łukiem ciało rozciągnięte na podłodze. Choć nigdy przedtem nie widział tego człowieka, wiedział z opisów, iż był to Joka, posępny sługa Nabonidusa.

Przez zasłonięte kotarą drzwi szlachcic zajrzał do rozległej, owalnej

komnaty, otoczonej galerią biegnącą w połowie wysokości między błyszczącą posadzką a wyniosłym sklepieniem. Pomieszczenie urządzone z przepychem, niczym dla króla. Na środku stał bogato rzeźbiony, mahoniowy stół, zastawiony dzbanami z winem i pełnymi półmiskami. Nagle Murilo skamieniał z wrażenia. Na wielkim fotelu stojącym oparciem ku niemu ujrzał znajomą postać. Dostrzegł rękę w czerwonym rękawie spoczywającą na oparciu fotela; głowa, okryta szkarłatnym kapturem togi, była pochylona jakby w zadumie. Takim właśnie Murilo wielekrotnie widywał Nabonidusa na królewskim dworze.

Przeklinając nazbyt głośnie bicie własnego serca, młody szlachcic zaczął się skradać do kapłana; z mieczem gotowym do pchnięcia, całym ciałem szykował się do zadania ciosu. Ofiara nie poruszyła się i zdawała się nie słyszeć cichych kroków zabójcy. Czy Czerwony Kapłan zasnął, czy też w wielkim fotelu spoczywały jego zwłoki? Zaledwie jeden krok dzielił Murila od wroga, gdy nagle siedzący w fotelu mężczyzna wstał i odwrócił się.

Nagle wszystka krew odpłynęła z twarzy Murila. Miecz wypadł mu z palców i z brzękiem uderzył o błyszczącą posadzkę. Z posiniałych ust szlachcica wydobył się przeraźliwy krzyk, któremu zawtórował lomot padającego ciała. Później w domu Czerwonego Kapłana znów zapadła cisza.

## 2.

Wkrótce po tym, jak Murilo opuścił loch, w którym osadzono Conana z Cymerii, Athicus przyniósł więźniowi tacę z posiłkiem składającym się, między innymi, z olbrzymiego kawałka mięsiwa i kwarty piwa. Conan zaczął się żarłocznie posilać, a Athicus ruszył na ostatni obchód cel; dopilnować by wszystko poszło zgodnie z planem i aby nikt nie stał się mimowolnym świadkiem ucieczki więźnia. Jeszcze nie dokończył obchodu, gdy do więzienia wkroczył oddział gwardii i aresztował go. Murilo mylił się sądząc, iż aresztowanie świadczyło o odkryciu planowanej ucieczki Conana. Chodziło o coś innego; Athicus stał się nieostrożny w swoich kontaktach ze światem przestępczym i właśnie ponosił tego skutki.

Jego miejsce zajął inny strażnik — tępe, służbiste indywiduum, którego żadna łapówka nie byłaby w stanie skłonić do zaniedbania regulaminowych obowiązków. Był pozbawiony wyobraźni, co nadrabiał nazbyt wielkim przeświadczeniem o ważności sprawowanej przez siebie funkcji.

Kiedy zabrano Athicusa aby postawić go przed obliczem sędziego, nowy strażnik rozpoczął rutynowy obchód korytarzy. Gdy mijał celę Conana, jego głęboko zakorzenione poczucie dyscypliny doznało solidnego wstrząsu gdy z najwyższym oburzeniem zobaczył uwolnionego z łańcuchów więźnia, kończącego właśnie ogryzać resztki mięsiwa z potężnego, wołowego udźca. Strażnik był tak wzburzony, że popełnił błąd i wszedł do celi sam, nie wezwawszy dozorców z innych budynków. Była to jego pierwsza i ostatnia pomyłka zawodowa. Conan zgruchotał mu czaszkę wołowym gnatem, zabrał mu sztylet i klucze, po czym spokojnie opuścił więzienie. Zgodnie ze słowami Murila, tej nocy w budynku był tylko jeden strażnik. Korzystając z kluczy, które zabrał. Cymeryjczyk szybko wydostał się za mury, tak jakby plan Murila się powiódł.

Conan przystanął w cieniu więziennych murów i zastanowił się, co ma dalej robić. Przyszło mu do głowy, że skoro uciekł dzięki własnym staraniom, niczego nie zawdzięczał Murilowi; a jednak to ów młody

szlachcic uwolnił go od kajdan i kazał mu dać jeść, bez czego ucieczka nigdy by się nie powiodła. Conan doszedł do wniosku, że jednak jest coś winien Murilowi, a ponieważ był człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa, postanowił spełnić obietnicę, jaką mu złożył. Jednak najpierw musiał załatwić pewną własną sprawę.

Pozbył się swojej podartej tuniki i szedł przez noc odziany jedynie w przepaskę biodrową. Idąc, badał palcami ostrość zdobycznego sztyletu — morderczej broni o szerokiej, obosiecznej klindze długości dziewiętnastu cali. Skradał się długimi alejami i ciemnymi placami, aż dotarł do dzielnicy będącej celem jego marszu — do Labiryntu. Tam kroczył już z pewnością siebie płynącą z dobrej znajomości terenu. Była to istna gmatwanina ciemnych uliczek, ślepych zaułków i ciasnych przejść; pełna nagłych szmerów i odorów. Ulice nie miały chodników; błoto i śmieci zalegały na nich grubą warstwą. Nie było też ścieków; nieczystości wylewano wprost na ulice, gdzie tworzyły śmierdzące przyzmy i kałuże. Jeśli człowiek nie zachowywał odpowiedniej ostrożności, łatwo mógł stracić grunt pod nogami i wpaść po pas w cuchnącą maź. Nierzadko też zdarzało się natknąć na trupa leżącego w błocie z poderżniętym gardłem lub rozbitą głową. Uczciwi ludzie mieli powody, aby omijać Labirynt z daleka.

Conan niezauważony dotarł do celu w chwili, gdy osoba, którą tak bardzo pragnął spotkać, właśnie miała się oddalić. Gdy Cymeryjczyk wślizgnął się na dziedziniec, dziewczyna, która sprzedała go straży miejskiej akurat odprawiała nowego kochanka w komnacie na piętrze. Gdy jej drzwi zamknęły się za jego plecami, młody rzezimieszek zaczął po omacku schodzić po skrzypiących schodach, pogrążony w rozmyślaniach związanych, jak u większości mieszkańców Labiryntu, z bezprawnym zagarnianiem cudzego mienia. W połowie schodów zatrzymał się nagle i włosy na głowie stanęły mu dęba. W mrocznej sieni ujrzał ogromny, przyczajony kształt i parę oczu gorejących jak ślepiea polującej bestii. Zwierzęce warknięcie było ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał w życiu, gdyż potwór skoczył nań i rozpruł mu brzuch ostrą klingą. Łotr zdążył tylko wydać jeden stłumiony okrzyk i bezwładnie osunął się na schody.

Barbarzyńca stał nad nim przez chwilę; podobny do upiora, z pałającymi w ciemnościach oczami. Wiedział, że ktoś musiał usłyszeć

krzyk ofiary, lecz mieszkańcy Labiryntu przezornie pilnowali własnych interesów. Przedśmiertny krzyk na ciemnych schodach nie był tu niczym niezwykłym. Później ktoś przyjdzie sprawdzić, co się stało, ale dopiero po odpowiednio długim czasie, .

Conan wszedł po schodach i stanął przed dobrze znanymi mu drzwiami. Były zamknięte od środka, lecz udało mu się podnieść rygiel ostrzem sztyletu wsuniętego w szparę między drzwiami a futryną. Wszedł do środka i zamknąwszy za sobą drzwi, stanął twarzą w twarz z dziewczką, która wydała go straży.

Dziewka siedziała w samej koszuli na skotłowanym łożku. Zbladła; patrzyła na niego jak na ducha. Słyszała krzyk na schodach i widziała czerwone plamy na sztylcie, który trzymał w dłoni. Jednak zbyt obawiała się o swoją głowę, by tracić czas na lamenty nad oczywistym losem kochanka. Zaczęła błagać o życie, bełkocząc z przerażenia. Conan nic nie odpowiedział; stał tylko mierząc ją palącym spojrzeniem i zrogowaciałym kciukiem badał ostrze sztyletu.

W końcu ruszył ku niej; dziewczka przywarła plecami do ściany i szlochając prosiła o litość. Barbarzyńca bezceremonialnie chwycił ją za jasne włosy i ściągnął ją z barłogu. Wepchnąwszy broń z powrotem do pochwy, złapał wijącą się brankę pod lewą pachę i podszedł do okna. Jak w wielu tego typu budynkach, tak i tu każde piętro okalał gzyms, powstały z przedłużenia parapetów. Conan kopniakiem otworzył okno i wyszedł na ten wąski występ. Gdyby ktoś nie spał lub był w pobliżu, ujrzałby niezwykły widok: człowieka idącego ostrożnie po gzymsie i niosącego pod pachą wierzgającą, półnagą dziewczkę. Ów ktoś z pewnością nie byłby bardziej zdziwiony niż dziewczyna.

Dotarłszy do upatrzonego miejsca Conan stanął, wolną ręką przytrzymując się ściany. Wewnątrz budynku rozległ się nagły zgiełk, świadczący o tym, iż w końcu ktoś odkrył zwłoki. Branka skomliła i wiła się, wznawiając błagania. Conan spojrzał w dół, na błoto i nieczystości zalegające ulicę; przez moment wsłuchiwał się w odgłosy dochodzące z domu, po czym pewnym ruchem wrzucił dziewczkę w szambo. Przez parę sekund sycił oczy widokiem szamoczącej się i pławiącej w gnoju ofiary, z lubością słuchając potoku płynących z jej ust przekleństw; nawet roześmiał się w głos, co rzadko mu się zdarzało. Później uniósł głowę i słysząc tumult narastający wewnątrz budynku, doszedł do wniosku, że

czas już zabić Nabonidusa.



### 3.

Wibrujący szczepek metalu zbudził Murila. Młodzieniec jęknął i z usiadł z trudem. Otaczała go cisza i ciemność, i przez chwilę poczuł mdlący lęk sądząc, że oślepl. Później przypomniał sobie, co się stało i dreszcz przebiegł mu po plecach. Dotykem stwierdził, że siedzi na podłodze z dopasowanych do siebie kamiennych bloków. Macając dalej odkrył ścianę z tego samego budulca. Wstał i oparł się o nią plecami, daremnie próbując zorientować się, gdzie się znajduje. Nie ulegało wątpliwości, iż jest uwięziony, lecz nie był w stanie zgadnąć od jak dawna i gdzie. Mgliście przypomniał sobie metaliczny szczepek i zastanawiał się, czy był to odgłos zamykanych, żelaznych drzwi celi, czy też świadczył o przybyciu kata.

Na myśl o tym zadrżał i zaczął iść wzdłuż ściany, sunąc po niej dłonią. W każdej chwili spodziewał się natrafić na ścianę więzienia, lecz po chwili doszedł do wniosku, że porusza się biegnącym w dół korytarzem. Bojąc się zapadni, czy innych pułapek, trzymał się muru; od pewnego też czasu zdawał sobie sprawę, że coś jest w pobliżu. Wprawdzie nic nie widział, lecz może słuchem wychwycił jakieś dźwięki lub też jakiś szósty zmysł ostrzegał go przed niebezpieczeństwem. Stał i włos zjeżył mu się na głowie; miał już pewność, że w mroku przed nim czai się jakieś żywe stworzenie.

Myślał, że serce pęknie mu ze strachu, gdy tuż nad uchem usłyszał głos mówiący z barbarzyńskim akcentem:

— Murilo! Czy to ty?

— Conan!

Oślabły z wrażenia młody szlachcic wyciągnął rękę w ciemność i dotknął potężnego, nagiego ramienia.

— Dobrze, że cię poznałem — mruknął barbarzyńca. — Już miałem cię zarżnąć jak utuczoną świnię.

— Na Mitrę, gdzie my jesteśmy?

— W lochach pod domem Czerwonego Kapłana, ale dlaczego... Która godzina?

— Niedługo po północy.

Murilo potrząsnął głową, próbując zebrać rozbiegane myśli.

— Co ty tu robisz? — dopytywał się Cymeryjczyk.

— Przyszedłem zabić Nabonidusa. Dowiedziałem się, że zmienili strażnika w twoim więzieniu i...

— Zmienili — warknął Conan. — Rozwaliłem łeb nowemu i wyszedłem. Byłbym tu już parę godzin wcześniej, ale miałem pewną prywatną sprawę do załatwienia. No i co, zapolujemy na Nabonidusa?

Murilo zadrżał.

— Conanie, jesteśmy w domu arcyczatana! Przybyłem tu szukając wroga, a znalazłem diabła z piekła rodem!

Conan chrząknął niepewnie; choć w walce z wrogiem nieustraszony jak ranny tygrys, w obliczu zjawisk nadprzyrodzonych zdradzał jednak zabobonną obawę właściwą jego prymitywnemu ludowi.

— Udało mi się dostać do domu — szeptał Murilo, jakby mrok wokół był pełen nasłuchujących uszu. — W otaczających go ogrodach znalazłem psa Nabonidusa — zagryzionego na śmierć. W środku natknąłem się na służącego — Jokę. Miał skręcony kark. Później ujrzałem samego Nabonidusa, siedzącego w fotelu, odzianego w rytualne szaty. Z początku myślałem, że i on nie żyje. Skradałem się, żeby go dźgnąć, a on wstał i spojrzał na mnie. O Boże!

Na wspomnienie tej okropnej chwili na moment odebrało mu mowę.

— Conanie — szepnął. — To nie człowiek stał tam przede mną! Ciałem i posturą przypominał mężczyznę, lecz spod szkarłatnego kaptura kapłana szczerzyła się do mnie twarz jak wzięta z koszmarnego snu! Była pokryta czarnym włosiem, wśród którego lścisły czerwone, świńskie oczka; nos miała płaski, o wielkich, szerokich nozdrzach, a obwisłe wargi odsłaniały wielkie, żółte zębiska, jak psie kły. Wystające ze szkarłatnych rękawów dłonie były niekształtne i również porośnięte czarnymi włosami. Wszystko to dostrzegłem jednym rzutem oka, a potem ogarnęło mnie przerażenie; zmysły mnie opuściły i straciłem przytomność.

— I co dalej? — mruknął niespokojnie Cymeryjczyk.

— Odzyskałem ją dopiero przed chwilą; potwór musiał wrzucić mnie do tych lochów. Conanie, ja podejrzewałem, że Nabonidus jest czymś więcej niż tylko człowiekiem! To demon — wilkołak! W dzień krąży wśród ludzi w przebraniu człowieka, a nocą przybiera właściwą

postać.

— To oczywiste — odparł Conan. — Każdy wie, że są ludzie, którzy mogą zamieniać się w wilki. Tylko dlaczego zabił swoje sługi?

— Któż zdoła zgłębić umysł demona? — odrzekł Murilo. — Teraz musimy się jak najprędzej stąd wydostać. Ludzka broń nie ima się wilkołaka. Jak się tu dostałeś?

— Przez kanał ściekowy. Spodziewałem się, że ogród jest strzeżony. Ściek łączy się z korytarzem wiodącym do tych lochów. Chciałem znaleźć jakieś nie zamknięte drzwi.

— Więc uciekajmy drogą, którą przyszedłeś! — wykrzyknął Murilo. — Niech go diabli! Kiedy wydostaniemy się z tego gniazda żmij, zaryzykujemy spotkanie z królewską gwardią i ucieczkę z miasta. Prowadź!

— Nic z tego — mruknął Cymeryjczyk. — Droga przez ściek jest zamknięta. Gdy wszedłem do tunelu, z sufitu opadła żelazna krata. Gdybym nie uskoczył szybciej niż błyskawica, jej pręty przyszpiliłyby mnie do ziemi jak robaka. Próbowałem ją podnieść; ani drgnęła. Nawet słoń by jej nie poruszył. Nic, co jest większe od królika, nie przecisnę się przez tę kratę.

Murilo zaklął paskudnie, czując jak lodowate palce strachu przesuwają mu się po krzyżu. Mógł przewidzieć, że Nabonidus nie pozostawi żadnego wejścia do swego domu bez zabezpieczenia. Gdyby Conan nie miał refleksu i stalowych mięśni barbarzyńcy, spadająca krata przecięłaby go na dwoje. Niewątpliwie idąc tunelem uruchomił jakiś ukryty mechanizm opuszczający kratę z sufitu. W ten sposób, obaj byli uwięzieni.

— A więc możemy zrobić tylko jedno — rzekł Murilo, pocąc się obficie. — Musimy poszukać jakiegoś innego wyjścia; z pewnością wszędzie są pułapki, ale nie mamy innego wyboru.

Barbarzyńca mruknięciem wyraził zgodę i dwaj towarzysze zaczęli po omacku iść korytarzem. Wtem Murilo przypomniał sobie o czymś.

— Jak rozpoznałeś mnie w tych ciemnościach? — spytał.

— Kiedy przyszedłeś do mojej celi, wyczułem perfumy, którymi skropiłeś włosy — odparł Conan. — Zwęszyłem je znowu przed chwilą, gdy czałem się w ciemności zamierzając wypruć ci wnętrzności.

Murilo przytknął do nosa pukiel swoich czarnych włosów; mimo to,

przytępionym węchem mieszcucha ledwie wyczuwał zapach pachnidła; zrozumiał jak wyostrzone muszą być zmysły barbarzyńcy.

Gdy po omacku ruszyli dalej, jego ręka odruchowo opadła ku pochwie miecza i szlachcic zaklął, znalazłszy ją pustą. W tejże chwili dostrzegli przed sobą nikłą poświatę; doszli do ostrego zakrętu, zza którego sączyło się szarawe światło. Razem wychylili się zza węgła. Oparty na towarzyszu Murilo poczuł, jak tężeją jego potężne mięśnie. Młodzian też to zobaczył — półnagie ciało mężczyzny, leżące tuż za zakrętem korytarza i lekko oświetlone promieniami, które zdawały się emanować z szerokiej, srebrnej tarczy na przeciwległej ścianie.

Leżąca bezwładnie postać zdała się młodemu arystokracie dziwnie znajoma i obudziła w nim okropne, a zarazem niewytłumaczalne podejrzenie. Gestem pokazując Cymeryjczykowi, aby za nim podążył, Murilo ruszył naprzód i pochylił się nad trupem. Przewyciężając odrazę, chwycił leżącego za ramiona i odwrócił go na plecy. Z ust szlachcica wyrwał się mimowolny okrzyk; Cymeryjczyk również stęknął ze zdumienia.

— Nabonidus! Czerwony Kapłan! — wykrzyknął Murilo i tysiąc myśli na raz zawirowało mu w głowie. — Ale kto..? Co..?

Leżący jęknął i poruszył się. Conan doskoczył do niego zwinnie jak kot, mierząc sztyletem w serce. Murilo złapał go za rękę.

— Zaczekaj! Jeszcze go nie zabijaj!

— Dlaczego nie? — dopytywał się Cymeryjczyk. — Przybrał ludzką postać i śpi. Chcesz go obudzić, żeby rozszarpał nas na strzępy?

— Nie, poczekaj! — nalegał Murilo, próbując zebrać myśli. — Spójrz! On nie śpi; widzisz ten wielki siniak na jego wygolonej skroni? Ktoś go ogłuszył. Może leży tu od wielu godzin.

— Zdawało mi się, że przysięgałeś, iż widziałeś go w domu pod postacią bestii.

— Tak, widziałem! A może... On się budzi! Zabierz swój sztylet, Conanie; jest w tym tajemnica jeszcze mroczniejsza niż sądziłem. Muszę porozmawiać z kapłanem zanim go zabijemy.

Nabonidus podniósł drżącą rękę do obolałej skroni, zamruczał coś i otworzył oczy. Przez chwilę patrzył pustym, tępym wzrokiem, lecz zaraz doszedł do siebie i usiadł, spoglądając na dwóch intruzów. Mimo iż straszliwe uderzenie chwilowo pozbawiło go przytomności, jego bystry

umysł znów zaczął pracować ze zwykłą szybkością. Rozejrzał się wokół, po czym wbił wzrok w twarz Murila.

— Cóż za zaszczyt dla moich skromnych progów, młody panie — zaśmiał się chłodno, zerkając na potężną postać majaczącą za plecami szlachcica. — Widzę, że przyprowadziłeś ze sobą jakiegoś zbira. Czyż twój miecz nie wystarczy, aby odebrać mi moje nędzne życie?

— Dość tego — odparł niecierpliwie Murilo. — Jak długo tu leżysz?

— To trudne pytanie dla człowieka, który dopiero co odzyskał przytomność — odparł kapłan. — Nie wiem, która jest teraz godzina. Jednak kiedy mnie powalono, brakowało około godziny do północy.

— Któż więc przebrany w twoją togę przebywa w twoim domu?

— To z pewnością Thak — odrzekł Nabonidus, ostrożnie dotykając stłuczenia. — Tak, to na pewno on. W mojej todze? A to pies!

Conan, który niewiele pojmował z tej rozmowy, poruszył się niespokojnie i warknął coś w swoim ojczystym języku. Nabonidus obrzucił go niespokojnym spojrzeniem.

— Nóż twego siłacza tęskni do mego serca, Murilo — rzekł.

— Sądziłem, że będziesz na tyle mądry by skorzystać z ostrzeżenia i opuścić miasto.

— Skąd miałem wiedzieć, że będzie mi to dane? — zareplikował szlachcic. — Poza tym, trzymają mnie tu interesy.

— Stanowicie dobraną parę z tym obwiesiem — mruknął kapłan. — Od dawna cię podejrzewałem. Dlatego zniknął ten blady szambelan. Zanim umarł, powiedział mi wiele rzeczy, a między innymi nazwisko młodego szlachcica, który przekupił go, aby poznać tajemnice państwowe, które później sprzedał obcym państwu. Czy ci nie wstyd, Murilo, ty złodzieju o delikatnych rękach?

— Nie mam więcej powodów by się wstydzić niż ty, sknero o sercu sępa — odparował natychmiast Murilo. — Dla zaspokojenia swojej chciwości wyzyskujesz całe królestwo i pozując na zblazowanego męża stanu oszukujesz króla, rujnujesz bogatych, uciskasz biednych i poświęcasz przyszłość całego narodu dla swoich wygórowanych ambicji. Nie jesteś niczym innym jak tłustym wieprzem z ryjem zanurzonym w korycie. Jesteś większym złodziejem ode mnie. Ten Cymeryjczyk jest najuczciwszym człowiekiem z nas trzech, ponieważ kradnie i morduje otwarcie.

— A więc wszyscy trzej jesteście łotrami — zgodził się Nabonidus. — I co dalej? Chcecie odebrać mi życie?

— Kiedy zobaczyłem ucho sekretarza, który zniknął, wiedziałem, że jestem zgubiony — powiedział gwałtownie Murilo. — Sądziłem, że posłużysz się autorytetem króla. Miałem rację?

— Całkowitą — odparł kapłan. — Pozbycie się szambelana to rzecz prosta, lecz ty jesteś zbyt znaną osobą. Zamierzałem rano opowiedzieć królowi pewien żarcik o tobie.

— Żarcik, który kosztowałby mnie głowę — rzekł szlachcic. — Zatem król nic nie wie o moich zagranicznych przedsięwzięciach?

— Jak dotychczas — westchnął Nabonidus. — A ponieważ widzę, że twój kompan ma sztylet, obawiam się, że ten żarcik nigdy nie zostanie opowiedziany.

— Ty zapewne wiesz, jak wydostać się z tej szczurzej nory — powiedział młodzieniec. — Założmy, że daruję ci życie. Czy pomożesz nam stąd wyjść i przysięgniesz zachować dla siebie tajemnicę mojej kradzieży?

— Od kiedy to kapłani dotrzymują przysięg? — wtrącił się Conan, zrozumiałwszy jaki obrót przyjmuje rozmowa. — Pozwól mi poderżnąć mu gardło; chcę sprawdzić jaki kolor ma jego krew. W Labiryncie powiadają, że on ma czarne serce, więc musi też mieć czarną krew.

— Cicho — szepnął Murilo. — Jeśli nie wskaże nam wyjścia z tych lochów, możemy tu obaj zginąć. No, Nabonidusie, co ty na to?

— A co może powiedzieć wilk z łapą w potrzasku? — roześmiał się kapłan. — Jestem w waszych rękach i jeśli mamy się stąd wydostać, musimy sobie pomagać. Przysięgam, że jeśli przeżyjemy tę przygodę, to zapomnę o wszystkich twoich podejrzanych interesach. Przysięgam na duszę Mitry!

— To mi wystarczy — zamruczał Murilo. — Nawet Czerwony Kapłan nie złamałby tej przysięgi. Teraz chodźmy stąd. Mój przyjaciel dostał się tu przez tunel, ale spadająca krata odcięła mu odwrót. Czy możesz sprawić by się podniosła?

— Nie z tego lochu — odparł kapłan. — Dźwignia podnosząca kratę znajduje się w komnacie nad tunelem. Jest tylko jeszcze jedna droga, którą można wyjść z tych podziemi, i zaraz wam ją pokażę. Jednak najpierw powiedz mi, jak ty się tu dostałeś?

Muriolo opowiedział mu to w paru słowach, a kapłan pokiwał głową i z trudem podniósł się z podłogi. Pokuśtykał korytarzem, który rozszerzał się w tym miejscu, tworząc rodzaj długiej sali, po czym podszedł do srebrnej tarczy na przeciwległej ścianie. W miarę jak się zbliżali, rzucane przez nią światło stawało się silniejsze, chociaż nadal nie było niczym więcej niż nikłą poświatą. Obok tarczy ujrzeli wąskie schody wiodące w górę.

— Oto to drugie wyjście — rzekł Nabonidus. — I mocno wątpię, czy drzwi na końcu tych schodów są zaryglowane. Wydaje mi się jednak, że ten, kto pierwszy przez nie przejdzie, lepiej zrobiłby podrzynając sobie najpierw gardło. Spójrzcie w tarczę.

To, co wyglądało na srebrną płytę, było w rzeczywistości wielkim lustrem osadzonym w ścianie. Z muru ponad nim wystawał skomplikowany układ miedzianych rur, zgiętych pod kątem prostym i schodzących do lustra. Zerkając w te rury, Murilo ujrział niewiarygodną ilość małych lusterek. Później skupił uwagę na wielkim zwierciadle osadzonym w ścianie i wydał okrzyk zdumienia. Zagląający mu przez ramię Cymeryjczyk mruknął coś pod nosem.

Mieli wrażenie, że zagląдают przez spore okno do jasno oświetlonej komnaty. Na jej ścianach wisały wielkie zwierciadła, a między nimi aksamitne draperie; były tam obite jedwabiem sofy, fotele z hebanu i kości słoniowej, oraz zasłonięte kotarami drzwi wiodące do innych pomieszczeń. Zaś przed jedynymi drzwiami, które nie były osłonięte kotarą, siedział ogromny, czarny stwór, groteskowo kontrastujący z przepychem komnaty.

Spojrzawszy na potwora, który zdawał się patrzeć mu prosto w oczy, Murilo znów poczuł, że krew zastyga mu w żyłach. Mimowolnie odskoczył od lustra; natomiast Conan gwałtownie przysunął się bliżej, tak że czołem niemal dotykał powierzchni, i mruczał jakieś przekleństwa czy groźby w swym barbarzyńskim języku.

— W imię Mitry, Nabonidusie! — wykrztusił wstrząśnięty Murilo. — Co to takiego?

— To Thak — odparł kapłan, masując sobie skroń. — Niektórzy nazywają go małpą, lecz on różni się od małpy w takim samym stopniu, w jakim różni się od człowieka. Jego lud żyje daleko na wschodzie, w górach okalających wschodnie granice Zamory. Niewiele ich pozostało,

lecz sędzę, że jeśli nie zostaną wytrzebieni, to za jakieś sto tysięcy lat zupełnie się ucłowieczą. Obecnie są w stadium przejściowym; nie są ani małpami, jak ich praprzodkowie, ani ludźmi — którymi mogą się stać ich dalecy potomkowie. Zamieszkują wśród wysokich i niemal niedostępnych szczytów, nie wiedząc co to ogień, odzież, nie wznosząc domów i nie używając broni. Jednak mają już swój język, złożony głównie z pomruków i cmoknięć. Przygarnąłem Thaka gdy był jeszcze szczeniakiem, a on uczył się wszystkiego szybciej i dokładniej niż jakiegokolwiek zwykłe zwierzę. Był moim przybocznym strażnikiem i służącym. Zapomniałem jednak, że będąc po części człowiekiem, nie da się zepchnąć do roli mojego wiernego cienia, jak zwyczajne zwierzę. Najwidoczniej jego małe mózgi były pełne nienawiści, złości i jakiejś własnej, zwierzęcej ambicji. W każdym razie, uderzył kiedyś najmniej się tego spodziewałem. Tej nocy wydawało się, iż nagle oszalał. Jego zachowanie miało wszelkie znamiona ataku furii, lecz wiem, że musiało być częścią starannie i od dawna obmyślonego planu. Usłyszałem odgłosy walki w ogrodzie i gdy szedłem sprawdzić, co się dzieje — bo sądziłem, że mój pies rozszarpuje cię, Murilo — gdy nagle z zarośli wyłonił się ociekający krwią Thak. Zanim zorientowałem się, o co mu chodzi, ze straszliwym wrzaskiem skoczył na mnie i ogłuszył uderzeniem w skroń. Nic więcej nie pamiętam, jednak domyślałem się, że powodowany jakimś kaprysem niby-ludzkiego umysłu, zdjął ze mnie togę i żywego rzucił do tego lochu — tylko bogowie wiedzą dlaczego. Zapewne zabił psa tuż przed tym, zanim spotkał mnie w ogrodzie, a kiedy mnie ogłuszył, zabił Jokę, skoro widzieliście jego zwłoki leżące w domu. Joka pomógłby mi, nawet przeciwko Thakowi, którego zawsze nienawidził.

Murilo spojrzął w lustro, na stworzenie siedzące cierpliwie przed zamkniętymi drzwiami. Zadrżał widząc wielkie, czarne dłonie, porośnięte gęstym włosiem, prawie przypominającym futro. Cielsko stworza było wielkie, szerokie i zgarbione. Niesamowicie szerokie ramiona okrywała szkarłatna szata, spod której wyzierały równie gęste, czarne włosy. Twarz wyzierająca spod szkarłatnego kaptura była zdecydowanie zwierzęca, lecz Murilo uświadomił sobie, że Nabonidus mówił prawdę gdy twierdził, iż Thak jest czymś więcej niż tylko zwierzęciem. W czerwonych, mętnych oczkach, w jego niezgrabnej postawie, w całym wyglądzie stworza było coś, co odróżniało go od bestii.



W tym monstrualnym ciele krył się mózg i dusza, które jednak dopiero zaczęły się formować, tworząc coś, co słabo przypominało człowieka. Murilo stał ogarnięty zgrozą, rozpoznając słabe i odrażające pokrewieństwo między swoim własnym gatunkiem, a tym przykucniętym tam stworem; zemdliło go na myśl o otchłaniach prymitywnej zwierzęcości, z jakich z trudem wydzwignęła się ludzkość.

— Przecież musi nas widzieć — mamrotał Conan. — Dlaczego nie atakuje? Z łatwością mógłby wybić to okno.

Murilo zrozumiał, że Conan uważa lustro za okno, przez które spoglądają z lochu.

— On nas nie widzi — odparł kapłan. — Zaglądamy do komnaty leżącej nad nami. Drzwi, których pilnuje Thak, to te na szczycie schodów. To tylko prosty system luster. Widzicie te zwierciadła na ścianach? Przekazują odbicie pokoju do tych rur, w których inne lustra przesyłają obraz dalej, aby wreszcie ukazać go w powiększeniu w tym wielkim zwierciadle.

Murilo uświadomił sobie, że kapłan, który wymyślił coś takiego, musi wiedzą wyprzedzać swoją epokę o całe stulecia; lecz Conan złożył to na karb czarów i nie zaprzętał sobie tym głowy.

— Zbudowałem te podziemia jako schronienie, a zarazem jako więzienie — mówił kapłan. — Bywało, że ukrywałem się tu i przez te lustra przyglądałem się zgubie tych, którzy szukali mnie w złych zamiarach.

— Lecz czemu Thak pilnuje tych drzwi? — dopytywał się Murilo.

— Musiał słyszeć, że krata w tunelu opadła. Jest połączona z dzwonekami w komnatach na górze. Wie, że ktoś jest w podziemiach i czeka, aż przyjdzie tymi schodami. Dobrze przyswoił sobie lekcje, których mu udzielałem. Widział, co działo się z ludźmi, którzy wchodzili przez te drzwi, kiedy pociągałem za linę wiszącą na tej tam ścianie; teraz czeka, by zrobić to samo.

— Cóż więc mamy robić? — pytał Murilo.

— Możemy go tylko obserwować. Dopóki jest w tej komnacie, nie ośmielimy się wejść po tych schodach. Thak jest silny jak goryl i z łatwością mógłby rozerwać nas na strzępy. Jednak nie musi się fatygować; jeżeli otworzymy te drzwi, wystarczy, że pociągnie za linę, a przeniesiemy się do wieczności.

— W jaki sposób?

— Zgodziłem się dopomóc wam stąd wyjść — odparł kapłan. — Nie obiecywałem, że zdradzę wam moje tajemnice.

Murilo chciał coś powiedzieć, lecz nagle urwał. Czyjaś dłoń ostrożnie rozchyliła kotarę zasłaniającą jedne drzwi. Pojawiła się w nich smagła twarz o błyszczących oczach, groźnie spoglądających na siedzącą w fotelu postać w szkarłatnej todze.

— Petreus! — syknął kapłan. — Na Mitrę, co za zlot sępów odbywa się dziś w moim domu!

Twarz pozostała w obramowaniu zasłon. Za nią pojawiły się następne twarze — ciemne i wąskie, pałające żądzą mordy.

— Co oni tu robią? — wymamrotał Murilo, mimowolnie ścisząc głos, chociaż wiedział, że nie mogą go usłyszeć.

— Hmm, a co może robić Petreus ze swymi oddanymi, młodymi nacjonalistami w domu Czerwonego Kapłana? — roześmiał się Nabonidus. — Spójrzcie jak nienawistnie spoglądają na postać, którą uważają za swego arcywroga. Popełniają ten sam błąd, co ty. Zabawne będzie ujrzeć ich miny gdy przekonają się o swojej pomyłce.

Murilo nie odpowiedział. Cała ta historia zdawała się być nierzeczywista. Czuł się tak, jakby siedział w teatrze lalek, lub jako bezcielesny duch obserwował żywych ludzi, nieświadomych i nie wiedzących o jego obecności.

Zobaczył, że Petreus ostrzegawczo przyłożył palec do ust i skinął głową do współspiskowców. Młody szlachcic nie wiedział, czy Thak zdawał sobie sprawę z obecności intruzów. Małpolud nie poruszył się, siedząc plecami do drzwi, za którymi czaili się zabójcy.

— Wpadli na taki sam pomysł, jak ty — mruknął mu do ucha Nabonidus. — Tyle tylko, że robią to z powodów patriotycznych, a nie egoistycznych. Teraz, kiedy pies nie żyje, jakże łatwo dostać się do mego domu. Och, jaką miałbym teraz okazję, żeby pozbyć się ich — raz na zawsze! Gdybym to ja siedział w fotelu zamiast Thaka! Jeden skok... Pociągnięcie za linę...

Petreus ostrożnie przeniósł stopę ponad progiem komnaty; pozostali spiskowcy deptali mu po piętach, a ich sztylety błyskały w mroku korytarza. Nagle Thak zerwał się z fotela i skoczył ku nim. Ci, spodziewając się ujrzeć znieawidzoną lecz znajomą twarz Nabonidusa,

zostali zupełnie zaskoczeni tym okropnym widokiem i wytrąceni z równowagi, tak samo jak wcześniej Murilo. Wydawszy przeraźliwy okrzyk Petreus cofnął się, wpadając na idących z tyłu towarzyszy. Zderzali się i potykali w ciasnym korytarzu; a w tejże chwili Thak jednym długim, groteskowym susem dopadł grubej, aksamitnej liny, wiszącej obok drzwi, chwycił ją i mocno szarpnął.

Natychmiast kotary po obu stronach przejścia rozsunęły się odsłaniając wejście, w którym coś błysnęło srebrzyście.

— On pamiętał! — radował się Nabonidus. — Ta bestia jest już prawie człowiekiem! Był kiedyś świadkiem podobnego zdarzenia i zapamiętał je! Teraz patrzcie! Uważajcie!

Murilo dostrzegł, że drzwi przegrodziła gruba, szklana płyta. Za nią widział poblądłe twarze spiskowców. Petreus, wyciągnąwszy przed siebie ręce jakby chciał odeprzeć atak Thaka, napotkał przezroczystą przegrodę, i sądząc po mimice twarzy powiedział coś do swoich kompanów. Teraz, gdy kotara była odsunięta, trzech mężczyzn w lochu widzieli dokładnie wszystko, co działo się w tej części korytarza, w której byli zamknięci nacjonaliści. Ogarnięci przerażeniem, pędem pobiegli w kierunku drzwi, którymi weszli, lecz zaraz stanęli gwałtownie, jakby napotkali niewidzialną ścianę.

— Szarpnięcie za linę zamknęło korytarz — zaśmiał się Nabonidus. — To proste; szklane tafle opadają w prowadnicach znajdujących się w futrynie. Pociągnięcie za linę zwalnia sprężynę, która je przytrzymuje. Zsuwają się i zatrząskują tak, że można je otworzyć jedynie z zewnątrz. Szkło jest odporne na uderzenia — nawet człowiek z młotem kowalskim nie zdołałby go rozbić. O!

Schwytyanych w pułapkę ludzi ogarnęła panika; miotali się z jednego końca korytarza na drugi, daremnie łomocząc w kryształowe ściany i wygrażając pięściami niewzruszonej, czarnej postaci przykucniętej na zewnątrz. Wtem jeden z nich odchylił głowę, spojrział w górę i — sądząc po ruchu warg — zaczął wrzeszczeć, wskazując ręką na sufit.

— Opadnięcie tafli wyzwala opar śmierci — rzekł Czerwony Kapłan zanosząc się śmiechem. — To pył szarego lotosu, z Bagien Nieboszczyków, hen, za granicami Khitaju.

Ze stropu korytarza powoli opuszczała się kiść złotych pąków; rozchylały się jak płatki wielkiej, przekwitłej róży i spływała z nich szara

mgiełka, która szybko wypełniła komorę. Natychmiast histeria uwięzionych ustąpiła miejsca szaleństwu i grozie. Zaczęli się zataczać; słaniali się na nogach. Toczyli pianę z ust, wykrzywionych straszliwym uśmiechem. Z wściekłością atakowali się nawzajem dźgając sztyletami i gryząc, tnąc, szarpiąc i mordując się nawzajem w przyływie szaleństwa. Murilowi zrobiło się niedobrze na ten widok i rad był, że nie słyszy wrzasków i jęków, jakimi rozbrzmiewał ten korytarz śmierci. Oglądane sceny były bezgłośnie, niczym teatr cieni.

Stojący przed tą komnatą okropności Thak podskakiwał ze zwierzęcej uciechy, wyrzucając wysoko w górę włochate ramiona. Za plecami Murila Nabonidus chichotał jak hiena.

— Świetne pchnięcie, Petreusie! Prawie go wypatroszyłeś! Teraz coś dla ciebie, mój przyjacielu! Nareszcie! Wszyscy padli, a ci, którzy jeszcze żyją, szarpią zębami ciała martwych i toczą z ust pianę.

Murilo zadrżał. Stojący z tyłu Cymeryjczyk zaklął cicho w swym chropawym języku. Nad wypełnionym szarą mgiełką korytarzem władzę objęła śmierć; poszarpane, pocięte i okaleczone ciała spiskowców tworzyły w nim krwawy stos; a wolno opadająca chmura szarego pyłu odsłaniała rozdziawione usta i niewidzące oczy trupów.

Thak, zgarbiony niczym wielki gnom, podszedł do zwisającej przy ścianie liny i pociągnął ją w szczególny sposób.

— Otwiera zewnętrzne drzwi — powiedział Nabonidus. — Na Mitrę, jest w nim więcej z człowieka, niż mogłem przypuszczać! Spójrzcie, mgiełka wypływa z korytarza i rozwiewa się, a on przezornie czeka. Teraz podnosi drugą taflę. Jest ostrożny — zna moc szarego lotosu, prowadzącego szaleństwo i śmierć. Na Mitrę!

Murilo drgnął, słysząc zmieniony głos kapłana.

— To nasza jedyna szansa! — wykrzyknął Nabonidus. — Jeśli opuści komnatę na kilka minut, zaryzykujemy wejście po schodach.

W napięciu przyglądali się jak potwór znika w drzwiach. Gdy szklane tafle podniosły się, kotary opadły z powrotem, zasłaniając komorę śmierci.

— Musimy zaryzykować! — szepnął Nabonidus i Murilo ujrzał krople potu na jego twarzy. — Zapewne zechce się teraz pozbyć ciała, tak jak ja zrobiłem to kiedyś. Szybko! Za mną, na górę!

Rzucił się ku schodom i wbiegł na nie z szybkością, która zadziwiła

Murilo. Młody szlachcic z barbarzyńcą deptali mu po piętach i gdy otworzył drzwi na końcu schodów, usłyszeli jak odetchnął z ulgą. Znaleźli się w obszernej komnacie, którą obserwowali w lustrze. Thaka w niej nie było.

— Jest w korytarzu z ciałami! — zakrzyknął Murilo. — Czemu nie schwytamy go w pułapkę, tak jak on schwycił Petreusa i jego ludzi?

— Nie, nie! — przeraził się Nabonidus i pobladł jak chusta. — Nie wiemy, czy on naprawdę tam jest. Zresztą mógłby wyskoczyć, zanim dopadniemy liny! Chodźcie za mną; muszę dotrzeć do mojej komnaty i wziąć broń, która go zabije. Ten korytarz jest jedynym spośród wiodących do tej sali, w którym nie ma żadnych pułapek. Szybko poszli za nim korytarzem, którego wejście znajdowało się naprzeciw drzwi do komory śmierci i prowadzącym do szeregu innych komnat. W rosnącym pośpiechu Nabonidus próbował otworzyć którekolwiek drzwi. Wszystkie były zamknięte, tak samo jak te na końcu korytarza.

— Mój Boże! — Czerwony Kapłan oparł się plecami o ścianę, a jego skóra przybrała barwę popiołu. — Drzwi są zamknięte, a Thak zabrał mi klucze. Jednak wpadliśmy w pułapkę.

Murilo spojrzał z obrzydzeniem na roztrzęsionego kapłana i Nabonidus z trudem wziął się w garść.

— Ta bestia mnie przeraża — rzekł. — Gdybyście widzieli jak rozrywa ludzi na strzępy... No, dopomóż nam, Mitro, ale musimy z nim walczyć tym, co bogowie nam dali. Chodźcie!

Poprowadził ich z powrotem do zasłoniętego kotarą wejścia i zajrzał do wielkiej sali w tej samej chwili, gdy Thak wyłonił się z drzwi po przeciwnej stronie. Widać było, że bestia coś podejrzewa. Strzygła czujnie małymi, przylegającymi do czaszki uszkami; gniewnie rozglądała się wokół, i podszedłszy do najbliższych drzwi, zerwała zasłaniającą je kotarę, żeby za nią zajrzeć.

Nabonidus cofnął się, dygocząc jak liść. Chwycił Conana za ramię.

— Człowieku, czy odważysz się stanąć ze swym sztyletem przeciwko jego kłom?

Błysk oczu Cymeryjczyka wystarczył za odpowiedź.

— Szybko! — szepnął Czerwony Kapłan, wpychając go za kotarę, tuż przy ścianie. — Kiedy za chwilę odkryje naszą obecność, ściągniemy jego uwagę na siebie. Gdy będzie cię mijał, wbijesz mu sztylet w plecy, jeśli

zdołasz. Ty, Murilo, pokażesz mu się, a potem pobiegiesz korytarzem. Na Mitrę, nie mamy żadnych szans by pokonać go w walce wręcz, ale i tak jesteśmy zgubieni.

Murilo czuł, że krew zastyga mu w żyłach, lecz opanował lęk i wyszedł z korytarza do sali. W tej samej chwili znajdujący się po przeciwnej stronie komnaty Thak obrócił się gwałtownie, zmierzył go wściekłym spojrzeniem i z głośnym rykiem skoczył na młodzieńca. Szkarłatny kaptur opadł mu na plecy, ukazując czarną, niekształtą czaszkę; na czarnych łapskach i szkarłacie togi widać było jaśniejsze, czerwone plamy. Pędząc z wyszczerzonymi kłami przez salę wyglądał jak purpurowoczarny demon, a jego ogromne cielsko z zadziwiającą szybkością poruszało się na krzywych nogach.

Murilo odwrócił się i z powrotem wbiegł do korytarza, a choć strach dodał mu skrzydeł, włochaty potwór był prawie tuż za nim. Gdy stwór przebiegał obok zasłon, jakaś postać wyskoczyła zza kotary i spadła na kark małpoluda, jednocześnie wbijając mu sztylet w plecy. Thak wrzasnął okropnie gdy nieoczekiwany atak zwałił go z nóg i obaj przeciwnicy potoczyli się po podłodze, tworząc wirujący kłęb rąk i nóg, w zaciętych zmaganiach przewalający się po komnacie.

Murilo ujrzał, że barbarzyńca ścisnął nogami tors bestii i starając się utrzymać na jej plecach, raz po raz zadawał ciosy sztyletem. W tym czasie Thak usiłował rzucić uwieszonoego jego pleców wroga, aby znalazł się w zasięgu olbrzymich kłów, którymi mógłby go rozedrzeć na strzępy. Wirujący kłęb kończyn i purpurowych strzępów przetoczył się korytarzem tak szybko, że Murilo obawiając się, że może trafić Conana, nie odważył się użyć krzesła, które pochwycił. Widział, że mimo przewagi zaskoczenia i obszernej togi, która omotywała małpoluda krępując mu swobodę ruchów, potworna siła Thaka zaczynała brać górę. Wolno, lecz nieubłaganie ściągał Conana z pleców. Małpolud otrzymał już tyle ciosów, że wystarczyłyby aby zabić tuzin ludzi. Sztylet Conana raz po raz wbijał się w tors, ramiona i byczy kark obficie krwawiącej bestii, jednak jeśli jego ostrze nie sięgnie szybko jakiegoś żywotnego organu, nadludzka żywotność Thaka pozwoli mu rozprawić się z Cymeryjczykiem, a potem z jego towarzyszami.

Cymeryjczyk też walczył jak dzikie zwierzę, w milczeniu przerywanym jedynie chrapliwym posapywaniem. Czarne pazury

potwora darły ciało barbarzyńcy, a stalowy uścisk niekształtnych łap przyciągał jego gardło w kierunku wyszczerzonej paszczyki. Wtem Murilo dostrzegł odpowiedni moment, doskoczył i zamachnąwszy się potężnie, uderzył bestię krzesłem z siłą wystarczającą by rozwalić czaszkę każdej ludzkiej istoty. Krzesło odbiło się od czarnej czaszki Thaka; lecz ogłuszony potwór na moment rozluźnił swój straszliwy uścisk, a wtedy zdyszany i ociekający krwią Conan wychylił się do przodu i wbił sztylet po rękojęść w serce małpoluda.

Ciałem bestii targnął konwulsyjny dreszcz; wybałuszyła ślepia, po czym bezwładnie rozciągnęła się na posadzce. Gorejące ślepia znieruchomiały i zgasły, a mocarne kończyny zadrżały i znieruchomiały.

Conan chwiejnie podniósł się na nogi, ocierając twarz z potu i posoki. Krew kapłała z jego palców i sztyletu, a z ud, ramion i torsu ściekała cienkimi strużkami. Murilo próbował go podtrzymać, ale barbarzyńca odpędził go niecierpliwym gestem.

— Kiedy nie zdołam ustać o własnych siłach, czas mi będzie umierać — wymamrotał opuchłymi wargami. — Jednak przydałby mi się puchar wina.

Nabonidus wytrzeszczał oczy na leżącego sztywno potwora, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. Leżąc tak, czarny, włochaty, odrażający potwór wyglądał nieco groteskowo w szkarłatnej todze; lecz mimo to bardziej przypominał człowieka niż zwierzę i obraz ten miał w sobie jakiś dziwny i straszny patos.

Nawet Cymeryjczyk wyczuł to, bo wysapał:

— Zabiłem dziś człowieka, nie zwierzę. Zaliczę go do najdzielniejszych wodzów, których dusze wysłałem w krainę mroku, a moje kobiety będą śpiewać o nim pieśni.

Nabonidus schylił się i podniósł pęk kluczy na złotym łańcuchu, które wypadły małpoludowi z za pasa w czasie walki. Skinąwszy na dwóch towarzyszy, by szli za nim, poprowadził ich do drzwi komnaty, otworzył ją, i wprowadził ich do środka. Pomieszczenie było rzęsiście oświetlone, podobnie jak inne. Czerwony Kapłan wziął ze stołu karafkę z winem i napełnił kryształowe puchary. Gdy jego kompani pili łapczywie, mruknął:

— Co za noc! Teraz już prawie świta. I co z wami, przyjaciele?

— Jeżeli dasz mi bandażę i tym podobne rzeczy, opatrzę Conanowi

rany — rzekł Murilo, i Nabonidus kiwnął głową, po czym ruszył w stronę drzwi prowadzących do korytarza. Jakaś nieuchwytna zmiana w głosie lub wyrazie twarzy kapłana sprawiła, że Murilo przyglądał mu się bacznie. Znalazłszy się przy drzwiach Czerwony Kapłan odwrócił się nagle. Twarz mu się zmieniła; w oczach błyszczał dawny ogień, w usta wykrzywił bezgłośny śmiech.

— Trzech łotrów! — głos mówiącego pobrzmiwał drwiąco, jak zawsze. — Lecz nie trzech głupców. Ty jesteś głupi, Murilo!

— Co chcesz powiedzieć? — młody szlachcic zrobił krok w jego kierunku.

— Stój! — głos Nabonidusa ciął jak bicz. — Jeszcze krok, a zniszczę was!

Krew zastygła Murilowi w żyłach, gdy ujrzał, że Czerwony Kapłan ściska w ręce koniec grubej, aksamitnej liny, która zwisała pośród draperii, tuż przy drzwiach.

— Co to za zdrada? — krzyknął Murilo. — Przecież przysięgłeś...

— Przysięgałem, że nie opowiem królowi żarciku o tobie! Nie przysięgałem, że nie wezmę spraw w swoje ręce, gdy nadarzy się sposobność. Myślicie, że mógłbym przepuścić taką okazję? W normalnych okolicznościach nie odważyłbym się zabić cię bez pozwolenia króla, ale teraz nikt się o tym nie dowie. Traficie do kadzi pełnych kwasu, razem z Thakiem i nacjonalistycznymi głupcami, i nikt o tym nie będzie wiedział. Cóż to była dla mnie za noc! Chociaż straciłem cenne sługi, to jednak pozbyłem się wielu niebezpiecznych wrogów. Stójcie! Jestem w progu i nie zdołacie mnie dopaść nim pociągnę za ten sznur i wyślę was do piekła. Tym razem nie przy pomocy szarego lotosu, lecz czegoś równie skutecznego. Prawie każda komnata w moim domu to pułapka. Tak więc, Murilo, ty głupcze...

Zbyt szybko by pochwycić to wzrokiem, Conan złapał stołek i cisnął nim w kapłana. Nabonidus krzyknął i instynktownie wyciągnął rękę ku linie, lecz nie zdążył. Pocisk wyrznął go w głowę i Czerwony Kapłan zachwiał się, a potem runął na podłogę, na której szybko zaczęła się rozlewać ciemnopurpurowa kałuża.

— A jednak miał czerwoną krew — mruknął Conan.

Murilo drżącą, rozcapierzoną dłonią przejechał po mokrych od potu włosach i oparł się o stół, żeby nie upaść, gdyż kolana uginały się pod



nim z ulgi.

— Już świta — powiedział. — Wynośmy się stąd, zanim spadnie na nas jakieś nowe nieszczęście. Jeśli uda nam się przejść przez mur posesji tak, aby nas nie zauważono, to nikt nie będzie nas łączył z wydarzeniami tej nocy. Niech straż sama pisze wyjaśnienia.

Zerknął na pławiące się we krwi zwłoki Czerwonego Kapłana i wzruszył ramionami.

— Pomimo wszystko był głupcem; gdyby nie tracił czasu na szyderstwa, z łatwością schwytałby nas w pułapkę.

— No tak — rzekł spokojnie Cymeryjczyk. — Spotkał go taki koniec, jaki pisany jest każdemu łotrowi. Chętnie splądrowałbym ten dom, ale chyba lepiej będzie nie zwlekać.

Gdy wymknęli się już z mrocznego ogrodu wybielonego świtem, Murilo powiedział:

— Czerwony Kapłan odszedł w ciemność, tak więc moja przyszłość w mieście wygląda różowo i nie mam czego się bać. Ale co z tobą? Nadal wisi nad tobą ta sprawa kapłana z Labiryntu i...

— I tak mam już dość tego miasta — wyszczerzył zęby Cymeryjczyk. — Wspominałeś coś o koniu czekającym w Szczurzej Norze. Ciekaw jestem jak szybko ten koń zdoła mnie zanieść do innego królestwa. Jeszcze wiele gościńców chciałbym przejść, zanim pójde drogą, którą tej nocy podążył Nabonidus.

# Dolina zaginionych kobiet

## 1.

Bębny i ogromne rogi ze słoniowej kości grzmiały wprost ogłuszająco, lecz ich łoskot wydawał się Liwii tylko cichym pomrukiem, głuchym i odległym. Leżała na glinianej podłodze wielkiej chaty, półprzytomna i bliska utraty zmysłów z przerażenia. Jej świadomość ledwie rejestrowała rozgrywające się na zewnątrz wydarzenia. Oszołomiony i roztrzęsiony umysł z nieuchronną pewnością wracał do okropnego wspomnienia: widoku nagiego, drgającego ciała brata i krwi spływającej po jego dygoczących nogach. Ta biała postać z bezlitosną wyrazistością zdawała się wyłaniać z koszarnej płataniny czarnych kształtów i cieni. Powietrze zdawało się wciąż pulsować przerażliwymi krzykami bólu, obscenicznie przeplatanymi wybuchami ohydneho śmiechu.

Liwia całkowicie utraciła poczucie swego istnienia, odrębnego i unikalnego we Wszechświecie. Pogrążyła się w oceanie cierpienia — stając się uosobieniem i kwintesencją rozpacz. Leżała nie ruszając się i nie myśląc, podczas gdy na zewnątrz grzmiały bębny, ryczały rogi, chrapliwe głosy intonowały okropne pieśni, bosa stopy uderzały o ubitą ziemię, a dłonie wtórowały im cichym klaskaniem.

W końcu jednak powoli zaczęła odzyskiwać świadomość. Najpierw poczuła niejasne zdziwienie faktem, że wciąż jeszcze pozostawała nietknięta. Przyjęła ten cud bez wdzięczności: to było zupełnie bez znaczenia. Z trudem uklękła i rozejrzała się wokół. Zaczęła lekko poruszać kończynami, jakby w odpowiedzi na sygnał budzących się do życia nerwów. Bosymi stopami niepewnie przesunęła po polepie. Dziewczyna gwałtownie obciągnęła rąbek kusej koszuli, która stanowiła jej jedyne odzienie. Jak przez mgłę przypominała sobie, że płakała ze wstydu i strachu, gdy czyjeś niecierpliwie ręce brutalnie zdarły z niej suknię. Wydawało się jej, że było to dawno, dawno temu i dziwiła się, że

taka drobna przykrość mogła tak ją przygnębić. Odkryła, że zniewagi i upokorzenia są rzeczą względną, jak wszystko.

Drzwi chaty otwarły się i weszła tubylcza kobieta — zwinne, smukłe stworzenie o gibkim ciele błyszczącym jak polerowany heban — odziana tylko w skrawek jedwabiu okręcony wokół bujnych bioder. W białkach jej oczu odbijał się blask płonących na zewnątrz ognisk, gdy drwiąco spojrzała na dziewczynę. Przyniosła bambusową tacę z niewyszukanym pożywieniem: parujące mięsiwo, pieczone bulwy jamu i kukurydza oraz dzban z kutego złota napełniony winem yarati. Postawiła tacę na polepie, ale Liwia nie zwróciła na nią uwagi; siedziała, wpatrując się tępo w przeciwległą ścianę, zawieszoną matami z bambusowych pędów. Młoda kobieta uśmiechnęła się, błyskając białymi zębami, po czym syknąwszy coś złośliwie i uczyniwszy nieprzyzwoity gest, o wiele bardziej ordynarny niż słowa, odwróciła się i wymaszerowała z chaty, ruchami bioder wyrażając drwiącą pogardę.

Jednak ani jej słowa, ani gesty nie dotarły do świadomości Liwii, która wciąż nie zwracała uwagi na otaczającą ją rzeczywistość. Jej myśli uparcie krążyły wokół okropnych scen, które stawały przed oczyma z taką żywnością, że świat realny zdawał się jedynie nierzeczywistą pantomimą duchów i cieni. Machinalnie zjadła i wypła to, co jej przyniesiono, nie czując smaku potraw.

Po chwili podniosła się i jak w transie przemierzyła chatę, by zerknąć przez szparę między bambusami. Nagła zmiana w brzmieniu bębnow i rogów wyrwała ją z apatii, każąc szukać przyczyny zjawiska.

Początkowo nie mogła pojąć sensu rozgrywających się przed jej oczami wydarzeń; wszystko było splątane i mroczne, postacie bez przerwy poruszały się, zbijały w gromady, wiły i kręciły, jak czarne bryły wyciosane z nocy na krwawoczerwonym tle, przygasającym i rozbłyskającym na nowo. Później te postacie i ich działania nabrały właściwych proporcji i zrozumiała, że patrzy na tłum mężczyzn i kobiet tłoczących się wokół ognisk. Czerwone płomienie lśniły na ich srebrnych i kościanych ozdobach, białe pióropusze falowały na tle ciemnego nieba. Czarne sylwetki nagich postaci wydawały się być wycięte z mroku i obmalowane purpurą.

Na stołku z kości słoniowej, otoczony światą gigantycznych wojowników w pióropuszach i przepaskach z lamparcich skór, siedział

tłusty karzeł — odrażający stwór przypominający żabę, który, zdawało się, wypełził z cuchnącej stęchlizną, gnijącej dżungli lub grząskich bagien. Pulchne dłonie zaplótł na wydatnym brzuchu. Jego kark wyglądał jak okopcony wałek tłuszczu wypychający naprzód niekształtną głowę, a oczy płonęły w czarnej twarzy niczym węgle w osmalonym pniaku. Ich ruchliwość przeczyła bezwładności obrzydliwego ciała.

Widząc tę odrażającą postać, Liwia drgnęła nagle, jakby gwałtownie wracając do życia. Odrętwiałe ciało zmieniło się w kłębek rozdygotanych nerwów. Rozpacz ustąpiła miejsca nienawiści tak przejmującej, że aż bolesnej i dziewczyna zeszywniała, jak gdyby jej ciało było z ołowiu. Czuła nienawiść przepływającą niewidoczną falą razem ze spojrzeniem, tak że wydawało się, iż obiekt, ku któremu było skierowane to uczucie, lada chwila spadnie martwy ze stołka.

Jednak jeśli nawet Bajujh, król Bakalahów, odczuwał z tego powodu jakąś psychiczną nieprzyjemność, to nie dał tego po sobie poznać. Nadal wpychał w żabią gębę pełne garście kukurydzy, czerpanej z naczynia podsuwanego mu przez klęczącą kobietę, bez zmrużenia powiek spoglądając na szeroką aleję, którą utworzyli jego poddani, rozstępując się na boki.

Liwia niejasno podejrzewała, że właśnie wtedy ma nadejść jakaś ważna osobistość. Świadczył o tym narastający zgiełk rogów, bębnów i piszczałek. Tak też się stało.

Aleją maszerowała kolumna wojowników; las falujących pióropuszy i błyszczących włóczni przesuwiał się nad pstrokatym tłumem w kierunku wodza. Na czele czarnoskórych wojowników kroczył człowiek, na widok którego Liwie przesyłał dreszcz. Jej serce zamarło na chwilę, po czym zaczęło bić tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Przybysz wyraźnie odróżniał się od czarnego tłumu. Wprawdzie tak jak jego ludzie odziany był tylko w przepaskę z lamparciej skóry i przepyszny pióropusz, lecz miał białą skórę.

Szedł w kierunku siedzącego karła w sposób nie świadczący o tym, by przybywał jako poddany czy lennik oddający hołd. Gdy stanął przed Bajujhem, tłum nagle zamilkł. Liwia doskonale wyczuwała gęstniejącą atmosferę, choć nie pojmowała sensu obserwowanych wydarzeń. Bajujh, jakby zahipnotyzowany spojrzeniem przybysza, podźwignął swoje obrzydliwe cielsko i stanął, groteskowo kiwając głową.

Napięcie wyraźnie zelżało. Zgromadzeni wieśniacy wydali ogłuszający ryk, a w odpowiedzi wojownicy białego człowieka potrząsnęli włóczniami i gromkim okrzykiem powitali króla Bajujha. Liwia rozumiała, że przybyły musiał być kimś ważnym, skoro król Bakalahów witał go stojąc. W takich przypadkach poważanie kogoś oznaczało uznanie dla jego oręza, bowiem wśród tych dzikich ludów jedynie siła budziła szacunek.

Liwia stała z twarzą przyciśniętą do ściany, nie odrywając oczu od przybysza. Jego wojownicy wtopili się w tłum Bakalahów, tańcząc, uczując, żłowiąc piwsko. On zaś, wespół z kilkoma wodzami, zasiadł na macie obok Bajujha i jego świty, częstując się tym, co przed nim ustawiono. Liwia widziała, jak sięga do mis z tłustym mięsiwem i wlewa w siebie ogromne ilości trunku, jak pije z tego samego naczynia, z którego poprzednio pił Bajujh. Zauważyła, że darzono go szacunkiem należnym królowi — ponieważ nie było stołka, Bajujh zrezygnował ze swojego i również usiadł na macie obok gościa. Gdy przyniesiono nowy dzban wina, król Bakalahów ledwie go skosztował, wręczając naczynie nieznanemu.

Władza! Cały ten ceremoniał wskazywał, że biały człowiek miał władzę, siłę i prestiż! Liwia drżała z emocji, a w jej umyśle z wolna zaczęła się rodzić plan działania.

Intensywnie przyglądała się nieznanemu, starając się zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu. Był wysoki — niewiele czarnych dorównywało mu wzrostem i wagą, a poruszał się lekko i zwinnie, z kocią gracją. W jego niebieskich oczach paliły się groźne płomyki — niczym żar skryty za lodową taflą. Na nogach miał wysoko sznurowane skórzane sandały, a przy szerokim pasie prosty miecz w skórzanej pochwie. Wyglądał obco i nieprzystępnie. Liwia nigdy nie widziała kogoś takiego jak on i nawet nie próbowała odgadnąć, z jakiego kraju pochodził. Wystarczyło jej, że miał białą skórę.

Mijały godziny. Zgiełk przycichł z wolna, gdyż znużeni pijatyką tubylcy poczęli zapadać w ciężki sen. Bajujh podniósł się chwiejnie i uniósł ręce, co było gestem poddania się w zawodach obżarstwa i opilstwa. Zatoczył się i upadłby niechybnie, lecz stojący przy nim wojownicy krzepko chwycili go pod pachy i zanieśli do chaty. W chwilę później nieznanomy wstał również i nie zdradzając żadnych objawów

zamroczenia alkoholem, udał się na spoczynek. Gdy zniknął we wnętrzu domostwa, Liwia spostrzegła, jak tuzin wojowników z włóczniami w dłoniach otoczył jego kwaterę. Najwyraźniej przybysz nie dowierzał zbyt przyjaźni Bajujha.

Dziewczyna obrzuciła spojrzeniem wioskę, która wyglądała jak pobojuwisko: przejścia pomiędzy chatami usłane były ciałami pijanych. Liwia wiedziała, że jedynymi mężczyznami czuwającymi w wiosce są teraz oszczepnicy strzegący spokoju nieznanego przybysza, choć niektórzy z nich sennie pochylali głowy i opierali się na swoich włóczniach.

Serce waliło jej jak młot, gdy podkradała się do drzwi swojego więzienia. Bezszelestnie wyslizgnęła się na zewnątrz obok chrapiącego strażnika. Jak duch przemknęła przez plac, kierując się w stronę tylnej ściany chaty przybysza. Ostatnie metry przebyła na czworakach. Stojący tam na straży wojownik spał skulony na ziemi, opuściwszy ozdobioną pióropuszem głowę na kolana. Dziewczyna powoli przysunęła się do ściany. W tej chacie więziono ją przedtem, a wąska szczelina w bambusowych prętach, zasłonięta od wewnątrz zwisającą matą, przypominała o nieudanej próbie ucieczki. Liwia znalazła ten otwór, obróciła się bokiem i odsunawszy matę, zaczęła się wciskać do środka.

Wpadający z zewnątrz blask ognisk słabo oświetlał wnętrze. Zaledwie odchyliła matę, gdy usłyszała stłumione przekleństwo, poczuła czyjąś dłoń chwytającą ją za włosy, wciągającą do środka i szarpnięciem stawiającą na nogi.

Dygocząc ze strachu, oszołomiona gwałtownością wydarzeń, Liwia wzięła się w garść i odgarnawszy włosy z czoła, spojrzała w górę. Zobaczyła pochylającego się nad nią białego mężczyznę, na którego poznanej bliznami twarzy malowało się zdumienie. Nieznajomy trzymał w ręku obnażony miecz, a jego oczy jarzyły się złowrogim płomieniem. Nie potrafiła osądzić, czy było to tylko zdumienie, czy może podejrzliwość lub gniew. Przemówił w języku, którego nie rozumiała; dźwięki nie przypominały ani gardłowej mowy czarnoskórych, ani żadnego z języków cywilizowanych narodów.

— Och, proszę! — błagała. — Nie tak głośno. Usłyszają...

— Kim jesteś? — spytał po ophirsku z barbarzyńskim akcentem. — Na Kroma, nigdy bym się nie spodziewał, że w tym piekielnym kraju

spotkam białą dziewczynę!

— Mam na imię Liwia — odparła. — Jestem więźniem Bajujha. Och, proszę, wysłuchaj mnie! Nie mogę tu długo zostać. Muszę wrócić do chaty, zanim zauważą, że mnie nie ma. Mój brat... — urwała szlochając, po czym zaczęła od nowa. — Pochodzę z rodu Chelkus, uczonych i szlachciców ophirskich. Moim bratem był Theteles. Król Stygii dał mu glejt, z którym miał się udać do Kheshatty, miasta czarodziei, aby uczyć się ich sztuki. Ja miałam mu towarzyszyć. Był chłopcem, młodszym ode mnie... — głos jej się załamał i na chwilę umilkła.

Nieznajomy nie odezwał się słowem, mierząc dziewczynę płomiennym spojrzeniem. Z jego groźnie zmarszczonej twarzy niczego nie mogła wyczytać. Czuła, że ma przed sobą człowieka o gwałtownej, nieokiełznanej naturze, co przepajało ją lękiem i niepewnością.

— Czarni Kushici najechali Kheshattę — ciągnęła pospiesznie. — Właśnie dojeżdżaliśmy do miasta wraz z karawaną wielbłądów. Nasi opiekunowie uciekli, a Kushici uprowadzili nas. Nie uczynili nam krzywdy. Powiedzieli, że będą rokować ze Stygijczykami i wezmą za nas okup. Jednak jeden z ich wodzów chciał zagarnąć go dla siebie i pewnej nocy wykradł nas z obozu, po czym razem ze swoimi ludźmi umknął daleko na południe, pod samą granicę Kush. Tam zostaliśmy zaatakowani przez bandę rabusiów bakalahańskich. Tylko nas oszczędzono. Thetelesa i mnie zawleczono później do jaskini tej bestii... — załkała rozpaczliwie. — Dziś rano brata zamęczono i rozsiekano na moich oczach...

Żal ścisnął jej gardło i zmącił wzrok.

— Jego ciało rzucili szakalom. Nie wiem, jak długo leżałam nieprzytomna...

Podniosła oczy ku groźnie zmarszczonej twarzy obcego. Nagle ogarnęła ją szalona wściekłość; zaczęła bębnić piąstkami w jego masywną pierś, na co zwrócił tyleż uwagi, co na brzęczenie muchy.

— Jak możesz tak stać, ty głupcze? — syczała wściekle. — Czyż jesteś tylko zwierzęciem, jak oni? Ach, Mitro, kiedyś sądziłam, że ludzie są dobrzy. Teraz wiem, że każdy ma swoją cenę. Ty... Co ty wiesz o honorze, o litości czy współczuciu! Jesteś takim samym barbarzyńcą jak tamci! Tylko twoja skóra jest biała — duszę masz czarną jak oni. Nie obchodzi cię to, że te bestie okrutnie zamęczyły człowieka i chcą mnie uczynić niewolnicą!

Cofnęła się.

— Dobrze! Zapłacę ci — rzuciła, zdzierając koszulę z piersi. — Czyż nie jestem ładna? Czyż nie jestem bardziej godna pożądania niż tubylcze dziewczki? Czy nie jestem godną nagrodą za przelaną krew? Czy białoskóra dziewczica nie jest warta by za nią zabijać? Zabij tego psa, Bajujha? Niech zobaczę, jak jego przeklęty łeb toczy się po zakrwawionej ziemi! Zabij go! Zabij!

Umilkła, wstrząsana burzą uczuć. Zaciśnęła pięści.

— Później możesz mnie wziąć i robić co zechcesz. Będę twoją niewolnicą!

Milczał chwilę, stojąc niczym olbrzymi posąg śmierci i zniszczenia, ściskając w dłoni miecz.

— Mówisz, jakbyś mogła sama decydować o swoim losie — rzekł — i jakby dar twego ciała miał moc wstrząsania królestwami. Dlaczego miałbym zabijać Bajujha, żeby cię osiąść? W tej krainie kobiety są tanie jak banany, a ich zgoda czy jej brak niewiele znaczy. Zbyt wysoko się cenisz. Gdybym cię pragnął, nie musiałbym walczyć z Bajujhem. On wolałby cię oddać niż walczyć.

Liwia jęknęła. Nagle opuściły ją resztki sił i świat zawirował jej przed oczyma. Zatoczyła się i bezwładnie jak kukiełka, której ucięto sznurki, osunęła się na ziemię. Szorstkie słowa nieznanego uświadomiły jej całkowitą bezsilność, odebrały nadzieję i pogrzyły w rozpacz. Człowiek nieświadomie trzyma się ocen i poglądów, do których jest przyzwyczajony, nawet w zupełnie zmienionych warunkach i sytuacjach. Mimo wszystkich nieszczęść, jakich doświadczyła, Liwia wciąż podświadomie uważała, że jej zgoda jest istotnym czynnikiem w grze, którą zamierzała podjąć. Obezwładniło ją uświadomienie sobie faktu, że jest całkowicie bezsilna. W tej grze nie mogła posługiwać się mężczyznami jak pionkami; sama była bezradnym pionkiem.

— Widzę teraz, jak absurdalne było moje przeświadczenie, że ktoś w tym zakątku świata może postępować według reguł i obyczajów przyjętych na drugim krańcu świata — wyszeptała, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi; po prostu głośno wyraziła swoje myśli. Przybita ostatnim kaprysem losu osunęła się, lecz żelazne palce barbarzyńcy zamknęły się na jej ramieniu i znów postawiły na nogi.

— Nazwałaś mnie barbarzyńcą — rzekł szorstko — i miałaś rację,



Kromowi dzięki. Gdyby opiekowali się tobą tacy jak ja, a nie cywilizowani słabeusze, nie byłabyś dziś niewolnicą tego wieprza. Jestem Conan, Cymeryjczyk — żyję z tego, co zdobędę mieczem. Jednak nie jestem jeszcze takim psem, żeby zostawić kobietę w łapach dzikusów, a chociaż twoi rodacy zwą mnie rabusiem, nigdy nie posiadałem kobiety wbrew jej woli. Różne są obyczaje w różnych krajach, ale jeśli człowiek jest wystarczająco silny, może wszędzie dopiąć swego. Nikt nie nazwał mnie słabeuszem. Nawet gdybyś była stara i brzydka, jak oswojony sęp diabła, zabrałbym cię Bajujhowi ze względu na kolor twojej skóry. Jednak jesteś młoda i piękna, a ja już dość się napatrzyłem na tubylcze dziewczki. Od ich widoku zbiera mi się na mdłości. Zrobię to, czego żądasz, ponieważ podzielam niektóre z twoich uczuć. Wracaj do swojej chaty. Bajujh jest zbyt pijany, by dziś do ciebie przyjść i zadbam o to, aby jutro też był zajęty. Jutrzejszej nocy ogrzejesz łożo Conana, nie Bajujha.

— Jak chcesz tego dokonać? — dziewczyną wstrząsały mieszane uczucia. — Masz jeszcze innych wojowników?

— Wystarczą ci — mruknął. — To Bamulasi, jeden w drugiego, a umiejętność wojowania wyssali z mlekiem matek. Przybyłem tu na prośbę Bajujha. Chce, żebym przyłączył się do ataku na Jihijich. Dziś wieczór ucztowaliśmy. Jutro odbędzie się rada. Kiedy z nim skończę, będzie się naradzał w piekle.

— Złamiesz przymierze? — zapytała.

— W tym kraju przymierza zawiera się po to, żeby je łamać — odparł ponuro. — On chce łamać przymierze z Jihijimi. A kiedy już splądrowalibyśmy ich miasto, załatwiłby mnie przy pierwszej sposobności. To, co gdzie indziej byłoby najpodlejszą zdradą, tu uważane jest za dowód mądrości. Nie wywalczyłem sobie pozycji wodza Bamulasów, nie nauczywszy się pierwiej tej zasady. A teraz wracaj do swojej chaty i śpij wiedząc, że to dla mnie masz zachować swoją urodę!

## 2.

Liwia przywarła do szczeliny w bambusowej ścianie i patrzyła, drżąc z emocji. Zmęczeni nocnym pijaństwem tubylcy przez cały dzień szykowali następną ucztę. Ten czas Conan Cymeryjczyk spędził w chacie wodza i Liwia nie miała pojęcia, co się tam działo. Z trudem ukrywała podniecenie przed jedyną osobą, która wchodziła do jej więzienia — wyzywającą młodą kobietą, przynoszącą jedzenie i picie. Ta jednak była jeszcze zbyt oszołomiona po całonocnej hulance, aby zauważyć jakąś zmianę w zachowaniu branki.

Gdy zapadła noc, rozpalono ogniska. Wodzowie opuścili chatę króla i zasiedli na otwartej przestrzeni, aby ucztować i przeprowadzić uroczystą naradę wojenną. Tym razem nie pito tyle piwa. Liwia zauważyła, że Bamulasi nieznacznie przesuwały się bliżej kręgu siedzących dowódców. Widziała Bajujha i siedzącego naprzeciw niego Conana, żartującego z roslým Ają, wojennym wodzem Bakalahów.

Cymeryjczyk ogryzał ogromny wołowy udziec i przyglądająca się temu Liwia zauważyła jak spojrzął przez ramię na swych wojowników. Jakby to był sygnał, na który czekali, wszyscy Bamulasi popatrzyli na swojego wodza. Conan wstał i nie przestając się uśmiechać udał, że sięga do stojącego obok kotła z mięsiwem, po czym odwrócił się zwinnie jak kot i ciężką kością zadał Aji straszliwy cios w głowę. Wojownik padł z rozwaloną czaszką i w tej samej chwili przeraźliwy wrzask wstrząsnął dżunglą — to Bamulasi ruszyli do walki niczym żądne krwi tygrysy.

Kotły z jedzeniem wywracały się, parząc kobiety, bambusowe ściany chat uginały się pod uderzeniami walących o nie ciał, wrzaski agonii niosły się daleko w noc, a nad tym zgiełkiem górowały bojowe okrzyki szalejących Bamulasów i raz po raz błyskały oblane purpurową poświatą ostrza ich włóczni.

Zapanowało powszechne zamieszanie. Niespodziewany atak zupełnie zaskoczył nieszczęsnych mieszkańców wioski. Myśl o jakimkolwiek zagrożeniu ze strony gości nawet nie przemknęła przez głowę Bakalahów. Większość wojowników pozostawiła broń w chatach, a wielu było już ponownie pijanych. Zabicie Aji było sygnałem, na który

czekali Bamulasi; już pierwsze uderzenie położyło pokotem setkę wojowników — zaczęła się prawdziwa masakra.

Liwia nie była w stanie odejść od szczeliny; blada jak ściana, odrzuciła w tył złote loki i ścisnęła rękami skronie. Odrętwiała ze zgrozy patrzyła zesklonymi oczami na rzeź. Wrzaski bólu i wściekłości były dla jej udręczonych nerwów jak fizyczne ciosy; zamazane, wyjące sylwetki to przybliżały się do jej chaty, to znów oddalały. Przerażająco wyraźnie widziała włócznie przeszywające rozpaczliwie umykających ludzi, tryskającą krew, pałki unoszące się i opadające ze straszliwą siłą na głowy ofiar. Rozrzucone nogami uciekających głównie ognisk sypały skrami; strzechy chat poczerniały, strzelając płomieniami. Poprzez zgiełk przedarł się przeraźliwy wrzask płonących żywcem ludzi. Mdląca woń spalonego mięsa rozeszła się w powietrzu przesyconym zaduchem potu i krwi.

Napięte nerwy Liwii nie wytrzymały. Z jej gardła wydobył się przenikliwy krzyk udręki, który zginął w odgłosach płomieni i wrzaskach mordowanych. Dziewczyna przycisnęła pięści do skroni. Bliska utraty zmysłów, daremnie usiłowała wytłumaczyć sobie, że to wrogowie giną tak straszną śmiercią, że sama zamierzała do tego doprowadzić i że ta rzeź to zapłata za zło wyrządzone jej bratu. Krzyk zmienił się w histeryczny wybuch szalonego śmiechu. Bezgraniczne przerażenie ścisnęło ją za gardło.

Zapomniała o litości dla ofiar umierających pod ciosami zbuczonych krwią włócznie. Czuła tylko potworny, paniczny lęk... Ujrzała Conana.

Jego biała postać wyróżniała się wśród kłębowiska czarnych ciał. Liwia zobaczyła błysk miecza i padających wokół ludzi. Tłum walczących przetoczył się bliżej ogniska i dziewczyna dostrzegła tłustą, przysadzistą postać. Conan przedarł się przez walczących i na moment zniknął jej z oczu pośród czarnych sylwetek. Powietrze przeszył cienki, rozpaczliwy pisk. Ciżba walczących nie pozwoliła dostrzec szczegółów, lecz Liwia ujrzała, jak tłusty karzeł zatacza się brocząc krwią. Potem tłum znów zgęstniał i stalowe ostrze błysnęło niczym błyskawica na nocnym niebie.

Dał się słyszeć donośny okrzyk triumfu, przerażający swą dziką radością. Gigantyczna postać przedarła się przez tłum. Conan kroczył ku chacie, w kierunku Liwii. W ręce niósł dar, który płomienie palących się

chat oświetliły czerwonym blaskiem — głowę króla Bajujha. Z daleka widać było wywrócone białka oczu, obwisłą w idiotycznym uśmiechu szczękę i gęsty deszcz szkarłatnych kropel padających na ziemię.

Liwia cofnęła się z jękiem zgrozy. Conan dotrzymał słowa i teraz przybywał po zapłatę, przynosząc straszliwy dar. Chwyci ją okrwawionymi palcami, zmiażdży wargi ustami jeszcze dyszącymi żądzą mordu. Na myśl o tym dziewczynę ogarnęło szaleństwo.

Z wrzaskiem przebiegła przez chatę i uderzyła ciałem o tylne drzwi. Wywaliła je z trzaskiem i wypadła na otwartą przestrzeń niczym biały duch przelatujący przez królestwo czarnych cieni i czerwonego płomienia.

Instynktownie skierowała się do zagrody, w której trzymano konie. Czarnoskóry wojownik właśnie wyjmował belki oddzielające zagrodę od głównej bomy. Z okrzykiem zdumienia wyciągnął rękę i chwycił za kołnierz koszuli Liwii. Dziewczyna wydarła mu się rozpaczliwym szarpnięciem, zostawiając szatę w jego rękach. W tejże chwili parskające, przerażone konie przebiegły obok, wdeptując wojownika w ziemię — chude, żylaste konie Kushitów, oszalałe od widoku ognia i zapachu krwi.

Liwia sięgnęła na oślep i chwyciła powiewającą grzywę. Szarpnięcie oderwało ją od ziemi; znów dotknęła jej palcami stóp, odbiła się, podciągnęła i wgramoliła na grzbiet galopującego wierzchowca. Oszalałe stado przeleciało przez wioskę; małe podkowy skrzesły deszcz iskier z główni rozrzuconego ogniska. Zaskoczeni tubylcy przez moment widzieli nagą, białą dziewczynę na grzbiecie pędzącego jak wiatr rumaka. Gęste, złote włosy płynęły za nią długą falą. Wierzchowiec pogalopował przez plac, przeskoczył przez bomę i znikł w mroku nocy.

### 3.

Liwia nie próbowała kierować wierzchowcem, nie czuła też żadnej potrzeby robienia tego. Łuna pożaru i wrzaski mordowanych pozostały w tyle, wiatr rozwiewał jej włosy i pieścił nagie ciało. Niejasno zdawała sobie sprawę, że musi się trzymać powiewającej grzywy i galopować, galopować, aż na koniec świata, jak najdalej od bólu, rozpacz i przerażenia.

Niezmordowany rumak pędził przed siebie, gdy nagle — wbiegłszy na szczyt oblanego światłem gwiazd pagórka — potknął się i zrzucił dziewczynę.

Spadła na miękką murawę i przez chwilę leżała półprzytomna, słuchając, jak koń oddala się wolnym kłusem. Gdy chwiejnie stanęła na nogi, zdziwiła ją panująca wokół cisza. Ta cisza była wprost namacalna, a po ogłuszającym łomocie bębnow i rogów, który doprowadzał do szaleństwa, wydawała się czymś łagodnym i miękkim jak aksamit. Liwia podniosła wzrok ku wielkim, białym gwiazdom gęsto rozsypanym na czarnym niebie. Nie było księżyca i tylko one oświetlały ziemię swym złudnym blaskiem, budząc ostre plamy cienia. Liwia stała na pokrytym murawą wzniesieniu, którego łagodne stoki spływały miękko ku szerokiej dolinie. W oddali dostrzegła zwartą, ciemną linię drzew — skraj lasu. Tutaj była tylko noc i martwa cisza, a słaby wietrzyk zdawał się spływać z gwiazd.

Wszystko wydawało się pogrążone we śnie. Ciepła pieszczota wiatru uświadomiła dziewczynie jej nagość; drgnęła niespokojnie, zakrywając się rękami. Poczwała otaczającą ją pustkę i własną samotność. Była sama. Stała naga na szczycie pagórka i nikt jej nie widział — nikt prócz nocy i szepczącego wiatru.

Nagle poczuła głębokie zadowolenie. Już nic jej nie groziło; nikt nie zmiażdży jej w brutalnym uścisku. Spojrzała uważnie i zobaczyła dno doliny. Falowały tam wysokie paprocie, a wśród nich majaczyły, porzrucane tu i tam, jakieś blade przedmioty. Wydało jej się, że to wielkie białe kwiaty. Ta myśl nasunęła jej niewyraźne wspomnienie; przypomniała sobie, że czarni z lękiem opowiadali o jakiejś dolinie, w

której niegdyś schroniły się przed najeźdźcami kobiety dziwnej brązowoskórej rasy, podobno zamieszkującej te ziemie przed nadejściem praprzodków Bakalahów. Tam, jak głosiła legenda, zamieniły się w białe kwiaty: w ten sposób dawni bogowie pomogli im umknąć przed prześladowcami. Żaden tubylec nie śmiał wejść do tej doliny.

Jednak Liwia nie wahała się. Zejdzie po trawiastym stoku, który dla jej delikatnych stóp był jak aksamitny dywan; zamieszka wśród tych kołyszących się, białych kwiatów i nigdy żaden mężczyzna nie zdoła jej pochwycić. Conan powiedział, że zawiera sojusze tylko po to, aby je łamać, więc ona złamie przymierze, które z nim zawarła. Uda się do Doliny Zaginionych Kobiet, zatraci się w ciszy i samotności... Pogrążona w tych myślach schodziła po łagodnym zboczu, coraz niżej i niżej w dolinę, której zbocza wznosiły się coraz wyżej z obu stron.

Te stoki były tak łagodne, że nawet kiedy znalazła się na dnie doliny, nie miała wrażenia, że jest odcięta od świata. Wokół falowało morze cienia, a wielkie białe kwiaty kołysały się i zdawały czule do niej szeptać. Liwia ruszyła przed siebie, delikatnymi rękami rozchylając paprocie, z dziecinną radością słuchając szmerzącego wśród liści wiatru i bulgotu niewidocznego strumyka. Kroczyła jak we śnie, jak gdyby znalazła się w jakimś nierzeczywistym świecie. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: że tu jest wolna od brutalności mężczyzn. Płakała, ale były to łzy radości. Wyciągnęła się na miękkiej murawie i chwyciła rękami żdzbla trawy, jakby chciała całą dolinę przycisnąć do piersi i nigdy nie wypuścić.

Zerwała kilka białych płatków i wplotła je we włosy niczym diadem. Ich zapach był jak wszystko w dolinie: delikatny, upajający.

W końcu wyszła na polankę pośrodku doliny i ujrzała tam wielki głaz, przypominający wyciosany ludzkimi rękami ołtarz, ozdobiony zielonymi pędami paproci i kwieciem. Liwia stanęła przed nim, czując czyjąś obecność. Odwróciła się i zobaczyła wyłaniające się z cienia postacie. To były kobiety; smukłe, o brązowej karnacji, z kwiatami wplecionymi w czarne jak noc włosy. Bez słowa otoczyły kręgiem dziewczynę. Zobaczywszy ich oczy Liwia poczuła przypływ przerażenia. Ich oczy były jasne i świetliste — lecz nie miały w sobie nic ludzkiego. Wprawdzie te stworzenia miały ludzką postać, ale ich dusze uległy jakimś okropnym przemianom, odzwierciedlającym się w tych płonących źrenicach. Liwia czuła obezwładniający lęk. Żmija podniosła swój

złowrogi łeb w nowoodkrytym raju.

Nie była w stanie uciekać. Gibkie, brązowoskóre istoty otoczyły ją ciasnym pierścieniem. Jedna, ładniejsza od innych, podeszła lekko do drżącej dziewczyny i objęła ją smukłymi ramionami. Jej oddech był przesycony tym samym zapachem, jaki sączył się z falujących w blasku gwiazd białych kwiatów. Jej wargi dotknęły warg Liwii, wyciskając na nich długi, straszliwy pocałunek. Dziewczyna poczuła, że krew ścina się jej w żyłach i drętwieją kończyny. Niczym posąg z marmuru trwała w objęciach czarnowłosej, niezdolna do wypowiedzenia choć słowa czy zrobienia najmniejszego ruchu.

Delikatne ręce podniosły ją i położyły na kamiennym ołtarzu, wśród wonnego kwiecica. Brązowoskóre kobiety chwyciły się za ręce i poczęły pisać wokół w dziwnym, ponurym rytmie. Nigdy ludzkie oczy nie oglądały takiego tańca, nie widziało go słońce ni księżyc — jedynie blade gwiazdy jarzące się teraz intensywniejszą poświatą, jakby w odpowiedzi na magiczny zew.

W powietrzu rozchodził się cichy śpiew; szmer głosów przypominający szelest falujących pod rozgwieżdżonym niebem kwiatów. Liwia nie utraciła przytomności, a jednak nie była w stanie zrobić żadnego ruchu. Nie miała powodu wątpić w swoje zdrowe zmysły, nie próbowała też zastanawiać się nad swoją sytuacją; po prostu była tu i te istoty tańczące wokół niej też były rzeczywistością, jakkolwiek koszmarną. Leżała, bezradnie wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, z którego, jak instynktownie wyczuwała, miało coś przybyć po nią, tak jak niegdyś przybyło do tych brązowoskórych kobiet, by uczynić je takimi niesamowitymi, pozbawionymi dusz istotami, jakimi były teraz.

Najpierw wysoko, wśród gwiazd, zobaczyła czarną plamę, która powiększając się, niebawem osiągnęła wielkość nietoperza. Nie koniec na tym — plamka rosła nadal, lecz jej kształt już się nie zmieniał. Tak określony zawisł nad doliną i zaczął opadać ku ziemi niczym kamień; jego cień padł na leżącą na ołtarzu Liwie. Śpiew nabrał mocy, zmieniając się w cichy pean nieludzkiej radości, wznoszony na powitanie bóstwa przybywającego po swoją ofiarę, świeżą i piękną, jak kwiat zroszony ranną rosą.

Stwór zawisł tuż nad przerażoną dziewczyną. Miał nietoperze skrzydła, lecz jego niekształtne ciało i okropne oblicze nie przypominały

żadnego żyjącego na ziemi stworzenia. Liwii wydawało się, że spogląda na ucieleśnienie grozy, uosobienie kosmicznego zła zrodzonego w otchłaniach nocy, przewyższającego najdziksze rojenia szaleńca.

Zebrawszy wszystkie siły, nabrała tchu w piersi i wrzasnęła przeraźliwie. Odpowiedział jej głuchy, złowrogi pomruk. Nagle usłyszała tupot bosych stóp i wszystko wokół zawirowało jak wzburzona woda; białe kwiaty stuliły płatki, a brązowoskóre kobiety zniknęły w oka mgnieniu. Ogromny, czarny cień wciąż unosił się nad Liwią, lecz już pędziła ku niej inna, wysoka postać w białym pióropuszu na głowie.

— Conan! — z ust dziewczyny wyrwał się mimowolny okrzyk.

Barbarzyńca jednym susem wskoczył na ołtarz i długie, srebrzyście lśniące ostrze ze świstem przecięło powietrze. Wielkie, czarne skrzydła łopotały bezgłośnie. Zdrętwiała z przerażenia Liwia ujrzała, jak czarny cień spowija stojącego nad nią Cymeryjczyka. Conan dyszał ciężko, jego stopy tratowały łodygi białych kwiatów. W ciszy słuchać było tylko jego głośny oddech i świst spadającego ostrza. Coś potrząsało nim jak kot potrząsa myszą i krew prysnęła na trawę, mieszając się z białymi płatkami, które usłały ziemię niczym dywan.

Wreszcie patrząca na te okropne zmagania dziewczyna dostrzegła, jak czarnoskrzydły stwór gwałtownie zakołysał się w powietrzu, raptownym łopotem skrzydeł oderwał od przeciwnika i wzbił w górę, znikając wśród gwiazd. Zwycięzca stał chwiejnie na szeroko rozstawionych nogach i groźnie potrząsając mieczem patrzył w ślad za potworem; zadziwiony jego odwrotem, lecz w każdej chwili gotowy podjąć dalszą walkę.

Po chwili Conan zszedł z ołtarza. Dyszał ciężko i broczył krwią. Jego potężna, błyszcząca od potu pierś unosiła się i opadała z wysiłkiem, a barki i ramiona spływały krwią. Dotknął Liwii i dziewczyna natychmiast zerwała się na równe nogi, zeskakując z ołtarza. Można by sądzić, że Cymeryjczyk przeciął niewidoczne pęta.

Conan oparł się o kamień, patrząc na skuloną u jego stóp dziewczynę.

— Moi ludzie widzieli, jak uciekłaś z wioski — rzekł. — Ruszyłem za tobą jak mogłem najprędzej i wkrótce znalazłem twój ślad, chociaż tropienie przy świetle pochodni nie jest łatwe. Dotarłem do miejsca, gdzie koń cię zrzucił i chociaż skończyły mi się pochodnie i nie mogłem



dostrzec śladów twoich stóp na murawie, byłem pewny, że zesłaś do doliny. Moi wojownicy nie chcieli iść ze mną, więc poszedłem sam. Co to za piekielne miejsce! I co to był za stwór?

— To bóstwo — szepnęła. — Bóstwo spoza otchłani czasu i przestrzeni, o którym mówią czarni...

— Demon ciemności — mruknął Cymeryjczyk. — Och, teraz rozumiem. Za otaczającym nasz świat pasem światła jest ich więcej niż pcheł. Słyszałem, jak mówili o tym zamorańscy mędracy. Czasem te stwory pojawiają się w naszym świecie, ale wtedy muszą przybrać jakąś materialną postać. Mając dobry miecz w ręku człowiek może stawić czoła kłom i pazurom — każdego potwora, ziemskiego czy piekielnego. Chodź, moi ludzie czekają na skraju doliny.

Zmarszczywszy brwi Cymeryjczyk spoglądał na kulącą się u jego stóp dziewczynę, niezdolną poruszyć się czy wykrztusić choć słowo. W końcu Liwia wyszeptała:

— Uciekłam przed tobą. Chciałam cię oszukać. Nie zamierzałam dotrzymać obietnicy; miałam być twoją niewolnicą, a chciałam ci uciec. Możesz mnie ukarać...

Conan otarł pot z czoła i włożył miecz do pochwy.

— Wstań — mruknął. — To nie była uczciwa umowa. Nie żałuję tego psa Bajujha, lecz ty nie jesteś dziewczką, którą się kupuje. W różnych krajach rozmaite są obyczaje, ale człowiek nie powinien być wieprzem, obojętnie gdzie się znajduje. Kiedy to sobie przemyślałem, stwierdziłem, że gdybym cię trzymał za słowo, to tak samo, jakbym cię zniewolił. Ponadto nie jesteś na tyle silna, aby żyć w tym kraju. Twoje miejsce jest w mieście, wśród książek i cywilizowanych ludzi. Szybko zginęłabyś, gdybyś miała zostać u mego boku. A z martwej kobiety nie ma żadnego pożytku. Zabiorę cię do stygijskiej granicy. Stygijczycy odeślą cię do domu, do Ophiru.

Liwia spojrzała na niego tak, jakby nie była pewna, czy dobrze go słyszy.

— Do domu? — powtórzyła machinalnie. — Do domu? Do Ophiru? Do rodziców? Do miasta, ludzi, książek...?

Nagle łzy popłynęły jej z oczu i padła Conanowi do nóg.

— Na Kroma, nie rób tego — mruknął barbarzyńca — Myślałby kto, że oddaję ci przysługę, wypędzając cię z tego kraju. Czyż nie wyjaśniłem

ci, że nie jesteś odpowiednią kobietą dla wodza Bamulasów?

# Stalowy demon

## 1.

Rybak kurczowo chwycił rękojeść swego noża. Zrobił to zupełnie odruchowo, bowiem tego, czego się obawiał, nie zdołałby zabić nożem — nawet zębatym, zakrzywionym ostrzem Yuetsarów, którym z łatwością można rozplatać dorosłego mężczyznę. Tutaj, w murach opuszczonej fortecy Xapur, przybyszowi nie zagrażał ani człowiek, ani zwierzę.

Wspiąwszy się na strome, przybrzeżne skały, przebył otaczającą fortyfikacje dżunglę i znalazł się wśród pozostałości zaginionej cywilizacji. Wśród drzew białe potrzaskane kolumny, zygzaki kruszących się murów biegingły chwiejnymi meandrami w cień, a szerokie niegdyś chodniki popękały i powybrzuszały się pod naporem olbrzymich korzeni.

Rybak był typowym przedstawicielem swej rasy, dziwnego ludu, o rodowodzie ginącym w mrokach przeszłości, który od niepamiętnych czasów zamieszkiwał prymitywne chaty osad leżących nad brzegami morza Vilayet. Krępy mężczyzna o długich, małych ramionach i cienkich, kabłąkowatych nogach miał szeroką twarz, niskie cofnięte czoło okolone strzechą zmierzwionych włosów i potężny tors. Pas z nożem i łachman przepaski stanowiły cały jego strój.

Obecność rybaka w tym miejscu dowodziła, że w przeciwieństwie do większości swych ziomeków nie był zupełnie pozbawiony ciekawości. Ludzie rzadko odwiedzali Xapur. Ta niezamieszkała, prawie zapomniana wyspa była jedną z tysięcy rozsianych na tym wielkim, śródlądowym morzu. Zwano ją Fortecą Xapur, ze względu na ruiny — pozostałość jakiegoś prehistorycznego królestwa, zapomnianego na długo przed nadejściem Hyboryjczyków z północy. Nikt nie wiedział, kto ociosał te głązy, chociaż przekazywane wśród Yuetsarów z pokolenia na pokolenie, niemal niezrozumiałe legendy wspominały o pradawnym związku między rybakami a wymarłymi mieszkańcami wyspy.

Jednak Yuetshowie już ponad tysiąc lat wcześniej przestali rozumieć sens tych opowiadań. Teraz powtarzali je jak pozbawione znaczenia, rytualne formułki, zgodnie ze zwyczajem przekazywane z ojca na syna. Od wieków nikt z ich plemienia nie postawił stopy na Xapur. Pobliskie brzegi były niezamieszkałe; porośnięte trzcina bagna i dzikie bestie czyniły je niedostępnymi. Wioska rybaka leżała nieco dalej na południe. Nocny sztorm przygnał jego kruchą łódkę tutaj, daleko od zwykłych łowisk, a ryczące fale roztrzaskały ją o urwisty brzeg wyspy. Teraz, rankiem, niebo było niebieskie i czyste, a wschodzące słońce zamieniało krople rosy na liściach w skrzące się diamenty. Spędziwszy noc u podnóża skał, rybak wspinał się na nie o świcie, gdyż podczas nocnej burzy, gdy jeden szczególnie silny piorun zatrzęsł całą wyspą, dał się słyszeć potworny łoskot osypujących się głazów. Nie sądził, by ten dźwięk mogło wywołać walące się drzewo.

Zwyczajna ciekawość kazała mu sprawdzić w czym rzecz, a teraz, gdy znalazł to, czego szukał, zaniepokoił się, instynktownie wyczuwając niebezpieczeństwo.

Wśród drzew wznosiły się ruiny kopulastej budowli, zbudowanej z gigantycznych bloków tego szczególnego, twardego jak stal kamienia znajdowanego tylko na wyspach Vilayet. Wydawało się nieprawdopodobne, by ludzkie ręce zdołały obrobić te głazy i ustawić z nich mury, a z pewnością zburzenie ich nie leżało w mocy człowieka. Jednak piorun strzaskał kilkutonowe głazy niczym szkło, zamieniając niektóre z nich w zielony pył i rozłupując kopulasty strop.

Rybak wspinał się na gruzowisko i zajrzawszy do środka wydał okrzyk zdumienia. Pod rozbitym sklepieniem, obsypany przez odłamki skały i kurz, na złotym piedestale leżał olbrzym. Jedynym jego odzieniem była krótka spódniczka z rekiniej skóry. Czarną grzywę prosto przyciętych włosów przytrzymywała mu na skroniach wąska, złota opaska. Na nagiej, muskularnej piersi leżał dziwny sztylet o szerokim, zakrzywionym ostrzu i wysadzanej klejnotami rękojeści. Broń była bardzo podobna do noża, jaki nosił u pasa rybak, chociaż nie miała zębatego ostrza i wykonano ją z nieskończenie większą starannością.

Rybak poządlawie spojrział na sztylet. Jego właściciel był niewątpliwie martwy; od wielu wieków z pewnością spoczywał w swym kopulastym grobowcu. Rybak nie zastanawiał się długo nad tajemniczą

sztuką starożytnych, dzięki której umarły zachował tak łudzące pozory życia, a jego smagłe ciało przetrwało nietknięte przez czas. Wszystkie myśli przybyłego skupiły się na pięknym nożu, zdobionym delikatnymi, falistymi liniami biegnącymi wzdłuż zimno lśniącego ostrza.

Zszedłszy do grobowca, podniósł broń leżącą na piersiach mężczyzny. W tej samej chwili zdarzyło się coś dziwnego i straszego. Muskularne, czarne dłonie zacisnęły się kurczowo, powieki uniosły się odsłaniając ogromne, ciemne źrenice, których magnetyczne spojrzenie uderzyło przerażonego rybaka niczym cios pięści. Cofnął się, upuszczając sztylet, gdy spoczywający na postumencie olbrzym podniósł się do pozycji siedzącej. Rybak rozdziawił usta ze zdziwienia, widząc, jak gigantyczną posturą obdarzony był nieznajomy. Ten wpatrywał się w niego zwężonymi oczyma, pozbawionymi życzliwości czy wdzięczności, płonącymi obco i wrogo niczym ślepiec tygrysa.

Nagle wstał ze swego posłania i pochylił się nad rybakiem. W prymitywnej duszy rybaka nie było miejsca na uczucie strachu; przynajmniej nie wzbudził go widok naruszenia podstawowych praw natury. Gdy olbrzymie dłonie zacisnęły się na jego ramionach, dobył swego zakrzywionego noża i pchnął — jednym płynnym ruchem. Ostrze prysnęło uderzywszy w muskularny tors giganta, jakby okrywał go niewidoczny stalowy pancerz i w tej samej chwili kark rybaka trzasnął w rękach olbrzyma jak spróchniała gałąź.

## 2.

Jehungir Aga, pan Khawarizmu oraz strażnik morskich granic raz jeszcze spojrzął na ozdobny zwój pergaminu opatrzony wielobarwną pieczęcią, po czym zaśmiał się krótko i sardonicznie.

— No? — bezceremonialnie nalegał Ghaznavi, jego doradca.

Jehungir wzruszył ramionami. Był przystojnym mężczyzną, dumnym ze swych osiągnięć i wysokiego urodzenia.

— Król się niecierpliwi — powiedział. — Własną ręką kreśli do mnie słowa swego niezadowolenia z powodu mojej, jak to nazywa, niezdolności do ochrony granicy. Na Tarima, jeżeli nie zdołam zadać druzgoczącego ciosu tym stepowym rabusiom, Khawarizm może mieć nowego pana!

Ghaznavi w zamyśleniu gładził swą przetykaną siwizną brodę. Yezdigerd, król Turanu, był najpotężniejszym monarchą na świecie. Jego pałac w wielkim portowym mieście — Aghrapurze, wypełniały nieprzebrane skarby zrabowane w wielu królestwach. Flotyle jego galer wojennych o czerwonych żaglach niepodzielnie królowały na Morzu Vilayet. Ciemnoskóry lud Zamory składał mu daninę, tak samo jak wschodnie prowincje Koth. Również Shemici poddali się jego władzy, aż po leżący daleko na wschodzie Shushan. Jego armie pustoszyły pogranicze Stygii na południu i okryte śniegiem ziemie Hyperborejczyków na północy. Jego jeźdźcy ponieśli ogień i żelazo na zachód, do Brythunii, Ophiru, Koryntii, a nawet do granic Nemedii. Na rozkaz króla Yezdigerda wojownicy w pozłacanych zbrojach tratowali kopytami swych koni mieszkańców tych ziem i puszczali z dymem ich miasta. Na przepelnionych targowiskach niewolników w Aghrapurze, Sultanapurze, Khawarizmie, Shahpurze i Khoruzanie za trzy małe sztuki srebra sprzedawano kobiety: ciemnowłose Zamoranki, brunatnoskóre Stygijki, jasnowłose Brythunki, hebanowe Kushitki i Shemitki o oliwkowej skórze.

A jednak, chociaż jego szybka jazda zwyciężała obce armie daleko od granic Turanu, tuż pod bokiem zuchwały wróg szarpał go za brodę zakrwawionymi i okopconymi palcami. Na rozległych stepach między

Morzem Vilayet a odległymi granicami hyboryjskich królestw, powstała w ciągu niecałych pięćdziesięciu lat nowa społeczność, założona przez zbiegłych niewolników, banitów, przestępców i dezertów. Ich zbrodnie były tak rozmaite, jak kraje ich pochodzenia: jedni urodzili się na stepach, inni przybyli z królestw Zachodu. Nazywano ich kozakami czyli przybłędami. Zamieszkując szerokie, dzikie równiny, nie uznając żadnych praw prócz swego specyficznego kodeksu, potrafili stawić czoło nawet wojskom Wielkiego Monarchy. Nieustannie najężdżali granice Turanu, chroniąc się w stepie w razie klęski; razem z piratami Czerwonego Bractwa Morza Vilayet nękali wybrzeże, łupiąc statki handlowe kursujące między hyrkańskimi portami.

— Jak mam zniszczyć to wilcze plemię? — dopytywał się Jehungir. — Jeśli wyruszę za nimi w step, ryzykuję, że otoczą mnie i rozbiją albo, jeżeli będę miał przewagę, wymkną się z okrażenia i spalą miasto w czasie mojej nieobecności. Ostatnio rozzuchwalili się bardziej niż zwykle.

— To z powodu nowego wodza — rzekł Ghaznavi. — Wiesz, o kim myślę.

— Tak! — odparł z wściekłością Jehungir. — To ten demon Conan. Jest jeszcze dzikszy od kozaków, ale waleczny niczym górski lew.

— Raczej dzięki instynktowi niż inteligencji — powiedział Ghaznavi. — Inni kozacy są przynajmniej potomkami cywilizowanych ludzi. On jest barbarzyńcą; gdyby udało nam się go pozbyć, zadalibyśmy kozakom decydujący cios.

— Ale jak? — pytał Jehungir. — Raz po raz wychodzi cało z wydawałoby się śmiertelnych opresji. Poza tym dzięki instynktowi czy rozważeniu uniknął wszystkich zasadzek.

— Na każde zwierzę i na każdego człowieka znajdzie się odpowiednia przynęta — rzekł sentencjonalnie Ghaznavi. — Kiedy paktowaliśmy z kozakami w sprawie okupu za więźniów, obserwowałem Conana. Ma skłonność do mocnych trunków i nie stroni od kobiet. Sprowadź tu swą niewolnicę Oktawię.

Jehungir klasnął w dłonie i hebanowo czarny Kushita — eunuch o kamiennej twarzy — oddalił się z niskim pokłonem, by wykonać rozkaz. Po chwili wrócił, wiodąc za rękę wysoką, przystojną dziewczynę, której jasne włosy, oczy i skóra świadczyły o miejscu urodzenia. Krótka, ściągnięta w pasie tunika podkreślała zarysy wspaniałego ciała. W

jasnych oczach palił się niechętny błysk, a pełne wargi zaciskały się uparcie, lecz długie miesiące niewoli nauczyły ją posłuszeństwa. Stała ze zwieszoną głową przed swym panem, dopóki gestem nie nakazał jej siąść obok na dywanie. Jehungir wyczekująco spojrział na doradcę.

— Musimy wywabić Conana z obozu — wypalił Ghaznavi. — Obecnie znajduje się on gdzieś w dolnym biegu rzeki Zaporozka, która, jak wiem, jest gąszczem trzciny, bagnistą dżunglą, gdzie ostatnia ekspedycja karna wyginęła do ostatniego człowieka.

— Nie mogę o tym zapomnieć — powiedział ze złością Jehungir.

— Niedaleko leży niezamieszkała wyspa — ciągnął Ghaznavi — zwana Fortecą Xapur, ze względu na prastare ruiny, jakie na niej stoją. Pewien szczegół czyni ją idealną dla naszych celów. Otóż jej brzegi wznoszą się wprost z morza, tworząc urwiska wysokie na pięćdziesiąt metrów. Nawet małpa nie zdołałaby się na nie wspiąć. Jedyna droga, jaką można się do stać na wyspę, znajduje się na zachodnim brzegu — to strome, wykute w skale schody. Jeżeli zdołamy zwabić Conana na wyspę samego, nasi łucznicy będą mogli ustrzelić go, jak lwa w klatce.

— Pobożne życzeniu — przerwał niecierpliwie Jehungir. — Mamy wysłać do niego posłańca z prośbą, by przybył na wyspę i poczekał tam na nas?

— W samej rzeczy! — widząc zdumienie Jehungira, doradca mówił dalej. — Zaczniemy rokowania z kozakami na skraju stepu, przy Forcie Ghori. Jak zwykle udamy się tam zbrojnie i rozłożymy obóz pod murami zamku. Oni przybędą w równej sile, po czym rokowania przebiegną jak zazwyczaj: w atmosferze podejrzliwości i braku zaufania. Jednak tym razem weźmiemy ze sobą, jakby przypadkiem, naszego ślicznego więźnia — doradca ruchem głowy wskazał dziewczynę.

Oktawia zbladła i zaczęła słuchać ze zdwojonym zainteresowaniem.

— Ona użyje całego swego sprytu, by zwrócić uwagę Conana. To nie powinno być trudne. Temu dzikiemu rabusiowi wyda się niezmiernie pięknym zjawiskiem. Jej żywy charakter i jędrne ciało powinny pociągnąć go silniej niż wdzięki którejś z lalkowatych piękności twojego seraju, panie.

Oktawia skoczyła na równe nogi, zaciskając pięści, sypiąc skry z oczu i trzęsąc się ze złości.

— Chcecie zmusić mnie do łądaczania się z tym barbarzyńcą? —



krzyknęła. — Nie zrobię tego! Nie jestem tanią dziwką z jarmarku, żeby kokietować jakiegoś stepowego rabusia. Jestem córką nemedyjskiego szlachcica i...

— Byłaś nemedyjską szlachcianką, zanim porwali cię moi jezdni — zareplikował Jehungir. — Teraz jesteś tylko niewolnicą i uczynisz, co każę.

— Nie zrobię tego! — wrzasnęła.

— Wprost przeciwnie — rzekł z wysublimowanym okrucieństwem Jehungir — zrobisz. Podoba mi się plan Ghaznaviego. Mów dalej, mój książę doradców.

— Conan najprawdopodobniej zechce ją kupić. Oczywiście, odmówisz sprzedaży czy wymiany na naszych hyrkańskich jeńców. Może nawet spróbuje ją porwać lub zabrać siłą — chociaż nie sądzę, by chciał naruszyć zawieszenie broni. W każdym razie musimy być przygotowani na wszystko. Zaraz po rokowaniach, zanim zdoła o niej zapomnieć, wyślemy do niego posła, oskarżając go o porwanie dziewczyny i żądając jej zwrotu. Być może zabije posłańca, ale będzie sądził, że dziewczyna uciekła. Później wyślemy szpiega — yuetshański rybak będzie odpowiedni — do obozu kozaków, aby powiedział Conanowi, że Oktawia ukrywa się na Xapur. O ile go znam, uda się tam natychmiast.

— Ale czy na pewno sam? — spierał się Jehungir.

— Czy mężczyzna bierze ze sobą oddział wojowników, gdy udaje się na spotkanie z kobietą, której pożąda? — odparł doradca. — Jest duża szansa, że będzie sam. Jednak zabezpieczymy się przed tą drugą ewentualnością. Nie będziemy czekać na niego na wyspie, ryzykując, że zamieni się ona w pułapkę, lecz ukryjemy się w trzcinach, dochodzących prawie na tysiąc jardów do Xapur. Jeśli przybędzie z większą siłą, wycofamy się i wymyślimy coś innego. Jeżeli przybędzie sam lub z kilkoma ludźmi — będzie nasz. Na pewno przybędzie, mając w pamięci uśmiechy i znaczące spojrzenia twojej czarującej niewolnicy, panie.

— Nigdy nie okryję się taką hańbą! — Oktawia szalała z gniewu i upokorzenia. — Prędzej umrę!

— Nie umrzesz, moja piękna buntowniczo — rzekł Jehungir — ale doświadczysz czegoś bardzo bolesnego i przykrego.

Klasnął w dłonie i Oktawia pobladła. Tym razem nie pojawił się ciemnoskóry Kushita, lecz muskularny Shemita — krępy mężczyzna z

kędzierzawą, kruczoczną bródką.

— Jest robota dla ciebie, Gilzanie — rzekł Jehungir. — Weź tę głupią dziewczkę i pobaw się z nią trochę. Tylko bacz, byś nie zepsuł jej urody.

Z nieartykułowanym mruknięciem Shemita chwycił Oktawię za rękę i uścisk jego żelaznych palców sprawił, że opuściła ją cała odwaga. Z żalnym okrzykiem wyrwała się oprawcy i padła na kolana przed nieubłaganym panem, z łkaniem prosząc o litość. Jehungir gestem odprawił rozczarowanego kata i rzekł do Ghaznaviego:

— Jeżeli twój plan się powiedzie, ozłocę cię!

### 3.

Ciemności przedświt, spowijające morze falujących trzciny i mętne wody bagniska, zakłócał dziwny szmer. Nie wywołał go zaspany wodny ptak ani budzące się zwierzę. Przez gęste, wysokie trzciny przedzierała się ludzka istota.

Gdyby ktoś tam był, zobaczyłby kobietę — wysoką i jasnowłosą, o bujnych kształtach podkreślonych przez przemoczoną tunikę oblepiającą jej ciało. Oktawia rzeczywiście uciekła; nawet teraz wzdrygała się na wspomnienie upokorzeń, jakich zaznała w niewoli. Wystarczająco okropne było mieć Jehungira za pana, lecz on z rozmyślnym okrucieństwem podarował ją szlachcicowi, którego imię nawet w Khawarizmie było synonimem zwyrodnienia. Na samą myśl o tym ciarki przebiegły po jedwabistej skórze Oktawii. Rozpacz dodała jej sił do ucieczki z zamku Jelal Chana. Nocą spuściła się po linie sporządzonej z podartych gobelinów, a przypadek dopomógł jej znaleźć spętanego konia. Jechała całą noc; ranek zastał ją z ochwacowanym wierzchowcem na bagnistym brzegu morza. Trzęsąc się z odrazy na myśl o ponownym wpadnięciu w ręce Jelal Chana i czekającym ją w tym wypadku losie, zagłębiła się w moczary, szukając schronienia przed spodziewanym pościgiem. Kiedy otaczające ją trzciny stały się rzadsze, a woda sięgnęła do pasa, dziewczyna ujrzała przed sobą mroczne kontury wyspy. Oddzielał ją od brzegu szeroki pas wody, ale to nie powstrzymało Oktawii. Brnęła dalej, dopóki ciemna toń nie sięgała jej do piersi, potem odbiła się mocno od dna i popłynęła z wigorem świadczącym o niezwyklej wytrzymałości.

Gdy podpłynęła bliżej, zobaczyła, że brzegi wyspy wznoszą się pionowo z wody niczym mury zamku. W końcu dotarła do ich podnóża, ale nie znalazła ani uchwytu, ani występu, na którym mogłaby stanąć. Popłynęła dalej wzdłuż brzegu, czując, jak ogarnia ją zmęczenie. Nagle jej macające niecierpliwie ręce trafiły na zagłębienie. Z jęklwym westchnieniem ulgi wciągnęła się na głazy i leżała dysząc, ociekająca wodą, w przyćmionym blasku gwiazd podobna do białej boginki.

Natrafiła na coś, co wyglądało na wykute w skale schody. Ruszyła po

nich w górę. Nagle przywarła do kamieni, usłyszawszy stłumione skrzypnięcie owiązanych szmatami wiosł. Wyteżyła wzrok i wydało jej się, że dostrzega niewyraźny kształt zmierzający do porośniętego trzcina cypla, który niedawno opuściła. Jednak mrok był wciąż jeszcze zbyt gęsty, by mogła być tego pewna. W końcu słaby szmer ucichł i Oktawia znów ruszyła w górę. Jeżeli to pościg za nią, nie miała innego wyjścia, jak ukryć się na wyspie. Wiedziała, że większość wysp tego bagnistego wybrzeża była niezamieszkała. Ta mogła być pirackim gniazdem, ale wolała nawet piratów od bestii w ludzkiej skórze, od której uciekła.

W czasie wspinaczki mimowolnie porównywała swego właściciela z wodzem kozaków, którego — pod przymusem — bezwstydnie kokietowała w namiotach obozu przy Forcie Ghor, gdzie hyrkańscy panowie układali się ze stepowymi wojownikami. Jego palące spojrzenia przepajały ją lękiem i wstydem, lecz czysta, prymitywna natura stawiała go wyżej od potwora, jakiego tylko zbyt wyrafinowana cywilizacja mogła wydać.

Wdrapała się na skraj urwiska i bojaźliwie rozejrzała się wokół. Gęstwina sięgała prawie do samego brzegu, tworząc zwartą ścianę ciemności. Coś śmignęło jej nad głową i skuliła się mimo woli, choć wiedziała, że to tylko nietoperz.

Chociaż przerażał ją hebanowy mrok, zacisnęła zęby i skierowała się w głąb wyspy, próbując nie myśleć o jadowitych węzach. Jej bose stopy stapały bezgłośnie po miękkim poszyciu.

Kiedy weszła między drzewa, ciemność zamknęła się wokół niej nieprzeniknionym murem, napełniając trwogą. Nie zrobiła jeszcze tuzina kroków, a już nie mogła dojrzeć skał i morza. Po kilku następnych straciła poczucie kierunku i zgubiła się kompletnie. Przez splątane gałęzie nie mogła dostrzec ani jednej gwiazdy. Brnęła po omacku, na oślepa, gdy nagle stanęła jak wryta.

Gdzieś przed nią rozległo się monotonne dudnienie bębna. Nie był to ten rodzaj dźwięku, jakiego można by się spodziewać w tym miejscu i czasie. Jednak zapomniała o nim natychmiast, uświadomiwszy sobie czyjąś obecność w pobliżu. Nie widziała niczego, ale wiedziała, że ktoś stoi przy niej w ciemnościach.

Ze zduszonym krzykiem rzuciła się w tył i w tej samej chwili coś, w czym mimo paniki rozpoznała ludzkie ramię, chwyciło ją w pól.

Wrzasnęła i szarpnęła się ze wszystkich sił, lecz napastnik porwał ją w objęcia jak dziecko, z łatwością przewycięzając gwałtowny opór. Milczenie, z jakim spotkały się jej rozpaczliwe błagania i protesty, wzmogło jeszcze jej przerażenie. Poczowała, że ktoś taszczy ją w kierunku odległego, wciąż pulsującego miarowym rytmem, bębna.

#### 4.

Kiedy pierwszy promyk świtu zaczerwienił morze, do brzegu wyspy zbliżała się mała łódź z samotnym żeglarzem. Mężczyzna w łodzi był niezwykle malowniczą postacią. Głowę miał owiazaną purpurową opaską, obszerną, jedwabną koszulę o jaskrawej barwie podtrzymywała szeroka szarfa, na której zawieszona była krótka szabla w pochwie z rekiniej skóry. Nabijane złotem, skórzane buty sugerowały, że ich właściciel był raczej jeźdźcem niż żeglarzem, tym niemniej wprawnie sterował swoją łodzią. Wycięcie szeroko otwartej, jedwabnej koszuli ukazywało muskularną, spaloną od słońca pierś.

Pod brązową skórą przybysza grały potężne mięśnie, gdy bez wysiłku poruszał piórami wiosł. Jego rysy zdradzały dziką, prymitywną naturę, lecz twarz nie była odpychającym obliczem dzikusa, chociaż płomień tłący się w błękitnych oczach zdradzał, że łatwo jest wzbudzić jego gniew. Był to Conan, który zawędrował do warownych obozowisk kozaków, nie mając nic prócz swego sprytu i miecza, a jednak został ich wodzem.

Przybił do brzegu opodał wykutych w skale schodów, jak ktoś dobrze znający wyspę i przycumował łódź do skalnego występu. Następnie bez wahania ruszył w górę po zmurszałych stopniach. Rozglądał się bacznie wokół; nie dlatego, by świadomie spodziewał się ukrytego zagrożenia, lecz ponieważ czujność była częścią jego osobowości, wyostrzoną przez pełne niebezpieczeństw życie, jakie wiódł.

To, co Ghaznavi uważał za jakiś szósty zmysł lub zwierzęcy instynkt, było jedynie nabytą w toku długotrwałych ćwiczeń wprawą i wrodzonym sprytem barbarzyńcy. Żaden instynkt nie podpowiadał Conanowi, że obserwują go skryci w nadbrzeżnych trzcinach ludzie.

Kiedy wspinał się na urwisko, jeden z nich zaczerpnął tchu i powoli naciągnął cięciwę swego łuku. Jehungir chwycił go za ramię i z wściekłością syknął do ucha:

— Głupcze! Chcesz wszystko zepsuć? Nie widzisz, że jest poza zasięgiem? Niech wejdzie na wyspę. Będzie szukał dziewczyny. My

zaczekamy tu jakiś czas. Mógł wyczuć naszą obecność lub przejrzeć nasz plan. Może ukrył gdzieś w pobliżu swoich wojowników. Poczekamy. Za godzinę, jeżeli nie zajdzie nic podejrzanego, podpłyniemy do schodów i zaczaiemy się tam. Jeśli nie powróci szybko, pójdziemy na wyspę i zapolujemy na niego. Wolałbym jednak tego uniknąć, bo wielu z nas zginie w dżungli. Chciałbym go zaskoczyć, gdy będzie schodził do łodzi i naszpikować strzałami z bezpiecznej odległości.

W tym czasie nie podejrzewający niczego wódz kozaków zagłębił się w gęstwinę. Szedł cicho na miękkich skórzanych podeszwach, przesywając wzrokiem każdy zakamarek, niecierpliwie oczekując widoku wspaniałej, jasnowłosej piękności, o której marzył od chwili pierwszego spotkania w namiocie Jehungira Agi przy Forcie Ghori. Pożądałby jej nawet, gdyby okazywała mu wyraźną niechęć. Jednak jej znaczące spojrzenia i uśmiechy rozpały mu krew i teraz z całą odziedziczoną po przodkach gwałtownością pożądał tej białoskórej, jasnowłosej kobiety.

Był już przedtem na Xapur. Niecały miesiąc wcześniej odbyło się tu sekretne spotkanie z piratami. Wiedział, że właśnie zbliża się do miejsca, gdzie wznoszą się tajemnicze ruiny, którym wyspa zawdzięcza swoją nazwę i zastanowił się przelotnie, czy poszukiwana dziewczyna ukrywa się wśród nich. Nagle stanął jak wryty.

Zobaczył coś, co przeczyło wszelkiemu zdrowemu rozsądkowi — wielki, ciemnozielony mur, za blankami którego wznosiły się wyniosłe wieże.

Przez chwilę Conan stał jak sparaliżowany, szarpany wątpliwościami, jakie ogarnęłyby każdego, kto staje w obliczu rzeczy nieprawdopodobnej i przeczącej zdrowemu rozsądkowi. Conan nie wątpił w swoje zmysły, ale coś tu było nie w porządku. Mniej niż miesiąc wcześniej tylko ruiny wznosiły się wśród drzew. Czyż ludzkie ręce zdołałyby wznieść tak potężne mury w ciągu zaledwie kilku tygodni? Ponadto nieustannie przemierzający Morze Vilayet piraci powinni zauważyć prace przy tak gigantycznym przedsięwzięciu i zawiadomić kozaków.

W żaden sposób nie można było wytłumaczyć tego faktu, a jednak wzrok nie mylił barbarzyńcy. Znajdował się na Xapur i te fantastyczne, kamienne budowle stały na wyspie i wszystko to wydawało się

szaleństwem i niemożliwością, a jednak było prawdą.

Zawrócił, chcąc umknąć z powrotem przez dżunglę, wykute w skale schody i błękitne wody, do odległego obozu u ujścia rzeki Zaporozka. Przez jedną krótką chwilę ogarniętemu ślepą paniką Conanowi nawet myśl o pozostaniu w pobliżu wyspy wydawała się odstręczająca. Najchętniej porzuciłby wszystko — warowne obozy, step, kozaków — i zostawił tysiąc mil za sobą ten tajemniczy Wschód, gdzie niewyobrażalne, demoniczne moce wyczyniały rzeczy urągające podstawowym prawom natury.

Przez chwilę przyszłość królestw, spoczywająca w rękach nieświadomego tego barbarzyńcy, wisiała na włosku. Tylko jeden drobny szczegół przeważył szalę: spłoszony wzrok Conana padł na mały strzęp jedwabiu wiszący na krzaku. Pochylił się nad nim węsząc, wyczuł delikatną woń. Ten wydarty przez gałąź kawałeczek materiału zachował dręczący zmysły zapach. Raczej dzięki jakiemuś niejasnemu przeczuciu niż dzięki wyczulonemu węchowi rozpoznał perfumy pięknej, jasnowłosej dziewczyny, którą widział w namiocie Jehungira. Zatem rybak nie kłamał: była tu! Później zobaczył na ziemi odcisk bosej stopy, długiej i wąskiej — ślad mężczyzny, nie kobiety — lecz odcisnięty nienaturalnie głęboko. Wniosek był oczywisty: człowiek niósł coś, a cóż to mogło być, jak nie poszukiwana dziewczyna?

Conan stał bez ruchu, patrząc na czarne wieże groźnie majaczące między drzewami i w jego niebieskich oczach pojawił się złowrogi błysk. Pożądanie jasnowłosej dziewczyny i ponura, pierwotna nienawiść do jej porywacza, stopiły się w jedno, przemożne uczucie. Namiętność przewyciężyła przesądny lęk i Conan przyczajony niczym gotujący się do skoku lew, ruszył ku murom fortu, korzystając z osłony gęstego listowia.

Stwierdził, że mur zbudowano z tego samego zielonego kamienia, z jakiego korzystali dawni budowniczy, wznosząc fortyfikacje leżące do niedawna w ruinie i doznał dziwnego wrażenia, że spogląda na coś dobrze znanego. Wydawało mu się, że patrzy na coś, co widział przedtem we śnie.

W końcu zrozumiał. Mury i wieże znajdowały się na miejscu dawnych ruin. Jakby z kruszejących szczątków znów odbudowano starożytne budowle.



Żaden dźwięk nie zakłócił ciszy poranka, gdy Conan podkradł się pod mur wznoszący się pionowo wśród bujnej roślinności, tu, na południowych krańcach ogromnego, śródziemnego morza, prawie tropikalnej. Na blankach nie ujrzał nikogo, niczego też nie dosłyszał. W pobliżu dostrzegł masywną bramę, lecz nie przypuszczał, by mogła być nie zamknięta lub niestrzeżona. Wiedziony przekonaniem, że kobieta, której szukał, znajduje się gdzieś za murami, postąpił w typowy dla siebie, zuchwały sposób.

W górze porośnięte pnączami gałęzie sięgały prawie do blanków. Conan wdrapał się na drzewo jak kot, po czym, dotarwszy nieco powyżej górnej krawędzi muru, chwycił obiema rękami gruby konar, rozkołysał się i w odpowiedniej chwili puścił. Przeleciał w powietrzu i z kocią zwinnością wylądował na blankach. Tam przyczał się i spojrzał w dół, na ulice miasta.

Mur miał niewielki obwód, lecz liczba budynków znajdujących się wewnątrz była zdumiewająca. Trzy i czteropiętrowe budowle z zielonego kamienia miały płaskie dachy i reprezentowały dobry styl architektoniczny. Ulice zbiegały się jak szprychy koła na ośmiokątnym placu stanowiącym centrum miasta — tam wznosił się wyniosły gmach o wielu kopułach i wieżach, górujących nad całym miastem. Na ulicach i w oknach nie zobaczył żywej duszy, chociaż słońce wzeszło już dawno. Królująca wszędzie martwa cisza zdawała się świadczyć o opuszczeniu miasta. Conan znalazł wąskie, kamienne schody i ruszył nimi w dół.

Domy przylegały tak blisko muru, że znalazłszy się w połowie drogi miał najbliższe okno na wyciągnięcie ręki. Zatrzymał się i zajrzał. Okno nie miało okiennic ani krat, tylko rozchylone szeroko, jedwabne zasłony. Za nimi zobaczył komnatę o ścianach okrytych ciemnymi, aksamitnymi gobelinami. Na podłodze leżały grube dywany, a ławy z polerowanego hebanu i łoże ze słoniowej kości zasłane były stertami futer.

Conan zamierzał iść dalej, gdy usłyszał na ulicy czyjeś kroki. Zanim nadchodzący zdążył wyjść z za rogu i zobaczyć Cymeryjczyka na schodach, ten jednym susem przeskoczył do komnaty i miękko wylądowawszy na podłodze dobył szabli. Przez moment stał nieruchomo jak posąg; później, kiedy nic się nie wydarzyło, ruszył po dywanach w stronę drzwi. Nagle jedna z zasłon odchyliła się, ukazując wyłożoną poduszkami alkowę i szczupłą, ciemnowłosa dziewczyna spojrzała na

niego sennym wzrokiem.

Conan popatrzył w napięciu spodziewając się, że zaskoczona zaraz zacznie krzyczeć. Jednak dziewczyna tylko stłumiła ziewnięcie delikatną dłonią; wstała i niedbale oparła się o zasłoniętą gobelinem ścianę.

Niewątpliwie należała do białej rasy, chociaż jej skóra była bardzo ciemna. Miała prosto przycięte, czarne jak noc włosy, a jedynym jej odzieniem był skrawek jedwabiu owinięty wokół bioder. W końcu odezwała się, ale w nieznanym języku i Conan potrząsnął głową. Dziewczyna ziewnęła ponownie, przeciągnęła się i nie okazując strachu czy zdziwienia, zaczęła mówić językiem, który rozumiał: dialektem Yuetsarów, brzmiącym dziwnie archaicznie.

— Szukasz kogoś? — zapytała tak obojętnie, jakby najście jej komnaty przez uzbrojonego nieznajomego było rzeczą najzwyczajszą w świecie.

— Kim jesteś? — zapytał Conan.

— Jestem Yateli — odparła leniwie. — Chyba biesiadowałam wczoraj do późna — jestem taka senna. A kim ty jesteś?

— Jestem Conan, wódz kozaków — odparł, przyglądając się jej bacznie. Uważał jej zachowanie za pozę i spodziewał się, że dziewczyna spróbuje uciec z komnaty lub zaalarmować domowników. Jednak, mimo że aksamitny sznur, najprawdopodobniej używany do wzywania służby, wisiał w zasięgu jej ręki, dziewczyna nie próbowała zań pociągnąć.

— Conan — powtórzyła niepewnie. — Nie jesteś Dagonem. Sądzę, że jesteś najemnym żołnierzem. Czy ściąłeś głowy wielu Yuetsarów?

— Nie walczę ze szczurami wodnymi! — prychnął Conan.

— Ale oni są straszni — mruknęła. — Pamiętam czasy, gdy byli naszymi niewolnikami. Potem zbuntowali się: palili, zabijali. Tylko czary Khosatrala Khela trzymają ich z dala od murów...

Przerwała i na jej twarzy pojawiło się zdziwienie.

— Zapomniałam — szepnęła. — Oni wspięli się na mury zeszłej nocy. Wokół słyhać było krzyki i trzask płomieni, a ludzie daremnie wzywali Khosatrala...

Potrząsnęła głową, jakby próbując otrzeźwieć.

— Przecież to niemożliwe — wymamrotała. — Ja żyję, a wydawało mi się, że jestem martwa. Och, do diabła z tym!

Przeszła przez komnatę i biorąc Conana za rękę, pociągnęła go na

łóże. Pozwolił na to, wciąż spodziewając się podstępu. Dziewczyna uśmiechnęła się jak senne dziecko: długie, jedwabiste rzęsy opadły przysłaniając ciemne, zamglone oczy. Przesunęła dłonią po jego gęstych lokach, jakby chciała przekonać się, że jest rzeczywistością.

— To był sen — ziewnęła. — Z pewnością to mi się tylko śniło. Teraz też czuję się jak we śnie. Nieważne. Nic nie pamiętam... Zapomniałam... jest coś, czego nie mogę zrozumieć, ale kiedy tylko próbuję o tym myśleć, staję się taka senna... W każdym razie to bez znaczenia.

— Co masz na myśli? — zapytał Conan. — Mówisz, że wspięli się zeszłej nocy na mury? Kto?

— Yuetshowie. Przynajmniej tak mi się zdaje. Kłęby dymu zasłoniły wszystko, a potem nagi, zbuczony krwią potwór chwycił mnie za gardło i wbił nóż w piersi. Och, jak bolało! Ale to był tylko sen, bo — widzisz? — wcale nie mam blizny!

Ospale obejrzała swą gładką pierś, po czym siadła Conanowi na kolana i otoczyła ramionami jego potężny kark.

— Nie pamiętam — mruzczała, tuląc swą ciemną główkę do jego masywnej piersi. — Wszystko wydaje się takie odległe i niewyraźne... To nic. Ty nie jesteś snem. Jesteś silny. Ciesz się życiem, póki możemy. Kochaj mnie!

Conan ułożył puszystą głowę w zagłębieniu zgiętego ramienia i z nieskrywaną przyjemnością ucałował pełne, czerwone wargi.

— Jesteś silny — powtórzyła słabnącym głosem. — Kochaj mnie, kochaj...

Senne mamrotanie ucichło: długie rzęsy opadły, ciemne powieki zamknęły się i dziewczyna zwiotczała w ramionach Conana.

Popatrzył na nią marszcząc brwi. Tak jak i całe miasto, wydawała się być złudzeniem, lecz ciepło i miękkość jej ciała świadczyły dobitnie, że ma w swych objęciach żywą istotę, a nie senną zjawę. Mimo to zakłopotany Conan pospiesznie ułożył ją na wyścielonym futrami łóżu. Jej sen był zbyt głęboki, by mógł być naturalny. Zdecydował, że dziewczyna musiała zażyć jakiś narkotyk, może podobny do czarnego lotosu z Xuthal.

Nagle zobaczył coś, co go zdziwiło. Wśród futer na łóżu znajdowała się piękna, złocista skóra w czarne cętki. Conan wiedział, że to zwierzę

wymarło przed tysiącem lat — był to bowiem wielki złoty leopard, zajmujący tak poczesne miejsce w hyboryjskich legendach i którego starożytni artyści tak chętnie przedstawiali na freskach.

Z niedowierzaniem kręcąc głową, Conan wyszedł przez łukowato sklepione drzwi na korytarz. W budynku panowała cisza, lecz na zewnątrz wyczulone ucho barbarzyńcy pochwyciło dźwięk ludzkich kroków. Ktoś schodził z muru po tych schodach, z których Conan skoczył do komnaty. W chwilę później z niepokojem usłyszał, jak coś wylądowało z głuchym łomotem na podłodze pokoju, który dopiero co opuścił. Conan zawrócił i pospieszył krętym korytarzem, aż zatrzymał się na widok leżącego człowieka.

Mężczyzna leżał na podłodze, połową ciała tkwiąc jeszcze w otworze zamaskowanych drzwi — teraz uchylonych. Szczupłe i ciemne ciało okrywała jedynie przepaska. Leżący miał ogoloną głowę, a na jego twarzy malowało się okrucieństwo. Conan pochylił się nad nim szukając przyczyny śmierci — śladu morderczego ciosu — i stwierdził, że mężczyzna jest pogrążony we śnie tak samo jak ciemnowłosa dziewczyna w komnacie.

Tylko dlaczego wybrał sobie takie miejsce na drzemkę? Zastanawiając się nad tym, Conan wzdrygnął się usłyszawszy coś za sobą. Ktoś zbliżał się korytarzem. Conan rozejrzał się wokoło i zobaczył, że sień kończy się wielkimi drzwiami. Mogły być zamknięte. Jednym szarpnięciem wyciągnął śpiącego mężczyznę z ukrytego przejścia i przeszedł przez próg, zamykając drzwi za sobą. Stojąc w ciemności usłyszał, że odgłos kroków urwał się przed jego kryjówką i lekki dreszcz przebiegł mu po krzyżu. W ten sposób nie mógł stąpać ani człowiek, ani żadne ze znanych barbarzyńcy zwierząt.

Nastąpiła krótka chwila ciszy, przzerwana słabym trzeszczeniem drewna. Wyciągnąwszy rękę Conan poczuł, że metalowe drzwi wyginają się, jakby z drugiej strony napierał na nie straszliwy ciężar. Sięgnął po broń, ale napór ustał nagle: usłyszał dziwne, obrzydliwe ciamkanie, od którego włosy zjeżyły mu się na głowie. Z szablą w dłoni zaczął się wolno cofać, aż natrafił na schody i niewiele brakowało, a byłby z nich spadł. Wąskie stopnie prowadziły w dół.

Ruszył w ciemność, próbując bezskutecznie wymacać jakieś drzwi. Właśnie kiedy doszedł do wniosku, że już nie znajduje się w budynku,

lecz głęboko pod nim, schody skończyły się i zaczął się tunel.

## 5.

Wymacując sobie drogę w ciemnościach, Conan szedł przez cichy tunel, w każdej chwili spodziewając się upadku w jakąś niewidoczną przepaść. Jednak w końcu jego stopy ponownie natrafiły na stopnie i zaczął po nich wchodzić, aż dotarł do drzwi. Po chwili jego błędzące palce znalazły metalowy rygiel. Wyszedł z tunelu i znalazł się w mrocznej, wyniosłej sali o ogromnych rozmiarach. Pod żyłkowanymi ścianami biegły szeregi dziwacznych kolumn, podtrzymując sklepienie — czarne i przezroczyście jednocześnie, które wyglądało jak zachmurzone, nocne niebo, dając złudzenie nieprawdopodobnej wysokości. Światło wpadające tędy do komnaty było przedziwnie zmienione.

W zalegającym wokół półmroku Conan ruszył po pustej, zielonej posadzce. Wielka sala miała kształt owalny. Jedną ze ścian przecinały wielkie podwoje spiżowych wrót. Naprzeciw nich znajdowało się podium, na które wiodły szerokie, kręte schody. Tam stał miedziany tron i Conan cofnął się gwałtownie, unosząc szablę, kiedy zobaczył, kto na nim siedzi.

Po chwili, gdy stwór nie poruszył się, Cymeryjczyk wstrzymując oddech wszedł po szklanych stopniach, żeby przyjrzeć mu się z bliska. Był to gigantyczny wąż, najwidoczniej wyrzeźbiony z jakiegoś materiału przypominającego nefryt. Każda łuska odrażającego cielska wyglądała jak prawdziwa, również tęczowe kolory odtworzono z niezwykłą dokładnością. Wielka, trójkątna głowa była do połowy ukryta w splotach — tak więc ślepią i paszczką pozostawały niewidoczne. W mózgu Conana wolno kiełkowało zrozumienie. Ten wąż najwidoczniej miał uosabiać jedno z tych ponurych stworzeń, jakie w minionych wiekach zamieszkiwały bagniste brzegi południowych krańców Morza Vilayet. Jednak, podobnie jak złocisty lampart, węże te wymarły przed setkami lat. Conan widział ich toporne wizerunki w świętych chatach Yuetszów, a także czytał ich opis w Księdze ze Skelos, która powoływała się na przedhistoryczne źródła.

Teraz, podziwiając pokryte łuskami cielsko, grubsze od jego uda i z

pewnością niezwykle długie, wyciągnął rękę i dotknął węża. W tej samej chwili drgnął gwałtownie, a serce podeszło mu do gardła. Krew w jego żyłach zmieniła się w lód i wszystkie włosy stanęły mu dęba, bowiem nie dotknął gładkiej, kruchej powierzchni z metalu, szkła lub kamienia, lecz elastycznej tkanki. Pod palcami poczuł leniwie tętniące życie...

Z obrzydzeniem cofnął rękę. Zachowując najwyższą ostrożność zszedł tyłem po krętych stopniach, nie spuszczać oka ze straszliwego władcy wylegującego się na swym miedzianym tronie. Z gardłem ściśniętym lękiem i odrazą dotarł do wielkich drzwi i spróbował je otworzyć. Stwór nie poruszył się.

Conan spocił się ze strachu na myśl, że nie uda mu się otworzyć wrót i pozostanie tu dłużej razem z potwornym gadem. Jednak podwoje ustąpiły — wysliznął się z sali i zamknął je za sobą.

Znalazł się w obszernej komnacie o pokrytych gobelinami ścianach, w której panował taki sam mętny półmrok. W słabym świetle bardziej odległe przedmioty były trudne do rozpoznania i Conana zaniepokoiła myśl o ewentualnym spotkaniu z pełzającymi w ciemnościach gadami. Oświetlenie sprawiało, że drzwi na końcu sali wydawały się oddalone o całe mile. Wiszący na pobliskiej ścianie gobelin najwyraźniej zasłaniał jakieś przejście. Ostrożnie unosząc kotarę, Conan odkrył wąskie schody wiodące w górę.

Gdy stał zastanawiając się, z wielkiej sali, którą dopiero co opuścił, dobiegło go ponownie znajome szuranie stóp. Czyżby ktoś za nim szedł? Conan nie zwlekając wbiegł na stopnie, zasłoniwszy za sobą przejście.

Kiedy schody wreszcie doprowadziły go na korytarz, wszedł w pierwsze napotkane drzwi. Jego pozornie chaotyczna wędrówka miała dwa cele: ucieczkę z tego niesamowitego budynku i odnalezienie nemedyskiej dziewczyny, którą, jak czuł, uwięziono w tym pałacu, świątyni, czy cokolwiek to było. Conan był przekonany, że ten wielki, kopulasty gmach w centrum miasta jest siedzibą władcy i tu z pewnością doprowadzono dziewczynę.

Znalazł się w pomieszczeniu pozbawionym drugich drzwi i już chciał zawrócić, gdy usłyszał dochodzący zza ściany głos. Przytknął ucho do muru i słuchał uważnie. Lodowaty dreszcz zaczął wolno pełznąć mu po krzyżu. Głos nie należał do ludzkiej istoty, choć przemawiał po nemedysku. Budził dreszcz zgrozy, niczym dźwięk dzwonu o północy.

— Nie było życia w Otchłani prócz tego, jakie ja uosabiałem — dudnił głos. — Nie było światła, ni ruchu, ni dźwięku. Tylko siła nakazująca i wiodąca mnie w górę — ślepego, pozbawionego zmysłów i litości. Wiek za wiekiem wspinałem się przez niezmierzone odmęty ciemności...

Zaczarowany przez ten dźwięczący głucho głos Conan trwał zasłuchany, zapomniawszy o całym świecie, aż hipnotyczna moc odjęła mu wszystkie zmysły, pozostawiając tylko pojawiające się w mózgu wizje. Już nie zdawał sobie sprawy z istnienia głosu, czuł jedynie przytłumione, rytmiczne fale dźwięków. Przeniesiony poza czas i przestrzeń, pozbawiony osobowości widział przemianę rzeczy zwącej się Khosatralem Khelem, która wypełzła z Mroku przed setkami lat i przybrała materialną postać.

Jednakże ludzkie ciało było zbyt słabe i marne dla tej straszliwej istoty. Tak więc Khosatral Khel przybrał postać mężczyzny, lecz jego ciało nie było ciałem, krew — krwią, a kości — kośćmi. Stał się chodzącym bluźnierstwem przeciwko prawom natury, ponieważ w jego osobie bezpostaciowa, pierwotna siła przybrała żywą, myślącą formę.

Niczym bóg przemierzał świat, bowiem nie miała się go żadna broń, a wiek był dla niego tylko chwilą. Podczas swoich wędrówek natrafił na prymitywny lud zamieszkujący wyspę Dagonię. Obdarzył ich kulturą i mądrością, bo sprawiło mu to przyjemność; dzięki jego pomocy zbudowali miasto, gdzie zamieszkali i oddawali mu cześć. Dziwni i straszni byli jego słudzy zwoływani z najciemniejszych zakamarków planety, na której wciąż jeszcze uchowały się ponure stwory z minionych wieków. Jego siedziba łączyła się z wszystkimi domami w mieście tunelami, którymi kapłani o wygolonych głowach znosili mu ludzkie ofiary.

Po wielu wiekach na brzegu morza pojawił się dziki, koczowniczy szczep. Nazywali się Yuetshami. Po zacieklej bitwie zostali zwyciężeni i przez następne pół wieku służyli Khosatralowi jako niewolnicy i umierali na jego ołtarzach.

Czarami trzymał ich w ryzach, lecz w końcu yuetshański kapłan — dziwny, ponury człowiek — umknął w pustkowia, a kiedy wrócił, przyniósł ze sobą nóż z nieziemskiej materii. Wykuto go z meteoru, który przemknął po niebie jak ognista strzała i spadł w odległej dolinie.



Niewolnicy zbuntowali się. Zębatymi ostrzami swych noży rznąli Dagonów jak owce, a czary Khosatrą nie miały mocy przeciw magicznemu nożowi kapłana. Rzeź i pożoga rozszalały się na ulicach miasta, a ostatni akt ponurego dramatu rozegrał się w ukrytej krypcie, za wielką salą tronową o ścianach cętkowanych niczym skóra węża.

Stamtąd kapłan Yuetshów wyszedł sam. Nie zabił swego wroga, ponieważ w razie potrzeby chciał go użyć przeciw swym buntowniczym poddanym. Pozostawił Khosatrą leżącego bez zmysłów na złotym postumencie, z magicznym nożem na piersiach.

Ale mijały wieki. Kapłan umarł i rozsypały się wieże Dagonii; opowieści o tym stały się legendą, a Yuetshowie w wyniku głodu, zarazy i wojen stali się nielicznym ludem, zamieszkującym brudne i nędzne wioski na brzegu morza.

Tylko tajemna krypta oparła się działaniu czasu, aż przypadkowy piorun i ciekawość rybaka podniosły magiczne ostrze z piersi bóstwa i zdjęły zaklęcie. Khosatral Khel ożył i znów był potężny jak dawniej. Z jego woli odrodziło się miasto — takie, jakim było przed upadkiem. Czarnoksiężką sztuką wskrzesił z prochu minionych stuleci budowle i zamieszkujący w nich lud.

Jednak ludzie, którzy zaznali spokoju śmierci, są już tylko częściowo żywi. W zakamarkach duszy i umysłu wciąż kryje się nieprzezwyciężona martwota. W nocy lud Dagonii bawi się i tańczy, nienawidzi i kocha, pamiętając o swej śmierci i zagładzie miasta jak o niewyraźnym koszmarze sennym: krążąc w kręgu złudzeń, czując niezwykłość swego istnienia, lecz nie dociekając jej przyczyny. O świcie zapada w głęboki sen, by zbudzić się znowu z nadejściem nocy — krewniaczki śmierci.

Wszystko to przemknęło przez świadomość Conana, kiedy trwał zasłuchany przy ścianie. Zamroczony, czuł, że opuszcza go wiara we własne zdrowe zmysły, pozostawiając wizję świata gęsto zaludnionego przez ponure stwory o straszliwych zdolnościach. Przez dudniący głos, głoszący swój triumf nad wszelkimi prawami natury i kosmosu, przedarł się ludzki krzyk, sprowadzając Conana do rzeczywistości. Gdzieś histerycznie szlochała kobieta.

Conan odruchowo zerwał się na równe nogi.

## 6.

Jehungir Aga z rosnącą niecierpliwością czekał na swej łodzi wśród trzcin. Upłynęła już przeszło godzina, a Conan nie pojawił się ponownie. Niewątpliwie wciąż przeszukiwał wyspę, myśląc, że dziewczyna się na niej ukrywa. Jednak Aga zaczął obawiać się czegoś innego. A jeśli hetman pozostawił swoich ludzi w pobliżu? Czy nie nabiorą podejrzeń i nie nadciągną, by sprawdzić przyczynę tak długiej nieobecności wodza? Jehungir wydał rozkaz wiosłarzom. Długa łódź wynurzyła się z trzcin i pomknęła ku wykutym w skale stopniom.

Pozostawiając pół tuzina ludzi na pokładzie, Aga zabrał resztę ze sobą: dziesięciu tęgich łuczników z Khawarizmu, odzianych w spiczaste hełmy i płaszcze z tygryziej skóry. Jak myśliwi podążający za tropem lwa skradali się pod drzewami, trzymając strzały na cięciwach. W lesie panowała cisza: tylko wielkie, zielone stworzenie — chyba papuga — przeleciało im nad głowami z głośnym łopotem skrzydeł i zniknęło w mroku. Nagle Jehungir gwałtownym gestem zatrzymał oddział. Z niedowierzaniem spoglądał na widoczne w oddali wieże.

— Na Tarima! — mruknął pod nosem. — Piraci odbudowali fort! Conan na pewno jest w środku. Musimy to zbadać. Forteca tak blisko lądu! Chodźmy!

Ze zdwojoną ostrożnością przemykali między drzewami. Gra stała się bardziej ryzykowna: z tropicieli i myśliwych stali się szpiegami. A kiedy czołgali się przez splątany gąszcz, człowiek, którego szukali, stawiał czoła niebezpieczeństwu znacznie groźniejszemu niż ich smukłe strzały.

Z dreszczem niepokoju Conan stwierdził, że głos dolatujący zza ściany umilkł. Przez moment stał nieruchomo jak posąg, ze spojrzeniem wbitym w zasłonięte drzwi, spodziewając się, że zaraz pojawi się w nich straszliwy Khosatral Khel.

W komnacie zalegał mglisty półmrok, lecz barbarzyńca dojrzał gigantyczną postać przeciwnika. Nie dosłyszał kroków, ale olbrzym, zbliżył się na tyle, że Conan mógł dostrzec dalsze szczegóły. Mężczyzna odziany był w sandały, spódniczkę i szeroki, skórzany pas. Złota obręcz na skroniach przytrzymywała prosto, przyciętą u ramion grzywę

czarnych włosów. Zobaczył mocarne ramiona, szeroką pierś i bary z piętrzącymi się węzłami mięśni. Z twarzy o ostrych rysach spoglądały na Cymeryjczyka okrutne, bezlitosne oczy. Conan wiedział, że ma przed sobą Khosatrala Khela, istotę z Otchłani, boga Dagonii.

Nie padło nawet jedno słowo. Nie było to potrzebne. Khosatral rozłożył szerokie ramiona i Conan przy kucając ciął w brzuch giganta. Natychmiast cofnął się gwałtownie, szeroko otwierając oczy ze zdziwienia. Ostrze zadźwięczało jak na kowadle i odskoczyło nie pozostawiając śladu. Olbrzym runął na niego jak burza.

Starli się gwałtownie. Conan z najwyższym trudem wyrwał się z objęć przeciwnika: krew sączyła mu się z miejsc, gdzie stalowe palce rozdarły mu skórę. Podczas tego przelotnego starcia doznał szoku, uzmysłowivszy sobie, że zetknął się nie ze zwyczajnym ludzkim ciałem, lecz z ożywionym myślącym metalem.

Khosatral nacierał na niego w półmroku. Conan wiedział, że jeśli te olbrzymie dłonie zamkną się raz jeszcze wokół jego szyi, to nie rozluźnią uścisku, dopóki nie wycisną ostatniego tchu. W ciemnościach wydawało mu się, że walczy z sennym koszmarem.

Odrzuciwszy bezużyteczną szablę, podniósł ciężką ławę i cisnął nią z całej siły. Niewielu mężczyzn zdołałoby choćby unieść taki ciężar, jednak na piersi Khosatrala Khela pocisk roztrzaskał się w kawałki nie zachwiawszy nawet olbrzymem. Tylko twarz giganta zatraciła ludzki wyraz i nad jego głową zapaliła się złocista poświata. Z impetem ruszył na Cymeryjczyka.

Jednym gwałtownym ruchem Conan zerwał ze ściany olbrzymi gobelin i zakręciwszy nim nad głową, co wymagało większego wysiłku niż ciśnięcie ławą, zarzucił go na głowę przeciwnika. Przez chwilę Khosatral plątał się, przyduszony i oślepiony przez materiał opierający się jego nieludzkiej sile lepiej niż drewno czy stal. W tym czasie Conan podniósł szablę i wypadł na korytarz. Nie zwalniając kroku przemknął przez drzwi przyległej komnaty, zatrzasnął je i zasunął rygiel.

Odwróciwszy się, stanął jak wryty i krew uderzyła mu do głowy. Na stercie jedwabnych poduszek z falami złotych włosów opadających na ramiona i przerażeniem w oczach kuliła się kobieta, której pożądał. Prawie zapomniał o deptającym mu po piętach potworze, kiedy głośny trzask za plecami przywrócił mu rozsądek. Chwycił dziewczynę i skoczył

do drzwi po drugiej stronie komnaty. Jasnowłosa była zbyt wystraszona, by mu w tym przeszkadzać lub pomagać. Wydawało się, że jedynym dźwiękiem, jaki jest w stanie z siebie wydobyć, jest słaby jęk.

Conan nie tracił czasu na próbę otwarcia drzwi. Straszliwym ciosem szabli przerąbał zamek i wyskakując na schody zobaczył kątem oka głowę i ramiona Khosatrę z trzaskiem wyłamującego zamknięte drzwi po drugiej stronie pokoju. Kolos zdruzgotał je jakby były z tektury.

Conan pognał schodami w górę, z dziecinną łatwością niosąc przerzuconą przez ramię dziewczynę. Nie miał pojęcia, dokąd biegnie, ale schody doprowadziły go do owalnej komnaty o kopulastym suficie. Olbrzym pędził za nimi po schodach, szybki i cichy jak śmierć. Komnata miała stalowe ściany i drzwi. Conan zatrzasnął je i zasunął rygle — wielkie, stalowe sztaby. Uderzyła go myśl, że znaleźli się w komnacie Khosatrę, w której ten zamykał się na noc, by zabezpieczyć się przed potworami, przyzywanymi z Otchłani dla zaspokojenia jego kaprysów.

Zaledwie zaryglował drzwi, gdy zatrzęsyły się pod gwałtownymi ciosami. Conan wzruszył ramionami. Oto kres drogi. Z pomieszczenia nie było wyjścia. Powietrze i dziwne przyćmione światło najwidoczniej dochodziło przez szczeliny kopuły. Zupełnie spokojny, sprawdził wyszczerbione ostrze swej szabli. Zrobił, co mógł; jeśli kolos wyłamie drzwi, Conan znów rzuci się na niego z bezużyteczną bronią w ręku — nie dlatego, by spodziewał się sukcesu, lecz ponieważ w jego naturze leżała walka do końca. Na razie nie miał nic do roboty. Jego spokój nie był wymuszony czy udawany.

W spojrzeniu, jakim obrzucił swą urodziwą towarzyszkę, był tak niekłamanym zachwytem, jakby miał przed sobą sto lat życia. Kiedy zamknął drzwi, rzucił ją bezceremonialnie na podłogę — teraz podniosła się na klęczki, odruchowo przyglądając falujące loki i skąpy przyodziewek. Conan obrzucił ją pełnym aprobaty spojrzeniem, zatrzymując je dłużej na gęstych, złocistych włosach, wielkich oczach, mlecznobiałej skórze, pełnych piersiach i zarysie wspaniałych bioder.

Z jej gardła wyrwał się cichy krzyk, gdy drzwi zatrzęsyły się i rygiel pękł ze zgrzytem.

Conan nie obejrzał się. Wiedział, że drzwi wytrzymają jeszcze przez chwilę.

— Powiedziano mi, że uciekłaś — rzekł. — Yuetszański rybak

doniósł mi, że tu się ukrywasz. Jak masz na imię?

— Oktawia — szepnęła odruchowo i zaraz wybuchnęła potokiem słów, chwyciwszy kurczowo Conana za rękę. — O Mitro! Czy to koszmarny sen? Ci ludzie... ciemnoskórzy... jeden z nich chwycił mnie w puszcy i przywiódł tutaj. Zanieśli mnie do tego... tego stwora. Powiedział mi... powiedział... Czy ja oszalałam? Czy to sen?

Conan zerknął na drzwi, które wygięły się jak pod ciosem tarana.

— Nie — rzekł. — To nie sen. Zawiasy ustępują. Dziwne, że ten demon musi wyłamywać drzwi jak zwykły człowiek — jednak mimo wszystko sama jego siła jest piekielna.

— Czy nie możesz go zabić? — jęknęła. — Jesteś silny.

Conan był zbyt uczciwy, by karmić ją kłamstwami.

— Gdyby zwykły śmiertelnik mógł go zabić, byłby już martwy — odparł. — Wyszczериłem szablę na jego brzuchu.

Jej oczy pociemniały.

— Więc musisz umrzeć i ja też... o, Mitro! — krzyknęła nagle w najwyższym przerażeniu i Conan chwycił ją za rękę, obawiając się, że zechce sobie coś zrobić.

— Powiedział, co chce ze mną zrobić! — dyszała ciężko. — Zabij mnie! Zabij! Zanim tutaj wejdzie!

Conan spojrzał na nią i potrząsnął głową.

— Zrobię, co będę mógł — powiedział. — To nie będzie wiele, ale da ci szansę wydostania się z komnaty. Biegnij do brzegu. Mam tam łódź przycumowaną przy schodach. Jeżeli wydostaniesz się z pałacu, może uda ci się uciec. Wszyscy mieszkańcy miasta śpią.

Ukryła twarz w dłoniach. Conan podniósł swą szablę, podszedł do dudniących pod uderzeniami drzwi i stanął przy nich. Patrząc na niego trudno było uwierzyć, że czekał na nieuniknioną, w swoim przekonaniu, śmierć. Może oczy jarzyły mu się bardziej niż zwykle i mocniej ścisnął broń w muskularnej dłoni — to wszystko.

Zawiasy ustąpiły pod straszliwymi ciosami giganta i drzwi zakołysały się gwałtownie, przytrzymywane tylko przez rygle. Te solidne, stalowe sztaby również gięły się i łamały, jakby były z miękkiej miedzi. Conan spoglądał na to z niemal beznamiętnym zainteresowaniem, podziwiając nieludzką siłę potwora.

Nagle i niespodziewanie dudnienie ustało. W głuchoj ciszy

wyczulony słuch barbarzyńcy pochwycił dziwne dźwięki po drugiej stronie drzwi: trzepot skrzydeł i skrzeczący głos, przypominający skowyt wiatru o północy. Później nastąpiła cisza, lecz nieco inna niż poprzednio. Tylko wyostrzone zmysły barbarzyńcy mogły to wyczuć. Chociaż Conan nie widział tego ani nie słyszał, był pewien, że władca Dagonii już odszedł od drzwi.

Cymeryjczyk zerknął przez szparę powstałą między drzwiami a framugą. Podest był pusty. Conan odciągnął zwichrowane rygle i ostrożnie odstawił na bok wyłamane drzwi. Khosatrąla nie było na schodach, tylko gdzieś w dole usłyszał trzask zamykanych drzwi. Nie wiedział, czy gigant knuł jakiś nowy podstęp, czy też wezwał go gdzieś tajemniczy głos, ale nie tracił czasu na rozważania. Zawołał Oktawię i ton jego głosu sprawił, że dziewczyna skoczyła na nogi i stanęła u jego boku.

— Co się stało? — szepnęła.

— Nie traćmy czasu na rozmowy! — syknął. — Chodźmy!

Conan odmienił się całkowicie; z błyskiem w oczach rzekł głosem nie znającym sprzeciwu:

— Pójdziemy po nóż! Magiczne ostrze Yuetsarów. Zostawił je w krypcie!

W dzikim pośpiechu pociągnął dziewczynę za sobą.

Po drodze przypomniał sobie tajemną kryptę przylegającą do sali tronowej i oblał się potem. Jedyna droga do grobowca wiodła obok miedzianego tronu stworzenia, które na nim spoczywało. Jednak nie wahał się ani chwili. Szybko zeszli po schodach, przeszli przez komnatę, zbiegli po następnych schodach i stanęli pod drzwiami wielkiej, mrocznej sali. Nigdzie nie dostrzegli śladu kolosa. Zatrzymując się przed spiżowymi podwojami Conan ujął Oktawię za ramiona i potrząsnął nią mocno.

— Słuchaj! — warknął. — Wejść do komnaty i zamknę drzwi za sobą. Stój tu i czekaj; jeśli usłyszysz kroki Khosatrąla, zawołaj mnie. Jeżeli usłyszysz mój krzyk, biegnij, jakby cię goniły wszystkie demony — zresztą tak będzie. Uciekaj przez tamte drzwi na końcu korytarza, bo ja już nie będę ci mógł pomóc. Idę po nóż Yuetsarów!

I zanim zdążyła zaprotestować, prześliznął się przez uchylone wierzeje i zamknął je cicho za sobą. Ostrożnie opuszczając rygiel, nie zauważył, że można go odsunąć z drugiej strony. Odszukał wzrokiem

ukryty w gęstym mroku miedziany tron — tak, oślizły gad wciąż tam leżał, oplatając go swoim cielskiem. Conan dostrzegł drzwi za tronem i domyślił się, że prowadzą do krypty. Jednak aby tam się dostać, musiał przejść przez podium blisko potwora.

Wietrzyk wiejący po zielonej posadzce narobiłby więcej hałasu niż cicho stąpający barbarzyńca. Ze spojrzeniem utkwionym w śpiącej bestii dotarł do podium i wszedł na szklane stopnie. Potwór nie poruszył się. Conan był już blisko drzwi...

Szczękniętą brązową rygiel przy wielkich drzwiach i Cymeryjczyk stłumił wściekłe przekleństwo widząc wchodzącą do sali Oktawię. Rozejrzała się, nic nie widząc w gęstym mroku; Conan stał jak wryty nie mogąc jej ostrzec. Dziewczyna dojrzała go i podbiegła do podium, krzycząc:

— Chcę iść z tobą! Boję się zostać sama! Och!

Z przeraźliwym okrzykiem uniosła ręce w górę, gdy wreszcie dostrzegła zwiniętego na tronie węża. Trójkątna głowa podniosła się i wyciągnęła w kierunku Oktawii. Płynnym ruchem gad począł spełzać z tronu: powoli, zwój po zwoju, paralizując dziewczynę spojrzeniem nieruchomych oczu. Jednym rozpaczliwym susem Conan przebył przestrzeń dzielącą go od tronu i z całej siły ciął szablą. Lecz gad był od niego szybszy. Pochwycił Conana w pół skoku, otaczając swoimi splotami. Szabla spadła bez rozmachu przecinając łuski, ale nie raniąc poważnie węża.

Conan miotał się rozpaczliwie w straszliwym uścisku, wyciskającym mu dech z piersi i miażdżącym żebra.

Prawe ramię miał wciąż jeszcze wolne, ale nie mógł nabrać rozmachu, by wymierzyć morderczy cios, a wiedział, że musi zabić bestię jednym ciosem. Wyteżył wszystkie siły, czując, że mięśnie zamieniają mu się w węzłaste bryły, a żyły prawie pękają z wysiłku. Stanął na nogi, dźwigając niemal cały ciężar dwunastometrowego cielska. Przez moment chwiał się na szeroko rozstawionych stopach, wreszcie wzniósł błyszczące ostrze nad głowę.

Szabla spadła ze świstem, przecinając łuski, ciało i kręgi gada. Zamiast jednego węża były teraz dwa, wijące się po posadzce w kurczach agonii. Conan chwiejnie opadł na bok, kręciło mu się w głowie, krew lała się z nosa i miał mdłości. Macając wokół siebie złapał Oktawię i

potrzęsnał nią, aż zadzwoniła zębami.

— Następnym razem kiedy każe ci zostać — wydyszał — to zostaniesz!

Był zbyt oszołomiony, by dosłyszeć jej odpowiedź. Chwyciwszy ją za rękę jak krnąbrne dziecko, podszedł do drzwi, szerokim łukiem omijając wciąż drgające cielsko. Wydawało mu się, że w oddali słychać jakieś wrzaski, ale wciąż szumiało mu w uszach jeszcze, więc nie był tego pewny.

Pchnięciem otworzył drzwi. Jeżeli to Khosatral umieścił węża na straży magicznego ostrza, najwidoczniej uważał to za wystarczające zabezpieczenie. Conan prawie spodziewał się, że z otwartych drzwi wyskoczy następny potwór, lecz w przymglonym świetle ujrzał jedynie dziwny zarys łuskowatego sklepienia, matowy blask złotego postumentu i półksiężycowate ostrze lśniące na kamieniach.

Porwał je z westchnieniem ulgi, po czym nie tracąc czasu na oglądanie grobowca odwrócił się do odległego wyjścia, które, jak przypuszczał, prowadziło na zewnątrz. Miał rację. Kilka minut później wyszedł na cichą ulicę, pół niosąc, pół ciągnąc swoją towarzyszkę. Nie widzieli nikogo, chociaż za zachodnim murem rozlegały się wrzaski i jęki, na nowo napełniając Oktawię przerażeniem. Conan poprowadził ją do południowej bramy i bez trudu odnalazł kamienne schody na szczyt muru. Z wielkiej sali zabrał gruby sznur i teraz, dotarwszy na górę, okręcił mocną pętlą talię dziewczyny i opuścił ją na ziemię. Następnie, przywiązawszy jeden koniec liny do muru, zręcznie się po niej ześliznął. Z wyspy mogli uciec tylko jedną drogą — schodami na zachodnim brzegu. Ruszyli w tym kierunku, omijając z daleka miejsce, skąd dobiegały krzyki i odgłosy straszliwych ciosów.

Oktawia czuła kryjące się w gęstwinie zagrożenie. Oddychała ciężko i trzymała się blisko swego opiekuna. Jednak w puszczy panował spokój i nie dostrzegli śladu niebezpieczeństwa, dopóki nie wyszli na otwartą przestrzeń i nie zobaczyli stojącego na nadbrzeżnych skałach człowieka.

Jehungir Aga uniknął losu swych wojowników, których stalowy olbrzym rozszarpał na strzępy i wdeptał w ziemię, wypadłszy z nienacka z fortecy. Kiedy zobaczył, jak miecze jego łuczników łamią się na ciele demona w ludzkiej postaci, zrozumiał, że ich przeciwnik nie jest człowiekiem i umknął, kryjąc się w gąszczu, aż odgłosy rzezi nie ucichły.



Później podkradł się do schodów, lecz jego wioślarze na niego nie czekali.

Słyszeli dzikie wrzaski mordowanych towarzyszy, a później ujrzeni na brzegu zbroczonego krwią potwora, triumfalnie wymachującego gigantycznymi ramionami. Nie zastanawiali się długo. Gdy Jehungir dotarł do schodów, właśnie znikali w trzcinach po drugiej stronie przesmyku. Khosatral odszedł — wrócił do miasta albo przetrząsał puszcę w poszukiwaniu zbiega.

Jehungir właśnie szykował się, by zejść po schodach i odpłynąć łodzią Conana, gdy zobaczył hetmana i dziewczynę wychodzących z dżungli. Wstrząsające wydarzenia, które zmroziły mu krew w żyłach i niemal odebrały zmysły, nie zmieniły zamiarów Jehungira co do wodza kozaków. Widok człowieka, którego chciał zabić, napełnił go zadowoleniem. Trochę zdziwiło go pojawienie się dziewczyny, ale nie tracił czasu na rozmyślenia. Podniósł łuk, napiął cięciwę i wypuścił strzałę. Conan uskoczył i pocisk utkwiał w pniu drzewa.

— Psie! — zadrwił barbarzyńca. — Nie zdołasz mnie trafić! Nie urodziłem się po to, by umrzeć od hyrkańskiej stali! Spróbuj jeszcze raz, turańska świni!

Jehungir nie próbował — to była jego ostatnia strzała. Dobył szabli i runął na wroga, ufając swemu spiczastemu hełmowi i kolczudze o drobnych oczkach. Conan spotkał go wpół drogi, tnąc zajadle. Zakrzywione ostrza starły się z brzękiem, odskakując, zataczając lśniące łuki, sypiąc skry. Obserwująca to Oktawia nie zauważyła ciosu; usłyszała tylko głuchy odgłos uderzenia i zobaczyła, jak Jehungir pada oblany krwią z rozrąbanego boku, gdzie stal Cymeryjczyka przecięła kolczugę i kręgosłup.

Jednak to nie na widok śmierci swego dawnego pana z gardła dziewczyny wydarł się przeszywający okrzyk. Z trzaskiem łamanych gałęzi z dżungli wynurzył się Khosatral Khel. Oktawia nie była w stanie uciekać — krzyknęła tylko przeraźliwie, kolana się pod nią ugięły i opadła na murawę.

Stojący nad ciałem Agi Conan nie zamierzał uciekać. Przerzucił okrwawioną szablę do lewej ręki i wyjął wielki, zakrzywiony nóż Yuetshów. Olbrzym zmierzał ku niemu wyciągając potężne ramiona, lecz gdy promień słońca zaśnił jasno na ostrzu, cofnął się gwałtownie.

Conan jednak nie zadowolili się tym. Runął na niego wywijając

magiczną bronią. Jej ostrze przecięło ciemny metal ciała Khosatrała jak rzeźnicki topór byczy kark. Z głębokiej rany trysnęła ciemna posoka i olbrzym krzyknął głosem przypominającym żałobne bicie dzwonu. Straszliwe ramiona opadały z impetem, lecz Conan był szybszy od turańskich łuczników, którzy zginęli pod ich ciosami. Uchyłał się, uderzając raz po raz. Khosatral zachwiał się i zatoczył w tył, a jego krzyki były nie do zniesienia. Wydawało się, że żelazo obdarzone ludzką mową rzezi i wyje pod ciosami.

Nagle gigant chwiejnie pobiegł w gąszcz, potykając się, łamiąc drzewa i tratując krzaki. A jednak, mimo że Conan pędził za nim z szybkością podwojoną przez wściekłość, zanim dopadł wroga, już majaczyły przed nimi mury i wieże Dagonii.

Khosatral odwrócił się ponownie, rozpaczliwie młóćąc ramionami, lecz nie zdołał powstrzymać rozjuszonego przeciwnika. Jak pantera atakująca łosia, Conan zanurkował pod opadające ramiona i wbił zakrzywione ostrze po rękojeść w miejsce, gdzie u człowieka znajduje się serce.

Khosatral zatoczył się i upadł. Stojąc miał jeszcze ludzką postać, ale na ziemię padł już jako nie-człowiek. Tam, gdzie przedtem była twarz o ludzkich rysach, nie było nic; metal topił się i zmieniał... Conan, którego nie przerażał żywy Khosatral Khel, z odrazą odskoczył od martwego wroga, bowiem w agonii olbrzym przybrał ponownie postać, jaką miał, gdy wypelzał z Otchłani przed tysiącami lat. Drżąc z obrzydzenia, Conan odwrócił się i zobaczył, że wieże Dagonii nie wznoszą się już wśród drzew. Rozwiały się jak dym: baszty, parapety, strzelnice, wielkie wrota z brązu, aksamity i jedwabie, złoto i kość słoniowa, kobiety i mężczyźni — wszystko znów rozsypało się w proch. Tylko kikuty potrzaskanych kolumn sterczały wśród gruzów zwałonych ścian, zdruzgotanych bruków i rozłupanych murów. Conan znów widział ruiny Xapur takie, jakimi je pamiętał.

Cymeryjczyk stał długą chwilę w milczeniu, niejasno uświadamiając sobie istotę odwiecznego konfliktu między efemerycznym tworem zwanym ludzkością a mrocznymi wytworami odwiecznego Mroku. Później posłyszał, że ktoś wzywa go strwożonym głosem. Wtedy drgnął jak zbudzony ze snu, spojrział raz jeszcze na leżące na ziemi szczątki, wzdrygnął się i ruszył z powrotem ku przybrzeżnym skałom i czekającej

tam dziewczynie.

Lęklewie wpatrywała się w gąszcz i powitała Conana okrzykiem ulgi. Cymeryjczyk otrząsnął się z ponurych wizji i znów był sobą.

— Gdzie on jest? — zapytała drżąc Oktawia.

— Wrócił do Piekła z którego wypełzł! — odparł z zadowoleniem.  
— Dlaczego nie zesłaś po schodach i nie uciekłaś moją łodzią?

— Nie opuściłabym... — zaczęła, po czym zmieniawszy zdanie, dokończyła ponuro: — Nie mam dokąd iść. Hyrkańczycy znów zrobiliby ze mnie niewolnicę, a piraci...

— A co z kozakami? — odpowiedział.

— Czyżby byli lepsi od piratów? — zapytała pogardliwie.

Podziw Conana wzrósł, gdy ujrzał, jak szybko odzyskała swą dawną pozę, mimo tak gwałtownych wzruszeń. Jej arogancja rozbawiła go.

— Wydawałaś się tak sądzić w obozie przy Ghori — odparł.

Ze wzgardą wykrzywiła czerwone wargi.

— Myślisz, że zakochałam się w tobie? Wyobrażałeś sobie, że zhańbiłabym się flirtując z takim żarłokiem i piwożłopem? Mój właściciel — którego zwłoki tam leżą — zmusił mnie do tego.

— Och! — Conan wydawał się być speszony, ale zaraz roześmiał się wesoło.

— Nieważne. Teraz należysz do mnie. Pocałuj mnie.

— Ośmielasz się prosić... — zaczęła z oburzeniem, lecz nagle poczuła, że unosi ją w powietrzu i przyciska do swej muskularnej piersi. Opierała się wściekle, wyętzając wszystkie siły, ale Conan tylko śmiał się coraz głośniej, upojony bliskością tego wspaniałego ciała.

Bez trudu przełamał jej opór i z nieposkromioną gwałtownością jął spijać nektar z jej warg, aż przestała się szamotać i objęła go za szyję. Później zajrzał jej w oczy i rzekł:

— Czemu wódz Wolnego Ludu nie miałby być lepszy od turańskiego kundla?

Odrzuciła w tył faliste loki, wciąż czując każdym nerwem żar jego pocałunków. Nie wypuszczając go z objęć, zapytała prowokująco:

— Czy uważasz się za równego Adze?

Roześmiał się i ruszył ku schodom, niosąc ją w ramionach.

— Sama osądzisz — rzekł z przechwałą. — Podpalę Khawarizm jak pochodnię, by oświetlić ci drogę do mego namiotu.

# Era Hyboryjska

Niczego w poniższym artykule nie należy uznawać za próbę przedstawienia jakiejś teorii stojącej w sprzeczności z uznaną historią. Jest to po prostu fikcyjne tło szeregu opowiadań. Kiedy przed kilku laty zacząłem pisać opowieści o Conanie, przygotowałem te „historie” jego ery i żyjących w niej ludzi, w celu przydania bohaterowi i jego sadze większej wiarygodności. Stwierdziłem też, że trzymając się tych „faktów” i ducha tej historii w trakcie pisania, łatwiej mi wyobrazić sobie (a zatem i przedstawić) bohatera jako istotę z krwi i kości niż papierową postać. Pisząc o nim i o jego przygodach w różnych królestwach jego ery, nigdy nie pogwałciłem niżej podanych „faktów” czy „historii”, lecz trzymałem się ich tak ściśle, jak pisarz tworzący powieść historyczną trzyma się rzeczywistej historii. Wykorzystywałem tę „historię” jako przewodnik do wszystkich opowiadań z tego cyklu, jakie napisałem.” O epoce znanej nemedyjskim kronikarzom jako Era Przed Katakлизmem niewiele wiadomo prócz jej ostatniego okresu, a i ten owiany jest mgłą legend. Znana nam historia rozpoczyna się u schyłku cywilizacji Przed Katakлизmem, zdominowanej przez królestwa Kamelii, Waluzji, Werulii, Grondaru, Thule i Komorii. Ich ludy mówiły podobnym językiem, świadczącym o wspólnym pochodzeniu. Istniały też i inne królestwa, równie wysoko rozwinięte, lecz zamieszkałe przez inne, najwidoczniej starsze, rasy. Barbarzyńcami owej epoki byli Piktowie, żyjący na wysepkach położonych daleko na Zachodnim Oceanie, Atlantydy, którzy zamieszkiwali mały kontynent między Wyspami Piktyjskimi a głównym, czyli thuriańskim kontynentem oraz Lemuryjczycy, osiedleni na łańcuchu dużych wysp wschodniej półkuli.

Były też rozległe połacie niezbadanych lądów. Cywilizowane kraje, chociaż nadzwyczaj wielkie, zajmowały stosunkowo niewielką część ziemskiego globu. Najdalej wysuniętym na zachód państwem thuriańskiego kontynentu była Waluzja, na wschód — Grondar. Na wschód od Grondaru, którego mieszkańcy reprezentowali niższy poziom cywilizacyjnego rozwoju niż pokrewne im ludy innych królestw,

rozciągał się bezmiar dzikich i nagich pustyń. W miejscach, gdzie ziemia była mniej jałowa, w dżunglach i w górach żyły rozproszone na znacznej przestrzeni szczepy i plemiona prymitywnych dzikusów. Daleko na południu istniała tajemnicza cywilizacja nie mająca nic wspólnego z kulturą thuriańską i wyraźnie stworzona przez rasę starszą od ludzkiej. Na wschodnich wybrzeżach kontynentu żyła inna rasa, ludzka, lecz niethuriańska i tajemnicza, z którą od czasu do czasu kontaktowali się Lemuryjczycy. Ten lud zapewne przybył z mrocznego i bezimiennego lądu leżącego gdzieś na wschód od Wysp Lemuryjskich.

Cywilizacja thunańska chyliła się ku upadkowi, jej armie składały się głównie z barbarzyńskich najemników. Ich generałami, politykami, a często i królami byli Piktowie, Atlantydzi i Lemuryjczycy. Waśnie między królestwami i wojny pomiędzy Waluzją a Komorią, jak również podboje, dzięki którym Atlantydzi utworzyli państwo na stałym lądzie, są bardziej legendą niż wiarygodnymi przekazami historycznymi. Później światem wstrząsnął Kataklyzm. Atlantyda i Lemuria pogrążyły się w talach, a Wyspy Piktyjskie wypiętrzyły się i utworzyły górski łańcuch nowego kontynentu. Całe obszary Thuriańskiego Kontynentu zniknęły pod wodą lub, zatonawszy, zmieniły się w wielkie jeziora lub śródlądowe morza. Wybuchy wulkanów i straszliwe trzęsienia ziemi wstrząsnęły posadami wspaniałych stolic imperiów. Całe narody zostały starte z powierzchni ziemi. Barbarzyńcom powiodło się lepiej niż cywilizowanym ludom. Mieszkańcy Wysp Piktyjskich wyginęli, lecz wielka kolonia Piktów założona wśród wzgórz przy południowej granicy Waluzji i służąca jako osłona przed obcym najazdem przetrwała nietknięta. Kontynentalne królestwo Atlantydwów również ominęła powszechna zagłada i tysiące ich współplemieńców przybyło tam na statkach z tonącego lądu. Wielu Lemuryjczykom udało się umknąć na wschodni brzeg thuriańskiego kontynentu, który był stosunkowo nietknięty kataklyzmem. Tam popadli w niewolę u zamieszkującego to wybrzeże starożytnego ludu, a ich historia na długie tysiąclecia stała się historią brutalnego ucisku.

W zachodniej części kontynentu zmieniające się warunki stworzyły dziwne formy życia roślinnego i zwierzęcego. Gęste dżungle pokryły równiny, wielkie rzeki przedarły się do oceanu, wypiętrzyły się wysokie góry, a jeziora zalały ruiny prastarych miast w żyznych dolinach. Do kontynentalnego królestwa Atlantydwów ścigały z zatopionych obszarów

miriady zwierząt i dzikusów — małp i małpoludów. Zmuszeni do nieustannej walki o byt, zdołali jednak jakoś zachować resztki swej wysoko zaawansowanej, barbarzyńskiej kultury. Pozbawieni metali i rud zaczęli obrabiać kamień jak ich przodkowie i wspięli się na wyżyny tej sztuki, gdy ich walcząca o przetrwanie cywilizacja zetknęła się z potężnym narodem Piktów. Ci również powrócili do obrabiania krzemienia, lecz ich populacja powiększała się szybciej i była bardziej biegła w sztuce wojennej. Nic wykazywali artystycznych talentów Ariantydwów; byli prymitywniejszą, bardziej praktyczną i płodną rasą. Nie pozostawili żadnych malowideł ani rzeźb ze słoniowej kości jak ich wrogowie, lecz mnóstwo zadziwiająco skutecznej krzemiennej broni.

Te dwa królestwa epoki kamiennej starły się ze sobą i po wielu krwawych wojnach, dzięki znacznej przewadze liczebnej, Piktowie zepchnęli Atlantydwów z powrotem do poziomu dzikusów, a ich własna cywilizacja zatrzymała się w rozwoju. Pięćset lat po Kataklizmie barbarzyńskie królestwa zniknęły z powierzchni ziemi. Pozostał tylko szczep dzikusów Piktów toczących nieustanne boje z innymi dzikusami — Atlantydami. Liczni i zjednoczeni Piktowie mieli przewagę nad Atlantydami, których naród rozproszył się na szereg niezależnych klanów.

Taki był w owym czasie Zachód.

Na dalekim wschodzie, odcięci od reszty świata gigantycznymi górami i łańcuchami powstających jezior, Lemuryjczycy nadal pędzą żywot niewolników. Odległe południe wciąż spowija mgła tajemnicy. Nietknięte przez Kataklizm, pozostaje w rękach przedludzkich ras. Wśród niskich wzgórz na południowym wschodzie zamieszkują niedobitki jednego z newaluzyjskich narodów thuriańskiego Kontynentu — lud zwany Zhemri. Tu i ówdzie są porozrzucane po świecie klany prymitywnych małpoludów, zupełnie nieświadomych powstania i upadku wielkich cywilizacji. Jednak daleko na północy powoli powstaje nowy naród.

W czasach Katakliżu grupa dzikusów na poziomie rozwoju niewiele wyższym od neandertalczyka umknęła na północ, ratując życie. Znaleźli tam śnieżną krainę zamieszkałą jedynie przez dzikie, śnieżne małpy — ogromne, kudłate, białe zwierzęta, najwidoczniej zdomowione w tym klimacie. Walczyli z nimi, aż zepchnęli je za Krąg Polarny na

oczywistą, jak sądzili, zgubę. Jednak małpoludy przystosowały się do nowego, niesprzyjającego otoczenia i przetrwały.

Po tym jak wojny Piktów z Atlantydami zniszczyły to, co mogło być zalążkiem nowej cywilizacji, kolejny, mniejszy kataklizm jeszcze bardziej zmienił wygląd kontynentu, pozostawiając wielkie śródlądowe morze z łańcuchem wysp, które jeszcze bardziej oddzieliło wschód od zachodu, a następujące po sobie trzęsienia ziemi, powodzie i erupcje wulkanów dokończyły dzieła zniszczenia barbarzyńskich plemion, zapoczątkowanego przez ich plemienne wojny.

Tysiąc lat po tym mniejszym kataklizmie zachodni świat stał się dziką krainą dżungli, jezior i rwących rzek. Wśród porośniętych lasem wzgórz na północnym zachodzie bytują koczownicze stada małpoludów nie znających mowy ani umiejętności rozniecania ognia czy używania narzędzi. To potomkowie Atlantydów, którzy stoczyli się na powrót w chaos zezwierzęcenia, z jakiego ich przodkowie z takim trudem podźwignęli się przed wiekami. Na południowym zachodzie żyją rozproszone szczepy zdegenerowanych, zamieszkujących w jaskiniach dzikusów, porozumiewających się prymitywną mową, którzy nadal zwą się Piktami, lecz miano to stało się już tylko synonimem słowa „człowiek” — którym to pojęciem odróżniali się od dzikich bestii, z którymi współzawodniczyli o żywność i miejsce do życia. Ta nazwa jest jedynym ogniwem łączącym ich z przodkami. Ani ci nędzni Piktowie, ani zmałpiali Atlantydzi nie mieli żadnego kontaktu z innymi narodami czy szczepami.

Daleko na wschodzie Lemuryjczycy, niemal stoczywszy się do poziomu zwierząt w okrutnej niewoli, wznieśli powstanie i pokonali swoich panów. Teraz są dzikusami bytującymi na ruinach obcej cywilizacji. Niedobitki pokonanego przez nich ludu, które uszły wściekłości swych niewolników, ruszyły na zachód. Najechały na to tajemnicze, przedludzkie królestwo południa i zdobyły je, ustanawiając własną kulturę, nieco zmienioną w wyniku kontaktu ze starszą rasą. To nowe królestwo nazwano Stygłą i wygląda na to, że niektórzy jej dawni mieszkańcy zdołali tam przetrwać, a nawet byli darzeni czcią, choć rasa jako taka została starta z powierzchni ziemi.

Tu i ówdzie małe grupki dzikusów wykazują oznaki powolnego rozwoju cywilizacyjnego, jednak są one nieliczne i trudne do określenia. Jednak na północy plemiona rosną w siłę. Ten lud zwie się

Hyboryjczykami albo Hyborami; ich bogiem był Bor — legenda głosiła, że był to jakiś wielki wódz żyjący jeszcze wcześniej niż król, który przyprowadził ich na północ w dniach Wielkiego Katakizmu, pamiętanego już tylko w ludowych bajaniach. Hyboryjczycy opanowali północne ziemie i zaczęli powoli napierać na południe. Jak dotąd nie napotkali żadnych innych ras — toczą wojny jedynie między sobą. Piętnaście stuleci w północnych kramach zmieniło ich w roślą, płowowłosą i szarooką, a przy tym krzepką i wojowniczą rasę, już wtedy wykazującą dobrze wykształcone zdolności artystyczne. Żyją jeszcze głównie z łowów, ale ich południowe szczepy już od kilku wieków hodują bydło. Tylko jeden wypadek przerwał ich dotychczasową całkowitą izolację od innych narodów — wędrowiec powracający z dalekiej północy przyniósł wieść, że uważane za bezludne lodowe pustkowia są zamieszkane przez liczne plemię małopółdów, wywodzących się, jak przysięgał, od małp wypartych przez przodków Hyboryjczyków z bardziej nadających się do zamieszkania ziem.

Wędrowiec namawiał, aby wysłać zbrojny oddział za Koło Podbiegunowe i wyciąć w pień te bestie, które — przysięgał — przekształcały się w prawdziwych ludzi. Wyśmiano go, zaledwie niewielka gromadka żądnych przygód, młodych wojowników podążyła z nim na Północ, żaden z nich nie wrócił.

Jednak szczepy hyboryjskie parły na południe i w miarę wzrostu ich liczebności ten ruch przybierał na sile. Następne stulecie było wiekiem wędrowek i podbojów. Po kartach historii przepływał nieustannie zmieniający się kalejdoskop plemion i szczepów. Spójrzmy na świat pięćset lat później. Szczepy płowowłosych Hyboryjczyków przesunęły się na południe i na zachód, podbijając i niszcząc wiele małych, nieznanych narodów. Wchłonawszy krew podbitych ludów, potomkowie pierwszych migracji zaczynają już wykazywać odmienne cechy genetyczne, zaś na nich gwałtownie napierają kolejne fale plemion o czystej krwi, spychające ich przed sobą jak miotła, z grubsza zmiatająca śmiecie, co prowadzi do jeszcze gruntowniejszego przemieszania się cech.

Jak dotychczas zdobywcy nie zetknęli się z żadną ze starszych ras. Na południowym wschodzie potomkowie Zhemri, zasileni nową krwią w wyniku wchłonięcia jakiegoś nieznanego plemienia, starają się wskrzesić



choćby cień dawnej świetności swej prastarej cywilizacji. Na zachodzie zmałpiali Atlantydzi rozpoczynają długą wspinaczkę po drabinie ewolucji. Dla nich cykl rozwoju zamknął się; już dawno zapomnieli o tym, że niegdyś byli ludźmi, nieświadomi dawnego stanu rzeczy rozpoczynają nowy marsz bez pomocy i obciążeń, jakimi są wspomnienia. Na południe od nich Piktowie pozostają dzikusami, zdając się wbrew prawom natury nie rozwijać ani nie cofać w rozwoju. Daleko na południu drzemie tajemnicze, starożytne królestwo — Stygia. Na jej wschodnich granicach bytują koczownicze plemiona prymitywnych nomadów, już wtedy znanych jako Synowie Shemu.

Obok Piktów, w rozległej dolinie Zingg, pod osłoną wielkich gór, bezimienny szczep dzikusów uznawany za pokrewny Shemitom wytworzył zaawansowaną kulturę rolniczą. Jeszcze jeden czynnik dodał impetu hyboryjskiej migracji. Pewne plemię odkryło sposób wznoszenia kamiennych budowli i niebawem powstało pierwsze królestwo Hyboryjczyków — prymitywne i barbarzyńskie królestwo Hyperborei, któremu początek dała toporna forteca z głazów, wzniesiona dla obrony przed wrogiem. Plemię to szybko porzuciło swoje namioty z końskich skór na rzecz domów z kamienia, zbudowanych niezdarnie, lecz solidnie. Tak zabezpieczeni rośli w sile. Historia świata zna niewiele bardziej brzemiennej wydarzeń niż powstanie tego prymitywnego, wojowniczego państwa, którego lud nagle porzucił koczowniczy tryb życia i jął wznosić domostwa z nieociosanych głazów, otoczone cyklopowymi murami — a dokonała tego rasa, która dopiero co wyszła z epoki kamienia gładzonego i przez przypadek odkryła najprostsze zasady sztuki budowlanej.

Powstanie królestwa Hyperborei dało impuls do migracji wielu innym plemionom, bowiem pokonane w wojnie lub nie chcące stać się lennikami swoich zamieszkałych w zamkach pobratymców, liczne klany ruszyły w długą wędrówkę, wiodącą przez niemal pół świata. A zamieszkujące północne ziemie plemiona zaczęły już być niepokojone przez jasnowłosych, olbrzymich dzikusów, niewiele bardziej zaawansowanych w rozwoju niż małopoludy.

Historia następnego tysiąclecia to saga o narodzinach potęgi Hyboryjczyków, których wojownicze plemiona zapanowały nad całym Zachodem. Wtedy powstały pierwsze, prymitywne królestwa.

Płowowłosi najeźdźcy starli się z Piktami, spychając ich na jałowe ziemie zachodnie. Na północnym zachodzie potomkowie Atlantydów, mozolnie przeobrażający się z małp w prymitywnych dzikusów, jeszcze nie spotkali się z Hyboryjczykami. Na Dalekim Wschodzie Lemuryjczycy rozwijają swoją własną, dziwną cywilizację. Na południu Hyboryjczycy stworzyli królestwo Koth, graniczące z pasterską krainą zwaną Ziemią Shemu, a dzicy z tych krain, częściowo dzięki zetknięciu się z najeźdźcami, a częściowo w wyniku kontaktów z nękającą ich od wieków Stygią, poczynają stopniowo odchodzić od barbarzyństwa. Jasnowłosi dzikusy z północy tak urosli w liczbę i siłę, że północne plemiona Hyboryjczyków przesuwają się na południe, spychając przed sobą klany pobratymców. Jeden z północnych szczepów podbija starożytne królestwo Hyperborei, ale dawna nazwa kraju pozostaje nie zmieniona. Na południowy wschód od Hyperborei z królestwa Zhemri powstaje państwo zwane Zamorą, zaś na południowym zachodzie Piktowie najeżdżają żyzną dolinę Zingg i pokonawszy jej mieszkańców osiadają wśród nich. Powstała w ten sposób rasa zostaje później podbita przez plemię Hyboryjczyków i wchłonawszy ich, daje początek królestwu Zingary.

Pięćset lat później granice państw są już ściśle określone. Na Zachodzie dominującymi państwami są królestwa hyboryjskie — Akwilonia, Nemedia, Brythunia, Hyperborea, Koth, Ophir, Argos, Koryntia i Królestwa Kresowe. Na wschód od nich leży Zamora, zaś na południowy zachód Zmgara; ich mieszkańcy, choć mają podobny kolor skóry i egzotyczne obyczaje, nie są ze sobą spokrewnieni. Daleko na południu drzemie Stygia, wprowadzie nietknięta przez najeźdźców, lecz lud Shemu zrzucił już jej jarzmo, zamieniając je na nieco mniej uciążliwą zależność od Koth. Smągłoskórzy panowie zostali odepchnięci za wielką rzekę zwaną Styks, Nil lub Nilus, która bierze początek wśród ziem tajemniczego południa, by skręcić niemal pod kątem prostym i toczyć wody przez żyzne pastwiska Shemu, a w końcu wpaść do wielkiego oceanu. Na północ od Akwilonii najbardziej wysuniętego na zachód królestwa hyboryjskiego — leży Cymeria. Jej dzicy mieszkańcy, niepokonani przez najeźdźców, są potomkami Atlantydów, lecz dzięki kontaktom z hyboryjską cywilizacją rozwijają się teraz znacznie szybciej niż ich odwieczni wrogowie — Piktowie, zamieszkujący pierwotne

puszcze na zachód od Akwilonii.

Po upływie następnych pięciu stuleci Hyboryjczycy stworzyli tak wysoce zaawansowaną cywilizację, że zetknięcie się z nią umożliwia wydzwignięcie się z otchłani barbarzyństwa dzikim plemionom, które weszły z nią w kontakt. Najpotężniejszym królestwem jest Akwilonia, lecz i inne rywalizują z nią co do świetności i potęgi. Coraz trudniej znaleźć Hyboryjczyka czystej krwi; najbliższym pokrewieństwem ze starą rasą mogą się poszczycić mieszkańcy Gunderlandii — północnej prowincji akwilońskiej. Jednak dopływ obcej krwi nie osłabił Hyboryjczyków — w świecie zachodnim są dominującą siłą, chociaż mieszkańcy pustkowi nieustannie rosną w siłę.

Na północy złotowłosi, niebieskoocy barbarzyńcy, potomkowie jasnowłosych dzikusów wyparli Hyboryjczyków ze śnieżnych krain, jedynie królestwa Hyperborei opiera się jeszcze ich naporowi. Ich kraj zwie się Nordheimem, zaś jego mieszkańcy dzieła się na rudowłosych Vanirów z Vanaheimu oraz żółtowłosych Æsirów z Asgardu. I oto na kartach historii znów pojawiają się Lemuryjczycy — tym razem jako Hyrkańczycy. Przez całe stulecia parli uparcie na zachód, by teraz dotrzeć na południowe wybrzeże wielkiego, śródlądowego Morza Vilavet i utworzyć na jego południowym krańcu królestwo Turanu. Między tym śródlądowym morzem a wschodnimi granicami miejscowych królestw rozciągają się szerokie stepy, a bardziej na południu — pustynie. Mieszkańcy tamtych stron, nie pochodzący od Hyrkańczyków, to rozproszone plemiona pasterzy; o ich północnym odłamie niewiele wiemy, natomiast południowy wywodzi się z tubylczych Shemitów o niewielkiej domieszce krwi hyboryjskiej pochodzącej od migrujących plemion. Pod koniec tego okresu inne klany hyrkańskie prą na zachód i okrążywszy północny kraniec morza ścierają się z najdalej wysuniętymi na wschód przyczółkami Hyperborejczyków.

Spójrzmy pobieżnie na ludy tej ery.

Dominujący w świecie Hyboryjczycy nie są już jednolicie płowowłosi i szaroocy. Zmieszali się z innymi rasami. Pośród mieszkańców Koth znajdujemy silnie zaznaczone cechy shemickie, a nawet stygijskie — do pewnego stopnia podobnie jest w Argos, gdzie jednak silniej uwidacznia się domieszka krwi zingarańskiej. Brythuńczycy ze wschodu pożenili się z ciemnoskórymi Zamorankami, a

lud południowej Akwilonii przemieszał się ze smagłymi Zingaranami do tego stopnia, że czarne włosy i brązowe oczy są najczęstszą cechą mieszkańca Poitain — najdalej na południe wysuniętej akwilońskiej prowincji. Starożytne królestwo Hyperboret leży wprawdzie na krańcu cywilizowanego świata, ale w żyłach i jego obywateli płynie wiele obcej krwi za sprawą cudzoziemskich kobiet sprowadzanych tu jako niewolnice z Hyrkanii, Asgardu i Zamory. Jedynie w Gunderlandii można znaleźć nie skażoną obcymi domieszkami krew hyboryjską, a to dlatego, że tamtejszy lud nie trzyma niewolników, jednak barbarzyńcy zachowali czystość swej rasy, Cymeryjczycy są wysocy i potężnie zbudowani, o czarnych włosach i niebieskich lub szarych oczach. Mieszkańcy Nordheimu są podobnej budowy, lecz o białej skórze, niebieskich oczach i złotych lub rudych włosach. Piktowie są tacy sami jak zawsze niscy, ciemnoskórzy, o czarnych oczach i włosach. Hyrkańczycy są zazwyczaj ciemnowłosi, szczupli i wysocy, choć spotyka się wśród nich osobników o krępej budowie ciała i skośnych oczach, w wyniku domieszki krwi dziwnego, inteligentnego, choć niewielkiego wzrostem ludu zamieszkującego w górach na wschód od Vilayet, który wchłonęli w swoim pochodzie na zachód. Shemici są najczęściej średniego wzrostu, lecz ponieważ w ich żyłach płynie sporo stygijskiej krwi, można wśród nich napotkać olbrzyma o szerokich barach i potężnej budowie; zwykle mają ciemne oczy, haczykowate nosy i kruczoczarne włosy.

Stygijczycy są śniadzi, wysocy, proporcjonalnie zbudowani, o wyrazistych rysach twarzy; a przynajmniej tacy są przedstawiciele klasy panującej. Klasy niższe stanowią mieszaninę najrozmaitszych ras — stygijskiej, shemickiej, a nawet hyboryjskiej. Na południe od Stygli leżą rozległe królestwa czarnoskórych Amazonek, Kuszytów i Atlajów — oraz wielonarodowe imperium Zimbabwe.

Między Akwilonią a piktyjskimi puszciami leżą Kresy Bossońskie; jego mieszkańcy są potomkami tubylczej rasy wchłoniętej przez szczep Hyboryjczyków w pierwszych wiekach hyboryjskiej migracji. Ten lud nigdy w pełni nie poddał się wpływowi najeźdźców i został przez nich zepchnięty na skraj cywilizowanego świata. Bossończycy są ludźmi średniego wzrostu i średniej budowy ciała; oczy mają szare lub piwne. Żyją głównie z rolnictwa, a mieszkają w dużych, solidnie obwarowanych wioskach; są poddanymi króla Akwilonii. Ich kraj rozciąga się od Cymerii

na północy po Zingarę na południowym zachodzie, stanowiąc przedmurze dla Akwilonii, chroniące ją zarówno przed Cymeryjczykami, jak i Piktami. Bossończycy są nieustępliwi w boju, zaś w ciągu wielu wieków nieustannych wojen z barbarzyńcami z zachodu i północy opanowali sztukę walki w takim stopniu, że ich obronnego szyku niemal nie sposób przełamać frontalnym atakiem.

Pięćset lat później cywilizacja hyboryjska została zmieciona z powierzchni ziemi. Szczególny charakter tego upadku polegał na tym, że nie był on skutkiem wewnętrznego rozkładu, lecz rosnącą siłą barbarzyńskich narodów i Hyrkańczyków. Rządy Hyboryjczyków zakończyły się w chwili, gdy ich prężna kultura znajdowała się w pełni rozkwitu.

Przyczyną tego upadku, chociaż nie bezpośrednią, była chciwość władców Akwilonii. Chcąc rozszerzyć swoje imperium, toczyli oni wojny z sąsiadami. Zingara, Argos i Ophir zostały całkowicie zaanektowane, razem z zachodnimi miastami Shemu, którego wschodnie prowincje właśnie rzuciły jarzmo Koth. Samo Koth, wraz z Koryntią i shemickimi plemionami zamieszkującymi na wschodzie, było zmuszone płacić Akwilonii daninę i wspomagać ją w wojnach. Między Akwilonią a Hyperboreą istniał zadawniony spór i armie tej ostatniej wyruszyły na spotkanie rywala z zachodu. Równiny Królestwa Kresowego stały się sceną wielkiej i zacieklej bitwy, w której jeźdźcy z północy zostali sromotnie pobici i wycofali się w swoje śnieżne pustkowia, gdzie nie ścigali ich zwycięscy Akwilończycy. Nemedia, która przez wieki skutecznie opierała się zachodnim królestwom, teraz zawiązała sojusz z Brythunią i Zamorą oraz — w tajemnicy — z Koth, w celu zniszczenia potęgi powstającego imperium. Jednak zanim ich armie zdołały połączyć się w bitwie, na wschodzie pojawił się nowy przeciwnik, gdy Hyrkańczyki zadali pierwszy zdecydowany cios zachodniemu światu.

Wspierani przez awanturników ze wschodnich wybrzeży Vilayet, turańscy jeźdźcy zalali Zamorę, zniszczyli wschodnią Koryntię i na równinach Brythunii napotkali Akwilończyków, którzy ich pobili i zmusili do beładnej ucieczki na wschód, jednak sojusz został zerwany i w przyszłych wojnach Nemedia zajmowała postawę obronną, czasami będąc wspieraną przez Brythunię i Hyperboreę oraz — jak zawsze skrycie przez Koth. Klęska Hyrkańczyków ukazała narodom prawdziwą

siłę zachodniego królestwa, którego świetne armie wspierali najemnicy, w wielu wypadkach wywodzący się z Zingarańczyków czy barbarzyńskich Piktów lub Shemitów.

Zamora została ponownie odebrana Hyrkańczykom, lecz jej lud szybko stwierdził, że była to tylko zamiana władcy ze wschodu na władcę z zachodu. Żołnierze akwilońscy stacjonowali tam nie tylko po to, by chronić spustoszony kraj, ale by trzymać go w zależności. Hyrkańczycy nie zniechęcili się; jeszcze trzykrotnie przekraczali granice Zamory i wkraczali na ziemię Shemu, za każdym razem odpierani przez Akwilończyków, chociaż liczebność turańskich armii wciąż rosła, gdy ze wschodu nadjeżdżały hordy zakutych w stal jeźdźców, zahaczając o najdalej na południe wysunięte brzegi śródlądowego morza.

Jednak to na zachodzie powstawała siła, której przeznaczeniem było zrzucić z tronów władców Akwilonii. Na północy, wzdłuż granic Cymerii toczyły się nieustanne potyczki między jej czarnowłosymi wojownikami a mieszkańcami Nordheimu; Æsirowie w przerwach między wojnami z Vanirami napadali na Hyperboreę i przesuwali jej granicę coraz dalej, zdobywając miasto za miastem. Cymeryjczycy walczyli zarówno z Piktami, jak i z Bossończykami, a parę razy napadali samą Akwilonię, lecz te wojny bardziej przypominały zbójckie wyprawy niż najazdy.

Jednak Piktowie zdumiewająco rośli w siłę i stawali się coraz liczniejsi. Dziwne zrządenie losu sprawiło, że w znacznej części wysiłki jednego człowieka, w dodatku obcego, przyczyniły się do tego, że obrali drogę, która miała ich zaprowadzić do utworzenia własnego imperium. Tym człowiekiem był Arus, kapłan z Nemedii, urodzony reformator. Nie wiadomo, co zwróciło jego uwagę na Piktów, jednak historia podaje, że zdecydował się udać w ostępy zachodnich puszczy, aby nawracać prymitywnych pogan na kult dobrego boga Mitry. Nie zniechęciły go ponure opowieści o tym, co przytrafiało się tam kupcom i podróżnikom, a kaprys losu sprawił, iż trafił między ludzi, których szukał, samotny i bez broni, i nic został natychmiast przebity dzidą.

Piktowie korzystali na kontaktach z cywilizacją hyboryjską, lecz zawsze gwałtownie się im opierali. Trzeba powiedzieć, że nauczyli się prymitywnej obróbki miedzi i cyny, których ubogie złoża znajdowały się w ich kraju, ponadto w poszukiwaniu tego drugiego metalu urządzali zbrojne wyprawy w góry Zingary lub wymieniali go na skóry, fiszby,

kły morsów i inne rzeczy, jakie dzikusy mogą mieć na handel. Już nie mieszkali w jaskiniach i szałasach, lecz wznosili namioty ze skór oraz toporne chaty, podpatrzone u Bossończyków. Nadal żyli głównie z myślistwa, ponieważ ich puszcze roły się od wszelkiego rodzaju zwierzyny, a rzeki i strumienie od ryb, lecz nauczyli się też uprawiać zboże, co robili rzadko, wołąc kraść je sąsiadom — Bossończykom i Zingarańczykom. Byli podzieleni na klany, zwykle zwaśnione ze sobą, zaś ich obrzędy były krwawe i całkowicie niepojęte dla cywilizowanego człowieka, jakim był Arus z Nemedii. Nie mieli bezpośrednich kontaktów z Hyboryjczykami, ponieważ oddzielali ich od nich Bossończycy. Jednak Arusowi udało się wprowadzić ich na drogę rozwoju, a dalszy bieg wypadków dowiódł, że nie pomylił się w swych przewidywaniach — chociaż w sposób, jakiego wcale się nie spodziewał.

Arus miał szczęście natrafić na wodza imieniem Gorm, o ponadprzeciętnej inteligencji. Fenomenowi Gorma nie można wytłumaczyć, tak samo jak Dżyngis Chana, Otomana, Attylli czy innych takich osobników, którzy, urodzeni w nieurodzajnych krainach, wśród nieokrzesanych barbarzyńców, posiadali jednak instynkt kierujący ich ku podbojom i budowaniu imperiów. Kulejącą bossońszczyzną kapłan wyjaśnił swoje zamiary wodzowi, który, choć niezmiernie zdumiony, nie zarząnął go i pozwolił mu pozostać — fakt bez precedensu w historii Piktów. Nauczywszy się języka Arus postanowił zająć się wykorzenieniem najbardziej nieprzyjemnych piktyjskich zwyczajów — takich jak ofiary z ludzi, krwawa zemsta i palenie żywcem jeńców. Długo molestował Gorma, który okazał się cierpliwym, choć trudnym do przekonania słuchaczem. Oczami wyobraźni można odtworzyć tę scenę: czarnowłosego wódz, w swoich tygrysich futrach i naszyjniku z ludzkich zębów, przykucnięty na polepie lepianki, słuchający uważnie przemowy kapłana, który zapewne siedział na rzeźbionym, nakrytym skórą kawale mahoni, wstawionym specjalnie dla niego. Odziany w jedwabne szaty nemedyjskiego kapłana mówca gestykulował szczupłymi, białymi rękami, objaśniając wieczyste prawa i obowiązki stanowiące wiarę Mitry. Niewątpliwie z odrazą pokazywał rzędy czaszek zdobiące ściany chaty i nalegał, by Gorm wybaczał swoim wrogom zamiast wykorzystywać w taki sposób ich zbiegłe szczątki. Arus był ostatecznym produktem niezwykle subtelnej rasy, wygładzonej przez wieki cywilizacji, Gorm miał

za sobą dziedzictwo stu tysięcy lat prymitywnej egzystencji — jego skradający się krok był chodem tygrysa, w szponiastych rękach tkwiła siła goryla, a w oczach palił się płomień, jaki płonie w lamparcich ślepiach.

Arus był człowiekiem praktycznym. Odwołał się do chęci osiągnięcia materialnych korzyści, przedstawiał wodzowi siłę i wspaniałość hyboryjskich królestw jako przykład potęgi Mitry, którego nauka i dzieła wyniosły je na szczyt. Mówił o miastach, żyznych równinach, marmurowych budowlach i żelaznych rydwanach, wysadzanych klejnotami wieżach i jeźdźcach jadących do boju w swych lśniących zbrojach. Zaś Gorm, z nieomylnym instynktem barbarzyńcy, puszczał mimo uszu jego słowa dotyczące bogów i ich nauk, całą uwagę skupiając na tak żywo opisywanych sprawach materialnych. Tam, w tej lepiance mającej polepę miast podłogi, odziany w jedwabie kapłan na kłodzie mahoniu i ciemnoskóry wódz w tygrysiach skórach stworzyli podwaliny przyszłego imperium.

Jak już powiedziałem, Arus był człowiekiem praktycznym. Żył wśród Piktów i stwierdził, że inteligentny człowiek może wiele pomóc ludziom, nawet jeśli ci ludzie ubierają się w tygrysie skóry i noszą naszyjniki z ludzkich zębów. Jak wszyscy kapłani Mitry znał się na wielu rzeczach. Odkrył, że w górach kraju Piktów znajdowały się bogate złoża rudy żelaza i nauczył tubylców wydobywać je, wytapiać i wyrabiać z niego różne narzędzia — jak sądził, wyłącznie do celów rolniczych. Przeprowadził różne reformy, lecz najważniejszym jego dziełem było to, że zaszczepił Gormowi żądzę poznania cywilizowanych ziem, nauczył Piktów obróbki metalu i stworzył pomost między nimi a cywilizowanym światem. Na żądanie wodza poprowadził jego i kilku jego wojowników przez równiny Bossonii, gdzie zapracowani wieśniacy spoglądali na nich ze zdumieniem, do kwitnących królestw Zachodu. Arus niewątpliwie uważał, że udaje mu się całe rzesze nawracać na jego wiarę, bowiem Piktowie słuchali go i jakoś nie porąbali go swoimi miedzianymi toporkami. Jednak Pikt jest z natury niezbyt skłonny do poważnego traktowania nauk kładących mu wybaczać wrogom i zejść z wojennej ścieżki na drogę cnoty. Mówiłem już, że ta rasa jest pozbawiona aryzmu, w jej naturze leży gwałt i przemoc. Kiedy kapłan mówił o wspaniałościach cywilizowanych krajów, ciemnoskórzy słuchacze nie



myśleli o ideałach jego religii, lecz o łupach, jakie nieświadomie opisywał, opowiadając o bogatych miastach i kwitnących kramach. Kiedy mówił, jak Mirra pomógł niektórym władcom zwyciężyć wrogów, nie zwracali uwagi na cudy Mitry, lecz skupiali ją na opisach bitew, konnych rycerzy oraz manewrów łuczników i oszczepników. Wysłuchiwali go z niezgłębionym wyrazem twarzy i szli swoją drogą bez żadnych komentarzy, z pochlebającą mu uwagą chłonąc rady dotyczące obróbki żelaza i tym podobnych sztuk.

Przed jego przybyciem kradli stalowy oręż i zbroje Bossończykom lub Zingarantom albo wykuwali swoje prymitywne uzbrojenie z miedzi czy brązu. Teraz otworzył się przed nimi nowy świat i cały ich kraj rozbrzmiewał echem kowalskich młotów. Po opanowaniu tej nowej umiejętności Gorm zaczął zdobywać przewagę nad innymi klanami, po części w drodze wojen, a częściowo dzięki zręczności i zdolnościom dyplomatycznym, którymi przewyższył wszystkich innych barbarzyńców.

Piktowie mogli teraz swobodnie poruszać się po Akwilonii, skąd powracali z nowymi wiadomościami dotyczącymi wykuwania pancerzy, i wyrabiania mieczy. Co więcej, zaciągali się jako najemnicy w szeregi akwilońskiej armii, ku niewypowiedzianemu oburzeniu krzepkich Bossończyków. Królowie Akwilonii rozważali możliwość napuszczenia Piktów na Cymeryjczyków i być może pozbycia się w ten sposób zagrożenia z obu stron, jednak byli zbyt zajęci agresywną polityką na południu i na wschodzie, aby poświęcić więcej uwagi słabo poznanym ziemiom na zachodzie, z których przybywało coraz więcej i więcej wojowników, aby zaciągnąć się w szeregi armii.

Wojownicy ci po zakończeniu służby wracali w swe dzikie ostępy ze znajomością nowoczesnych metod prowadzenia wojny i pogardą dla cywilizacji wywołaną bliższym z nią kontaktem. Wśród wzgórz zaczęły bić bębny, na szczytach zapłonęły ognie, a kowale dzikusów w tysiącu kuźni wykuwali stalowy oręż. Dzięki intrygom i napadom, zbyt licznym i skomplikowanym, aby je opisywać, Gorm został wodzem wszystkich klanów — nieomal królem, którego Piktowie nie mieli od tysięcy lat. Czekał długo, był już w wieku więcej niż średnim. Jednak teraz ruszył ku granicy, nie po to, aby handlować, lecz by zdobywać.

Arus zbyt późno zrozumiał swój błąd: nie zgłębił duszy poganina i

jego dzikiej natury. Jego elokwencja w najmniejszym stopniu nie poruszyła sumień dzikusów. Zamiast tygrysich skór Gorm nosił teraz posrebrzany pancerz, lecz pod nim był taki sam — prymitywny barbarzyńca, nie rozumiejący teologii czy filozofii, instynktownie łaknący jedynie krwi i łupów.

Piktowie runęli na granice Bossonii niosąc ogień i miecz, a nie byli odziani w tygrysie skóry i uzbrojeni w miedziane toporki jak wprzód, lecz mieli łuskowate kolczugi i oręż z ostrej stali. Co do Arusa, to rozplatał mu czaszkę pijany Pikt, gdy kapłan próbował jeszcze naprawić to, co nieświadomie uczynił. Gorm nie był pozbawiony uczucia wdzięczności: kazał osadzić czaszkę mordercy na grobowcu kapłana. I chyba jednym z najbardziej ponurych żartów w dziejach świata był fakt, że w taki barbarzyński sposób zostały ozdobione głazy kryjące ciało Arusa — człowieka, dla którego przemoc i krwawa zemsta były czymś odrażającym.

Jednak nowy oręż i zbroje nie wystarczyły, aby zwyciężyć, przez długie lata umocnienia i zaciekła odwaga Bossończyków powstrzymywały nieprzyjaciół, a w razie potrzeby król Akwilonii wysyłał swe oddziały na pomoc. W tym czasie Hyrkańczycy najechali kraj i zostali odparci, a Zamora została przyłączona do imperium.

Później niespodziewana zdrada przełamała linię bossońskiej obrony. Przed opisaniem tego wydarzenia należy przyjrzeć się bliżej akwilońskiemu imperium. Akwilonia zawsze była zasobnym państwem, a dzięki podbojom zdobyła niewypowiedziane bogactwa i dawne, proste i pełne trudów życie zastąpił blichtr przepychu. Ale ani władcy, ani lud nie byli jeszcze zniewieściali, choć ubierali się w jedwabie i złotogłowie, byli nadal żywotnym, odpornym narodem. Jednak dawną prostotę zastąpiła arogancja. Mniej możnych od siebie traktowali z rosnącą pogardą, nakładając coraz większe lenna na podbite kraje. Argos, Zingara, Ophir, Zamora i kraje Shemu traktowano jak podległe prowincje, co było szczególnie upokarzające dla dumnych Zingarańczyków, którzy często buntowali się mimo okrutnych represji. Koth było praktycznie lennikiem, pozostając pod akwilońską „ochroną” przed Hyrkańczykami. Jednak najdalej na zachód wysunięta Nemedi nigdy nie poddała się władzy imperium, chociaż jej sukcesy miały przeważnie charakter obronny i były osiągnięte przy pomocy

hyperborejskich armii. Jedynymi klęskami Akwilonii w tym czasie były: nieudana aneksja Nemedii oraz sromotna ucieczka przed Æsirami. Tak samo jak Hyrkańczycy okazali się niezdolni do powstrzymania szarzy ciężkiej kawalerii akwilońskiej, tak i Akwilończycy najeżdżający pokryte śniegiem krainy nie byli w stanie sprostać w bezpośrednim starciu zażartym wojownikom z Północy. Jednak podboje Akwilonii sięgnęły aż po Nil, gdzie armia stygijska poniosła całkowitą klęskę, a król Stygli przysłał okup, aby zapobiec inwazji na swój kraj. Znaczna część Brythunii została zaanektowana w wyniku kolejnych wojen i przygotowywano się do ostatecznego podbicia odwiecznego rywala — Nemedii.

Oddziały akwilońskiej jazdy, znacznie wzmocnione liczebnie najemnikami, ruszyły na nieprzyjaciela i wydawało się, że to natarcie ostatecznie zniweczy resztki niezależności Nemedii. Jednak powstały spory między Akwilończykami a pomagającymi im Bossończykami.

Nieuniknionym następstwem imperialnej ekspansji były arogancja i brak tolerancji panujące wśród Akwilończyków. Natrzęsali się z prostodusznych, niewykształconych Bossończyków i powstały między nimi tarcia — Akwilończycy gardzili Bossończykami, których to drażniło. Akwilończycy otwarcie uważali się za ich panów i traktowali ich jak podbity naród, nakładając wygórowane podatki i zmuszając do udziału w wojnach, których celem była ekspansja terytorialna, z czego Bossończycy nie mieli niemal żadnych korzyści. Niewielu ich pozostało w ojczyźnie, by strzec granicy i słysząc, że Piktowie pustoszą ich ziemie, całe regimenty Bossończyków wycofały się z nemedijskiej kampanii i pomaszerowały ku zachodniej granicy, gdzie w wielkiej bitwie pokonały ciemnoskórych najeźdźców.

Dezercja ta była bezpośrednim powodem klęski Akwilonii w wojnie z Nemedią i ściągnęła na Bossończyków okrutny gniew władców imperium — jak zwykle nietolerancyjnych i krótkowzrocznych. Akwilońskie regimenty potajemnie podeszły do granic stepów, bossońscy wodzowie zostali zaproszeni na wielką naradę i pod pozorem wyprawy na Piktów w niepodejrzewających niczego wioskach rozlokowano oddziały dzikich shemickich żołnierzy. Bezbronni wodzowie zostali wyrżnięci, Shemici zaatakowali zaskoczonych gospodarzy niosąc śmierć i pożogę, a na kraj runęły oddziały imperialnej

jazdy. Stepy zostały spustoszone od północy do południa i armie akwilońskie pomaszerowały z powrotem, pozostawiając za sobą spustoszony i zniszczony kraj.

A wtedy na Bossonię uderzyli Piktowie. Nie był to zwykły napad, lecz zmasowany atak wszystkich klanów, dowodzonych przez wodzów, którzy służyli w akwilońskiej armii, zaplanowany i kierowany przez Gorma teraz już starca, lecz o wciąż niewygasłych ambicjach. Tym razem nie napotkali na swej drodze wiosek otoczonych częstokołami i obsadzonych przez krzepkich łuczników, którzy mogliby powstrzymać ich pochód do czasu nadejścia oddziałów imperium. Resztki Bossończyków zostały starte z powierzchni ziemi i żądni krwi barbarzyńcy runęli na Akwilonię, grabiąc i paląc, zanim legiony walczące z Nemedyczykami zdążyły pomaszerować na zachód. Zingara skorzystała ze sposobności by zrzucić jarzmo, a za jej przykładem poszły Koryntia i Shem. Całe regimetry najemników i wasali buntowały się i maszerowały z powrotem do swoich krajów, plądrując i paląc po drodze. Piktowie niepowstrzymanie parli na wschód, ścierając w proch jeden oddział jazdy za drugim. Bez bossońskich łuczników Akwilończycy nie byli w stanie oprzeć się straszliwemu gradowi strzał barbarzyńców. Wezwano legiony ze wszystkich prowincji imperium, aby odeprzeć atak, a z głębi puszczy wyłaniała się jedna horda dzikusów za drugą. I wśród tego zamętu Cymeryjczycy zeszli ze swych wzgórz, dopełniając dzieła zniszczenia. Splądrowali miasta, zniszczyli kraj i powrócili z łupem w góry, lecz Piktowie pozostali na ziemi, którą zdobyli. Imperium akwilońskie pogrążyło się w morzu ognia i krwi.

Wtedy ze wschodu znów nadciągnęli Hyrkańczycy. Wycofanie się imperialnych legionów z Zamory było dla nich zachętą. Zamora stała się ich łatwym łupem i hyrkański król uczynił jej największe miasto swoją stolicą. Tej inwazji dokonali Hyrkańczycy ze starożytnego królestwa Turanu znad brzegów śródładowego morza, lecz inni, bardziej dzicy, zaatakowali z północy. Oddziały odzianych w stal jeźdźców okrążyły północny kraniec morza, przebyły lodowe pustkowia, wkroczyły na stepy, pędząc przed sobą tubylców i runęły na zachodnie królestwa. Ci nowi przybysze początkowo nie byli sojusznikami Turańczyków, lecz potykali się z nimi tak samo, jak z Hyborianami, ci wojownicy ze wschodu swarzyli się i walczyli, aż wszyscy zjednoczyli się pod jednym

wielkim wodzem, który przybył aż znad brzegu wielkiego wschodniego oceanu. Nie napotykał na swej drodze akwilońskich armii, byli niezwyciężeni. Ogarnęli i podbili Brythunię, zniszczyli południową Hyperboreę oraz Koryntię. Wpadli na wzgórza Cymerii, gnając przed sobą czarnowłosych barbarzyńców, lecz w górach, gdzie konnica była mniej skuteczna, Cymeryjczycy stawili im czoła i po całym dniu krwawych walk tylko bezładna ucieczka uratowała Hyrkańczyków przed całkowitym zniszczeniem. W czasie tych wydarzeń królestwa Shemu podbiły dawnego okupanta, Koth i zostały pokonane przez Stygię, którą próbowały najeżdżać. Nim jednak Stygijczycy zdążyli rozprawić się z Koth, zostali napadnięci przez Hyrkańczyków, którzy okazali się twardszymi panami niż Hyboryjczycy. W tym czasie Piktowie stali się niekwestionowanymi władcami Akwilonii, praktycznie ścierając dawnych mieszkańców z powierzchni ziemi. Przekroczyli granice Zingary i tysiące Zingaran umknęło przed rzezią do Argos, zdając się na łaskę nadciągających ze wschodu Hyrkańczyków, którzy osadzili ich w Zamorze jako swych poddanych. Uciekali pozostawiając za sobą Argos spowite dymem pożarów i oparami krwi, towarzyszącymi piktyjskiemu pochodowi. Zdobywcy napadli na Ophir i starli się z napierającymi na zachód Hyrkańczykami. Ci ostatni po zdobyciu Shemu zwyciężyli nad Nilem stygijską armię i władali imperium rozciągającym się daleko na południe aż po czarne królestwo Amazonii, którego lud tysiącami brali w niewolę i osadzali wśród Shemitów. Możliwe, że zdołaliby dokończyć podboju Stygli i włączyć ją do swego imperium, gdyby nie gwałtowne ataki Piktów na ich zachodnie rubieże.

Nemedia, niepokonana przez Hyboryjczyków, chwiała się pod naporem jeźdźców ze wschodu i dzikusów z zachodu, gdy na jej ziemiach pojawiło się plemię przybyłych z okrytych śniegiem krain Æsirów, którzy zostali zatrudnieni jako najemnicy i okazali się tak dzielnymi wojownikami, że nie tylko odparli Hyrkańczyków, ale powstrzymali też napór Piktów.

Obraz świata w owym czasie przedstawiał się następująco: rozległe imperium Piktów, dzikich, nieokrzęsanych i barbarzyńskich, rozpościerające się od wybrzeży Vanaheimu na północy po najdalej wysunięte na południe wybrzeża Zingary. Na wschodzie obejmowało całą Akwilonię oprócz Gunderlandii — prowincji leżącej najdalej na

północ, która, jako odrębne królestwo leżące wśród gór, przetrwała upadek Akwilonii i nadal zachowywała swoją niepodległość. Imperium piktyjskie obejmowało również Argos, Ophir, zachodnią część Koth i zachodnie ziemie Shemu. Naprzeciw tego barbarzyńskiego państwa leżało imperium Hyrkańczyków, którego północne krańce stanowiła poszarpana linia granicy z Hyperboreą, a południowe — pustynne ziemie Shemu. Imperium to obejmowało Zamorę, Brythunię, Królestwo Kresowe, Koryntię, większość Koth oraz wschodnie krańce Shemu. Granice Cymerii pozostały nienaruszone: ani Piktowie, ani Hyrkańczycy nie zdołali podporządkować sobie tych walecznych barbarzyńców. Nemedia, wspierana przez najemników z Asgardu, opiera się wszelkim najazdom. Nordheim na północy, a dalej Cymeria i Nemedia oddzielają dwie rasy zdobywców, lecz na południu Koth stało się polem bitwy, na którym toczy się nieustanna walka Piktów z Hyrkańczykami. Czasem wojownicy ze wschodu całkowicie wypierają barbarzyńców z tego królestwa, potem równiny i miasta znów znajdują się w rękach najeźdźców z zachodu. Daleko na południu osłabionej hyrkańskim najazdem Stygii zaczynają zagrażać wielkie czarne królestwa. Zaś na dalekiej północy trwa nieustanny ferment — północneszczepy toczą nie kończące się wojny z Cymeryjczykami i zagrażają granicom Hyperborei.

Gorm został zabity przez Hialmara, wodza Æstrów w Nemedii. Był już bardzo stary, liczył sobie niemal sto lat. W ciągu siedemdziesięciu pięciu lat, jakie upłynęły od chwili, kiedy to po raz pierwszy usłyszał z ust Arusa opowieść o imperiach — okres długi jak na życie człowieka, lecz mgnienie w dziejach narodów — z nieokrzęsanych dzikich plemion stworzył potężne państwo i zniszczył cywilizację. On, który urodził się w lepiance z gliny i chrustu, na starość zasiadał na złotych tronach i ogryzał wołowe udźce podawane mu na złotych półmiskach przez nagie niewolnice będące córkami królów. Zwycięstwa i zgromadzone bogactwa nie zmieniły Pikta, z ruin zniszczonej cywilizacji nie powstała, niczym feniks, nowa kultura. Smagłe dłonie, które druzgotały artystyczne dzieła zwyciężonych, nigdy nie próbowały ich kopiować. Chociaż zasiadał we wspaniałych ruinach zniszczonych pałaców i odziewał się w jedwabie podbitych książąt, Pikt pozostał wiecznym barbarzyńcą: dzikim, pierwotnym stworzeniem, zainteresowanym jedynie podstawowymi czynnościami życiowymi, o takich samych jak dawniej instynktach,

wiodących go jedynie do wojny i grabieży, wśród których nie było miejsca na sztukę i postęp. Inaczej było z Æsirami, którzy osiedli w Nemedii.

Ci szybko przyswoili sobie wiele ze zwyczajów swoich cywilizowanych sprzymierzeńców, przystosowując je jednak do swej niezwykle prężnej i żywotnej kultury. Przez krótki czas Piktowie i Hyrkańczycy powarkiwali na siebie nad ruinami świata, który podbili. Później przyszła epoka lodowcowa i rozpoczęła się wielka migracja z Północy. Przed przesuwającymi się na południe lodowcami szły północne plemiona, wypierając klany krewniaków. Æsirowie starli z powierzchni ziemi starożytne królestwo Hyperborei, by zetrzeć się na jego gruzach z Hyrkańczykami. Nemedia stała się już nordyckim państwem rządzone przez potomków najemników z Asgardu. Spychani wzbierającymi falami migracji północy, Cymeryjczycy wyruszyli na szlak i nie mogła im się oprzeć żadna armia ni miasto. Przeszli przez Gunderlandię całkowicie ją niszcząc i pomaszerowali przez ziemie dawnej Akwilonii, wyrąbując sobie drogę przez szeregi Piktów. Pobili Nordyko-Nemedyjczyków i złupili kilka ich miast, lecz nic zatrzymali się. Zwyciężywszy hyrkańską armię na granicy Brythunii, parli dalej, na wschód.

Za nimi ciągnęły hordy Æsirów oraz Vanirów i piktyjskie imperium zachwiało się pod ich ciosami. Nemedia została pokonana, a na pół cywilizowani Æsirowie uciekli przed swoimi dzikimi pobratymcami, pozostawiając jej miasta puste i zrujnowane. Ci umykający Nordycy, którzy przyjęli nazwę dawnych mieszkańców tego kraju, i których od tej pory określa się mianem Nemedyjczyków, przybyli do prastarego Koth, wygnali z niego zarówno Piktów, jak i Hyrkańczyków, po czym pomogli ludowi Shemu zrzucić hyrkańskie jarzmo. W całym zachodnim świecie Piktowie i Hyrkańczycy ustępowali pola tej młodej, energicznej rasie.

Grupa Æsirów przepędziła jeźdźców ze wschodu z Brythunii i osiedliła się tam, przyjmując tę nazwę swojej nowej ojczyzny. Nordycy, którzy podbili Hyperboreę, tak zaciekle uderzyli na jej wschodnich nieprzyjaciół, że ciemnoskórzy potomkowie Lemuryjczyków wycofali się w stepy, bezlitośnie spychani z powrotem ku Vilayet.

Tymczasem podążający na południe Cymeryjczycy zniszczyli starożytne hyrkańskie królestwo Turanu i osiedli na południowo-

zachodnich brzegach śródładowego morza. Potęga wschodnich najeźdźców została złamana. W obliczu atakujących Nordheimczyków i Cymeryjczyków zrównali z ziemią wszystkie swoje miasta, wyróżnili wszystkich jeńców, którzy nie mogli podołać trudom długiego marszu, a potem, gnając przed sobą tysiące niewolników, odjechali z powrotem na tajemniczy wschód, omijając północne krańce morza, aby zniknąć z kart dziejów zachodniego świata aż do chwili, gdy znowu nadciągnęli — tysiące lat później — jako Hunowie, Mongołowie, Tatarzy i Turcy. W tym pochodzie towarzyszyły im tysiące Zamoran i Zingaran, którzy osiedli razem daleko na wschodzie, utworzyli mieszaną rasę i wiele wieków później powrócili jako Cyganie.

W tym samym czasie przez południowe wybrzeże kraju Piktów przemaszerowało plemię Vanirów, którzy złupili starożytną Zingarę i przybyli do Stygii, która, uciskana przez rządy okrutnych arystokratów, słała się pod naporem czarnych królestw z południa. Rudowłosi Vaniorowie wznieśli wielkie powstanie niewolników, obalili rządy arystokratów i sami je objęli. Podporządkowali sobie najbliższe czarne królestwa i stworzyli rozległe, południowe imperium, które nazwali Egiptem. Wcześni faraonowie chętnie się, iż są potomkami tych rudowłosych zdobywców.

Zachodni świat był teraz zdominowany przez barbarzyńców z Północy. Piktowie nadal utrzymywali Akwilonię i część Zingary oraz zachodnie wybrzeże kontynentu, Jednakże na wschodzie aż po Vilayet i od koła podbiegunowego po ziemie Shemu jedynymi mieszkańcami były wędrowne plemiona Nordheimczyków, wyjąwszy tylko Cymeryjczyków, którzy osiedli w dawnym królestwie Turanu. Nigdzie nie było żadnych miast, jedynie w Stygli i ziemiach Shemu, fale najeżdżających te kraje Piktów, Hyrkańczyków, Cymeryjczyków i Nordyków obróciły je w ruinę, a dominujący niegdyś Hyboryjczycy zniknęli, pozostawiając zaledwie nieco swej krwi w żyłach zdobywców. Tylko kilka nazw ziem, plemion i miast pozostało w języku barbarzyńców, przekazywane z pokolenia na pokolenie wraz z coraz bardziej zniekształcającymi prawdę legendami i podaniami, aż cała hyboryjska historia pogrążyła się we mgle mitów i fantazji. Tak w języku Cyganów pozostały nazwy Zingara i Zamora; Æsirowie, którzy opanowali Nemedię, byli zwani Nemedyjczykami i znaleźli się później na kartach historii Irlandii, natomiast Nordowie,



którzy osiedli w Brythunii, byli znani pod imieniem Brythuńczyków, Brytów lub Brytyjczyków.

W owych czasach nie istniało nic takiego jak zjednoczone imperium Nordyckie. Jak zwykle, każde plemię miało swego wodza czy króla, a wszystkie zażarcie walczyły ze sobą.

Nie wiadomo, jak potoczyłyby się ich dalsze dzieje, gdyż następne straszliwe trzęsienia ziemi pogrążyły cały ten świat z powrotem w chaosie, z którego wyłoniły się znane nam dziś lądy. Wielkie kawały zachodniego wybrzeża pochłonęło morze; Vanaheim i zachodnia część Asgardu — będące od przeszło stu lat niezamieszkanym i skutym lodem pustkowiec — zniknęły w odmętach. Ocean obmył wzgórza zachodniej Cymerii i utworzył Morze Północne; góry te zmieniły się w wyspy znane później jako Anglia, Szkocja i Irlandia, zaś tam, gdzie przedtem znajdowały się piktyjskie puszcze i bossońskie stepy, przetaczały się fale. Na północy powstało Morze Bałtyckie, przecinając Asgard na półwyspy znane później jako Norwegia, Szwecja i Dania, zaś daleko na południu kontynent stygijski został oderwany od reszty świata wzdłuż linii tworzonej przez Nil w jego dolnym biegu. Nad Argos, zachodnią częścią Koth i zachodnimi połaciami Shemu przelewały się modre fale morza, później nazwanego Śródziemnym. Jednak mimo iż gdzie indziej ląd zapadał się w fale, rozległe połacie zachodniej Stygli wynurzyły się z toni, tworząc całą zachodnią połowę afrykańskiego kontynentu.

Ruchy skorupy ziemskiej wypiętrzyły wielkie łańcuchy górskie w środkowej części północnego kontynentu. Całe plemiona nordyckie zniknęły z powierzchni ziemi, a pozostałe wycofały się na wschód. Zmiany ominęły obszar wysychającego wolno śródładowego morza i tam, na jego zachodnich brzegach, plemiona nordyckie osiadły jako lud pasterzy, pozostając w lepszych lub gorszych stosunkach z Cymeryjczykami i stopniowo stapiając się z nimi. Na zachodzie resztki Piktów, ponownie sprowadzone przez kataklizm do poziomu dzikusów z epoki kamienia łupanego, zaczęły z nieprawdopodobną energią właściwą tej rasie znów zagarniać nowe połacie lądu, aż wreszcie, całe wieki później, zostały powstrzymane przez migrujących na zachód Cymeryjczyków i Nordyków. Nastąpiło to w tak długi czas po rozpadzie kontynentu, że wspomnienia o dawnych imperiach zachowały się jedynie w legendach.

Dzieje tej migracji leżą w polu zainteresowań współczesnych historyków, więc nie będziemy się tu nią zajmować. Jej powodem był wzrost populacji zamieszkującej stepy na zachód od śródładowego morza — które później, już o wiele mniejsze, nazywano Morzem Kaspijskim — w takim stopniu, że migracja stała się ekonomiczną koniecznością. Plemiona ruszyły na południe, na północ i na zachód, do ziem znanych dziś jako Indie, Azja Mniejsza oraz Europa Środkowa i Zachodnia.

Przybyli do tych krain jako Aryjczycy. Jednak między tymi pierwotnymi Aryjczykami istniały pewne różnice; niektóre zauważamy i dziś, zaś inne zostały dawno zapomniane. Na przykład jasnowłosi Achajowie, Galowie i Brytowie byli potomkami czystej krwi Æsirów. Nemedycy z irlandzkich legend byli Æstrami z Nemedii. Dunowie byli potomkami czystej krwi Vanirów; Goci — przodkowie innych plemion skandynawskich i germańskich, włącznie z Anglo-Sasami — to potomkowie rasy będącej konglomeratem Vanirów, Æsirów i Cymeryjczyków. Galowie, przodkowie Irlandczyków i północnych Szkotów, wywodzili się w prostej linii od Cymeryjczyków. Plemiona walijskie (Cymrowie — jak sami o sobie mówili) w Brytanii były mieszaną, nordycko-cymeryjską rasą, osiadłą na wyspach przed Brytami, co dało początek legendzie o galijskim pierwszeństwie. Tej samej krwi byli Cymbrowie, którzy walczyli z Rzymem oraz Gimerowie z Asyrii i Grecy, tak samo jak hebrajscy Gomerowie. Inne klany Cymeryjczyków wyruszyły na wschód od wysychającego śródładowego morza i po kilku wiekach, wmieszane z Hyrkańczykami, wróciły na zachód jako Scytowie. Właściwi przodkowie Galów nadali nazwę dzisiejszemu Krymowi.

Starożytni Sumeryjczycy nie mieli kontaktu z zachodnią cywilizacją. Stanowili mieszaną hyrkańską i shemicką rasę, powstałą z tych, których zdobywcy nie pognali na wschód podczas niechlubnego odwrotu. Wiele shemickich plemion uniknęło niewoli, a czystej krwi Shemici lub Shemici z domieszką krwi hyboryjskiej albo nordyckiej stali się przodkami Arabów, Sydów i innych Semitów. Kananejczycy wywodzą się od Kuszytów osiedlonych przez hyrkańskich władców wśród shemickich plemion, taką typową rasą byli Elamici. Przysadziści, krępi Etruskowie — przodkowie Rzymian — byli potomkami ludu powstałego z plemion stygijskich, hyrkańskich oraz piktyjskich, który pierwotnie

zamieszkiwał Koth. Hyrkańczycy wycofujący się na wschodnie brzegi kontynentu przekształcili się w plemiona znane później jako Tatarzy, Hunowie, Mongołowie i Turcy.

Rodowód innych narodów współczesnego świata można prześledzić podobnie; w niemal każdym wypadku ich historia sięga dalej w przeszłość, niż się powszechnie uważa — w mrok zapomnianej ery hyboryjskiej.

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Feniks na mieczu](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[Córka lodowego olbrzyma](#)

[Bóg w pucharze](#)

[Wieża słonia](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[Szkarłatna cytadela](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[Królowa Czarnego Wybrzeża](#)

[1. Conan przystępuje do piratów](#)

[2. Czarny lotos](#)

[3. Koszmar w dżungli](#)

[4. Atak z przestworzy](#)

[5. Stos](#)

[Czarny kolos](#)

[Cienie w blasku księżyca](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[Pełzający cień](#)

1.

2.

3.

4.

Szmaragdowa toń

1.

2.

III

Dom pełen łotrów

1.

2.

3.

Dolina zaginionych kobiet

1.

2.

3.

Stalowy demon

1.

2.

3.

4.

5.

6.

Era Hyboryjska